

**David Morrell**

# **Fałszywa tożsamość**

*Assumed Identity*

**Przeład Marcin Wawrzyńczak**

*Martinowi E. Wingate 'owi (zm. 1986),  
„Skale”,  
dobremu przyjacielowi  
i nadzwyczajnemu nauczycielowi*

*Prawda jak maska kłamstwo ukrywa,  
Nagość najlepszym przebraniem bywa.*

WILLIAM CONGREVE, *The Double Dealer*

*Bo czymże, w końcu, jest kłamstwo,  
jeśli nie prawdą w przebraniu?*

LORD BYRON, *Don Juan*

## PROLOG

*Meksyk, rok 1562*

Niecałe czterdzieści lat po tym, jak hiszpańscy konkwistadorzy dotarli do Nowego Świata, systematyczna eksterminacja tubylców była poważnie zaawansowana. Ludobójstwo nie wymagało wielkich wysiłków, jako że choroby, do których Europejczycy zdążyli się już przyzwyczaić — takie jak ospa, odra, świnka czy grypa — nie występowały w ogóle w Nowym Świecie i w krótkim czasie uśmierciły większość pozbawionych odporności tubylców. Tych, którzy nie umarli (a ocalało zapewne nie więcej niż dziesięć procent pierwotnej populacji), ujarzmiono i wzięto do niewoli. Wsie niszczone, zapędzając mieszkańców do obozów pracy. Używano wszelkich sposobów, przede wszystkim tortur, aby zmusić tych, którzy przeżyli, do porzucenia odwiecznych obyczajów i przyjęcia kultury europejskich najeźdźców.

Działający na półwyspie Jukatan, na południowo — wschodnim krańcu Meksyku, franciszkański misjonarz Diego de Landa był zaszokowany dowodami świadczącymi o tym, iż Majowie wyznają kult węża i składają ofiary z ludzi. Zdecydowany wykorzenić te barbarzyńskie, pogańskie praktyki Landa rozpoczął niszczenie świątyń, posągów, malowideł i wszelkich przedmiotów o znaczeniu religijnym — a robiąc to, nie tylko odebrał Majom symbole ich wiary, ale uniemożliwił także późniejszym historykom odczytanie hieroglifów opisujących dawny, miniony świat.

W wiosce Mani Landa odkrył sekretną bibliotekę rękopisów Majów. Te jedyne w swoim rodzaju teksty — podobne do małych, cienkich harmonii i zwane kodeksami — „nie zawierały nic poza przesadami i diabelskim łgarstwem”, donosił franciszkanin swoim zwierzchnikom. „Spaliliśmy je wszystkie”.

Spaliliśmy je wszystkie.

Współczesny miłośnik starożytności z jękiem rozpaczony reaguje na obłudną, ciasną pewność siebie bijącą z tych słów. Wszyscy palacze książek, z ich pobielalymi wargami, przymrużonymi oczami i zaciśniętymi szczękami, podzielali tę absolutną wiarę Landy, że ma rację. Ale Landa się mylił.

W kilku kwestiach.

Kodeksy, oprócz tego co Landa nazywał kłamstwami, zawierały historyczne i filozoficzne prawdy.

I nie wszystkie uległy zniszczeniu. Trzy z nich — wyniesione z ognia przez Hiszpanów i przemycone do Europy jako pamiątki — odnalazły się później w prywatnych kolekcjach, a ich unikatowa wartość nie budzi żadnych wątpliwości.

Kodeksy te, znane jako Kodeks Drezdeński, Kodeks Tro–Cortesianus i Kodeks Persianus, są w posiadaniu bibliotek w Dreźnie, Madrycie i Paryżu. Czwarty — zwany Kodeksem Groliera i przechowywany w Mexico City — został przez jednego z ekspertów uznany za fałszerstwo i jest obecnie poddawany badaniom.

Krążą jednak uporczywe pogłoski, że istnieje piąty kodeks, że jest autentyczny i zawiera więcej prawd niż wszystkie pozostałe.

Współczesny obserwator zastanawia się, jak zareagowałby ojciec Landa, gdyby wezwano go z piekła i uczyniono świadkiem rzezi — jeśli nie tak ogromnej, to równie zacieklej jak ta, wywołana przez niego w latach tysiąc pięćsetnych. Rzezi, której można by uniknąć, gdyby Landa nigdy nie zaczął swojego śledztwa.

Mani, nazwa wioski, gdzie Landa znalazł i zniszczył kodeksy, oznacza w języku Majów „skończyło się”, lecz tak naprawdę nic nie było skończone.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### 1

— Jak rozumiem, wszyscy chcecie dowiedzieć się czegoś na temat ofiar z ludzi — rzekł profesor, pozwalając sobie na lekko figlarny błysk w oczach i dając słuchaczom do zrozumienia, że studiowanie historii nie musi wcale oznaczać rezygnacji z poczucia humoru.

Za każdym razem, gdy otwierał ten kurs — a robił to już od trzydziestu lat — zaczynał tą samą uwagą i zawsze uzyskiwał reakcję, której pragnął: rozlegał się ogólny śmiech, studenci spoglądali po sobie z aprobatą i rozsiadali się wygodniej.

— Na temat dziewic, którym wycinano serca — ciągnął profesor — lub które strącano ze skał do głębokich studni — tego typu rzeczy.

Zrobił lekceważący gest, jakby szczegóły składania ofiar z ludzi były mu tak dobrze znane, że temat go nudził. Jego oczy ponownie załśniły figlarnie i studenci zaśmiali się głośniej. Nazywał się Stephen Mill. Liczył sobie pięćdziesiąt osiem lat. Był niski, szczupły, lecz barczysty. Nosił brązowy wełniany garnitur pachnący fajkowym dymem i binokle w drucianej oprawie. Włosy miał siwe, przeredzone, i cienkie szpakowate wąsy. Lubiany i szanowany tak przez kolegów, jak i studentów, miał przed sobą jeszcze tylko siedemdziesiąt minut życia i jeśli mogło to być jakakolwiek pociechą, przynajmniej do końca robił to, co lubił najbardziej: rozmawiał o swojej życiowej pasji.

— W rzeczywistości Majowie nie interesowali się zbytnio składaniem ofiar z dziewic — ciągnął dalej. — Większość szkieletów, które znaleźliśmy w świętych studniach, czyli cenotach — możecie zacząć uczyć się już właściwych terminów — wskazuje na to, iż na ołtarzach bogów ginęli zazwyczaj mali chłopcy.

Studenci zrobili zdeglustowane miny.

— Majowie wycinali oczywiście serca — powiedział profesor Mill. — Lecz była to jedna z najbardziej nudnych części rytuału.

Kilkoro studentów zmarszczyło brwi i spytało się nawzajem bezgłośnie: „nudnych?”

— Otóż Majowie chwyтали wroga, rozbierali go do naga, malowali na niebiesko, prowadzili na szczyt piramidy i łamali mu kark, nie zabijając jednak, jeszcze nie; na razie chodziło o to, żeby popadł w odrętwienie. Potem wycinali mu serce i wtedy umierał, a główny kapłan podnosił je — bijące jeszcze — do góry. Serce i cieknącą z niego krew rozsmarowywano na twarzach bogów, których wizerunki wyryto w ścianach na szczycie świątyni. Niektórzy badacze twierdzili, że kapłan mógł także zjadać serce ofiary. Jedno wiemy na pewno: jej ciało zrzucano w dół po schodach piramidy. Potem inny kapłan zdierał z ofiary skórę, narzucał na siebie i tańczył. Na koniec uczestnicy ceremonii rąbali trupa na kawałki i piekli go w ogniu.

Studenci z trudem przetykali ślinę, jakby nagle dostali mdłości.

— Do tych nudnych spraw dojdziemy jednak nieco później, w trakcie naszego kursu — powiedział profesor Mill, a studenci zaśmiali się ponownie, tym razem z ulgą. — Jak wiecie, jest to kurs interdyscyplinarny. — Wprawnie zmienił ton. Zniżając głos i odrzucając maskę showmana, stał się na powrót wykładowcą. — Niektórzy z was przyszli tu z historii sztuki. Inni są etnologami i archeologami. Będziemy badać hieroglify Majów i nauczymy sieje odczytywać, by na tej podstawie rekonstruować tę starą kulturę. Proszę spojrzeć na stronę siedemdziesiątą dziewiątą dzieła „Majowie: zagadka i ponowne odkrycie zaginionej cywilizacji” Charlesa Gallenkampa.

Studenci wykonali polecenie, marszcząc brwi na widok zdumiewającego diagramu przypominającego pal totemowy z dwiema schodzącymi w dół kolumnami zniekształconych, wykrzywionych twarzy w otoczeniu linii, kropek i zawijasów. Ktoś jęknął głośno.

— Tak, zdaje sobie sprawę, że wyzwanie jest poważne — rzekł profesor Mill. — Wmawiacie sobie, że nigdy nie potraficie odczytać tej plątaniny pozornie bezsensownych symboli. Zapewniam was jednak, że będziecie w stanie odczytać te i wiele innych. Nauczycie się dopasowywać dźwięki do poszczególnych znaków i odczytanie ich okaże się równie proste jak w przypadku normalnych zdań. — Przerwał na moment dla lepszego efektu i wyprostował się. — Nauczycie się starożytnego języka Majów. — Potrząsnął głową ze zdumieniem i zachwytem. — Rozumiecie teraz, o czym mówiłem. Historie dotyczące ofiar z ludzi są nudne. To — wskazał na hieroglify w książce Gallenkampa — to jest prawdziwie ekscytujące. — Spojrzał uważnie na każdego ze swoich dwudziestu studentów. — A ponieważ musimy od czegoś zacząć, zacznijmy tak, jak robią to dzieci — od kresek i kropek. Zauważcie, że wiele z kolumn hieroglifów — oznaczających, nawiasem mówiąc, daty — wygląda w ten sposób. — Chwyciwszy kawałek kredy, profesor Mill pośpiesznie nakreślił znaki na tablicy.

— Każda kropka ma wartość jeden. Linia — lub to, co nazywamy słupkiem — oznacza pięć. Pierwsza grupa, którą narysowałem, równa się więc cztery, druga osiem, trzecia dwanaście, a czwarta... Cóż to, dlaczego ja miałbym mówić przez cały czas? — Profesor przeciągnął palcem po liście studentów. — Panie Hogan, proszę powiedzieć mi, jaką wartość ma...

— Szesnaście? — odparł niepewny męski głos.

— Doskonale, panie Hogan. Widzicie, jakie to proste? Już zaczynacie rozumieć symbole Majów. Jeśli połączycie ze sobą wartości tych hieroglifów, data, którą oznaczają, wyda się wam bezsensowna. To dlatego, że Majowie używali innego kalendarza niż my. Choć równie dokładny jak nasz, był także dużo bardziej skomplikowany. Toteż, aby uczynić pierwszy krok w stronę poznania cywilizacji Majów, musimy zrozumieć ich koncepcję czasu. Na następne zajęcia proszę przeczytać pierwszy i drugi rozdział dzieła „Las królów: nieopowiedziana historia starożytnych Majów” Lindy Schele i Davida Friedela. Teraz pokrótce opowiem, o czym będziecie czytać.

I profesor Mill z nie skrywaną satysfakcją kontynuował swój wykład. Mając mniej niż dwadzieścia minut do końca życia, rozkoszował się każdą sekundą. Zajęcia zakończył dowcipem, który przytaczał zawsze na tym etapie kursu. Wywoławszy kolejny, zaplanowany wybuch śmiechu, odpowiedział na kilka pytań szczególnie zainteresowanych słuchaczy, po czym spakował książki, notatki, konspekt wykładu i listę studentów do teczki.

Do biura miał pięć minut spacerem. Szedł oddychając głęboko, z zadowoleniem. Był jasny, pogodny, przyjemny dzień. W gruncie rzeczy czuł się wspaniale (niecałe piętnaście minut do końca), a jego satysfakcję z udanego wykładu powiększało jeszcze oczekiwanie na następną przygodę, na spotkanie z gościem, którego się spodziewał.

Biuro znajdowało się w szarobrazowym murowanym budynku, ale nawet jego ponure ściany nie osłabiły dobrego samopoczucia i entuzjazmu profesora Milla. Pełen energii, minął studentów przy windzie i wbiegł po schodach na drugie piętro, do słabo oświetlonego korytarza, gdzie mieścił się jego gabinet. Wszedł do środka (dziesięć minut do końca) i położył teczkę na biurku, lecz gdy odwrócił się, żeby zejść do stołówki wydziałowej, znieruchomiał i uśmiechnął się, ujrawszy, że jego gość stoi w drzwiach.

— Szedłem właśnie po kawę — rzekł. — Ma pan może ochotę?

— Dziękuję, nie. — Gość skinął głową na powitanie i wszedł do środka. — Przez cały czas dokuczają mi zgaga. Chyba nabawiłem się wrzodu.

Gość był dobrze wyglądającym mężczyzną w wieku trzydziestu kilku lat. Jego gładko uczesane włosy, szyta na miarę biała koszula, jedwabny krawat w prążki, robiony na zamówienie

dwurzędowy garnitur i buty z cieleńcej skóry na cienkich podszewkach potwierdzały, że zajmuje dobrze płatne stanowisko w wielkiej korporacji.

— Wrzody wywołuje stres. Niech pan lepiej zwolni. — Profesor Mill uściśnął mu dłoń.

— Stres i pośpiech są częścią mojej pracy. Gdybym zaczął martwić się o zdrowie, wyładowałbym na bruku. — Gość usiadł.

— Potrzebuje pan urlopu.

— Niedługo. Obiecują mi, że już niedługo.

— A więc, co pan dla mnie ma? — spytał profesor Mill.

— Nową porcję hieroglifów do przetłumaczenia.

— Ile?

Gość wzruszył ramionami.

— Pięć stron. — Zmarszczył brwi, gdy grupa studentów przeszła korytarzem. — Wolałbym, żeby ta sprawa pozostała między nami.

— Oczywiście. — Profesor Mill wstał, zamknął drzwi i podszedł z powrotem do biurka. — Strony Majów czy współczesne?

Gość spojrział na niego ze zdziwieniem, a potem zrozumiał.

— Ach tak, stale zapominam, że strony Majów są większe. Nie, współczesne. Zdjęcia formatu piętnaście na dwadzieścia. Zakładam, że honorarium, które ustaliliśmy ostatnim razem, jest nadal do przyjęcia.

— Pięćdziesiąt tysięcy dolarów? Tak. Pod warunkiem że nikt nie będzie mnie popędział — odparł profesor.

— Oczywiście, że nie. Ma pan na to miesiąc, tak jak poprzednio. Sposób płatności ten sam — połowa teraz, połowa po zakończeniu. Warunki również bez zmian. Nie wolno panu kopiować zdjęć. Nie wolno zdradzić komukolwiek, czym się pan zajmuje, ani rozmawiać z kimkolwiek na temat tłumaczenia.

— Proszę się nie martwić. Nie robiłem tego i nie zrobię — odparł profesor Mill — zresztą nie ma tam nic na tyle ciekawego, by mogło zainteresować kogokolwiek poza mną, panem i pana pracodawcą. Ale to nieważne. Płacicie mi tak dobrze, że byłbym głupcem łamiąc warunki kontraktu i narażając na szwank nasze wzajemne stosunki. W przyszłym semestrze biorę roczny urlop, a pieniądze od was pozwolą mi poświęcić cały ten czas na badanie Hieroglificznych Schodów w ruinach Majów, w Copas, w Hondurasie.

— Za gorąco tam dla mnie — powiedział gość.

— Kiedy jestem w ruinach, zapominam o pogodzie — odparł profesor Mill. — Czy mogę zobaczyć zdjęcia?

— Ależ oczywiście. — Gość sięgnął do aktówki z krokodylej skóry i wyciągnął dużą papierową kopertę.

Mając przed sobą niecałą minutę życia, profesor Mill wziął kopertę, otworzył ją i wyjął pięć zdjęć, przedstawiających liczne rzędy hieroglifów. Przesunął książki na jedną stronę biurka i oparł o nie zdjęcia, tak że hieroglify znalazły się w położeniu pionowym.

— Wszystkie są częścią tego samego tekstu?

— Nie mam pojęcia — rzekł gość. — Kazano mi tylko dostarczyć je panu.

— Wygląda na to, że są. — Profesor Mill sięgnął po szkło powiększające i pochylił się nad zdjęciami, badając poszczególne hieroglify. Na czoło wystąpił mu pot. Potrząsnął głową. — Nie powinienem był wbiegać po tych schodach.

— Słucham? — spytał gość.

— Nic, nic. Tak tylko mówię do siebie. Czy nie jest tu zbyt gorąco?

— Odrobinę.



Mill zdjął marynarkę i ponownie zajął się badaniem hieroglifów. (Piętnaście sekund.)

— Cóż, proszę mi je zostawić, a ja...

— Tak?

— Ja...

— Słucham? — spytał gość.

— Nie czuję się zbyt dobrze. Moje dłonie...

— Co z nimi?

— Zdrętwiały — rzekł profesor. — Moja...

— Co?

— Twarz. Gorąca.

Profesor Mill nabrał gwałtownie powietrza, przycisnął rękę do piersi, zeszytniał i osunął się, opadając do tyłu w swoim skrzypiącym, obrotowym krześle. Głowę miał zwieszoną, usta otwarte... po chwili zadrżał i przestał się poruszać.

Kiedy gość wstał, gabinet jakby zmałał.

— Profesorze Mill? — Mężczyzna dotknął przegubu, a potem szyi profesora w poszukiwaniu tętna. — Profesorze Mill?

Wyjął gumowe rękawiczki z aktówki, założył je, a potem prawą ręką zebrał zdjęcia i wsunął do papierowej koperty, którą trzymał w lewej ręce. Następnie ostrożnie zdjął rękawiczki uważając, by nie dotknąć miejsc, które miały styczność ze zdjęciami, i wrzucił je do następnej koperty. Oba pakiety zniknęły w teczce.

Kiedy otworzył drzwi, żaden ze studentów ani wykładowców przechodzących korytarzem nie zwrócił na niego większej uwagi. Amator oszczędłby licząc, że nie zostanie rozpoznany, ale gość wiedział, że w atmosferze podekscytowania ktoś mógłby przypomnieć sobie eleganckiego mężczyznę wchodzącego lub wychodzącego z gabinetu Milla. W takiej sytuacji bezpieczniej było samemu ujawnić to, czego i tak nie dałoby się ukryć. Pośpieszył więc do pokoju sekretarki, wszedł gwałtownie i zawołał:

— Proszę zadzwonić po pogotowie! Profesor Mill... Właśnie składałem mu wizytę... Miał chyba atak serca.

## 2

### *Gwatemala*

Pomimo trzydziestosześciodzinnej podróży i swoich sześćdziesięciu czterech lat, Nikołaj Piotrowicz Bartieniew kipiał energią. On i jego żona wylecieli z Leningradu — przepraszam, z Sankt Petersburga, przypominał sobie. Teraz kiedy komunizm upadł, porzucili już Lenina — i przez Frankfurt i Dallas dotarli tutaj, na zaproszenie nowego rządu Gwatemali. Oczywiście, gdyby nie koniec zimnej wojny, ta podróż byłaby nie do pomyślenia. Gwatemala dopiero niedawno, po czterdziestu latach, nawiązała ponownie stosunki dyplomatyczne z Rosją i oto rosyjski paszport, dotąd nieosiągalny, został mu wydany w zdumiewająco szybkim tempie. Przez większą część swego życia Bartieniew miał jedno zżerające go pragnienie — pojechać do Gwatemali. Nie dlatego, że chciał opuścić Rosję, lecz dlatego, że Gwatemala była jego obsesją. Niestety uparcie, raz za razem, odmawiano mu pozwolenia — i nagle wystarczyło wypełnić kilka kwestionariuszy, aby parę dni później odebrać niezbędne dokumenty podróży. Bał się, że cała sprawa okaże się okrutnym żartem i nie zostanie wpuszczony do Gwatemali, lecz odesłany z powrotem do Rosji.

Zegarek wskazywał ósmą piętnaście, wieczorem.

Odrzutowiec — boeing 727 linii American Airlines — American! Jeszcze nie tak dawno podróżowanie czymkolwiek o nazwie „American” byłoby dla rosyjskiego obywatela absolutnie wykluczone — przebijał się przez chmury i mijając pasmo gór, zniżał ku miastu rozłożonemu w dolinie. Zachodzące słońce wypełniało ją szkarłatnym blaskiem. Lśniły światła miasta Gwatemala. Oczarowany Bartieniew wyglądał przez okno, a serce biło mu z dziecięcym entuzjazmem.

Siedząca obok żona ścisnęła go za rękę. Odwrócił się, żeby spojrzeć na jej wciąż piękną, choć pokrytą zmarszczkami twarz. Nie musiała nic mówić — wyczuwał, jak bardzo jest szczęśliwa, wiedząc, że niedługo spełnią się jego marzenia. W chwili gdy jako osiemnastoletni chłopak po raz pierwszy zobaczył zdjęcia ruin budowli Majów w Tikal w Gwatemali, doznał dziwnego uczucia jedności z tym niemal wymarłym ludem. Miał wrażenie, jakby tam kiedyś był, należał do plemienia i uczestniczył w wysiłku wznoszenia wielkich piramid i świątyń. A hieroglifami był wprost zafascynowany.

Dziś, po upływie tylu lat, był jednym z pięciu najwybitniejszych znawców piktogramów na świecie. A może nawet najwybitniejszym, jeśli wierzyć jego żonie. A przecież nigdy nie postawił stopy w starożytnych ruinach, nigdy nie wspiął się na piramidę i nie patrzył z bliska w charakterystyczne oblicza Majów — z ich haczykowatymi nosami, wysoko osadzonymi kośćmi policzkowymi i wygiętymi brwiami. I teraz wreszcie — nie dzisiaj oczywiście, lecz z pewnością jutro, a najpóźniej pojutrze — miał wsiąść do następnego samolotu, tym razem na prymitywnym pasie startowym i dokończyć trudną podróż przez dżunglę do miejsca, które stanowiło obsesję jego życia i centrum jego świata, do ruin w Tikal.

I do hieroglifów.

Serce zabiło mu mocniej, gdy samolot dotknął ziemi. Słońce chowało się już za górami. Mrok gęstniał, rozcinany tylko blaskiem świateł na płycie lotniska. Zdenerwowany z podniecenia, Bartieniew odpiął pas, chwycił teczkę i ruszył za żoną i innymi pasażerami w kierunku wyjścia. Denerwujący moment, zanim otwarto drzwi samolotu, zdawał się przeciągać w nieskończoność. Bartieniew przepchnął się do przodu i ujrzał ciemne zarysy budynków. Schodząc na pas startowy, nabrał w płuca suchego, górskiego powietrza i poczuł, jak jego ciało tężeje z podniecenia.

Jednak gdy znalazł się w hali przylotów i zobaczył kilku umundurowanych oficjeli czekających na niego, wiedział od razu, że coś jest nie tak. Ich twarze były posępne, zamyślane i spięte. Pomyślał, że jego obawy sprawdziły się, i nie otrzyma pozwolenia na wjazd do Gwatemali.

Nerwowy mężczyzna o wąskich wargach, ubrany w ciemny garnitur, podszedł do nich pośpiesznie i zapytał:

— Profesor Bartieniew?

— Tak.

Rozmawiali po hiszpańsku. Zainteresowanie Gwatemalą i ruinami Majów w całej Ameryce Środkowej skłoniło Bartieniewa do nauczenia się miejscowego języka, gdyż większość prac badawczych na temat hieroglifów ukazywała się po hiszpańsku.

— Nazywam się Hektor Gonzales. Z Narodowego Muzeum Archeologicznego.

— Tak, dostałem pana listy.

Gdy ściskali sobie dłonie, Bartieniew spostrzegł, że Gonzales kieruje go w stronę grupy urzędników.

— To moja żona Elena.

— Bardzo miło mi panią poznać, pani Bartieniew. Jeśli można, proszę tymi drzwiami...

Nagle Bartieniew zauważył surowe twarze żołnierzy trzymających karabiny maszynowe. Drgnął, przypominając sobie Leningrad w najgorszych latach zimnej wojny.

— Czy coś jest nie w porządku? Coś, o czym mi pan nie powiedział, a co powinienem wiedzieć?

— Nic — odpowiedział Gonzales pośpiesznie. — Tylko mamy problem z waszymi kwaterami. Drobne przeoczenie w harmonogramie. Nic poważnego. Chodźmy tędy. Przez te drzwi i dalej korytarzem. Szybko, bo się spóźnimy.

— Spóźnimy? — Bartieniew potrząsnął głową, gdy prowadzono ich pośpiesznie. — Spóźnimy na co? A nasze bagaże? Co z naszymi...?

— Zajęliśmy się nimi. Zostaną dostarczone do hotelu. Nie musicie przechodzić przez kontrolę paszportową ani cło.

Minęli jeszcze jedne drzwi i wyszli w noc, na parking, gdzie pomiędzy dwoma dżipami pełnymi uzbrojonych żołnierzy czekała czarna limuzyna.

— Proszę natychmiast wyjaśnić mi, o co chodzi — rzekł Bartieniew. — W swoich listach obiecywał mi pan gościnne przyjęcie. Tymczasem czuję się jak więzień.

— Profesorze Bartieniew, musi pan zrozumieć, że Gwatemala to trudny kraj. Sytuacja polityczna jest napięta. Ci żołnierze są tutaj dla waszej ochrony.

— Dlaczego miałbym potrzebować.

— Proszę wsiąść do samochodu, porozmawiamy o tym.

Gdy jeden z żołnierzy zamknął drzwi limuzyny, Bartieniew ponownie zapytał niecierpliwie:

— Dlaczego miałbym potrzebować ochrony?

Strzeżony przez dwa dżipy samochód szarpnął i ruszył ostro do przodu.

— Tak jak panu mówiłem, z powodów politycznych. Przez wiele lat w Gwatemali rządili pravicowi ekstremiści. — Gonzales zerknął niespokojnie na dwóch urzędników, jakby podejrzewał, że nie aprobują jego słownictwa. — Ostatnio jednak do władzy doszły siły umiarkowane, a nowy rząd zainicjował ponowne nawiązanie stosunków dyplomatycznych między naszymi krajami. Dlatego pana tu zaproszono. Wizyta rosyjskiego uczonego stanowi najlepszy dowód pokojowych intencji gwatemalskich władz, a jako nie zaangażowany w politykę naukowiec, którego badania mają związek z gwatemalską historią, był pan idealnym kandydatem.

— Sposób, w jaki pan mówi... — Bartieniew się zawahał. — Mam wrażenie, że wcale nie pracuje pan dla Narodowego Muzeum Archeologicznego, lecz dla rządu. Jak nazywała się dynastia, która rządziła Tikalem?

Gonzales nie odpowiedział.

— A w którym wieku Tikal osiągnął szczyt swojej potęgi?

Milczenie.

Bartieniew zaśmiał się.

— Grozi panu niebezpieczeństwo — rzekł Gonzales.

— Co?

— Prawicowi ekstremiści gwałtownie protestowali przeciwko pańskiej wizycie — wyjaśnił Gonzales z napięciem. — Uważają oni, że pomimo upadku komunizmu w Rosji jest ona źródłem zarazy, która w końcu zamieni Gwatemalę w państwo marksistowskie. Poprzedni rząd używał szwadronów śmierci, żeby zmusić ludzi do posłuchu. Te szwadrony nadal istnieją. Pana życiu grozi niebezpieczeństwo.

Bartieniew patrzył przed siebie, czując, jak ogarnia go rozpacz. Żona zapytała go, o czym rozmawiają. Zadowolony, że nie rozumie hiszpańskiego, wyjaśnił jej, że ktoś zapomniał zarezerwować dla nich pokój w hotelu, więc zakłopotany gospodarz tłumaczy się z tego niedopatrzania i że sprawa jest właśnie załatwiana.

Spojrzał groźnie na Gonzalesa.

— Co mi pan chce powiedzieć? Że muszę wyjechać? Odmawiam. Och, oczywiście odeślę żonę w bezpieczne miejsce, lecz nie po to przebyłem taki kawał drogi, żeby wyjeżdżać, zanim spełni się

moje marzenie. Jestem już stary. Taka okazja pewnie nigdy więcej się nie powtórzy. I tak blisko celu. Muszę dotrzeć do końca.

— Nikt nie każe panu wyjeżdżać — rzekł Gonzales. — To miałyby równie oplakane skutki jak wtedy, gdyby ktoś pana zabił.

Bartieniew poczuł, że krew odpływa mu z twarzy.

— Musimy jednak być niezwykle ostrożni — ciągnął Gonzales. — Przewornici. Prosimy, żeby nie pokazywał się pan na mieście. Pański hotel będzie strzeżony. Przewieziemy pana do Tikal tak szybko jak to możliwe. Ale musi pan obiecać, że za dzień, najwyżej dwa, udając chorobę — wróci pan do domu.

— Dzień? — Bartieniew miał trudności z oddychaniem. — Najwyżej dwa? Tak mało czasu, po tylu latach czekania...?

— Profesorze Bartieniew, musimy liczyć się z politycznymi realiami.

Polityka, pomyślał profesor i miał ochotę zakląć. Ponieważ jednak podobnie jak Gonzales był przyzwyczajony do życia w totalitarnym kraju, analizował problem z desperacką szybkością. Znajdował się poza granicami Rosji i mógł jechać, gdzie chciał — to się tylko liczyło. W końcu ruiny Majów były w różnych miejscach. Palenque w Meksyku, na przykład. Zawsze podobały mu się zdjęcia stamtąd. Oczywiście, to nie to samo co Tikal. Ze względów emocjonalnych i naukowych nie miało takiego znaczenia, lecz znajdowało się blisko. Mógł pojechać tam z żoną. Czuliiby się bezpieczni. I nawet gdyby gwatemalski rząd odmówił pokrycia kosztów podróży, nie stanowiło to problemu — gdyż Bartieniew miał ukryte źródło dochodów, o którym nie powiedział nawet żonie.

Zachowanie tajemnicy było bowiem częścią umowy, jaką zawarł pewnego dnia z jasnowiąsym, elegancko ubranym Amerykaninem, który pojawił się w jego gabinecie na uniwersytecie w Sankt Petersburgu. Amerykanin pokazał mu kilka fotografii tekstów Majów. Spytał doskonałym rosyjskim, jaką sumą zadowoliliby się profesor za przetłumaczenie hieroglifów i zachowanie całej sprawy w tajemnicy. „Jeśli hieroglify są interesujące, nie wezmę nic”, odparł Bartieniew, mile polechtany faktem, że gość tak dobrze opanował jego ojczysty język. Amerykanin jednak nalegał na zapłatę. W rzeczy samej był niezwykle szczodry: oferował pięćdziesiąt tysięcy dolarów. „Żeby zapewnić sobie pańskie milczenie”, wyjaśnił. Dając Bartieniewowi ekwiwalent dziesięciu tysięcy dolarów w rosyjskiej walucie, zapewnił, że reszta zostanie umieszczona na rachunku w szwajcarskim banku. Może pewnego dnia profesor wyjedzie z Rosji, a wtedy pieniądze będzie można łatwo podjąć. Jeśli nie, mógł zorganizować przewóz odpowiednich sum do Petersburga, w niewielkich częściach, żeby władze nie zaczęły dociekać ich źródła. Po tej wizycie Amerykanin przyjeżdżał jeszcze dwa razy, dostarczając nowe teksty i zawsze to samo honorarium. Do tej chwili pieniądze miały dla Bartieniewa mniejsze znaczenie niż fascynujący przekaz (niczym tajemniczy szyfr), który zawierały starożytne teksty.

Teraz stały się bardzo ważne i rozgorączkowany Bartieniew postanowił wykorzystać je w pełni.

— Tak — powiedział Gonzalesowi. — Realia polityczne. Wyjadę, kiedy zechcecie. Zgodnie z waszymi planami.

Gonzales odprężył się, jednak tylko na chwilę. Limuzyna dotarła do hotelu ze szkła i stali, którego styl w niczym nie przypominał architektury hiszpańskiej. Żołnierze pośpiesznie odprowadzili profesora i jego żonę do windy i zawieźli na dwunaste piętro. Ich opiekun pojechał z nimi, podczas gdy jeden z urzędników rozmawiał z recepcjonistą na dole.

Gdy Gonzales otworzył drzwi, włączył światło i wprowadził gości do pokoju, zadzwonił telefon. Były tam dwa aparaty, jeden na stoliku obok sofy, drugi przy barku.

Gonzales zamknął drzwi. Telefony nie przestawały dzwonić. Gdy Bartieniew ruszył w stronę sofy, Gonzales powstrzymał go:

— Nie, proszę pozwolić mi odebrać. — Wybrał bliższy aparat, ten przy barze. — Halo? — Włączył lampę. — Dlaczego chce pan z nim rozmawiać? — Spojrzał na Bartieniewa. — Chwileczkę. — Przykrył słuchawkę dłonią. — To człowiek, który twierdzi, że jest dziennikarzem. Być może rozsądnie byłoby udzielić wywiadu. Wie pan, dobre stosunki z prasą. Posłucham przez ten telefon, kiedy pan będzie rozmawiał.

Bartieniew podszedł do aparatu stojącego na stoliku obok sofy.

— Halo? — rzekł. Cień jego sylwetki padł na okno.

— Idź do diabła, przeklęty Rusku.

Gdy szyba rozprysnęła się do wewnątrz, żona Bartieniewa krzyknęła. Profesor nie wydał żadnego dźwięku. Pocisk trafił go w czaszkę zabijając na miejscu. Na sypiące się szkło trysnęła krew.

### 3

*Houston, Teksas*

Trwał drugi dzień misji promu kosmicznego „Atlantis”. Nie było żadnych problemów, wszystkie systemy jak dotąd działały bez zakłóceń — i Albert Delaney zaczął się nudzić. Chciał, żeby coś się stało i przerwało tę męczącą beczynność. Nie pragnął niczego „sensacyjnego”, gdyż to słowo nierozzerwalnie wiązało się z kryzysem, a NASA nie mogła sobie pozwolić na kolejne awarie i krytykę prasy. Powtórka katastrofy „Challenger” była zwyczajnie nie do pomyślenia. Jeszcze jedna taka afery i NASA prawdopodobnie wypadłaby z biznesu. To z kolei oznaczało, że Albert Delaney znalazłby się na bruku, a Albert Delaney wolał nudzić się codziennie, niż być bezrobotnym. A jednak gdyby na początku jego pracy w NASA ktoś powiedział mu, jak szybko entuzjazm i nadzieja na wspaniałą karierę zastąpione zostaną przez nudę, Albert nie uwierzyłby. Problem polegał na tym, że NASA tak często sprawdzała szczegóły zbliżającej się misji — testując raz i drugi, analizując każdy wariant, próbując przewidzieć wszystkie ewentualności — że kiedy wreszcie realizowano program, nikogo już to nie emocjonowało. Nie, Albert Delaney nie pragnął żadnych sensacji, lecz z całą pewnością nie pogniwałby się na jakąś przyjemną niespodziankę.

Jako mężczyzna średniego wzrostu i średniej budowy ciała, o przeciętnej twarzy, i w wieku, kiedy nie będąc już młody, jeszcze nie zaczął się starzeć, zauważał u siebie coraz częściej poczucie braku satysfakcji i jakiegoś niespełnienia. Jego życie było zwyczajne. Monotonne. Co prawda nie osiągnął jeszcze tej fazy, kiedy rodzi się pokusa okłamywania żony, jednak bał się, że to, co Thoreau nazwał „cichą desperacją”, popchnie go do zrobienia jakiegoś głupstwa, spowoduje wiele zamieszania i zniszczy jego małżeństwo. Obawiał się po prostu, że zawiedzie go poczucie zdrowego rozsądku, jeśli nie znajdzie czegoś, co go zainteresuje, jakiegoś życiowego celu.

Część problemu, zdecydował Delaney, stanowiło to, że jego biuro mieściło się na peryferiach siedziby NASA. Oddalony od centrum dowodzenia misją, nie miał tego poczucia wykonania zadania i nie doświadczał nerwowej energii, która, jak sądził, tam panowała. Poza tym nawet on musiał przyznać, że bycie ekspertem od kartografii, geografii i meteorologii (mapy, ziemia i pogoda, jak wyjaśniał to czasem zniecierpliwiony) wydawało się nieznośnie nudne w porównaniu z badaniem kosmosu. Albert Delaney nie miał szans badania zdjęć nowo odkrytych pierścieni wokół Saturna, księżyców Jowisza lub czynnych wulkanów na Wenus. Nie, on zawsze dostawał do przeanalizowania fotografie powierzchni Ziemi, terenów, które oglądał już dziesiątki razy.

Poza tym wyniki badań, które prowadził, znał już na pamięć. Czy zdjęcia z kosmosu nie pokazywały, że niepokojąca mgiełka wokół Ziemi staje się coraz gęstsza? Czy obrazy z wielkich

wysokości nie ujawniały, że południowoamerykańska dżungla kurczy się coraz bardziej w wyniku karczowania? Czy oceany nie osiągnęły takiego poziomu zanieczyszczeń, że dało się to dostrzec z odległości pięciuset kilometrów? Tak. Tak. Tak. Nie musiałeś być naukowcem od raket, żeby dojść do tych wniosków, lecz NASA potrzebowała coraz więcej danych. Żądała szczegółów i chociaż zdjęcia, które badał Delaney, trafiały w końcu do innych agencji rządowych, on musiał dokonać wstępnych badań, aby w razie odkrycia czegoś niezwykłego NASA mogła zebrać laury.

Podczas obecnej misji prom kosmiczny miał wypuścić nad Morzem Karaibskim satelitę meteorologicznego i wykonać inne związane z obserwacją pogody badania i eksperymenty. Przesyłał również zdjęcia. Fotografia, na którą patrzył teraz Delaney, ukazywała część meksykańskiego półwyspu Jukatan. Od kilku lat rdza atakowała drzewa palmowe w tym rejonie i miał stwierdzić, jak daleko się rozprzestrzeniła. Było to proste, gdyż chore, ogołocone drzewa tworzyły na zdjęciu wyraźne ciemne plamy. Teoria głosiła, że straty wśród roślinności spowodowane przez rdzę doprowadzą do zachwiania równowagi tlenu i dwutlenku węgla nad obszarem Jukatanu i tak jak w przypadku wycinania brazylijskiej dżungli drastycznie wpłyną na stan pogody. Mierząc teren zaatakowany przez rdzę i analizując uzyskane informacje, w połączeniu z danymi na temat temperatury i wiatru na Karaibach, można było przewidzieć powstawanie tropikalnych burz i huraganów.

Rdza zajmowała obecnie teren o wiele większy niż na zdjęciach sprzed roku. Delaney nałożył przezroczystą mapę na fotografię, dopasowując cechy topograficzne, wykonał pomiary i zabrał się do następnego zdjęcia. Być może chodziło o przerwanie nudy. Być może o potrzebę silnych wrażeń. W każdym razie stwierdził, że bada odbitki o wiele uważniej niż zwykle, zwracając uwagę na szczegóły nie mające związku z występowaniem rdzy.

Nagle coś go zaniepokoiło, jakiś podświadomie zarejestrowany detal, wrażenie, że nie wszystko się zgadza. Odłożył zdjęcie, którym się zajmował, i sięgnął po poprzednie. Tak, pomyślał. Tutaj. Natychmiast poczuł stymulujący napływ adrenaliny, ciepło w żołądku. Ten mały obszar w lewym dolnym rogu zdjęcia. Te cienie pomiędzy ogołoconymi palmami. Skąd one się tam wzięły?

Cienie tworzyły niemal idealne trójkąty i kwadraty. Jednak trójkąty i kwadraty nie istnieją w naturze. Co więcej, tylko duże, bardzo wysokie obiekty mogą rzucać takie cienie. Na przykład wzgórza. Ale wówczas cienie nie byłyby takie regularne. A poza tym na terenie północnych nizin Jukatanu nie znajdowały się żadne wzgórza. W dodatku tajemnicze cienie zajmowały stosunkowo duży obszar. Delaney obliczył szybko. Trzydzieści kilometrów kwadratowych? Pośrodku zupełnie płaskiej części jukatańskiej dżungli? O co tu, u diabła, mogło chodzić?

#### 4

„Na zakończenie naszej relacji jeszcze jedna informacja. Powiększone przez komputer zdjęcia z promu kosmicznego «Atlantis» wykazały istnienie czegoś, co wydaje się dużym obszarem nieznanymi budowli Majów w odległej części meksykańskiego półwyspu Jukatan. Dżungla jest na tym terenie tak gęsta i niedostępna, że nawet pobieżna ocena ruin może potrwać wiele miesięcy, lecz według rzecznika meksykańskiego rządu sama ich wielkość sugeruje, iż mogą przyćmić piramidy, pałace i świątynie legendarnego Chichen Itza. Parafrazując słowa F. Scotta Fitzgeralda: ruszamy do przodu, — w przeszłość. Dan Rather, CBS News, do widzenia państwu”.

Gość zauważył, że kilka nowych dzieł sztuki starożytnych Majów — figurek, ceramiki i masek — zostało dodanych do kolekcji. Wszystkie były autentyczne, drogie i zakupiono je nielegalnie.

— Kobieta zniknęła.

— Co? — Stary mężczyzna podłączający rurkę do igły w swoim ramieniu gwałtownie podniósł głowę. — Zniknęła? Zapewniałeś mnie, że to niemożliwe.

— Tak myślałem — odparł jasnowłosy mężczyzna. Mówił spokojnie. — Płacono jej tak dobrze i zapewniono tak luksusowe warunki, że nie sądziłem, iż będzie chciała wyjechać.

Stary mężczyzna rzucił mu groźne spojrzenie, jego chude ciało było napięte ze złości. Leżał rozciągnięty na skórzanym fotelu w głównej kabine siedemdziesięciometrowej długości jachtu — otoczony wytworami sztuki Majów, które stanowiły przedmiot jego obecnej pasji. Miał przenikliwe spojrzenie, wyostrome przez okulary, zachmurzoną twarz, gęste siwe włosy. Chociaż był drobny i niewysoki, wydawało się, że dominuje nad wszystkim.

— Ludzka natura. Do diabła, zawsze miałeś z tym problem. Jesteś doskonały w dziedzinie taktyki, lecz skalę uczuć masz tak ograniczoną, że nie rozumiesz...

— Była samotna — odparł mężczyzna o przyjemnej twarzy. — Moi ludzie obserwowali ją na wypadek, gdyby wymyśliła coś głupiego. Pokojówka, lokaj, szofer, odźwierny w luksusowym budynku na Manhattanie — wszyscy pracowali dla mnie. Wyjścia z budynku były pod stałą obserwacją. W tych rzadkich przypadkach, kiedy mogła wychodzić, moi ludzie ją śledzili.

— Mimo to uciekła — warknął starzec z sarkazmem, a nozdrza zadrżały mu gniewnie. Białe włosy mężczyzny kontrastowały z cynowym odcieniem skóry, a ta z kolei podkreślała szarość jego ubrania. Lewy rękaw koszuli był podwinięty z powodu rurki tkwiącej w ramieniu.

— To twoja wina. — Wycelował w rozmówcę kościsty palec. — Od tej kobiety wszystko zależy. Jak to się stało, na Boga!

Mężczyzna wykonał gest pełen frustracji.

— Nie mam pojęcia. Moi ludzie też nic nie wiedzą. Uciekła wczoraj. Pomiędzy drugą w nocy, kiedy pokojówka widziała ją po raz ostatni, a południem, gdy postanowiła sprawdzić, co się dzieje, kobiecie udało się wydostać z apartamentu i budynku. Nie wiemy jak. Postanowiłem złożyć panu raport osobiście, zamiast używać telefonu. Złapałem pierwszy samolot. — Wskazał na okna kabiny i inne jachty stojące w otoczonej hotelami, zalanej słońcem przystani St Thomas.

Starzec zmrużył oczy.

— Gotowość przyznania się do winy. Szanuję to. Socjopaci rzadko mają charakter. Czy ona ma dostęp do swojego konta bankowego?

— Nie. Ponieważ wszystko jej dostarczano, nie musiała wydawać pieniędzy. Dlatego nie zdawała sobie sprawy, że rachunki bankowe, potwierdzające wpływanie jej honorariów, pochodzą z konta, które wymaga mojej kontrasygnaty. Pieniądze są dla niej nieosiągalne.

— Bizuteria?

— Zabrała wszystko. Sam diamentowy naszyjnik wart jest czterysta tysięcy dolarów. W teorii. Kamienie nie są prawdziwe. Poza tym tylko niektóre firmy w Nowym Jorku miałyby środki, żeby je kupić. Ponieważ ona nie wie, że są sztuczne, pójdzie tam. Wszystkie te miejsca są pod obserwacją.

Stary mężczyzna zamyślił się.

— Zakładając, że zdobędzie pieniądze — a podejrzewam, że zdobędzie, zważywszy jaką pomysłowość wykazała uciekając — dokąd może pójść? Co może zrobić?

— Byłoby głupotą z jej strony, gdyby wróciła na stare ścieżki. Musi przyjąć, że obserwujemy krewnych, przyjaciół, jej poprzednich współpracowników, że założymy podsłuchy w ich telefonach i tak dalej. Jeśli jest sprytna — a udowodniła, że jest — to się ukryje. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje, są kłopoty związane z nami.

— Z nami?

— Z panem.

Starzec machnął pomarszczoną dłonią, spojrzął władczo i z dezaprobatą.

— Natura ludzka. Nadal niczego się nie nauczyłeś. Jeśli to samotność popchnęła ją do ucieczki, na pewno się nie ukryje. Będzie chciała osiągnąć bezpieczeństwo i satysfakcję wiodąc życie niezależne, a nie uwarunkowane okolicznościami. Nie zamieni jednej klatki na drugą.

— A więc...?

Starzec spojrzął na rurkę ginącą w jego ramieniu i zamyślił się.

— Ktoś jej pomoże.

— Kto?

— Są tylko dwa powody, dla których ktoś pomaga bliźniemu. Miłość i pieniądze. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć, kto mógłby dla niej pracować. Zresztą zastanawiam się, czy zaufałyby obcemu człowiekowi, którego lojalność ma źródło tylko w pieniądzu. Podejrzewam, że raczej szukałaby oparcia w miłości albo przyjaźni. Kto potrafiłby jej pomóc?

— Tak jak powiedziałem, rodzina, przyjaciele i współpracownicy są pod obserwacją.

— Nie. Poszukaj głębiej. Nie uciekłyby, gdyby nie miała planu. To musi być ktoś obeznany z tymi sprawami. Na tyle bliski, żeby mogła go prosić o pomoc. Ktoś, komu ufa.

— Zacznę natychmiast.

— Zawiodłeś mnie — rzekł starzec. — Twoje sukcesy w Chicago i Gwatemali były tak zachęcające, że przygotowałem dla ciebie nagrodę, ale teraz będę musiał się z nią wstrzymać.

Na stoliku obok fotela zabrzączał interkom. Starszy mężczyzna wcisnął guzik.

— Mówiłem, żeby mi nie przeszkadzać.

— Szejk Hazim odpowiada na pański telefon, profesorze — rzekł kobiecy głos.

— A tak. Porozmawiam z nim. — Starzec położył dłoń na telefonie stojącym obok, lecz zanim podniósł słuchawkę, zwrócił się jeszcze do swojego gościa, głosem surowym i twardym: — Nie rozczaruj mnie ponownie. — Wyregulował dopływ czerwonej cieczy sączącej się z kroplówki do jego ramienia. — Znajdź tę sukę, zanim wszystko zepsuje. Jeśli Delgado dowie się, że uciekła, że wyrwała się spod kontroli, ruszy za nią i pewnie za nami.

— Poradzę sobie z Delgado.

— Oczywiście, nie wątpię w to. Bez Delgado jednak nic nie mogę zrobić. Nie uzyskam dostępu do ruin. A to czyniłoby mnie bardzo nieszczęśliwym. Radzę ci — nie dopuść do tego, żebym stał się nieszczęśliwy.

— Tak, sir.

— Wyjdź.



## ROZDZIAŁ DRUGI

### 1

*Cancun, Meksyk*

Wszystkie hotele przypominały kształtem świątynie Majów, rząd schodkowych piramid ciągnął się wzdłuż czteropasmowej autostrady rozdzielającej wydmy, które jeszcze dwadzieścia pięć lat temu były kompletnym pustkowiem. Buchanan nie zwracał uwagi na otoczenie, starając się iść ze zwodniczym spokojem. Gdy zmierzch przeszedł w noc, zaczął jednak dostrzegać niepokojącą bliskość turystów przed i za sobą, groźny warkot i światła samochodów po prawej i złowróżbne cienie rzucane przez palmy wokół hoteli po lewej.

Coś było nie tak. Zarówno instykt, jak intuicja przesyłały mu ostrzeżenia. Czuł ucisk w żołądku. Próbował wmówić sobie, że to tylko trema, jednak doświadczenie wyniesione z wielu niebezpiecznych misji nauczyło go zwracać uwagę na wewnętrzne sygnały ostrzegawcze, które świadczyły, że coś jest nie w porządku.

Ale co? Buchanan szybko analizował wszystkie możliwości: przygotowania były sumienne, przynęta idealna. Dlaczego, na miłość boską, jestem taki zdenerwowany?

Zmęczenie? Zbyt wiele zadań? Zbyt wiele tożsamości? Zbyt wiele tańców na rozpiętej linii?

Nie, upierał się w duchu. Wiem, co robię. Po ośmiu latach takiego życia dostrzegam różnicę między nerwami a...

Rozluźnij się. Przesadzasz. Zrób sobie chwilę przerwy. Jest gorąco, duszno. To tylko stres. Robiłeś to już setki razy. Twój plan jest zapięty na ostatni guzik. Przede wszystkim przestań się zastanawiać. Weź się w garść i zajmij robotą.

Jednak nie był przekonany. Utrzymując zwodniczo leniwy krok pomimo ciężaru w piersiach, skręcił w lewo, z ulgą oddalając się od niebezpiecznych samochodów. Mijając równie niepokojące cienie gęstych, kolorowych krzewów otaczających autostradę, ruszył powoli krętym podjazdem ku błyszczącemu, przypominającemu świątynię Majów hotelowi Club Internacional.

### 2

Spotkanie miał umówione na dziewiątą trzydzieści, lecz specjalnie przyszedł dziesięć minut wcześniej, żeby obejrzeć miejsce kontaktu i upewnić się, że nie nastąpiło nic, co mogłoby zepsuć jego plany. Przez trzy poprzednie wieczory odwiedzał hotel dokładnie o tej samej porze i za każdym razem stwierdzał z zadowoleniem, że miejsce jest idealne.

Dzisiejszy wieczór różnił się jednak od poprzednich — to był TEN wieczór. Plan, który wyglądał doskonale na papierze, musiał pasować do „realnego świata”, a świat miał niepokojący zwyczaj zmieniania się z sekundy na sekundę. Mógł wybuchnąć pożar i zniszczyć budynek. Nadmierny tłok mógł uniemożliwić utrzymanie kompromitującej bądź co bądź rozmowy w tajemnicy. Wyjście mogło być zablokowane. Istniało zbyt wiele niewiadomych. Gdyby cokolwiek go zaniepokoiło, Buchanan ukryłby swoje obawy i podryfował z powrotem w noc. Wtedy, zgodnie z wcześniejszą umową, człowiek, z którym miał się skontaktować, zorientowałby się po przybyciu na miejsce, że warunki nie są idealne (eufemizm oznaczający „wynoś się stąd jak najprędzej”), a spotkanie zostało przełożone na godzinę ósmą rano następnego dnia, w innym hotelu. Gdyby i to

nie doszło do skutku, Buchanan miał w zapasie kolejny plan. Nie znany rozmówca musiał się przekonać, że wszelkie środki ostrożności zostały podjęte, a jego bezpieczeństwo jest sprawą pierwszorzędnej wagi.

Minąwszy dwóch meksykańskich odźwiernych stojących przed wejściem do Club Internacional, Buchanan wszedł do środka. Wmieszał się w grupę jowialnych amerykańskich turystów zdążających do Hard Rock Cafe Cancun, starając się nie wdychać perfumowanego, gryzącego odoru środka owadobójczego, którym spryskiwano regularnie korytarze, żeby odstraszyć okazałą populację miejscowych karaluchów. Buchanan zastanawiał się, czego goście nienawidzą bardziej — okropnego smrodu czy wszechobecnych insektów, które po pewnym czasie wydawały się czymś równie zwyczajnym jak wiele gatunków miejscowych jaszczurek. Podczas gdy pokojówka spokojnie zmiatała martwe owady, przystanął w głębi holu i czekał, dopóki nie zauważył japońskiego gościa wychodzącego przez drzwi za sklepikiem z pamiątkami po lewej stronie. Wiedział, że prowadzą do balkonów, pokoi i schodów na plażę. Jedno z wielu wyjść. Działające normalnie. Jak na razie wszystko w porządku.

Skreślił w prawo, przeszedł kawałek krótkim korytarzem i dotarł do schodków prowadzących w dół, do restauracji. Tak jak w poprzednie wieczory była średnio zatłoczona, nie na tyle, by ktoś mógł ich podsłuchać, na tyle jednak, aby Buchanan i jego rozmówca nie zwrócili na siebie niczyjej uwagi.

A więc, w dalszym ciągu, wszystko w porządku. Być może się mylę, pomyślał Buchanan. Może nic się nie wydarzy.

Nie oszukuj się, nalegał ostrzegawczy głos.

Hej, nie mam zamiaru odwoływać spotkania tylko dlatego, że zżerają mnie nerwy.

Poczuł się pewniej, kiedy meksykański kelner zgodził się posadzić go przy stoliku, który sobie wybrał. Miejsce było idealne, w prawym rogu sali, z dala od innych gości, za to przy wyjściu do hotelowych ogrodów. Buchanan usiadł plecami do ściany i twarzą do schodków prowadzących do restauracji. Czuł przyjemny chłód — skutek działania klimatyzacji. Spojrzał na zegarek: dziewięć dwadzieścia pięć. Jego rozmówca powinien zjawić się za pięć minut. Udając, że studiuje menu, próbował zachować spokój.

Dwóch mężczyzn, którzy pojawili się na szczycie schodów prowadzących na dół, zauważył natychmiast i poczuł, jak wzrasta mu tętno.

Miał się spotkać tylko z jednym człowiekiem.

Obaj mieli południowoamerykańskie rysy. Obaj byli ubrani w beżowe płócienne garnitury i żółte jedwabne koszule rozpięte na piersiach. Każdy miał złotego rolexa, kilka złotych łańcuszków na szyi i bransoletki. Obaj byli chudzi, po trzydziestce. Twarze mieli wąskie, surowe, jakby wyrzeźbione i ciemne gęste włosy, zaczesane do tyłu i zebrane w koński ogon. Ich oczy ukryte pod krzaczastymi brwiami były równie ciemne jak włosy i tak jak one błyszczące. Oczy drapieżników. Oczy jastrzębi. Oczy bezlitosne. Mężczyźni byli *gemelos*, bliźniakami, i gdy zeszli po schodkach do restauracji, wyprostowani, z wypiętymi torsami, promieniowali taką pewnością siebie, jakby cały świat należał do nich.

Starając się robić wrażenie rozluźnionego, Buchanan skoncentrował się maksymalnie. Mężczyźni bez wahania skierowali się w jego stronę. Musieli dostać rysopis od swoich kapusiów. Zapewne robiono mu też zdjęcia z ukrycia. Buchanan denerwował się na samą myśl o tym, że go ktoś fotografuje.

Gdy bliźniacy dotarli do stołu, podniósł się, żeby uścisnąć im dłonie. Nie włożył marynarki, aby widzieli, że nie ma przy sobie broni. Niebieską koszulę na tyle obcisłą, że trudno byłoby schować pod nią magnetofon lub nadajnik, celowo wsunął w spodnie, bo wypuszczenie jej na wierzch sugerowałoby ukrycie pistoletu. Oczywiście, miniaturyzacja nadajników osiągnęła już taki

poziom, że można je było umieszczać nawet w guziku koszuli, podobnie jak mały pistolet dający się schować w nogawce spodni. Zresztą przy tak małej odległości Buchanan nie potrzebował pistoletu. Długopis, który trzymał w kieszeni, mógł stać się równie śmiertcionośnym narzędziem. Tak więc, choć wiedział, że goście o jastrzębich oczach docenią jego gest, przypuszczał, że będą się mieli na baczności i zachowają daleko idącą ostrożność, niezbędną w ich fachu, aby utrzymać się przy życiu.

Powitali go po angielsku.

Buchanan odpowiedział po hiszpańsku.

— Dziękuję, że zgodziliście się na to spotkanie.

Użył słowa *ustedes*, „panowie”.

— *De nada* — odparł pierwszy mężczyzna dając znak, żeby siadał.

Przybyli rozejrzeli się po sali, najwyraźniej zadowoleni z miejsca spotkania, i usiedli również. Nic dziwnego, pomyślał Buchanan, przed przybyciem kazali podwładnym sprawdzić lokal. Zapewne mieli też nie rzucających się w oczy ochroniarzy rozmieszczonych na zewnątrz hotelu i w korytarzu prowadzącym do restauracji. Jako następny środek ostrożności, wzięli serwetki ze stołu i położyli je sobie na kolanach gładkim, wyćwiczonym ruchem prawej dłoni, który powiedział Buchananowi, że ukryli pod serwetkami pistolety. Usadowili się wreszcie i zaczęli przyglądać Buchananowi.

— Masz *cojones* — rzekł jeden z bliźniaków.

— *Gracias*.

— I szczęście głupca — dodał drugi. — Mogliśmy cię załatwić przy pierwszej lepszej okazji.

— *Claro que si* — odparł Buchanan. — Oczywiście. Miałem jednak nadzieję, że posłuchacie głosu rozsądku. Wierzę w interes, który chcę wam zaproponować.

— Nasz interes idzie zupełnie dobrze — podkreślił pierwszy z bliźniaków.

— Skąd ci przyszło do głowy, że możesz sprawić, żeby poszedł jeszcze lepiej? — zmrużył oczy drugi *gemelo*.

Buchanan odparł cicho:

— Ponieważ wiecie, jak dobrze idzie mój własny biznes. Ufam, że rozmawiam z profesjonalistami. I chyba tak, jest skoro mnie nie załatwiliście, jak to pan ujął...

Buchanan kaszlnął dyskretnie i odwrócił głowę w lewo.

Podszedł kelner i podał im karty. Otaksował dwóch Latynosów i samotnego *norteamericano* i uznał najwyraźniej, że ponieważ Cancun jest najpopularniejszym kurortem dla Amerykanów, więcej uwagi należy poświęcić Buchananowi.

— Czy podać jakieś drinki, *señores*?

— Tequila dla mnie. *Y para mis compadres*? — Buchanan zwrócił się w ich stronę.

— To samo — rzucił jeden. — Przynieś cytrynę i sól.

— I nalej podwójne dla wszystkich — dodał drugi.

Gdy kelner odszedł, pierwszy z bliźniaków zrobił groźną minę, nachylił się nad stołem, dotykając niemal Buchanana i wyszeptał ochryple:

— Koniec bzdur, *señor Potter*. — Po raz pierwszy użył pseudonimu Buchanana. — Czego pan od nas chce? To pana pierwsza i ostatnia szansa. — Położył dłoń na serwetce na kolanach i poklepał pistolet. — Proszę nam podać choćby jeden powód, dlaczego nie mielibyśmy pana zabić.

Odprawa przed akcją odbyła się w bezpiecznym lokalu w Fairfax w stanie Wirginia, w mieszkaniu na drugim piętrze rozległego budynku, gdzie Buchanan mógł z łatwością wtopić się w otoczenie. Wynajął to mieszkanie używając pseudonimu Brian MacDonald. Miał prawo jazdy, paszport, świadectwo urodzenia i kilka kart kredytowych na to nazwisko, miał również szczegółowy, fikcyjny życiorys dla tej tymczasowej tożsamości. Jego rachunki telefoniczne wykazywały, że każdego niedzielnego wieczoru dzwonił pod pewien numer w Filadelfii, a gdyby ktokolwiek próbował zbadać, co kryje się pod tym numerem, przyjazny głos recepcjonistki odpowiedziałaby: „Tu Pensjonat Dla Emerytów «Złote Lata»„. Dom ten istniał naprawdę i stanowił dochodowy interes będący przykrywką dla poczynań pracodawców Buchanana, a ze spisu pensjonariuszy wynikało, że jest wśród nich niejaka pani MacDonald, jego „matka”.

— Pani MacDonald nie ma teraz w pokoju — mówiła recepcjonistka — ale z przyjemnością odpowie na pana telefon. I wkrótce starsza kobieta pracująca dla firmy Buchanana rzeczywiście dzwoniła. Numer oczywiście rejestrowano, rozmowę nagrywano.

Trzy miesiące wcześniej Buchanan udawał programistę komputerowego. Lubił komputery, interesował się nimi, tak że uwiarygodnienie tej części jego fałszywej tożsamości nie przedstawiało żadnych trudności. Każdemu, kto o to zapytał, mówił, że pracuje w domu, a potężny IBM w jego mieszkaniu, dostarczony przez pracodawców, potwierdzał to wyjaśnienie. By jeszcze bardziej uprawdopodobnić fałszywe dane na temat swojej osoby, w każdy czwartek wysyłał pocztą Federal Express dyskietki komputerowe do New Age Technology w Bostonie, kolejnej zyskowej organizacji pracującej potajemnie dla firmy Buchanana. Jednocześnie aby utrzymać formę konieczną do wykonywania swojego prawdziwego zawodu, każdego wieczora przez trzy godziny ćwiczył w pobliskiej siłowni.

Większość czasu spędzał na czekaniu, próbując zachować cierpliwość, utrzymując dyscyplinę, marząc by wreszcie zająć się prawdziwą robotą. Tak że kiedy pracownik z New Age Technology zadzwonił w końcu, zawiadamiając, że przyjeżdża do Fairfax w interesach i chciałby złożyć mu wizytę, Buchanan pomyślał: a więc niedługo. Niedługo będę potrzebny, przestanę się nudzić.

Gość zapukał do drzwi zgodnie z planem. Był piątek, czwarta po południu, kiedy Buchanan — MacDonald wyjrzał przez wizjer, a potem wpuścił go do środka. Niski, chudy mężczyzna, w pomiętym garniturze, położył neseser na stoliku w salonie, odczekał, aż Buchanan zamknie drzwi na zasuwę, a potem rozejrzał się po pokoju i zapytał:

— Co wolisz? Iść na spacer czy zostać tutaj?

— Mieszkanie jest czyste.

— Dobrze. — Łącznik o zapadniętych policzkach i wąskich wargach otworzył neseser. — Oddaj mi prawo jazdy, paszport, świadectwo urodzenia, karty kredytowe, wszystkie dokumenty na nazwisko Brian MacDonald. Tutaj są formularze zdawcze do podpisu, a tu moje podpisane pokwitowanie.

Buchanan wykonał polecenie.

— A oto twoje nowe dokumenty — ciągnął przybysz — i formularz potwierdzający ich przyjęcie do podpisu. Nazywasz się teraz Edward Potter.

Pracowałeś kiedyś jako... Zresztą to wszystko jest w aktach. Każdy szczegół twojego nowego życiorysu. Wiem, jak pojemną masz pamięć, i zakładam, że jak zwykle zdołasz wchłonąć wszystkie informacje do jutra rana, kiedy przyjdę z powrotem po akta. Coś nie tak?

— Dlaczego trwało tak długo, zanim się ze mną skontaktowaliście? — zapytał Buchanan. — Minęły dwa miesiące.

— Chcieliśmy, żebyś zniknął na trochę po twoim ostatnim zadaniu. Poza tym myśleliśmy, że będziemy mieli zajęcie dla Briana MacDonalda. Jednak ten scenariusz został odwołany. Mamy dla

ciebie plan o wiele bardziej interesujący. Myślę, że ci się spodoba. Jest równie ważny jak ryzykowny. Da ci niezłego kopa.

— Powiedz mi coś o tym. Gość przyjrzał mu się uważnie.

— Czasami zapominam, jak podekscytowani potrafią być agenci operacyjni, z jakim napięciem czekają na kolejne zadanie. Z drugiej strony to dlatego właśnie wykonujecie ten zawód. Ponieważ...

— Ponieważ? Wiele razy zadawałem sobie to pytanie. Jak brzmi odpowiedź?

— Myślałem, że to oczywiste. Ponieważ lubicie udawać kogoś innego.

— Tak. Dokładnie. A więc zrób mi przyjemność. Powiedzmy, że jestem aktorem charakterystycznym. Jakie motywy kierują postacią, którą mam grać?

#### 4

W restauracji hotelu Club Internacional w Cancun Buchanan nie okazał strachu, kiedy jeden z rozmówców wypowiedział swoją groźbę. Zamiast tego odpowiedział rzeczowo:

— Powód, żebyście mnie nie zabili? Mogę wam dać kilkanaście milionów powodów.

— Mamy już wiele milionów, jeśli o to chodzi — odparł pierwszy z bliźniaków. — Dlaczego sądzi pan, że zaryzykujemy dla jeszcze paru?

— Natura ludzka. Nieważne, ile ktoś ma milionów, zawsze chce mieć więcej. Poza tym nie oferowałem paru milionów, lecz kilkanaście.

— Trudne do wydania w więzieniu. Niemożliwe do wydania w grobie — odparł drugi bliźniak.

— Praktyczną odpowiedzią na pańską ofertę jest wyeliminowanie przeszkody, którą pan stanowi. Nie znosimy konkurencji, a partner nam niepotrzebny.

Rozlegający się w tle szmer rozmów zagłuszał ich konwersację.

— O to właśnie chodzi — stwierdził Buchanan, wciąż nie poruszony — że nie chcę być waszym konkurentem, a wy potrzebujecie partnera.

Meksykanin najeżył się.

— Jesteś naprawdę facet z jajami, skoro masz czelność mówić, czego nam potrzeba.

— Te jaja można zmiażdżyć — warknął pierwszy *gemelo*.

— Oczywiście — odparł Buchanan. — Wiedziałem, co może mnie spotkać, kiedy rozkręcałem tu interes.

— Nie tylko tu, lecz także w Merida, Acapulco i Puerto Vallarta — rzekł gniewnie drugi z braci.

— Plus kilka innych kurortów, gdzie nawiązałem kontakty, o których zapewne nie wiecie.

Oczy pierwszego bliźniaka zwężyły się, przez co spojrzenie stało się jeszcze bardziej drapieżne.

— Radzę ci się nie przechwalać, kiedy siedzisz z nami twarzą w twarz!

— Nie. — Buchanan potrząsnął głową. — Nie przechwalam się. Jestem po prostu szczery. Mam nadzieję, że to docenicie. Zapewniam, że mam dla was wiele szacunku.

Bliźniacy zastanawiali się chwilę, popatrzyli po sobie, skinęli głowami z ponurą niechęcią i rozsiedli się wygodniej.

— Sam przyznajesz, że byłeś niezwykle przedsiębiorczy. I to na nasz koszt.

— Jak inaczej mogłem zwrócić na siebie waszą uwagę? — Buchanan ulegle rozpostarł ręce. — Rozważcie ryzyko, jakie podjąłem, *norteamericano* biorący się nagle do interesów, nie dość że w Meksyku, to jeszcze na waszym terenie, w wakacyjnych kurortach, a przede wszystkim tutaj, w Cancun. Nawet z moją specjalną wiedzą nie miałem pojęcia jak was znaleźć. Ciebie, Fernandez, podejrzewałem — powiedział jednemu z nich — lecz nie przyszło mi do głowy, że masz brata

bliźniaka i mówiąc szczerze — zwrócił się z kolei do drugiego — tak naprawdę nie wiem, który z was jest Fernandez. Przyznaję, że kiedy weszliście do tej restauracji, byłem oszołomiony. *Gemelos*. Bliźniacy. To wyjaśnia tak wiele. Nigdy nie było dla mnie jasne, w jaki sposób Fernandez mógł znajdować się w dwóch miejscach naraz, w Merida i Acapulco, na przykład.

Domniemany Fernandez skrzywił swoje cienkie wargi w czymś, co miało uchodzić za uśmiech.

— O to nam chodziło. Wywołać zamieszanie. — Nagle spoważniał. — Ale skąd w ogóle wiedziałeś, że jeden z nas ma na imię Fernandez? — Mówił coraz szybciej i gwałtowniej. — Co to za specjalne informacje, o których wspominasz? Dlaczego kiedy nasi ludzie ostrzegli cię, żebyś przestał wsadzać nos w nie swoje sprawy, poprosiłeś o to spotkanie i dałeś im kartkę z tymi nazwiskami?

Mężczyzna sięgnął do swojej płóciennej marynarki, wyciągnął złożoną kartkę papieru i rzucił ją na stół.

— To są nazwiska naszych najbardziej zaufanych współpracowników — powiedział.

— Cóż — wzruszył ramionami Buchanan — to właśnie stanowi najlepszy dowód.

— Dowód czego?

— Jak bardzo można mylić się co do swoich zaufanych współpracowników.

— Do jasnej cholery, o czym ty mówisz? — zapytał ostro Meksykanin.

A więc przynęta zadziałała, pomyślał Buchanan. Jestem w domu. Zaintrygowałem ich. Do diabła, przecież nie pokazaliby się tutaj, gdyby nie mieli pietra. Lista z nazwiskami wystraszyła ich bardziej, niż sądziłem.

— O czym mówię? — rzekł. — Tłumaczę, dlaczego powinniście zaufać mnie, a nie tym bękartom. Pracowałem kiedyś dla...

I ponownie Buchanan kaszlnął ostrzegawczo.

Bliźniacy zeszywnieli, gdy wrócił kelner i postawił na stole talerzyk z pokrojoną cytryną, miseczkę soli, małą łyżeczkę i sześć kieliszków wypełnionych bursztynową tequilą.

— *Gracias* — podziękował Buchanan. — Proszę dać nam dziesięć minut, potem zamówimy obiad.

Za pomocą metalowej łyżeczki umieścił sól na swojej lewej dłoni, w zagłębieniu pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym.

— *Salud* — powiedział do bliźniaków. Zlizął sól z dłoni, szybko przełknął zawartość jednego z kieliszków i wgryzł się w plasterek cytryny. Kwaśny sok trysnął mu na język, mieszając się ze słodkim smakiem tequili i goryczą soli. Jego usta wykrzywiły się lekko. Oczy zaszyły łzami.

— Nie zwracaj sobie głowy naszym zdrowiem — rzekł Fernandez. — Lepiej troszcz się o własne.

— Nie mam powodów do obaw — odparł Buchanan. — Myślę, że nasze kontakty będą bardzo korzystne.

Patrzył, jak zlizują sól, przelękają tequilę i żują kawałki cytryny.

Niezwłocznie nałożyli sobie więcej soli na dłonie i spojrzeli na niego, czekając, aż zrobi to samo.

Buchanan sięgając po łyżeczkę pomyślał, że ten zawód jest jednym z niewielu, w których konsumpcja alkoholu staje się obowiązkiem. Jego przeciwnicy nigdy nie zaufaliby komuś, kto nie chciałby z nimi pić, uważając, że ma coś do ukrycia. Podczas długich lat praktyki Buchanan poznał granicę swojej tolerancji na alkohol, nauczył się również przekonywająco udawać, że ją przekroczył i jest pijany, a więc szczerzy.

Bliźniacy unieśli kieliszki z tequilą, oczekując wyraźnie, że Buchanan pójdzie w ich ślady. Ich ciemne oczy lśniły nadzieją, że wkrótce Buchanan straci nad sobą kontrolę i odkryje jakąś słabą stronę.

— Mówiłeś — rzekł Fernandez — że masz podejrzenia co do lojalności naszych współpracowników, ponieważ pracowałeś w...

## 5

— W Urzędzie do spraw Walki z Narkotykami — powiedział Buchananowi jego łącznik trzy miesiące wcześniej. Siedzieli naprzeciw siebie w salonie bezpiecznego apartamentu w rozległym bloku mieszkalnym w Fairfax, w Wirginii. Pomiędzy nimi, na stoliku, leżały dokumenty zawierające szczegóły nowej tożsamości Buchanana, to co w branży nazywa się legendą. — Musisz przekonać swoich rozmówców, że byłeś kiedyś agentem specjalnym DEA.

Buchanan, który już identyfikował się z Edwardem Potterem, obmyślając, jak ten mężczyzna będzie się ubierał i co będzie jadł, złączył czubki palców obu dłoni w modlitewnym niemal geście i podniósł je w zamyśleniu do podbródka.

— Mów dalej.

— Chciałeś znać motywację nowej postaci? Cóż, generalnie: facet ma dość patrzenia, jak wojna przeciwko handlarzom narkotyków zamienia się w farsę. Myśli, że rząd nie zapewnił dostatecznych środków, by udowodnić, jak poważnie traktuje tę wojnę. Wścieka go, że ilekroć DEA jest na tropie jakiegoś handlarza, natychmiast w sprawę wtyka nos CIA. Według Pottera ci handlarze są na usługach agencji i dostarczają jej informacji na temat niespokojnych krajów Trzeciego Świata, z których biorą swój towar. Tak więc CIA naskakuje ostro na DEA za każdym razem, gdy któryś z informatorów Agencji wdepnie w gówno.

— Cóż, tę część nietrudno będzie sfingować. CIA rzeczywiście ma największych handlarzy narkotyków z Trzeciego Świata na swojej liście płac — rzekł Buchanan.

— Oczywiście. Ale to się wkrótce zmieni. Ci dealerzy z Trzeciego Świata stali się zbyt zadufani w sobie, a informacje, których dostarczają, niewarte są funta kłaków. Wydaje im się, że mogą brać pieniądze, nie dając praktycznie nic w zamian, czyli jednym słowem wypinają się na Agencję. Najwyraźniej nasza inwazja na Panamę niczego ich nie nauczyła.

— Oczywiście, że nie — odparł Buchanan. — Po tym, jak złapaliśmy Norię, inni handlarze zajęli jego miejsce. Nic się nie zmieniło, poza tym że wzrosła liczba dzieci umierających z głodu z powodu embarga handlowego.

— Świetnie. Zaczynasz mówić jak Edward Potter — zauważył łącznik.

— Hej, tak się składa, że straciłem przyjaciół podczas tej inwazji. Z początku myślałem, że była konieczna. Ale kiedy zobaczyłem żałosne efekty — dlaczego amerykański rząd nigdy nie robi nic do końca? — chciało mi się rzygać.

— Świetnie. Mam ochotę ci uwierzyć, choć wiem, że grasz.

— Ale ja nie gram.

— Buchanan, daj spokój, okay? Mamy jeszcze wiele szczegółów do omówienia. Więc zostaw te aktorskie popisy na później.

— Nie nazywaj mnie Buchanan. Jestem Edward Potter.

— Tak, jasne, Edward. Może wzmocni twoją motywację fakt, że właśnie to zadanie ma zrekompensować brak zdecydowania, jaki wykazaliśmy po Panamie. Musisz śmiertelnie wystraszyć narkotykowych bossów z Trzeciego Świata, którzy są na usługach Agencji i opowiadają dowcipy na temat amerykańskich żołnierzy poległych w trakcie bezużytecznej inwazji na Panamę.

— Nie. To jest motywacja Buchanana. Nie chcę zaśmiecać sobie mózgu. Mów mi tylko o Edwardzie Potterze. Jakimi pobudkami się kieruje?

Blady łącznik pochylił głowę, potrząsnął nią i westchnął.

— Muszę ci powiedzieć, Buchanan...

— Potter.

— ...że czasami mnie niepokoisz. Myślę, że za bardzo identyfikujesz się ze swoimi przybranymi postaciami.

— Ale to nie ty ryzykujesz własny tyłek, kiedy ja zapomnę, kim jestem. Więc nie wystawiaj na szwank mojego życia. Od tej chwili mów do mnie, jakbym był Edwardem Potterem.

Gość westchnął ponownie.

— Jak sobie życzysz, Edward. A więc, żona rozwiodła się z tobą, ponieważ za bardzo zajmowałeś się swoją pracą, a za mało nią i waszymi dwoma synami. Wyszła ponownie za męża. Ze względu na liczne groźby pod twoim adresem ze strony handlarzy narkotyków, uzyskała nakaz sądowy, który zabrania ci spotkania się z dziećmi bez jej wcześniejszej zgody i gwarancji bezpieczeństwa. Nowy mąż ma dwieście tysięcy rocznie jako właściciel kilku gabinetów kosmetycznych. Ty natomiast dostajesz, czy raczej dostawałeś, marne czterdzieści tysięcy — pensję, która jest szczególnie upokarzająca w porównaniu z milionami, jakie zarabiają handlarze. W dodatku patrzysz potem, jak szumowiny, które aresztowałeś, wychodzą za kaucją i w wyniku przyznania się do winy otrzymują krótkoterminowy wyrok w lekkim więzieniu. Jesteś przekonany, że gdybyś przyjął łapówki, które ci oferowano, twoja żona by cię nie opuściła. Kiedy więc wszystko, w co wierzyłeś, rozpadło się, trafił cię szlag. Postanowiłeś, że jeśli nie możesz pokonać narkotykowych bossów, to na Boga, przyłączysz się do nich. Pokażesz swojej pieprzonej żonie, że możesz zarobić sto razy więcej niż jej nowy mąż. Że masz większego kutasa niż on.

— Tak — potwierdził Buchanan–Potter. — Bo mam większego.

Łącznik wlepił w niego wzrok.

— Zdumiewające.

Mięśnie policzków Buchanana–Pottera stwardniały.

— A więc w jaki sposób mam się odegrać?

## 6

— Pracowałeś jako agent dla DEA, Urzędu do spraw Walki z Narkotykami? — powtórzył cicho, lecz z ogromnym naciskiem Meksykanin zwany Fernandezem w restauracji hotelu Club Internacional w Cancun.

Obaj bracia, zaszokowani, odchyliłi się gwałtownie w swoich krzesłach.

— Spokojnie — powiedział Buchanan. — Teraz jestem po waszej stronie.

— No pewnie — rzekł drugi z braci drwiąco. — Jak najbardziej. Oczywiście.

— I naprawdę spodziewasz się, że w to uwierzemy? — spytał ostro Fernandez. — Przyjmujemy, że jesteś zdrajcą, i zaufamy ci?

— Przecież zrobiłem gest dobrej woli — odparł Buchanan. — Ta złożona kartka papieru pod twoją dłoń. Jeśli przyciśnięcie urzędników banku z Wysp Bahama, w którym pierzeie brudne pieniądze, dowiedzie się, że wasi rzekomo zaufani współpracownicy mają tam tajne konta bankowe. Rozumiem, że przekupstwo jest tu sposobem na życie. Ale myślę, że zgodzicie się, iż sumy, jakie odkładają oni na czarną godzinę, są o wiele większe, niż wyjaśniałyby to ich zarobki i dodatkowe wpływy.



Jeden z bliźniaków zmrużył oczy.

— Zakładając na chwilę, że twoje informacje są prawdziwe...

— Och, ależ są. To przecież oczywiste. W końcu daję wam najlepszą gwarancję, jaka istnieje.

— A jakąż to? — Fernandez bębnił palcami po stole.

— Moje życie. Jeśli kłamię na temat tych kont bankowych — a nietrudno to sprawdzić — zabijecie mnie.

— Zanim zdążymy cię dopaść, być może osiągniesz to, co zamierzasz i znikniesz.

— Co na przykład mógłbym osiągnąć? — Buchanan machnął ręką. — Przecież dopóki nie sprawdzicie moich informacji, nie uwierzycie mi i nie zrobicie ze mną interesu.

— Może nie zrobimy z tobą interesu, nawet jeśli mówisz prawdę. — Fernandez dalej bębnił palcami po stole.

— Zawsze istnieje taka możliwość — Buchanan wzruszył ramionami. — Ale to ja biorę na siebie całe ryzyko, nie wy. Co w tym złego, że spotkaliśmy się tutaj — w uzgodnionym wspólnie, neutralnym miejscu — by napić się i zjeść obiad? W najgorszym razie straciliście czas. Natomiast z mojego punktu widzenia, w najgorszym razie — jestem martwy.

Mimo że nie patrzyli na siebie, bliźniacy zdawali się dochodzić do wspólnego wniosku.

— *Exactamente*. — Jeden z nich odwrócił się w stronę na wprost pełnej sali. Zwracając uwagę kelnera wskazał kieliszki stojące na stole, wyciągnął w górę dwa palce i zatoczył dłonią krąg, dając znak, że chce podwójną kolejkę tequili dla wszystkich. Widząc, że kelner potwierdził ruchem głowy przyjęcie zamówienia, obrócił się ponownie ku Buchananowi.

— Przerwałeś mi, zanim zdążyłem dokończyć moje poprzednie pytanie.

— *Perdón*. Zadaż je teraz.

— Przyjmując, że mówisz prawdę na temat tajnych kont bankowych, jak wyjaśnisz te znaczące sumy, które nasi współpracownicy podobno na nich ukryli? Jakie jest źródło tych pieniędzy? Muszą to być łapówki za dostarczanie informacji od oficerów do spraw walki z narkotykami. Jedynym innym wyjaśnieniem byłoby to, że kradną część naszego towaru albo część pieniędzy, jakie za ten towar otrzymujemy, a zaręczam ci, że możemy wyliczyć się z każdego kilograma, jaki wysyłamy do Stanów, i z każdego dolara, jaki dostajemy z powrotem.

Buchanan potrząsnął głową.

— Same łapówki nie wyjaśniłyby ogromnych sum, jakie zostały złożone na tych kontach. Jak wiecie, oficerowie DEA nigdy nie byli znani ze specjalnej szczodrości. Ich budżet jest zbyt napięty. Ale mylicie się mówiąc, że kradzież jest niemożliwa. Wasi ludzie prowadzą niezwykle skomplikowaną złodziejską operację.

— Co? — Drugi z bliźniaków wyglądał na zdumionego. — *No es posible*. To niemożliwe.

— To nie tylko możliwe. To fakt.

— Wiedzielibyśmy o tym!

— Robią to w taki sposób, że nie możecie wiedzieć. Używają skorumpowanych oficerów DEA, żeby was okradać. Ile transportów straciliście w zeszłym roku? Mniej więcej. Dziesięć procent?

— Coś koło tego — zgodził się Meksykanin. — To nieuniknione, że niektóre transporty zostają odkryte. Kurierzy denerwują się i popełniają błędy. Albo oficerowie DEA są akurat na właściwym miejscu we właściwym czasie. Jesteśmy przygotowani na pewne straty. To normalne w biznesie.

— A co powiesz, jeśli okaże się, że niektórzy z tych kurierów nie byli tak zdenerwowani, jak twierdzili? — spytał Buchanan. — Jeśli ci oficerowie DEA zostali zawiadomieni, żeby zjawić się na właściwym miejscu we właściwym czasie? A może ci kurierzy i oficerowie DEA pracują razem?

Kelner przyniósł drugą kolejkę tequili i trzech mężczyźni zamilkli. Gdy odszedł, przyjrzeni się gościom w restauracji, upewnili, że nikt nie siedzi na tyle blisko, by mógł ich podsłuchać, po czym spojrzeli na siebie i unieśli kieliszki.

— Dokończ to, co mówiłeś. — Pierwszy *gemelo* wciąż miał nadzieję, że alkohol rozwiąże Buchananowi język i odkryje jego słabość.

— Ich system jest całkiem zmyślny. — Buchanan odłożył plasterk cytryny, który wysysał. — Aby dowieść przełożonym, że wykonują swoją robotę, skorumpowani agenci z DEA oddają część tego, co skonfiskowali. Amerykański rząd może więc chwalić się, że wygrywa wojnę z narkotykami, a stacje telewizyjne donoszą w wieczornych wiadomościach o ostatnich zwycięstwach na tym niebezpiecznym froncie. Amerykański rząd i oczywiście opinia publiczna nie wiedzą jednak, że inne transporty, które również zostały skonfiskowane, sprzedano amerykańskim handlarzom narkotyków. Nie wiedzą także, że pieniędzmi z transakcji — milionami dolarów — dzielą się skorumpowani agenci DEA i wasi zaufani współpracownicy, którzy zajmują się wysyłaniem transportów. Z waszego punktu widzenia te transporty zostały zaksięgowane. Jak sami mówicie, straty wliczone są w interes. Dopóki otrzymujecie normalne zyski, dlaczego mielibyście sądzić, że ktoś was oszukuje?

Obaj bliźniacy spojrzeli na niego groźnie.

— Skąd o tym wiesz? — zazgrzytał zębami pierwszy.

— Ponieważ, jak wam powiedziałem, należałem do DEA. Ale byłem nie do kupienia. Taki porządny facet. Tak właśnie o sobie myślałem, chociaż teraz wiem, jakie to śmieszne. Robiłem, co do mnie należało. Ale nie jestem ślepy. Widziałem, co się dzieje. Urząd do spraw narkotyków działa tak samo jak każda inna policja. Nie donosi się na własnych kolegów. Jeśli ktoś to zrobi, to istnieją sposoby, by zamienić jego życie w piekło. Więc musiałem siedzieć cicho. Ale później...

Krzywiąc się Buchanan przełknął następny kieliszek tequili.

— Tak? A później? — Drugi bliźniak nachylił się ku niemu.

— Nie wasza sprawa.

— Z całym szacunkiem, biorąc pod uwagę cel naszego spotkania, to zdecydowanie nasza sprawa.

— Miałem problemy osobiste — rzekł Buchanan.

— Czyż nie mamy ich wszyscy? Jesteśmy ludźmi światowymi. Znamy problemy osobiste aż za dobrze. Nie ma czego ukrywać. Wyrzuć to z siebie. To pomaga duszy. Jakie problemy...?

— Wolałbym o tym nie mówić. — Buchanan pozwolił, by jego łokieć ześlizgnął się ze stołu, jakby tequila zaczynała już działać. — Powiedziałem już wszystko, co miałem powiedzieć. Wiecie, jak mnie znaleźć. Kiedy już prześwietlicie konta bankowe waszych współpracowników i przekonacie się, że mówiłem prawdę, stwierdzicie — mam nadzieję — że my trzech mamy szansę na owocną współpracę.

Buchanan spojrział w stronę schodów prowadzących do restauracji i poczuł, jak zamiera mu serce. Zauważył tam mężczyznę, Amerykanina, w towarzystwie latynoskiej kobiety w zbyt wyzywającej sukni i ze zbyt jaskrawym makijażem. Podeszli do kelnera prosząc o stół. Amerykanin miał około czterdziestu lat, był wysoki, niezwykle barczysty z potężną klatką piersiową i jasnymi włosami ostrzyżonymi na jeża. Wydatny brzuch rozciągał zbyt małą zieloną koszulkę i zwisał nad pasem podtrzymującym opadające dzinsy. Na nogach mężczyzna miał trampki. Trzymając papierosa w ustach wydawał właśnie — polecenia kelnerowi.

O Boże, pomyślał Buchanan. Setki myśli przelatywało mu przez głowę. Co robić...?

Jeden z bliźniaków potrząsnął głową.

— Mamy zbyt wiele wątpliwości związanych z tobą.

Pragnąc za wszelką cenę uniknąć konfrontacji z nowo przybyłym mężczyzną, Buchanan skoncentrował się na swoich rozmówcach. W tej chwili rozległ się dudniący głos.

— Crawford!

Buchanan zignorował okrzyk.

— Co mianowicie was niepokoi?

— Crawford! Na Boga, tak dawno cię nie widziałem! — Dudniący głos zachrypiał głośno i zamienił się w kaszel palacza.

Buchanan nadal całą uwagę skupiał na swoich rozmówcach.

— Crawford! — głos zadudnił jeszcze głośniejsze. — Ogłuchłeś, czy co? Nie słyszysz mnie? Dokąd na Boga zaniósł cię do Iraku? — Głos wyróżniał się dodatkowo ciężkim, teksańskim akcentem. — Kiedy przewieźli nas do Niemiec i wylądowaliśmy we Frankfurcie, chciałem kupić ci drinka, żeby uczcić wydostanie się z tego arabskiego piekła. Ale gdy tylko wprowadzili nas do tej hali pełnej oficjeli i reporterów z wycelowanymi kamerami, zniknąłeś mi z oczu jak jedno z naszych złamanych wiertel w suchym szybie.

Głos Tekszańczyka dudnił już tak blisko, że Buchanan nie mógł udawać dłużej, że go nie słyszy. Odwrócił wzrok od swoich zdenerwowanych rozmówców i spojrzał na poczerwieniałą od słońca i alkoholu twarz potężnego Amerykanina.

— Przepraszam?

— Crawford. Nie poznajesz swojego starego kumpla? Mówi do ciebie Wielki Bob Bailey. Daj spokój, mnie nie mogłeś zapomnieć. Byliśmy razem więźniami w Kuwejcie i w Bagdadzie. Jezu, kto mógł pomyśleć, że ten świr naprawdę uwierzy, że uda mu się zaatakować bezkarnie Kuwejt? Nie powiem, tyrałem wcześniej w różnych nieprzyjemnych miejscach, ale kiedy te irackie czołgi wjechały na teren naszej bazy, przyznaję, byłem tak bardzo przerażony, że...

Buchanan potrząsnął z zakłopotaniem głową.

— Crawford, czy ty masz sklerozę pourazową, czy jak tam, do cholery, nazywały to konowały w Niemczech? A może wyżłopałeś więcej piwka niż ja? Mówi do ciebie Wielki Bob Bailey. My dwaj i kupa innych amerykańskich nafciarzy byliśmy razem zakładnikami.

— Miło mi ciebie poznać, Bob — rzekł Buchanan. — Ale najwyraźniej pomyliłeś mnie z kimś innym.

Bliźniacy obserwowali go z największą uwagą.

— Daj spokój. Nazywasz się Crawford — rzekł zwalisty Amerykanin. — Jim Crawford.

— Nie. Przykro mi. Nazywam się Ed Potter.

— Ale...

— Poważnie, nie nazywam się Jim Crawford, tylko Ed Potter i nigdy w życiu cię nie widziałem. Kimkolwiek jest Jim Crawford, musi być bardzo do mnie podobny.

— Więcej niż podobny i jest to cholerny fakt.

— Mimo to mylisz się, Bob. Ja nim nie jestem. Bliźniacy nie odrywali oczu od Buchanana.

— Cóż, niech mnie... — Amerykanin rozejrzał się niespokojnie, a jego zaczerwieniona twarz poczerwieniała jeszcze bardziej. — Przepraszam, stary. Przysięgłbym, że... Musiałem przesadzić z zabawą. Pozwól, że przeproszę cię za zamieszanie i postawię tobie i twoim przyjaciółom drinka. Jak Boga kocham, nie chciałem cię urazić. — Amerykanin odszedł, chwiejąc się lekko.

— Żaden problem — rzekł Buchanan.

Ale problem był. I to duży. Buchanana nieraz dręczyła obawa przed taką sytuacją, że ktoś znajomy z poprzedniej akcji pojawi się nagle w obecnej. Dwukrotnie w jego karierze koledzy po fachu znaleźli się przypadkowo w miejscach (pub w Londynie, paryska kafejka), gdzie Buchanan udając kogoś całkiem innego rekrutował informatorów, którzy mieli mu pomóc w rozpracowywaniu siatek terrorystycznych. Za każdym razem widział subtelny błysk rozpoznania w oczach drugiego agenta. Przez moment czuł niepokój. Jednak tamten — zgodnie z żelazną regułą zawodu — ignorował Buchanana i gdy tylko nadarzała się sposobność, opuszczał lokal.

O ile jednak można było liczyć na takt profesjonalisty, to nie było sposobu obronienia się przed spontanicznością cywila, nie mającego pojęcia, jaki jest prawdziwy zawód starego znajomego. Zwalisty Amerykanin — odchodzący właśnie z zakłopotaniem do stolika, gdzie czekała jego towarzyszka — naprawdę znał Buchanana z Kuwejtu, a Buchanan rzeczywiście nazywał się wtedy Jim Crawford. Przed kontratakami sił sprzymierzonych wykonał skok z dużej wysokości, z opóźnionym otwarciem spadochronu na terytorium Kuwejtu, by dokonać rozpoznania irackich linii obronnych. Zakopawszy spadochron na pustyni, ruszył w stronę świąteł stolicy. Miał na sobie cywilne ubranie, poplamioną roboczą koszulę i dżinsy, a w kieszeni dokumenty robotnika naftowego z Oklahomy. W razie zatrzymania miał twierdzić, że ukrył się, kiedy Irakijczycy zaatakowali. Jego niechlujna broda, potargane włosy i zapuszczony wygląd potwierdzały tę wersję. Przez trzy tygodnie, wspomagany przez sympatyków Sprzymierzonych, przysyłał swoim przełożonym, za pomocą małej radiostacji, meldunki z ważnymi informacjami. Po czym na krótko przed dotarciem do łodzi podwodnej, która miała go zabrać, w drodze na plażę, został schwytyany przez iracki patrol.

Nic dziwnego, że Wielki Bob Bailey w konfuzji potrząsał głową, dołączywszy do swojej towarzyszki przy stoliku. W końcu Buchanan spędził z nim i innymi nafcierzami ponad miesiąc, najpierw w zniszczonym hotelu potem w ciężarówce transportującej Amerykanów z Kuwejtu do Iraku, a wreszcie w hali magazynowej w Bagdadzie.

Saddam Husajn uwolnił w końcu wszystkich Amerykanów, jako „prezent świąteczny dla Stanów Zjednoczonych”. Zawieziono ich samolotami Irackich Linii Lotniczych do różnych miejsc, między innymi do Frankfurtu w Niemczech. Wielki Bob Bailey siedział obok Buchanana w samolocie. Czując wielką ulgę po okresie nerwowego napięcia, gadał bez przerwy o tym, jak to po wylądowaniu upije się ze swoim kumplem Jimem Crawfordem. Jednak kiedy weszli do hali przylotów, Jim Crawford zniknął w tłumie, osłaniany przez ubranych po cywilnemu pracowników Operacji Specjalnych, którzy pośpiesznie zawieźli go do bezpiecznego lokalu i odebrali od niego raport.

To działo się dwanaście misji wcześniej i Wielki Bob Bailey stał się ledwie pamiętanym, przypadkowym widzem z całkiem innej sztuki, w której Buchanan grał jedną ze swoich licznych ról.

Wielki Bob Bailey. Do diabła, ten facet był z innej epoki. Sprzed kilku epok. Iracka inwazja na Kuwejt już dawno przeszła do historii. Wielki Bob był tylko trzecioplanową postacią...

Ale teraz jest zdecydowanie postacią pierwszoplanową, pomyślał Buchanan z rozpaczą.

A Wielki Bob Bailey, nie przestając spoglądać na Buchanana, przez cały czas marszczył brwi i potrząsał głową, już nie tyle zmieszany, co wściekły, przekonany, że Buchanan jest jednak Jimem Crawfordem, i obrażony, że nie chce tego potwierdzić.

Boże, pomyślał Buchanan, wygląda na tak wkurzonego, że gotów przyjąć tu jeszcze raz. Jeśli to zrobi, moja tożsamość rozpadnie się na kawałki. Ci meksykańscy dystrybutorzy narkotyków nie dożyliby takiego wieku, gdyby byli idiotami. Spójrz na ich oczy. Już kombinują, co się dzieje. Muszę...

— To chyba wersja starego dowcipu — zwrócił się do pierwszego z bliźniaków. — Na południe od granicy wszyscy Amerykanie wyglądają tak samo.

— Tak — odparł Meksykanin.

— Bardzo śmieszne — dodał drugi.

— Ale z pewnością zwróciło to już na nas uwagę — ciągnął Buchanan.

— Myślę, że im szybciej stąd wyjdziemy, tym lepiej — rzekł jeden z braci. — Szczególnie że facet ma, zdaje się, ochotę tu wrócić.

— W porządku. Chodźmy. — Buchanan wstał i chciał iść w stronę schodków prowadzących na górę.

— Nie, tędy — drugi z bliźniaków dotknął ramienia Buchanana i wskazał na tylne wyjście, rozsuwane szklane drzwi prowadzące do pogrążonych w mroku hotelowych ogrodów.

— Dobry pomysł — rzekł Buchanan. — Tak będzie szybciej. Mniej podejrzenie. — Dał znak kelnerowi, że zostawił pieniądze na stole i odwrócił się w stronę szklanych drzwi.

Gdy wyszedł z restauracji do wilgotnego, pachnącego ogrodu, usłyszał, jak drzwi zasuwają się za nim, i stwierdził, że dwaj bliźniacy stanęli po obu jego stronach. Zauważył też, że trzymają serwetki, którymi wcześniej zakrywali pistolety na kolanach, i że serwetki te nie sprawiają wrażenia pustych. Zauważył wreszcie, że jakiś cień wystąpił spomiędzy wysokich krzewów po lewej stronie, krzewów, które pozwalały ukrytemu gorylowi obserwować wnętrze restauracji, gdy Buchanan rozmawiał z bliźniakami.

Ochroniarz był Latynosem, niezwykle wysokim i grubokościstym.

Tak jak bliźniacy trzymał pistolet. Trudno ocenić w ciemnościach, lecz wyglądało to jak beretta kalibru 9 mm wyposażona w tłumik.

Małpując wyraz twarzy swoich pracodawców, goryl rzucił Buchananowi groźne spojrzenie.

## 8

— Kim ty, kurwa, jesteś? — zapytał ostro Fernandez, kłując Buchanana palcem w pierś.

— Hej, co ty...? — Buchanan próbował protestować.

— Jesteśmy za blisko okien restauracji. Ktoś z wewnątrz może nas zobaczyć — ostrzegł brata drugi z bliźniaków. — Musimy iść na plażę.

— Tak — powiedział pierwszy bliźniak. — Na plażę. Na pieprzoną plażę.

— *Todayia no.* Jeszcze nie — rzekł ochroniarz.

Odpiął od pasa podręczny wykrywacz metali i szybko, lecz dokładnie sprawdził Buchanana.

Wykrywacz zapiszczał trzy razy.

— Klamra pasa. Klucze. Długopis — rzekł goryl, nie potrzebując wyjaśniać, że klamra może ukrywać nóż, że klucze i długopis mogą być użyte jako broń.

— Zdejmij pas — nakazał Buchananowi Fernandez. — Rzuć klucze i długopis na ziemię.

— Co się stało? Nie rozumiem — upierał się Buchanan.

Brat Fernandez pokazał mu swój pistolet, dziewięćmilimetrowego browninga.

— Rób, co ci każą.

Ochroniarz wepchnął lufę beretty w lewą nerkę Buchanana.

— *Rapido. Ahora.* Już.

Buchanan wykonując polecenie zdjął pas i rzucił go razem z kluczami i długopisem na ziemię. Jeden z braci je podniósł.

Drugi pchnął Buchanana w kierunku ogrodów.

Ochroniarz, trzymając beretkę nisko, żeby nie rzucała się w oczy, ruszył za nimi.

## 9

Ogrody były rozległe, pełne kwitnących krzewów, małych strumyczków i wijących się ścieżek. Tu i tam wystawały z ziemi różnokolorowe lampki, oświetlając alejki, barwiąc krzewy, odbijając się od powierzchni stawów. Mimo to w porównaniu z blaskiem bijącym z okien wielkiego hotelu ogrody pogrążone były w mroku. Przygodny obserwator zauważyłby tylko niewyraźne, poruszające się cienie czterech spacerujących mężczyzn, pomyślał Buchanan. Z całą pewnością nie byłby w stanie dojrzeć, że trzech trzyma przy boku pistolety. Nie miało to zresztą znaczenia. Gdyby ktoś nawet spostrzegł pistolety i czuł się w obowiązku zadzwonić po policję, cokolwiek miałyby się wydarzyć, i tak wydarzyłyby się przed jej przybyciem.

Buchanan idąc alejką w kierunku plaży rozważał możliwości działania. Mógł skorzystać z ciemności, unieszkodliwić napastników i uciec, kryjąc się w krzakach na wypadek, gdyby któryś z mężczyzn przeżył atak i zaczął strzelać. Mógł przynajmniej próbować. Problem polegał na tym, iż napastnicy wiedzieli, że Buchanan będzie chciał wykorzystać ciemności. Czekali na jego nagły ruch, a gdyby go wykonał, zostałby natychmiast zastrzelony.

Tłumik na beretcie ochroniarza uniemożliwiłby komukolwiek z hotelu usłyszenie strzału. Zanim ktoś znalazłby ciało, trzech Latynosi byłiby już daleko.

Nie jest to jedyny problem, pomyślał Buchanan. Gdyby nawet udało mu się zaskoczyć Latynosów, te sprzyjające początkowo ciemności mogłyby obrócić się przeciw niemu. Niechby tylko potknął się o coś, stracił równowagę...

Być może napastnicy chcieli go tylko poddać próbie? Nie mógł w końcu oczekiwać, że bliźniacy uwierzą w jego bajeczkę tylko dlatego, że przedstawił ją w sposób pewny siebie i przekonywający. Potrzebowali wszelkiego rodzaju dowodów na jej autentyczność. Wszelkiego rodzaju. Każdy szczegół w jego fikcyjnym życiorysie wytrzymałby drobiazgowe śledztwo. Zwierzchnicy Buchanana dopilnowali tego. Para agentów udawała była żonę Eda Pottera i jej nowego męża. Oboje mieli starannie udokumentowane fałszywe życiorysy i oboje wiedzieli, co mają mówić, gdyby ktokolwiek zadawał im pytania. Pewni pracownicy DEA byli gotowi potwierdzić, że znali Eda Pottera z czasów, kiedy z nimi pracował. W dodatku szczegóły przebiegu służby Eda Pottera w DEA umieszczono w odpowiednim dossier w rządowych komputerach.

Być może jednak przeciwnicy Buchanana uwierzyli w jego legendę. Jaki — mieliby wtedy inny sposób, by zweryfikować jej autentyczność? Im dłużej Buchanan o tym myślał, tym bardziej palące stawało się to pytanie. Czy bliźniacy naprawdę dostali furii, czy tylko udawali? Czy nabrali podejrzeń tylko dlatego, że pijany Amerykanin twierdził, iż znał Buchanana jako Jima Crawforda, czy też raczej wykorzystali jego pojawienie się, by zbić z tropu Buchanana, zastraszyć go za wszelką cenę, aby znaleźć jego słaby punkt?

Nic nie jest nigdy pewne, pomyślał zdenerwowany Buchanan, gdy napastnicy prowadzili go ścieżką w stronę przygaszonych świateł baru stojącego na krawędzi plaży.

Bar miał pochyły, kryty strzechą dach podparty drewnianymi słupami. Bambusowe stoliki i krzesła otaczały owalny kontuar, umożliwiając gościom podziwianie widocznych w ciemnościach fał zwieńczonych białymi grzywami. Część hotelu graniczyła z ogrodami; aby dotrzeć na plażę, Buchanan i trzech Latynosi musieli minąć bar.

— Nie oczekuj, że ludzie ci pomogą — rzekł cicho Meksykanin po prawej stronie Buchanana, gdy zbliżyli się do baru. — Jeśli się wturą, zastrzelimy cię na ich oczach. Oni nas nie obchodzą.

— Są pijani, a my idziemy w cieniu. Jako świadkowie nie mają znaczenia — dodał drugi z braci.

— A poza tym nie widzą mojego pistoletu. Schowałem go pod marynarką. Ale możesz być pewny, że celuję w twój kręgosłup — powiedział ochroniarz idący z tyłu.

— Hej, rozchmurzcie się, okay? Czegoś tutaj nie rozumiem. Po co to całe gadanie o strzelaniu? — zapytał Buchanan. — Chciałbym, żebyście się rozluźnili i wyjaśnili mi, co się dzieje. Przyszedłem do was w dobrej wierze. Nie byłem uzbrojony. Nie stanowią dla was zagrożenia. A wy nagle...

— Zamknij się, póki mijamy ludzi z baru — rzucił cicho ten z prawej strony, po hiszpańsku.

— Albo twoje następne słowa będą ostatnimi — dodał drugi, z lewej. — *Entiende?* Rozumiesz?

— Wasza logika jest przytłaczająca — rzekł Buchanan.

Kilku turystów podniosło wzrok znad swoich *margaritas*, gdy Buchanan i trzech mężczyźni przechodzili obok nich. Potem jeden z turystów dokończył opowiadania jakiegoś dowcipu i wszyscy przy stole wybuchnęli śmiechem. Ta gwałtowna reakcja była tak głośna i nieoczekiwana, że bliźniacy drgnęli i obrócili głowy w stronę, z której dobiegł hałas. Ochroniarz też zapewne był zaskoczony. Tego Buchanan nie mógł jednak wiedzieć na pewno. Mimo to miał szansę. Mógł wykorzystać dekoncentrację Latynosów, uderzyć bliźniaków grzbietami dłoni w krtań, kopnąć lewą stopą do tyłu i w bok, żeby złamać gorylowi kolano, a potem odwrócić się, żeby strzaskać nadgarstek trzymający berettę. Mógł zrobić to w mniej niż dwie sekundy. Światło z baru pozwalało mu widzieć tyle, że nie musiał martwić się o celność swoich ciosów. Ból zmiażdżonych krtani uniemożliwiłby bliźniakom oddychanie. Próbując w panice nabrać powietrza do płuc, nie myśleliby nawet o strzelaniu, przynajmniej do momentu gdy Buchanan wykończyłby ochroniarza i odwrócił się, żeby ich załatwić. To zabrałoby kolejną sekundę czy dwie. Tak więc najwyżej cztery sekundy i byłby wolny.

Ale chociaż nie wątpił w powodzenie, nie zrobił tego. Ponieważ tu nie chodziło o jego bezpieczeństwo. Gdyby się o nie troszczył, w ogóle nie przyjmowałby misji. Otóż to, misja. Tylko ona się liczyła. Śmiech turystów tymczasem ucichł. Trzej Latynosi odzyskali spokój i mijając bar dotarli wraz z Buchananem na ciemną plażę. W jaki sposób wyjaśniłbyś to swoim przełożonym? — zapytał sam siebie Buchanan. Wyobrażasz sobie wyraz ich twarzy, gdyby się dowiedzieli, że zabiłeś tych facetów, bo poniosły cię nerwy? Twoja kariera byłaby skończona. Nie pierwszy raz ktoś celuje do ciebie z pistoletu. Dobrze wiesz, że podczas tego zadania musiało się to zdarzyć prędzej czy później. Ci ludzie nie są idiotami. Poza tym nigdy ci nie zaufają, jeśli nie stwierdzą, że potrafisz opanować stres. Więc pozwól im to stwierdzić. Wyluzuj się. Graj swoją rolę.

Co w takim razie zrobiłby Ed Potter? — zastanowił się Buchanan. Czy skorumpowany eks-oficer DEA nie próbowałby uciekać, gdyby myślał, że handlarze narkotyków, z którymi chciał ubić interes, uznali, że zabicie go jest mniej ryzykowne i kłopotliwe niż zaakceptowanie jako partnera?

Może, pomyślał Buchanan. Ed Potter mógłby próbować uciekać. Ale on to nie ja. Nie ma mojego wykształcenia. Jeśli zachowam się tak, jak zachowałby się naprawdę Ed Potter, mam wielką szansę dać się zabić. Muszę zmodyfikować postać. Widownia właśnie testuje mnie w poszukiwaniu słabego punktu.

Ale na Boga, żadnego nie znajduje.

Wzdłuż plaży biegła alejka Club Internacional. Gwiazdy świeciły jasno, choć księżyc jeszcze nie wzeszedł. Chłodna bryza ciągnęła od oceanu, z ciemności. Słyszac odległe echo kolejnego wybuchu śmiechu w barze, który był teraz od niego oddzielony rzędem wysokich krzewów i sięgającym do pasa murkiem, Buchanan zatrzymał się na brzegu alejki.

— W porządku — powiedział. — Oto plaża. Jest ładna. Naprawdę ładna. A teraz czy możecie odłożyć te pistolety i powiedzieć mi, co w imię Boże tu się dzieje? Nie zrobiłem nic, żeby...

## 10

— Imię Boże? — powtórzył pierwszy z bliźniaków i zepchnął Buchanana z chodnika na piasek. — Tak, imię. Wiele imion. O to właśnie chodzi. Ed Potter. Jim Crawford.

Buchanan poczuł, jak buty zapadają mu się w piasek, i odwrócił się twarzą do bliźniaków i ochroniarza, którzy stali odrobinę wyżej od niego, na chodniku.

— Hej, tylko dlatego, że jakiś pijak twierdzi, że mnie zna? Czy was nikt nigdy nie pomylił z...?

— Jedyną osobą, z jaką mnie mylono, jest mój brat — rzekł drugi bliźniak. — Nie wierzę w zbiegi okoliczności. Nie wierzę, że w środku rozmowy o moim biznesie i moim bezpieczeństwie mogę zignorować kogoś — pijanego czy nie — kto wtrąca się, żeby powiedzieć facetowi, z którym rozmawiam, że nie jest tym, za kogo się podaje!

— Daj spokój! Ten pijak przyznał, że się pomylił! — nie ustępował Buchanan.

— Ale nie wyglądał na przekonanego — warknął Fernandez.

Dwie ciemne sylwetki nadchodziły od strony plaży. Buchanan i jego przeciwnicy zamilkli. Latynosi zeszywnieli, zdenerwowani. Potem sylwetki zbliżyły się i Buchanan spostrzegł, że to chłopak i dziewczyna — Amerykanie, dwudziestoparoletni — trzymający się za ręce. Para zdawała się nie zwracać uwagi na otoczenie, zajęta tylko sobą. Przeszli obok i zniknęli w ciemnościach w głębi plaży.

— Nie możemy tutaj zostać — powiedział drugi z bliźniaków. — W każdej chwili mogą pojawić się jacyś ludzie. Jesteśmy za blisko hotelu, a przede wszystkim baru.

— Ale ja chcę wyjaśnić tę sprawę — stwierdził jego brat. — Chcę wyjaśnić ją teraz.

Ochroniarz rozejrzał się po plaży i wskazał palcem kierunek.

— *Por alli*. Tam.

Buchanan spojrzał. Na tle grzywiastych fal widać było zarysy kilku *palapa*, plażowych parasoli. Każdy z nich miał pochyły okrągły dach z palmowych liści, podtrzymywany przez wysoki na dwa metry drewniany pal. Pomiedzy parasolami stały plastikowe stoliki i krzesła, białe jak grzywy fal.

— Tak — zgodził się Meksykanin. — Tam.

Zszedł z betonu alejki na piasek i popchnął Buchanana tak mocno, że jako Ed Potter nie dałby rady utrzymać równowagi, więc Buchanan pozwolił sobie zachwiać się do tyłu.

— Ruszaj się! Niech diabli wezmą ciebie i twoją matkę, ruszaj!

Potykając się Buchanan poszedł w stronę opustoszałych parasoli. Latynos natychmiast popchnął go ponownie i Buchanan pochylił się do przodu, próbując utrzymać równowagę na śliskim piasku.

Adrenalina paliła go w żołądku. Zastanawiał się, czy słusznie zrobił nie broniąc się wcześniej. Wtedy wszystko było jeszcze pod kontrolą. Teraz jednak jeden z Latynosów, zwany Fernandezem, dostawał powoli szału. Przekleństwa i szturchańce były coraz bardziej gwałtowne, coraz częstsze i Buchanan pytał się raz po raz, czy to gra? Czy może prawda?

Jeśli facet gra, nie zdam egzaminu, nie reagując na niektóre z tych przekleństw. Jeśli popchnie mnie mocniej, a nie zdołam wyczuć ciosu i go zneutralizować, powali mnie na ziemię. Skoro ma mnie szanować, muszę udawać, że się bronię.

Ale jak wielki opór mogę stawiać nie przestając być Edem Potterem? I jaki opór wystarczy, by usatysfakcjonować bliźniaka nie doprowadzając go do autentycznej wściekłości? A...



Pytanie wciąż dręczyło Buchanana.

A jeśli to wszystko jest naprawdę?

Gdy zbliżył się do parasola, Fernandez pchnął go ponownie, rzucając na plastikowy stółik.

Buchanan wstał i odwrócił się.

— Tego już za wiele! Nie popychaj mnie więcej! Jeśli masz jakieś pytania, zadaj je. Wyjaśnię wszystko, co chcesz wiedzieć! Mogę wytłumaczyć to nieporozumienie! Ale do diabła, trzymaj ręce przy sobie!

— Trzymać ręce przy sobie? — Meksykanin podszedł bliżej, chwycił jego koszulę, wykręcił ją zaciśniętą dłonią i podniósł do góry, tak że Buchanan miał wrażenie, iż wisi w powietrzu.

— Naprawdę mam ochotę wpakować ci rękę do gardła i wyciągnąć na wierzch flaki.

W jego oddechu czuć było zapach tequili.

Puścił nagle koszulę Buchanana, który celowo upadł ponownie na stół, tym razem plecami, nie brzuchem. Potężnym wysiłkiem woli opanował się przed przejściem do kontrataku. Misja, powtarzał sobie przez cały czas. Nie możesz zepsuć misji. Nie możesz atakować, dopóki nie będziesz pewny, że chcą cię zabić. Na razie popychał cię tylko, obrażał i groził. To nie są wystarczające powody, by odpowiedzieć śmiertelnym ciosem i spaścić zadanie.

Otoczony przez ciemności, widząc tylko światła hotelu za plecami bliźniaków oraz ich goryla, Buchanan spojrzął na swojego prześladowcę, który chwycił go ponownie, postawił na nogi i pchnął z całej siły. Kęgosłup Buchanana zderzył się z twardym plastykiem.

Z tyłu szumiały fale.

— Twierdzisz, że możesz wyjaśnić? A więc zrób to. Jak najbardziej, wyjaśnij. Z przyjemnością posłucham... — bliźniak przycisnął nagle lufę swojego dziewięciomilimetrowego browninga do czoła Buchanana — ...jak zamierzasz wyjaśnić to, co nazywasz nieporozumieniem.

To prawie przeważyło. Puls Buchanana przyspieszył. Jego mięśnie napięły się. Nabierając powietrza, przygotował się do...

Nagle spostrzegł, że Latynos nie odbezpieczył pistoletu, a poza tym browning nie miał tłumika. Jeśli naprawdę zamierza mnie zabić, to czy nie wolałby uniknąć hałasu? Użyłby raczej beretty goryla, która ma tłumik — aby nie zwracać uwagi ludzi z baru.

Nadal możliwe, że to tylko gra.

Pocąc się, starając opanować, Buchanan patrzył na podchodzącego drugiego bliźniaka.

Mężczyzna stanął przy swoim bracie i spojrzął w dół. Nawet w mroku jego oczy przypominały oczy jastrzębia.

— Słuchaj uważnie — powiedział. — Będziemy teraz rozmawiać o nazwiskach. Nie o tym, którym nazwał cię pijany Amerykanin w restauracji. Nie o Jimie Crawfordzie, w każdym razie nie tylko o Jimie Crawfordzie. I nie tylko o Edzie Potterze. Będziemy rozmawiać o innych nazwiskach. Wielu innych. Tak wielu, że prawdę mówiąc mam kłopoty ze spamiętaniem ich wszystkich. — Wyciągnął złożoną kartkę papieru z kieszeni marynarki. — Dałeś nam listę nazwisk naszych współpracowników, którzy, jak twierdzisz, nas zdradzili. Cóż, ja mam inną listę, z innymi nazwiskami. — Rozłożył kartkę i skierował na nią światło miniaturowej latarki. — John Błock. Richard Davis. Paul Higgins. Andrew Macintosh. Henry Davenport. Walter Newton. Michael Galer. William Hanover. Stuart Malik.

O cholera, pomyślał Buchanan.

Meksykanin przestał czytać, spojrzął chmurnie na kartkę papieru, potrząsnął głową i westchnął.

— Jest tu jeszcze kilka innych nazwisk. Ale te wystarczą dla przykładu. Złożył ponownie kartkę, wetknął ją z powrotem do kieszeni marynarki i natychmiast przycisnął latarkę do głowy Buchanana, celując w jego prawe oko.

Ten szarpnął głową, żeby nie patrzeć w światło.

Ale ochroniarz stał już za nim i teraz rąbnął nagle obiema rękami w boki czaszki, tak że Buchananowi rozdzwoniło się w uszach. Nagły, oszalamiający ucisk obu dłoni był jak imadło. Próbował wykręcić głowę, by uniknąć oślepiającego snopu światła skierowanego w oko, lecz nie mógł. Chciał złamać małe palce u rąk ochroniarza, by ten rozluźnił chwyt.

Zamarł jednak z ręką w powietrzu, gdyż Fernandez odbezpieczył browninga i przycisnął lufę do jego lewej skroni. Chryste, pomyślał Buchanan, jeszcze gotów to zrobić.

— *Bueno. Muy bueno* — usłyszał. — Nie rób trudności.

Ołówkowa latarka dalej świeciła Buchananowi w oko. Zamrugał kilka razy, a potem zacisnął powiekę, lecz wciąż widział światło przez jej cienką skórę. Zacisnął powiekę jeszcze mocniej. Brutalna dłoń zmusiła go do otwarcia oczu. Światło zabłysło ponownie. Gałka oczna stała się nagle gorąca, sucha i nabrzmiała. Światło było jak jasna, paląca igła, przebijająca oko niby ropiejący wrzód. Buchanan musiał przywołać całą swoją samokontrolę, żeby nie walczyć, nie próbować wyrwać się trzymającym go rękoma — gdyż teraz wiedział już, że jeżeli zaatakuje, pierwszy *gemelo* zamieni go w krwawą miazgę.

— *Bueno* — powtórzył Meksykanin. — *Muy bueno. Excelente*. A teraz, jeśli chcesz żyć, powiesz nam, co wspólnego mają ze sobą te wszystkie nazwiska, które odczytał mój brat. Namyśl się dobrze, zanim odpowiesz. — Jeszcze mocniej przycisnął lufę browninga do skroni Buchanana. — Kłamcy nie mogą szanować ani robić z nim interesu. Nazwiska. Jaki jest ich sekret?

Buchanan przełknął ślinę. Jego głos brzmiał ochryple.

— To ja wcielałem się w tych wszystkich ludzi.

## 11

Słysząc tylko plusk fal i bicie serca Buchanana. A potem odbijający się echem śmiech z hotelowego baru na plaży przerwał ciszę. Bliźniacy i ochroniarz, stojący dotąd jak wmurowani, ruszyli się nagle. Jeden z braci odsunął pistolet, drugi puścił powiekę Buchanana i wyłączył latarkę, ochroniarz rozluźnił uchwyt dłoni miażdżących czaszkę. Fernandez przyglądał mu się uważnie.

— Nie oczekiwałem prawdy. — Usiadł na krześle obok, kładąc browninga na stole, lufą w stronę Buchanana i nie zdejmując dłoni z kolby. — Pytałem cię wcześniej. Zapytam ponownie. Kim jesteś?

— Ed Potter.

Buchanan zamknął prawe oko, masując powiekę. Wciąż widział bolesny blask latarki.

— A nie John Błock? Albo Richard Davis? Albo Paul Higgins? — spytał pierwszy z braci.

— Albo Jim Crawford? — nalegał drugi.

— Nigdy nie słyszałem o Jimie Crawfordzie — odparł Buchanan. — Nie wiem, o czym, u diabła, mówił ten pijak w restauracji. Jeśli zaś chodzi o Johna Błocka, Richarda Davisa i Paula Higginsa, to...: W jaki sposób poznaliście moje pseudonimy?

— Nie masz prawa zadawać żadnych pytań. — Fernandez stukał kolbą pistoletu o blat stolika. — Dlaczego używałeś tych nazwisk?

— Nie jestem głupcem — odparł Buchanan. Jego prawe oko łzawiło. Trzymał je zamknięte i zezował na swoich napastników zdrowym, lewym. — Oczekujecie, że przyjadę do Meksyku, zacznę szmuglować narkotyki na północ i broń na południe i będę przy tym posługiwać się swoim prawdziwym nazwiskiem? Użyłbym fałszywego, nawet gdybym handlował narkotykami w

Stanach. Tutaj, w Meksyku, gdzie *yanqui* zawsze rzuca się w oczy, tym bardziej miałem powód, by to zrobić.

Drugi z bliźniaków, jakby ostrzegawczo, włączał i wyłączał latarkę.

— Falszywe nazwisko jest chyba zrozumiałe.

— Ale tak wiele fałszywych nazwisk?

Fernandez nadal stukał kolbą pistoletu o stół.

— Słuchajcie, powiedziałem wam, że robiłem interesy również poza Cancun — rzekł Buchanan. — Mam bazy w Merida, Acapulco, Puerto Vallarta, kilku kurortach, których nie wymieniałem.

— Ale wymienisz — stwierdził drugi z braci. — Wymienisz. — Jego głos był niewyraźny z podniecenia. — Nazwiska. Chcę usłyszeć wszystko na temat nazwisk.

Buchanan powoli otworzył prawe oko. Blask latarki nadal wypełniał mu pole widzenia. Jeśli ten manewr nie poskutkuje, spróbują go zabić. Zacznie się walka — o ile w ogóle będzie miał okazję się bronić — lecz w starciu z trzema mężczyznami nie miał zbyt dużych szans, tym bardziej że nie widział dobrze.

— Odpowiedz! — warknął Latynos.

— Przyjmuję za oczywiste, że kiedy Amerykanin prowadzi nielegalne interesy w obcym państwie, musi posłużyć się obywatelami tego państwa — rzekł Buchanan. — Mogą oni odwiedzać takie miejsca i robić takie rzeczy, których Amerykanin nie mógłby robić bez zwrócenia na siebie uwagi. Trzeba przekupić miejscowe władze. Trzeba odebrać narkotyki od dostawców i dać im broń. Za żadne skarby nie próbowałbym przekupić meksykańskich policjantów — Choć wiadomo jak są przekupni, mogliby takiego gringo jak ja dla przykładu wsadzić do więzienia na sto lat. Wolalbym też, żeby ktoś inny wziął na siebie ryzyko odbierania narkotyków i dostarczania broni, szczególnie kiedy trzeba kontaktować się z tymi pieprzniętymi bękartami z kartelu Medellin. Spójrzmy prawdzie w oczy — Meksyk jest biedny, łatwo znaleźć tu wielu młodych ludzi, którzy gotowi są ryzykować życie za to, co dla nich jest fortuną, a dla mnie niczym. Oczywiście, potrzebuję takich ochotników w każdym kurorcie, gdzie prowadzę interesy, a kiedy tam jestem, potrzebuję jakiejś bajeczki, żeby wyjaśnić moją obecność. Turysta ściąga na siebie uwagę, jeśli wraca co trzy tygodnie. Ale biznesmen nie, a jednym z najczęściej spotykanych amerykańskich biznesmenów w meksykańskich kurortach jest pośrednik w wynajmie nieruchomości i sprzedaży miejsc w ośrodkach wypoczynkowych. Amerykańscy turyści nie ufają meksykańskiemu sprzedawcy na tyle, żeby wynająć od niego jakąś nieruchomość. Ale ufają Amerykanom. We wszystkich tych kurortach, gdzie mam bazy, korzystając z fałszywych nazwisk przekonałem władze, że prowadzę legalny biznes. Oczywiście w każdym miejscu używam innego nazwiska i mam na to nazwisko komplet fałszywych dokumentów. Ale tu właśnie jest trick. Jeśli moi meksykańscy ochotnicy zostaną zatrzymani przez policję albo będą wypytywani przez dostawców, którzy zwrócili się przeciwko mnie, niczego nie zdradzą, ponieważ nie znają fałszywego nazwiska, którego oficjalnie używam. Nie wiedzą, gdzie mieszkam i gdzie prowadzę interesy. Ponieważ to ja wyznaczam spotkania, nie mają sposobu, by się ze mną skontaktować lub naprowadzić na mnie policję albo dostawców narkotyków. Nazwiska, pod którymi mnie znają, są również fałszywe, choć oczywiście nie potrzebuję na nie papierów.

Fernandez pochylił się do przodu, jego dłoń leżała na pistolecie.

— Mów dalej.

— Każda z postaci, które udaję, ma swój własny styl — ubierania się, jedzenia, swoją własną indywidualność. Jeden może się garbić. Drugi chodzi sztywno wyprostowany, jakby kiedyś był wojskowym. Inny może się lekko jękać. Jeszcze inny czesać włosy gładko do tyłu. Albo nosić okulary lub czapkę baseballową. Każda postać ma jakąś łatwą do zapamiętania cechę. Dlatego

jeśli policja zacznie pytać o człowieka o pewnym nazwisku i z pewnymi szczególnymi cechami, nie znajdzie go, ponieważ cechy są równie fałszywe jak nazwisko. Wspomniałem o tym, kiedy ten pijany Amerykanin pomylił mnie z kimś w barze — jego pomyłka jest wersją starego dowcipu, że dla Amerykanów wszyscy obcokrajowcy wyglądają tak samo. Cóż, powiedzenie to można odwrócić. W oczach Meksykanów Amerykanie niewiele różnią się od siebie. Ważymy za dużo. Jesteśmy niezgrabni. Posiadamy za dużo pieniędzy i wcale nie wydajemy ich zbyt szczerze. Jesteśmy głośni i niegrzeczni. Tak więc każdy Amerykanin, który ma takie typowe cechy, zostanie zapamiętany przez moich ochotników, a jeśli będą oni zmuszeni podać mój rysopis wrogowi, powiedzą na przykład: „nosi okulary i zawsze ma na głowie baseballową czapkę”. Wszystko co muszę wtedy zrobić, to przybrać odmienny zestaw cech i mieszać z innymi Amerykanami stając się niewidzialnym.

Buchanan obserwował bliźniaków, zastanawiając się, czy to kupują. Fernandez zmarszczył brwi.

— Skoro masz tak wiele fałszywych nazwisk, skąd mamy wiedzieć, że naprawdę jesteś Edem Potterem?

— Jaki miałbym powód, żeby kłamać? Musiałem podać wam prawdziwe nazwisko, żebyście mogli mnie sprawdzić i upewnić się, że nie stanowią dla was zagrożenia.

Buchanan czekał, mając nadzieję, że ich przekonał. Zastosował się do jednej z zasad konspiracji. Jeśli ktoś naciska na ciebie do tego stopnia, że twoja legenda jest bliska pęknięcia, najlepszą obroną stanowi prawda, czy raczej część prawdy. Taka część, która nie przeszkodzi w wykonaniu misji, a brzmi na tyle wiarygodnie, że pokonuje sceptycyzm. W tym wypadku Buchanan ujawnił bliźniakom fakt posługiwania się fałszywymi tożsamościami, by tym łatwiej uwierzyli, iż naprawdę jest Edem Potterem, i zaakceptowali go jako partnera. Fałszywe nazwiska, których używał jako sprzedawca wakacyjnych ofert, oraz inne, pod którymi znali go jego ludzie, nie były jednak pomyślane jako sposób zrobienia wrażenia na bliźniakach i zademonstrowania, że Buchanan może stać się dla nich cenny. Miały raczej pomóc mu uchronić się przed meksykańskimi władzami i — co równie ważne — uniemożliwić tym władzom odkrycie, że nielegalne interesy Buchanana wiodą do tajnej komórki w amerykańskiej armii. Ostatnią rzeczą, której by chcieli jego zwierzchnicy, był międzynarodowy incydent. Nawet gdyby Buchanana aresztowano jako Eda Pottera, wciąż niemożliwe byłoby powiązanie go z jego kierownictwem. Ponieważ miał w zapasie jeszcze jedną legendę. Zaprzeczyłby przed władzami, że kiedykolwiek należał do DEA, a w tym czasie szefowie usunęliby lub zniszczyli wszystkie szczegóły potwierdzające tę fałszywą tożsamość. Buchanan stwierdziłby, że wymyślił historię o DEA, żeby przeniknąć do meksykańskiego systemu dystrybucji narkotyków. Upierałby się — a na potwierdzenie tego również znalazłyby się odpowiednie fakty — że jest niezależnym dziennikarzem, który chciał napisać artykuł demaskujący meksykański kanał przerzutu narkotyków. Gdyby meksykańskie władze próbowały sięgnąć głębiej, i tak nie znalazłyby nic, co łączyłoby Buchanana z amerykańskimi Operacjami Specjalnymi.

— Być może — powiedział Fernandez. — Być może nasza współpraca jest możliwa.

— Być może? — powtórzył Buchanan. — *Madre de Dios*, co muszę zrobić, żeby was przekonać?

— Najpierw zbadamy twoją przeszłość.

— Ależ oczywiście.

— Potem stwierdzimy, czy niektórzy z naszych współpracowników zdradzili nas, tak jak twierdzisz.

— Nie — ma sprawy. — Pierś Buchanana wypełniła się tryumfem. Odwróciłem kota ogonem, pomyślał. Jeszcze pięć minut temu byli gotowi mnie zabić, a ja zastanawiałem się, czy muszę zabić ich. Ale postąpiłem właściwie. Zachowałem spokój. Misji nie grozi niebezpieczeństwo.

— Zostaniesz z nami, kiedy będziemy sprawdzali twoje referencje.

— Zostanę z wami?

— Widzisz w tym jakiś problem? — zapytał Fernandez.

— Nie — odparł Buchanan. — Tylko że robienie ze mnie więźnia wydaje mi się kiepskim sposobem rozpoczynania wspólnego interesu.

— Czy mówiłem coś o robieniu z ciebie więźnia? — Drugi Meksykanin uśmiechnął się. — Będziesz naszym gościem. Zapewnimy ci wszelkie wygody.

Buchanan odpowiedział uśmiechem pełnym przymusu.

— Okay, to mi się nawet podoba. Z przyjemnością zakosztuję stylu życia, do jakiego chciałbym zacząć się przyzwyczajać.

— Ale jest jeszcze jedna sprawa.

— Och? A jakaż to? — Buchanan spiął się w duchu.

Meksykanin włączył latarkę i zaświecił nią obok prawego oka Buchanana.

— en pijany Amerykanin w restauracji. Będziesz musiał przekonywająco udowodnić, że nie byłeś w Kuwejcie ani w Iraku, gdzie — jak twierdził — się poznaliście.

— Na miłość boską, wciąż nie możesz odczepić się od tego pijaka? Nie rozumiem, w jaki sposób miałbym...

## 12

— Crawford! — zaryczał męski głos z ciemności w pobliżu plażowego baru. Głos był głęboki, zdarty od papierosów, chrapliwy od alkoholu.

— Co to? — spytał szybko Fernandez.

Och nie, pomyślał Buchanan. O Jezusa, nie. Nie teraz, kiedy prawie udało mi się naprawić szkody.

— Crawford! — wrzasnął ponownie Wielki Bob Bailey. — To ty świecisz tam tą latarką? — Opasła sylwetka wyłoniła się z hotelowych ogrodów, zwałisty mężczyzna, który za dużo wypił i miał trudności z poruszaniem się po piasku. — Tak, ty, do diabła! Mam na myśli ciebie, Crawford! Ty i ci mieszańcy, z którymi gadasz pod tym pieprzonym parasolem, czy cokolwiek to jest. — Podszedł chwiejnie bliżej, dysząc ciężko. — Ty sukinsynu, chcę uczciwej odpowiedzi! Chcę wiedzieć, dlaczego mnie okłamujesz! Bo obaj dobrze wiemy, że nazywasz się Jim Crawford! Obaj wiemy, że byłeś więźniem w Kuwejcie i Iraku! Więc dlaczego nie chcesz się do tego przyznać? Dlaczego robisz ze mnie idiotę? Myślisz, że nie jestem na tyle dobry, żeby pić z tobą i twoimi kumplami, czy co?

— Nie podoba mi się to — powiedział Fernandez.

— Coś jest nie tak — potwierdził jego brat.

— Bardzo nie tak. — Pierwszy z bliźniaków oderwał wzrok od zbliżającego się chwiejnie cienia Wielkiego Boba Baileya i spojrzął na Buchanana. — Sprawiasz kłopoty. Wy Amerykanie macie przysłowie: „Lepiej się zabezpieczać, niż żałować”.

— Daj spokój, on jest po prostu pijany! — rzekł Buchanan.

— Crawford! — ryknął Wielki Bob Bailey.

Nie mam wyboru, pomyślał Buchanan.

— Zastrzel go — powiedział Fernandez do ochroniarza.

— Mówię do ciebie. — Wielki Bob Bailey potknął się. — Crawford! Na Boga, odpowiedz mi!  
— Zastrzel ich obu — polecił ochroniarzowi drugi bliźniak.

Jednak Buchanan zerwał się już z krzesła, nurkując w lewo, ku Fernandezowi, który przykrywał dłonią browninga leżącego na stole.

Ochroniarz wystrzelił. Wyposażona w tłumik beretta wydała zduszone puknięcie. Pocisk minął wprawdzie głowę Buchanana, dosięgnął jednak jego prawego ramienia, które w momencie skoku znalazło się w górze. Zanim padł drugi strzał, Buchanan zderzył się z Fernandezem i przewracając Meksykanina wraz z krzesłem, chwycił jednocześnie za pistolet, lecz tamten nie puszczał go.

— Strzelaj! — rzucił ochroniarzowi drugi z bliźniaków.

— Nie mogę! Mógłbym trafić twojego brata!

— Crawford, co się, u diabła, dzieje? — ryknął Wielki Bob Bailey. Tarzając się po piasku, Buchanan starał się utrzymać Fernandezę i odebrać mu pistolet.

— Podejdz bliżej! — zawołał drugi Meksykanin do ochroniarza. — Poświecę latarką.

Postrzelone ramię pulsowało bólem. Krew z zanieczyszczonej piaskiem rany tryskała na obu walczących. Buchanan zorientował się, że pozostali napastnicy biegną w jego stronę. Usłyszał ponowny wrzask Wielkiego Boba Baileya — Crawford! — a potem nagle zaskakująco głośny huk wystrzału z browninga, który, w odróżnieniu od beretty, nie posiadał tłumika. Nadbiegający zakłęli, uskakując w bok. Z potężnym dzwonieniem w uszach nadwerężonych już wcześniej ciosem ochroniarza, z prawym okiem wciąż niedowidzącym, polegając bardziej na dotyku niż wzroku — Buchanan walczył zawzięcie o pistolet. Bolące ramię zaczynało sztywnieć. Fernandez wystrzelił ponownie, a Buchanan miał wrażenie, że kula poszła tym razem prosto w górę przebijając dach z liści palmowych. Towarzyszący temu błysk osłabił jeszcze bardziej jego zdolność widzenia. Znowu rozległ się wrzask Boba Baileya, a potem odległe krzyki dochodzące z plażowego baru. Ochroniarz i drugi z braci byli już niebezpiecznie blisko, gdy udało mu się chwycić kciuk przeciwnika i wykręcić go, odginając do tyłu.

Kostka kciuka pękła wydając miękkie, przytłumiony dźwięk przypominający raczej chrupnięcie niż trzask. Meksykanin wrzasnął, instynktownie rozluźniając chwyt, aby zmniejszyć ból. W tym momencie Buchanan wyrwał pistolet z jego dłoni i odturlał się w bok, czując, jak piasek oblepia mu zakrwawione rapie. Ochroniarz strzelił. Pocisk uderzył tuż obok Buchanana, który błyskawicznie oddał cztery strzały. Wzrok wciąż go zawodził, aby więc ocenić należycie położenie biegnącego w jego stronę ochroniarza, musiał polegać na innych zmysłach — dotyku, wyczuwając poruszenie piasku, i słuchu, rejestrując pukanie beretty. Trzy kule trafiły w napastnika, odrzucając go do tyłu. Buchanan odwrócił się natychmiast i celując w lewo, strzelił dwa razy, trafiając jednego z braci w pierś i brzuch. Krew trysnęła spod rozpiętej jedwabnej koszuli, mężczyzna zgiął się wpół i padł na ziemię.

Tymczasem Buchanan zdał sobie nagle sprawę, że ochroniarz wciąż trzyma się na nogach. Dostał trzy kule, a wydawał się tylko lekko oszołomiony. Najwyraźniej miał na sobie ukrytą kamizelkę kuloodporną, co tłumaczyło jego potężne rozmiary. Gdy wyprostował się i wycelował ponownie, Buchanan strzelił mu w gardło, lewe oko i czoło, po czym próbował odczołgać się w tył w obawie, że mężczyzna zdoła jeszcze odpowiedzieć strzałem. Ten jednak uniósł się do góry, jakby chcąc stanąć na palcach, odchylił silnie w tył i padł na stół. Ułamek sekundy później Buchanan wyczuwając ruch po prawej odwrócił się i strzelił Fernandezowi w skroń. Krew, kości i mózg — gorący i lepki — rozprysnęły się na jego twarzy.

Meksykanin skonał w drgawkach.

Buchanan zaś nabrał głęboko powietrza i zadygotał również, pobudzony falą adrenaliny. Strzelanina z użyciem browninga spotęgowała okropne dzwonienie w uszach. Zgodnie z wieloletnim przyzwyczajeniem liczył w myślach oddawane strzały. Cztery do ochroniarza. Dwa

do jednego z bliźniaków. Kolejne trzy do ochroniarza. Jeden do Fernandez, który wcześniej wystrzelił dwukrotnie. To dawało łącznie dwanaście. Wiedząc, że browning mieści trzynaście pocisków w magazynku i jeden w lufie, Buchanan nie obawiał się, że zabraknie mu amunicji. Normalnie nie musiałby strzelać tyle razy, lecz w ciemnościach nie był w stanie zagwarantować precyzji i pozostałe kule mogły nie wystarczyć, gdyby odgłos strzałów zaalarmował resztę obstawy bliźniaków. Klękając nisko za stołem, celował w mrok plaży, rozproszony blaskiem świateł baru hotelu. Głośny, zdenerwowany tłum gromadził się w alejce biegnącej wzdłuż plaży. Kilka osób wskazywało w stronę Buchanana, nie widział jednak żadnych uzbrojonych mężczyzn zbliżających się ku niemu. Sprawdziwszy szybko, że ochroniarz i Fernandez nie żyją, przeszukał tego ostatniego, odbierając swój pas, klucze i długopis. Nie chciał, by cokolwiek będącego jego własnością zostało na miejscu. W pośpiechu obejrzał drugiego z braci wyciągając z wewnętrznej kieszeni jego marynarki listę ze swoimi pseudonimami. Zostawił natomiast drugą listę — nazwiska rzekomo niełojalnych współpracowników. Oczekiwał, że władze sprawdzą je i spróbują powiązać z tymi zabójstwami.

Taką przynajmniej miał nadzieję. Chciał osiągnąć choćby część tego, po co tu przybył — zaszkodzić siatce dystrybutorów narkotyków tak bardzo jak to możliwe. Jeśli tylko misja nie poszła w diabły, jeśli tylko...

Buchanan zamarł nagle. Wielki Bob Bailey. Gdzie on jest? Co się stało z...?

— Crawford? — wymamrotał z ciemności niepewny głos.

Buchanan wyteżył wzrok, żeby przyjrzeć się ciemnościom, jego oczy wracały już do normalnego stanu.

— Crawford? — Głos Baileya wydawał się dziwnie stłumiony. Buchanan zdał sobie nagle sprawę, że ostatni raz widział go idącego chwiejnie w stronę stolika pod parasolem. Kiedy zaczęła się strzelanina, najwyraźniej padł na ziemię. Jego głos był stłumiony, ponieważ Bailey leżał z twarzą przyciśniętą do piasku.

— Jezu Chryste, człowieku, nic ci nie jest? — wymamrotał. — Kto tu, u diabła, strzela?

Buchanan zobaczył go teraz — ciemną sylwetkę przyklejoną do ziemi. Odwrócił się i spojrzał na tłum stojący koło hotelowego baru na plaży. Był większy i bardziej gwarny, lecz ludzie nadal bali się podejść do miejsca, z którego wcześniej dobiegały strzały. Ciągłe nie widział żadnych ochroniarzy ani policjantów biegnących w jego stronę. Ale niedługo ich zobaczę, pomyślał. Niedługo. Nie mam zbyt wiele czasu. Muszę zniknąć stąd jak najszybciej.

Ból w ramieniu stał się jeszcze bardziej dotkliwy. Rana nabrzmiała, pulsując coraz mocniej. Czystym, nie zakrwawionym kawałkiem koszuli pośpiesznie wytarł swoje odciski palców z blatu stołu i boków krzesła. Nie mógł zrobić nic z tymi, które zostawił na kieliszkach w restauracji, lecz miał nadzieję, że stolik został już sprzątnięty, a kieliszki zanesione do kuchni i umyte.

Szybciej.

Kiedy odwrócił się ku Fernandezowi, żeby wytrzeć pistolet, usłyszał mocniejszy już głos Baileya.

— Crawford? Jesteś ranny?

Zamknij się, pomyślał Buchanan.

Tłum koło baru wykazywał coraz większą aktywność. Blask hotelowych świateł pozwalał zauważyć dwóch umundurowanych policjantów, którzy zbiegli z alejki na plażę. Buchanan skończył wycierać pistolet i wcisnął go w martwą dłoń Latynosa. Odwrócił się i pobiegł brzegiem, nisko schylony, pilnując, aby prawe ramię znajdowało się cały czas nad falami. Ponieważ było zakrwawione jak i reszta tej strony jego ciała, chciał, by krew spływała do wody, uniemożliwiając policji pójście tropem plam na piasku.

— *Alto!* — nakazał ochryply męski głos. — Stój!

Buchanan przyśpieszył kroku, biegnąc równolegle do fal i mając nadzieję, że mrok okryje go na tyle, by uniemożliwić oddanie celnego strzału.

— *ALTO!* — nakazał ochrypły głos z jeszcze większą siłą.

Buchanan pędził tak szybko, jak tylko mógł. Mięśnie pleców przeszywały dreszcze, w oczekiwaniu kuli, która...

— Hej, co ty sobie wyobrażasz? Dlaczego mnie popychasz? Nic nie zrobiłem! — dobiegł go protest Wielkiego Boba Bailey'a.

Policjanci złapali pierwszą osobę, na jaką się natknęli. Pomimo bólu i desperacji, Buchanan nie mógł powstrzymać uśmiechu. Bailey, na coś się w końcu przydałeś.



## ROZDZIAŁ TRZECI

### 1

*Baltimore, Maryland*

Kobieta ubrana jak nędzarka, pchająca skrzypiący wózek po ciemnej, zmoczonej deszczem alejce w centrum miasta, poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Nie spała od prawie czterdziestu ośmiu godzin, a cały ten czas (podobnie jak kilka poprzednich dni) wypełniony był nieustannym strachem. W gruncie rzeczy od miesiący, od chwili gdy spotkała Alistaira Drummonda i zgodziła się na jego propozycję, nigdy nie była wolna od niepokoju. Zadanie wydawało się wystarczająco łatwe, honorarium, które otrzymała, było spore, apartament zaś luksusowy. Poza tym nie musiała pokazywać się często. Przez większość czasu siedziała tylko w eleganckim budynku na Manhattanie, skąd roztaczał się wspaniały widok na Central Park, i pozwalała służącym zajmować się sobą. Czasem tylko fatygowała się, by odebrać telefon, lecz rozmawiała krótko, udając, że ma chrypę spowodowaną, zdaniem lekarza, polipami w gardle, wymagającymi prawdopodobnie interwencji chirurgicznej. Rzadko wychodziła na dwór, zawsze nocą, zawsze w limuzynie, w futrze, w klejnotach i wytwornej wieczorowej sukni, zawsze z uważnymi, przystojnymi opiekunami. Jechała zazwyczaj do Metropolitan Opera lub na bal dobroczynny i zostawała tylko tak długo, by upewnić się, że ją zauważono i jej nazwisko pojawi się w kolumnie towarzyskiej. Nie zezwalała na kontakt z dawnymi przyjaciółmi ani ze swoim poprzednim tężem. Jak wyjaśniła w wywiadzie udzielonym wyjątkowo pewnemu czasopismu, izolacja ta była niezbędna dla przeprowadzenia autoanalizy, po której będzie mogła rozpocząć nowy etap swojego życia. Idealnie poradziła sobie z rolą. Nikt nie uważał jej zachowania za niezwykłe. Geniusze mają w końcu ekscentryczne skłonności.

Ale była przerażona. Strach narastał stopniowo. Najpierw przypisała niepokój tremie, jakiej doznawała przyzwyczajając się do nowej roli, przekonując nieznaną publiczność oraz oczywiście starając się zadowolić Alistaira Drummonda. To ostatnie denerwowało ją najbardziej. Spojrzenie Drummonda było tak intensywne, że podejrzewała, iż nosi okulary nie po to, by poprawić sobie wzrok, lecz by wzmocnić zimny błysk w swoich oczach. Zachowywał się władczo, bez względu na to, w czyjej obecności się znajdował. Nikt nie wiedział na pewno, ile ma lat — poza tym że bez wątplenia przekroczył już osiemdziesiątkę — lecz każdy zgadzał się, że wygląda najwyżej na sześćdziesiąt. Liczne operacje plastyczne, w połączeniu z odpowiednią dietą, ogromnymi ilościami witamin i cotygodniowymi zastrzykami hormonów, zdawały się powstrzymywać proces starzenia. Kontrast pomiędzy jego gładką, napiętą twarzą i pomarszczonymi dłońmi budził jej niepokój.

Życzył sobie, żeby nazywano go profesorem, chociaż nie wykładał nigdy, a doktorat został mu nadany honorowo, z okazji utworzenia muzeum jego imienia ufundowanego przezeń w prezencie dla prestiżowego, lecz mającego kłopoty finansowe uniwersytetu z Ivy League.

Jeden z warunków kontraktu głosił, że „profesor” będzie miał dostęp do jej apartamentu o każdej porze, a ona będzie pojawiała się z nim publicznie, kiedy tylko tego zażąda. Równie próżny jak bogaty, śmiał się za każdym razem, ujrawszy swoje nazwisko — razem z jej nazwiskiem — w kolumnach towarzyskich, szczególnie jeśli reporter tytułował go profesorem. Dźwięk tego kruchego, łamliwego śmiechu przyprawiał ją o dreszcze.

Jednak chociaż zaczęła się w końcu bać Alistaira Drummonda, jeszcze bardziej przerażający był jego osobisty asystent, dobrze ubrany, jasnowłosy mężczyzna o przyjemnej twarzy, którego znała tylko jako Raymonda. Jego twarz nigdy się nie zmieniała. Zawsze malował się na niej ten

sam radosny wyraz, bez względu na to, czy pomagał akurat Drummondowi w zrobieniu zastrzyku, patrzył na jej wyzywającą wieczorową suknię, oglądał prognozę pogody w telewizji, czy też wykonywał kolejne zadanie. Drummond pilnował zawsze, by nie omawiać szczegółów swoich transakcji w jej obecności, lecz ona uważała za oczywiste, że ktoś, kto zgromadził takie bogactwo i ma taką władzę, nie wspominając już o światowej sławie, z natury rzeczy jest bezlitosny, więc „zadania, które dawał Raymondowi, muszą być odrażające. Raymond nie dawał jednak tego po sobie poznać. Wyglądał tak samo pogodnie, kiedy wyjeżdżał i kiedy wracał.

Jej niepokój zamienił się w strach, kiedy pewnego dnia zdała sobie sprawę, że nie jest po prostu trzymana w izolacji — lecz że stała się więźniem. Zachowała się po amatorsku, musiała to przyznać, gdy zapragnęła odrzucić swoją rolę i pójść na samotny spacer do Central Parku, lub też może do Metropolitan Museum of Art. Gdy ta myśl zaświtała jej w głowie, stłumiła ją szybko. Mimo to na chwilę poczuła się wyzwolona, a zaraz potem sfrustrowana. Nie mogę, powiedziała sobie. Zgodziłam się na pewne warunki. Wzięłam duże honorarium za przyjęcie tej roli. Nie mogę złamać umowy. Ale gdyby tak...?

To dręczące pytanie przepeliło ją złością. Z wyjątkiem kilku uzgodnionych wyjść i czasem występu, większość czasu spędzała ćwicząc, czytając, oglądając wideo, słuchając muzyki, jedząc i... Przypominałoby to wakacje, gdyby nie trwało tak długo. Dni zaczynały ciągnąć się w nieskończoność. Chociaż Alistair Drummond i jego asystent wzbudzali w niej niepokój, ich wizyty witała niemal z radością, stanowili przynajmniej jakąś odmianę. W końcu zadała sobie to pytanie. Co będzie, jeśli złamię reguły gry? Jeśli pójdę na popołudniowy spacer do Central Parku? Nie miała zamiaru naprawdę tego robić, lecz zastanawiała się, co będzie, jeśli... i nagle jeden z goryli pojawił się u wylotu korytarza, uniemożliwiając jej dostanie się do windy.

Była doświadczonym obserwatorem. Wiedziała od początku — od momentu gdy po raz pierwszy wyszła na zewnątrz, odprowadzona do limuzyny Drummonda — że budynek jest pod obserwacją: sprzedawca kwiatów po drugiej stronie ulicy, budka z hotdogami na rogu, odzwierny na dole i z pewnością jeszcze ktoś w rodzaju bezdomnego przy tylnym wyjściu. Zakładała jednak, że strażnicy ci mają uniemożliwić niespodziewane wtargnięcie bliskim znajomym osoby, którą udawała. Teraz w jednej chwili zrozumiała, że budynek jest strzeżony zarówno ze względu na niepożądanych gości, jak i po to by ona nie mogła go opuścić. To czyniło jej świat jeszcze mniejszym, potęgując napięcie. Drummond też sprawiał, że była spięta. I Raymond.

Kiedy wreszcie się stąd wydostanę? — pomyślała. Kiedy skończy się ta gra? Czy skończy się w ogóle?

Pewnego wieczora, zakładając diamentowy naszyjnik — który według słów Drummonda miała otrzymać jako nagrodę po zakończeniu zadania — pod wpływem impulsu przeciągnęła największym kamieniem po powierzchni szklanki z wodą. Diament nie zarysował szkła. To oznaczało, że nie jest prawdziwy. A więc naszyjnik, jej nagroda, nie ma żadnej wartości.

Co jeszcze było...? Zbadła rachunek bankowy, który przysyłano jej co miesiąc. Każdy rachunek, gest dobrej woli, wykazywał, że zgodnie z obietnicą Drummond przelał na jej konto odpowiednią kwotę. Ponieważ zapewniają jej wszystko, czego potrzebuje, nie musi wydawać tych pieniędzy, wyjaśnił Drummond. A więc kiedy zadanie dobiegnie końca, będzie mogła podjąć całą, ogromną sumę.

Na rachunku bankowym widniał numer konta. Wiedziała, że nie odważy się skorzystać z telefonu w apartamencie (prawdopodobnie był na podsłuchu), skorzystała więc z rzadkiej sposobności, kiedy mogła opuścić go w godzinach urzędowania banku. Doznała wielkiej przyjemności, kiedy podczas przerwy w wypełnionym przemówieniami oficjalnym obiedzie wyszeptała do Alistaira Drummonda, który ją tam przyprowadził, że musi iść do toalety.

Drummond z szyderczym wyrazem twarzy skinął głową i pomarszczoną ręką dał znak ochroniarzowi, aby z nią poszedł.

Schyliła się nisko, przyciskając pierś do jego ramienia.

— Nie, nie chcę twojego pozwolenia — wyszeptała. — Chcę pięćdziesiąt centów. Tyle kosztuje tutaj wejście do ubikacji.

— Nie mów „ubikacji”. — Drummond zacisnął wargi, ganiąc jej wulgarność.

— Mogę mówić wazon róż, jeśli zechcesz. Nadal jednak potrzebuję pięćdziesięciu centów. Plus dwa dolary dla kobiety z ręcznikami. Nie musiałabym cię prosić, gdybyś dawał mi czasem trochę prawdziwych pieniędzy.

— Wszystkie twoje potrzeby są zaspokajane.

— Pewnie. Chyba że muszę iść do ubikacji — przepraszam, wazonu pełnego róż. — Jeszcze mocniej przycisnęła pierś do jego kościstego ramienia.

Drummond odwrócił się do Raymonda, który stał obok niego.

— Odprowadź ją i daj to, czego chce.

Tak więc ruszyła z Raymondem przez tłum, ignorując spojrzenia wielbicieli gwiazd. Raymond dyskretnie wręczył jej drobną sumę pieniędzy, o którą prosiła, i gdy tylko weszła do toalety, podbiegła do automatu telefonicznego, włożyła monety, wykręciła numer banku, gdzie Drummond składał jej honoraria. Kilka pań z towarzystwa, siedzących przy lustrach i odświeżających swoje makijaże, odwróciło się na widok takiej sławy. Skinęła głową i obrzuciła je władcym spojrzeniem, które mówiło: „Pozwól panie? Czy mogę mieć odrobinę prywatności?” Matrony, nauczone udawać, że nic nie robi na nich wrażenia, — wzruszyły ramionami i zaczęły ponownie nakładać szminkę na zwiędłe wargi.

— Księgowość — powiedział nosowy męski głos.

— Proszę sprawdzić... — i podyktowała numer.

— Chwileczkę... Tak, mam ten rachunek na ekranie komputera.

— Jaka jest suma?

Nosowy głos powiedział jej. W porządku.

— Czy są jakieś ograniczenia?

— Jedno. Przy wypłatach wymagany jest drugi podpis.

— Czyj?

Raymonda — dowiedziała się i wtedy zrozumiała, że Drummond nie zamierza pozwolić jej przeżyć.

Kilka tygodni zajęły przygotowania, kalkulacje, obserwacje i czekanie na odpowiednią chwilę. Nikt nic nie podejrzewał. Była tego pewna. Udawała tak zadowoloną ze wszystkiego, że była to najlepsza rola w jej karierze. Ostatniej nocy położyła się do łóżka o dwunastej, zamknęła oczy, kiedy pokojówka przyszła ją sprawdzić o drugiej, i odczekała do czwartej, aby upewnić się, że tamta zasnęła. Ubrała się szybko, wkładając trampki i szary dres z kapturem. Do torebki wepchnęła naszyjnik, bransoletki i kolczyki — całą fałszywą biżuterię otrzymaną od Drummonda. Musiała ją zabrać, chcąc go upewnić, iż wciąż uważa diamenty i inne klejnoty za prawdziwe i że będzie próbowała je sprzedać. Jego ludzie stracą sporo czasu przepytując jubilerów, do których teoretycznie powinna się zgłosić. Miała mało pieniędzy — to, co dostała na toaletę, parę dolarów w bilonie, które ukradła z torebki swojej pokojówki, gdy ta była zajęta w innym pokoju, i dwadzieścia pięć dolarów, które przywiozła ze sobą, zaczynając zadanie. Z tym nie zajdzie daleko. Potrzebowała więcej. Dużo więcej.

Najpierw musiała opuścić budynek. Gdy tylko zdała sobie sprawę, że jest więźniem, automatycznie przyjęła, iż drzwi wyposażone są w alarm, który odezwie się i ostrzeże strażników przy próbie nocnej ucieczki. To z tego powodu zwlekała trzy tygodnie. Tyle właśnie czasu zajęło

jej zbadanie ścian za meblami i obrazami i znalezienie ukrytego wyłącznika alarmu. Ostatniej nocy sięgnęła za szafkę z alkoholami i wyłączyła go, po czym bezszelestnie otworzyła drzwi i spojrzała w głąb korytarza po lewej stronie. Strażnika pilnującego windy nie było widać. Siedział zazwyczaj na krześle zaraz za rogiem. O czwartej nad ranem istniała duża szansa, że będzie drzemał, ufając, że odgłos windy i tak go obudzi.

Ale ona nie miała zamiaru używać windy. Zamiast tego zostawiła drzwi lekko otwarte — bała się zamknąć je do końca ryzykując wywołanie hałasu — odwróciła się w prawo i ruszyła cicho po wyłożonej dywanem podłodze w kierunku drzwi pożarowych. Na tym piętrze nie były strzeżone, lecz w holu, przy wyjściu ze schodów, stał strażnik. Centymetr po centymetrze otworzyła drzwi, zamknęła je równie ostrożnie za sobą i odetchnęła, ocierając spotniałe dłonie. Najbardziej obawiała się, że tym właśnie etapie narobi hałasu i obudzi strażnika. Reszta na razie miała być łatwa.

Zaczęła zbiegać po zimnych, ciemnych schodach, poruszając się bezszelestnie na gumowych podeszwach tramppek. Czterdzieści pięter niżej, pobudzona raczej niż zmęczona, dotarła do drzwi holu, lecz nie zatrzymała się, schodząc dalej do piwnicy. Kiedy mijiała zakurzone pomieszczenie magazynowe i hałaśliwą kotłownię, z płataniną rur i złączek, bała się, że zaskoczy ją dozorca, lecz w pobliżu nie było nikogo i wreszcie znalazła schody, które prowadziły do tylnego wyjścia z budynku, tak oddalonego od głównego, że strzegący go człowiek nie powinien jej zauważyć.

Wciąż ostrożna, wyłączyła światło przy drzwiach, by jego blask nie zdradził jej. Potem znalazła się w alejce i czując chłód październikowego powietrza, pobiegła ile sił w nogach. Żałowała, że nie mogła wziąć ze sobą płaszcza, lecz wszystkie, które wisiały w jej szafie, zaprojektowane do noszenia z wieczorowymi sukniami, były zbyt eleganckie. Nie znalazłaby tam niczego, co nie zwracałoby uwagi. Nieważne. Była wolna. Ale na jak długo? Strach i pośpiech ją rozgrzały.

Bez swojej peruki, specjalnego makijażu i drobiazgów zmieniających twarz nie przypominała już granej przez siebie postaci. Jednak chociaż publiczność nie mogłaby jej rozpoznać, Alistair Drummond miał zdjęcie jej prawdziwej twarzy. Nie śmiała więc użyć taksówki. Kierowca, wypytywany, przypominałby sobie, gdzie i kiedy ją zabrał, zwłaszcza że była Latynoską. Pamiętałby także, gdzie ją wysadził. I chociaż miejsce to wskazywałoby fałszywy kierunek i nie zdradzało nic, co mogłoby narazić ją na niebezpieczeństwo, uważała, że słuszniej zrobi., jeśli nie da Drummondowi żadnych wskazówek, i zamiast tego po prostu zniknie. Poza tym miała tak mało pieniędzy, że nie chciała wydawać ich na taksówkę.

Pobiegła więc — dla przygodnego obserwatora miłośniczka porannego joggingu na prawie pustych ulicach — i rozpoczęła polowanie, kręcąc się po Central Parku, sprawiając wrażenie łatwego celu. W końcu dwóch smarkaczy z nożami wyłoniło się z mroku. Połamała im ręce i zabrała czternaście dolarów, które mieli przy sobie. O świcie, mokra od potu, odpoczęła w otwartym całą dobę barze z hamburgerami na Times Square. Poświęciła część swoich skromnych funduszy na kilka kubków parującej kawy i śniadanie złożone z jajeczniczy, kotletów mielonych, kiełbaski i angielskich rogalików. Nie było to śniadanie, jakie zwykle jadła, i z całą pewnością nie takie, jakie polecałoby Amerykańskie Towarzystwo Kardiologiczne, lecz biorąc pod uwagę trudy nadchodzącego dnia, potrzebowała wszystkich kalorii i węglowodanów, które mógł pomieścić jej żołądek.

Kolejną część swoich nędznych zasobów zużyła na bilet do całodobowego kina. Wiedziała, że jako jedyna kobieta w niemal pustej sali, o siódmej rano, przyciągnie myśliwych polujących na łatwą zdobycz. Tego właśnie chciała. Kiedy film się skończył i wyszła z kina, miała przy sobie o pięćdziesiąt dolarów więcej. Zabrała je trzem mężczyznom, których ogłuszyła — za pomocą ciosów łokciem — gdy kolejno, w półgodzinnych mniej więcej odstępach, siadali obok i próbowali ją molestować.

O tej godzinie kilka sklepów z przecenioną odzieżą było już otwartych, więc kupiła zwykłą włóczkową czapkę, parę wełnianych rękawiczek i ocieplaną, czarną, nylonową kurtkę, która doskonale zlewała się barwą z jej szarym dressem. W tym workowatym dresie ukrywającym jej wydatne piersi i biodra, z włosami schowanymi pod czapkę, wyglądała grubo i bezpłciowo. Jej przebranie było niemal idealne. Umazała czapkę, rękawiczki i kurtkę w kurzu ulicznym i praktycznie niczym nie różniła się już od reszty bezdomnych.

Teraz nadszedł czas na ulokowanie się wśród handlarzy rozkładających swe kramy na krawężniku wzdłuż Broadwayu. W ciągu dwóch godzin, podczas których wypatrywała policji i zbyt natrętnych obserwatorów, kilka razy zmieniała miejsce. Wykorzystując dar przekonywania, sprzedała turystom całą biżuterię, co przyniosło jej dwieście dwadzieścia pięć dolarów.

To wystarczyło, żeby udać się w podróż, nie samolotem oczywiście — czego i tak by nie zrobiła, gdyż lotniska były na pewno sprawdzane przez Drummonda w pierwszej kolejności — lecz pociągiem, a najlepiej autobusem, który jest jeszcze tańszy. Jej ubranie w autobusie zwracałoby mniejszą uwagę, zjadła więc hamburgera na pełnym narkomanów dworcu autobusowym Port Authority i w południe jechała już do Baltimore.

Dlaczego Baltimore? A dlaczego nie, pomyślała. Znajdowało się na tyle blisko, że bilet nie uszczuplił za bardzo jej funduszy. Z drugiej strony było wystarczająco daleko. Nigdy wcześniej nie miała żadnych związków z Baltimore. Wybrała miasto na chybił trafił, Drummond nie mógł przewidzieć, że pojedzie akurat tam, chociaż gdyby wyeliminował wszystkie miejsca, z którymi coś ją łączyło, i wybrał pozostałe miasta w pewnym promieniu od Manhattanu, mógłby trafić w dziesiątkę. Nie miała żadnych gwarancji. Musiała zachować ostrożność.

W drodze do Baltimore, gdy przyglądała się towarzyszom podróży, by stwierdzić, czy którykolwiek z nich stanowi zagrożenie, miała okazję przemyśleć swoje położenie. Nie śmiała wracać na utarte szlaki. Zwrócenie się do rodziny i przyjaciół nie wchodziło w rachubę. Ludzie Drummonda na pewno już ich obserwowali. Musiała stworzyć nową postać, niepodobną do żadnej z ról, w których występowała wcześniej. Musiała zdobyć nowych przyjaciół i wymyślić sobie nowych krewnych. Co do pracy, to mogła robić wszystko, co nie było zbyt okropne, pod warunkiem że nie robiła już tego wcześniej. Musiała kompletnie zerwać z przeszłością. Zdobycie odpowiednich dokumentów legalizujących nową fałszywą tożsamość nie stanowiło problemu. Była w końcu ekspertem.

Gdy tak rozważała swoją sytuację, zaczęła zastanawiać się, czy jest gotowa na tyle wyrzeczeń. Lubiła osobę, którą była, zanim poznała Alistaira Drummonda. Chciałaby być tą osobą ponownie. Czy postąpiła głupio? Czy źle oceniła intencje zleceniodawcy? Może należało zachować cierpliwość i dalej żyć w luksusie.

Do czasu, gdy spełniłaby swoje zadanie i przestała być potrzebna.

A co dalej?

Pamiętaj, klejnoty były fałszywe, a pieniądze, które Drummond rzekomo ci płacił, nie do podjęcia. Zablokował twoje konto, dlatego że zamierzał cię zabić i odebrać swoje pieniądze.

Ale dlaczego chciałby mnie zabić?

Żeby coś ukryć. Ale co?

Autobus dotarł do Baltimore o dziewiątej wieczorem. Mżący deszcz sprawiał, że centrum wyglądało ponuro. Znalazła tanie miejsce, gdzie mogła się posilić — znowu kofeina, kalorie i węglowodany, nie wspominając już o tłuszczu (tłumaczyła sobie jednak, że tłuszcz pomoże jej uchronić się przed zimnem). Nie chciała tracić pieniędzy na hotel — płacąc nawet za tani pokój, musiałaby wydać prawie wszystkie pieniądze. Przez jakiś czas włączyła się po bocznych uliczkach, mając nadzieję, że ktoś się nią zainteresuje, lecz mężczyzna, który ją zaatakował i któremu złamała obojczyk, miał w kieszeni tylko pięćdziesiąt centów.

Była zmęczona, zziębnięta, przemoczona i przygnębiona. Musiała odpocząć. Potrzebowała miejsca, gdzie czułaby się stosunkowo bezpiecznie, gdzie mogłaby przespać się i pomyśleć. Wózek z supermarketu znaleziony w alejce przesądził o charakterze jej nowej roli. Nawrzucała do niego śmieci i pobrudziła sobie twarz błotem. Przygarbiona, ze szklanym, tęnym spojrzeniem ruszyła w deszcz popychając skrzypiący wózek — nędzarka w drodze do schroniska dla bezdomnych, które właśnie mijała. Co powinnam zrobić? — myślała. Pewność siebie, którą odczuwała w momencie ucieczki, opuściła ją. Wymagania nowej roli przerastały wyobraźnię. Do diabła, chcę znów być sobą.

Jak? Żeby to zrobić, musisz pokonać Drummonda, a on jest zbyt potężny.

Czy na pewno? Dlaczego mnie wynajął? Dlaczego chciał, żebym grała tę postać? Na czym polega jego tajemnica? Co on ukrywa? Jeśli dowiem się tego, być może zdołam go pokonać.

Jedno jest pewne. Bez pieniędzy i środków do życia potrzebujesz pomocy.

Ale do kogo mam się zwrócić? Nie mogę pójść do moich przyjaciół ani rodziny. Oni stanowią pułapkę. Poza tym nie mają zielonego pojęcia, co trzeba zrobić, jakie są wymagania.

A co z ludźmi, z którymi trenowałaś?

Nie, ich nazwiska są w aktach. Drummond może użyć swoich wpływów, żeby dowiedzieć się, kim są. Będą obserwowani na wypadek, gdybym miała się z nimi skontaktować — takie samo niebezpieczeństwo jak moi przyjaciele i rodzina.

Mżawka przeszła w ulewę. Jej przemoczone ubranie obwisło i przykleiło się do ciała. W tym mroku czuła się dokładnie tak, jak mogłaby czuć się obłąkana nędzarka, którą udawała.

Przecież musi być KTOŚ.

Wózek, który pchała, nie przestawał skrzypieć.

Nie jesteś przecież tak samotna! — chciała krzyknąć.

Spójrz prawdzie w oczy. Jedyne kogoś, komu mogłabyś zaufać, musiałaby być anonimowy, zmienny niczym kameleon, tak niewidzialny, bez tropu i śladu w aktach, jakby nigdy nie istniał. I musiałby cholernie dobrze znać się na sztuce przeżycia.

On? Dlaczego ma to być mężczyzna?

I nagle wiedziała, a gdy dotarła do wejścia do przytułku dla bezdomnych, mężczyzna w czarnym garniturze z koloratką wyszedł na zewnątrz.

— Chodź, siostrze. Nie jest to najlepsza noc do spania na dworze.

Grając swoją rolę, odmówiła.

— Proszę, siostrze. W środku jest ciepło. Mamy jedzenie. Miejsce do spania.

Odmówiła powtórnie, choć z mniejszym przekonaniem.

— Będziesz bezpieczna, przyrzekam. I schowamy twój wózek. Zatrzymamy się o twoje rzeczy.

To wystarczyło. Pozwoliła się prowadzić jak dziecko, a gdy weszła zmroku nocy do jasno oświetlonego pomieszczenia, poczuła zapach kawy, starych paczków i gotowanych kartofli. Znalazła schronienie i gdy dreptała w stronę zatłoczonej, drewnianej ławki, powtarzała w myślach nazwisko mężczyzny, którego postanowiła prosić o pomoc. Nazwisko wypełniało jej umysł jak mantra. Tyle tylko, że on nie używał już tego nazwiska. Był w ciągłym ruchu. Oficjalnie w ogóle nie istniał. Więc jak miała znaleźć człowieka tak bezkształtnego i zmiennego jak wiatr? Gdzie, u diabła, mógłby być?

Do roku 1967 Cancun było małym, sennym miasteczkiem na północno-wschodnim wybrzeżu meksykańskiego półwyspu Jukatan. Tamtego właśnie roku meksykański rząd — szukając sposobów pobudzenia słabej gospodarki kraju — zdecydował się promować turystykę bardziej energicznie niż kiedykolwiek. Ale zamiast ulepszyć istniejący ośrodek wczasowy, postanowił zbudować światowej klasy centrum wypoczynkowe tam, gdzie dotąd nie było nic. Przeróżne dane, takie jak odpowiednie położenie i warunki pogodowe, wprowadzono do komputera, a ten zdecydował, że nowy kurort zostanie zbudowany na wąskim kawałku plaży w odległej części meksykańskich Karaibów. Prace budowlane rozpoczęły się w 1968 roku. Zainstalowano nowoczesny system oczyszczania ścieków i niezawodne urządzenie do oczyszczania wody, zbudowano również potężną elektrownię. Środek piaszczystego terenu przecięła czteropasmowa autostrada. Wzdłuż niej posadzono rzędy palm. Hotele zaprojektowane tak, by przypominały starożytne świątynie Majów, wybudowano wzdłuż brzegu oceanu, podczas gdy nocne kluby i restauracje stały od strony laguny. Wreszcie kilka milionów turystów zaczęło przyjeżdżać każdego roku do miejsca, w którym kiedyś był tylko piasek.

Plaża Cancun miała kształt cyfry siedem, dwadzieścia kilometrów długości, pół szerokości, a oba jej końce połączone były z brzegiem mostami. Club Internacional znajdował się pośrodku daszka siódemki i gdy Buchanan uciekał stamtąd w ciemnościach, po zalewanej falami plaży, zignorował inne hotele błyszczące światłami po jego lewej ręce i próbował zdecydować, co zrobi, kiedy dotrze do mostu na północnym krańcu. Dwaj policjanci, którzy przybyli na miejsce strzelaniny, zapewne użyli już krótkofalówek, by zawiadomić kolegów na łądzie. Ci z kolei mieli zablokować mosty i sprawdzać wszystkich Amerykanów, którzy próbowaliby przez nie przejść. Bez względu na koszty, zadaniem policji było reagować szybko i skutecznie. Cancun szczyliło się tym, że jest bezpieczne. Potrójne morderstwo wymagało zdecydowanej odpowiedzi. By uspokoić turystów, należało dokonać szybkiego aresztowania.

W innych okolicznościach Buchanan nie zawahałby się zboczyć z plaży, mijając hotele, wejść na ceglany chodnik ciągnący się wzdłuż autostrady i przejść spacerkiem przez most, gdzie przekonywająco odpowiadałby na pytania policjantów. Nie śmiał jednak pokazać się w takim stanie. Z przestrelonym ramieniem i zakrwawionym ubraniem zwróciłby na siebie uwagę i został natychmiast aresztowany. Musiał znaleźć inny sposób wydostania się stąd i gdy plaża wykręciła w lewo ku górującym w powietrzu zarysom mostu, spojrzął w stronę hoteli błyszczących po drugiej stronie kanału oddzielającego Cancun od głównego łądu i zdecydował, że musi popłynąć.

Niespodziewanie dostał zawrotów głowy. Nogi ugięły się pod nim niebezpiecznie. Serce biło zbyt szybko i miał trudności ze złapaniem oddechu. Efekty działania adrenaliny, próbował przekonać sam siebie. Nie bez znaczenia było również to, że wypił cztery kieliszki tequili, a potem musiał walczyć o życie i uciekać. Ale przecież on i adrenalina to starzy przyjaciele, a w zawodzie, jaki wykonywał, walka po paru kieliszkach zdarzała się często i nigdy nie wywoływała u niego zawrotów głowy. Lekkie nudności — i to wszystko. Teraz jednak czuł się wyraźnie oszołomiony, było mu niedobrze i musiał przyznać, że rana na ramieniu, chociaż powierzchowna, spowodowała większy upływ krwi, niż się spodziewał. Jeśli nie zdoła go powstrzymać, może zemdleć. Albo jeszcze gorzej.

Wyszkolony w zakresie pierwszej pomocy, wiedział, że najlepszym sposobem zatamowania krwawienia jest użycie elastycznego bandaża. Nie miał jednak przy sobie potrzebnego wyposażenia. Mógł natomiast wykorzystać metodę, która kiedyś była polecana, a teraz wyszła z mody — założyć opaskę zaciskową. Jej wadą było to, że opaska odcinała dopływ krwi nie tylko do rany, ale i do całej kończyny. Jeśli zaciśnięto ją zbyt mocno lub gdy nie rozluźniano jej co pewien czas, istniało ryzyko zniszczenia tkanki do tego stopnia, że wdawała się gangrena.

Nie miał jednak wyboru. Policyjne samochody, z wyjątkowymi syrenami i błyskającymi światłami, zatrzymały się na moście. Gdy stanął na brzegu kanału pomiędzy plażą a głównym łodem i spojrzął ze znużeniem w ciemności z tyłu, nie zauważył ani nie usłyszał nic, co świadczyłoby, że jest ścigany. Wiedział jednak, że to nastąpi. Wkrótce. Pośpiesznie sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął pleciony skórzany pas bez dziurek, który miał tę zaletę, że można go było zapiąć w dowolnym miejscu, wsuwając szpikulec sprzączki między pasemka skóry. Buchanan owinął pas wokół napuchniętego ramienia, ponad ranę, i zacisnął go mocno, ciągnąc za wolny koniec lewą ręką, podczas gdy prawą uniósł z trudem do góry, by z największym wysiłkiem zapiąć go drżącymi palcami prawej dłoni. Zachwiał się. Pociemniało mu w oczach. Bał się, że straci przytomność, lecz po chwili wzrok wrócił do normy. Chociaż z trudem jeszcze poruszał nogami, wyczuwał, nawet nie widząc rany, że upływ krwi zmniejszył się znacząco. Nie kręciło mu się już tak w głowie. Natomiast ramię zaczęło niepokojąco drętwieć i zrobiło się zimne.

Obawiając się, że niebieskie płócienne pantofle spadną mu z nóg, gdy napelnią się wodą, zdjął je i związał sznurowadłami, które owinął ciasno wokół prawego nadgarstka. Potem wyjął listę pseudonimów zabraną z kieszeni Latynosa i podarłszy ją na drobne kawałki, wszedł szybko w ciemności kanału. Woda, zaskakująco ciepła, zalała mu kolana, uda i brzuch. Gdy grzywiasta fala uderzyła go w pierś, odbił się stopami od piaszczystego dna i skoczył do przodu. Pociągnął go silny prąd. Powoli wypuszczał z ręki skrawki podartego papieru. Nawet gdyby ktoś zdołał znaleźć wszystkie, i tak wkrótce zamienia się w papkę.

Silnymi uderzeniami nóg obrócił się w wodzie na prawy bok i popłynął oszczędzając zranione ramię. Buty przyłączone do nadgarstka stawiały opór i ciążyły. Zaczął mocniej pracować nogami.

Kanał miał około stu metrów szerokości. Po kilku minutach woda, zmoczywszy pas zawiązany wokół prawego ramienia, rozciągnęła go, znacznie zmniejszając ucisk. Ramię przestało drętwieć — rozgrzało się i stało wrażliwe na ruch prądu. Rana zaczęła szczypać.

Może sól ją zdezynfekuje, pomyślał, lecz potem wyczuł zapach ropy i benzyny, którymi zanieczyszczały kanał niezliczone łodzie, i zdał sobie sprawę, że woda raczej spowoduje infekcję.

Przyszło mu do głowy jeszcze coś — luźna opaska oznaczała, że rana ponownie zacznie krwawić. A krew mogła przyciągnąć...

Przyśpieszył, wiedząc, że barakudy były często widywane pomiędzy licznymi rafami na tym obszarze, a rekiny wpływały czasem kanałem na lagunę pomiędzy wyspą i brzegiem. Nie wiedział, jak są wielkie i czy atakują pływaków, lecz jeśli w wodzie przebywały jakieś drapieżniki, to krew mogła przyciągnąć je nawet z dużej odległości.

Machnął nogą. Jego stopa dotknęła czegoś. Kawałka drewna być może. Albo wstęgi dryfujących wodorostów. Ale mógł to być...

Przyśpieszył jeszcze bardziej i ponownie dotknął tego, co było za nim...

Przeplątał ćwierć drogi w poprzek kanału i był na tyle daleko, że poczuł się mały, jakby połknięty przez noc. Nagle usłyszał warkot motoru z lewej i odwrócił głowę w tamtą stronę. Warkot zamienił się w ryk. Ujrzał światła szybko zbliżającej się łodzi. Nadpłynęła z laguny, przemknęła pod mostem i spiesznie ciągnęła kanałem w kierunku oceanu. Łódź policyjna? — pomyślał i wyteżył siły, by zejść jej z drogi. Gdy uderzył nogami, ponownie dotknął czegoś z tyłu. Osłabł z upływu krwi. Spoglądając nerwowo na zbliżającą się łódź, nagle rozpoznał jej sylwetkę rozjaśnioną przez światła. Nie należała do policji. Była to motorówka kabinowa. Za oknami widział mężczyzn i kobiety śmiejących się i pijących. Jednak płynąc w jego stronę nadal stanowiła zagrożenie. Czując wibrację jej silników niosącą się przez wodę, tak blisko, że za kilka sekund mógł zostać zauważony przez kogoś na pokładzie albo staranowany, Buchanan wziął głęboki oddech i zanurkował. Pracę w dół, zmuszony był użyć rannej ręki, aby nabrać szybkości i uniknąć mijającego go kadłuba i obracających się śrub.



Płynął jeszcze dalej i jeszcze głębiej, a buty przyczepione do prawego nadgarstka utrudniały i tak niezgrabny ruch rannego ramienia. Usłyszał ryk motorówki nad sobą.

Gdy tylko dźwięk zaczął cichnąć, ruszył gwałtownie do góry, czując zawroty głowy i brak powietrza. Coś w dole otarło się wokół jego stóp. Szybciej, powiedział sobie. Zmniejszające się ciśnienie wody napierającej na bębniaki było sygnałem, że jest już blisko powierzchni. Miał wrażenie, że płuca płoną mu żywym ogniem. Jeszcze kilka sekund, pomyślał, moja twarz znajdzie się ponad wodą. Będę mógł otworzyć usta i...

Bum! Jego czaszka zderzyła się z czymś twardym i ciężkim. Uderzenie było tak niespodziewane, tak bolesne, tak ogłuszające, że instynktownie zaczerpnął oddechu, połykając wodę, kaszląc i dławiąc się. Może na moment stracił przytomność. Nie wiedział. Wiedział tylko, że znowu połyka wodę i walczy, by wyłonić się na powierzchnię. Prześlizgnął się obok obiektu, w który uderzył, wyskoczył z wody i chciwie napełnił płuca powietrzem, starając się nie zwymiotować. Co to było?

Jego głowę rozsadzał pulsujący ból. Udręczony, rozpaczliwie próbując się pozbierać, stwierdził, że patrzy na oddalającą się rufę jasno oświetlonej motorówki. Za nią ciągnął się złowrogi, długi, ciemny kształt. W to musiał uderzyć głową. Ale nie rozumiał, co... A potem zrozumiał. Szalupa. Motorówka ma ją na holu. Tego nie mógł przewidzieć.

Coś ponownie otarło się o jego nogi. Zaskoczony, ignorując ból w ramieniu i w czaszce, obrócił się na brzuch i popłynął, używając obu rąk i kopiąc obiema nogami to, co się ocierało o niego — cokolwiek to było. Błyszczące hotele w głębi plaży, na przeciwległym brzegu, urosły nagle. Palce lewej ręki dotknęły piasku. Był na mieliźnie. Wstał i pobiegł ku plaży, rozbijając fale kolanami. Z tyłu coś plusnęło. Gdy dotarł do brzegu, odwrócił się i ujrzał fosforyzujący kilwater na wodzie. Albo tylko wyobraźnia płatała mu figle.

Akurat. Dysząc ciężko z bólu chciał rzucić się na piasek, odpocząć, lecz usłyszał wycie policyjnych syren i zrozumiał, że nie może zostać na otwartej przestrzeni, nawet w ciemnościach. Zebrał więc resztki sił i odwróciwszy się plecami do mostu, ruszył chwiejnie wzdłuż zakrętu plaży, oddalając się od kanału, wpatrzony w światła przeróżnych hoteli.

### 3

Plaża, podobnie jak przy Club Internacional, była pusta, turyści woleli iść wcześniej do łóżka albo bawić się w niezliczonych nocnych klubach Cancun. Buchanan znalazł hotel, który nie miał z tyłu baru na świeżym powietrzu, i wyłonił się z trawy. Pozostając w cieniu odszukał krzesło pod drzewem palmowym i opadł na nie. W pobliżu były też inne krzesła, ale wybrał to, ponieważ jakiś gość zostawił na nim ręcznik.

Ściągnąwszy pas z prawego ramienia, przycisnął złożony ręcznik do rany i kilkakrotnie owinął go pasem, zaciskając mocno, by stworzyć coś w rodzaju elastycznego bandaża. Chociaż ręcznik nasiąkł krwią w kilku miejscach, zdawał się powstrzymać jej upływ. Na jak długo, Buchanan nie wiedział. Teraz chciał już tylko odpocząć.

Ale miał tak wiele do zrobienia.

Rozwiązał sznurowadła na prawym nadgarstku. Buty były śliskie od wody. Nie powinien mieć kłopotów z włożeniem ich na nogi. A jednak było to jedno z najtrudniejszych zadań, jakie wykonał w życiu.

W głowie szumiało mu od uderzenia w dno szalupy. Ból nie ustępował. Z obawą uniosł lewą rękę do włosów i dotknął siniaka, wyczuwając rozległą opuchliznę. Nie mógł na razie stwierdzić, czy i jak bardzo krwawi, bo i tak wszystko było mokre.

Jednocześnie sól zawarta w wodzie poważnie rozdrażniła ranę na prawym ramieniu. Cała ręka napuchła. Pulsowała pod zaciśniętym ręcznikiem. W dodatku palce drżały niepokojąco.

Powiedział sobie, że drzenie jest wynikiem rany postrzałowej albo walki z Fernandezem i nadwreżenia przy pokonywaniu kanaru. Ulga po wysiłku. Coś w tym rodzaju. Hej, jeśli ćwiczysz z ciężarami, przypomniawszy sobie, czasem twoje dłonie trzęsą się potem. Pewnie.

Jednak tylko prawa ręka drżała, lewa nie, a place zdawały się żyć swoim własnym życiem. Nie mógł opanować niepokoju, że coś poważnego uległo uszkodzeniu.

Ruszał się. Zachowujesz się tak, jakbyś nigdy nie brał udziału w walce.

Z wysiłkiem podszedł bliżej, na tyły hotelu. Opuszczając cień plaży, wszedł ostrożnie na beton i mijając kolejne palmy, zbliżył się do przytłumionych świateł wokół małego owalnego basenu.

Był pusty, otoczony tropikalnymi krzewami i plażowym sprzętem. Pod osłoną krzewów Buchanan dotarł do pierwszej lampy, kiedy dostrzegł, że jego mokre buty zostawiają ślady na betonowej podłodze, a z koszu i spodni nadal cieknie woda. Zauważył, że dzięki temu nie było już na nich śladów krwi. Małe błogosławieństwo podczas nocy katastrof. Gdy tylko jego ubranie wyschnie, zaczną wyglądać normalnie. Natomiast krew na ręczniku zawiązanym wokół prawego ramienia z pewnością zwróci uwagę ludzi.

Potrzebował czegoś, czym mógłby to zasłonić. Marynarka byłaby idealna, lecz mógł ją zdobyć tylko włamując się do czyjegoś pokoju, a to nie wchodziło w rachubę. Jedynie amatorzy wybijali szyby, wywołując zamieszanie. Co innego gdyby miał swoje narzędzia — wtedy mógłby otworzyć zamek.

A więc co zrobisz innego?

Ból w czaszce łączył się z bólem w ramieniu. Kombinacja taka była trudna do zniesienia. Znowu poczuł zawroty głowy.

Dopóki miał jeszcze siłę, musiał się śpieszyć.

Ruszył w kierunku hotelu. Betonowe schody prowadziły w prawo, ku pokojom na górnych piętrach. Jego jednak zainteresowały wiodące gdzieś w dół schody w głębi. Nie wyobrażał sobie, by hotel o tak imponującym wyglądzie mógł wynajmować pokoje w piwnicach. Więc pomieszczenia na dole musiały służyć jako magazyny i warsztaty.

Spojrzał na swój zegarek Seiko, pasujący jego zdaniem do byłego oficera DEA. Zegarek działał nadal mimo kąpieli i kiedy Buchanan nacisnął guzik z boku, kwarcowe cyferki oznajmiły, że jest godzina 23.09. Wątpił, by ktokolwiek z personelu pracował jeszcze o tak późnej porze. Nastawił uszu, czekając na głosy lub kroki, które odbiłyby się echem od schodów. Nie usłyszawszy żadnych, ruszył w dół.

Dzięki gumowym podeszwoom butów szedł niemal bezszelestnie. Na półpiętrze schody zmieniły kierunek i zaprowadziły go do słabo oświetlonego korytarza. Pachniało tu pleśnią i wilgocią. To również było gwarancją, że się na nikogo nie natknie. Wyglądając ostrożnie zza rogu nie dostrzegł nikogo na żadnym z końców korytarza, wyszedł więc z ukrycia i ruszył na chybił trafił w prawo. Dotarłszy do metalowych drzwi, słuchał przez chwilę, a ponieważ nie doleciał do niego żaden dźwięk, nacisnął na klamkę. Były zamknięte.

Podszedł do następnych i tym razem również nasłuchiwał i powtórnie nacisnął klamkę, oddychając z ulgą, gdy drzwi drgnęły. Otwierając je powoli, namacał ręką kontakt, włączył światło i odprężył się widząc, że pokój jest pusty. Żarówka dyndająca u sufitu dawała to samo obrzydliwe żółte światło co lampy na korytarzu. Pomieszczenie wypełniały metalowe półki, na których leżały

narzędzia i skrzynki. W jeden z kątów wciśnięto małe, zardzewiałe biurko, a na nim — pomimo bólu Buchanan poczuł falę podniecenia — stał czarny telefon z tarczą.

Zamknął drzwi na zasuwę i sięgnął po słuchawkę. Serce zabiło mu mocniej, kiedy usłyszał sygnał. Wykręcił numer.

Odebrał mężczyzna. Jego oficer prowadzący. By znajdować się blisko Buchanana w tej fazie akcji, wynajął mieszkanie w lądowej części Cancun. Zazwyczaj porozumiewali się za pomocą zaszyfrowanych wiadomości, zostawianych w skrzynkach kontaktowych, według wcześniej ustalonego planu. Rzadko, z obawy przed elektronicznymi urządzeniami podsłuchowymi, rozmawiali przez telefon, i to tylko z wybranych uprzednio automatów. Ani razu nie spotkali się podczas wykonywania zadania. Buchanan mógł otrzymać pomoc grupy wspierającej, lecz biorąc pod uwagę nadwrażliwość ludzi, z którymi umówił się na spotkanie tego wieczora, zdecydowano, że obecność grupy wokół Club Internacional stanowiłaby niebezpieczeństwo, gdyby handlarze i ich obstawa wyczuli, że są obserwowani. Zresztą wtedy misja rozwijała się jeszcze zgodnie z planem. Nie było powodu przypuszczać, że spotkanie nie potoczy się gładko. Dopóki nie pojawił się Wielki Bob Bailey. Teraz natomiast Buchanan nie musiał już martwić się, że zostanie zdekonspirowany, jeśli zadzwoni do swojego oficera prowadzącego. Cóż gorszego mogło się jeszcze wydarzyć? Ludzie, którymi chciał się posłużyć, nie żyli. Misja poszła w diabły.

Co gorszego mogło się wydarzyć? Och, mogło wydarzyć się coś gorszego, ależ tak. Meksykańska policja mogła go złapać, jego zwierzchnicy mogli być wplątani w potrójne morderstwo. Musiał zniknąć.

— Tak — powiedział oficer prowadzący.

— Czy to ty, Paul?

— Przykro mi. Nikt o tym imieniu tutaj nie mieszka.

— To znaczy, że to nie jest... — Buchanan podał numer telefonu.

— Nawet niepodobny.

— Przepraszam.

Buchanan odłożył słuchawkę i potarł obolałe czoło. Numer, który podał, był zakodowaną wiadomością — nastąpiła absolutna katastrofa, on sam jest ranny, ucieka i musi być jak najszybciej ewakuowany w bezpieczne miejsce. Otrzymał taką informację, oficer prowadzący miał spróbować spotkać się z Buchananiem w dziewięćdziesiąt minut po telefonie. Miejsce spotkania znajdowało się w centrum Cancun, przed barem niedaleko skrzyżowania alei Tulum i Coba. Każdy plan musiał uwzględniać nieprzewidziane wypadki. Gdyby więc Buchanan nie przybył na spotkanie, oficer stawiliby się ponownie o ósmej następnego ranka przed kawiarnią na Uxmal Avenue, a następnie w południe przed apteką na Yaxchilan Avenue. Gdyby i ten kontakt nie doszedł do skutku, oficer wróciłby do swojego mieszkania i czekał na wiadomość. Nie otrzymałszy jej czterdzieści osiem godzin później, przyjąłby najgorszy możliwy scenariusz i wyjechał z kraju, żeby samemu nie wpaść w tarapaty. Rozpoczęto by delikatne śledztwo w celu ustalenia, jaki los spotkał agenta.

Dziewięćdziesiąt minut od teraz, pomyślał Buchanan. Muszę dostać się do tego baru. Nagle jego uwagę zaprzętnęły skurcze w prawej ręce. Spojrzawszy w dół zobaczył, że palce tej dłoni — i tylko tej, lewa była w porządku — ponownie drżą. Wydawały się nie należeć do niego. Jakby kontrolowała je jakaś inna siła. Nie rozumiał. Czy pocisk, który trafił go w ramię, naruszył nerwy?

Nagle zaczął mieć problemy z koncentracją. Ból w czasie przybrał na sile. Rana od kuli pulsowała. Poczuł, że coś ciepłego i wilgotnego spływa po ręczniku tworzącym bandaż wokół rany. Nie musiał patrzeć w dół, by wiedzieć, że ręcznik nasiąkł i zaczyna przeciekać.

Przed oczami pojawiła się niepokojąca mgła. Zniknęła, gdy Buchanan sprężył się, słysząc kroki na korytarzu.

Powolne i niepewne odbijały się echem od betonowych ścian, stawały się coraz głośniejsze. Ktoś zatrzymał się przed drzwiami. Buchanan pocąc się zmarszczył brwi, gdy ujrzał i usłyszał, jak klamka porusza się w górę i w dół. Co prawda zamknął zasuwę po wejściu do pokoju, jednak osoba stojąca za drzwiami pracowała najprawdopodobniej w hotelu i mogła mieć klucz. Teraz naparła na drzwi. Kiedy nie chciały się otworzyć, pchnęła mocniej, a potem uderzyła w nie ramieniem. Bez rezultatu.

— Kto jest w tym pokoju? — zapytał ktoś ostro po hiszpańsku ochryplym głosem. Kostki dłoni zabębniły o drzwi. — Odpowiadać! — Zadudniła pięść. — Co się tam dzieje?

Jeśli ma klucz, użyje go teraz, pomyślał Buchanan. Co sprawiło, że zszedł na dół i chciał wejść akurat do tego pokoju? Pełne wahania kroki, które było słyhać na korytarzu... zupełnie jakby mężczyzna szukał czegoś. Albo za czymś szedł.

Gdy Buchanan przesunął się cicho w kierunku ściany, gdzie mógłby wyłączyć światło i zacząć się na niepożądanego gościa, spojrział w dół i zdał sobie sprawę, że mężczyzna istotnie za czymś szedł. Woda kapiała z mokrego ubrania, znacząc jego ślad na podłodze.

Zdenerwowany nasłuchiwał metalicznego zgrzytu klucza wkładanego do zamka. Zamiast tego usłyszał ponowne bębnienie pięścią, kolejne gwałtowne: „Co się tam dzieje?”, po czym nastąpiła nagła cisza.

Może nie ma klucza. Albo boi się go użyć. Kroki zaczęły się nagle wycofywać, stukając w korytarzu i cichnąc, kiedy dotarły do schodów.

Muszę się stąd wydostać, zanim zdąży wezwać pomoc i wrócić, pomyślał Buchanan. Odciągnął zasuwę, otworzył drzwi i miał już wyjść, kiedy zauważył na jednej z półek coś, co wyglądało jak kupa szmat. Szmaty okazały się pogniecioną, zaplamioną roboczą kurtką z płótna i podniszczoną baseballową czapeczką, z której zerwano naszywkę. Za pomocą kurtki wytarł odciski palców ze wszystkiego, czego dotykał, i pobiegł korytarzem, a potem chodami, mijając ślady, które zostawił.

Teraz nie miały już znaczenia. Musiał wydostać się z hotelu przed powrotem robotnika w towarzystwie pomocników. Zadzwoń na policję, zgłaszając, że kręci się tu jakiś włóczęga. Policja tak bardzo chciała aresztować podejrzanego w związku z potrójnym morderstwem, że może uznać oba wypadki za powiązane i skoncentrować poszukiwania na tym terenie.

Buchanan ruszył ku ciemnej plaży, która miała zaprowadzić go do centrum Cancun. Kierując się na północ, pobiegł środkiem między grzywiastymi falami i światłami hoteli. Pachnąca morską bryza ochłodziła pot na jego czole i usunęła z nozdrzy nieprzyjemny zapach piwnicznego pomieszczenia. Była tak silna, że mogła nawet wysuszyć mokre ubranie.

Biegając potknął się nagle i stracił równowagę, o mało się nie przewracając. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby potknął się o coś. On jednak potknął się, ponieważ zaczynał słabnąć. Rana pulsowała, mocząc ręcznik krwią. W czaszce dudniło mu niemiłosiernie.

Pod pachą niósł pogniecioną płócienną marynarkę i poplamioną czapeczkę baseballową. Z wahaniem włożył ją na głowę. Była tak zniszczona, że mogła zwrócić czyjąś uwagę, lecz jeszcze bardziej kompromitująca byłaby krew we włosach. Oddychając z trudem, naciągnął marynarkę na prawe ramię, zakrywając poplamiony krwią ręcznik. Teraz musiał podjąć ryzyko pokazania się wśród ludzi, lecz gdy wcisnął guzik z boku zegarka i spojrział na elektroniczny wyświetlacz, stwierdził zszokowany, że prawie godzina minęła od czasu, gdy dzwonił do swojego opiekuna. To niemożliwe!

Przecież wyszedłem z piwnicy zaledwie przed chwilą.

Chyba.

Kolego, zdaje się, że masz zaćmienia.

Myśli Buchanana stały się bardziej nerwowe. Musiał skrócić pomiędzy hotele i znaleźć taksówkę. Wiedział, że inaczej nie zdąży na spotkanie z oficerem. Chwiejąc się zszedł z plaży.

Miał rację przynajmniej co do jednej rzeczy — bryza znad morza na tyle wysuszyła jego ubranie, że nie przyklejało mu się już do ciała.

Ale pot ściekał mu z czoła strumieniami.

## 4

— Boże — powiedział oficer — tę ranę trzeba będzie zaszyć. Zdejmij czapkę. Niech spojrzę na... Tak, och, człowieku, ten siniak na głowie też wymaga szycia.

Stali na opuszczonej stacji benzynowej na autostradzie 180, trzydzieści kilometrów na zachód od Cancun. Dojechawszy taksówką do centrum miasta, Buchanan czekał nie więcej niż pół minuty na miejscu spotkania, nim jego opiekun zatrzymał wynajętego forda taunusa przed wejściem do baru, aby mógł wsiąść do środka.

Oficer prowadzący był mężczyzną po pięćdziesiątce, lekko łysiejącym, z niedużą nadwagą. Jego ubranie — sandały, cytrynowa koszulka polo i żółte szorty — skutecznie upodabniało go do turysty. Nigdy wcześniej nie pracowali razem. Buchanan znał go jako Wade'a, co, jak zakładał, było tylko jednym z licznych pseudonimów.

Gdy wyjaśnił, co się stało, Wade westchnął głośno.

— Cholera. To kompletnie nie do naprawienia. Niech to diabli. Boże... Okay, zastanówmy się przez chwilę. — Postukał palcami po kierownicy. — Upewnijmy się, że... Policja będzie obserwować lotnisko w mieście i zapewne to w Cozumel. Pozostaje kolejna, najbliższa możliwość.

— Merida — rzekł Buchanan.

Wade zwiększył prędkość wyjeżdżając z Cancun.

— To przy założeniu, że naszym najlepszym ruchem jest wy dostać się z kraju. Ale może powinieneś gdzieś przywarować. Schować się. Hej, wszystkim, co ma policja, jest rysopis, który pasuje do wielu Amerykanów. Przecież nie mają zdjęcia. Ani odcisków palców. Powiedziałeś, że zatroszczyłeś się o to.

Buchanan skinął głową, czując nadchodzące nudności.

— Z wyjątkiem kieliszków, z których piłem w restauracji. Nie mogłem nic z nimi zrobić. Może jednak zostały zabrane do kuchni i umyte przed przybyciem policji. — Podniósł zdrową lewą rękę i otarł pot zbierający mu się coraz obficie na czole. — Prawdziwy problem stanowi to, że wszyscy w restauracji słyszeli, jak w rozmowie z Baileyem twierdziłem, że nazywam się Ed Potter. Więc policja ma nazwisko, na które będą czekać urzędnicy paszportowi na lotniskach.

— To mnie nie martwi — rzekł Wade. — Przywiozłem ci awaryjny paszport i kartę turystyczną. Nowy pseudonim.

— To dobrze, lecz policja ma też samego Baileya. Będą nalegać, żeby pomógł jednemu z ich artystów sporządzić portret pamięciowy, a kiedy kopie tego portretu zostaną przefaksowane na wszystkie lotniska, do oficerów paszportowych, każdy choćby trochę przypominający osobę z portretu zostanie zatrzymany, kiedy będzie zwracał kartę turystyczną i płacił cło wyjazdowe. Muszę wyjechać z kraju, zanim ten portret zostanie rozesłany. Poza tym... — Buchanan spojrział na palce swojej prawej dłoni. Trzęsły się znowu, w nie kontrolowanym odruchu, jakby nie były częścią jego ciała. Zranione ramię zdawało się płonąć. Ręcznik coraz bardziej nasiąkał krwią. — Poza tym potrzebuję lekarza.

Wade spojrział we wsteczne lusterko.

— Nie widzę żadnych świateł za nami. — Rozejrzał się po poboczach wąskiej, obsadzonej drzewami szosy. — Ta nieczynna stacja benzynowa jest równie dobrym miejscem jak każde inne.

Zjechał z autostrady, wysiadł, wziął coś z tylnego siedzenia i podszedł do Buchanana z drugiej strony samochodu.

Otworzywszy drzwi, odsłonił rany i skierował na nie światło podręcznej latarki.

— Nic dziwnego, że potrzebujesz lekarza — mruknął. — Trzeba to pozaszywać

— Nie mogę zaufać komuś stąd. Z pewnością zawiadomi policję o ranie postrzałowej.

— Nie ma problemu — odparł Wade. — Znam tu w pobliżu amerykańskiego lekarza. Pracował już dla nas wcześniej. Możemy na nim polegać.

— Ale ja nie mogę tracić czasu. — Głos Buchanana był zgrzytliwy, jego usta suche. — Policja niedługo będzie miała portret pamięciowy. Muszę dotrzeć do Meridy. Muszę dostać się na samolot do Stanów. Do diabła, od Florydy dzieli nas zaledwie kilka godzin lotu odrzutowcem. Kiedy powiedziałem, że potrzebuję lekarza, miałem namyśli Stany. Im szybciej się stąd wydostanę, tym szybciej...

— Wcześniej wykrwawisz się na śmierć — rzekł Wade. — Nie słyszałeś, co powiedziałem? Mówiłem, że trzeba to pozaszywać. Przynajmniej. Nie wiem, jak ten siniak na głowie, ale rana na ramieniu — choć trudno stwierdzić przy takiej ilości krwi — wygląda na zakażoną.

— Sądząc po bólu, chyba jest. — Buchanan z wysiłkiem wysiadł z samochodu. — Co tam położyłeś na ziemi?

— Apteczkę.

— Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej?

— Hej, na to, co masz, apteczka niewiele pomoże.

— Cały czas zapominam. Jesteś cywilem. Jednym z facetów z Agencji.

Wade wyprostował się, przybierając obronną pozę.

— Nie oczekujesz chyba, że odpowiem na to, co? Poza tym, co to za różnica?

— Po prostu otwórz ją — rzekł Buchanan. — Popatrzmy, co tu mamy. Dobrze. Przygotowywali ją moi ludzie. Uważaj. Rób, co ci mówię. Musimy powstrzymać krwawienie i oczyścić rany.

— My? Daj spokój, ja się na tym nie znam. Nie szkolono mnie, żebym...

— Ale mnie tak. — Buchanan próbował opanować zawroty głowy. — Weź tę gumową rurkę i zawiąż ją powyżej rany na moim ramieniu. Przez pięć minut ucisk nie wyrządzi większych szkód. W tym czasie... — Buchanan rozerwał papierowe opakowanie i wyciągnął kilka opatrunków z gazy.

Wade skończył zawiązywać gumową rurkę wokół obnażonego ramienia Buchanana. Upływ krwi zmniejszył się wyraźnie.

— Ta plastikowa buteleczka z alkoholem — rzekł Buchanan. — Nalej trochę na opatrunki i obmyj z krwi ranę po kuli. — Miał wrażenie, że jego głos dobiega gdzieś z oddali. Wysiłkiem woli usiłując zachować przytomność, wyciągnął strzykawkę ze styropianowego pudełka i spojrzał na nazwę, zadowolony, że zawiera antybiotyk.

— Weź czysty opatrunek i wetrzyj trochę alkoholu w mięsień mojego prawego ramienia.

Wade wykonał polecenie, a potem szybko powrócił do czyszczenia rany postrzałowej.

Buchanan wstrzyknął antybiotyk. Gdy tylko wyciągnął igłę, palce jego prawej dłoni zaczęły drżeć ponownie. Z trudem schował strzykawkę z powrotem do pudełka.

— Już — rzekł Wade. — Skończyłem czyścić krawędzie rany.

— Nalej teraz na nią wody utlenionej — rzekł Buchanan.

— Nalej? — powtórzył Wade. — To będzie bolało, jak...

— To nic w porównaniu ze śmiercią spowodowaną zakażeniem krwi. Tę ranę trzeba zdezynfekować. Zrób to.

Wade zdjął nakrętkę z buteleczki, zacisnął wargi i polał obficie długie rozcięcie rany.

W blasku latarki umieszczonej na fotelu Buchanan ujrzał, jak płyn wnika w głąb. Powierzchnia rany spieniła się niczym wrzący kwas. Nagle uderzył go ból, gorszy jeszcze niż dotychczas. Gryzł. Szczypał. Palił.

Dwoiło mu się przed oczami. Zatoczył się.

— Buchanan? — Wade był przestraszony.

— Zrób to jeszcze raz.

— Nie mówisz chyba poważnie.

— Zrób to. Muszę mieć pewność, że rana jest czysta.

Wade wykonał polecenie. Rana zapieniła się powtórnie, jej krawędzie pobieleły, odpadły kawałki zakrzepłej krwi. Czoło Buchanana pokryło się potem.

— I jeszcze trochę na siniak na mojej głowie — wymamrotał.

Tym razem Wade zaskoczył go, gdyż nie zaprotestował. Dobrze, pomyślał z zadowoleniem, chociaż ból nie ustępował. Jesteś twardszy, niż sądziłem, Wade. Musisz być, bo zaraz się dowiesz, co jeszcze przygotowałem dla ciebie.

Miał wrażenie, jakby woda utleniona przeżarła mu się przez czaszkę do mózgu. Zadygotał.

— Świetnie. A teraz widzisz tę tubkę w apteczce? To maść z potrójnym antybiotykiem. Posmaruj siniak na głowie i wetrzyj sporo w ranę po kuli.

Wade poruszał się coraz pewniej. Buchanan poczuł, że opaska wpija mu się w ramię. Było nabrzmiące i kompletnie bez czucia, jeśli nie liczyć bólu dookoła rany.

— Prawie skończone — rzekł do Wade'a. — Jest tylko jeszcze jedna rzecz, którą musisz zrobić.

— Jeszcze jedna? Jaka?

— Miałeś rację. Potrzebuję szwów.

— O czym ty, u diabła, mówisz?

— Chcę, żebyś mnie zszył.

— Zszył cię? Jezu Chryste.

— Posłuchaj mnie. Bez szwów dostanę krwotoku, jak tylko zdejmę opaskę. W tej foliowej torebce jest sterylna chirurgiczna igła i nić. Umyj ręce alkoholem, otwórz torebkę i zszyj mnie.

— Ale ja nigdy nie robiłem czegoś takiego i...

— To nic trudnego — odparł Buchanan. — Nie obchodzi mnie, czy zrobisz to równo, poza tym powiem ci, jak robić supły. Ale trzeba to zrobić. Gdybym mógł sięgnąć tak daleko zdrową ręką, sam bym to zrobił.

— Będzie bolało — protestował Wade. — Mam niewprawną rękę. Potrzebujesz środka przeciwbólowego.

— Nawet gdybym miał, nie ryzykowałbym użycia go. Muszę być przytomny. Mam tak mało czasu. Kiedy będziemy jechali do Meridy, musisz powiedzieć mi wszystko na temat nowej tożsamości, którą mam przybrać.

— Buchanan, i tak wyglądasz, jakbyś zaraz miał stracić przytomność.

— Ty sukinsynu, nigdy więcej mi tego nie rób.

— Czego? O czym ty...?

— Nazwałeś mnie Buchanan. Zapomniałem o Buchananie. Nie wiem, kto to jest. W trakcie tego zadania moje nazwisko brzmi Ed Potter. Jeśli będę reagował na nazwisko Buchanan, mogę zginąć. Od tej chwili... Nie, nie mam racji. Nie nazywam się już Ed Potter. Nazywam się... Powiedz mi, kim teraz jestem. Jaka jest moja nowa tożsamość? Jaki życiorys? Czym się zajmuję, żeby zarobić na chleb? Czy jestem żonaty? Mów do mnie, do diabła, kiedy będziesz mnie szył.

Przeklinając, grożąc i rozkazując, Buchanan zmusił Wade'a do sięgnięcia po zakrzywioną chirurgiczną igłę. Z każdym jej wbiciem mocniej zaciskał zęby, aż rozboleła go szczeka. Jedyną

rzeczą, która pozwoliła mu zachować przytomność, była desperacka potrzeba zapoznania się z nową osobowością. Miał się teraz nazywać Victor Grant. Z Fort Lauderdale na Florydzie. Przerabia motorówki i jachty, specjalizując się w instalowaniu sprzętu audiowizualnego. Był w Cancun, żeby porozumieć się z klientem. W razie konieczności mógł podać nazwisko i miejscowy adres klienta. Klient, współpracujący z pracodawcami Buchanana, poręczyłby za Victora Granta.

— Okay — rzekł Wade. — Wygląda to nie najpiękniej, ale wytrzyma.

— Rozetrzyj maść antybiotykową na grubym opatrunku. Przyciśnij go do rany. Owiń kilka razy bandażem i oklej bandaż taśmą. — Buchanan pocił się z bólu, mięśnie miał sztywne. — Dobrze — powiedział. — Teraz zdejmij opaskę.

Poczuł, jak krew napływa mu do ramienia. Gdy odrętwienie się zmniejszyło, rękę zaczęły przeszywać dreszcze i przenikliwy ból stał się jeszcze gorszy. Tym się jednak nie martwił. Ból mógł znieść. Ból był chwilowy, lecz gdyby szwy puściły i gdyby dostał krwotoku, nie musiałby już przejmować się swoją nową tożsamością ani dotarciem do Meridy, zanim zostanie tam wysłany jego portret, ani pytaniami urzędnika — paszportowego na lotnisku. Żadne z tych zmartwień nie miałyby już znaczenia. Ponieważ wykrwawiłby się na śmierć.

Przez długą chwilę przyglądał się bandażowi. Krew nie przesiąkała.

— Okay, ruszajmy się.

— Najwyższy czas — rzekł Wade. — Właśnie widzę światła z tyłu.

Zamknął apteczkę, trzasnął drzwiami po stronie Buchanana, okrążył samochód, wsiadł i odjechał, zanim światła zdażyły się zbliżyć.

Buchanan odchylił głowę do tyłu, oddychając chrapliwie. W ustach miał przeraźliwie sucho.

— Wade, masz coś do picia? — zapytał.

— Przykro mi. Nie pomyślałem o tym.

— Cudownie.

— Może gdzieś znajdziemy coś otwartego.

— Pewnie.

Patrzył prosto przed siebie, obserwując blask reflektorów samochodu rozcinających ciemność. Powtarzał sobie, że nazywa się Victor Grant. Z Fort Lauderdale. Przerabia łodzie wypoczynkowe. Elektronika. Rozwiedziony. Bezdzienny. Tropikalna dżungla napierała z obu stron wąskiej drogi. Co jakiś czas widział pocięte maczetami palmy, z których ściągnięto żywicę, używaną do produkcji gumy do żucia. Dostrzegał też grupki krytych słomą chat, świadom, że ich mieszkańcy to Majowie, z szerokimi twarzami, wysoko osadzonymi kośćmi policzkowymi i powiekami z charakterystyczną fałdą, tacy sami jak ich przodkowie, budowniczo wiełkich monumentów Chachen Itza i innych starożytnych miast półwyspu Yucatan, które teraz leżały w ruinach. Raz na jakiś czas dostrzegał przytłumione światło w otwartych drzwiach chaty i rodzinę śpiącą na wszelkiego rodzaju hamakach, które pozwalały im oddychać chłodnym powietrzem i zabezpieczały przed pełzającymi w nocy gadami, gdyż Yucatan znaczy „miejsce węży”. Ilekroć samochód zbliżał się do grupy krytych strzechą chat, najwyraźniej wioski, na krawędzi drogi pojawiał się znak „Tope!” — „zwolnij” — a potem, obojętne jak wolno jechałby Wade, samochód wpadał w dziurę i podrzucał Buchanana tak, że jego głowa odbijała się od zagłówek fotela, brutalnie jątrząc ból w czaszce i ramieniu. Prawą rękę ponownie opanowały drgawki. Z dala od morza wilgotność powietrza na półwyspie zdawała się dusząca. Jednak okna w samochodzie, ze względu na ogromną ilość owadów, należało trzymać zamknięte. Victor Grant. Fort Lauderdale. Łodzie wypoczynkowe. Elektronika.

Stracił przytomność.



Pomimo mgły, która tłumiła światło księżyca i gwiazd, Balam–Acab nie miał żadnych trudności z poruszaniem się po dżungli nocą. Częściowo dlatego, że urodził się w tym regionie. Po trzydziestu latach czuł się w tropikalnym lesie jak w domu. Dżungla była jednak żywym stworzeniem, zmieniającym się bez przerwy. Balam–Acab dlatego tylko mógł z taką pewnością kroczyć między stłoczonymi drzewami i zwieszającymi się lianami, że przez cienkie podeszwy sandałów cały czas wyczuwał kamienie. W końcu pokonywał już tę trasę wiele razy. Przyzwyczajenie oddawało nieocenione usługi.

Idąc w ciemnościach, pozwolił płaskim, wygładzonym kamieniom kierować swymi krokami. Podczas dnia niedoświadczony obserwator nie dostrzegłby układającego się z nich wzoru. Wyrastały pomiędzy nimi drzewa.

Przykrywały je krzewy. Balam–Acab wiedział jednak, że przed tysiącem lat tworzyły nieprzerwaną ścieżkę, którą starożytni nazywali *sacbe*, „biała droga”. Nazwa mogła wydawać się myląca, gdyż kamienie były bardziej szare niż białe, lecz nawet taka zapuszczona, droga sprawiała imponujące wrażenie.

O ileż bardziej imponująca musiała wydawać się w czasach starożytnych przed przybyciem hiszpańskich konkwistadorów, kiedy przodkowie Balama–Acaba rządili tą krainą! Istniał czas, kiedy drogi Majów przedzielały cały Jukatan. Drzewa zostały wykarczowane, przez dżunglę poprowadzono przecinki. Na oczyszczonym gruncie układano kamienie, tworząc poziom, który znajdował się od pięćdziesięciu do stu centymetrów nad ziemią. Następnie na kamienie sypano łupkę, by wyrównać dziury, i całość pokrywano betonem sporządzonym z palonego, sproszkowanego wapienia zmieszanego ze żwirem i wodą.

Ścieżka, którą szedł teraz Balam–Acab, była kiedyś gładką drogą, szeroką na niemal pięć metrów i długą na ponad sto kilometrów, lecz od czasu gdy tak wielu jego przodków zostało wymordowanych, nikt nie oczyszczał jej i nie reperował. Stulecia deszczów rozpuściły beton i rozmyły łupkę, odsłaniając kamienie, naruszając ich strukturę, podobnie jak czyniły to bujna — roślinność i bardzo częste na tym obszarze trzęsienia ziemi. Teraz tylko ktoś tak dobrze znający stare sposoby i zestrojony z duchem dżungli jak Balam–Acab mógł pewnie kroczyć ścieżką w mglistych ciemnościach.

Przechodząc z kamienia na kamień, omijając niewidoczne drzewa, wyczuwając liany i pochylając się pod nimi, wyczulony na najmniejszą niepewność gruntu, Balam–Acab zachowywał idealną równowagę. Musiał, bo gdyby upadł, nie mógłby pomóc sobie rękami. Jego ręce były zajęte, niósł bowiem drogocenną misę zawiniętą w miękką, ochronną płachtę. Balam–Acab przyciskał misę do piersi. W tych okolicznościach wołał nie ryzykować chowania jej do plecaka razem z innymi ważnymi przedmiotami. Zbyt często plecak uderzał o gałąź lub pień drzewa. Przedmioty w plecaku były niełamliwe. Ale misa nie.

Wilgoć poszycia łączyła się z potem, który spływał (mu po twarzy i przyklejał bawełnianą koszulę i spodnie do ciała. Balam–Acab nie był wysoki — miał tylko metr sześćdziesiąt wzrostu, tak jak większość mężczyzn z jego plemienia. Był żylasty i chudy. Sprawily to trudy życia i wyżywienie, na jakie skazani byli mieszkańcy wioski położonych w dżungli. Włosy miał czarne i proste, przycięte krótko, by uchronić je przed owadami i wplątywaniem się w gałęzie. Z powodu izolacji tego regionu i niechęci hiszpańskich zdobywców do płodzenia mieszanców, rysy twarzy Balama–Acaba miały te same cechy co twarze przodków, z czasów gdy kultura Majów przeżywała rozkwit. Jego głowa była okrągła, twarz szeroka, kości policzkowe wysunięte. Gruba dolna warga

wyginała się mocno do dołu. Oczy miał ciemne, przypominające kształtem migdały. Powieki — z charakterystyczną mongolską fałdą.

Balam–Acab wiedział, że podobny jest do swoich przodków, ponieważ widział przedstawiające ich ryciny. Wiedział też, jak oni żyli, ponieważ powiedział mu to jego ojciec, który z kolei nauczył się wszystkiego od swojego ojca, a ten od swojego, i tak aż do samych początków plemienia. Wiedział, jak wygląda rytuał, który zamierzał odprawić, gdyż jako władca i szaman wioski został pouczony przez swojego poprzednika, który przekazał mu tajemnice wyjawiane wszystkim kolejnym szamanom od *13.0.0.0. 4 Ahau 8 Cumku*, początku czasu.

Ścieżka zmieniła kierunek, skręcając w lewo. Ani na moment nie tracąc równowagi Balam–Acab przeciskał się pomiędzy drzewami i pochylał pod lianami czując kamienie przez cienkie sandały. Dotarł już prawie do miejsca przeznaczenia. Chociaż szedł niemal bezgłośnie, teraz musiał zachowywać się jeszcze ciszej. Musiał skradać się bezszelestnie niczym polujący jaguar, gdyż wkrótce miał dotrzeć do krawędzi dżungli, a dalej, na świeżo wyciętej polanie, stali strażnicy.

Nagle Balam–Acab wyczuł ich zapach, zapach tytoniowego dymu i smaru do karabinów. Z drgającymi nozdrzami stanął, wpatrzony w ciemności, oceniając dystans i kierunek. Po chwili ruszył dalej, zmuszony opuścić pradawny szlak i skręcić bardziej w lewo. Ponieważ nowi zdobywcy przybyli, by ścinać kolejne drzewa i wysadzać dynamitem skały, by wygładzać ziemię i budować pas startowy, Balam–Acab wiedział, że zbliża się katastrofa wyprorokowana przez jego przodków. Tych intruzów przepowiedziano tak samo jak pierwszych najeźdźców. Balam–Acab wiedział, że czas porusza się po okręgu, a każdym jego okresem rządzi inny bóg.

W tym wypadku grzmot dynamitu przypominał mu grzmot zębatego boga deszczu, *Chaca*, ale również huk licznych na tym terenie trzęsień ziemi, które zawsze oznaczały, że bóg świata podziemnego, bóg ciemności, się gniewa. A kiedy ten bóg się gniewał, wtedy sprawiał ból. Balam–Acab nie mógł się jeszcze zdecydować, czy bóg podziemia i ciemności wpadł w furję przez nowych najeźdźców, czy też zesłał ich jako karę dla swego ludu.

Wiedział tylko, że należy niezwłocznie rozpocząć rytuały błagalne, modły i ofiary, gdyż inaczej sprawdzi się przepowiednia ze starożytnej „Kroniki Chilam Balama”. Jeden ze znaków, choroba zabijająca palmy, już się spełnił:

*Tego dnia kurz przykrywa ziemię.  
Tego dnia zaraza spada na ziemię.  
Tego dnia chmury wiszą nisko.  
Tego dnia góra wznosi się w powietrze.  
Tego dnia silny mężczyzna chwyta ziemię.  
Tego dnia rzeczy obracają się w ruinę.*

Balam–Acab bał się strażników, lecz jednocześnie wierzył, że jego misja się powiedzie. W końcu, gdyby bogowie nie chcieli być przebłagani, gdyby naprawdę opanowała ich furia, ukaraliby Balama–Acaba już wcześniej.

Nigdy nie pozwoliliby mu dojść tak daleko. Tylko ktoś obdarzony łaską bogów mógł maszerować w ciemnościach i nie zostać ukąszony przez któregoś z rojących się dookoła węży. W świetle dnia można było dostrzec węża i obejść go lub — narobiwszy hałasu — przestraszyć, lecz idąc w ciszy przez ciemności nocy? Nie. Niemożliwe. Bez ochrony bogów Balam–Acab nadepnąłby nie na kamień, lecz na śmierć.

Gęstość mroku zmieniła się w jednej chwili. Mgła zdawała się rozpraszać. Balam–Acab dotarł do skraju dżungli. Przycupnąwszy przy ziemi, wdychając świeże zapachy kontrastujące z ostrym

odorem potu strażników, skoncentrował się na nocy i nagle — jakby niewyczuwalna bryza owiała polanę — mgła zrzędła. Nieoczekiwanie, widząc ponownie blask księżyca i gwiazd, Balam–Acab miał wrażenie, że noc zamieniła się w dzień. Jednocześnie nabrał dziwnej pewności, że kiedy wyczołga się z dżungli na polanę, strażnicy nie będą w stanie go zobaczyć. Dla nich mgła nadal istniała. Miała go otoczyć. Uczynić niewidzialnym.

Jednak Balam–Acab nie był głupcem. Kiedy wyszedł z dżungli, pobiegł szybko, trzymając się nisko, blisko ziemi, starając się nie zdradzić swojej obecności. W pełnym teraz świetle gwiazd i księżyca mógł rozejrzeć się dookoła i z niepokojem ujrzał, jak dalece najeźdźcy posunęli się naprzód w swojej pracy w ciągu marnych dwóch dni. Rozległy obszar lasu został wykarczowany, odsłaniając pokryte zaroślami kopce i wzgórki. Przy braku drzew zasłaniających dotąd widok, ujawniły się kontury większych wyniosłości. Balam–Acab nazywał je w myślach górami, lecz żadna z nich nie była górą przepowiedzianą jako znak końca świata w starożytnej „Kronice Chilam Bałama”.

Nie, te góry stanowiły część ducha wszechświata. Oczywiście, nie powstały w sposób naturalny. W końcu ten obszar półwyspu Jukatan nazywano równiną. Kopce, wzgórza, a już na pewno góry nie miały prawa tu istnieć. Wszystkie zostały wzniesione przez ludzi, przez starożytnych przodków Balama–Acaba, przed ponad tysiącem lat. Chociaż gęszcz kamuflował ich schody, portale, rzeźby i ryciny, Balam–Acab wiedział, że wzniesienia te są pałacami, piramidami i świątyniami. Stanowiły część ducha wszechświata, gdyż starożytni, którzy je zbudowali, wiedzieli, w jaki sposób Podziemia, Środek i wspinały Łuk Niebios łączą się ze sobą. Starożytni wykorzystali swą znajomość tajemnic poruszającego się słońca, by dokładnie określić, gdzie mają stanąć pomniki na cześć bogów, a robiąc to skierowali energię Podziemia i niebiańskich bogów w kierunku Środka i tego świętego obszaru.

Szukając wzrokiem uzbrojonych intruzów Balam–Acab dotarł do najwyższej góry. Kopacze szybko usuwali roślinność na poziomie ziemi, lecz kiedy docierali do wzniesienia, zostawiali ją zawsze nienaruszoną, zamierzając zapewne powrócić i zniszczyć ją później. Balam–Acab przyjrzał się krzewom i młodym drzewkom, które w jakiś sposób zdołały zapuścić korzenie pomiędzy ogromnymi kamiennymi blokami tworzącymi tę świętą budowlę. Balam–Acab wiedział, że gdyby nie krzewy i drzewka, to, co wyglądało jak góra, okazałoby się potężną schodkową piramidą, ze znajdującą się na jej szczycie świątynią poświęconą bogu Kukulcanowi, które to imię oznacza upierzonego węża”.

I rzeczywiście, podniszczona kamienna rzeźba przedstawiająca głowę gigantycznego węża — paszcza otwarta, zęby przygotowane do ataku — wystawała z zarośli u stóp piramidy. Z bijącym sercem, mając pewność, że nikt go nie zauważył, coraz bardziej przekonany, że bogowie mu sprzyjają, Balam–Acab przycisnął owiniętą w płachtę misę do piersi i zaczął długą, męczącą wspinaczkę na szczyt.

Każdy stopień sięgał mu do kolan, a piramida wznosiła się bardzo stromo. Za dnia nawet żmudna wspinaczka mogła powodować zawroty głowy, nie mówiąc o tym, że była niebezpieczna, gdyż setki korzeni i stulecia deszczów naruszyły stopnie i pozmiały położenie kamieni. Potrzebował całej swojej siły i skupienia, żeby nie stracić równowagi w mroku, nie stanąć na obluzowanym kamieniu i nie spaść. Nie troszczył się o własne bezpieczeństwo. Gdyby było inaczej, nie ryzykowałby narażając się na ukąszenia węży lub strzały strażników. Troszczył się jednak o drogocenne przedmioty, które niósł w plecaku, a szczególnie o zawiniętą w płachtę świętą misę, którą przyciskał do piersi. Nie śmiałyby upaść i stłuc misy. To byłoby niewybaczalne. I z pewnością ściągnęłoby na niego gniew bogów.

Wspinając się, z bolącymi kolanami, cały mokry od potu, Balam–Acab liczył w myślach. Tylko w ten sposób mógł odmierzać przebytą drogę, gdyż krzewy i drzewka uniemożliwiały mu

dostrzeżenie kwadratowej świątyni na spiczastym czubku piramidy. Dziesięć, jedenaście, dwanaście... Sto cztery, sto pięć... Wkrótce, pomyślał. Już widział szczyt na tle gwiazd. Trzysta... Wreszcie, z mocno bijącym sercem, dotarł na płaską przestrzeń przed świątynią.

Trzysta sześćdziesiąt pięć. Ta święta liczba wyznaczała wszystkie dni w roku słonecznym i została ustalona przez przodków Balama–Acaba na długo przed tym, nim hiszpańscy konkwistadorzy po raz pierwszy przybyli na Jukatán w XVI wieku. Inne święte liczby również wbudowano w konstrukcję świątyni — dwadzieścia tarasów, na przykład, symbolizowało dwudziestodniowe odcinki, na które starożytni dzielili swój krótszy, liczący dwieście sześćdziesiąt dni, rok obrzędowy. Kiedyś również szczyt świątyni otaczały pięćdziesiąt dwa wyobrażenia węża, gdyż czas toczył się w pięćdziesięciodwuletnich cyklach.

Właśnie okręgi zajmowały myśli Balama–Acaba, kiedy delikatnie postawił misę na ziemi i odwinął płachtę. Misa, szeroka jak odległość od jego kciuka do łokcia, gruba jak sam kciuk, była stara, tak, najwyraźniej bardzo stera, nie miała już jaskrawych kolorów, tylko matową, ciemną wewnętrzną polewę i ktoś mógłby nazwać ją brzydką.

Okręgi, myślał Balam–Acab. Poruszał się szybko. Nie musiał już uważać na bezcenną misę, więc zdjął plecak i wyciągnął z niego obsydianowy nóż, długi sznur z wszyszymi cierniami i kawałki papieru zrobionego z kory drzewa figowego. Szybko ściągnął wilgotną od potu koszulę, ukazując bogu nocy swoją chudą pierś.

Okręgi, cykle, zmiany. Balam–Acab ustawił się przed wejściem do świątyni, twarzą na wschód, tam gdzie słońce codziennie zaczynało swój cykl w kierunku symbolu powtórnych narodzin. Z tego wysokiego punktu widział przestrzeń wokół piramidy. Nawet w ciemnościach zauważał, czy raczej wyczuwał, jak wielki obszar najeźdźcy pozbawili drzew. Rozróżniał też szary teren pasa startowego pół kilometra dalej w prawo. Widział postawione przez najeźdźców potężne namioty i długie budynki, które wznosili ze ściętych drzew. Ujrzał kilka ognisk, których nie mógł dostrzec z dżungli i cienie uzbrojonych strażników. Niedługo nadlecą kolejne samoloty z nowymi zdobywcami i maszynami. Kolejne gigantyczne helikoptery przywiozą nowe ciężkie pojazdy. Ziemia zostanie jeszcze bardziej splugawiona. Już wycinano buldożerami drogę przez dżunglę. To musiało się skończyć.

Cykle. Zmiany. Ojciec Balama–Acaba powiedział mu, że jego imię ma długą historię w wiosce. Przed wiekami, kiedy przybyli pierwsi najeźdźcy, imiennik Balama–Acaba poprowadził oddział wojowników próbując wypchnąć Hiszpanów z Jukatánu. Walki ciągnęły się przez kilka lat, potem imiennika Balama–Acaba schwytano i pocięto na kawałki, a następnie spalono. Jednak sława buntownika nie zginęła po jego śmierci, przetrwała stulecia i Balam–Acab był dumny ze swojego imienia, które jednak nakładało na niego pewne ograniczenia.

Ale nadano mu je nieprzypadkowo. Historia toczyła się po kole, a Majowie ponownie wystąpili przeciwko oprawcom. Wyzuci z własnej kultury, zamienieni w niewolników, buntowali się w XVII wieku, potem w XIX, a wreszcie na początku wieku XX. Za każdym razem ponosili krwawą porażkę. Wielu musiało wycofać się do najbardziej odległych części dżungli, by uniknąć zemsty i straszliwych chorób przynoszonych przez białych.

A teraz najeźdźcy pojawili się ponownie. Balam–Acab wiedział, że jeśli nie zostaną powstrzymani, jego wioska ulegnie zniszczeniu. Okręgi, cykle, zmiany. Przybył tutaj, by złożyć ofiarę bogom, by prosić o ich mądrość, modlić się o ich radę. Potrzebował wskazówek. Ten rytuał został przed stuleciami odprawiony przez jego poprzednika. Teraz, niepokalany, miał odbyć się ponownie.

Unióś obsydianowy nóż. Krawędź czarnego wulkanicznego szkliwa — „pazura błyskawicy” — była ostra jak sztylet. Balam–Acab zbliżył nóż do spodniej strony wyciągniętego języka i

starając się nie myśleć o bólu, pchnął do góry. Musiał zacisnąć zęby na języku, żeby nie ześlizgnął się pod naporem noża. Krew trysnęła mu na dłoń. Zadrzał.

Pomimo to dalej pchał w górę. Dopiero kiedy obsydianowy czubek przeszedł w całości przez język i dotknął górnych zębów, Balam–Acab wyciągnął nóż. Łzy pociekły mu z oczu. Zdusił jęk. Cały czas przytrzymując język zębami, odłożył nóż i sięgnął po sznur z cierniami. Tak jak robili to jego przodkowie, wcisnął sznur do dziury w języku i począł ciągnąć go w górę. Pot wystąpił mu na twarzy, tym razem nie z wilgoci i wysiłku, lecz z bólu. Pierwszy cierń dotarł do otworu w języku. Chociaż stawiał opór, Balam–Acab przeciągnął go na drugą stronę. Krew pociekła po sznurze, ciągnął dalej, przeciskając następny cierń. I jeszcze jeden. Krew spływała po sznurze, mocząc kawałki papieru leżące wraz z jego końcem w drogocennej misie. Z tyłu świątyni znajdowały się obrazy przedstawiające przodków Balama–Acaba odprawiających ten sam rytuał. W niektórych wypadkach król zamiast języka przebijał swój penis i przez niego przeciągał ciernie, lecz bez względu na to, jakiej części ciała używano, cel zawsze był ten sam — by przez ból i krew popaść w trans, wywołać wizje, nawiązać kontakt ze światem podziemnym, zrozumieć, co radzą i czego żądają bogowie.

Oslabiony, Balam–Acab upadł na kolana, jakby chciał modlić się do splamionych krwią kawałków papieru. Po przeciągnięciu wszystkich cierni przez otwór w języku miał położyć sznur w misie. Potem dodać papieru i wrzucić jeszcze kulę pachnącej żywicy. Następnie, używając zapalek — było to jedyne odstępstwo od rytuału, na jakie sobie pozwalał — miał podpalić ofiarę, którą złożył, dodając w razie potrzeby więcej papieru, by płomienie zagotowały, a następnie spaliły jego krew.

Szumiało mu w głowie. Zachwiał się, mobilizując wolę, by utrzymać deliryczną równowagę pomiędzy świadomością a jej utratą, bowiem jego przodkowie nigdy nie odprawiali tego rytuału bez pomocy innych, podczas gdy on musiał powstać i samotnie powrócić przez dżunglę do wioski.

Zdawało mu się, że bogowie zaczynają do niego przemawiać. Usłyszał ich, na samej krawędzi słyszalności. Czuł ich obecność, czuł...

Opanowało go drżenie. Nie od bólu czy wstrząsu. Drżenie nadchodziło z zewnątrz, przez kamienie, na których klęczał, przez piramidę, na szczycie której odprawiał swój rytuał, przez ziemię, pod którą leżał bóg ciemności, do którego się zwracał.

Drżenie wywołane było falą uderzeniową po eksplozji dynamitu, gdyż ekipa pracowała również po zmroku. Huk zabrzmiał jak jęk wściekłego boga.

Balam–Acab sięgnął po zapaliki, zapalił jedną i rzucił na kawałki papieru zanurzone w jego krwi, w świętej misie.

Okregi.

Czas zawrócił ponownie.

To święte miejsce zostało zbezczeszczone.

Należało zaatakować najeźdźców.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

### 1

Kiedy Buchanan się obudził, był cały mokry od potu, a usta miał spieczone gorączką. Połknął kilka aspiryn z apteczki, dławiąc się niemal i z trudem przepychając pastylki przez wysuszone gardło. Świtało. Razem z Wade'em znajdowali się w Meridzie, trzysta dwadzieścia dwa kilometry na zachód od Cancun, tam gdzie półwysep Yukatan graniczy z Zatoką Meksykańską. W odróżnieniu od Cancun Merida, ze swoimi wielkimi rezydencjami z przełomu wieków, zachowała atmosferę Starego Świata. Miasto nazywano nawet kiedyś Paryżem Zachodniego Świata, gdyż w dawnych, bogatszych czasach kupcy milionerzy z rozmysłem próbowali upodobnić je do Paryża, gdzie często jeździli na wakacje. Merida nadal miała wiele ze swego europejskiego uroku, lecz Buchanan był zbyt wyczerpany, by zwracać uwagę na trzypasmowe aleje i konne zaprzęgi.

— Która godzina? — zapytał, gdyż nie miał siły spojrzeć na zegarek.

— Ósma. — Wade zaparkował koło zamkniętego jeszcze supermarketu. — Pozwolisz, że zostawię cię na chwilę?

— Dokąd idziesz?

Wade odpowiedział, lecz Buchanan nie dosłyszał jego słów, oszołomiony i półprzytomny.

Kiedy ocknął się ponownie, Wade otwierał forda i wsiadał do środka.

— Przepraszam, że trwało to tak długo.

Tak długo? — pomyślał Buchanan.

— Co masz na myśli? — Dwoiło mu się w oczach. Miał opuchnięty język. — Która jest godzina?

— Prawie dziewiąta. Większość sklepów jest jeszcze zamknięta. Ale udało mi się kupić trochę wody.

Wade otworzył butelkę i przyłożył ją do spierzchniętych warg Buchanana.

Usta Buchanana niczym sucha gąbka pochłoneły większość płynu. Trochę wody pociekło mu po brodzie. Sfrustrowany, spróbował ponownie i tym razem udało mu się przełknąć wszystko.

— Daj mi jeszcze parę aspiryn.

W gardle rzeziło mu, jakby miał tam kamienie.

— Wciąż gorączkujesz?

Buchanan krzywiąc się skinął głową.

— A ten cholerny ból głowy po prostu nie chce ustąpić.

— Wyciągnij rękę. Podam ci aspirynę.

Lewa ręka Buchanana była słaba, a prawą ponownie opanowały drgawki.

— Lepiej włóż mi ją do ust.

Wade zmarszczył brwi.

Buchanan połknął pastylki popijając je wodą.

— Musisz zachować siły — rzekł Wade. — Nie przeżyjesz na samej wodzie. Przyniosłem ci pączki, mleko i kawę.

— Nie sądzę, żeby mój żołądek przyjął pączki.

— Niepokoisz mnie — powiedział Wade. — Powinieneś być pójść do tego lekarza w Cancun.

— Rozmawialiśmy już o tym — wymamrotał Buchanan. — Muszę wyjechać z kraju, zanim policja roześle mój portret pamięciowy.

— Cóż, co powiesz w takim razie na sok pomarańczowy? Spróbuj przynajmniej trochę.

— Tak — stęknął. — Sok pomarańczowy.

Udało mu się przełknąć trzy łyki.

— Znalazłem kobietę rozpakowującą skrzynki, przygotowywała się do otwarcia sklepu — rzekł Wade. — Sprzedała mi ten słomkowy kapelusz. To ukryje siniak na twojej głowie. Przyniosłem ci też poncho. Możesz zarzucić je sobie na ramię, kiedy będziesz przechodził przez kontrolę paszportową.

— Dobrze — odparł słabo Buchanan.

— Wcześniej zadzwoniłem do kilku linii lotniczych. Tym razem miałeś szczęście, Aeromexico ma miejsce w samolocie na Florydę.

Buchanan rozpogodził się w duchu. Już niedługo, pomyślał. Niedługo będę w Stanach. Mogę przespać się w samolocie. Wade zadzwoni i grupa będzie czekała na lotnisku, żeby zabrać mnie do kliniki.

— Ale jest pewien problem — rzekł Wade.

— Problem? — Buchanan zmarszczył brwi.

— Samolot startuje dopiero za dziesięć pierwsza.

— Za...? Ale to... za ile...? Dopiero za cztery godziny.

— To najwcześniejszy samolot, który udało mi się załatwić. Inny odleciał wcześniej do Houston. Było wolne miejsce, ale samolot robił międzylądowanie.

— Co mnie obchodzi międzylądowanie? Dlaczego nie zarezerwowałeś mi w nim miejsca?

— Bo samolot zatrzymywał się w Cozumel i mężczyzna, z którym rozmawiałem, powiedział, że trzeba wysiąść z samolotu, a potem wejść na pokład ponownie.

Cholera, pomyślał Buchanan. Cozumel, niedaleko Cancun, było jednym z lotnisk, których należało unikać. Gdyby musiał opuścić samolot i przejść przez punkt kontrolny, strażnik mógłby...

— W porządku, więc dwunasta pięćdziesiąt do Miami.

— Na lotnisku nie będę mógł kupić dla ciebie biletu. To zwraca uwagę. Poza tym kasjer na pewno zechce zobaczyć paszport Victora Granta. Bardzo niewielu ludzi daje komuś innemu swój paszport, szczególnie kiedy mają wyjechać z kraju. Jeśli policja powiedziała urzędnikom, żeby zwracali uwagę na każdego, kto zachowuje się podejrzanie, to takie zachowanie może sprawić, że będą chcieli cię zatrzymać i przesłuchać.

— Przesłuchać nas obu. — Buchanan robił wszystko, żeby nie dwoiło mu się w oczach. — Masz rację. Sam kupię sobie bilet. — Wyrzwał przez okno, widząc kolejne samochody i pieszych mijających forda. — Myślę, że powinniśmy już stąd odjechać. Nie podoba mi się, że tak stoimy.

— Słusznie.

Gdy Wade włączył się do ruchu, Buchanan sięgnął drżącą ręką do tylnej kieszeni i wyciągnął wodoodporny plastikowy woreczek.

— Oto paszport i prawo jazdy Eda Pottera. Bez względu na to, jakiego pseudonimu używam, zawsze noszę przy sobie dokumenty. Nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się przydać.

Wade przyjął plastikowy woreczek.

— Nie mogę dać ci oficjalnego pokwitowania. Nie mam przy sobie żadnych formularzy.

— Pieprz pokwitowanie. Daj mi tylko dokumenty Victora Granta.

Wade podał mu brązowy skórzany portfel na dokumenty. Buchanan wziął go i raptem poczuł, że przestaje być Edem Potterem i przeistacza się w Victora Granta. Pomimo osłabienia natychmiast zaczął wyobrażać sobie cechy swojego nowego charakteru (włoskie jedzenie, dixieland...). Jednocześnie otworzył portfel i sprawdził jego zawartość.

— Nie martw się — rzekł Wade. — Wszystko jest na miejscu. Łącznie z kartą turystyczną.

— Zawsze się martwię. — Buchanan przeglądał dokumenty. — Dlatego udało mi się przeżyć tak długo. Nigdy nie ufam niczyjemu słowu... Tak. W porządku, jest tu karta turystyczna i wszystko inne. Gdzie schowałeś tę buteleczkę z aspiryną?

— Nie mów mi, że wciąż cię boli głowa. — Wade wyglądał na zaniepokojonego.

— I to coraz bardziej. — Buchanan nie ufał swojej drżącej dłoni. Podnosząc lewą, która sprawiała wrażenie, jakby była z drewna, włożył sobie kilka pastylek do ust i popił je sokiem pomarańczowym.

— Jesteś pewien, że chcesz to zrobić?

— Chcę? Nie. Muszę? Tak. Okay, omówmy wszystko. Zostawiłem w Cancun sporo nie załatwionych spraw. — Oddychanie przychodziło mu z trudem — Starał się pokonać zmęczenie. — Tu są moje klucze. Kiedy wrócisz do Cancun, zlikwiduj biuro mojej firmy. Wiesz, od kogo je wynająłem. Zadzwoń do niego. Powiedz mu, że wypadłem z interesu. Powiedz, że może zatrzymać resztę czynszu i że odeślesz klucze, kiedy tylko zabierzesz moje rzeczy.

— W porządku.

— Zrób to samo z moim mieszkaniem. Wyczyść wszystko. Znasz miejsca, których używałem w Acapulco, Puerto Vallarta i innych kurortach. Wyczyść je wszystkie. — Głowa Buchanana pulsowała bólem. — Co jeszcze? Czy jest coś, o czym...?

— Tak.

Wade wjechał na Paseo de Mayo, główną aleję Meridy. Buchanan patrzył obojętnie na porośniętą trawą wysepkę oddzielającą poszczególne pasma jezdni oczekując dalszego ciągu.

— Ludzie, których zwerbowałeś — rzekł Wade. — Będą ciekawi, co się z tobą stało. Zaczną zadawać pytania. Z ich egzystencji też trzeba cię wymazać.

Oczywiście, pomyślał Buchanan. Dlaczego o tym zapomniałem? Jestem bardziej oszołomiony, niż sądziłem. Muszę się skupić.

— Czy pamiętasz skrzynki kontaktowe, których używałem, żeby przekazywać im wiadomości? — Wade skinął głową. — Zostawię każdemu z nich list z jakimś wyjaśnieniem na temat kłopotów z policją oraz z ostatnią zapłatą, która będzie na tyle szczodra, żeby zamknąć im usta.

Buchanan zamyślił się.

— W porządku. Czy to już wszystko? Zawsze jest jeszcze coś, jakiś ostatni szczegół.

— Jeśli tak, to nie wiem, co by to mogło...

— Bagaż. Kiedy będę kupował bilet, bez torby, zwrócę na siebie uwagę.

Wade zjechał z Paseo de Mayo, zatrzymując się w bocznej uliczce. Sklepy były już otwarte.

— Nie mam siły, żeby dźwigać coś ciężkiego. Upewnij się, że walizka ma kółka. Będzie mi też potrzebna bielizna, skarpetki, koszulkę... — podał Wade'owi swoje wymiary.

— Tak, w porządku. — Wade wysiadł z forda. — Poradzę sobie, Buchanan, robiłem to już wcześniej.

— Ty skurwysynu.

— Co?

— Powiedziałem ci, nie nazywaj mnie Buchanan. Jestem Victor Grant.

— Słusznie, Victor — rzekł Wade sucho. — Nie chciałbym, żebyś zapomniał, kim jesteś. — Zaczął zamykać drzwi, a potem zatrzymał się. — Hej, w czasie kiedy nie ćwiczysz swojego tekstu, to znaczy kiedy mnie nie obrażasz, spróbuj zjeść trochę pączków, żebyś nie upadł na twarz, kiedy najdziesz się na lotnisku.

Buchanan patrzył, jak lekko łysiejący, tęgawy mężczyzna w cytrynowej koszulce polo znika w tłumie. Potem zablokował drzwi, odchylił głowę do tyłu i poczuł, że prawa ręka ponownie zaczyna się trząść. Jego całe ciało przeszył dreszcz. Gorączka, pomyślał. Dobiera się do mnie. Tracę kontrolę. Wade pomaga mi przeżyć. Co ja robię? Po co go denerwuję?



Buty Buchanana dotknęły leżącej na podłodze torebki z pączkami. Myśl o jedzeniu wywoływała nudności. Podobnie jak ból w ramieniu. I w czaszce. Zadrżał. Jeszcze parę godzin, powiedział sobie. Trzymaj się. Musisz tylko przejść przez lotnisko. Zmusił się, żeby wypić trochę soku pomarańczowego. Kwaśna słodycz sprawiła, że dostał mdłości. Victor Grant, powiedział sobie koncentrując się i próbując zjeść kawałek pączka. Victor Grant. Rozwiedziony. Fort Lauderdale. Przerabia łodzie wypoczynkowe. Instaluje urządzenia elektroniczne. Victor.

Drgnął gwałtownie, gdy Wade otworzył drzwi i położył walizkę na tylnym siedzeniu.

— Wyglądasz okropnie — powiedział. — Przyniosłem ci maszynkę, krem do golenia, pastę do zębów...

## 2

Pojechali do parku, w którym była publiczna toaleta. Wade zamknął drzwi na zasuwę i stał za Buchananiem, podtrzymując go, gdy ten, pochylony nad umywalką, rozdygotany, starał się ogolić. Próbował uczesać swoje pokryte zakrzepłą krwią włosy, lecz rezultaty nie były najlepsze i zdecydował w końcu, że użyje słomkowego kapelusza, który kupił mu Wade. Wziął wodę z butelki, żeby wyszorować zęby i, częściowo umyty, poczuł się odrobinę lepiej. Jego koszula i spodnie, które morze na tyle oczyściło z krwi, że ludzie nie gapili się na niego ostatniej nocy, w świetle dnia okazały się przeraźliwie brudne i pomięte. Przebrał się w świeże ubranie zakupione przez Wade'a, a gdy wyszli z toalety, wepchnął brudne rzeczy do walizki na tylnym siedzeniu forda. Ponieważ seiko kojarzył mu się z nie istniejącym już teraz Edem Potterem, zamienił go na timexa Wade'a, chcąc za wszelką cenę nadać indywidualny rys swojej nowej postaci.

A potem była już jedenasta.

— Czas na podróż — powiedział Wade.

W przeciwieństwie do rozległego i kolorowego miasta lotnisko było zaskakująco małe i szare. Wade'owi udało się znaleźć miejsce na parkingu przed niską halą terminalu.

— Zaniosę twoją walizkę do wejścia. Ale potem...

— Rozumiem.

Idąc Buchanan rozglądał się ukradkiem i studiował teren. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Skupił się, próbując iść prosto, nie chwiać się, nie zdradzać słabości. Na chodniku przed drzwiami uściśnęli sobie ręce.

— Dzięki — powiedział Buchanan. — Wiem, że parę razy byłem odrobinę szorstki...

— Zapomnij o tym. To nie konkurs popularności. — Wade nie puszczał prawej dłoni Buchanana. — Coś dziwnego dzieje się z twoimi palcami. Trzęsą się.

— Nie ma o czym mówić.

Wade zmarszczył brwi.

— Jasne. Do zobaczenia, Victor. — Podkreślił pseudonim. — Przyjemnego lotu.

— Liczę na to.

Buchanan upewnił się, że poncho przylega ściśle do jego ramienia, ukrywając ranę. Chwytał rączkę walizki i wszedł do terminalu.

## 3

Zauważył kilka rzeczy naraz. Hala była ponura, gorąca, maleńka i zatłoczona. Wszyscy, poza kilkoma *Anglos*, zdawali się poruszać w zwolnionym tempie. Jako jeden z tych *Anglos* Buchanan zwracał uwagę. Meksykańscy podróżni patrzyli na niego, kiedy przeciskał się przez wywołujący klaustrofobię tłum. Pocił się równie mocno jak oni, czując się słaby, żałując, że w terminalu nie ma klimatyzacji. Przynajmniej będzie miał powód, by wyglądać na chorego, pomyślał, próbując nabrać pewności siebie. Stał w denerwująco długiej kolejce do kasy Aeromexico. Minęło pół godziny, zanim dotarł do przystojnej kasjerki. Używając hiszpańskiego powiedział jej, czego potrzebuje. Przez chwilę jego serce zabiło jak oszalałe, kiedy zdawała się nie wiedzieć nic o rezerwacji dla Victora Granta, lecz zaraz potem jego nazwisko pojawiło się na ekranie komputera, a kobieta nadzwyczaj starannie odbiła jego kartę kredytową, poprosiła, żeby podpisał kwit, i oddarła rachunek.

— *Gracias*.

Szybciej, myślał Buchanan. Nogi zaczynały się pod nim uginać.

Z jeszcze większą uwagą kasjerka nacisnęła odpowiednie klawisze komputera i czekała, aż drukarka, która też zdawała się działać w zwolnionym tempie, wypłuje bilet.

Wreszcie Buchanan miał go w rękach, więc rzekł ponownie *gracias*, odwrócił się i pociągnął walizkę, przepychając się przez tłum, tym razem w stronę aparatu rentgenowskiego i wykrywacza metali w punkcie kontrolnym. Miał wrażenie, że śni koszmarny sen, że brnie w błocie oblepiającym kolana. Na moment pociemniało mu w oczach. Potem nagła fala adrenaliny spowodowała przyływ energii. Z wysiłkiem podniósł lewą dłoń, żeby położyć walizkę na pasie transportującym bagaże do aparatu rentgenowskiego, po czym przeszedł przez urządzenie do wykrywania metalu, tak chwiejnie, że mało brakowało, a wpadłby na jedną z jego podpór. Wykrywacz milczał. Uspokojony, że strażnicy nie zwracają na niego uwagi, zdjął walizkę z przeciwległego końca pasa, postawił ją z wysiłkiem na podłodze i znów zaczął cierpliwie przepychać się przez tłum. Upał potęgował ból głowy. Kiedy ktoś trącał go w prawe ramię, musiał używać całej siły woli, żeby nie dać po sobie poznać, jak bardzo cierpi. Już prawie, pomyślał.

Jeszcze dwa punkty kontrolne i koniec. Stał w kolejce do odprawy celnej. W Meksyku panowała swoboda w wielu kwestiach, lecz jeśli chodziło o wywóz z kraju przedmiotów zabytkowych, przepisy były bardzo surowe.

Wychudzony celnik wskazał na walizkę Buchanana.

— *Abralo*. Otwórz ją.

Nie wyglądał na szczęśliwego.

Buchan wykonał polecenie, jego mięśnie pracowały resztką sił.

Celnik przetrząsnął walizkę, rozpromienił się, nie znalazłszy nic podejrzanego, i przepuścił go.

Buchanan ruszył dalej. Jeszcze tylko jedna kontrola, pomyślał. Muszę tylko oddać moją kartę turystyczną i zapłacić piętnaście dolarów opłaty wyjazdowej.

I mieć nadzieję, że oficer straży granicznej nie ma mojego portretu pamięciowego.

Gdy przeciskał się w napięciu przez tłum, usłyszał za sobą niewielki hałas. Odwracając się ujrzał, jak wysoki Amerykanin popycha latynoską kobietę i jej trójkę dzieci. Amerykanin miał siwoczarną brodę. Ubrany był w krzykliwą, żółto-czerwoną koszulę. Trzymał sportową torbę i mruzczał coś pod nosem, pchając się dalej do przodu. Tłum zafalował.

Fala rozszerzyła się w stronę Buchanana. Zaklinowany pomiędzy otaczającymi go ludźmi nie mógł jej uniknąć. Sprężył się tylko, czekając na pchnięcie. Nogi miał tak słabe, że musiał opierać się o ludzi dookoła, żeby nie upaść, lecz kiedy tłum napał na niego, mężczyzna stojący przed nim przesunął się do przodu. Oparty o jego plecy, poczuł nagle, że uginają się pod nim kolana i wyciągnął ręce do przodu, żeby się kogoś przytrzymać. W tym samym momencie kolejna fala tłumu uderzyła go w lewe ramię. Runął w dół, oszołomiony. Miał wrażenie, że wszystko jest

rozmażane i dzieje się w zwolnionym tempie. Ale gdy tylko padł prawym ramieniem na betonową podłogę, promieniujący ból zmienił to radykalnie. Wszystko nagle zaczęło dziać się błyskawicznie, a obraz wydawał się ostro zarysowany. Buchanan był zlany potem. Mało brakowało, a wrzasnąłby z bólu.

Podnosił się z trudem, starając się nie zwracać niczyjej uwagi. Gdy wstał i poprawił poncho na swoim ramieniu, rozejrzał się dookoła i stwierdził, że oficerowie straży granicznej w punkcie kontrolnym nie przejęli się tym, co się stało, zajęci tylko odbieraniem kart turystycznych i piętnastodolarowych opłat.

Podszedł tam i odetchnął widząc, że na biurku nie leży jego portret pamięciowy. W terminalu było tak gorąco i duszno, że spływał wprost potem — klatkę piersiową, ramiona i dłonie miał zupełnie mokre.

Wytarł więc lewą dłoń o spodnie, sięgnął do kieszeni koszuli i podał oficerowi żółtą kartę i piętnaście dolarów. Ten ledwie na niego spojrział. Potem jednak drgnął nagle, zmrużył oczy, zmarszczył czoło i wyciągnął przed siebie rękę.

— *Pasaporte, por favor.*

Dlaczego? — pomyślał Buchanan z rozpaczą. Nie porównał mojej twarzy z portretem pamięciowym. Do diabła, przecież nawet nie ma tu tego portretu. Jeśli gdzieś jest, to w punkcie odprawy celnej. Ale przecież po odprawieniu tak wielkiej liczby ludzi oficer nie mógłby pamiętać twarzy z portretu. Dlaczego, na Boga, mnie zatrzymuje?

Buchanan podał paszport lewą ręką. Oficer otworzył dokument, porównał zdjęcie z twarzą Buchanana, przeczytał dane osobiste i ponownie zmarszczył brwi spoglądając na Buchanana.

— *Señor Grant, venga conmigo.* Proszę ze mną.

Buchanan próbował przybrać wyraz pełnego szacunku zdziwienia.

— *Por que?* — zapytał. — Dlaczego? Czy coś jest nie w porządku?

Oficer jeszcze bardziej zmrużył oczy i wskazał na prawe ramię Buchanana. Buchanan spojrział i doznał wstrząsu.

Szkarłat przesiąkał przez poncho. To, co uznał za pot, było krwią ściekającą po jego ramieniu na dłoń. Boże, pomyślał, szwy musiały puścić, kiedy upadłem.

Oficer wskazał na drzwi.

— *Venga conmigo. Usted necesita un medico.* Potrzebuje pan lekarza.

— *Es nada. No es importante* — odparł Buchanan. — To nic. Małe skaleczenie. Trzeba zmienić bandaż. Zrobię to w łazience i jeszcze zdążę na samolot.

Oficer położył prawą rękę na kolbie pistoletu i powtórzył, tym razem ostrzej.

— Proszę pójść ze mną natychmiast.

Buchanan posłuchał, idąc z oficerem w kierunku drzwi, próbując wyglądać na rozluźnionego, jakby krew ciekąca z ramienia była czymś zupełnie naturalnym. Wiedział, że nie ma szans na ucieczkę, że zostanie zatrzymany, zanim zdoła przepchnąć się przez tłum i dotrzeć do wyjścia. Mógł tylko blefować, lecz wątpił, czy wyjaśnienie, które przygotował, usatysfakcjonuje oficera, gdy już obejrzy jego ranę na ramieniu. Zaczną się pytania. Wiele pytań. I być może do tego czasu na lotnisku pojawi się policyjny portret pamięciowy, jeśli go jeszcze nie było. Na pewno nie polecę o dwunastej pięćdziesiąt do Miami”. Tak blisko, pomyślał.

W odróżnieniu od Stanów Zjednoczonych, gdzie podejrzany uważany jest za niewinnego do czasu dowiedzenia mu winy, Meksyk opiera swoje prawo na Kodeksie Napoleońskim, według którego podejrzany jest winny, dopóki nie wykaże swej niewinności. Więźniów nie uprzedza się, że mogą milczeć, nie zapewnia im się adwokata, jeśli sami nie mogą sobie na niego pozwolić. Nie ma *habeas corpus*, nie ma prawa do szybkiego procesu. W Meksyku takie pojęcia brzmią śmiesznie. Więzień nie ma tu żadnych praw.

Buchanan dzielił zapleśniałą, zapchlona, wilgotną betonową celę, która miała siedem metrów długości i pięć szerokości, z dwudziestoma innymi nędznie ubranymi więźniami. Większość z nich wyglądała na złodziei i pijaków. By nie wpaść na kogoś i nie wywołać awantury, siedział przez cały czas w jednym miejscu, oparty plecami o ścianę. Podczas gdy inni zajęli całą podłogę, śpiąc na brudnej słomie, on drzemał z głową na kolanach. Zwlekał tak długo, jak mógł, zanim użył dziury w podłodze służącej za toaletę. Chociaż był oszołomiony, przez większość czasu starał się zachowywać przytomność na wypadek ataku. Jako jedyny *yanqui* stanowił naturalny cel i chociaż zabrano mu portfel i zegarek, to jego ubranie, a szczególnie buty były najlepsze w całej celi — naprawdę kuszące.

Tak się jednak stało, że większość czasu spędził poza celą i atakowali go nie współwięźniowie, lecz strażnicy. Eskortowany z celi do pokoju przesłuchań, był szturchany, przewracany i spychany ze schodów. Podczas przesłuchań bito go gumowymi pałkami i przewodami, zawsze tak, by ubranie zakrywało siniaki, nigdy po twarzy ani głowie. Nie wiedział, dlaczego przesłuchujący traktują go tak specjalnie. Być może powstrzymywała ich obawa przed konsekwencjami natury politycznej. Mimo to udało im się zranić go w czaszkę, kiedy uderzył o betonową podłogę po tym, jak przewrócili drewniane krzesło, do którego był przywiązany. Ból wywołał nudności i sprawił, że zaczął widzieć podwójnie. Gdyby lekarz więzienny w Meridzie nie opatrzył i nie zszył ponownie jego ramienia, umarłby pewnie z zakażenia i upływu krwi. Oczywiście lekarz zajął się nim nie ze współczucia, lecz dlatego, że martwy człowiek nie może odpowiadać na pytania. Buchanan znał ten sposób rozumowania i wiedział, że jeśli oprawcy usłyszą to, na co czekają, nie będą już zadawali sobie trudu zapewniania mu jakiegokolwiek opieki medycznej.

To był jeden z powodów — najmniej ważny — dla którego odmówił odpowiedzi na pytania przesłuchujących. Prawdziwą przyczynę stanowił oczywiście fakt, że gdyby zaczął mówić, złamałby zasady profesjonalnego postępowania. Trzy okoliczności przemawiały na jego korzyść. Po pierwsze, policjanci używali prymitywnych, brutalnych metod, które były łatwiejsze do zniesienia niż na przykład precyzyjne torturowanie prądem połączone z podaniem skopolaminy. Po drugie, z powodu osłabienia wywołanego raną na ramieniu i głowie Buchanan bardzo szybko tracił przytomność podczas tortur, zapewniając sobie tym samym coś w rodzaju naturalnego znieczulenia.

I po trzecie, miał przecież tekst do wyrecytowania, rolę do zagrania, scenariusz, który mówił mu, jak ma się zachowywać. Podstawowa reguła uczyła, by w razie schwytania nie mówić prawdy. Och, Buchanan mógł posłużyć się pewnymi elementami prawdy, by stworzyć przekonujące kłamstwo, lecz cała prawda nie wchodziła w rachubę. Powiedzenie: „tak, zabiłem tych trzech Meksykanów, ale oni byli handlarzami narkotyków, a poza tym pracuję pod pseudonimem dla tajnej komórki amerykańskiej armii”, na jakiś czas uratowałoby mu zapewne życie. Jednak to życie niewiele byłoby warte. W ramach nauczki dla Stanów Zjednoczonych za wtrącanie się w wewnętrzne sprawy Meksyku, zmuszono by go do odsiedzenia długiego wyroku, a biorąc pod uwagę surowość meksykańskich więzień, szczególnie dla *yanquis*, wyrok taki równałby się najprawdopodobniej karze śmierci. A gdyby Meksyk wydał go Stanom Zjednoczonym w geście dobrej woli (czyli za grube pieniądze lub inne przysługi), przełożeni Buchanana zamieniliby jego życie w piekło za to, że złamał zawarty z nimi pakt.

— Victor Grant — powiedział do Buchanana tęgawy, brodaty policjant z zaczesanymi do tyłu włosami. W małym pokoju znajdowała się tylko drewniana ława dla śledczego i krzesło, do którego przywiązano Buchanana. Śledczy, spocony, o nalanej, twarzy wymówił te słowa, jakby kojarzyły mu się z krwawą biegunką.

— Zgadza się.

Gardło Buchanana było tak wysuszone, że jego głos brzmiał jak zgrzyt. Z powodu odwodnienia dawno już przestał się pocić. Sznur, którym go przywiązano, wbijał mu się w pozszywane, zranione ramię.

— Mów po hiszpańsku, do diabła!

— Ale ja nie znam hiszpańskiego. — Buchanan mówił z trudem. — A w każdym razie niezbyt dobrze. — Próbował przełknąć ślinę. — Tylko parę słów.

Jako jedną z cech nowej postaci wybrał nieznajomość hiszpańskiego. W ten sposób mógł zawsze udawać, że nie rozumie, o co jest pytany.

— *Cabron*, mówiłeś po hiszpańsku do oficera straży granicznej na lotnisku w Meridzie!

— Tak. To prawda. — Głowa Buchanana opadła w dół. — Kilka prostych zwrotów. Nazywam to „hiszpańskim przetrwania”.

— Przetrwania? — zapytał grubym głosem strażnik z tyłu, po czym chwycił Buchanana za włosy i szarpnął jego głowę do góry. — Jeśli nie chcesz, żebym powyrywał ci włosy z głowy, to lepiej przetrwaj mówiąc po hiszpańsku.

— *Un poco* — wydyszał Buchanan. — Trochę. Umiem tylko trochę.

— Dlaczego zabiłeś tych trzech mężczyzn w Cancun?

— O czym pan mówi? Nie zabiłem nikogo.

Otyły śledczy, w mundurze mokrym od potu, wstał z ławki i trzęsąc brzuchem podszedł, by podetknąć mu pod nos policyjny portret pamięciowy. Ten sam, który oficer straży granicznej znalazł przy faksie, w biurze na lotnisku, kiedy zabrał tam Buchanana.

— Czy ten rysunek kogoś ci przypomina? — warknął śledczy. — *Ciertamente*, mnie tak. *Dios, si*. Przypomina mi ciebie. Mamy też świadka, zresztą również *yanqui*, który widział, jak zabijałeś tych trzech mężczyzn na plaży.

— Powiedziałem już, że nie wiem, o czym pan mówi. — Buchanan rzucił mu wściekłe spojrzenie. — Ten rysunek przypomina mnie i paręset tysięcy innych Amerykanów. — Zawiesił głos. — To może być każdy. — Odetchnął. — Przysięgam, że byłem w Cancun kilka dni temu. — Obliznął spieczone wargi. — Ale nie wiem nic o żadnych morderstwach.

— Kłamiesz!

Śledczy chwycił kawałek gumowego węża i chlasnął go w brzuch.

Buchanan jęknął. Nie mógł się zasłonić, gdyż był przywiązany sznurem do oparcia krzesła, ale widząc, jak otyły śledczy zamierza się do ciosu, napiął mięśnie brzucha, żeby zminimalizować ból. Udając, że uderzenie było mocniejsze niż w rzeczywistości, zacisnął powieki i odrzucił głowę do tyłu.

— Nie obrażaj mnie! — wrzasnął śledczy. — Przyznaj się! Kłamiesz.

— Nie — wymamrotał Buchanan. — To twój świadek kłamie. — Zadrżał. — Jeśli w ogóle jest jakiś świadek. Bo skąd miałby być? Nie zabiłem nikogo. Nie wiem nic o...

Za każdym razem, gdy śledczy go bił, Buchanan starał się wykorzystać przerwę w przesłuchaniu, by nabrać powietrza i odpocząć. Ponieważ policjanci zabrali mu wcześniej portfel i zegarek, nie miał nic, czym mógłby próbować ich przekupić. Zresztą łapówka i tak pewnie by się na nic nie zdała. W gruncie rzeczy próba przekupstwa oznaczałaby przyznanie się do winy. Jedyne, co mógł robić, to grać swoją rolę, uparcie twierdząc, że jest niewinny.

Śledczy sięgnął po paszport Buchanana, powtarzając tym samym pogardliwym tonem:

— Victor Grant.

— Tak.

— Nawet na zdjęciu w paszporcie przypominasz faceta z portretu pamięciowego.

— Ten portret jest bezwartościowy — odparł Buchanan. — Wygląda, jakby narysowało go dziesięcioletnie dziecko.

Śledczy postukał gumowym wężem w bandaż przykrywający ranę na ramieniu Buchanana.

— W jaki sposób zarabiasz na życie?

Krzywiąc się Buchanan opowiedział mu swoją bajeczkę, Śledczy postukał mocniej w bandaż.

— A co robiłeś w Meksyku?

Krzywiąc się jeszcze bardziej Buchanan podał mu nazwisko klienta, z którym rzekomo przyjechał się spotkać. Czuł, jak ramię nabrzmiewa mu pod opatrunkiem. Za każdym razem, gdy śledczy uderzał wężem, bolesny ucisk zwiększał się, jakby cała rana miała eksplodować.

— A więc twierdzisz, że byłeś tu w interesach, a nie na wakacjach?

— Hej, pobyt w Meksyku to zawsze przyjemność, czyż nie?

Buchanan zerknął na gumowy wąż, którym śledczy uderzał go coraz mocniej. Przed oczami zaczęły latać mu czarne platy. Wiedział, że wkrótce ponownie straci przytomność.

— A więc dlaczego posługiwałeś się wizą turystyczną?

Buchanan poczuł na języku kwas z żołądka.

— Ponieważ zaledwie na kilka dni przed wyjazdem dowiedziałem się, że mój klient chce się ze mną spotkać. Załatwienie wizy dla biznesmenów zajmuje więcej czasu. Wyrobiłem więc sobie kartę turystyczną. To znacznie łatwiejsze.

Śledczy wepchnął mu końcówkę węża pod brodę.

— Wjechałeś więc do Meksyku nielegalnie. — Spojrzał Buchananowi głęboko w oczy i cofnął rękę, żeby mógł odpowiedzieć.

Głos wydobywający się z gardła, podrażnionego przez gumowy wąż, był chrapliwy.

— Najpierw oskarżył mnie pan, że zabiłem trzech mężczyzn. — Oddychanie stawało się coraz trudniejsze. — Teraz wini mnie pan za to, że nie miałem wizy dla biznesmenów. Co będzie dalej? Czy zamierza mnie pan oskarżyć, że naszczałem panu na podłogę? Bo to właśnie zrobię, jeśli nie pozwolicie mi pójść do łazienki.

Mężczyzna stojący z tyłu ponownie szarpnął go za włosy, tak silnie, że Buchananowi pociekły łzy z oczu.

— Zdajesz się nie wierzyć, że to poważna sprawa.

— Nieprawda. Daję słowo. Myślę, że to bardzo poważna sprawa.

— Ale ty nie wyglądasz, jakbyś się bał.

— Och, boję się. Naprawdę. Jestem przerażony.

Śledczy pokraśniał z satysfakcji.

— Ale ponieważ nie zrobiłem nic z tego, o co mnie oskarżacie, jestem też wściekły. — Buchanan zmusił się, by mówić dalej. — Mam tego dość. — Każde słowo wymagało potężnego wysiłku. — Chcę zobaczyć się z prawnikiem.

Śledczy spojrział na niego z niedowierzaniem, a potem ryknął śmiechem, aż zatrzęsł mu się opasły brzuch.

— Prawnik? — powtórzył.

Strażnik stojący za Buchananem zaśmiał się również.

— *Un jurisconsulto?* — zapytał śledczy drwiąco. — *Que tu necitas esta un sacerdote.* — Trzasnął Buchanana węzem po goleniach. — Co o tym myślisz?

— Mówiłem już, prawie nie znam hiszpańskiego.

— Powiedziałem, że niepotrzebny ci już prawnik, lecz ksiądz. Bo jedyne, co może ci jeszcze pomóc, *señor* Victor Grant, to modlitwy.

— Jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych. Mam prawo do...

Buchanan nie mógł się opanować. Pęcherz nabrzmiał mu do granic możliwości. Musiał popuścić.

Siusiając w spodnie poczuł, jak ciepła ciecz spływa na krzesło i zaczyna kapać na podłogę.

— *Cochino!* Świnia!

Śledczy uderzył Buchanana węzem w zranione ramię. Jak najprędzej, pomyślał Buchanan. Drogi Boże, pozwól mi zemdleć. Śledczy chwycił go za koszulę i pociągnął do przodu, przewracając krzesło i zwalając więźnia na podłogę.

Buchanan rąbnął twarzą o beton. Słyszał, jak śledczy wrzeszczy, każąc komuś przynieść szmaty, żeby zmusić gringo do wytarcia swojego własnego brudu. Wątpił, czy będzie przytomny, kiedy podwładny wróci ze szmatami, lecz chociaż wszystko rozmywało mu się przed oczami, zdążył jeszcze z przerażeniem zobaczyć że jego mocz zabarwiony jest na czerwono. Rozwalili mi coś w środku. Szczam krwią.

— Wiesz, co o tym myślę? — zapytał śledczy.

Buchanan nie był w stanie odpowiedzieć.

— Myślę, że masz powiązania z handlarzami narkotyków. Myślę, że ty i mężczyźni, których zabiłeś, kłóciliście się o pieniądze za narkotyki. Myślę, że...

Głos śledczego cichł coraz bardziej, odbijając się echem. Buchanan zemdłał.

## 6

Kiedy się ocknął — znowu siedział. Wciąż przywiązany do krzesła. Minęło kilka długich chwil, zanim wyostrzył mu się wzrok, a jego umysł zaczął pracować ponownie. Ból pomógł mu odzyskać pełną świadomość. Nie wiedział, na jak długo stracił przytomność. W pokoju nie było żadnych okien. Tłusty śledczy zdawał się mieć na sobie ten sam przepocony mundur. Buchanan zauważył jednak, że krwawy mocz zniknął z podłogi. Nie została nawet wilgotna plama. Musiało minąć sporo czasu, uznał. A potem zauważył coś innego — że jego spodnie są nadal mokre. Do diabła, przenieśli mnie tylko do innego pokoju. Próbujać mnie zdezorientować.

— Przeprowadziliśmy ci przyjaciela.

— To dobrze. — Buchananowi załamywał się głos. Starał się zachować siły. — Mój klient może za mnie poświadczyć. Możemy wyjaśnić to nieporozumienie.

— Klient? Czy ja mówiłem coś o jakimś kliencie? — Śledczy otworzył drzwi.

Mężczyzna, Amerykanin, stał pomiędzy dwoma strażnikami w słabo oświetlonym korytarzu. Był wysoki, z szerokimi barkami i potężną piersią, z włosami ostrzyżonymi na jeża. Miał na sobie trampki, dzinsy i przyciasną zieloną koszulkę, te same rzeczy, w które był ubrany, kiedy wszedł do restauracji Club International w Cancun. Ubranie było pogniecione, a mężczyzna wyglądał na wyczerpanego. Twarz miał wciąż czerwoną, lecz tym razem raczej z napięcia niż od słońca czy alkoholu. Nie zdążył się ogolić. Wielki Bob Bailey.

Tak, założę się, że żałujesz teraz, żeś nie odczepił się ode mnie w tamtej restauracji, pomyślał Buchanan.

Śledczy dał znak ręką i strażnicy wprowadzili Baileya do pokoju, przytrzymując go mocno za łokcie. Szedł chwiejnie.

Jasne, byłeś przesłuchiwany od czasu, gdy złapali cię na plaży, pomyślał Buchanan. Starali się wydobyć z ciebie każdą odrobinę informacji, a ich nacisk sprawia, że trzymasz się swojej wersji wydarzeń. Jeśli dostaną to, czego chcą, przepraszają cię i będą traktować po królewsku, żebyś przypadkiem nie zmienił zdania.

Strażnicy zatrzymali Baileya dokładnie na wprost Buchanana.

Śledczy użył końcówki gumowego węża, żeby podnieść głowę więźniowi.

— Czy tego człowieka widziałeś w Cancun?

Bailey zawahał się.

— Odpowiedz.

— Ja... — Bailey przeciągnął drżącą ręką po swoim języku. — To może być on.

Śmierdział papierosami. Głos chrząścił mu w gardle.

— Może? — Śledczy popatrzył na niego groźnie i pokazał policyjny portret pamięciowy. — Kiedy pomagałeś rysownikowi sporządzić ten portret, mówiono mi, że się nie wahałeś.

— Cóż, tak, ale...

— Ale?

Bailey odchrząknął.

— Piłem wcześniej. To mogło zaburzyć moją pamięć.

— A teraz jesteś trzeźwy?

— Żałuję, ale tak, jestem trzeźwy.

— A zatem pamięć powinna ci wrócić. Czy tego faceta widziałeś, jak zabijał trzech mężczyzn na plaży za hotelem?

— Chwileczkę — powiedział Bailey. — Nie widziałem, żeby ktokolwiek kogoś zabijał. Tak jak powiedziałem policji w Cancun, zauważyłem mojego przyjaciela z trzema Meksykanami. Poszedłem za nimi z restauracji na plażę. Było ciemno. Padły strzały. Rzuciłem się na ziemię. Nie wiem, kto strzelał do kogo, ale mój przyjaciel przeżył i uciekł.

— Logika każe sądzić, że człowiek, który przeżył strzelaninę, jest odpowiedzialny za śmierć pozostałych.

— Nie wiem. — Bailey podrapał się po karku. — Amerykański sąd mógłby nie zaakceptować tej logiki.

— Ale tu jest Meksyk — rzekł śledczy. — Czy tego mężczyznę widziałeś, jak uciekał?

Bailey zerknął na Buchanana.

— Ma na sobie inne ubranie. W jego włosach jest krew. Jego twarz jest brudna. Ma popękane wargi. Nie ogolił się i ogólnie wygląda kiepsko. Ale tak, przypomina mojego przyjaciela.

— Przypomina? — warknął śledczy. — Proszę odpowiedzieć bardziej zdecydowanie, *señor* Bailey. W końcu im szybciej to załatwimy, tym szybciej będzie pan mógł wrócić do swojego hotelu.

— Okay. — Bailey intensywniej przyglądał się Buchananowi. — Tak, myślę, że to jest mój przyjaciel.

— On się myli — rzekł Buchanan. — Nigdy w życiu nie widziałem tego mężczyzny.

— Twierdzi, że byliście razem w Kuwejcie oraz Iraku — rzekł śledczy. — Podczas wojny w Zatoce Perskiej.

— Och, pewnie. Tak, jasne. — Buchanana coraz bardziej bolał brzuch. Zagryzł wargi. — A potem po prostu wpadliśmy na siebie w Cancun, tak? Nigdy w życiu nie byłem w Kuwejcie ani w



Iraku i mogę tego dowieść. Wystarczy, że sprawdzicie pieczątki w moim paszporcie. Założę się, że ten facet nawet nie wie, jak się nazywam.

— Jim Crawford — powiedział Bailey z nagłym gniewem. — Tylko że próbowałeś mnie okłamać. Powiedziałaś, że nazywałeś się Ed Potter.

— Jim Crawford? — Buchanan spojrział na śledczego. — Ed Potter? Dajcie spokój. Czy ten facet w ogóle wie, że nazywam się Victor Grant? Pokażcie mu mój paszport. Mam wrażenie — sam to zresztą przyznał — że był potężnie pijany. Dziwne, że nie uznał mnie za Elvisa Presleya. Nie jestem tym, za kogo on mnie bierze, i nie wiem nic o trzech mężczyznach, którzy zostali zamordowani.

— W Cancun — rzekł śledczy — moi towarzysze z policji zajmują się Edem Potterem. Zakładając, że nie okłamałeś *señora* Baileya, podając mu to nazwisko, na tamtym terenie powinny zostać po tobie jakieś ślady. Musiałeś gdzieś mieszkać. Chować swoje rzeczy. Spać. Znajdziemy to miejsce. Znajdziemy ludzi, którzy cię tam widzieli. Przywieziemy ich tutaj, a oni zidentyfikują cię jako Eda Pottera, co będzie świadczyło, że *señor* Bailey ma rację. — Śledczy potrząsnął kawałkiem gumowego węża przed twarzą Buchanana. — A potem będziesz musiał wyjaśnić nie tylko, dlaczego zabiłeś tych trzech mężczyzn, ale i z jakiego powodu masz przy sobie paszport na inne nazwisko oraz czemu w ogóle używałeś tyłu nazwisk.

— Właśnie — rzekł Bailey. — Na przykład Jim Crawford. W Kuwejcie.

Śledczy wyglądał na ogromnie zadowolonego, że Bailey to powiedział. Przez cały ten czas Buchanan nie reagował, wyjąwszy rozdrażnienie spowodowane bólem. Pomimo rozrywającej głowę migreny, myślał intensywnie. Starał się ustalić, jak dalece jest kryty. Biuro wynajął i opłacił za pomocą poczty. Z właścicielem rozmawiał tylko przez telefon. Tak samo załatwiał mieszkanie w centrum Cancun. Żelazne zasady jego profesji. Jak na razie wszystko w porządku. Korzystne było też to, że skontaktowanie się ze wszystkimi dzierżawcami i dyrektorami hoteli w Cancun musiało zająć policji sporo czasu. Wiedział jednak, że w końcu to zrobią i chociaż właściciele biura i mieszkania nie będą w stanie opisać Buchanana, to na pewno przypomną sobie nazwisko Eda Pottera, policja zaś zacznie przesłuchiwać okolicznych mieszkańców. Znajdą wreszcie kogoś, kto potwierdzi, że mężczyzna podający się za Victora Granta wygląda całkiem jak Ed Potter, i sprawy przybiorą zły obrót.

— Proszę bardzo — rzekł Buchanan. — Mogą tracić tyle czasu, ile tylko chcą na sprawdzanie Eda Pottera. Nie martwi mnie to. Ponieważ ja nim nie jestem. — Ból brzucha stawał się nie do zniesienia. Musiał ponownie opróżnić pęcherz i bał się, że tym razem mocz będzie jeszcze bardziej przypominał krew. — Problem w tym, że podczas kiedy oni tracą czas, ja dostaję tu porządne lanie. — Zadrżał. — I wcale się to nie skończy — bo przysięgam na Boga, że nie przyznam się do czegoś, czego nie zrobiłem. — Spojrzął na rozłożystego, zdenerwowanego Teksasńczyka. — Jak ten gliniarz powiedział, że się nazywałeś? Bailey? Czy tak...

Bailey sprawiał wrażenie zirytowanego.

— Crawford, cholernie dobrze wiesz, że nazywam się...

— Przestań mówić do mnie Crawford. Przestań mówić do mnie Potter. Popełniłeś straszliwą pomyłkę, a teraz, jeśli nie odświeżysz sobie pamięci...

Buchanan nie mógł już dłużej powstrzymać nacisku na pęcherz. Wcale zresztą nie chciał. Nagle postanowił zmienić taktykę. Rozluźnił mięśnie brzucha, mocz pociekł na podłogę i Buchanan bez patrzenia wiedział, że jest krwawy.

Bailey bowiem poblądł, podniósł dłoń do ust i wymamrotał:

— Święty... Spójrz na... On... To...

— Tak, Bailey, przyjrzyj się dobrze. Pracowali nade mną, aż rozwalili mi coś w środku. — Buchananowi brakowało oddechu. Musiał wkładać dużo wysiłku w wypowiedzenie każdego słowa. — A co będzie, jeśli mnie zabiją, zanim zrozumieją, że popełniłeś pomyłkę?

Bailey pobladł jeszcze bardziej.

— Zabiją? To śmieszne — wtrącił się śledczy. — Najwyraźniej odniosłeś też inne obrażenia poza ranami na głowie i ramieniu. Nie wiedziałem o tym. Teraz zdaję sobie sprawę, że wymagasz dalszej opieki lekarskiej. Kiedy tylko *señor* Bailey podpisze dokument identyfikujący cię jako mężczyznę, którego widział uciekającego z miejsca zbrodni, będzie mógł odejść, a ja pošlę po lekarza.

Śledczy podał Baileyowi długopis i sporządzone na maszynie oświadczenie.

— Tak, pewnie, podpisz to — wychrypiął Buchanan. — A potem módl się, żeby policja zdała sobie sprawę z pomyłki... zanim jeszcze bardziej mnie pobiją... zanim dostanę takiego krwotoku, że... — Buchanan odetchnął głęboko. — Ponieważ jeśli mnie zabiją, ty będziesz następny.

— Co? — zmarszczył brwi Bailey. — O czym ty mówisz?

— Nie bądź głupi, Bailey. Pomyśl o tym. To ciebie obwinia. Rozmawiamy o śmierci obywatela amerykańskiego w meksykańskim więzieniu. Myślisz, że ten gliniarz przyzna się do tego, co się stanie? Moje ciało zniknie. W aktach nie zostanie żaden ślad po moim aresztowaniu. A jedyną osobą, która będzie o tym wiedziała, jesteś ty.

Bailey spojrzał podejrzliwie na śledczego. Ten chwycił Buchanana za ramię.

— Więzień najwyraźniej bredzi. Musimy pozwolić mu odpocząć. Dopilnuję, żeby obejrzał go lekarz, kiedy pan będzie podpisywał oświadczenie w drugim pokoju.

Bailey z wahaniem pozwolił poprowadzić się do drzwi.

— Pewnie — rzucił za nim Buchanan. — Opieka lekarska. Co oznacza kolejne uderzenie gumowym wężem, za to, że uświadomiłem ci, w jakich jesteś tarapatach. Myśl, Bailey. Mówiłeś, że byłeś pijany. Dlaczego nie przyznasz, że istnieje duża szansa, że to nie mnie widziałeś wtedy na plaży w Cancun?

— Wystarczy tego. — Śledczy szturchnął Buchanana w zranione ramię. — Każdy głupiec pojąłby, że jesteś winny. Jak wyjaśnisz tę ranę od kuli?

Napierając na krępujące go sznury Buchanan wycedził przez zaciśnięte zęby:

— To nie jest rana od kuli.

— Ale lekarz powiedział, że...

— A skąd on mógł wiedzieć, co ją spowodowało? Nie zrobił testów na obecność prochu w ranie. Zszył ją tylko ponownie. — Buchanan skrzywił się. — Zraniłem się w ramię i głowę podczas wypadku na łodzi. — Znowu dostał zawrotów głowy. Bał się, że straci przytomność, zanim zdąży skończyć. — Spadłem z jachtu mojego klienta, gdy wychodziliśmy z portu. Uderzyłem głową o kadłub... Jedna ze śrub rozcięła mi ramię... Szczęście, że w ogóle przeżyłem.

— To bajki — rzekł śledczy.

— Jasne. — Buchanan przełknął ślinę. — Udowodnij to. Udowodnij, że kłamię. Na Boga, zrób wszystko, o co cię błagałem. Sprowadź tu mojego klienta. Zapytaj go, czy mnie zna. Zapytaj, czy może potwierdzić, w jaki sposób się zraniłem.

— Tak, może to nie jest zły pomysł — rzekł Bailey.

— Co? — Śledczy obrócił się w stronę potężnego Teksańczyka. — Czy chcesz mi powiedzieć, że rysopis, jaki podałeś w Cancun, że ten portret pamięciowy — który sam pomagałeś sporządzić — nie pasuje do więźnia? Czy chcesz mi powiedzieć, że chociaż zidentyfikowałeś go przed pięcioma minutami...

— Powiedziałem tylko, że przypomina faceta, którego widziałem. — Bailey w zamyśleniu potarł potężną, pokrytą odciskami pięścią po nie ogolonym policzku. — Teraz nie jestem taki pewny. Pamięć mnie zawodzi. Muszę wszystko przemyśleć. To całkiem poważna sprawa.

— Każdy może się pomylić — rzekł Buchanan. — Twoje słowo przeciwko mojemu. Tylko do czasu, gdy przyjedzie tu mój klient, żeby za mnie poświadczyć.

Bailey zmrużył oczy i spojrzał na krwawy mocz na podłodze.

— Nie podpiszę nic, dopóki klient tego człowieka nie złoży zeznań w tej sprawie.

Tryumfując pomimo bólu, Buchanan zdołał jeszcze wydobyć z siebie kilka słów:

— Charles Maxwell. Jego jacht stoi zacumowany koło doku Columbus w Cancun.

Powiedziawszy to, poddał się narastającym zawrotom głowy. Zrobił wszystko, co mógł. Odpluwając, słyszał jeszcze, jak śledczy i Wielki Bob Bailey wymieniają gniewne uwagi.

## 7

Zabrano go z powrotem do celi. Idąc przez nią chwiejnym krokiem i starając się nie wpaść na innych więźniów, by nie wywołać awantury, zauważył, że twarze rzucających mu chmurne spojrzenia osobników są różne od tych, które widział tu wcześniej, jakkolwiek dawno to było. Ze znużeniem domyślił się, że nowi pijacy zastąpili tych, którzy wytrzeźwieli, lecz złodziei i innych bandziorów zostawiono do czasu, aż ktoś zechce postawić ich przed sądem. Wiedział, że ze względu na jego osłabienie nie potrwa długo, nim dobiorą się do niego... więc znalazł sobie miejsce pod ścianą i usiadł, za wszelką cenę próbując zachować przytomność, odpowiadając spojrzeniem na ich spojrzenia, ukrywając ból i zastanawiając się nad najlepszym sposobem obrony. Początkowo nie zauważył nawet, że dwaj strażnicy otworzyli drzwi celi i dawali mu znaki, żeby wychodził.

Nie zabrali go jednak do pokoju przesłuchań, lecz poprowadzili w przeciwną stronę, do nieznanej mu części więzienia.

Co teraz? — pomyślał. Czy właśnie teraz zniknę?

Strażnicy otworzyli drzwi i Buchanan zamrugał oczami, zbity z tropu. Oczekiwał śledczego, lecz ujrzał przed sobą umywalkę, klozet i prysznic. Kazano mu rozebrać się, umyć, ogolić i włożyć białą koszulę i spodnie, które położono na krześle razem z parą tandetnych sandałów na gumowej podeszwie. Oszołomiony, wykonał polecenie, a letnia woda nie tylko dała mu przyjemne poczucie czystości, lecz obudziła w nim też nowe siły. Strażnicy stali i obserwowali go. Później, gdy skończył się ubierać, wszedł inny strażnik i postawił na umywalce tacę. Buchanan był zdumiony. Na tacy stał talerz z odgrzaną fasolą i kilkoma *tortillas*, pierwsze jedzenie od początku pobytu w więzieniu. Osłabienie i ból przytępiły jego apetyt, lecz nie potrzebował zachęty, by chwycić coś innego, co stało na tacy. Butelka oczyszczonej wody. Pośpiesznym ruchem zdjął zakrętkę i przełknął kilka potężnych łyków. Nie za dużo. Bo zwymiotujesz.

Przyjrzał się jedzeniu, którego zapach jednocześnie go przyciągał i odrzucał. Mogli coś do niego dodać, pomyślał, prysznic i czyste ubranie są tylko sztuczką, żeby wyzbył się podejrzeń. Ale muszę zaryzykować. Nawet jeśli mój żołądek będzie się buntował, muszę coś zjeść.

I znowu napomniał się w duchu. Nie za dużo naraz. Długo trwało, zanim zdołał przeżuć i przełknąć trochę fasoli. Wypił jeszcze trochę wody, po czym ugryzł kawałek *tortilli*.

Nie udało mu się jednak skończyć posiłku. W pewnej chwili omal nie upuścił łyżki, gdy palce prawej dłoni zaczęły silnie drżeć. Przełożył łyżkę do lewej ręki, lecz zanim zdążył podnieść ją do ust, przybył następny strażnik i wszyscy czterej, z ponurymi minami, poprowadzili go obok

zatłoczonej celi ku pokojom przesłuchań. Dlaczego? — pomyślał Buchanan. Dlaczego pozwolili mi się umyć i dali jedzenie, jeśli zamierzają zacząć kolejną sesję z gumowym węzłem? To nie ma sensu. Chyba że...

Strażnicy wprowadzili Buchanana do pokoju, którego wcześniej nie widział. Było to duszne, zagracone pomieszczenie biurowe. Zobaczył w nim śledczego, który siedział sztywno za swoim biurkiem i patrzył na mężczyznę, najwyraźniej Amerykanina, o surowej twarzy i wąskich wargach, siedzącego równie sztywno naprzeciw niego. Kiedy Buchanan wszedł do środka, obaj mężczyźni spojrzeli na niego z uwagą i ukryta nadzieja Buchanana na szybkie zwolnienie zamieniła się w nagłą podejrzliwość.

Amerykanin miał czterdzieści parę lat, średni wzrost i tuszę, spiczastą brodę, szczupły nos i gęste ciemne brwi, które kontrastowały z jego przerzedzającymi się i rozjaśnionymi przez słońce włosami. Był mocno opalony, ubrany w drogi błękitny garnitur tropikalnego kroju z jedwabnym krawatem w czerwone prążki i białą koszulą, która nie tylko podkreślała jego opaleniznę, lecz zdawała się ją wręcz odbijać. Nosił obrączkę z Harvardu, zegarek Piageta i buty od Cole-Haana. Dystyngowany. Robiący wrażenie. Człowiek, którego warto mieć po swojej stronie.

Tyle tylko, że Buchanan nie miał zielonego pojęcia, kim ten człowiek jest. Nie śmiał przyjmować, że śledczy spełnił jego żądanie i skontaktował się z Charlesem Maxwellem. Awaryjne alibi zostało ustalone pośpiesznie. Normalnie każdy szczegół planu był wielokrotnie sprawdzany, lecz w tym wypadku Buchanan nie wiedział nawet, jak Charles Maxwell wygląda. Rozsądnie było założyć, że Maxwell, zawiadomiony przez policję, pojawiłby się w więzieniu, żeby potwierdzić zeznania Buchanana. Ale jeśli śledczy znalazł po prostu jakiegoś Amerykanina i kazał mu udawać Maxwella? Jeśli czekał, żeby Buchanan przywitał się z nim jak ze starym znajomym i dowiódł w ten sposób, że podał fałszywe alibi?

Amerykanin wstał i odwrócił się ku Buchananowi.

Musiał zareagować. Nie mógł tylko stać i patrzeć na niego pustym wzrokiem. Gdyby to naprawdę był Maxwell, powinien rozpoznać go z ulgą. Ale jeśli to nie on?

Śledczy wsunął brodę w rozliczne fałdy swojej szyi.

Buchanan westchnął, podszedł do Amerykanina, położył niepewną dłoń na jego ramieniu i powiedział:

— Martwiłem się już. Jak to dobrze widzieć...

Widzieć kogo? Pozwolił, by zdanie zawisło w próżni. Mógł wyrażać ulgę na widok swojego starego przyjaciela Charlesa „Chucka” Maxwella lub radość z powodu spotkania rodaka.

— Dzięki Bogu, wreszcie się pan pojawił — dodał jeszcze. To również mogło odnosić się zarówno do Maxwella, jak i do innego Amerykanina, którego Buchanan nie znał. Opadł na krzesło stojące przy zagraconym biurku. Napięcie wzmagало jego ból.

— Przyjechałem, kiedy tylko się dowiedziałem — rzekł Amerykanin. Chociaż to stwierdzenie sugerowało silny związek pomiędzy nimi, nie było jednak na tyle oczywiste, by Buchanan mógł potraktować Amerykanina jako Charlesa Maxwella. Prędkiej, daj mi jakąś wskazówkę. Powiedz, kim jesteś.

— A to, czego się dowiedziałem, poważnie mnie zaniepokoiło — ciągnął Amerykanin. — Ale muszę powiedzieć, panie Grant, że wygląda pan lepiej, niż się spodziewałem.

Panie Grant? — pomyślał Buchanan.

To na pewno nie jest Charles Maxwell. A więc kto?

— Tak, to miejsce to prawdziwy ośrodek wypoczynkowy.

Przejmujący ból pulsował mu w skroniach.

— Nie wątpię, że najadł się pan strachu. — Jego głos był głęboki i płynny, nieco afektowany. — Ale teraz nie ma się pan już czego obawiać. — Podał Buchananowi dłoń. — Jestem Garson Woodfield. Z amerykańskiej ambasady. Pański przyjaciel Robert Bailey zadzwonił do nas.

Śledczy się rozpromienił.

— Bailey nie jest moim przyjacielem — rzekł z naciskiem Buchanan. — Po raz pierwszy spotkałem go tutaj. Ale on ubzdurał sobie, że widział mnie w Cancun, a jeszcze wcześniej w Kuwejcie. To przez niego jestem w opałach.

Woodfield wzruszył ramionami.

— Cóż, najwyraźniej próbuje to teraz naprawić. Zadzwonił też do Charlesa Maxwella.

— Mój klient — rzekł Buchanan. — Miałem nadzieję, że tu przyjedzie.

— Tak, pan Maxwell to osoba wpływowa, jak pan zresztą wie, lecz w tych okolicznościach uznał, że lepiej będzie, jeśli skontaktuje się z ambasadorem i poprosi, żebyśmy rozwiązali ten problem drogą oficjalną. — Woodfield uważnie obserwował twarz Buchanana. — Te otarcia na pańskich wargach, skaleczenie na brodzie. — Odwrócił się w zamyśleniu ku śledczemu. — Ten mężczyzna został pobity — rzekł.

Śledczy wyglądał na urażonego.

— Pobity? Nonsens. Kiedy go tutaj przywieziono, był tak osłabiony z powodu ran, że spadł ze schodów.

Woodfield odwrócił się ku Buchananowi, oczekując wyraźnie na gorące protesty.

— Miałem zawroty głowy — rzekł Buchanan. — Poślizgnąłem się na schodach.

Amerikanin wyglądał na zaskoczonego tą odpowiedzią. Śledczy był zdumiony.

— Czy kazali panu kłamać na temat tego, co się tu wydarzyło? — spytał Woodfield.

— Z pewnością nie obchodzili się ze mną łagodnie — odparł Buchanan — ale nie kazali mi kłamać.

Śledczy zdumiał się jeszcze bardziej.

— Ale Robert Bailey twierdzi, że widział pana przywiązanego do krzesła — rzekł Woodfield.

Buchanan skinął głową.

— I bitego gumowym węzłem.

Buchanan skinął ponownie.

— I oddającego krwawy mocz.

— Prawda. — Buchanan chwycił się za brzuch i skrzywił boleśnie, chociaż w innych okolicznościach nie pozwoliłby sobie na taką reakcję.

— Zdaje pan sobie sprawę, że jeśli był pan torturowany, to istnieją odpowiednie kroki dyplomatyczne, które mogą doprowadzić do uwolnienia pana.

Buchananowi nie spodobało się to „mogą”. Zdecydował, że dalej będzie kierował się instynktem.

— Krew w moczu pojawiła się już, kiedy spadłem z jachtu Chucka Maxwella. Co do reszty — nabrał powietrza — to przecież ten oficer myśli, że ja zabiłem trzech mężczyzn. Z jego punktu widzenia wszystko, co robił, próbując zmusić mnie, bym przyznał się do winy — było usprawiedliwione. Wścieka mnie tylko, że nie dał mi szansy udowodnić, że jestem niewinny. Nie chciał zadzwonić do mojego klienta.

— Tym wszystkim już się zajęliśmy — rzekł Woodfield. — Mam tu oświadczenie — wyciągnął je z teczki — potwierdzające, że pan Grant przebywał z panem Maxwellem na jego jachcie w czasie, gdy popełniono morderstwa. Najwyraźniej — zwrócił się do śledczego — macie niewłaściwego człowieka.

— Wcale nie jest to dla mnie takie oczywiste. — Rozliczne podbródki śledczego zatrzęsły się z oburzenia. — Mam świadka, który widział tego człowieka na miejscu zbrodni.

— Ale chyba nie przedkłada pan słów pana Baileya nad oświadczenie osoby tak znamienitej jak pan Maxwell — odparł Woodfield.

Oczy śledczego zaślniły wściekłym blaskiem.

— Znajdujemy się w Meksyku. Tutaj wszyscy są równi.

— Tak — odparł Woodfield. — Tak samo jak w Stanach Zjednoczonych. — Odwrócił się do Buchanana. — Pan Maxwell prosił, żebym przekazał panu ten list. — Wyciągnął go z teczki i podał Buchananowi. — A na razie — rzekł do śledczego — chciałbym wyjść na moment za potrzebą.

Śledczy spojrział na niego nie rozumiejącym wzrokiem.

— Łazienka — rzekł Woodfield. — Ustęp.

— Aha — pojął wreszcie śledczy. — Toaleta. *Si*.

Podniósł swoje opasłe ciało z krzesła, otworzył drzwi na korytarz i kazał strażnikowi odprowadzić pana Woodfielda do *el sanitario*. Gdy Woodfield wyszedł, Buchanan zaczął czytać list.

*Vic,*

*przepraszam, że nie mogłem przyjechać osobiście. Pokażę się, jeśli będę musiał, ale na razie spróbujmy wszystkich innych sposobów. Sprawdź zawartość futerału na kamerę, który przywiózł ze sobą Woodfield. Jeśli myślisz, że to, co jest w środku, może się przydać, spróbuj. Mam nadzieję, że spotkamy się niedługo w Stanach.*

*Chuck*

Buchanan spojrział na teczkę stojącą przy krześle Woodfielda i zauważył szary nylonowy futerał na kamerę.

W tym czasie śledczy zamknął drzwi, spojrział na Buchanana, najwyraźniej zainteresowany treścią listu, po czym przemówił zgrzytliwym głosem:

— Skłamałeś na temat bicia. *Por que?* — Podszedł bliżej. — Dlaczego?

Buchanan wzruszył ramionami.

— To proste. Chcę, żebyśmy byli przyjaciółmi.

— Dlaczego? — Śledczy podszedł jeszcze bliżej.

— Bo nie wydostanę się stąd bez pana pomocy. Och, Woodfield mógłby spowodować interwencję ze strony pana przełożonych i polityków. Ale ja nie wyszedłbym stąd do chwili wydania orzeczenia przez sędziego i cały ten czas znajdowałbym się na pana łasce. — Buchanan urwał, próbując wyglądać na pokonanego. — W więzieniu zdarzają się różne przykre wypadki. Czasem więzień umiera, zanim zdąży stanąć przed sędzią.

Śledczy intensywnie przyglądał się Buchananowi. Buchanan wskazał na nylonową torebkę.

— Mogę?

Śledczy skinął głową.

Buchanan położył sobie futerał na kolanach.

— Jestem niewinny — powiedział. — Bailey najwyraźniej nie pamięta, co widział. Mój paszport dowodzi, że nie jestem tym, za kogo mnie bierze. Mój klient potwierdził, że nie byłem na miejscu przestępstwa. Ale pan włożył wiele czasu i wysiłku w to śledztwo. Na pana miejscu wściekłym się na myśl, że niepotrzebnie traciłem energię. Rząd nie płaci panu wystarczająco za wszystkie starania.

Buchanan otworzył futerał i postawił go na biurku.

Obaj wlepili wzrok w jego zawartość. Futerał wypełniony był plikami używanych studolarówek. Gdy Buchanan wyjął jeden i przeciągnął po nim palcem, śledczy otworzył szeroko usta.

— Zgaduję tylko — rzekł Buchanan — ale wydaje mi się, że jest tu pięćdziesiąt tysięcy dolarów. — Włożył banknoty z powrotem do futerału. — Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie jestem bogaty. Pracuję ciężko, tak samo jak pan, i nigdy nie miałem w ręku takich pieniędzy. Te należą do mojego klienta. Pożycza mi je, żebym mógł opłacić adwokata. — Buchanan skrzywił się. — Ale nie rozumiem, dlaczego adwokat miałby je dostawać. Jestem niewinny, więc nie wysiłałby się zbytnio doprowadzając do uwolnienia mnie. Na pewno nie musiałby pracować tak długo i ciężko na te pieniądze jak pan czy ja. — Buchanan westchnął z bólu i spojrzął na drzwi. — Woodfield zaraz wróci. Może odda pan nam obu przysługę, weźmie pieniądze i wypuści mnie stąd?

Śledczy bębnił palcami po zniszczonym blacie biurka.

— Przysięgam. Nikogo nie zabiłem — rzekł Buchanan.

Drzwi zaczęły się powoli otwierać. Śledczy zasłonił futerał swoim masywnym ciałem, zamknął go i ruchem zaskakująco płynnym, jak na tak ogromnego mężczyznę, schował pod biurkiem, wciskając jednocześnie swoje szerokie biodra w skrzypiące krzesło.

Woodfield wszedł do środka.

— Dalsze prowadzenie tej sprawy byłoby kpiną ze sprawiedliwości — rzekł śledczy. — *Señor* Grant, pański paszport i rzeczy osobiste zostaną panu niezwłocznie zwrócone. Jest pan wolny.

## 8

— Wyglądasz, jakbyś potrzebował pomocy lekarza — powiedział Woodfield.

Opuścili budynek więzienia i przechodzili na drugą stronę zakurzonej ulicy, kierując się w stronę czarnej limuzyny zaparkowanej pod drzewem palmowym.

— Znam doskonałego lekarza w Meridzie — dodał. — Zawiozę cię tam tak szybko jak to możliwe.

— Nie — odparł Buchanan.

— Ale...

— Nie — powtórzył Buchanan. Począł, aż przejedzie pozbawiona błotników półciężarówka i ruszył w stronę limuzyny. Po tak długim czasie spędzonym w więzieniu oczy piekły go od słońca, wzmagając ból głowy. — Muszę wydostać się z Meksyku.

— Im dłużej będziesz zwlekał z wizytą u lekarza...

Buchanan podszedł do samochodu i obrócił się ku Woodfieldowi. Nie wiedział, co mu powiedziano. Zapewne nic. Zgodnie ze swoją żelazną regułą Buchanan nigdy nie udzielał informacji, które nie były konieczne. Poza tym nigdy nie wychodził z roli.

— Pójdę do lekarza, kiedy poczuję się bezpieczny. Wciąż nie mogę uwierzyć, że mnie zwolnili. I nie uwierzę, dopóki nie znajdę się w samolocie do Miami. Ten kretyn może zmienić zdanie i aresztować mnie ponownie.

Woodfield położył walizkę Buchanana na tylnym siedzeniu.

— Wątpię, żeby istniało takie niebezpieczeństwo.

— Tobie na pewno nie grozi żadne. Najlepsze, co możesz zrobić, to zawieźć mnie na lotnisko, odprowadzić do samolotu, a potem zadzwonić do Charlesa Maxwella. Powiedz mu, że prosiłem, żeby ktoś czekał na mnie w Miami i zabrał mnie do szpitala.

— Jesteś pewien, że dasz sobie radę do tego czasu?

— Muszę — odparł Buchanan.

Niepokoił się, że policja w Cancun nadal będzie sprawdzać jego poprzednią tożsamość. W końcu znajdą biuro i mieszkanie Eda Pottera, ludzi, którzy go widywali i potwierdzą, że policyjny portret pamięciowy go przypomina. Jakiś policjant może spróbować uwiarygodnić zeznania Wielkiego Boba Baileya, każąc tym ludziom spojrzeć na Victora Granta.

Musiał wydostać się z Meksyku.

— Zadzwoń na lotnisko i zobaczę, czy znajdzie się dla ciebie miejsce w najbliższym samolocie.

— Dobrze.

Buchanan z nawyku obserwował ulicę, przechodniów, hałaśliwe samochody. Znieruchomiał, widząc kobietę stojącą w tłumie na chodniku za Woodfieldem. Była Amerykanką. Pod trzydziestkę. Ruda. Atrakcyjna. Wysoka. Ładna figura. Miała na sobie luźne beżowe spodnie i żółtą bluzkę. Jednak Buchanan zwrócił na nią uwagę nie z powodu jej narodowości, koloru włosów czy urody. W rzeczywistości nie widział nawet jej twarzy, ponieważ zasłaniał ją aparat fotograficzny. Stała na krawężniku, nieruchoma pomiędzy przechodzącymi Meksykanami i robiła mu zdjęcia.

— Chwileczkę — powiedział Woodfieldowi. Ruszył w jej stronę, lecz ona, widząc to, opuściła aparat, odwróciła się i odeszła, znikając za rogiem. Żar lejący się z nieba wzmagał migrenę. Zaogniona rana osłabiała go. Miał zawroty głowy.

— Coś się stało? — zapytał Woodfield.

Buchanan nie odpowiedział.

— Wyglądało, jakbyś chciał gdzieś iść.

Buchanan spojrział na róg, a potem odwrócił się do samochodu.

— Nie, wszystko w porządku — powiedział, otwierając drzwi limuzyny. — Pośpiesz się. Znajdź telefon. Wsadź mnie w samolot do Miami.

Przez całą drogę na lotnisko myślał o rudowłosej kobiecie. Dlaczego robiła mu zdjęcia? Czy była turystką, fotografującą zabytkowy budynek, na którego tle przypadkiem się znalazł? Może. Ale jeśli tak, to dlaczego odeszła, kiedy ruszył w jej stronę? Zbieg okoliczności? Buchanan nie mógł pozwolić sobie na zaakceptowanie takiego wyjaśnienia. Zbyt wiele rzeczy poszło źle. I nic nigdy nie było proste. Zawsze istniał jakiś głębszy sens. A zatem jeśli nie jest turystką, to kim? Dlaczego robiła mu zdjęcia? Brak odpowiedzi niepokoił go równie mocno jak groźba, którą mogła zawierać. Pocieszało go tylko jedno. Kiedy kobieta opuściła aparat i zaczęła się odwracać, przyjrzał się dobrze jej twarzy.

I wiedział, że ją zapamięta.

## 9

*Acapulco, Meksyk*

Spośród jachtów zacumowanych na przystani sławnego kurortu był jeden, który zwracał szczególną uwagę Estebana Delgado. Stał odcinając się jaskrawą bielą na tle lśniących błękitem i zielenią wód Pacyfiku. Ma około siedemdziesięciu metrów, ocenił, porównując jego długość z rozmiarami innych znanych jachtów w okolicy. Trzy pokłady i helikopter na dachu. Zbudowany był w ten sposób, że pokłady wyginały się aż po czubek dziobu jak myśliwski nóż. Za pokładami, na rufie, znajdowała się duża powierzchnia do opalania — pomyślana w ten sposób, że można było



ogłądać ją niepostrzeżenie, z górnych okien nad pokładami — wydawała mu się przerażająco znajoma. Gdyby nie wiedział na pewno... gdyby jego asystent nie dostarczył mu przed niecałą godziną potwierdzonych informacji, Delgado przysięgłby, że ten wspaniały jacht nie tylko przypomina mu przyczynę jego bezsenności i wrzodu żołądka, lecz jest naprawdę tym właśnie jachtem, własnością jego wroga, o którym tak często śnił w koszmarach. Nie miało znaczenia, że nazywa się „Fuli House”, a nie „Posejdon”, gdyż Delgado czuł się już wystarczająco prześladowany, by osiągnąć to stadium paranoi, gdy gotów był uwierzyć, że nazwę jachtu zmieniono, aby go zaskoczyć. I choć jego asystent z naciskiem potwierdził, że tego dnia w południe „Posejdon”, z wrogiem na pokładzie, znajdował się w drodze z Wysp Dziewiczych do Miami, Delgado nadal wyglądał przez wysokie do sufitu okno w swojej rezydencji. Nie zwracał uwagi na muzykę, śmiech i ruch wokół basenu na tarasie w dole. Nie zwracał uwagi na kobiety — tak wiele bogatych kobiet, ani’ na kwitnące krzewy i drzewa otaczające kosztowne, różowe wille, podobne do jego domu, wzniesione na zboczu poniżej. Skierował wzrok na bulwar Costera Miguel Aleman biegnący wokół zatoki, wzdłuż ekskluzywnych hoteli oraz imponującej plaży. Myślał tylko o jachcie. O tym, który widział, i o jego sobowtórce, a także o tajemnicy, z powodu której właściciel „Posejdona” trzymał go w szachu. Nagle coś przyciągnęło jego uwagę. Odwrócił się i ujrzał, jak ciemna, błyszcząca limuzyna wyjeżdża z zakrętu drogi, na zboczu, w dole i mija bramy oraz strażników. Zamyślił się, mrużąc oczy, spocony pomimo działania potężnego systemu klimatyzacyjnego. Jego nazwisko zawsze do niego pasowało, gdyż Delgado znaczy „chudy”, a już jako chłopiec był wysoki i szczupły, lecz ostatnimi czasy słyszał wypowiedziane szeptem, pełne troski uwagi na temat swojego wyglądu, o tym, ile kilogramów ostatnio stracił i jak wisiały na nim starannie skrojone garnitury. Współpracownicy podejrzewali, że spadek wagi wywołany jest chorobą AIDS, lecz się mylili.

Wywołany był cierpieniem.

Pukanie do drzwi przerwało te rozmyślenia i Delgado drgnął, wracając do rzeczywistości.

— O co chodzi? — zapytał, nie zdradzając nawet cienia napięcia w głosie.

— Przybył pański gość, *señor* Delgado. — Odpowiedział ochryple ochroniarz z za drzwi.

Wycierając ręcznikiem wilgotne dłonie i przybierając pewną siebie pozę, właściwą człowiekowi numer dwa w meksykańskim rządzie, Delgado rzekł:

— Wpuść go.

Drzwi otworzyły się i potężny ochroniarz wpuścił niewysokiego, łysiejącego, niespokojnego mężczyznę pod pięćdziesiątkę ubranego w skromny, pomięty garnitur. Mężczyzna wszedł do środka niosąc podniszczoną teczkę, poprawił okulary i wydawał się jeszcze bardziej zdenerwowany, gdy ochroniarz zamknął za nim drzwi.

— Profesorze Guerrero, bardzo się cieszę, że mógł pan przybyć. — Delgado podszedł do niego i uściśnął mu dłoń. — Witam. Jak przebiegł lot ze stolicy?

— Bez przygód, Bogu dzięki. — Profesor otarł chusteczką pot z czoła. — Nigdy nie lubiłem latać. Ale udało mi się przynajmniej zrobić trochę papierkowej roboty.

— Za dużo pan pracuje. Nalać panu drinka?

— Dziękuję, panie ministrze, ale nie. Nie jestem przyzwyczajony do picia tak wcześnie. Boję się, że...

— Nonsens. Co pan chce? Tequilę? Piwo? Rum? Mam doskonały rum.

Profesor Guerrero spojrział na niego i ustąpił, przytłoczony ogromem władzy, jaką reprezentował człowiek, który go wezwał. Oficjalnie Delgado nosił tytuł ministra spraw wewnętrznych, ale nawet ta wysoka pozycja w gabinecie prezydenta nie zdradzała wpływów, jakie posiadał — najbliższy przyjaciel i doradca głowy państwa. Delgado i prezydent wychowywali się

razem w Mexico City. Obaj studiowali prawo na Uniwersytecie Narodowym. Delgado prowadził kampanię wyborczą prezydenta i wszyscy wiedzieli, że został przez niego wybrany na następcę.

Delgado zdawał sobie jednak sprawę, że to wszystko — a zwłaszcza fortuna z łapówek, które należały się przyszlęmu prezydentowi — zostanie mu odebrane, a on sam zniszczony, jeśli nie spełni żądań szantażysty, grożącego ujawnieniem tajemnicy. Należało tego uniknąć za wszelką cenę.

— A zatem dobrze — rzekł profesor Guerrero. — Jeśli pan nalega. Rum z colą.

— Sądzę, że napiję się tego samego. — Gdy Delgado mieszał drinki, demonstrując swojemu gościowi, jakim jest demokratą, ponieważ nie posłał po służącego, jednocześnie kiwnął głową w stronę odgłosów muzyki i śmiechu dobiegających z nad basenu na tarasie poniżej. — Później będziemy mogli przyłączyć się do zabawy. Jestem pewien, że z radością zamieni pan garnitur na kąpielówki. Nie mam też wątpliwości, że z przyjemnością pozna pan kilka pięknych kobiet.

Profesor Guerrero spojrział z zażenowaniem na swoją ślubną obrączkę.

— W gruncie rzeczy nigdy specjalnie nie lubiłem przyjąć.

— Musi się pan zrelaksować. — Delgado postawił zroszone wilgocią szklanki na stole ze szkła i chromu i dał znak Guerrero, żeby usiadł na pluszowym fotelu naprzeciw niego. — Pracuje pan za dużo.

Profesor usiadł sztywno.

— Niestety fundusze, jakimi dysponujemy, nie pozwalają mi na zatrudnienie nowych pracowników i ograniczenie zakresu moich obowiązków.

Nie musiał wyjaśniać, że jest dyrektorem Narodowego Instytutu Archeologii i Historii.

— A zatem może znajdziemy dodatkowe fundusze. Widzę, że nie ruszył pan swojego drinka.

Guerrero ociągając się upił łyk.

— Dobrze. *Salud*. — Delgado również wypił i zaraz jego twarz przybrała ponury wyraz. — Zaniepokoił mnie pański list. Dlaczego nie sięgnął pan po prostu po telefon i nie zadzwonił do mnie? To bardziej skuteczne, bardziej osobiste. — I mniej urzędowe, dodał w duchu. Oficjalne listy, nie mówiąc już o sporządzanych z nich kopiach, były częścią publicznie dostępnych akt, a Delgado wolał, żeby jego problemy pojawiały się w tych aktach jak najrzadziej.

— Kilka razy próbowałem z panem o tym porozmawiać — odparł Guerrero. — Ale nie było pana w biurze. Zostawiałem wiadomości. Nie odpowiadał pan.

Delgado spojrział na niego z dezaprobatą.

— Miałem kilka pilnych spraw, które wymagały natychmiastowego załatwienia. Chciałem odpowiedzieć na pańskie telefony przy pierwszej nadarzającej się okazji. Musi pan wykazać cierpliwość.

— Próbowałem. — Profesor, poruszony, ponownie otarł pot z czoła. — Ale to, co dzieje się na terenie ruin znalezionych na Jukatanie, jest niewybaczalne.

— Profesor Drummond zapewnia mnie, że...

— On nie jest profesorem — zaprotestował Guerrero. — Otrzymał tylko doktorat *honoris causa* i nigdy nie wykładał na uniwersytecie. Zresztą nawet gdyby miał odpowiednie przygotowanie, nie rozumiem, jak mógł pan dopuścić, by badania prowadzili sami Amerykanie. To nasze dziedzictwo, nie ich! I nie rozumiem tej tajemniczości. Dwóch moich asystentów próbowało złożyć tam wizytę, ale ich nie wpuszczono. Cały teren jest strzeżony.

Delgado pochylił się do przodu spoglądając surowo na swojego gościa.

— Profesor Drummond nie szczędził wydatków, żeby zaangażować najlepszych archeologów.

— Najlepsi znawcy kultury Majów są obywatelami tego kraju i pracują w moim instytucie.

— Ale sam pan przyznał, że brakuje wam funduszy — rzekł Delgado z lekką irytacją. — Proszę traktować to jako szczodry dar ze strony profesora Drummonda. Pańskich asystentów nie

wpuszczono na teren badań, gdyż członkowie pracującego tam zespołu są tak zajęci, że nie chcą, by rozpraszały ich wizyty ludzi z zewnątrz. A teren jest strzeżony, by zagwarantować, że ruiny nie zostaną splądrowane przez złodziei, kradnących unikatowe zabytki ze świeżo odkrytych ruin. Wszystko daje się łatwo wytłumaczyć. Nie ma w tym żadnej tajemnicy.

Guerrero zdenerwował się jeszcze bardziej.

— Mój instytut...

Delgado podniósł rękę.

— Pana instytut?

Guerrero poprawił się szybko.

— Narodowy Instytut Archeologii i Historii — wyrzucił z siebie jednym tchem — powinien mieć wyłączne prawo decydowania, jak i przez kogo mają być prowadzone badania. Nie rozumiem, dlaczego pogwałcono przepisy i procedurę.

— Profesorze, pańska naiwność mnie zadziwia.

— Co?

— Alistair Drummond zawsze był hojnym patronem kultury naszego kraju. Przeznaczał miliony dolarów na budowanie muzeów i fundowanie stypendiów dla młodych artystów. Czy muszę panu przypominać, że Drummond Enterprises sponsorowało niedawne światowe tournée największej kolekcji meksykańskiej sztuki, jaka kiedykolwiek została zgromadzona? Czy muszę panu przypominać, że międzynarodowy szacunek, jaki wzbudziła ta kolekcja, doskonale wpłynął na wizerunek naszego kraju? Turyści przyjeżdżają teraz jeszcze liczniej, nie tylko do kurortów, lecz także po to by podziwiać nasze dziedzictwo. Kiedy profesor Drummond zaproponował finansową i techniczną pomoc przy badaniach ruin, dodał, że przyjęcie propozycji uznalby za przysługę. Należało się zgodzić, gdyż zaoszczędziliśmy na kosztach. Przypuszczam też, że jego ekipa zakończy prace wcześniej, niż zrobiłaby to pańska niezbyt liczna grupa. W konsekwencji turyści będą mogli wcześniej zacząć tam przyjeżdżać. Turyści — powtórzył Delgado. — Zysk. Praca dla tubylców. Rozwój bezużytecznej dotąd części Jukatana.

— Zysk? — najeżył się profesor Guerrero. — Czy tylko to pana obchodzi? Turyści? Pieniądze? Delgado westchnął.

— Proszę. Nie psujmy tak przyjemnego popołudnia kłótniami. Przyjechałem tutaj, żeby się zrelaksować, i myślałem, że pan również skorzysta z szansy, by zrobić to samo. Muszę załatwić kilka telefonów. Proponuję, żeby przespacerował się pan nad basen, pozachwycił widokami, być może zaprzyjaźnił się z kilkoma młodymi damami — zresztą jak pan woli — a potem będziemy mogli dokończyć naszą rozmowę przy obiedzie, kiedy trochę ochłoniemy.

— Nie pojmuję, w jaki sposób podziwianie widoku mogłoby zmienić mój pogląd na...

— Dokończymy naszą rozmowę później — przerwał mu Delgado, wstając i odprowadzając Guerrero do drzwi. Otworzył je i powiedział jednemu z ochroniarzy:

— Oprowadź profesora Guerrero po terenie. Pokaż mu ogrody, zabierz nad basen. Zapewnij mu wszystko, czego będzie potrzebował. Profesorze... — Delgado uściśnął mu dłoń — dołączę do pana za godzinę.

Zanim Guerrero zdążył cokolwiek powiedzieć, Delgado wypchnął go delikatnie z pokoju i zamknął drzwi. Momentalnie przestał się uśmiechać. Jego twarz stwardniała, gdy sięgnął po telefon stojący na barze. Zrobił, co mógł. Próbował załatwić sprawę spokojnie i dyplomatycznie. Starając się nie być nachalnym, zaoferował każdą z możliwych łapówek. Bez rezultatu. Cóż, dobrze, teraz należało sięgnąć po inne sposoby. Jeśli profesor Guerrero nie zechce współpracować, dowie się, że nie jest już dyrektorem Narodowego Instytutu Archeologii i Historii. Nowy dyrektor, którego Delgado wybrał osobiście i który winien był mu kilka przysług, bez problemu pozwolił ekipie archeologów Drummonda prowadzić badania na terenie nowo odkrytych ruin Majów.

Delgado nie miał wątpliwości, że nowy dyrektor zgodzi się na wszystko, gdyż uległość stanowiła warunek mianowania. A gdyby profesor Guerrero dalej się opierał, gdyby próbował wywołać skandal polityczny, zginie w tragicznym wypadku samochodowym.

Dlaczego ktoś tak wykształcony zachowuje się tak głupio? — ze złością zastanawiał się Delgado podnosząc słuchawkę. Nie wykręcił jednak numeru, gdyż na aparacie zapaliła się żaróweczka, sygnalizująca, że ktoś próbuje się do niego dodzwonić. Normalnie Delgado pozwoliłby jednemu ze swoich służących odebrać telefon, lecz była to linia prywatna, kończyła się pojedynczym aparatem i wiedziało o niej bardzo niewiele osób. Numer znali tylko zaufani współpracownicy, którzy otrzymali polecenie, by używać go wyłącznie w sprawach najwyższej wagi.

W obecnych okolicznościach Delgado przychodziła do głowy tylko jedna taka sprawa, więc szybko wcisnął świecący guzik.

— Strzała — powiedział, używając identyfikującego go kryptonimu. — O co chodzi?

Poprzez trzaski międzynarodowego połączenia rozległ się ochryply głos, po którym Delgado rozpoznał swojego zaufanego asystenta.

— Skrzydło — odpowiedział hasłem mężczyzna. — Chodzi o kobietę.

Delgado poczuł ucisk w piersiach.

— Czy twój telefon jest bezpieczny?

— Inaczej bym nie dzwonił.

Sieć telefoniczną, podobnie jak całą posiadłość, codziennie sprawdzano na wypadek, gdyby ktoś założył podsłuch. Dodatkowo niewielki licznik przy telefonie mierzył napięcie prądu na linii. Każde odchylenie od normy oznaczałoby, że ktoś włączył się potajemnie do sieci już po jej sprawdzeniu.

— Co z kobietą? — spytał Delgado z napięciem.

— Myślę, że Drummond już jej nie kontroluje. Zwinięto grupę zabezpieczającą.

— Na miłość boską, mów jaśniej. Nie rozumiem.

— Kazał pan nam obserwować. Ale nie możemy podejść zbyt blisko, bo wszędzie są ludzie Drummonda. Jeden z jego agentów udający żebraka siedzi w kartonowym pudle i pilnuje tyłu budynku. Rozmaici uliczni sprzedawcy, jeden z hot dogami, inny z koszulkami i parasolami, pilnują wejścia z parku po przeciwnej stronie ulicy. W nocy zastępują ich inni agenci, udający bezdomnych. Odźwierny budynku pracuje dla Drummonda. Ma też pomocnika na wypadek, gdyby sam był zajęty czymś innym. Służące również pracują dla Drummonda.

— Wiem o tym od dawna! — rzekł Delgado. — Dlaczego mi to...

— Bo wszystkich zdjęto.

Delgado gwałtownie nabrał powietrza.

— Z początku myśleliśmy, że Drummond zmienia tylko system obserwacji — ciągnął asystent.

— Ale myliliśmy się. Odźwierny nie ma już pomocnika. Służące opuściły budynek dzisiaj rano i nie wróciły. Agenci na zewnątrz zniknęli.

Delgado pocił się, mimo że stał obok wylotu urządzenia klimatyzacyjnego. Lawina sprzecznych wniosków sprawiała, że czuł się jak sparaliżowany.

— Musiała wybrać się w podróż.

— Nie — odparł asystent. — Moi ludzie widzieliby ją wyjeżdżającą. Poza tym, kiedy poprzednio gdzieś się wybierała, jej służące jechały z nią. Dzisiaj wyszły same. Wczoraj rano w budynku panowało dziwne zamieszanie, ludzie Drummonda biegali tam i z powrotem, wśród nich jego główny asystent.

— Jeśli nie wybrała się w podróż i nadal przebywa w budynku, to dlaczego zdjęto zabezpieczenie?

— Nie sądzę, żeby nadal była w budynku.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — Delgado prawie krzyczał.

— Myślę, że złamała swoją umowę z Drummondem. Myślę, że się przestraszyła. Sądzę, że udało jej się uciec, prawdopodobnie przedostatniej nocy. To wyjaśniałoby całe zamieszanie wczoraj rano. Grupa zabezpieczająca nie jest już potrzebna w budynku, więc odkomenderowano ją do prowadzenia poszukiwań. Służące też nie są już potrzebne, więc je zwolniono.

— Na litość boską! — Delgado pocił się coraz mocniej. — Jeśli złamała układ, jeśli zacznie mówić, ja... Znajdźcie ją.

— Próbujemy — rzekł asystent. — Ale po tak długim czasie trop jest zimny. Badamy życiorys, próbujemy wydedukować, gdzie mogła się schować i kogo może prosić o pomoc. Jeśli ludzie Drummonda ją znajdą, to on na pewno wyśle po nią swojego asystenta.

— Tak. Teraz ma nade mną mniejszą władzę. Zrobi wszystko co tylko możliwe, żeby ją znaleźć.

Ale jeśli kobieta sama zgłosi się do władz? Jeśli zacznie mówić, żeby ocalić siebie? Dziesiątki myśli przelatywało Delgado przez głowę.

Nie, odpowiedział sam sobie. Nie zwróci się do władz, póki ma jeszcze inne możliwości. Będzie się bała, że Drummond kontroluje policję, że zostanie mu wydana, a potem ukarana za złamanie umowy. Wciąż mam jeszcze trochę czasu. Ale w końcu, kiedy nie będzie już widziała innego wyjścia, zacznie mówić. Wie, że cena jest wysoka i Drummond nie przestanie na nią polować, a nie może uciekać bez końca.

Usłyszał, że asystent mówi coś jeszcze.

— Co? — spytał ostro.

— Pytałem, co mamy zrobić, jeśli ją znajdziemy albo jeśli zaprowadzą nas do niej ludzie Drummonda.

— Podejmę decyzję w odpowiednim momencie.

Delgado odłożył słuchawkę. Bez względu na to, jak starannie szukano ukrytych mikrofonów na terenie rezydencji i jak szczelna była sieć telefoniczna, postanowił już nigdy więcej nie prowadzić podobnych rozmów przez telefon. Treść rozmowy nie była kompromitująca, ale z pewnością wywołałaby nieprzyjemne pytania, gdyby podsłuchali ją niewłaściwi ludzie. Delgado nie chciał prowokować nowych pytań, ani tym bardziej dostarczać na nie odpowiedzi wyjaśniając wszystko swojemu asystentowi. Zdecydował już bowiem, co należy zrobić. Za wszelką cenę. Żeby ulżyć jego owrzodzonemu żołądkowi. Żeby rozwiać koszmary i przywrócić spokojny sen.

Jeśli jego ludzie znajdą kobietę, muszą ją zabić.

A potem niech zabiją Drummonda.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

### 1

*Miami, Floryda*

Metaliczny męski głos odbijał się echem po hali przylotów.

— Pan Victor Grant. Pan Victor Grant. Proszę zgłosić się do telefonu informacji.

Buchanan właśnie wylądował na międzynarodowym lotnisku w Miami. Idąc z pasażerami lotu Aeromexico opuszczającymi obszar kontroli celnej i paszportowej, zastanawiał się, czy Woodfield przekazał wiadomość Maxwellowi i jak zostanie zorganizowane spotkanie. W zgiełku i hałasie ledwie usłyszał komunikat i dla pewności poczekał, aż zostanie powtórzony, zanim podszedł do białego telefonu oznaczonego: LOTNISKO, wiszącego na ścianie obok rzędu publicznych automatów. Telefon nie miał tarczy. Kiedy podniósł słuchawkę, usłyszał sygnał, potem następny, gdy zadzwonił na drugim końcu. Odebrała kobieta, a kiedy wyjaśnił, że jest Victorem Grantem, powiedziała, że jego grupa będzie czekać przy okienku informacji.

Buchanan podziękował i odłożył słuchawkę, a potem zaczął analizować taktykę spotkania. Oddział śledzący obserwuje telefony informacji, uznał. Gdy wywołano nazwisko Victora Granta, patrzyli, kto podejdzie do jednego z nich. Oglądali moje zdjęcie albo podano im rysopis. W każdym razie teraz już mnie zidentyfikowali i zostaną w tyle, żeby sprawdzić, czy ktoś mnie śledzi, kiedy będę szedł do okienka informacji.

Choć był zadowolony ze staranności przygotowania spotkania i uradowany, że uciekł meksykańskim władzom, miał jednak zmartwienie. Jego przełożeni najwyraźniej nadal uważali sprawę za delikatną. W innym wypadku nie użyliby tylu agentów do nawiązania kontaktu.

Szedł spokojnym krokiem, umożliwiając grupie śledzącej obserwowanie podróżnych — poza tym z powodu bólu i tak nie mógł iść szybciej. Ciągnąc swoją walizkę, posuwał się w stronę okienka informacyjnego. Przyjemny, atletycznie zbudowany, zwyczajnie ubrany mężczyzna po trzydziestce wyłonił się z tłumu. Wyciągnął rękę, uśmiechnął się i powiedział:

— Cześć, Vic. Miło cię widzieć. Jak się czujesz? Jak przebiegł lot?

Buchanan uściśnął mu dłoń.

— W porządku.

— Świetnie. Samochód czeka niedaleko. Daj, wezmę twoją torbę. Mężczyzna, który miał ciemne włosy, niebieskie oczy i opaloną skórę, dotknął łokcia Buchanana i poprowadził go w stronę wyjścia. Buchanan szedł posłusznie, chociaż nie podobało mu się, że nie usłyszał żadnego kodu identyfikującego. Kiedy mężczyzna powiedział: — Aha, zarówno Charles Maxwell, jak i Wade chcą, żebyśmy do nich zatelefonowali i zameldowali im, jak się czujesz — Buchanan odetchnął. O jego rzekomej znajomości z Charlesem Maxwellem wiedzieli również wrogowie, lecz tylko jego szefowie mogli wiedzieć, że oficer prowadzący w Cancun posługiwał się pseudonimem Wade. Stanęli na zatłoczonym parkingu lotniska naprzeciw hali przylotów i mężczyzna otworzył szarą furgonetkę z wymalowanym na boku białym napisem: „Bon Voyage, Inc. Przebudowa i wyposażanie łodzi wypoczynkowych”. Dotychczas gawędzili niezobowiązująco, lecz teraz Buchanan zamilkł, czekając, aż mężczyzna da mu wskazówki i powie, według jakiego scenariusza mają działać. Kiedy wyjeżdżali z parkingu, jego towarzysz włączył krótkofalówkę umocowaną pod deską rozdzielczą.

— Okay. Udało się. Możemy rozmawiać. Dam ci skróconą wersję, a szczegóły dopracujemy później. Jestem Jack Doyle. Byłem w SEAL. Po otrzymaniu rany w Panamie musiałem złożyć

rezygnację i otworzyłem tu w Fort Lauderdale biznes, wyposażanie łodzi wypoczynkowych. To wszystko prawda. Teraz twoja rola. Od czasu do czasu robię przysługi ludziom, dla których kiedyś pracowałem. Teraz poprosili mnie, żebym cię zakonspirował. Jesteś moim pracownikiem. Twoi kontrolerzy dostarczyli wszystkie konieczne dokumenty, legitymację ubezpieczeniową, zeznania podatkowe, te rzeczy. Victor Grant też był w SEAL, więc nic dziwnego, że potraktowałem cię lepiej niż człowieka z zewnątrz. Zajmujesz mieszkanie nad moim biurem. Jesteś samotnikiem. Dużo podróżujesz, wykonując roboty dla mnie. Gdyby zapytano o ciebie moich sąsiadów, nie byłoby dziwne, że cię nie znają. Jakieś pytania?

— Od jak dawna mnie zatrudniasz?

— Od trzech miesięcy.

— Ile zarabiam?

— Trzydzieści tysięcy rocznie.

— W takim razie prosiłbym o podwyżkę.

Doyle zaśmiał się.

— Dobrze. Masz poczucie humoru. Polubimy się.

— Jasne — rzekł Buchanan. — Ale polubimy się jeszcze bardziej, jeśli zatrzymasz się na tej stacji przed nami.

— O?

— W przeciwnym wypadku zacznę szczać krwią po twojej furgonetce.

— Jezu.

Zjechali z autostrady na stację. Kiedy Buchanan wyszedł z toalety, Doyle odkładał właśnie słuchawkę automatu w budce.

— Zadzwoń do członka zespołu, który zapewnia łączność z grupą z lotniska. Są pewni, że nikt cię nie śledził.

Buchanan oparł się o furgonetkę, jego twarz mokra była od potu.

— Lepiej zabierz mnie do...

## 2

Lekarz stanął przy łóżku Buchanana, przeczytał jego kartę, osłuchał serce i płuca, sprawdził kroplówkę, a potem zdjął okulary i podrapał się po siwiejącej brodzie.

— Ma pan wyjątkowo wytrzymały organizm, panie Grant. Kiedy widzę kogoś tak poobijanego jak pan, zazwyczaj oznacza to, że brał udział w wypadku samochodowym. — Urwał. — Albo...

Nie dokończył tego zdania, lecz Buchanan wiedział na pewno, że profesor chciał dodać „w walce”, wiedział też, że Doyle nigdy by go tu nie przywiózł, gdyby mały szpital nie miał powiązań z jego kierownictwem. Najprawdopodobniej profesor był kiedyś lekarzem wojskowym.

— Mam wyniki rentgena i innych badań — ciągnął lekarz. — Rana jest zakażona, tak jak pan przypuszczał, lecz teraz po założeniu nowych szwów, opatrunku i podjęciu kuracji antybiotykowej powinna goić się stosunkowo szybko i bez komplikacji. Temperatura już panu spada.

— Co oznacza — sądząc z pańskiej poważnej miny — że gorszym problemem jest wewnętrzne krwawienie — rzekł Buchanan.

Lekarz zawahał się.

— Nie, to krwawienie wcale nie jest aż tak groźne, na jakie wygląda. Bez wątplenia musiał pan doznać sporego szoku, zobaczywszy krew w swoim moczu. Na pewno obawiał się pan, że doszło do pęknięcia jakiegoś organu. W rzeczywistości wygląda to znacznie lepiej, gdyż krwawienie

powoduje mała żyła w pańskim pęcherzu. Operacja nie jest potrzebna. Jeśli pan odpocznie, nie zacznie zbyt szybko trenować, to krwawienie ustanie, a żyła zagoi się niedługo. Coś takiego zdarza się na przykład fanatykom joggingu. Jeśli dadzą sobie wolne na kilka dni, wkrótce mogą znowu biegać.

— A więc o co chodzi? — Zasepiona mina lekarza zaniepokoiła Buchanana. — Co jest nie w porządku?

— Rana czaszki, panie Grant. I okresowe drgawki prawej ręki.

Buchanan poczuł, jak zimno oblewa mu pierś.

— Myślałem, że drgawki były powodowane przez nerwowy szok wywołany raną na ramieniu. Zakładałem, że kiedy zacznie się goić...

Doktor zmrużył oczy, zatroskany.

— Szok. Nerwy. Częściowo miał pan rację. Ten problem wiąże się z nerwami. Ale nie w sposób, w jaki pan to sobie wyobraża. Panie Grant, powtarzam, ma pan odporny organizm. Pańska czaszka uległa pęknięciu. Doznał pan wstrząsu. To wyjaśnia zawroty głowy i zaburzenia wzroku. Szczerze mówiąc, sądząc po siniaku, jaki pokazała ultrasonografia pańskiego mózgu, dziwną jest rzeczą, że udało się panu utrzymać na nogach, nie mówiąc już o zachowaniu sprawności intelektualnej. Musi pan mieć wyjątkową odporność i siłę woli.

— To kwestia adrenaliny, doktorze. — Głos Buchanana opadł o jeden ton. — Czy chce mi pan powiedzieć, że doznałem urazu neurologicznego?

— Taka jest moja opinia.

— A zatem co czeka mnie teraz? Operacja?

— Nie bez zasięgnięcia drugiej opinii — odparł lekarz. — Musiałbym porozumieć się ze specjalistą.

Powstrzymując wewnętrzne drżenie, przestraszony wizją dobrowolnego poddania się uśpieniu narkotykiem, Buchanan rzekł:

— Chcę usłyszeć pańską opinię.

— Czy spał pan przez nienormalnie długi czas?

— Spał? — Buchanan niemal się zaśmiał, lecz opanował impuls, gdyż wiedział, że śmiech zabrzmiałby histerycznie. — Nie miałem czasu na spanie.

— Wymiotował pan?

— Nie.

— Zaobserwował pan jakieś inne zaburzenia poza zawrotami głowy, problemami ze wzrokiem i drgawkami w prawej ręce?

— Nie.

— Pańskie odpowiedzi napawają mnie optymizmem. Chciałbym skonsultować się ze specjalistą neurologiem. Może okazać się, że operacja nie będzie konieczna.

— A jeśli będzie? — spytał Buchanan sztywno. — Jakie ponoszę ryzyko?

— Wolałbym nie rozważać hipotez. Najpierw zaopiekujemy się panem, poczekamy do jutra rana, zrobimy kolejne USG i zobaczymy, czy wielkość siniaka na mózgu uległa zmniejszeniu.

— A w najlepszym razie? — spytał Buchanan. — Przypuśćmy, że siniak się skurczy. Przypuśćmy, że operacja nie będzie konieczna.

— Najlepszy raz to najgorszy raz — odparł lekarz. — Zniszczone komórki mózgu nigdy się nie regenerują. Na pana miejscu zrobiłbym wszystko, żeby już nigdy nie uderzono mnie ponownie w głowę.



Jednopiętrowy, nie wyróżniający się niczym dom stał w podmiejskiej dzielnicy Fort Lauderdale zwanej Plantation, zasłaniany przez rozkwitłe kwiaty i krzewy. Buchanan zastanawiał się, czy projektowanie zieleni stanowi hobby gospodarza. Rozmowa, jaką prowadzili podczas jazdy ze szpitala, wskazywała, że recesja źle wpłynęła na interesy i Doyle nie może sobie pozwolić na ogrodnika. Ale gdy zaparkował na podjeździe i wprowadził Buchanana przez boczne drzwi do domu, szybko wyjaśniło się, kto sprawuje pieczę nad terenem.

Doyle miał żonę. Buchanan nie był dotąd tego pewny, gdyż rzadko zadawał osobiste pytania, a Doyle nie nosił obrączki. Teraz patrzył na pełną energii, drobną kobietę trochę młodszą od męża, może trzydziestoletnią. Miała promienny wzrok, piegowaną buzię i czarujący, spontaniczny uśmiech. Buchanan nie mógł dostrzec, jakiego koloru były jej włosy, gdyż przykryła je chustką w czarno-czerwonej szachownicy. Włożyła biały płócienny fartuch, a jej dłonie pokrywała mąka z kawałka ciasta, które zagniałała na drewnianym kontuarze.

— Och, jej — powiedziała z przyjemnym południowym akcentem (Luizjana, pomyślał Buchanan). — Nie myślałam, że zjawicie się tak szybko. — Ujmująco zakłopotana, dotknęła swojej twarzy i zostawiła ślad mąki na piegach. — Straszny tu bałagan. Nie miałam czasu, żeby...

— Dom wygląda w porządku, Cindy. Naprawdę — rzekł Doyle. — Ruch był mniejszy, niż się spodziewałem. Dlatego przyjechaliśmy wcześniej. Przepraszam.

Cindy roześmiała się.

— Można na to też spojrzeć z drugiej strony. Teraz nie muszę już sama sprzątać.

Miała zaraźliwy uśmiech. Buchanan odwzajemnił go. Doyle wskazał na niego gestem.

— Cindy, to mój przyjaciel, o którym ci opowiadałem. Vic Grant. Znamy się ze służby. Pracował dla mnie przez ostatnie trzy miesiące.

— Miło mi cię spotkać. — Cindy wyciągnęła rękę. Potem przypomniała sobie o mące i zaczęła ją cofać.

— Nie, to nic — rzekł Buchanan. — Mąka jest przyjemna w dotyku.

Uścisnął jej dłoń.

— Facet z klasą — powiedziała Cindy do swojego męża.

— Hej, wszyscy moi przyjaciele mają klasę.

— Akurat. — Spojrzała na Buchanana, wskazując gruby opatrunek wokół jego głowy. — Mam jeszcze jedną czarno-czerwoną chustkę, która na pewno będzie wyglądała lepiej niż to.

Buchanan wyszczerzył zęby.

— Przez jakiś czas mam tego nie zdejmować. Nie na wiele się zresztą zdaje. To nie gips ani nic takiego. Przypomina mi tylko, żebym uważał na głowę.

— Pęknięta czaszka, jak mówił Jack.

Buchanan skinął wciąż bolącą głową.

Oczekiwał, że Cindy zapyta go, w jaki sposób się zranił, i miał zamiar powtórzyć kłamstwo o upadku z łodzi, lecz ona zaskoczyła go i zmieniając nagle temat, wskazała ciasto leżące na kontuarze.

— Robię dla was deser. Mam nadzieję, że lubi pan smak jabłek.

— Rzadko próbuję szarlotek domowej roboty — odpowiedział ukrywając zmieszanie. — Jestem pewny, że cokolwiek pani upiecze, będzie smakowało wspaniale.

— Jack, coraz bardziej lubię tego faceta.

— Zaprowadzę cię do pokoju gościnnego — rzekł Doyle.

— Jeśli czegoś potrzebujesz, po prostu powiedz — dodała Cindy.

— Założę się, że wszystko jest okay — odparł Buchanan. — Naprawdę doceniam to, że mnie zaprosiliście. Nie mam rodziny i lekarz pomyślał, że byłoby lepiej, gdybym...

— Sza — powiedziała Cindy. — Na najbliższe dni my stanowimy twoją rodzinę.

Gdy Doyle prowadził Buchanana w stronę zalanego słońcem holu, ten obejrzał się na Cindy, wciąż zdziwiony, że nie zadała mu pytania na temat rozbitej czaszki.

Stała odwrócona zagniatając kawałek ciasta. Zauważył ślady mąki na jej dzinsach. I jeszcze coś. Rewolwer kalibru .38 z krótką lufą leżał na półce, koło ściennego telefonu, przy bocznych drzwiach, a Buchanan wiedział, że Jack Doyle nigdy nie wybrałby dla siebie takiej broni. Uważałby ją za zabawkę, woląc półautomatyczną dziewiątkę albo czterdziestkępiątkę. Nie, ten rewolwer należał do Cindy i Buchanan gotów był się założyć, że ona umie się nim posługiwać.

Czy stanowił ochronę przed ewentualnymi włamywaczami? Czy doświadczenia z pracy w SEAL sprawiły, że Doyle stał się wyjątkowo czuły na punkcie bezpieczeństwa? Idąc za nim Buchanan przypomniał sobie jego uwagę na temat oddawania czasem przysług ludziom, dla których kiedyś pracował, i natychmiast zdał sobie sprawę, że znajdzie w ich domu wiele różnego rodzaju broni przeznaczonej dla Cindy, by mogła ustrzec się przed ewentualnymi skutkami tych przysług.

— Proszę, jesteśmy na miejscu. — Weszli do miłej, przytulnej sypialni z koronkowymi zasłonami, antycznym fotelem na biegunach i wschodnim dywanem na drewnianej podłodze. — Do łazienki wchodzi się tędy. Jest tylko twoja. My mamy drugą. Nie ma niestety wanny, tylko prysznic.

— Żaden problem — rzekł Buchanan. — Wolę prysznic.

Doyle położył jego torbę na lakierowanej ławie u stóp łóżka.

— To chyba wszystko na razie. Rozpakuj się. Zdrzemnij. Na tej półce masz pełno książek. Albo pooglądaj sobie telewizję. — Wskazał na mały telewizor stojący na biurku w rogu. — Czuj się jak u siebie w domu. Dam ci znać, kiedy lunch będzie gotowy.

— Dzięki.

Ale gospodarz nie wychodził. Wyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał.

— O co chodzi? — spytał Buchanan.

— Nie znam twojej prawdziwej przeszłości i nie powinienem jej znać, ale wnioskuję, zważywszy, kto poprosił mnie o przechowanie cię, że musimy być kimś w rodzaju braci. Doceniam twoje podziękowania. Ale nie są one konieczne.

— Rozumiem.

Doyle zawahał się.

— Trzymałem się reguł i nie zadawałem żadnych pytań. Myślę, że powiedziano mi wszystko, co powinienem wiedzieć. Ale jest jedna rzecz. Co się wydarzyło i dlaczego tu jesteś... Jeśli możesz mi... Czy jakieś niebezpieczeństwo grozi Cindy?

Buchanan nagle bardzo polubił tego człowieka.

— Nie. Według mojego rozeznania Cindy nic nie grozi.

Mięśnie policzków Doyle'a rozluźniły się.

— To dobrze. Ona nic nie wie o moich sprawach. Gdy byłem w SEAL, nigdy nie mówiłem jej, gdzie mnie wysyłają i kiedy wrócę. Nigdy nie zadała żadnego pytania. Zawsze mi ufała. Nie zapytała też, dlaczego chcę, żeby nauczyła się strzelać, albo dlaczego w domu znajduje się broń.

— Taka jak rewolwer koło telefonu, na ścianie w kuchni?

— Tak, widziałem, że go zauważyłeś. I taka jak ten. — Doyle podniósł narzutę z boku łóżka i pokazał Buchananowi kaburę z coltem kalibru 9 mm przymocowaną do drewnianej ramy łóżka. — Na wszelki wypadek. Powinieneś o tym wiedzieć. Nie obchodzi mnie, co stanie się ze mną, ale

Cindy... Cóż, Cindy to wspaniała kobieta. Nie zasługuję na nią. A ona nie zasługuje na kłopoty, które przynoszę do domu.

— Jest bezpieczna, Jack.

— To dobrze — powtórzył Doyle.

#### 4

Obudził go stłumiony dzwonek telefonu. Ocknął się natychmiast i to go ucieszyło. Jego instynkt przetrwania nadal funkcjonował. Popatrzył na stolik, lecz nie zauważył telefonu, potem spojrzął w kierunku zamkniętych drzwi, zza których dobiegało dzwonienie. Aparat znajdował się zapewne w kuchni. Usłyszał kobiecy głos. Cindy. Potem usłyszał Jacka. Rozmowa trwała krótko i w domu znowu zapanowała cisza.

Buchanan zerknął na zegarek, zaskoczony, że jest już wpół do pierwszej. To, co miało być piętnastominutową drzemką, rozciągnęło się do dwóch godzin. Lekarz ostrzegł go przed zbyt długim spaniem. Po południu? Zmarszczył brwi. Lunch jest już pewnie gotów, pomyślał, ciekawe, dlaczego Jack albo Cindy mnie nie obudzili. Przeciągnął się ostrożnie, testując sztywność gojącego się ramienia, po czym włożył buty i wstał z łóżka.

Usłyszał ciche skrobanie do drzwi.

— Vic? — wyszeptała Cindy.

— Wszystko w porządku. Właśnie wstałem.

Buchanan otworzył drzwi.

— Lunch jest gotowy.

Uśmiechnęła się uroczo.

Buchanan zauważył, że zdjęła pobrudzony mąką fartuch, lecz wciąż ma na głowie czerwono-czarną chustkę w szachownicę. Może musi poprawić włosy, a nie miała na to czasu, pomyślał, idąc za nią przez słoneczny hol do kuchni.

— Ciasto jest na kolację. Nie jemy zbyt obfitych posiłków w porze lunchu — wyjaśniła. — Jack fanatycznie walczy z cholesterolem. Mam nadzieję, że lubisz proste jedzenie.

Dla każdego stał przygotowany talerz parującej zupy jarzynowej, kanapka z tuńczykiem i surówka z selera, marchewki, kalafiora i pomidorów.

— Chleb jest razowy — dodała Cindy — ale mogę dać ci biały, jeśli...

— Nie, razowy mi odpowiada — rzekł Buchanan i zauważył, że siedzący już przy stole Doyle zdaje się zaabsorbowany czubkiem swojego widelca.

— Dobrze ci się spało? — zapytała Cindy.

— Świetnie — odparł czekając, aż gospodyni usiądzie i zanurzy łyżkę w zupie, zanim sam zaczął jeść. — Doskonale.

— Spróbuj surowego kalafiora — poradziła. — Wspaniale oczyszcza organizm.

— Tak, mojemu organizmowi z pewnością przydałoby się oczyszczenie — zażartował Buchanan, zastanawiając się, dlaczego Doyle nie odezwał się jeszcze i nie zaczął jeść. Najwyraźniej coś go gnębiło. Postanowił mu pomóc. — Założę się, że spałbym nadal, gdyby nie ten telefon.

— Och, tego się obawiałam. — powiedziała Cindy.

— Tak. — Doyle wreszcie przemówił. — Wiesz przecież, że kiedy wychodzę z biura, przełączam telefon na dom.

Buchanan skinął głową ze względu na Cindy. Ta informacja musiała być oczywista dla kogoś, kto od trzech miesięcy pracował dla jej męża.

— Cóż, ktoś dzwonił do biura, chcąc z tobą porozmawiać — ciągnął Doyle. — Mężczyzna. Powiedziałem mu, że nie możesz teraz odebrać. Zadzwoń ponownie.

Buchanan starał się nie okazywać z troskania.

— To pewnie ktoś, dla kogo wykonywałem jakąś robotę. Może ma pytania na temat sprzętu, który mu zainstalowałem. Zostawił swoje nazwisko?

Doyle potrząsnął chmurnie głową.

— A zatem nie mogło to być nic ważnego. — Buchanan próbował mówić spokojnie.

— Tak też pomyślałem — rzekł Doyle. — Aha, po lunchu powinienem pojechać do biura. Muszę sprawdzić parę rzeczy. Jeśli dobrze się czujesz, czy chciałbyś dotrzymać mi towarzystwa?

— Jack, Victor ma odpoczywać, a nie pracować.

Buchanan przełknął kęs.

— Nie ma się o co martwić. Naprawdę. Drzemka świetnie mi zrobiła. Pojadę z tobą, Jack.

— Świetnie. — Doyle zaczął wreszcie jeść, ale zaraz przestał, spoglądając na żonę. — Poradzisz sobie, kiedy nas nie będzie?

— A dlaczego miałabym sobie nie poradzić?

Uśmiech Cindy był wymuszony.

— Zupa jest wspaniała — rzekł Doyle.

— Tak się cieszę, że ci smakuje.

Uśmiechnęła się z jeszcze większym trudem.

## 5

— Coś jest nie tak — rzekł Buchanan.

Doyle nie odpowiedział i patrząc prosto przed siebie udawał, że koncentruje się na prowadzeniu samochodu.

Buchanan nie miał zamiaru ustępować.

— Twoja żona jest taka miła, lecz odnoszę wrażenie, że dużo ją to kosztuje. Nie zadaje pytań, ale podkreśla pewne sprawy — na przykład z tym telefonem do mnie. Uśmiechnęła się, ale to był sztuczny uśmiech. Nie uwierzyła ani na chwilę, że jesteśmy przyjaciółmi. Och, próbuje udawać, ale prawda jest taka, że robi się przy mnie nerwowa, a przy lunchu nie umiała już tego dłużej ukrywać. Jeśli to się nasili, będę chyba musiał się wyprowadzić.

Doyle nadal patrzył przed siebie, mijając mosty spinające kanały, wzdłuż których obok palm i ekskluzywnych rezydencji stały zacumowane jachty. Słońce paliło niemiłosiernie. Jednak ciemne okulary, które założył Doyle, miały raczej chronić jego oczy przed wzrokiem Buchanana niż przed słońcem.

Postanowił więc dać mu spokój i zmniejszyć napięcie, pozwalając Doyle'owi odpowiedzieć we własnym tempie. Wobec przedłużającego się milczenia zaczął jednak obawiać się, że niczego się nie dowie, jeśli nie naciśnie ponownie.

Okazało się to zbyteczne.

— Ty nie stanowisz problemu — rzekł Doyle z napięciem. — Chciałbym, żeby życie było tak proste. Cindy cieszy się, że u nas mieszkasz. Naprawdę. Chce, żebyś został tak długo, jak to konieczne. Jeśli chodzi o sprawy, którymi się zajmuję, jej spokój jest zadziwiający. Pamiętam, jak kiedyś... Stacjonowałem w Coronado, w Kalifornii... Cindy i ja mieszkaliśmy poza bazą.

Pożegnałem się z nią rano, pojechałem do pracy i nagle dla mojej grupy ogłoszono alarm. Zakaz kontaktowania się z kimkolwiek z zewnątrz. Więc nie mogłem jej zawiadomić, że wsadzają nas do samolotu. Wyobrażałem sobie, co czuła, kiedy nie wróciłem na noc. Zmieszanie. Niepokój. Nie była przygotowana na to, że być może nigdy już mnie nie zobaczy. — Głos Doyle'a stwardniał. Spojrzała na Buchanana. — Nie było mnie przez sześć miesięcy. — Nie mówił, dokąd go wysłano, a Buchanan nie miał zamiaru pytać. Pozwolił Doyle'owi kontynuować.

— Później dowiedziałem się, że jakiś dziennikarz odkrył, że należę do SEAL i że Cindy jest moją żoną. Pojawił się w naszym mieszkaniu i próbował wyciągnąć od niej, dokąd mnie posłano. Cóż, ona nie wiedziała jeszcze nawet, że w ogóle gdzieś wyjechałem, a co dopiero mówić dokąd. Kobieta nie tak silna jak Cindy mogłaby stracić głowę, gdyby nagle stanął przed nią dziennikarz i zaczął zarzucać pytaniami na temat niebezpiecznej misji, w którą wysłano jej męża. Byłoby naturalne, gdyby oszołomiona i wystraszona przyznała, że należę do SEAL, i zapytała dziennikarza, czy coś mi grozi. Byłoby naturalne — ale nie dla niej. Ona nie puściła pary z ust, twierdząc, że o niczym nie wie. Pojawili się inni dziennikarze, im również nic nie powiedziała. Za każdym razem mówiła to samo: „Zupełnie nie wiem, o co wam chodzi”. Niesamowite. Ani razu nie zadzwoniła do bazy, żeby zapytać, co się ze mną dzieje. Zachowywała się, jakby wszystko było w porządku i od poniedziałku do piątku wykonywała swoją pracę sekretarki w towarzystwie ubezpieczeniowym, a kiedy wreszcie wróciłem, pocałowała mnie namiętnie i powiedziała: „Tęskniłam za tobą”. Nie „Gdzie byłeś?”, tylko że za mną tęskniła. Poza tym wiele razy wyjeżdżałem na misje i nawet przez sekundę nie wątpiłem, że była mi wierna.

Buchanan kiwał głową, ale coś mu się nie zgadzało. Jeśli napięcie, które wyczuwam u Cindy, nie jest spowodowane moją obecnością — to czym?

— Cindy ma raka — powiedział Doyle.

Buchanan szeroko otworzył oczy.

— Białaczka — głos Doyle'a stał się jeszcze bardziej napięty. — To dlatego nosi tę chustkę na głowie. Żeby ukryć brak włosów. Chemoterapia wywołała łysienie.

Buchanan poczuł odrętwienie w piersiach. Teraz zrozumiał, dlaczego policzki Cindy zdawały się świecić, dlaczego jej skóra była niemal przezroczysta. Leki, które przyjmowała — w połączeniu z ogólnym osłabieniem wywołanym chorobą — nadawały jej skórze bezcielesny, eteryczny wygląd.

— Właśnie wczoraj wyszła ze szpitala po jednej ze swoich trzydniowych terapii — rzekł Doyle. — Całe to zamieszanie z jedzeniem przy lunchu. Do diabła, tylko to mogła jeść. A ciasto, które robiła... Chemoterapia wpływa jakoś na jej poczucie smaku. Nie może przyjmować słodczy. Kiedy spałeś, wymiotowała.

— Chryste — rzekł Buchanan.

— Ale bardzo chce, żebyś czuł się u nas jak w domu.

— Sami macie wystarczająco dużo kłopotów... Dlaczego nie zrezygnowałeś z tego zadania? Moi szefowie na pewno mogli znaleźć kogoś innego.

— Najwyraźniej nie mogli — odparł Doyle. — Inaczej nie prosiłoby mnie.

— Czy powiedziałaś im o...?

— Tak — odparł Doyle gorzko. — Ale nie zmienili zamiarów. Bez względu na to, jak wiele Cindy podejrzewa, nigdy nie będzie można powiedzieć jej, że wypełniam zadanie. Ale ona i tak to wie. Jestem tego pewien, tak samo jak i tego, że robi wszystko, żebym mógł wykonać je należycie. Pozwala jej to przynajmniej myśleć o czymś innym...

— Co mówią lekarze?

Doyle wjechał na autostradę biegnącą wzdłuż plaży. Nie odpowiadał.

— Czy terapia przynosi jakieś rezultaty? — nie ustępował Buchanan.

— To znaczy, czy Cindy przeżyje? — spytał zduszonym głosem Doyle.

— ...Tak chyba o to mi chodzi.

— Nie wiem. — Doyle nabrał powietrza. — Lekarze są dobrej myśli, ale nie chcą niczego przesądzać. W jednym tygodniu jest lepiej, w następnym gorzej. Potem znowu... Jak na karuzeli. Ale gdybym musiał dać definitywną odpowiedź... Tak, myślę, że ona umiera. Dlatego zapytałem, czy to, co robimy, jest dla niej niebezpieczne. Boję się, że zostało już niewiele czasu. Nie zniósłbym, gdyby coś skróciło ten czas jeszcze bardziej. Chybabym oszalał.

## 6

— Jak myślisz, kto dzwonił do was do domu? Kto pytał o Victora Granta?

Doyle, który milczał przez ostatnie pięć minut, zamyślony, pełen troski o żonę, teraz spojrział na Buchanana.

— Powiem ci jedno. To nie byli twoi szefowie. Powiedzieli mi, że skontaktują się z tobą telefonicznie o ósmej rano, trzeciej po południu albo dziesiątej wieczorem. Ktoś zadzwoni i poprosi mnie do telefonu. Powie, że nazywa się Roger Winslow i zaproponuje spotkanie w moim biurze, żeby przedyskutować sprawę wyposażenia łodzi. To będzie sygnał, że *rendez-vous* wyznaczono na godzinę przed rzekomym czasem spotkania. W hurtowni z częściami do łodzi — czasem skorzystam z ich gościnności. Zawsze jest tam tłoczno. Nikt nie zauważy, jeśli ktoś, mijając cię, przekaże wiadomość.

Buchanan zastanawiał się.

— A więc to nie moi zwierzchnicy dzwoniли. Poza nimi tylko meksykańska policja wie, że nazywam się Victor Grant i pracuję przy łodziach wypoczynkowych w Fort Lauderdale.

Doyle potrząsnął głową.

— Mężczyzna, z którym rozmawiałem, nie miał hiszpańskiego akcentu.

— A może to był ten facet z amerykańskiej ambasady?

— To możliwe. Mógł telefonować, żeby upewnić się, czy bezpiecznie dotarłeś na miejsce. Ma dostęp do tych samych informacji — miejsce pracy i tak dalej — które podałeś meksykańskiej policji.

— Tak, może to był on — powiedział z nadzieją Buchanan. Ale nie mógł pozbyć się podejrzeń, że nie jest bezpieczny, a sprawy mogą pójść w złym kierunku.

— Skoro masz rzekomo pracować dla mnie i mieszkać nad moim biurem — rzekł Doyle — lepiej będzie, jeśli zobaczysz, jak to wszystko wygląda.

Zjechał z Ocean Boulevard, skręcając w boczną uliczkę prostopadłą do plaży. Minał sklepy dla turystów i zaparkował przy jednym z wielu podobnych do siebie jednopiętrowych budynków z brązowej cegły, stojących wzdłuż kanaru wypełnionego łodziami znajdującymi się w naprawie.

— Z tyłu mam warsztat — rzekł Doyle. — Czasem moi klienci przyprawdzają łodzie tutaj. Zazwyczaj jednak to ja jadę do nich.

— A co z twoją sekretarką? — zapytał Buchanan, niespokojny. — Będzie wiedziała, że wcale dla ciebie nie pracowałem.

— Nie mam sekretarki. Jeszcze trzy miesiące temu Cindy wykonywała wszystkie prace biurowe. Ale potem choroba uniemożliwiła jej... To dlatego jest skłonna uwierzyć, że pracowałem dla mnie, kiedy ona była w domu.

Idąc w stronę budynku Buchanan zmrużył oczy przed słońcem. Czuł zapach słonej bryzy nad oceanu. Młoda kobieta w bikini przejechała obok na motocyklu patrząc na jego głowę. Nieśmiało

dotknął bandaża wokół czaszki, zdając sobie sprawę, jak bardzo zwraca uwagę. Poczuł się niemal bezbronny. Głowa bolała go od blasku słońca. Doyle otworzył drzwi wejściowe opatrzone napisem: BON VOYAGE, INC. i wyłączył alarm. Buchanan wszedł do środka, rozglądając się po biurze. Było to długie, wąskie pomieszczenie pełne fotografii jachtów i łodzi kabinowych na ścianach, przyrządów nawigacyjnych na półkach i miniaturowych wewnątrz przeróżnych łodzi wypoczynkowych na stołach. Modele pokazywały, w jaki sposób można instalować sprzęt elektroniczny, by nie zajmował zbyt wiele miejsca w ciasnym wnętrzu łodzi.

— List do ciebie — rzekł Doyle przeglądając pocztę.

Buchanan wziął list, starając się nie okazać zdumienia, że ktoś napisał do Victora Granta. Obawiając się podsłuchu nie mógł mówić nic, czego nie powiedziałaby Victor Grant, i również od Doyle'a oczekiwał trzymania się ustalonego scenariusza.

List zaadresowany był drobnym ręcznym pismem. Nadany w Providence, stan Rhode Island. Buchanan rozerwał kopertę i przeczytał go.

— Od kogo? — zapytał Doyle.

— Od mojej matki. — Buchanan z podziwem potrząsnął głową. Jego szefowie z wielką starannością dbali o szczegóły potwierdzające nową tożsamość.

— Co u niej? — zapytał Doyle.

— Wszystko dobrze. Poza tym że znowu prześladowuje ją artretyzm.

Zadzwoił telefon.

## 7

Buchanan zmarszczył brwi.

— Spokojnie — rzekł Doyle. — To biznes, nie zapominaj. — A prawdę powiedziawszy, przydałby mi się jakiś klient.

Telefon zadzwonił ponownie. Doyle podniósł słuchawkę:

— Bon Voyage, Inc. — powiedział, a potem zmarszczył brwi spoglądając na Buchanana. Przykrył słuchawkę dłonią. — Myliłem się. To znowu ten facet, który o ciebie pytał. Co chcesz, żebym mu przekazał.

— Lepiej zostaw to mnie. Ciekaw jestem, kto to. — Zaniepokojony Buchanan sięgnął po słuchawkę. — Tutaj Victor Grant.

Natychmiast rozpoznał gruby, ochrypły głos.

— Wcale nie nazywasz się Victor Grant.

Czując, jak wali mu serce, opanował trwogę i próbował udawać, że jest zaskoczony.

— Co? Kto mówi? Mój szef powiedział, że ktoś chce ze mną rozmawiać... Chwileczkę. Czy to...? Czy to pan jest tym facetem z Meksyku, który...?

— Bailey. Wielki Bob Bailey. Do diabła, Crawford, nie denerwuj mnie. Wciąż siedziałbyś w więzieniu, gdybym nie zadzwonił do amerykańskiej ambasady. Mógłbyś przynajmniej okazać trochę wdzięczności.

— Wdzięczności? W ogóle nie znalazłbym się w więzieniu, gdyby nie twoja pomyłka. Ile razy będę ci musiał to powtarzać? Nie nazywam się Crawford. Jestem Victor Grant.

— Pewnie, tak samo jak Ed Potter. Nie wiem, jakie ciemne interesy prowadzisz, ale wygląda na to, że masz więcej nazwisk, niż jest ich w książce telefonicznej, i jeśli chcesz ich dalej używać, to będziesz musiał zapłacić wpisowe.

— Wpisowe? O czym ty mówisz?

— Po tym, co stało się w Kuwejcie, wcale nie szaleję już za pracą na polach naftowych Bliskiego Wschodu — rzekł Bailey. — Tutaj przedsiębiorstwa naftowe zamykają szyby, zamiast wiercić nowe. Jestem za stary, żeby ryzykować. Dlatego myślę, że powinienem oprzeć się na moich kumplach. Takich jak ty, Crawford. Czy ze względu na to, że byliśmy razem więźniami, możesz wysupłać sto tysięcy dolarów?

— Sto tysięcy...? Bailey, ty piłeś?

— A pewnie, że tak.

— Postradałeś zmysły. Powtarzam ci po raz ostatni, więc słuchaj uważnie. Nie nazywam się Crawford. Nie nazywam się Potter. Nazywam się Victor Grant i nie wiem, o czym mówisz. Odpieprz się.

Buchanan przerwał połączenie.

## 8

Doyle patrzył na niego.

— Źle?

Twarz Buchanana stwardniała.

— Nie jestem pewien. Okaże się za minutę. — Nie zdejmował dłoni ze słuchawki.

Ale minęło tylko dziesięć sekund, nim telefon zadzwonił ponownie. Buchanan zrobił groźną minę, odczekał trzy sygnały i podniósł słuchawkę.

— Bon Voyage, Inc.

— Crawford, niech ci się nie wydaje, że tak łatwo się mnie pozbędziesz — rzekł Bailey. — Jestem uparty. Możesz oszukać meksykańską policję, możesz oszukać ambasadę amerykańską, ale wierz mi na słowo, mnie nie oszukasz. Wiem, że twoje prawdziwe nazwisko nie brzmi wcale Grant ani Potter. I nagle zaczynam się zastanawiać, czy na pewno nazywasz się Crawford. Kim jesteś, stary kumplu? Sto tysięcy dolarów pomoże mi przestać o tym myśleć.

— Moja cierpliwość się wyczerpała — rzekł Buchanan. — Przestań mnie dręczyć.

— Hej, jeszcze nie wiesz, co to znaczy dręczenie.

— Mówię poważnie. Zostaw mnie w spokoju albo zadzwonię na policję.

— Tak, policja to niezły pomysł — rzekł Bailey. — Może oni pokapują się, co się dzieje i kim jesteś. No już. Udowodnij, że jesteś niewinnym, prawomyślnym obywatelem. Zadzwoni po gliny. Z przyjemnością porozmawiałbym z nimi o tych trzech handlarzach narkotyków, których zastrzeliłeś w Meksyku, i o tym, dlaczego używasz aż tylu różnych nazwisk.

— Co mam zrobić, żeby cię przekonać, że...

— Chłopie, nie musisz mnie o niczym przekonywać. Masz mi tylko zapłacić sto tysięcy dolarów. Potem, jeśli o mnie chodzi, możesz nazwać się nawet Napoleon.

— Nie słuchałeś tego, co ci...

— Jedyne, co chcę usłyszeć to: „Tutaj są twoje pieniądze”. Crawford, czy kimkolwiek u diabła jesteś, jeśli nie zaczniesz robić tego, co ci mówię, przysięgam na Boga, że sam zadzwonię po policję.

— Gdzie jesteś?

— Wiesz przecież, że ci nie powiem. Kiedy będziesz miał te sto tysięcy — a chcę je na jutro — wtedy dam ci znać, gdzie możesz mnie znaleźć.

— Musimy się spotkać. Mogę udowodnić, że się mylisz.



— A jak zamierzasz to właściwie zrobić, kumplu? Przysiąc mi z ręką na sercu? — Bailey zaśmiał się i tym razem to on rzucił słuchawkę na widełki.

## 9

Ból rozsadzał Buchananowi głowę. Odwrócił się do Doyle'a.

— Tak, jest źle.

Musiał cały czas pamiętać, że Bailey albo ktoś inny mógł umieścić w biurze ukryty mikrofon. Jak na razie nie powiedział jednak nic kompromitującego. Jakikolwiek wyjaśnienie poda Doyle'owi, musi ono być zgodne z punktem widzenia Victora Granta.

— Ten kretyn, który narobił mi tyle kłopotów w Meksyku. Myśli, że zastrzeliłem tam trzech handlarzy narkotyków. Teraz próbuje mnie szantażować. Powiedział, że jeśli go nie posłucham, zadzwoni na policję.

Doyle zagrał swoją rolę.

— Niech spróbuje. Nie sądzę, żeby miejscowych gliniarzy interesowało, co stało się w Meksyku, a ponieważ ty nie zrobiłeś nic złego, facet wyjdzie na idiotę. Potem możesz oskarżyć go o próbę wymuszenia pieniędzy.

— To nie takie proste.

— Dlaczego?

Wstrząsnął nim dreszcz. Coś nagle przyszło mu do głowy. Telefon zadzwonił zaraz po tym, jak weszli do biura. Zwykły zbieg okoliczności?

Podbiegł do drzwi wejściowych, otworzył je i rozejrzał się po ulicy. Kobieta niosła zakupy na łódź kabinową. Przejechał samochód. Przebiegł młody mężczyzna w dresie. Dwaj mechanicy zdejmowali skrzynkę z ciężarówki. Dzieciak na rowerze spojrzął z zainteresowaniem na owiniętą bandażem głowę Buchanana.

Buchanan ściągnął bandaż i patrzył dalej. W głowie szumiało mu od silnego blasku słońca. Tam! Na lewo. Na samym końcu. Koło plaży. Potężny mężczyzna z szerokimi barami i włosami na jeża, Bailey! Stał przy budce telefonicznej, spoglądając w jego stronę.

Zobaczywszy, że został zauważony, podniósł w pozdrowieniu muskularną rękę. Następnie, gdy Buchanan ruszył w jego kierunku, wyszczerzył zęby — nawet z tej odległości uśmiech był widoczny — wsiadł do zakurzonego samochodu i odjechał.

## 10

— Cindy? — Doyle wbiegł do domu.

W kuchni było pusto.

— Cindy?

Żadnej odpowiedzi.

Doyle odwrócił się do Buchanana.

— Drzwi były zamknięte. Samochód stoi na podjeździe. Dokąd mogła pójść na piechotę? Dlaczego miałaby... Cindy?

Pobiegł w głąb domu.

Buchanan został w kuchni, wyglądając przez boczne okno na podjazd i ulicę.

— Cindy? — usłyszał z pokoju w głębi holu.

Głos Doyle'a uspokoił się w jednej chwili.

— Wszystko w porządku? Przepraszam, że cię obudziłem, kochanie. Nie wiedziałem, że spałaś. Kiedy zastałem zamknięte drzwi, pomyślałem, że mogłaś...

Głos Doyle'a przycichł jeszcze bardziej i Buchanan przestał go słyszeć. Czekał niespokojnie, wyglądając przez okno.

Doyle wrócił do kuchni, oparł się o lodówkę i potarł wychudzone policzki.

— Wszystko z nią w porządku? — zapytał Buchanan.

Doyle potrząsnął głową.

— Gdy wyszliśmy, zwymiotowała cały lunch. Poczula się tak słabo, że musiała się położyć. Przespała całe popołudnie.

— Czy ktoś obcy dzwonił albo ją nachodził?

— Nie.

— Więc dlaczego dom był zamknięty?

Doyle wydawał się zaskoczony tym pytaniem.

— Cóż, najwyraźniej chciała czuć się bezpiecznie kładąc się spać.

— Jasne — odparł Buchanan. — Ale kiedy tu przyjechaliśmy, byłeś zdziwiony, że drzwi są zamknięte. Pomyślałeś, że Cindy gdzieś wyszła, co oznacza, że ona nie ma zwyczaju zamykania się w domu. A więc zamknęła drzwi z mojego powodu. Czuje, że przynoszę kłopoty. I ma rację. Przyniosłem je. Nie powinienem tu być. Nie możesz troszczyć się o mnie, kiedy masz własne zmartwienia.

Dzwonek telefonu zabrzmiał wyjątkowo głośno.

Doyle drgnął.

Buchanan dał mu znak, żeby odebrał.

— To twój dom. Będzie wyglądało dziwnie, jeśli ja odbiorę. Musimy udawać, że wszystko jest normalnie. Pośpiesz się, zanim Cindy...

Doyle podniósł słuchawkę.

— Halo? Kto mówi? Czego pan od niego chce?... Słuchaj, ty sukinsynu. Moja żona mogła odebrać ten telefon. Jeśli zaczniesz ją dręczyć, to...

Sytuacja pogarsza się w szybkim tempie, pomyślał Buchanan. Osiągnęliśmy już prawie punkt, w którym ktokolwiek podsłuchujący nas zacznie się zastanawiać, czy naprawdę jestem tym, za kogo się podaję. Dał znak Doyle'owi, żeby się uspokoił, i wyrwał mu słuchawkę z dłoni.

— Powiedziałem ci, żebyś się ode mnie odczepił.

— Crawford, mam wrażenie, że twojemu kumpłowi puszczaają nerwy — rzekł Bailey. — To pewnie dlatego, że jego żona jest chora, co? Przykre. I to taka ładna dziewczyna.

Tak, odrobiłeś swoją pracę domową, pomyślał Buchanan. Obserwowałeś. Musiałeś polecieć do Miami zaraz po mnie. Pojechałeś do Fort Lauderdale i zasadziłeś się w pobliżu miejsca, gdzie rzekomo pracuję. Dowiedziałeś się, gdzie mieszka człowiek, który udaje, że mnie zatrudnia. Poczekałeś, aż wyjdę ze szpitala, a gdybym nie pojawił się w pracy, wiedziałbyś, że nie jestem tym, za kogo się podaję. Wtedy naprawdę mógłbyś narobić kłopotów.

— Sto tysięcy dolarów. Jutro, Crawford. Jeśli sądzisz, że nie mówię poważnie, to czeka cię niespodzianka. Ponieważ, wierz mi, ja naprawdę zadzwonię na policję — zakończył Bailey i się rozłączył.

Buchanan w zamyśleniu odłożył słuchawkę. Twarz Doyle'a była purpurowa.

— Nigdy nie wrywaj mi telefonu z ręki.

— Jack, kochanie?

Odwrócili się gwałtownie.

Cindy stała w drzwiach do kuchni, chwiejąc się kurczowo trzymała za klamkę. Była blada. Czarno–czerwona chustka zsunęła jej się z głowy, odsłaniając łysą czaszkę.

— Kto dzwonił? Dlaczego krzycecie?

Doyle wydał dźwięk, jakby się dusił. Podszedł do Cindy i objął ją.

## 11

Śródlądowa Droga Wodna ciągnie się wzdłuż wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych, od Trenton w New Jersey po Brownsville w Teksasie. Ten szlak transportowy, składający się z systemu połączonych rzek, kanałów, lagun, zatok i cieśnin, biegnie równoległe do Oceanu Atlantyckiego i jest chroniony przed potężnymi falami i złą pogodą przez buforowe odcinki lądu. Na Północy używają go najczęściej jednostki handlowe, lecz na Południu, a w szczególności na Florydzie, ruch tworzą głównie łodzie turystyczne, przy czym najbardziej atrakcyjne odcinki Drogi Wodnej znajdują się w okolicach Fort Lauderdale.

O ósmej rano Buchanan zaparkował furgonetkę Doyle’a przy Bon Voyage, Inc. i otworzył budynek. Poprzedniego wieczora pojechał do domu towarowego i korzystając z telefonu w barze skontaktował się ze swoimi przełożonymi. Teraz, gdy upał wzmagił się, zaniósł kilka pudeł sprzętu elektronicznego do motorówki, którą Doyle trzymał zacumowaną w doku z tyłu za biurem. Chore ramię pulsowało bólem, a w głowie kręciło mu się z wysiłku, więc musiał chodzić kilka razy. Ale w końcu zapakował wszystkie pudła i po zamknięciu budynku odcumował łódź i wypłynął z kanału na szeroką przestrzeń Drogi. Restauracje, hotele i pensjonaty tłoczyły się po obu stronach. Podobnie jak wiele rozległych luksusowych posiadłości, wokół których rosły krzewy i palmy. Przystanie i łodzie widać było wszędzie. Zgodnie ze wskazówkami Doyle’a Buchanan skierował się na południe, podziwiając mijający go trzymasztowy jacht i przyglądając się obrazom delfinów namalowanym na betonowym filarze mostu. Udawał, że napawa się świeżym powietrzem i wdycha słony zapach wody. Ani razu nie odwrócił się, by spojrzeć za siebie i sprawdzić, czy ktoś go nie śledzi. Musiał zachowywać się jak ktoś absolutnie niewinny i sprawiać wrażenie, że nie przejął się zbytnio groźbami Wielkiego Boba. Bailey dzwonił jeszcze dwukrotnie, o północy i o drugiej nad ranem, za każdym razem budząc Cindy. Doyle, wściekły, z niepokojącą furią w oczach rozłączył obie rozmowy. Im dłużej Buchanan o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że nie tylko Bailey stanowi jego problem.

Posuwając się wciąż na południe według wskazówek Doyle’a, przepływał pod kolejnymi mostami, udając, że podziwia budynki i inne łodzie, aż wreszcie skręcił na wschód, w stronę ekskluzywnej części doków znanej pod nazwą Przystań 66. Trwało chwilę, zanim znalazł właściwą sekcję, lecz w końcu przybił do burty trzydziestometrowego, drewnianego jachtu „Clementine”, gdzie dwaj mężczyźni i kobieta wstali z płóciennych krzeseł patrząc na niego z rufy. Jeden z mężczyzn, więcej niż pięćdziesięcioletni, był wysoki i szczupły, miał surową twarz i krótkie siwiejące włosy. Nosił białe spodnie i zieloną jedwabną koszulę z monogramem. Drugi był młodszy, po czterdziestce, niższy, bardziej muskularny i ubrany mniej elegancko. Kobieta, blondynka, miała około trzydziestu lat i wyglądała olśniewająco. Krótki niebieski szlafrok odsłaniał oszalałymi kształtami w czerwonym bikini, odcieniem pasującym do koloru jej szminki. Wyższy mężczyzna, najwyraźniej przełożony, zapytał:

— Czy jest pan z...?

— Bon Voyage, Inc. — odpowiedział Buchanan. Zdjął swoje ciemne okulary Ray-Ban i czapkę Miami Dolphins, żeby mogli mu się lepiej przyjrzeć. — Mam sprzęt, który pan zamawiał. Powiedziano mi, że będę go mógł teraz zainstalować.

— Proszę wnieść wszystko na pokład — rzekł mężczyzna. Dał znak swojemu młodszemu towarzyszowi, najwyraźniej ochroniarzowi, żeby ten pomógł Buchananowi.

Buchanan rzucił cumę z dziobu i rufy, żeby unieruchomić motorówkę. Grube gumy na obu burtach chroniły jacht przed zadrapaniem. Podawał pudła ochroniarzowi, ignorując zawroty głowy i ból w ramieniu. Uważał, żeby nie stracić równowagi, gdyż motorówka kołysała się lekko. Ochroniarz spuścił sznurową drabinę. Buchanan wspiał się na pokład, próbując nie patrzeć na kobietę.

— Dokąd zanieść sprzęt?

— Tędy — rzekł mężczyzna. Wskazał kabinę na rufie i tym razem nie pomógł już nosić pudeł. Buchanan wszedł do wyłożonej mahoniem kabiny z antycznymi meblami i małym fortepianem, postawił pakunki, i podczas gdy muskularny mężczyzna zamykał drzwi, czekał spoglądając na zaciągnięte zasłony. Nie wiedział, jak będą chcieli to załatwić.

— Kapitanie — powiedział wysoki, surowy mężczyzna. A więc formalnie.

— Pułkowniku. — Buchanan zasalutował.

— To jest major Putnam. — Wysoki mężczyzna wskazał na muskularnego towarzysza udającego ochroniarza. — A to jest kapitan Weller — przedstawił kobietę, która zawiązała szlafrok, gdy tylko weszła do środka.

— Majorze, pani kapitan. — Buchanan zasalutował im obojgu.

— A więc co, u diabła, się dzieje? — zapytał ostro pułkownik. — Ostatnie kilka dni przypominało koszmar, prawdziwe polityczne pole minowe. Agencja wścieka się w związku z aferą w Cancun. Gdybyś został zdekonspirowany przez meksykańską policję albo naszą ambasadę, wszystko wzięłoby w łeb.

— Sir, zakładałem, że poinformowano pana, co wydarzyło się w Meksyku. Kiedy leżałem w szpitalu, zdałem szczegółowy raport.

— Agencji. Wolę sam otrzymywać informacje od moich ludzi, Buchanan.

Zajęło to dziewięćdziesiąt minut. Czasem Buchananowi przerywano prosząc o rozwinięcie jakiegoś szczegółu. Gdy dotarł do najświeższych wydarzeń, oficerowie sposepniali.

— Sto tysięcy dolarów — rzekł pułkownik.

— Sądzę, że to by go nie usatysfakcjonowało — odparł Buchanan. — Gdybym mu zapłacił potwierdzając, że nie jestem tym, za kogo się podaję, zaczęłyby przychodzić po więcej.

— Bailey wybrał się tylko na połów — zauważył muskularny mężczyzna, major Putnam. — Jeśli mu nie zapłacisz, nie będzie miał nic.

Pułkownik przyjrzał się Buchananowi.

— Czy tak pan sądzi, kapitanie?

— Bailey jest prostakiem, ale nie głupcem, sir. Przyłapał mnie na granii trzech różnych ról. Wie, że coś jest nie tak, chociaż nie potrafi dowieść co. Więc testuje mnie, żeby sprawdzić, czy wpadnę w panikę i dam mu dowód, którego potrzebuje.

— Cóż, najwyraźniej nie zamierza pan wpadać w panikę — rzekł major Putnam. — Bailey traci czas.

Olśniewająca kobieta, kapitan Weller, odezwała się wreszcie:

— Ale Bailey wciąż może pomieszać nam szyki, jeśli spełni swoją groźbę i zacznie rozmawiać z dziennikarzami i policją.

— Prawda — rzekł Buchanan. — Z jednej strony policja ma zbyt wiele własnych problemów, żeby zajmować się morderstwami popełnionymi w Meksyku. Z drugiej jednak fikcyjne tożsamości

to rzecz na tyle ciekawa, że mogą się zainteresować, a jeśli uznają, że jestem handlarzem narkotyków, zadzwonią do DEA i FBI...

— Twoje dokumenty są bez skazy — odezwał się pułkownik. — Do diabła, twój paszport pochodzi prosto z Departamentu Stanu. Podobnie jak wszystko inne. A kiedy porzucasz jakąś postać, wszystkie jej akta są wymazywane. DEA i FBI niczego by się nie dowiedziały. Jeśli chodzi o dokumenty, nie ma sposobu na powiązanie Jima Crawforda i Eda Pottera z Victorem Grantem.

— Pomimo to — kobieta nie ustępowała — kapitan Buchanan zostałby w poważnym stopniu zdekonspirowany i musiałby opuścić służbę.

Pułkownik złożył dłonie.

— Zgadzam się. Pytanie brzmi więc, co robimy z niesfornym panem Baileyem? Zapłacenie mu oznacza przyznanie się do winy, lecz jeśli kapitan zignoruje go i Bailey zadzwoni na policję, FBI może podjąć sprawę i zacząć deptać Buchananowi po piętach.

— Stawka jest wystarczająco wysoka — rzekła kobieta. — Musimy rozważyć możliwość... — zawiesiła głos.

Pułkownik zdawał się nie rozumieć.

— Proszę powiedzieć jasno, co ma pani na myśli.

— Możliwość usunięcia Bailey'a.

W kabinie zapadła cisza.

— Nie radziłbym tego robić — odezwał się major. — W końcu likwidacja może więcej zepsuć, niż naprawić. Po pierwsze, nie wiemy, czy Bailey ma kogoś, kto z nim pracuje. Jeżeli tak, to zagrożenie nie zniknie po jego śmierci. Powiększy się jeszcze, w gruncie rzeczy, gdyż wspólnik będzie mógł posłużyć się tym faktem, aby przekonać policję, że dzieje się coś dziwnego.

— Jeżeli, cholera, jeżeli... — rzekł pułkownik niecierpliwie. — Nie mamy wystarczających informacji, majorze. Chcę, żeby nasi ludzie dokładnie prześwietlili Bailey'a. Chcę wiedzieć, z kim mam do czynienia. Poza tym wszystkie hotele i pensjonaty mają być sprawdzone. Dowiedźcie się, gdzie mieszka. Zaczniście go śledzić. Może nie ma wspólnika. Wówczas, jeśli dalej będzie sprawiał kłopoty...

Czekali.

— ...likwidacja nie byłaby wykluczona — dokończył pułkownik.

I ponownie w kabinie zapanowało milczenie.

— Sir, z całym szacunkiem, sprawdzenie Bailey'a zajmie sporo czasu — rzekł Buchanan. — Podobnie jak zorganizowanie obserwacji. A my nie mamy czasu. Bailey powiedział, że chce dostać pieniądze dzisiaj. Mocno to podkreślił. Sądzę, że przyspiesza sprawę, żebym nie miał okazji wykonać kontrposunięcia. Jakkolwiek to załatwimy, musimy to zrobić dzisiaj.

Wszyscy troje wyglądali na zaniepokojonych.

— I jest jeszcze jeden problem — dodał Buchanan.

Pułkownik spojrzał na niego.

— Tak?

— Jack Doyle.

— Ma pan jakieś zastrzeżenia w stosunku do niego?

— Jestem pewien, że był cholernie dobrym żołnierzem.

— Był — potwierdził pułkownik. — A zadania, które mu zlecaliśmy, zawsze wykonywał pierwszorzędnie.

— Cóż, nie jest już tym samym człowiekiem. Jego żona ma raka. Terapia niewiele jej pomaga. Niedługo pewnie umrze.

— Umrze? — Twarz pułkownika ściągnęła się. — Czytałem w aktach o jej chorobie, ale nie było tam nic na temat nieuchronnego końca.

— Bo zapewne nie jest nieuchronny — odparł Buchanan. — Ale Doyle strasznie się o nią boi. To zrozumiałe. Przeżywa ostry stres. Myśli, że Bailey stanowi zagrożenie dla jego żony. On... Ujmijmy to w ten sposób. Sądzę, że Doyle straci kontrolę nad sobą i zaatakuje Bailey'a, jeśli ten będzie dalej telefonował i niepokoił jego żonę, a szczególnie jeśli pojawi się w pobliżu domu. Muszę wyjechać z Fort Lauderdale, znaleźć się z dala od Jacka Doyle'a i jego żony. Bo jeśli Doyle zaatakuje Bailey'a, to nie zaplanuje starannie tej akcji. Atak będzie bezwzględny i desperacki, a my nie zdołamy go zatuszować. Bóg jeden wie, czego dowiedziałyby się władze na temat przeszłości Doyle'a i zadań, które dla was wykonywał, gdyby zechciały wytoczyć mu proces.

— Cholera — powiedział Putnam.

— Tak właśnie myślałem — rzekł Buchanan. — Jestem w prawdziwych opałach. Myślę, że Victor Grant powinien ruszyć dalej.

— Ale czy nie będzie to oznaczało przyznania się do winy? — zapytała kobieta.

— Czy przez to Bailey nie zacznie cię ścigać z jeszcze większą zawziętością?

— Musiałby mnie najpierw znaleźć. Gdybym zniknął i przybrał nową tożsamość, nigdy by mu się to nie udało.

— Ale nadal zostaje Jack Doyle — rzekł major. — Bailey mógłby wrócić i zacząć naciskać na Doyle'a.

— Wtedy Doyle musiałby stwierdzić, że nie ma ze mną nic wspólnego poza tym, że jesteśmy kumplami z wojska i zgłosił się do niego przed trzema miesiącami z prośbą o pracę. Następnie zgłosiłby policji, że Bailey go nachodzi, i wraz z żoną wyjechał w podróż — dzięki uprzejmości starych przyjaciół — do uzdrowiska, znanego z sukcesów w leczeniu raka.

— To możliwe. — Pułkownik z ponurą miną bębnił palcami w oparcie krzesła. — Musimy przeanalizować i ten scenariusz. — Spojrzał na zegarek.

— Zastanowimy się nad tym szczegółowo. Na razie niech pan lepiej jedzie. Jeśli ktoś obserwuje jacht, to wyda mu się dziwne, że tak długo siedzimy tutaj wszyscy razem. — Spojrzał na kobietę w bikini i mężczyznę, który na zewnątrz pełnił funkcję ochroniarza. — Nie możemy wypadać z roli.

— Ale co z Baileyem? — zapytał Buchanan.

— Później dowie się pan, jaką podjęliśmy decyzję.

— Sir, nie mam zbyt wiele czasu.

— Wiemy o tym, kapitanie. — Pułkownik wyglądał na zirytowanego. — Powiedziałem, że skontaktujemy się z panem.

— A na razie co mam robić?

— Czy to nie oczywiste? To co zrobiliby w takiej chwili Victor Grant.

Odpowiedź była śliska i niejasna. Buchanan poczuł nagle strach.

## 12

Uważając na zranione ramię, zsunął się do motorówki po sznurowej drabince. Kiedy tylko wyszedł z chłodnej kabiny i znalazł się na słońcu, głowa ponownie zaczęła go boleć. Włożył czapkę i okulary. Dwaj mężczyźni stali nieruchomo i obserwowali go, a kobieta rozwiązała swój niebieski szlafrok, żeby odsłonić oszalałymi czerwone bikini pasujące do bogatej ślicznotki, którą udawała.

— Proszę przysłać nam rachunek — rzekł pułkownik.

— Tak, sir. Dziękuję. — Buchanan złapał cumy, które rzucił mu major, po czym zapuścił silnik i odpłynął.

Był spięty do ostatnich granic.

Boże, pomyślał. Oni po prostu nie wiedzą, co zrobić. Potrzebuję instrukcji, a oni mi ich nie dali. Nie mogę działać bez rozkazów. Ale jeśli nie odezwą się do mnie dziś wieczór, jak powstrzymam Baileya?

Zatroskany, minął dok po jednej stronie i ocienioną przez palmy posiadłość po drugiej, zbliżając się do końca kanału, by ponownie wpłynąć na szeroką przestrzeń drogi wodnej. Niespodziewanie problem Baileya stał się jeszcze bardziej palący, a żyły Buchanana nabrzmiały z napięcia, gdy zobaczył go przed sobą, obok boi, siedzącego w kołyszącej się motorówce z wyłączonym silnikiem, podobnej do tej, którą sam płynął. Miał na sobie pomarańczową koszulkę z napisem „Fort Lauderdale jest najwspanialszą plażą na świecie” i rozpiął się w fotelu za kierownicą. Nogi położył na desce rozdzielczej, jedną tłustą rękę trzymał wyciągniętą, jakby odpoczywał na sofie, w drugiej dzierżył zapalonego papierosa.

Buchanan zwolnił. Bailey przeciągnął dłonią po swojej szczecinie, uśmiechnął się i wyrzucił papierosa do wody.

Buchanan zwolnił jeszcze bardziej, zauważając aparat z potężnym teleobiektywem wiszący na masywnym karku Baileya. Kazano mu zachowywać się tak, jak zachowywałby się Victor Grant, a Victor Grant, zdecydował teraz Buchanan, nie zignorowałby tego sukinsyna.

Podpłynął w stronę Baileya, zredukował gaz do zera, czując, jak motorówka zapada się w wodę, i zbliżywszy się siłą rozpędu do łodzi, chwycił za burtę.

— Jak leci, Crawford?

— Ile razy mam ci to powtarzać? Nie nazywam się Crawford.

Bailey otworzył puszkę piwa Blue Ribbon.

— Tak, zaczynam wierzyć, że to prawda. Zapewne nie nazywasz się wcale Crawford. Ale też na pewno nie Victor Grant.

— Słuchaj, zrobiłem wszystko, żeby udowodnić ci, że mówię prawdę. To już koniec. Moja cierpliwość się wyczerpała. Chcę, żebyś przestał mnie śledzić. Chcę, żebyś przestał...

— Prawie zapomniałem. Przepraszam, że jestem niegrzeczny. Mam tu jeszcze jedno piwo, gdybyś...

— Wsadź je sobie w dupę.

— Czy to tak rozmawia się ze starym kumplem? Nie mówiąc już o współniku w interesach?

— Przestań! Pierwszy raz zobaczyłem cię w tym więzieniu w Meksyku.

— Cóż, tu właśnie się mylisz. — Bailey zdjął nogi z deski rozdzielczej i wyprostował się za kierownicą. — Mam towar na sprzedaż, a ty go kupisz. Kiedy dołączyłeś do tych ludzi na jachcie, myślałem, że od nich dostaniesz te sto tysięcy, ale nic stamtąd nie wyniosłeś. Czas ucieka. Znajdź lepiej gdzieś te pieniądze. Ponieważ po północy... À propos, ta dziewczyna na jachcie wygląda naprawdę nieźle, co? Przez obiektyw mojego aparatu widziałem ją w takim zbliżeniu... Jaka jest ta reklama telefonów? „Sięgnij i zbliż się do kogoś”? Zrobiłem parę naprawdę dobrych zdjęć. Ona, tych dwóch facetów i ty — na pokładzie. Ładne i ostre. Fotografia to moje hobby. W gruncie rzeczy mam kilka zdjęć w tej kopercie tutaj...

— Nie jestem zainteresowany.

— Och, ależ gwarantuję ci, że te zdjęcia są naprawdę ciekawe. Chociaż muszę wyznać, że to nie ja je zrobiłem. Zdjąłem je z taśmy wideo, a potem trochę wyczyściłem. Ale gdybyś o tym nie wiedział, przysięgłbyś, że...

— O czym ty mówisz?

— Po prostu spójrz na te cholerne zdjęcia, Crawford!

Buchanan z wahaniem wziął dużą kopertę. Z napięciem myślał o zdjęciach, które Bailey zrobił mu z pułkownikiem, majorem i kapitan Weller. Nie byli osobami publicznie znanymi i Bailey nie

mógł wiedzieć, kim są. Ale gdyby dał te fotografie policji, gdyby ktoś zainteresował się tym, kto przebywał na jachcie, gdyby pułkownik został rozpoznany, konsekwencje byłyby katastrofalne. Buchanan musiał w jakiś sposób dostać w swoje ręce negatyw filmu.

Gdy jednak wyciągnął zdjęcia — błyszczące, czarno-białe, w formacie piętnaście na dwadzieścia — i zaczął je przeglądać, zdał sobie sprawę, że musi martwić się o znacznie więcej spraw. Znacznie więcej. Ponieważ fotografie, które teraz oglądał, przedstawiały sceny z Frankfurtu, z grudnia 1990 roku. Skopiowano je z telewizyjnych wiadomości. Pokazywały amerykańskich zakładników, świeżo uwolnionych przez Irak, przybywających na lotnisko we Frankfurcie. A na nich, na zbliżeniach i dalszych zdjęciach, był Wielki Bob Bailey i...

— Ktoś bardzo podobny do ciebie, Crawford — rzekł Bailey. — Mam kopie oryginalnej taśmy, więc nikt nie będzie mógł powiedzieć, że coś przy nich majstrowałem. Jeśli wkurzysz mnie nie płacąc, to przysięgam na Boga, że wyślę te zdjęcia policji razem z meksykańskim portretem pamięciowym Eda Pottera i tymi zdjęciami Victora Granta.

Zdjęciami Victora Granta? — spytał się w duchu Buchanan z nagłą trwogą. Sięgnął na spód koperty i nagle zrobiło mu się zimno, gdyż spojrzął na trzy zdjęcia przedstawiające jego samego przed meksykańskim więzieniem, rozmawiającego z Garsonem Woodfieldem z amerykańskiej ambasady.

— Jeszcze jeden sobowtór — rzekł Bailey. — Gdybyś nie rozumiał, o co chodzi: facet z ambasady musiał znaleźć się na zdjęciach, żeby w razie czego móc bez cienia wątpliwości potwierdzić, że nazywasz się Victor Grant. Złapałem cię jako trzy różne osoby, Crawford. Jesteś w potrzasku.

Grając na czas, Buchanan gapił się na fotografie. Te z Meksyku. W jaki sposób...? A potem nagle przypomniał sobie. Kiedy rozmawiał z Woodfieldem przed więzieniem w Meridzie, zauważył kobietę w tłumie na chodniku za Woodfieldem. Była Amerykanką. Pod trzydziestkę. Ruda. Atrakcyjna. Wysoka. Zgrabna figura. Ubrana w beżowe spodnie i żółtą bluzkę. Ale zwrócił na nią uwagę nie z powodu jej wyglądu, lecz dlatego, że celowała w niego obiektywem aparatu fotograficznego.

Buchanan podniósł wzrok znad zdjęć i wiedział już, że Bailey ma współnika. Być może więcej niż jednego. Załatwienie sprawy będzie wyjątkowo skomplikowane. Musi zawiadomić pułkownika.

— Zatrzymaj te zdjęcia. Mam pełno podobnych w naprawdę bezpiecznym miejscu, razem z negatywami. Mam też kopie wiadomości telewizyjnych z Niemiec. Nieczęsto się zdarza, że jestem w telewizji. Kumpel nagrał to dla mnie i przesłał mi kopie w prezencie. Nigdy nie sądziłem, że będzie to coś warte. — Bailey pochylił się do przodu. — Przyznaj się, Crawford, wpadłeś. Przestań udawać niewiniątko. Musisz zaakceptować karę. Zapłać sto tysięcy dolarów. Nie będę cię pytał, dlaczego używasz tylu nazwisk. To twoja sprawa. Ja chcę tylko dostać pieniądze.

Buchanan spostrzegł nagle, że Bailey przez cały czas trzyma głowę wykręconą w lewo, tak jakby miał sztywny kark, zmuszając go tym samym do przesunięcia motorówki i przekręcenia głowy w tę samą stronę. Sztywny kark?

Buchanan odwrócił się w stronę betonowego doku na przeciwległym brzegu, a tam — pomiędzy dwoma zacumowanymi jachtami — stała rudowłosa kobieta i robiła im zdjęcia. Miała na sobie inne ubranie. Tym razem były to trampki, dzinsy i drelichowa koszula. Chociaż aparat zasłaniał jej twarz, wysportowana sylwetka i długie płomiennorude włosy pozwalały zidentyfikować ją bez kłopotu.

— A więc zauważyłeś moją przyjaciółkę. Teraz rozumiesz, że pozbycie się mnie nie załatwiłoby twojego problemu. Ona ma kupę zdjęć nas obu, a jeśli cokolwiek by mi się przydarzyło — a lepiej módl się, żeby nie przydarzyło mi się nic złego na przykład upadek ze



schodów i złamanie sobie karku — wówczas te zdjęcia zostałyby przesłane policji. Poza tym to ona pomogła mi zrobić kopie fotografii, które trzymasz w ręku, ona też robiła ci zdjęcia z tymi ludźmi na jachcie. Ciekawe, co to za jedni, prawda?

Rudowłosa kobieta opuściła aparat i spojrzała na nich z przeciwległego brzegu. Niewątpliwie ta sama, pomyślał Buchanan. Mocne czoło. Doskonałe kości policzkowe. Zmysłowe usta i podbródek. Przypominała modelkę z ekskluzywnego czasopisma, lecz z surowej miny, z jaką na niego patrzyła, wywnioskował, że musiałby się wiele natrudzić, żeby wywołać uśmiech na jej twarzy.

— Crawford, dotychczas miałeś tak wiele do powiedzenia. Co się stało? — zapytał Bailey. — Odgryziłeś sobie język? A może nie jesteś już w stanie wymyślać nowych, bzdur. Słuchaj mnie. Chcę tych pieniędzy.

Buchanan zawahał się, a potem podjął decyzję.

— Gdzie i kiedy?

— Trzymaj się blisko telefonu swojego kumpla. Zadzwoń tam dzisiaj o wpół do dziewiątej i dam ci wskazówki.

## 13

Na zewnątrz było ciemno. Buchanan pakował się nie zapalając świateł w pokoju, wystarczył mu blask lamp z korytarza. Sprawdziwszy, że niczego nie zostawił, przez chwilę zastanawiał się, czy wziąć pistolet tkwiący w kaburze przy boku łóżka, w końcu jednak postanowił go zostawić. W razie jakichś kłopotów pistolet mógłby zaprowadzić policję do Doyle'a, a Buchanan nie chciał przysparzać Jackowi nowych zmartwień.

Wychodząc z pokoju gościnnego miał już skrócić w stronę kuchni, zmienił jednak zdanie i ruszył w prawo, do drzwi znajdujących się w głębi słabo oświetlonego korytarza. Zapukał i nie usłyszał żadnej odpowiedzi, spostrzegłszy jednak, że drzwi są lekko uchylone, postanowił zaryzykować. Otworzył je szerzej i zapukał ponownie.

— Cindy?

— ...O co chodzi? — odpowiedział mu jej głos z ciemności.

Wszedł do środka, przemierzył mroczny pokój i klęknął przy łóżku, widząc tylko niewyraźny zarys jej ciała pod kocem. Twarz skrywały ciemności.

— Brakowało mi ciebie przy kolacji — powiedział.

— Zmęczenie — wyszeptała Cindy w odpowiedzi. — Jak jedzenie?

— Wspaniale. Nie powinnaś tracić sił przyrządzając je. Jack i ja mogliśmy zjeść na mieście.

— Nie wtedy, gdy jesteście w moim domu — pomimo wyczerpania zdołała wypowiedzieć te słowa z naciskiem.

— Cóż — rzekł Buchanan — chciałem tylko powiedzieć, że to doceniam i podziękować ci za wszystko.

Cindy poruszyła się wolno, najwyraźniej obracając się w jego stronę.

— Mówisz, jakby... Ty wyjeżdżasz?

— Muszę.

Chciała usiąść, ale nie mogła.

— Mam nadzieję, że nie przeze mnie.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Bo ludzie czują się przy mnie skrepowani. Trudno jest przebywać obok chorej osoby i...

— Ja tak nie uważam — odparł Buchanan. — Mam po prostu parę rzeczy do zrobienia. Czas, żebyś ruszał.

Nie odpowiedziała.

— Cindy?

— W pewnym sensie miałam nadzieję, że zostaniesz, że dzięki tobie Jack nie będzie sam. — Zaczepnęła powietrza w taki sposób, że Buchanan domyślił się, że płacze. — Ja większość czasu spędzam w szpitalu albo tutaj w łóżku. Nie boję się o siebie, ale tak mi żal Jacka.

— On cię bardzo kocha.

— Jasne.

— Mówił mi to kilka razy. Mówił mi, jak bardzo dumny jest z ciebie, ze sposobu, w jaki znosiłaś jego wyjazdy, gdy pracował dla armii, i jak radziłaś sobie z tymi dziennikarzami.

Zachichotała lekko, a potem pociągnęła nosem.

— Tak, byłam twarda. Stare, dobre czasy. Tylko że wtedy rozstawaliśmy się tak często, a teraz, kiedy jesteśmy razem...

— No właśnie. Sama to powiedziałaś. Jesteście razem. I nie potrzebujecie mnie do kompletu. Za kilku minut znikam.

— Weź mój samochód.

Buchanan, zaskoczony, podniósł głowę.

— Mam wrażenie, że będziesz go potrzebował. — Dotknęła jego ręki. — A ja na pewno nie. Nie jeździłam nim od ostatniego pobytu w szpitalu. Weź go. Proszę.

— Odstawię go, kiedy wszystko załatwię.

— Nie ma pośpiechu, naprawdę.

— Cindy?

— Słucham.

— Przykro mi.

— Tak. Mnie też.

Buchanan pochylił się i pocałował ją delikatnie w policzek, usta miał słone od jej łez.

— Uważaj na siebie.

— Zawsze to robiłam. Ale niewiele mi pomogło. Ty uważaj na siebie.

— Będę musiał. — Wstał. — Może kiedyś zawitam tu do was ponownie.

Nie odpowiedziała.

— A teraz lepiej już śpij. — Buchanan dotknął jeszcze jej policzka i wyszedł z pokoju zamykając za sobą drzwi.

## 14

Doyle siedział przy kuchennym stole i stawiał pasjansa. Nie podniósł głowy, kiedy Buchanan wszedł do kuchni.

— Podśluchiwałem — rzekł.

— I?

— Dzięki. Przyjaciele są bardzo ważni. Ona nie ma ich teraz zbyt wielu. Większość uciekła, kiedy dowiedzieli się, jak bardzo jest chora. Nie potrafili powiedzieć jej tego, co ty przed chwilą.

— To znaczy czego?

— Przykro mi. — Doyle podniósł wzrok znad kart. — Cindy ma rację. To dobry pomysł, żebyś wziął jej samochód zamiast mojej furgonetki. Mniej zwrócisz na siebie uwagę. Kiedy załatwisz

wszystko, daj mi znać, gdzie go zostawiłeś. A to jest kolejny dobry pomysł. — Doyle sięgnął pod blat stołu, gdzie musiała znajdować się skrytka, gdyż wyciągnąwszy rękę, trzymał w niej beretkę kalibru 9 mm.

Buchanan zerknął na okna. Story były zaciągnięte, więc nikt nie mógł zobaczyć broni. Buchanan nadal jednak obawiał się ukrytych mikrofonów. Zamiast mówić, potrząsnął w odpowiedzi głową.

— Dlaczego nie? — zapytał Doyle bezgłośnie.

Buchanan sięgnął po notatnik leżący na kontuarze i napisał: „A jeśli będę musiał go wyrzucić?” Doyle wziął pióro i odpisał: „Zabrałem go zabitemu żołnierzowi w Panamie. Jest bezpieczny”.

Buchanan spojrział na Doyle’a, a potem skinął głową. Wyjął magazynek, żeby upewnić się, że jest pełny, włożył go z powrotem, zarepetował, opuścił blokadę i wetknął sobie pistolet za pas z tyłu, przykrywając ciemnobrązową nylonową wiatrówką, którą pożyczył od Doyle’a.

— Pasuje na ciebie idealnie — ocenił Jack.

Buchanan spojrział na zegar nad kuchenką, była ósma dwadzieścia pięć. Bailey powinien zadzwonić za pięć minut. Doyle wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Bądź cierpliwy”. Obaj mężczyźni milczeli, świadomi możliwości podsłuchu. Doyle podał kartkę z notatnika, spalił kawałki w popielniczce i splukał popiół wodą z kranu, bardziej po to, by zająć czymś ręce, niż by zniszczyć kompromitujący dowód. Potem wrócił do swojego pasjansa, jakby rozumiejąc, że Buchanan musi się skoncentrować, a nie rozpraszać pogawędkami.

Ósma trzydzieści. Nie odrywał wzroku od telefonu. Minęło pięć minut. Potem dziesięć. Zaczęła go boleć głowa. Wreszcie, za piętnaście dziesiątą, telefon zadzwonił.

Buchanan chwycił słuchawkę, zanim hałas zdołał obudzić Cindy.

— Na Pine Island Road koło ciebie są pawilony handlowe. Parę skrzyżowań od Sunrise Boulevard — usłyszał ochryply głos Baileya.

— Znam to miejsce. Przejeżdżałem tamtędy.

— Idź do pizzerii. Stań przy wejściu. Bądź tam o dziesiątej. Bądź sam.

Zanim Buchanan zdążył cokolwiek powiedzieć, Bailey odłożył słuchawkę. Zmarszczył brwi i odwrócił się do Doyle’a.

— Muszę wybrać się na przejażdżkę.

— Kluczyki do samochodu są w tamtej szufladzie.

— Dzięki. — Buchanan skinął głową.

Na więcej sentymentów nie mógł sobie pozwolić. Wziął kluczyki, podniósł walizkę, chwycił małą czerwoną lodówkę turystyczną z kontuaru i skinął głową, gdy Doyle otworzył przed nim drzwi.

Dziewięćdziesiąt sekund później odjechał.

## 15

Czerwona turystyczna lodówka, przypominająca torbę, zawierała jabłko i dwa sandwicze z szynką na białej plastikowej tacy. Pod dolną tacką, wypełnioną kostkami lodu, znajdowało się sto tysięcy dolarów w studolarowych banknotach. Wszystko to leżało teraz obok niego na siedzeniu samochodu. Torbę i pieniądze otrzymał kilka godzin wcześniej, kiedy stał na czerwonym świetle w drodze powrotnej do domu Doyle’a. Pieniądze były odpowiedzią na rozmowę telefoniczną, którą odbył z publicznego automatu zaraz po spotkaniu z Baileym. Pułkownik kazał mu czekać w biurze Bon Voyage Inc. do trzeciej, a potem odjechać z otwartą boczną szybą. Kiedy stanął na

czerwonym świetle, mężczyzna na motocyklu wepchnął torbę przez otwarte okno i natychmiast zniknął.

Teraz, z bijącym sercem, Buchanan zaparkował przy zatłoczonych pawilonach na Pine Island Road. Idąc pod syczącymi sodowymi latarniami dotarł do pizzerii i stanął na prawo od wejścia. Klienci wchodzili i wychodzili. Pośpiesznie odjechał posłaniec z pizzą. Buchanan czekał, wpatrując się w mrok. Tym razem jednak Bailey nawiązał kontakt dokładnie o czasie.

— Czy pan nazywa się Grant? — zapytał ktoś.

Buchanan odwrócił się ku otwartym drzwiom pizzerii i ujrzał chuderlawego młodzieńca o krostowatej twarzy ubranego w biały, poplamiony sosem fartuch.

— Tak — odpowiedział.

— Właśnie dzwonił jakiś facet. Mówił, że jest pana przyjacielem. Powiedział, że dostanę pięć dolarów, jeśli przekażę panu wiadomość.

— Mój przyjaciel mówił prawdę. — Buchanan dał chłopakowi pięć dolarów. — Jak brzmi wiadomość?

— Pański przyjaciel powiedział, że ma się pan z nim spotkać w hotelu Tower za dwadzieścia minut.

Buchanan zmrużył oczy.

— Hotel Tower? Gdzie to jest?

— Wschodni kraniec Broward Boulevard. Koło Victoria Park Road.

Buchanan skinął głową i ruszył spokojnie w stronę samochodu, rozumiejąc, co go czeka. Bailey — bojąc się osobiście zjawić po pieniądze — zamierzał przegonić go po mieście, obserwując każde miejsce ewentualnego spotkania, żeby upewnić się, czy jest sam.

Bailey ma instynkt, pomyślał Buchanan przestudiowawszy mapę i odjechał w kierunku hotelu Tower. Grupa agentów rzeczywiście mu towarzyszyła. Mieli za zadanie śledzić Baileya po przekazaniu pieniędzy i próbować dowiedzieć się, gdzie trzyma kasetę wideo, zdjęcia i negatywy, przede wszystkim te, które przedstawiały Buchanana na jachcie z pułkownikiem, majorem i kapitan Weller. Pułkownik podkreślił to z naciskiem w pośpiesznej rozmowie telefonicznej. Fotografie Buchanana z pułkownikiem musiały być zniszczone.

Gdy wjechał na Broward Boulevard, raz jeszcze spojrzął we wsteczne lusterko, by stwierdzić, czy jest śledzony. Szukał Baileya, nie swojej grupy, gdyż wiedział, że jej i tak nie zauważy. Działali w sposób, który pozwalał im trzymać się daleko z tyłu, poza zasięgiem wzroku, i dlatego taktyka Baileya, jakkolwiek sprytna, nie mogła się powieść. Bailey nie mógł spozrzeć grupy przy żadnym z wyznaczonych miejsc spotkania. Nie miał szans zauważenia agentów po przejęciu pieniędzy. Bez względu na to, jak zaplanował ucieczkę, nie mógł się wymknąć.

Ponieważ agenci nie musieli go widzieć. Obserwowali tylko ekran monitora i jechali za sygnałami wysyłanymi przez zasilany baterią nadajnik ukryty w plastikowym dnie torby-lodówki.

W piątkowy wieczór na ulicach był duży ruch. Jadąc wśród błyszczących świateł Buchanan dotarł do zbudowanego ze szkła i stali hotelu Tower na dwie minuty przed czasem. Powiedziawszy parkingowemu, że będzie zapewne potrzebował samochodu za chwilę, wszedł do eleganckiego holu i spostrzegł, że jego džinsy, nylonowa wiatrówka i plastikowa torba budzą niesmak wśród gości w smokach i w lśniących, wieczorowych sukniach.

Jasne, pomyślał. Przyjęcie. Bailey dowiedział się o tym i wykorzystał okazję. Chce, żebym rzucał się w oczy. A przede wszystkim żeby rzucali się w oczy ci, którzy mnie ubezpieczają.

Nawykły do trzymania się w cieniu poczuł się niepewnie w przestronnym holu. Szukał wzrokiem Baileya, nie spodziewając się go jednak znaleźć, i rozmyślając, w jaki sposób skontaktuje się z nim tym razem. Zegar nad recepcją pokazywał dwadzieścia po dziewiątej, czas kiedy...

— Pan Grant? — zapytał umundurowany portier.

Buchanan zauważył wcześniej niskiego mężczyznę w średnim wieku, który przechodził od jednego gościa do drugiego, mówiąc coś po cichu do każdego z nich.

— Zgadza się.

— Pański przyjaciel zostawił tę kopertę dla pana.

Buchanan znalazł opustoszały kąt i rozerwał kopertę.

„*Bądź za kwadrans dziesiąta przy wejściu do restauracji Shirttail Charlie's na...*”

## 16

Trzy etapy dalej, o jedenastej, dotarł do hotelu Riverside na Las Olas, ulicy, która wydawała się miejscowym odpowiednikiem Rodeo Drive w Beverly Hills. Z tablicy umieszczonej w wyłożonym terakotą holu dowiedział się, że hotel został zbudowany w roku 1936, co w mieście takim jak Fort Lauderdale było datą imponującą. Kilkadziesiąt lat wcześniej wszystkie okoliczne tereny były jeszcze kompletnie dzikie. Wiklinowe meble i kominki z koralu sprawiły, że powiało historią, nieważne jak świeżą.

Buchanan miał okazję dowiedzieć się tego wszystkiego, gdyż Bailey nie skontaktował się z nim o umówionej porze. Była za dwadzieścia dwunasta, a on jeszcze się nie odezwał. Hol świecił pustkami.

— Pan Grant?

Buchanan obejrzał się siedząc w wiklinowym krześle, koło szklanych drzwi do patio, miejsca, które wybrał, ponieważ pozwalało grupie obserwować go z zewnątrz. Kobieta z recepcji mówiła do niego unosząc brwi.

— Tak.

— Jest do pana telefon.

Buchanan podszedł z plastikową torbą do kontuaru i wziął słuchawkę.

— Wyjdź tylnymi drzwiami, przejdź na drugą stronę ulicy i idź przez bramę w stronę basenu.

Po tych lakonicznych instrukcjach Baileya rozległo się nagłe buczenie sygnału.

Buchanan oddał słuchawkę recepcjonistce, podziękował jej i wyszedł. Kiedy znalazł się na zewnątrz, spostrzegł bramę po drugiej stronie ulicy i alejkę biegnącą przez mały, mroczny park wzdłuż basenu, który był ciemny i pusty.

Podszedł bliżej, otoczony przez cienie palm, oczekując, że z ciemności wypłynie głos Baileya, nakazujący mu zostawić pieniądze na ledwie widocznym stoliku przy basenie i kontynuować spacer, jakby nic się nie wydarzyło.

Widniej było tylko z przodu, dzięki kilku łukowym latarniom wzdłuż kanału i światłom z jachtu i łodzi mieszkalnej, które stały tam zacumowane. Usłyszał warkot silnika. A potem męski głos zawołał:

— Pan Grant?! Czy to pan, panie Grant?

Buchanan ruszył dalej, w kierunku kanału, oddalając się od basenu. Natychmiast zauważył, że warkot silnika dobiega z wodnej taksówki, która stanęła pomiędzy jachtem a łodzią mieszkalną. Taksówka była żółta, długa na siedem metrów, z pionowymi prętami wzdłuż burt podtrzymującymi płócienny dach w żółto-zielone pasy. W ciągu dnia dach chronił pasażerów przed blaskiem i spiekotą słońca. W nocy jednak zasłaniał światło latarni i uniemożliwiał Buchanowskiemu rozpoznanie, kto znajduje się na pokładzie.

Z pewnością byli tam pasażerowie. Przynajmniej piętnastu. Wyraźnie widział ich ciemne kontury. Ale nie, w żaden sposób nie mógł ich zidentyfikować. Płócienny dach tłumił poszczególne słowa, ale bełkotliwe tony rozmów sugerowały, że pasażerowie mają już za sobą kilka etapów piątkowego rajdu po barach i przyjęciach.

— Tak, zgadza się. Nazywam się Grant — powiedział Buchanan do kierowcy, który siedział za deską rozdzielczą na dziobie.

— Cóż, pana przyjaciel jest na pokładzie. Zastanawiałem się, czy w ogóle się pan pokaże. Już miałem odpływać.

Buchanan wyteżył wzrok, próbując dojrzeć coś w ciemnościach pod płóciennym dachem, a potem wszedł na trap wiodący na pokład łodzi. Prawą ręką chwycił za sznurowy reling, żeby utrzymać równowagę, i niosąc w lewej ręce plastikową torbę zszedł na dół. Pasażerowie, przeważnie dwudziestoparoletni, ubrani swobodnie, lecz kosztownie, siedzieli na ławkach po obu stronach łodzi.

Rufa nadal pogrążona była w ciemnościach.

— Ile jestem panu winien? — zapytał Buchanan kierowcy.

— Pański przyjaciel już za pana zapłacił.

— Cóż za hojność z jego strony.

— Tutaj, Vic — ochrypli głos dobiegał ze strony pogrążonej w ciemnościach rufy.

Gdy kierowca wciągał trap, Buchanan minął grupę młodych mężczyzn po lewej i zatrzymał się przy sterze, jego wzrok był już na tyle przyzwyczajony do ciemności, że mógł dostrzec Baileya siedzącego w niedbałej pozie na ławeczce.

— Jak leci, stary kumplu? — Bailey pomachał tłustą dłonią.

Buchanan usiadł, kładąc plastikową torbę między nimi.

— Nie musiałeś przynosić drugiego śniadania — powiedział Bailey.

Buchanan spojrział na niego, podczas gdy kierowca wyprowadził taksówkę spomiędzy jachtu i łodzi mieszkalnej, a potem ruszył wzdłuż kanału. Sprytnie, pomyślał. Jestem odcięty od mojej grupy wspomagającej. Nie mieli szans dostać się wcześniej na łódź, a gdyby teraz pośpiesznie wpadli na pokład, z pewnością zwróciliby uwagę Baileya.

Teraz gdy oczy Buchanana jeszcze bardziej przyzwyczyły się do mroku, światła pobliskich wili, restauracji i łodzi zacumowanych na kanale wydawały się jeszcze jaśniejsze. Ta iluminacja interesowała go jednak tylko dlatego, że pozwalała zauważyć telefon komórkowy, który Wielki Bob wyłączył i umieścił w futerale zawieszonym u pasa.

— Przydatne urządzenie — rzekł Bailey. — Można zadzwonić do kogo się chce, z każdego miejsca.

— Na przykład z samochodu do pizzerii. Albo z wodnej taksówki do hotelowej recepcji — powiedział Buchanan.

— Zgadza się — odparł Bailey. — Umożliwia nawiązanie kontaktu, kiedy jestem na szlaku albo siedzę gdzieś i czekam na towarzystwo.

— Bailey zniżył głos i wskazał na plastikową torbę. — Bez żartów. Lepiej, żeby to nie było twoje drugie śniadanie i żeby suma się zgadzała.

Pasażerowie łodzi rozmawiali głośno, zagłuszając ich słowa.

— To wszystko, co miałem — wymamrotał Buchanan.

Bailey wzruszył potężnymi ramionami.

— Nie jestem zachłanny. Potrzebuję tylko zwrotu moich wydatków, małej nagrody za wszystkie te wysiłki.

— Zdobyć tego, co jest w tej torbie, kosztowało mnie wiele trudu — rzekł Buchanan. — Nie zrobię tego ponownie.

- Nie mam zamiaru tego żądać.
- To mnie zdecydowanie uspokaja.

Taksówka dotarła do restauracji, zwanej, jak głosił neon, U Paula nad Rzeką. Stylowy budynek był długi i niski, tył miał niemal całkowicie przeszklony, poprzedzielany segmentami białych stiuków. Wewnątrz grała orkiestra. Przez duże okna widać było tańczących gości. Inni spacerowali na zewnątrz z drinkami w dłoniach albo siedzieli przy stolikach pomiędzy kwitnącymi krzewami wokół drzew palmowych.

Kierowca taksówki ustawił trap. Czterech pasażerów wyszło niepewnym krokiem na brzeg. Bailey wstał niezwłocznie, chwytając plastikową torbę.

— Tutaj się rozstajemy, Crawford. To znaczy, prawie zapomniałem, Grant. Może zostaniesz na pokładzie, pooglądasz sobie światła, nacieszysz się rejsem?

— Czemu nie — odparł Buchanan.

Bailey wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

— To do zobaczenia.

— Nie. Nie zobaczymy się już nigdy.

— No tak — rzekł Bailey i zszedł z plastikową torbą na brzeg. Ruszył przez kolorowo oświetlony trawnik w kierunku muzyki „Moon River” i zniknął w tłumie.

Trzydzieści minut później wodna taksówka przywiozła Buchanana z powrotem do hotelu Riverside. Nie wróciłby tam, gdyby nie musiał zabrać walizki z bagażnika samochodu Cindy. Samochód stał zaparkowany w cichej uliczce koło hotelu i po schowaniu kluczyków pod gumową wykładziną podłogową Buchanan wszedł tam z walizką i zadzwonił po taksówkę. Kiedy przyjechała, kazał kierowcy zawieźć się do otwartej całą dobę wypożyczalni samochodów. Tak się złożyło, że jedyna czynna mieściła się na lotnisku. Po wypożyczeniu auta podjechał do budki telefonicznej, żeby zadzwonić do Doyle’a i powiedzieć mu, gdzie zostawił samochód Cindy. Potem kupił dwanaście puszek piwa w nocnym sklepie, zaparkował na ciemnej, opustoszałej ulicy i wylał zawartość wszystkich na przednie siedzenie i podłogę, po czym cisnąwszy je gdzie popadło, odjechał, otwierając wszystkie okna, żeby nie dostać nudności od odoru piwa.

Było już piętnaście po pierwszej. Pojechał w stronę oceanu, znalazł pusty park niedaleko Śródlądowej Drogi Wodnej i rąbnął samochodem w ochronną barierę, zostawiając ślady opon na asfalcie, tak jakby stracił panowanie nad kierownicą. Zatrzymał się, wysiadł, wrzucił bieg w automatycznej skrzyni i zepchnął samochód ze skarpy do wody. Gdy rozległ się plusk, oddalał się już pośpiesznie, znikając w ciemnościach. W samochodzie zostawił walizkę i nylonową kurtkę Doyle’a z portfelem w kieszeni. Zatrzymał sobie jednak paszport Victora Granta. Nie chciał, żeby ktokolwiek zaczął go sprawdzać. Wiedział, że policja badając „wypadek” wydobędzie samochód z wody i znajdzie puszki po piwie. Zgodnie z logiką policjanci dojdą do wniosku, że kierowca — Victor Grant według dokumentów w portfelu i umowy z wypożyczalnią samochodów schowanej w skrytce — prowadził pod wpływem alkoholu, przebił ochronną barierę i oszołomiony utonął. Kiedy policja nie znajdzie ciała, nurkowie rozpoczną poszukiwania, po czym dadzą za wygraną oczekując, że trup wypłynie na powierzchnię w ciągu kilku dni. Jeśli to nie nastąpi, dojdą do wniosku, że ciało zaklinowało się na dnie albo zostało wyniesione przez falę na pełne morze. Co ważniejsze, Buchanan miał nadzieję, że Wielki Bob też w to uwierzy. Przerażony szantażem, obawiając się, że Bailey będzie żądał coraz to nowych pieniędzy, Crawford–Potter–Grant wynajął samochód, żeby uciec z miasta, upił się w czasie jazdy, stracił panowanie nad kierownicą i...

Może, pomyślał Buchanan. To może się udać. Takie było w każdym razie polecenie pułkownika — żeby Victor Grant zniknął. Buchanan nie powiedział Doyle’owi i Cindy, co zamierza zrobić, ponieważ chciał, żeby byli autentycznie zaskoczeni, kiedy policja zacznie zadawać im pytania. Zniknięcie przerywało ogniwo łączące Buchanana z Baileyem. Przerywało też ogniwo między

Buchananem a tym, co zaszło w Meksyku. Gdyby meksykańskie władze postanowiły wznowić śledztwo w sprawie Victora Granta i poprosiły amerykańską policję o pomoc, ta nie miałaby kogo przesłuchiwać.

Wszystkie problemy rozwiązane, pomyślał Buchanan. Wyszedł pośpiesznie z pustego parku, a potem zwolnił kroku, kiedy znalazł się na ciemnej bocznej uliczce. Przesiedzę gdzieś w ukryciu do jutra rana, kupię maszynkę do golenia i doprowadzę się do porządku w publicznej toalecie. Następnie pojedę autobusem pięćdziesiąt kilometrów na południe od Miami, kupię za gotówkę bilet na pociąg i stanę się anonimowym pasażerem podążającym na północ do Waszyngtonu. Pojawiam się i znikam. Zdecydowanie nadszedł czas na nowy początek.

Jedyny kłopot w tym, pomyślał, czy pułkownikowi uda się przejąć wszystkie zdjęcia i negatywy. A jeśli Bailey wejdzie do pierwszej lepszej toalety, zamknie się w kabinie, wyjmie pieniądze z plastikowej torby i zostawi ją koło kosza na śmiecie? W takim wypadku grupa nie byłaby w stanie dotrzeć za nim do miejsca, w którym się zatrzymał i gdzie zapewne miał schowane negatywy. Jeszcze jednym niepokojącym szczegółem była ruda kobieta, która robiła Buchananowi zdjęcia przed meksykańskim więzieniem, ta sama, która sfotografowała go z pułkownikiem na jachcie i z Baileym na motorówce. A jeśli Bailey już jej zapłacił i nie miał zamiaru spotykać się z nią nigdy więcej? Grupa nie będzie mogła jej znaleźć.

I co z tego, pomyślał Buchanan idąc szybko przez ustronne, ekskluzywne osiedle, wypatrując świateł, gotów w każdej chwili uskoczyć w krzaki. No to co, jeśli jej już zapłacił i nigdy więcej nie miał zamiaru się z nią spotykać? Na pewno najpierw wzięł od niej zdjęcia i negatywy. Nie zwierzyłyby się jej z tego, co wiedział. Nie ma więc znaczenia, czy grupie uda się ją odnaleźć. Nawet jeśli Bailey porzuci plastikową torbę i nie odzyskają zdjęć i negatywów, nie stanie się nic złego. W końcu fotografie będą bezużyteczne dla Baileya, jeśli okaże się, że człowiek, którego szantażował, nie żyje.

## 18

### TRZY OFIARY EKSPLOZJI

*Ft Lauderdale.* Potężny wybuch zniszczył wczoraj na krótko przed północą samochód zaparkowany przed restauracją U Paula nad Rzeką, zabijając kierowcę, zidentyfikowanego na podstawie resztek prawa jazdy jako Roberta Baileya, lat 48, mieszkańca Oklahomy. Eksplozja zabiła też dwóch klientów wychodzących z restauracji. Wiele innych samochodów zostało zniszczonych lub uszkodzonych. Zwęglone resztki sporej sumy pieniędzy znalezione na miejscu zdarzenia dały policji podstawy do przypuszczeń, że wybuch mógł być wynikiem coraz gwałtowniejszej wojny między przemytnikami narkotyków.

## 19

### MORDERSTWO–SAMOBÓJSTWO

*Ft Lauderdale.* — Wezwana telefonicznie przez wystraszonego sąsiada policja przybyła dziś rano, by zbadać sprawę strzałów przy 223 Glade Street w dzielnicy Plantation i odkryła ciała Jacka Doyle'a (lat 34) i jego żony Cindy (lat 30). Policja uważa, że pan Doyle, załamany ciężkim stanem żony chorej na raka, zastrzelił ją, gdy spała, używając rewolweru .38 z krótką lufą, a następnie popelniał samobójstwo tą samą bronią.



Próbując skoncentrować się pośród ryku buldożerów, ciężarówek, dżipów, pił łańcuchowych, generatorów i krzyczących robotników, Jenna Lane narysowała kolejną linię na mapie, którą przygotowywała. Rozłożona mapa leżała przyciśnięta książkami na drewnianym stole w namiocie o wymiarach siedem na trzy metry, który służył za biuro. Kropla potu pociekła jej po twarzy i zawisała na brodzie, gdy Jenna w skupieniu umieszczała dopisek obok linii, którą właśnie narysowała.

Przy otwartym wejściu do namiotu pojawił się cień. Podniosła wzrok i ujrzała kierownika projektu, McIntyre'a, okrytego pyłem wzbitym przez przejeżdżającą koparkę. McIntyre zdjął swój kapelusz z szerokim rondem, wytarł kraciatą chustką spieczone słońcem, brudne, spocone czoło i zawołał starając się przekrzyczeć hałas:

— On zaraz tu będzie!

Jenna zmarszczyła brwi i spojrzała na zegarek, którego metalową bransoletę pokrywał pył.

— Już? Jest dopiero dziesiąta. Miał się pojawić najwcześniej o...

— Powiedziałem ci, że zaraz tu będzie.

Odłożyła ołówek, podeszła do wejścia i mrużąc oczy spojrzała w stronę, w którą wskazywał McIntyre, na wschód, ku słonecznemu, kobaltowemu niebu i rosnącemu punkcikowi ponad dżunglą. Chociaż ryk sprzętu budowlanego zagłuszał wszystko, wyobraziła sobie odległy warkot, przechodzący stopniowo w huk, a potem sylwetka helikoptera stała się wyraźniejsza i wreszcie maszyna dotknęła ziemi, siadając na lądowisku koło obozu, dodając swoje własne rytmiczne łup-łup-łup do wszechobecnego hałasu.

Podniósł się kurz — sypka ziemia, odkryta podczas karczowania i wysadzania w powietrze drzew i krzewów. Kierowcy i robotnicy natychmiast przerwali pracę i odwrócili się w stronę lądującego helikoptera. Nie była to jedna z tych brzydkich masywnych maszyn transportowych, używanych do przewożenia zapasów i ciężkiego sprzętu, lecz mały, zgrabny helikopter pasażerski, w jakim lubią się pokazywać gwiazdy filmowe i znani sportowcy i który, jak w tym przypadku, mógłby zmieścić się na dachu jachtu należącego do jednego z najbogatszych biznesmenów na świecie. Nawet z daleka wyraźnie widać było czerwone logo: DRUMMOND INDUSTRIES wymalowane na jego boku. Nazwisko wywierało tak potężne wrażenie, że zauważywszy je robotnicy natychmiast wrócili do pracy, jakby bali się, że ściągną na siebie gniew Drummonda, jeśli ten uzna, że nie pracują dostatecznie szybko. Ale strażnicy, bezustannie patrolujący teren z karabinami w dłoniach, nie zwrócili uwagi na helikopter, zauważyła Jenna. Jako zawodowcy nie spuszczała wzroku z otaczającego polanę lasu.

— Lepiej nie każmy mu czekać — rzekł McIntyre.

— On nie czeka — odparła Jenna. — Do diabła, spójrz tylko na niego. Już zdążył wysiąść z helikoptera. Będzie w biurze wcześniej niż my. Słyszałam, że każdego ranka przepływa trzy kilometry.

— Tak, ten stary sukinsyn ma pewnie więcej energii niż my oboje — mruknął McIntyre, podczas gdy Jenna zwinęła mapę i wetknęła ją sobie pod pachę.

Poszli szybkim krokiem w stronę najbardziej okazałego budynku w obozie. Była to parterowa konstrukcja zbudowana z pali, w której zgromadzono wszystkie potrzebne zapasy — jedzenie, paliwo, amunicję, dynamit — produkty, których należało strzec przed niepogodą i zwierzętami, a przede wszystkim przed ludźmi. W budynku mieściło się też główne biuro, gdzie McIntyre

przechowywał dokumenty, skąd nawiązywał kontakt radiowy ze swoim pracodawcą i odbywał codzienne spotkania z kierownikami poszczególnych odcinków.

Jenna miała rację. Kiedy podeszli do budynku, ujrzała, że Alistair Drummond dotarł tam wcześniej. Nikt nie znał jego dokładnego wieku, lecz przypuszczano, że niedawno przekroczył osiemdziesiątkę, chociaż nie licząc mocno pomarszczonych dłoni, wyglądał na dwadzieścia lat mniej. Skóra na jego twarzy wydawała się nienaturalnie napięta w wyniku niezliczonych operacji plastycznych.

W gruncie rzeczy plotki były integralną częścią sławy Drummonda. Jak wielkie bogactwo zgromadził? Jak wielki wpływ wywierał na premiera Chińskiej Republiki Ludowej? Jaka rolę odegrał w arabskim embargu na ropę w roku 1973? W jaki sposób był zamieszany w aferę Iran–Contras? Czy kiedyś naprawdę utrzymywał intymne kontakty z Ingrid Bergman, Marleną Dietrich i Marilyn Monroe? Jeśli chodzi o nowsze sprawy — co łączyło go z jego ostatnią towarzyszką, wielką divą operową Marią Tomez? Sześciokrotnie rozwiedziony, spędzający co roku więcej czasu w swoim odrzutowcu niż w posiadłościach, które miał w jedenastu państwach, wprzęgający farmaceutyczną część swojego finansowego imperium do badań nad AIDS, mówiący po imieniu każdemu rosyjskiemu, brytyjskiemu i amerykańskiemu przywódcy po drugiej wojnie światowej, Alistair Drummond stanowił kombinację nieprawdopodobnego sukcesu i bezwstydnej autoreklamy, co razem dawało mu poczesne miejsce na arenie światowych osobistości. Plotki i zagadki z nim związane czyniły go postacią wielce kontrowersyjną, a pobudki skłaniające go do działania można interpretować na wiele sposobów. Na przykład jego oddanie sprawie AIDS. Czy było powodowane kwestiami humanitarnymi, czy też możliwością zdobycia krociowych zysków? I jednym i drugim? Drummond był gigantyczną niewiadomą i z tego powodu nikt, kto się z nim zetknął, nigdy nie zapominał tego doświadczenia, bez względu na to, czy na spotkaniu Drummond zademonstrował swój wykalkulowany wdzięk czy bezlitosną manipulację.

Ja go w każdym razie nie zapomnę, pomyślała Jenna, i na pewno nie zapomnę tej roboty. Podczas rozmowy kwalifikacyjnej Drummond spojrzał na jej włosy koloru miodu, na wysokie, jędrne piersi, szczupłe, mocne biodra i swoim zgrzytliwym głosem, który sprawił, że dostała gęsiej skórki, złożył jej ofertę pracy, brzmiącą jak propozycja seksualna. Może zresztą tym właśnie była, może Drummond uważał wszystkich swoich pracowników za towar, który można kupić. Ale towar wysokiej klasy, pomyślała Jenna. Chociaż Drummond był bez wątpienia najbardziej lodowatym i twardym sukinsynem, jakiego w życiu znała, był też jednak i najbardziej hojny. Wynagrodzenie za obecny projekt dorównywało temu, co dostała za ostatnie dziesięć. I nie bez przyczyny. To zadanie było obrzydliwe, a jeśli Jenna miała sprzedać swoją zawodową duszę, nie zamierzała robić tego za darmo.

Gdy weszła z McIntyre'em do zakurzonego biura, jej spojrzenie natychmiast pobiegło ku Drummondowi, otoczonemu przez grupę kierowników ekip, którym zadawał ostrym głosem pytania i wydawał rozkazy. Przejął kontrolę tak szybko, że nawet w swoim angielskim garniturze z barwionej wełny w błękitne prążki, kontrastującym z poplamionymi, zakurzonymi roboczymi ubraniami kierowników, wydawał się dokładnie na swoim miejscu, w swoim żywiole. W odróżnieniu od niego stojący obok jasnowłosey, dobrze ubrany mężczyzna wyglądał na pełnego rezerwy, jakby czuł się niezbyt pewnie w panujących w obozie prymitywnych warunkach. Mężczyzna miał na imię Raymond, a zimny wyraz jego oczu ostrzegał Jennę, żeby nie brała przyjemnych rysów jego twarzy za świadectwo osobowości. Jenna podejrzała, że Raymond jest w swoim żywiole tylko wtedy, gdy sprawa ból.

Dobry Boże, w co ja się wpackowałam?

— Nie — powiedział Drummond do nadzorca, głosem cichym, lecz stanowczym. — Nie. Wy tłumaczono panu zasady, zanim zgodził się pan pracować dla mnie. Podpisał pan dokument

nakładający na pana pewne ograniczenia. Pod żadnym pozorem pan ani żaden inny członek ekipy nie otrzyma pozwolenia na opuszczenie obozu, dopóki prace nie zostaną zakończone. Płacę każdemu tyle, żeby pracował przez siedem dni w tygodniu, i oczekuję odpowiednich rezultatów. Przywieźć kobiety? Nonsens. Nikt z zewnątrz nie będzie wpuszczony do obozu. Zezwolenie na użycie krótkofalówek do prywatnych rozmów? Absolutnie wykluczone. To, co się tutaj dzieje, to moja sprawa, a ja nie chcę, żeby pańscy ludzie opowiadali o moich sprawach : komukolwiek z zewnątrz. Zna pan moje podejście do kwestii bezpieczeństwa. Ten obóz jest i pozostanie zamknięty. Proszę więcej nie poruszać tego tematu.

Drummond odwrócił się od grupy mężczyzn i spostrzegł Jennę i McIntyre'a stojących w otwartych drzwiach.

— Dobrze, chciałem widzieć was oboje. — Gestem kazał Raymondowi wyprowadzić kierowników ekip na zewnątrz, jednocześnie dając znak, żeby Jenna i McIntyre podeszli bliżej. — Znaleźliście to?

Jenna i McIntyre odwrócili wzrok.

— Nie wiem, dlaczego w ogóle pytałem — rzekł. — Gdybyście to znaleźli, ci idioci nie gadaliby o niczym innym. Nie byłoby w stanie się opanować. Co oznacza, że nadal nic nie podejrzewają — dodał. — Czy tak jest w istocie?

McIntyre odchrząknął.

— Tak. To prawda.

Raymond tymczasem zamknął drzwi i oparł się o nie z założonymi rękami, zimno obserwując Jennę. Poczula na sobie jego aroganckie spojrzenie.

— Jestem bardzo niezadowolony — powiedział Drummond. — Dałem wam wszelkie możliwe informacje. Zadanie nie powinno być aż tak trudne. Instrukcje wyjaśniają praktycznie wszystko krok po kroku. Ale wy wciąż nie możecie tego znaleźć.

McIntyre wymamrotał coś.

— Co? — Drummond spojrzał na niego groźnie. — Do diabła, człowieku, mów normalnie. Twoje mamrotanie nie sprawi, że zacznę wątpić w swój dobry słuch.

— Nie chciałem...

— Nie przeprasza. Nienawidzę jęczenia. Może to dlatego nie osiągnął pan wyznaczonego celu. Może nie jest pan na tyle mężczyzną, by kierować pracami.

— Instrukcje nie były tak dokładne, jak pan twierdzi — wtrąciła Jenna.

— Och? — Starzec obrócił się w jej stronę. — Pani przynajmniej nie mamrocze. Ale nie przypominam sobie, żebym prosił panią o komentarz.

— Gdyby trzeba było mnie prosić, oznaczałoby to, że nie jestem zbyt dobrym pracownikiem, nie uważa pan?

— Doskonała odpowiedź. — Drummond przyjrzał się jej uważniej. — Proszę mówić dalej.

— Niejasnego i być może błędnego tłumaczenia nie nazwałabym instrukcjami wyjaśniającymi wszystko krok po kroku.

Drummond najeżył się.

— Tłumaczenie nie zawierało błędów. Najlepsi eksperci zostali wynajęci za maksymalne stawki, żeby odcyfrować tekst.

— Ale nawet eksperci nie rozumieją wszystkich symboli Majów.

— A pani zna się na tym na tyle dobrze, żeby to wiedzieć?

— Być może pan zapomniał...

— Ja niczego nie zapominam.

— Nie jestem tylko geodetą — rzekła Jenna. — Moja specjalność to geodezja archeologiczna. Sporządzanie map takich terenów jak ten. I chociaż sama nie potrafię być może tłumaczyć symboli

Majów, to znam kilku ludzi, którzy to robią, a oni jako pierwsi przyznaliby, że w ich specjalności jest jeszcze wiele do odkrycia.

— Być może. Ale być może próbują oni usprawiedliwić swoje kiepskie wyniki. Może powinienem zaangażować kogoś innego i odjąć honorarium tej osoby od pani wypłaty.

Panika sprawiła, że Jenna zapomniała o gniewie. Przestań. Zachowaj swoje sądy dla siebie. Nie kłóć się z nim.

— Niech pani solidniej pracuje — rzekł Drummond. — I przestanie szukać wymówek. Tłumaczenie jest najlepsze, jakie mogło być. I nie pozostawia żadnych wątpliwości. To, czego szukamy, znajduje się tutaj. Tylko dlaczego wy nie potraficie tego znaleźć?

— Jukatan jest bardzo jednorodny topograficznie — powiedziała Jenna. — Miejsce opisane w tekście może znajdować się gdziekolwiek indziej. Poza tym geologia tych terenów nie jest stała. W ciągu tysiąca lat, jakie upłynęły od sporządzenia opisu, trzęsienia ziemi mogły zniszczyć te cechy terenu, których poszukujemy.

Drummond skrzywił się i ponownie zwrócił do McIntyre'a:

— Nie mam czasu na opóźnienia. Dżunglę trzeba oczyścić, ale pańscy ludzie nie zrobili nawet części tego, co było zaplanowane. Nie dotrzymuje pan terminów określonych w harmonogramie.

— Harmonogram nie przewidywał sabotażu — odparł McIntyre.

Drummond drgnął.

— Sabotażu?

— Ktoś grzebał przy ciężarówkach i koparkach. Piasek w bakach. Porozrywane przewody chłodnic. Przecięte opony.

Drummond ożywił się.

— Dlaczego mi o tym nie powiedziano?

— Myśleliśmy, że sami rozwiążemy ten problem. Zreperowaliśmy pojazdy i umieściliśmy przy nich strażników.

— I co?

— Postawienie strażników przy pojazdach oznaczało, że musieliśmy zmniejszyć liczbę ludzi pilnujących ogrodzenia obozu. Następnej nocy skradziono nam wiele narzędzi. Zapas wody pitnej został zatruty. Poprzebijano beczki z paliwem. Dlatego teraz trzymamy je tutaj. Jako rezerwę awaryjną. Helikoptery pracowały na okrągło przywożąc części zamienne i uzupełniając zapasy zamiast transportować nowy sprzęt.

— Uzupełnianie zapasów nic nie da! — warknął Drummond. — Znajdźcie tego, kto powoduje te szkody. Co z tymi kierownikami, którzy narzekali tu przed chwilą? Może ktoś próbuje zahamować roboty, żeby móc spędzić weekend na pijaństwie w Meridzie?

— Myśleliśmy o tym — przyznał McIntyre. — Ludzie są wprawdzie zmęczeni i rozdrażnieni, ale chcą też skończyć robotę jak najwcześniej, żeby dostać premie. Żaden z nich nie zrobiłby nic, co zmusiłoby ich do zostania tutaj dłużej niż to konieczne.

— A zatem kto?

— Autochtoni — odparła Jenna. — Majowie.

Drummond wyglądał na zdumionego.

— Chce mi pani powiedzieć, że garstka bezmyślnych Indian zdolna jest przechytrzyć was wszystkich i sparaliżować projekt?

— Może jest ich więcej, niż pan myśli. A co do bezmyślności, to tutaj jest ich podwórko, a nie nasze. Znają ten teren o wiele lepiej niż my.

— Wymówki.

— Jestem przekonana, że obserwują z dżungli każdy nasz ruch — powiedziała Jenna. — Podejrzewam również, że to miejsce ma dla nich znaczenie religijne, więc muszą być wściekli widząc, co tu robimy.

— Przesady i bzdury. Jestem zdumiony, że pozwoliła pani, by takie rzeczy stały nam na przeszkodzie. — Drummond skrzywił się. — Ale podsunęła mi pani pomysł. W porządku. To ich podwórko. — Odwrócił się w stronę jasnowłosego, dobrze ubranego mężczyzny o przyjemnej twarzy, który opierał się o drzwi. — Raymond, czy chciałbyś wybrać się na polowanie?

— Z wielką przyjemnością, panie Drummond.

— Dowódca strażników dopilnuje, abyś otrzymał odpowiednie wyposażenie. — Drummond odwrócił się ku Jennie. — Gdzie mieszkają ci Indianie? Czy zaznaczyła pani ich wioskę na mapie, którą pani przygotowuje?

— Wioskę? — powtórzyła Jenna. — Miałam wystarczająco wiele problemów z oznaczeniem terenu badań. Jesteśmy otoczeni przez tropikalną dżunglę. Nie ma tu żadnych ścieżek. Tutaj nie idzie się ot tak, na spacer do lasu. Zgubiłby się pan albo stałoby się coś jeszcze gorszego. Wioska? Nie widzieliśmy nawet jednego Indianina, a co tu dopiero mówić o wiosce?

— Ale mimo to jest pani pewna, że to oni są odpowiedzialni? — Drummond spojrzał na swojego asystenta. — Raymond, znajdź ich i powstrzymaj.

— Tak jest, sir. — Raymond otworzył drzwi.

— Ale, Raymond...

— Tak, sir?

— Ponieważ to jest ich podwórko, ponieważ tak dobrze je znają, chcę, żeby jeden z nich był zdolny do mówienia. Przyprowadź go do obozu w celu przesłuchania. Może on będzie wiedział, gdzie znaleźć to, czego szukamy.

Gdy Raymond wyszedł z budynku, pojawił się mężczyzna w niebieskim mundurze lotnika. Na kieszeni naszyte miał czerwone logo: DRUMMOND INDUSTRIES.

— Sir, odebrałem telefon do pana przez radio w helikopterze. — Był lekko zdyszany.

— Przełącz go tutaj. McIntyre, jakiej częstotliwości używasz?

McIntyre podał pilotowi częstotliwość i ten odszedł pośpiesznie. Drummond wskazał na mapę, którą Jenna trzymała pod pachą.

— Proszę mi pokazać, czego pani dokonała.

Jenna rozłożyła mapę na stole.

— Nie, nie, nie — powiedział Drummond.

— Co jest nie tak? Badałam wszystko bardzo dokładnie. Kilkakrotnie sprawdzałam każdy...

— I to właśnie jest problem. Za dokładnie. Mówiłem wyraźnie. Potrzebuję mapy, która będzie wyglądała przekonująco dla meksykańskich władz.

Drummond wyprowadził Jennę na zewnątrz, wskazując na panujący dookoła ruch, na robotników ścinających drzewa i ustawiających sprzęt.

Jenna, oślepiona przez silny blask słońca, zmrużyła oczy i spojrzała w kierunku tego, co wskazywał Drummond. Ścinano kolejne drzewa i odciągano je do spalania, karczowano nowe połacie krzewów i to, co wydawało się dotąd pagórkami, zamieniało się w piramidy, świątynie i pałace, dziedzictwo wielkiego niegdyś imperium Majów. Serce Jenny zabiło mocniej.

— Zbyt wiele od tego zależy — rzekł Drummond. — Pani mapa nie może... Nagle przerwał mu zagłuszony trzaskami głos wydobywający się z radiostacji.

— Telefon do pana — rzekł McIntyre.

— Czy antypodsluch działa?

McIntyre skinął głową.

— Proszę tylko tutaj wcisnąć.

— Niech pan nie odchodzi. To nie potrwa długo.

Gdy Drummond wszedł do budynku i zamknął drzwi, zostawiając Jennę i McIntyre'a na zewnątrz, dziewczyna potrząsnęła głową, sfrustrowana, zaniepokojona i wściekła.

— Co za sukinsyn.

— Mów ciszej — rzekł McIntyre. — Gotów cię usłyszeć.

McIntyre ma rację, zdała sobie sprawę Jenna. Nawet przy hałasie sprzętu i krzykach robotników stała na tyle blisko drzwi, że jej głos mógłby... Ale jednocześnie...

Drzwi tkwiły luźno w futrynie. Kiedy Drummond nimi trzasnął — uchyliły się odrobinę. Jenna słyszała teraz pojedyncze, zgrzytliwe zdania.

— *...Znajdź kobietę. Jeśli Delgado dowie się, że ona zerwała współpracę... stracone. Wszystko. Znajdź ją. Użyj wszelkich środków. Nie obchodzi mnie, co musisz... Zabij go, jeśli...*

Potem Drummond zamilkł i Jenna błyskawicznie odsunęła się od drzwi, stając obok McIntyre'a. Czuła nadchodzące nudności, lecz próbowała wyglądać jak dobry pracownik czekający cierpliwie na swojego szefa.

Drummond otworzył drzwi szarpnięciem i wyszedł na zewnątrz. Pomimo światła odbijającego się od jego białych włosów i okularów, wydawało się, że otacza go czarny całun. Miał już ponowić swój słowny atak na Jennę, kiedy zauważył coś z lewej strony i na chwilę się rozpromienił.

Jenna powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem i zobaczyła Raymonda ubranego w myśliwską kurtkę wchodzącego z karabinem do dżungli. Nawet z tej odległości widać było, jak bardzo jest podniecony.

A potem cichy, władczy głos Drummonda ponownie przykuł jej uwagę.

— To wszystko — rzekł ostro, gestykulując. — Sporządziła pani zbyt wierną, zbyt dokładną mapę. Meksykańskie władze nie mogą się dowiedzieć, jak ważne i rozległe jest to znalezisko. Pani mapa musi przedstawić je jako coś małego, niewiele znaczącego, jako coś, co nie zasługuje na specjalne zainteresowanie, na utratę czego można sobie pozwolić. — Drummond wskazał majestatyczne świątynie, pałace zdobione hieroglifami i wielką schodkową piramidę z gigantycznymi wężami strzegącymi podnóża wysokich, szerokich schodów wiodących na górę ze wszystkich czterech stron.

— Ponieważ chcę, żeby za dziesięć dni to wszystko było zrównane z ziemią. Słyszysz, co mówię, McIntyre? — Spojrzał groźnie na kierownika projektu.

— Znałeś rozkazy. Wiesz, jak wygląda harmonogram. Użyj buldożerów, młotów pneumatycznych, dynamitu. Jeśli będziesz musiał, użyj własnych rąk. Spodziewam się, że za dziesięć dni mój sprzęt będzie już rozstawiony, a po tym wszystkim nie zostanie nawet ślad. Zrównaj to z ziemią. Rozrzuc gruzy. Wsyp go do dziur. Wywieź helikopterami. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz. Chcę, żeby to zniknęło!

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

### 1

*Alexandria, Wirginia*

Bezpieczny lokal znajdował się na trzecim piętrze — było to kolejne mieszkanie w jeszcze jednym olbrzymim bloku, gdzie Buchanan mógł bez kłopotów wtopić się w otoczenie. Gdy dotarł z Florydy do Waszyngtonu, użył publicznego automatu, żeby zadzwonić do swojego szefa, tak samo jak robił to wcześniej, wysiadając na chwilę z pociągu na niektórych stacjach. Męski głos kazał mu usiąść na schodach przed Biblioteką Kongresu o trzeciej po południu i czekać. Dokładnie o tej godzinie mężczyzna w średnim wieku, ubrany w niebieski blezer i szare spodnie, przystanął obok Buchanana i pochylił się, żeby zawiązać sznurowadło w prawym bucie. Kiedy odszedł, Buchanan schował małą kopertę, którą od niego otrzymał. Po odczekaniu następnych pięciu minut wszedł na teren biblioteki, znalazł toaletę i zamknął się w kabinie. Potem otworzył kopertę, wyjął klucz i przeczytał zapisane na kawałku papieru nazwisko, krótką informację biograficzną, adres w Alexandrii i numer mieszkania. Papier i koperta były dość niespotykane. Wrzucił je do ustępu i patrzył, jak się rozpuszczają. Usiadł następnie w bibliotece i korzystając ze spisu kodów pocztowych dowiedział się, jakie główne ulice znajdują się koło jego mieszkania w Alexandrii. Na kilka minut przed szóstą tego samego popołudnia wysiadł z taksówki kilka skrzyżowań od celu i przebył resztę drogi na piechotę, klucząc i lawirując, żeby zgubić ewentualny ogon.

Poinformowano go, że nazywa się teraz Don Colton. Był dziennikarzem piszącym dla magazynu podróżniczego, mającego, jak zakładał, powiązania z jego pracodawcami. Dziennikarz piszący o podróżach to idealne rozwiązanie, pomyślał Buchanan, jako że człowiek taki z definicji znajduje się w ciągłym ruchu i jego sąsiadów nie powinien dziwić fakt, że praktycznie nigdy go nie widują. Buchanan założył automatycznie, że Don Colton będzie tożsamością tymczasową, ogólnego zastosowania, pasującą do wszystkich kandydatów, taką, którą jego kontrolerzy zawsze mieli na podorędziu na wypadek nieprzewidzianych zdarzeń. Jako Don Colton Buchanan miał czekać i wiedział, że wkrótce zostanie wysłany jako Bóg wie kto, Bóg wie gdzie.

Wspiął się po schodach ewakuacyjnych na trzecie piętro. Ponieważ większość ludzi używała windy, istniała niewielka szansa, że kogoś spotka. Dotarł do korytarza oświetlonego zawieszonymi u sufitu fluorescencyjnymi lampami. Zgodnie z jego oczekiwaniami w pobliżu nie było nikogo, wszyscy sąsiedzi zdążyli już wrócić do domu po pracy. Wejścia do mieszkań ciągnęły się po obu stronach korytarza. Gdy szedł po grubej zielonej wykładzinie, słyszał muzykę dobiegającą zza jednych drzwi, głosy zza innych. Potem dotarł do numeru 327, 1 otworzył drzwi kluczem, który dostał w kopercie na schodach Biblioteki Kongresu, i wszedł do środka.

Włączył światło, rozejrzał się po salonie połączonym z kuchnią, zamknął drzwi, sprawdził szafy, łazienkę i sypialnię, przez cały czas unikając podchodzenia do okien, po czym zgasił światło, zaciągnął zasłony i ponownie zapalił światło, by dopiero wtedy rzucić się na sofę. Był bezpieczny. Na razie.

### 2

W mieszkaniu panowała atmosfera pokoju hotelowego, wszystko było czyste li praktyczne, lecz kompletnie bezosobowe. Kąt salonu zamieniono w miniaturową pracownię z biurkiem,

komputerem i drukarką. Kilka egzemplarzy magazynu podróżniczego, dla którego rzekomo pracował, leżało na stoliku, a kiedy przejrzał ich zawartość, znalazł artykuły podpisane swoim pseudonimem, kolejny dowód, że Don Colton stanowił tożsamość ogólnego zastosowania. Najwyraźniej czasopisma przygotowano wcześniej, nie tylko dla niego, lecz dla każdego agenta, który akurat potrzebowałby tego rodzaju kamuflażu. Don Colton — w każdym razie ten Don Colton — wiedział, że nie pozostanie zbyt długo w swoim nowym mieszkaniu.

Mimo to musiał uczynić osobę Coltona wiarygodną, a żeby to zrobić, trzeba najpierw zapoznać się z artykułami, które rzekomo napisał. W połowie drugiego reportażu — traktującego o Tahiti — zdał sobie nagle sprawę, że minęły prawie dwie godziny. Przeczytanie paru stron nie powinno było zająć mu aż tak wiele czasu. Czyżby zasnął? Ból głowy — który nawet na moment nie opuszczał go od czasu, gdy uderzył czaszką w dno łodzi w Cancun — przybrał na sile i Buchanan z zaskoczeniem stwierdził, że niewiele obchodzi go jego nowa postać. Wstał z trudem i poszedł do kuchni, oddzielonej od salonu tylko kontuarem, żeby nalać sobie whisky z butelki, która stała na lodówce obok ginu i rumu. Dodał wody i lodu i zaczął zastanawiać się, co robić dalej — wziąć prysznic czy otworzyć jedną z puszek chili, które znalazł w szafce. Jutro będzie musiał zdecydować, co zrobić z ubraniami. Te, które znalazł w szafie w sypialni, były dla niego za małe. Nie mógł jednak opuścić mieszkania nie ustalając wcześniej ze swoimi pracodawcami odpowiedniej procedury, tak żeby ci wiedzieli, jak się z nim skontaktować — i właśnie w tej chwili zadzwonił telefon.

Buchanan drgnął, zaskoczony.

Obrócił się w stronę salonu i spojrzał na aparat stojący na stoliku przy sofie. Telefon zadzwonił ponownie. Buchanan pociągnął łyk whisky, uspokajając napięte nerwy. Telefon zadzwonił po raz trzeci. Nienawidził telefonów. Mrużąc oczy wszedł do salonu i podniósł słuchawkę, zanim zdążył zadzwonić po raz czwarty.

— Halo — starał się, żeby jego głos zabrzmiał obojętnie.

— Don! — zawołał radosny męski głos. — Tutaj Alan! Nie byłem pewny, czy już wróciłeś! Jak się czujesz, stary byku?

— Dobrze — odparł Buchanan. — W porządku.

— Podróż się udała?

— Jej ostatnia część.

— Tak, wspomniałeś w swoich pocztówkach, że miałeś jakieś problemy na wcześniejszych etapach. Ale nic, z czym nie mógłbyś sobie poradzić, zgadza się?

— Zgadza — potwierdził Buchanan.

— To super. Słuchaj, stary. Wiem, że robi się późno, ale nie widziałem cię tak długo, że zaczynam zapominać, jak wyglądasz. Co ty na to? Jadłeś już? Chciałbyś się spotkać?

— Nie — rzekł Buchanan. — Nie jadłem jeszcze.

— No to może wpadnę do ciebie?

— Pewnie, czemu nie?

— Świetnie, Don. Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę. Będę u ciebie za kwadrans. Pomyśl, gdzie chciałbyś pójść.

— Gdzieś, gdzie jest ciemno i niezbyt tłoczno. Może coś z pianistą.

— Czytasz w moich myślach, Don, czytasz w moich myślach.

— Na razie.

Buchanan odłożył słuchawkę i pomasaował pulsujące bólem skronie. Uwaga mężczyzny o pocztówkach i jego własna o pianicie były hasłem i odzewem, które zgodnie z poleceniem zapisanym na kartce, otrzymanej pod Biblioteką Kongresu, miały być użyte podczas kontaktu. Wkrótce złoży swój raport.



Jeszcze jeden.

Skronie nie przestawały go boleć. Pomyślał, że musi umyć sobie twarz, ale najpierw dopił drinka.

### 3

Piętnaście minut później zadzwonił dzwonek. Buchanan wyjrzał przez wizjer i zobaczył krótko ostrzyżonego, korpulentnego mężczyznę koło czterdziestki ubranego w sportową kurtkę w brązową szachownicę. Głos w telefonie nie był znajomy, więc Buchanan nie zdziwił się, że nigdy wcześniej nie widział mężczyzny stojącego za drzwiami, jeśli w ogóle był to ten sam, który do niego dzwonił. Mimo to wolałby spotkać się z kimś, z kim miał już wcześniej do czynienia. Zmęczony był ciągłymi zmianami.

Ostrożnie otworzył drzwi. Nie mógł w końcu być pewny, że mężczyzna jest zapowiedzianym gościem. Ten jednak rozwiał jego obawy używając tego samego radosnego tonu, który Buchanan słyszał wcześniej.

— Don, wyglądasz wspaniale. Nie pisałeś nic o tym, że straciłeś na wadze.

— Nie odpowiadała mi dieta. Wejdz, Alan. Pomyślałem sobie, że może nie powinniśmy wychodzić. W gruncie rzeczy nie mam wcale ochoty na pianistę.

— Jak wolisz. — Mężczyzna, który wcześniej przedstawił się jako Alan, co z pewnością było pseudonimem, wszedł do środka niosąc metalową walizeczkę i poczekał, aż Buchanan zamknie drzwi. Potem zaczął zachowywać się zupełnie inaczej — jakby był aktorem wychodzącym z roli zaraz po zejściu ze sceny. Jego ton stał się poważny. — Mieszkanie zostało sprawdzone dziś po południu. Nie ma żadnych pluskiew. Jak się czujesz?

Buchanan wrzucił ramionami. Prawda była taka, że czuł się wyczerpany, nauczono go jednak nie okazywać słabości.

— Czy rana goi się bez komplikacji?

— Zakażenie ustąpiło.

— To dobrze — rzekł mężczyzna bezbarwnym głosem. — A jak twoja głowa? Powiedziano mi, że uderzyłeś w...

— Głupi wypadek — powiedział Buchanan.

— W raporcie, który otrzymałem, wspomniano o wstrząsie.

Buchanan skinął głową.

— I o pęknięciu czaszki.

Buchanan ponownie skinął głową, a ból w skroniach wzmógł się jeszcze bardziej.

— Wgniecenie czaszki. Mały kawałek kości uciska mózg. To spowodowało wstrząs. Żadna większa kość nie uległa uszkodzeniu. To nie jest aż tak poważne. W Fort Lauderdale przez całą noc trzymali mnie w szpitalu na obserwacji. Potem lekarz mnie wypuścił. Nie zrobiłby tego, gdyby...

Korpulentny mężczyzna, który przedstawił się jako Alan, usiadł na sofie nie spuszczając wzroku z Buchanana.

— Tak właśnie mówi raport. Twierdzi też, że konieczne będzie jeszcze jedno badanie, kolejne USG, żeby sprawdzić, czy siniak na mózgu się zmniejszył.

— Czy zdołałbym normalnie chodzić, gdyby mój mózg był spuchnięty?

— Nie mam pojęcia. — Mężczyzna nadal przyglądał się Buchanowskiemu. — A chodziłbyś? Agenci z Operacji Specjalnych wiele potrafią. Problemy, które unieruchomiłyby kogoś innego, ciebie nie wydają się specjalnie martwić.

— Tak. Najważniejsza jest misja. Gdybym sądził, że mój stan uniemożliwi mi wykonanie zadania, powiedziałbym wam o tym.

— Godne pochwały. A gdybyś sądził, że przydałaby ci się przerwa w pracy, też byś nam o tym powiedział?

— Oczywiście. Nikt nie rezygnuje z urlopu.

Mężczyzna nic nie powiedział, patrzył tylko na niego.

Żeby zmienić temat, a jednocześnie zaspokoić swoją ciekawość, Buchanan zapytał:

— Co stało się w Fort Lauderdale, po tym jak stamtąd wyjechałem? Czy sprawy zostały załatwione w satysfakcjonujący wszystkich sposób? Czy fotografie...

Mężczyzna spojrział w dół, nastawił szyfr w walizeczce i otworzył ją.

— Nie mam prawa wiedzieć nic na ten temat. — Wyciągnął tekturową teczkę. — Musimy załatwić trochę papierkowej roboty.

Buchanan, niespokojny, usiadł naprzeciw niego. Instynkt ostrzegł go przed czymś. Mogło to być wynikiem zmęczenia albo stresu. Coś jednak w zachowaniu mężczyzny sprawiało, że Buchanan poczuł się zaniepokojony.

I nie chodziło tylko o to, że mężczyzna był szorstki. W ciągu ośmiu lat działania w głębokiej konspiracji Buchanan miał do czynienia z ludźmi wszelkiego rodzaju, również z takimi, którzy nie wygraliby konkursu popularności. Ale towarzyskie usposobienie nie było wymagane w tej robocie. Liczyła się dokładność, nieraz po prostu nie było czasu na uprzejmości, a nawiązywanie przyjaźni z kimś, kogo miało się już nigdy nie zobaczyć, wydawało się mało sensowne.

Buchanan doświadczył tego na własnej skórze w ciągu wszystkich tych lat. Przybierając rozliczne fałszywe tożsamości stwierdzał niejednokrotnie, że ktoś jest mu bliski, ktoś taki jak Jack i Cindy Doyle na przykład. Chociaż Buchanan starał się nie dopuszczać do takich sytuacji, zdarzały się one czasem, a potem, kiedy musiał ruszać dalej, zawsze doznawał uczucia pustki. Z tego też powodu rozumiał doskonale, dlaczego jego gość chce przeprowadzić rozmowę w sposób pozbawiony emocji.

Ale chyba nie o to chodziło. To nie dlatego odczuwał niepokój. Chodziło o coś innego, a Buchanan mógł tylko przypisać swoje odczucie doświadczeniu z Baileyem, instynktowi, który nakazywał mu być szczególnie ostrożnym.

— Oto podpisane pokwitowanie — rzekł Alan. — Teraz możesz oddać mi dokumenty Victora Granta.

Buchanan podjął wtedy błyskawiczną decyzję. Nie ufał temu człowiekowi.

— Nie mam ich — powiedział.

— Co? — Mężczyzna podniósł wzrok znad pokwitowania.

— Musiałem zostawić te dokumenty w samochodzie, kiedy wepchnąłem go do wody w Fort Lauderdale... tak żeby policja mogła zidentyfikować kierowcę nie mając ciała... żeby uznali, że Victor Grant nie żyje.

— Zostawiłeś wszystko? Wszystko?

— Prawo jazdy. Kartę kredytową. Kartę ubezpieczenia społecznego. Wszystko. Musiałem zostawić je w portfelu w kieszeni kurtki, żeby nie porwała ich woda. I musiałem zostawić je wszystkie. Policjanci zdziwiliby się, gdyby znaleźli tylko gołe prawo jazdy.

— Ale co z paszportem, Buchanan? Mówię o paszporcie. Nie zostawiłbyś przecież paszportu. Wiesz, że to o niego nam chodzi. Każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie, może załatwić sobie fałszywe prawo jazdy. Kogo obchodzi, czy wpadnie ono w łapy jakiegoś gliniarza? Ale fałszywy paszport, pierwszorzędny fałszywy paszport, do diabła, nawet więcej, bo czysty blankiet dostaliśmy prosto z Departamentu Stanu. Jeśli policja odda paszport do sprawdzenia jednemu ze

swoich ekspertów, to pojawi się sporo pytań, na które ludzie z Departamentu Stanu nie będą mogli udzielić odpowiedzi. A potem ktoś może zacząć zadawać pytania nam.

— Musiałem go zostawić — skłamał Buchanan.

W rzeczywistości paszport był w sypialni, w małej podróźnej torbie, którą kupił razem z zestawem toaletowym i kilkoma częściami garderoby przed opuszczeniem Florydy. W torbie znajdował się też pistolet, który dostał od Doyle'a. O nim również Buchanan nie miał zamiaru mówić mężczyźnie.

— Gdyby policja starannie sprawdziła Victora Granta — ciągnął dalej — okazałoby się, że byłem w Meksyku. Gliniarze dowiedzieliby się też, że użyłem tam mojego paszportu. Musieliby więc zadać sobie pytanie: gdzie on jest teraz? Mają mój portfel. Mają walizkę — zostawiłem ją w bagażniku samochodu. Mają wszystkie rzeczy Victora Granta, z wyjątkiem jego ciała i paszportu? Daj spokój. Dobry detektyw mógłby pomyśleć, że Victor Grant sfingował swoją śmierć, a potem zniknął razem z jedynym dokumentem potrzebnym mu do opuszczenia kraju. Ale ponieważ ja zostawiłem ten paszport w kurtce razem z portfelem, policja ma o jedno zmartwienie mniej.

— Sprytnie, Buchanan — rzekł mężczyzna. — Jest tylko jeden problem.

— Tak?

— Policja nie znalazła paszportu.

— Co? W takim razie musiała porwać go woda.

— Ale portfela nie porwała?

— Portfel był cięższy. Skąd mam wiedzieć, co się stało? Otrzymałem polecenie, żeby Victor Grant zniknął. Zrobiłem to najlepiej jak potrafiłem.

Gość nie spuszczał z niego wzroku.

— Czy gliniarze nabrali jakichś podejrzeń, kiedy nie znaleźli paszportu? — spytał Buchanan.

Alan spojrzał na niego jeszcze surowiej.

— Będziesz musiał podpisać oświadczenie stwierdzające, że nie możesz oddać paszportu.

— Jak uważasz — odparł Buchanan, po czym podpisał dokument i oddał go mężczyźnie, patrząc, jak ten chowa go do swojej walizeczki.

— Następna sprawa.

Sprawnie i z lekkim niesmakiem mężczyzna otworzył papierową torbę i wysypał jej zawartość na stolik.

Buchanan spojrzał na stos czasopism, katalogów, ofert klubów płytowych, wypożyczalni wideo i wszelkiego rodzaju materiałów reklamowych. Przesyłki zaadresowane były na różne nazwiska, Richarda Dany, Roberta Chambersa, Craiga Maddena i Briana MacDonalda, będące pseudonimami, których używał Buchanan, zanim stał się Edem Potterem w Meksyku.

— Porządki — powiedział Alan.

Buchanan skinął głową. Żeby jego fałszywa tożsamość wyglądała wiarygodnie, musiał być wyposażony nie tylko w dokumenty. Ważna była także poczta. Ktoś, kto nigdy nie otrzymuje korespondencji, wzbudza podejrzenia. Płaci się rachunki. Dostaje listy, czasopisma — wielu ludzi prenumeruje czasopisma. Jeśli twierdzisz, że nazywasz się Brian MacDonald i dostajesz czasopismo zaadresowane na to nazwisko, to twoja postać staje się bardziej wiarygodna. Tak więc używając różnych nazwisk Buchanan zawsze prenumerował czasopisma, kiedy spodziewał się, że pozostanie w jednym miejscu przez dłuższy czas. Ale tak jak tworzył odrębną osobowość dla każdej postaci, musiał również dopilnować, żeby czasopisma odpowiadały tym osobowościom. Richard Dana prenumerował „Świat Biegacza”. Robert Chambers lubił „Kuchnię”. Craig Madden był miłośnikiem kina i dostawał „Premierę”. Brian MacDonald czytywał „Samochód i Kierowcę”. Ponieważ czasopisma często sprzedawały listy prenumeratorów firmom zajmującym się sprzedażą

wysyłkową, postaci, w które wcielał się Buchanan, zaczynały wkrótce dostawać katalogi na tematy, które rzekomo je interesowały, a to z kolei pomagało uwiarygodnić je jeszcze bardziej.

W końcu jednak Buchanan otrzymywał nowe zadanie i wyprowadzał się, porzucając jedną tożsamość, przyjmując inną. Teoretycznie poprzednia przestawała istnieć. Pomimo to, chociaż organizował sprawy tak, żeby odciąć napływ korespondencji, kilka przesyłek zawsze docierało do miejsc, gdzie wcześniej mieszkał. Żeby nie wzbudzać podejrzeń, za każdym razem zostawiał właścicielowi mieszkania nowy adres. Adres ten zwano w branży adresem noclegowym i była to bezpieczna, wygodna skrytka pocztowa, zazwyczaj udostępniana przez prywatną firmę pocztową, należąca do pracodawców Buchanana, lmezc nie powiązaną z nimi bezpośrednio.

— Czy jest tu coś, czym powinniśmy się zająć? Jakież nie załatwione sprawy, które trzeba załatwić? Musimy to wiedzieć, zanim cały ten chłam pójdzie na przemiał.

Buchanan przejrzał przesyłki.

— Nie. Te czasopisma są niepotrzebne. Te katalogi też. Ta ulotka jest dokładnie tym, czym ją nazywają — śmieciem. To...

Przeszedł go dreszcz, gdy podniósł pocztówkę.

— Zaadresowana do Petera Langa. Ostatni raz używałem tego pseudonimu sześć lat temu. Jak u diabła pocztówka mogła leżeć tak długo?

— Nie leżała. Sprawdź pieczętkę. Ktoś wysłał ją z Baltimore... W zeszłym tygodniu.

— W zeszłym tygodniu? — Buchananowi zrobiło się zimno. — Kto mógłby chcieć nawiązywać kontakt z Peterem Langiem po sześciu latach? Kto mógłby go pamiętać? Komu zależałoby, żeby...

— To właśnie chcemy wiedzieć — rzekł Alan spoglądając na Buchanana nieruchomym, pełnym groźby wzrokiem. — I dlaczego pocztówka? Dlaczego nie list? I co według ciebie oznacza ta wiadomość?

Zaniepokojony, przeczytał treść kartki. Napisano ją ręcznie, czarnym długopisem. Pismo było drobne, kreski cienkie, litery zdobne, lecz precyzyjne.

Ręka kobiety. Bez podpisu.

Pięć zdań, część z nich nie dokończona, niezrozumiała.

Ale nie dla Buchanana. Nie potrzebował podpisu, żeby wiedzieć, przez kogo została wysłana. Autorka doskonale zdawała sobie sprawę, że kartka zostanie przeczytana przez kilka osób, w tym przez jego pracodawców, i dlatego pisała tak niejasno. Był pełen podziwu.

## 4

*Oto pocztówka, o której nie myślałam, że ją kiedykolwiek wyślę. Mam nadzieję, że twoja obietnica była poważna. Ostatnie miejsce i czas. Liczę na ciebie. PROSZE.*

Buchanan przeczytał kartkę kilkakrotnie, a potem spojrział na swojego gościa, który patrzył na niego spod przymrużonych oczu.

— A więc? — spytał mężczyzna.

— To od kobiety, którą znałem, kiedy byłem Peterem Langiem. Pracowała dla mnie przez jakiś czas.

— To wszystko?

Buchanan wzruszył ramionami.

— Kim ona była, Buchanan?

— To działo się tak dawno temu, nawet nie pamiętam, jak się nazywała.

— Nie mów mi, że zawodzi cię twoja legendarna pamięć.

— Pamiętam tylko to, co jest istotne.

— Dlaczego się nie podpisała?

— Wydawała mi się trochę dziwna. To pamiętam. Może pomyślała, że będzie oryginalnie i tajemniczo, jeśli wyśle nie podpisaną pocztówkę.

— Ale pomimo braku nazwiska, którego, jak twierdzisz, nawet nie pamiętasz, wiesz, kto jest nadawcą tej kartki.

— Ona często robiła takie rzeczy. Nie podpisane, tajemnicze wiadomości. Znajdowałem je w łazience, w piżamie, w szufladzie ze skarpetami. Powiedziałem ci, wydawała mi się dziwna, ale również piękna. A do tego nigdy nie zdarzyło mi się czytać ręcznego pisma tak równego i eleganckiego. Była z niego dumna — ze swojego pisma.

— Ale co oznacza ta wiadomość?

— Sam chciałbym wiedzieć. Może czymś się nafaszerowała, zanim to napisała. A może chciała być tak bardzo tajemnicza, że nie pomyślała o tym, że nie sposób jej zrozumieć.

Mężczyzna jeszcze mocniej zmrużył oczy.

— Tak po prostu, po sześciu latach, postanowiła do ciebie napisać?

— Najwyraźniej — odparł Buchanan. — To właśnie zrobiła. Nie podała nawet adresu zwrotnego. Widocznie działała pod wpływem nagłego impulsu.

— O co chodzi z tym „ostatnim miejscem i czasem”?

— Nie mam pojęcia.

Alan siedział nieruchomo. Patrzył na Buchanana, tak jakby chciał przebić go wzrokiem i znaleźć jakiś słaby punkt. Buchanan wytrzymał jego spojrzenie.

Po trzydziestu sekundach mężczyzna westchnął i wyciągnął rękę po pocztówkę. Włożył ją do papierowej torby razem z czasopismami, katalogami i ulotkami i schował wszystko do metalowej walizeczki, którą zaraz zamknął.

— Wkrótce znowu się zobaczymy, Buchanan.

Wstał.

— Zaczekaj chwilę.

— Czy coś się stało? — zapytał mężczyzna. — A może zapomniałeś mi o czymś powiedzieć?

— Tak. Co z moimi nowymi dokumentami?

— Nowymi dokumentami?

— Prawem jazdy i kartą kredytową, wszystkimi dokumentami dla Dona Coltona.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

— Nie zrozumieliśmy się chyba. Nie wydajemy ci nowych dokumentów.

— Co?

— Nie będziesz ich potrzebował. Czyny, telefon i inne rachunki są opłacane za pośrednictwem poczty przez jedną z pracujących dla nas organizacji. Masz tu pełno jedzenia, więc nie potrzebujesz gotówki na zakupy, ani karty kredytowej, żeby iść do restauracji. A ponieważ chcemy, żebyś przez cały czas był w pobliżu, nie musisz wynajmować samochodu.

— A co z ubraniami? Potrzebna mi karta kredytowa, żeby coś sobie kupić. Wszystko zostawiłem w Fort Lauderdale, a to, co znalazłem w szafach, jest za małe.

— Na półce w sypialni leży szary bawełniany dres. Jest na tyle duży, że będzie pasował i na razie ci wystarczy. Kiedy przyjadę, żeby zabrać cię do szpitala na następne badanie, przywiozę parę innych rzeczy.

— I to wszystko? Nie zostawiasz mi żadnego dowodu tożsamości?

— Buchanan, nie chcemy, żebyś udowadniał swoją nową tożsamość. Ani w ogóle, żebyś musiał to robić. Nie chcemy, żeby Don Colton opuszczał to mieszkanie. Nie chcemy, żeby spacerował po

okolicy albo chodził do restauracji czy domów towarowych wymachując swoimi dokumentami. Don Colton jest niewidzialny. Mieszka w tym bloku od lat i nikt go nie zna. Po prostu bardzo dużo podróżuje. Tak więc jeśli nie będziesz stąd wychodził, to nikt nie będzie cię niepokoił, a jeśli już o tym mowa, to nie chcemy, żebyś i ty kogokolwiek niepokoił. Czy to jasne?

Buchanan skrzywił się lekko.

— Tak, jasne.

— Nie chcemy nawet, żebyś zamawiał sobie pizzę.

— Powiedziałem, że rozumiem. Zresztą jak niby miałbym zamówić sobie pizzę? Prawie nie mam pieniędzy.

— To dobrze.

Mężczyzna chwycił walizeczkę i ruszył w stronę drzwi.

— Czy jestem w izolacji ?

— Do czasu, kiedy ocenimy szkody powstałe w Cancun, Meridzie i Fort Lauderdale — rzekł Alan nie zatrzymując się. — Powiedziałeś mi wcześniej, że poprosiłeś o przerwę w pracy, gdybyś uważał, że jej potrzebujesz. Powiedziałeś, że nikt nie rezygnuje z urlopu. — Dotarł do drzwi, przekreślił zasuwkę i spojrzał na Buchanana. — Cóż, właśnie go dostałeś. Byłeś w akcji przez długą chwilę. Osiem lat. Bardzo długą chwilę. Czas na odpoczynek.

— A jeśli nie mam ochoty odpoczywać?

Mężczyzna chwycił za klamkę.

— Coś mi tu nie pasuje, Buchanan.

— Co?

— Powiedziano mi, że jesteś fanatykiem w kwestii budowania fałszywych osobowości.

— To prawda.

— Prawdziwym aktorem. Wymyślasz szczegółową historię dla każdej ze swoich postaci. Ubierasz się, jesz i czasem nawet chodzisz tak, jak uważasz, że robiłaby to dana osoba. Nadajesz każdej z nich indywidualny charakter.

— To też prawda. Całkowite wczucie się w daną postać pozwala mi przeżyć.

— Jasne. Tylko że powiedziano mi również, że byłeś gotów urwać głowę każdemu, kto użyłby wobec ciebie twojego prawdziwego nazwiska. Ale ja właśnie to zrobiłem i robiłem to przez cały czas, od kiedy tu jestem. Czemu nie nalegałeś, żebym nazywał cię Donem Coltonem?

— Nie ma w tym nic dziwnego. Dopóki nie otrzymam dokumentów i życiorysu Dona Coltona, nie mogę się nim stać. Nie znam osobowości, którą mógłbym przybrać.

— Cóż, w takim razie powinieneś nalegać, żebym nazywał cię Victorem Grantem.

— To niemożliwe.

— Nie rozumiem.

— Nie możesz nazywać mnie Victorem Grantem. Nie zareagowałbym.

— Dlaczego?

— Ponieważ Victor Grant nie żyje.

Buchanana przeszył zimny dreszcz, gdyż zrozumiał nagle znaczenie tego, co właśnie powiedział.

Mężczyzna, który nazywał siebie Alanem, również pojmował to znaczenie bardzo dobrze.

— Tak jak powiedziałeś, jesteś w izolacji. — Nacisnął na klamkę i otworzył drzwi. — Nie ruszaj się nigdzie. Skontaktuj się z tobą.

## 5

Buchanan oparł się o zamknięte drzwi i pomasaował pulsujące bólem skronie. Wydarzyło się tak wiele złego, że nie wiedział, od czego zacząć.

Spróbuj od tego, dlaczego skłamałeś na temat paszportu i dlaczego nie powiedziałeś mu, że masz broń.

Nie chciałem ich stracić. Nie ufałem mu.

Cóż, tu akurat miałeś rację. Czymkolwiek była ta rozmowa, na pewno nie chodziło o przekazanie raportu. Facet nie zadał ci ani jednego pytania na temat tego, co robiłeś. I nie dał ci nowych dokumentów. Zostawił cię na łodzi. Bardziej przypominało to przesłuchanie, tyle że nie padły żadne pytania, które nie dotyczyłyby...

Pocztówki.

Podszedł do kontuaru w kuchni i nalał sobie kolejną szklaneczkę whisky z wodą. Pociągnął spory łyk, czując, jak mięśnie policzków twardnieją mu z napięcia.

Pocztówka.

Tak, paszport nie był jedyną rzeczą, na temat której skłamałeś. O co chodzi? Dlaczego nie powiedziałeś mu prawdy?

Bo był zbyt zaintrygowany.

W zeszłym tygodniu przyszła pocztówka dla człowieka, którym byłeś przed sześciu laty i który nie istnieje. To zwraca uwagę. Nic dziwnego, że chcą wiedzieć, co się dzieje. Tu i teraz pojawia się nagle jakiś fakt z jednej z twoich przeszłości, fakt stanowiący być może zagrożenie dla operacji. Dlaczego mu nie powiedziałeś?

Bo nie mam pewności. Gdybym wiedział, co się dzieje, może bym mu powiedział.

Bzdury. Prawda jest taka, że się boisz.

W żadnym wypadku.

Ależ tak. Jesteś przestraszony i nie wiesz, co robić. Nie myślałeś o niej ani razu przez cały ten czas. Zmusiłeś się, żeby o niej nie myśleć. A teraz nagle, bum, ona wyskakuje jak diabełek z pudełka, a ty nie wiesz, jak sobie z tym poradzić. Ale jedno jest pewne — nie chcesz, żeby oni mieli z nią cokolwiek do czynienia.

Spojrzał na swoją szklanekę whisky, poruszony w najwyższym stopniu.

## 6

*Oto pocztówka, o której nie myślałam, że ją kiedykolwiek wyślę.*

Była wściekła tego wieczora, kiedy postanowiła, że nigdy więcej nie chce go już widzieć. Powiedziała mu, żeby nie próbował się z nią skontaktować, a jeśli kiedykolwiek będzie go potrzebowała, to wyśle mu pieprzoną pocztówkę.

*Mam nadzieję, że twoja obietnica była poważna.*

Powiedział jej, że gdy tylko go poprosi, on zjawi się bez względu na okoliczności.

*Ostatnie miejsce i czas.*

Pamiętał tak dobrze datę ich rozstania z powodu tego, co działo się dookoła nich, kostiumy, muzyka — 31 października, święto Halloween. Zbliżała się północ, byli w Cafe du Monde w Nowym Orleanie.

*Liczę na ciebie. PROSZĘ.*

Wielkimi literami? Równie dobrze mogła napisać, że go błaga.

To do niej niepodobne.

Jest w tarapatkach.

Patrząc wciąż na szklanekę z whisky wyobraził sobie, w jakim napięciu musiała pisać tę kartkę. Może miała tylko kilka sekund na to, żeby zawrzeć wszystkie istotne informacje mając nadzieję, że on je zrozumie, mimo że się nie podpisała.

Nie chce, żeby ktokolwiek poza nią wiedział, gdzie będzie i kiedy.

Jest przerażona.

## 7

Mężczyzna, który przedstawił się jako Alan, opuścił mieszkanie Buchanana i usłyszawszy szcęk zasuwki ruszył po grubej zielonej wykładzinie wzdłuż słabo oświetlonego korytarza. Był zadowolony, że nie zauważył go żaden z sąsiadów. Tak jak Buchanan zrezygnował z windy i użył schodów ewakuacyjnych — mniejsza szansa na spotkanie kogokolwiek. Jednak zamiast wyjść prosto na ulicę, ruszył piętro wyżej, poczekał na schodach usłyszawszy jakieś głosy, a gdy już zniknęły we wnętrzu windy, pobiegł szybko korytarzem, by za chwilę dotrzeć do drzwi mieszkania znajdującego się bezpośrednio nad apartamentem Buchanana. Zapukał dwa razy, odczekał chwilę, zapukał ponownie, usłyszał szcęk zamka i wszedł szybko.

W mieszkaniu panował półmrok. Nie mógł stwierdzić, kto jest w środku, ani dostrzec szczegółów umeblowania. Nie zobaczyłby tego również ktoś przechodzący akurat korytarzem. Jednak kiedy tylko drzwi zamknęły się za nim, usłyszał pstryknięcie kontaktu i salon zalany został światłem. Ewentualnemu obserwatorowi z zewnątrz widoczność zasłaniały ciężkie kotary w oknach.

W pomieszczeniu znajdowało się pięć osób. Wysoki, szczupły mężczyzna o surowej twarzy i bardzo krótkich siwiejących włosach wyglądał na najważniejszą z nich. Chociaż miał na sobie zwykły niebieski garnitur, trzymał się po wojskowemu i nawet w trakcie prywatnych spotkań nigdy nie zwracano się do niego po imieniu, zawsze tytułując go pułkownikiem.

Następny stopniem był młodszy mężczyzna, koło czterdziestki, bardziej muskularny. Miał na sobie ciemnożółte spodnie i brązowy blezer. Major Putnam.

Obok niego siedziała piękna blondynka po trzydziestce w ciasnej bluzce opinającej wspaniałe piersi. Kapitan Weller.

Reszty dopełniali dwaj strażnicy w cywilnych ubraniach, z których jeden wpuścił Alana i zamknął za nim drzwi. Strażnicy widzieli go poprzednio tuż przed wizytą w mieszkaniu Buchanana, więc nie musieli nic sprawdzać. W gruncie rzeczy ledwie na niego spojrzeli wracając zaraz do pilnowania drzwi.

Pułkownik, major i kapitan też nie zwrócili na Alana większej uwagi. Po szybkim zerknięciu w jego stronę ponownie skoncentrowali się na obserwowaniu ściany monitorów pokazujących



wnętrze mieszkania Buchanana. Na długim stole stał rząd włączonych magnetowidów, nagrywających wszystko, co działo się w poszczególnych pokojach. Na innym stole pracowało kilka magnetofonów. Z wyjątkiem tapczanu i dwóch odsuniętych pod ścianę krzeseł, urządzenia elektroniczne stanowiły jedyne wyposażenie pokoju. Nic więc dziwnego, że pułkownik kazał gasić większość światel, kiedy drzwi na korytarz były otwierane — nie chciał, żeby ktokolwiek zobaczył to niezwykle wnętrze.

Mężczyzna, podając się za Alana, postawił walizeczkę obok pudełka z pączkami i parującego dzbanka z kawą na kontuarze dzielącym kuchnię i salon. W mieszkaniu nie było żadnych popielniczek — pułkownik nie pozwalał palić. Nikt nie znalazłby też pogniecionych serwetek, resztek jedzenia i zużytych plastikowych kubków — szef wymagał bowiem absolutnej czystości.

— Co robił od czasu, kiedy wyszedłem? — zapytał Alan. Pytanie nie było skierowane do konkretnej osoby, lecz rzucone w przestrzeń i nie był pewien, czy uzyska na nie odpowiedź. Jako jedyny cywil w pokoju, nie czuł się w obowiązku używać wojskowych tytułów. W gruncie rzeczy miał już po dziurki w nosie tych wywyższających się typów z Operacji Specjalnych.

Po chwili odpowiedziała mu kapitan Weller nie odrywając wzroku od telewizyjnych ekranów.

— Oparł się o drzwi. Pomasował skronie. Zdaje się, że boli go głowa. Poszedł do kuchni. Nalał sobie kolejnego drinka.

— Jeszcze jednego? — rzekł Alan z dezaprobatą.

To sprawiło, że drugi co do starszeństwa, major Putnam, odwrócił się w jego stronę.

— Nie ma w tym nic niezwykłego. Alkohol jest jednym z jego sposobów na rozbrajanie przeciwników. Jeśli nie będzie utrzymywał odpowiedniego poziomu tolerancji, wytrąci sobie broń z ręki.

— Nigdy o czymś takim nie słyszałem — odparł Alan sceptycznie. — Gdybym sam tylko odpowiadał za niego, byłbym zaniepokojony, lecz z drugiej strony ta grupa od początku była mocno niekonwencjonalna, prawda?

To z kolei sprawiło, że odwrócił się pułkownik.

— Proszę nie traktować nas protekcjonalnie.

— Nie robię tego. Zwracam tylko uwagę na kwestie kontroli.

— Uwaga została odnotowana. Jeśli skończy tego drinka i naleje sobie następnego, będę się martwił.

— Świetnie. Zresztą i tak mamy już wystarczająco wiele powodów do zmartwienia. Jak oceniacie sesję, którą przeprowadziłem?

Ruch na jednym z monitorów przykuł uwagę wszystkich. Ponownie spojrzeli na ekrany.

Buchanan wyszedł z drinkiem z kuchni.

Na następnym czarno-białym monitorze pojawił się w salonie i opadł na sofę, kładąc nogi na stoliku do kawy, odchylając się do tyłu i masując czoło zroszoną wilgocią szklanką.

— Tak, bez wątplenia boli go głowa — rzekł Alan.

— A może jest tylko zmęczony stresem i podróżą — powiedziała kobieta.

— Następane badanie USG powie nam, co dzieje się w jego głowie — rzekł Alan.

Kobieta odwróciła się w jego stronę.

— To znaczy w jego mózgu. Nie w umyśle.

— Dokładnie. To właśnie miałem na myśli. Pytałem was, co sądzicie o mojej sesji z nim?

— Jego wyjaśnienie na temat paszportu było rozsądne — rzekł major. — Na jego miejscu być może nie pozbyłbym się go, ale pewnie właśnie dlatego nie jestem na jego miejscu. Nie potrafię tak jak on wcielić się w różne postacie. Zniszczony przez wodę paszport, potwierdzający jego tożsamość bez zdradzania źródła pochodzenia dokumentu, uprawdopodobniłby śmierć Victora Granta.

— Tyle że paszportu nigdy nie znaleziono — odparł Alan.

— Przypadek.

— Nasze opinie się różnią. Zostawmy jednak tę kwestię na później. A pocztówka?

— Tu też uważam, że jego wyjaśnienie było przekonujące — rzekł major.

— Cóż za ufność — powiedział kwaśno Alan. — Zaczynam tracić cierpliwość. Jeśli chcieliście go wybielić, to po co mnie tu ściągaliście? Mam żonę i dzieci, które zastanawiają się, jak właściwie wyglądam.

— Wybielić? — powtórzył pułkownik głosem zimnym jak stal. — To ja zaczynam tracić cierpliwość. Człowiek, którego obserwujemy na tych monitorach, człowiek, z którym pan rozmawiał, jest bez wątpienia najlepszym tajnym agentem, jakiego kiedykolwiek miałem zaszczyt prowadzić. Wcielał się w więcej fałszywych postaci, pokonał więcej przeszkód, wypełnił więcej śmiertelnie niebezpiecznych misji i żyje dłużej niż jakikolwiek inny specjalista od tajnych operacji, o jakim słyszałem. Jest jedyny w swoim rodzaju i dlatego z największym żalem myślę o jego likwidacji.

Aha, pomyślał Alan, w końcu. Wreszcie zaczynamy się do tego zbliżać. Wskazał na strażników.

— Jest pan pewny, że powinniśmy rozmawiać o czymś tak poważnym przy...

— Oni są lojalni.

— Tak jak Buchanan.

— Nikt nie kwestionuje lojalności Buchanana. To nie jego wina, że został zdekonspirowany. Nikt nie mógł przewidzieć, że ktoś, kogo znał w Kuwejcie i Iraku, wejdzie do tej restauracji w Cancun, gdy będzie rozmawiał z tymi dwoma handlarzami narkotyków. Największy koszmar tajnego agenta — przypadkowy znajomy powodujący zderzenie dwóch fikcyjnych tożsamości. I nikt nie mógł przewidzieć, że Bailey będzie aż tak uparty, że zacznie zbierać dowody ukazujące Buchanana jako trzy różne osoby. Boże, zdjęcia. Gdyby tylko ten sukinsyn nie zaczął robić zdjęć.

Zwłaszcza tobie, pomyślał Alan.

To, co pułkownik powiedział chwilę później, zdawało się stanowić odpowiedź na przypuszczenie Alana.

— Przyznaję się do pomyłki. Dlatego właśnie prosiłem, żeby go pan przesłuchał. Nigdy więcej nie dopuszczę do osobistego kontaktu między mną a nim, lecz co się stało, to się nie odstanie, a pańscy ludzie również popełnili błędy. Gdybyśmy mieli czas w Fort Lauderdale, ściągnąłbym własną grupę inwigilującą. A tak musiałem polegać na... Pańscy ludzie zapewnili mnie, że znaleźli pokój hotelowy Baileya i skonfiskowali wszystkie zdjęcia.

— Zgadza się, mnie również o tym poinformowano — rzekł Alan.

— Te informacje były błędne. Nie znaleziono żadnych zdjęć Buchanana ze mną. A zanim zdążyliśmy przesłuchać Baileya, wybuchła bomba ukryta w plastikowej torbie.

— Takie były rozkazy — nie poddawał się Alan. — Nadajnik w ścianie torby zaprowadził grupę do Baileya po przekazaniu mu pieniędzy. Potem materiał wybuchowy C-4 miał być zdetonowany za pomocą zdalnego sterowania. Bailey miał zamilknąć na zawsze.

— Upraszcza pan wszystko, żeby usprawiedliwić porażkę. Zgodnie ze szczegółowym rozkazem mieliście poczekać na wypadek, gdyby Bailey spotkał się z kobietą, która mu pomagała. C-4 wybrano, żeby można było zająć się obydwójgiem.

— Gdyby się spotkali — rzekł Alan z naciskiem. — Ale jeśli Bailey zapłacił jej już wcześniej i nie miał zamiaru spotykać się z nią więcej? Albo gdyby zabrał pieniądze i porzucił torbę?

— Przyznaje pan zatem, że pańscy ludzie działali wbrew rozkazom przeprowadzając akcję zbyt wcześnie.

Alan nie odpowiedział.

— Słucham — rzekł pułkownik.

— Prawda jest taka, że nikt nie działał wbrew rozkazom. Bomba wybuchła sama.

— Co?

— Specjalista, który konstruował ładunek, sądził, że ustawia zapalnik na częstotliwość nie używaną na tamtym terenie. W gruncie rzeczy bomba miała być zdetonowana za pomocą dwóch różnych, mało używanych częstotliwości, z których jedna miała uzbroić ładunek, a druga wywołać eksplozję. Ale wszystkie te łodzie w Fort Lauderdale! Wszystkie te krótkofalówki! Najwyraźniej nie ma tam żadnych mało używanych częstotliwości.

— Boże — powiedział pułkownik. — Bomba mogła wybuchnąć, zanim jeszcze Buchanan przekazał torbę Baileyowi.

— Nie wiem, dlaczego miałyby to pana niepokoić. Zaledwie przed chwilą mówił pan o możliwości zlikwidowania Buchanana.

Pułkownik zdawał się nie rozumieć. A potem nagle pojął.

— Zlikwidowania nieodwołalnego, tak? Co się z panem dzieje? Myśli pan, że wydałbym rozkaz zabicia jednego z moich ludzi, oficera, który służył mi wiernie przez wiele lat?

— Jego wierność nie została dowiedziona. — Alan wskazał na jeden z ekranów, ukazujący białą — czarną sylwetkę Buchanana leżącego na sofie z zamkniętymi oczami, zatroskanego, z wilgotną szklanką whisky przyłożoną do zmarszczonego czoła. — Nie jestem przekonany, czy mówił prawdę, kiedy z nim rozmawiałem.

— Myśli pan o paszporcie?

— Nie. O pocztówce. To ona mnie niepokoi. Myślę, że coś ukrywał. Mam wrażenie, że mnie okłamał.

— Dlaczego miałby to zrobić?

— Nie jestem pewien, lecz sam pan przyznaje, że działał w ukryciu, pod wieloma pseudonimami, niezwykle długo. Przeżył potężny fizyczny szok w Meksyku. Nadal wyraźnie cierpi na ból głowy. Może grozi mu załamanie. Gdzieś znajdują się jego zdjęcia z panem, których nie możemy znaleźć. Poza tym jest kobieta, która widziała Bailey'a z Buchananiem i pana z nim. Dużo luźnych końców. Jeśli Buchanan się zdekonspirował, jeśli ma zamiar pęknąć, cóż, obaj wiemy, że nie potrzeba nam kolejnego Hasenfusa.

Alan mówił o byłym żołnierzu piechoty morskiej Eugene Hasenfusie, który w roku 1986 został zestrzelony, gdy pilotował samolot wypełniony bronią dla popieranych przez USA oddziałów *contras* w marksistowskiej Nikaragui. Przesłuchiwany przez sandinistowskie władze, wygadał się na temat udziału CIA w całej akcji i wywołał skandal polityczny, mówiąc otwarcie o kierowanej przez Biały Dom tajnej wojnie w Nikaragui. Ponieważ do zaangażowania Hasenfusa posłużono się pośrednikami, Agencja mogła wyprzeć się wszystkiego. Pomimo to zainteresowanie Kongresu i mediów działaniami Agencji mogło mieć katastrofalne skutki.

— Buchanan nigdy nie zacząłby gadać — rzekł pułkownik. — Nigdy nie naraziłby nas na niebezpieczeństwo.

— To samo zapewne mówiono, kiedy wynajmowano Hasenfusa.

— Nigdy do czegoś takiego nie dojdzie — powtórzył pułkownik. — Podjąłem już decyzję. Na razie unieruchamiam Buchanana. Wypuścimy go powoli, żeby nie przeżył szoku. A może zgodzi się zostać i szkolić innych. Ale jego dni jako tajnego agenta już się skończyły.

— Jutro, kiedy zabiorę go na następne USG...

— Do czego pan zmierza? — przerwał mu pułkownik.

— Chciałbym podać mu amytal sodu, a następnie przesłuchać go na temat tej pocztówki.

— Nie.

— Ale...

— Nie — powtórzył pułkownik. — To mój agent i wiem, jak by zareagował, gdybyśmy użyli narkotyku. Poczulby się zagrożony, zdradzony, poniżony. Wtedy mielibyśmy problem. Najszybszym sposobem na uczynienie kogoś nielojalnym jest traktowanie go tak, jakby był nielojalny.

— A zatem nalegam, żeby przynajmniej obserwować go przez dwadzieścia cztery godziny na dobę — rzekł Alan. — Jest w nim coś, co nie daje mi spokoju. I wciąż nie mogę przestać myśleć o tej pocztówce.

— Obserwować go? — Pułkownik wzruszył ramionami i odwrócił się ku monitorom, patrząc na czarno — białą postać Buchanana, leżącego na sofie z zamkniętymi powiekami, jakby miał migrenę, ze szklanką whisky przyciśniętą do czoła. — Z tym nie ma problemu. W końcu nic innego nie robimy.

## 8

Podczas rozmowy poprzedniego wieczoru Buchanan nie zauważył zrazu, że przysadzisty mężczyzna w brązowej kurtce w szachownicę posłużył się jego prawdziwym nazwiskiem. Jednak gdy tylko zwrócono mu na to uwagę, gdy tylko pojął, że jest zawieszony w próżni pomiędzy różnymi osobowościami, sprawa nazwiska zaczęła go niezmiernie niepokoić. Buchanan do tego stopnia identyfikował się z kolejnymi postaciami, że rzadko w ciągu ostatnich ośmiu lat myślał o sobie jako o Buchananie. Byłoby to sprzeczne z jego zasadami. On nie tylko udawał tych ludzi. Był nimi. Musiał nimi być. Najmniejsza luka w charakterystyce postaci mogła go zgubić. Swoje prawdziwe nazwisko wymazał ze świadomości do tego stopnia, że gdyby ktoś zawołał go tak nieoczekiwanie z tyłu — nie odwróciłby się. Nie działało tu żadne przyzwyczajenie. Jego nazwisko wydawało mu się po prostu obce.

Teraz, gdy Alan wiozł go na badanie do szpitala, Buchanan kulił się wewnętrznie za każdym razem, gdy słyszał swoje prawdziwe nazwisko. Alan powtarzał je często i zapewne umyślnie. Czuł się wówczas jak wtedy, gdy po raz pierwszy zaprosił dziewczynę na tańce, po raz pierwszy usłyszał swój głos na taśmie magnetofonowej, po raz pierwszy się kochał. Wątpliwości i zaciekawienie związane z tymi doświadczeniami były jednak pozytywne, podczas gdy skrępowanie wywołane dźwiękiem własnego nazwiska przynosiło negatywne uczucie strachu. Czuł się obnażony, bezbronny, słaby. Nie nazywaj mnie tak. Są ludzie, którzy zabiją mnie, jeśli dowiedzą się, kim naprawdę jestem.

Dojechali do prywatnej, kontrolowanej zapewne przez pracodawców Buchanana kliniki w Fairfax w stanie Wirginia i Buchanan przeraził się ponownie, gdyż przydzielony mu lekarz również nie przestawał mówić do niego po nazwisku.

Jak się pan miewa, panie Buchananie? Czy wciąż boli pana głowa, panie Buchananie? Muszę zrobić panu kilka badań, panie Buchananie. Doskonałe wyniki, panie Buchananie. Pielęgniarka zabierze pana na USG, panie Buchananie.

Chryste, nie zatroszczyli się, żeby dać mi choćby byle jaką tożsamość. Mógłbym być zwykłym Johnem Smithem. Nie potrzebowałbym nawet dokumentów. Pierwszy z brzegu pseudonim spełniłby swoje zadanie. Ale na karcie, którą lekarz trzyma w ręce, widnieje moje prawdziwe nazwisko. Rozumiem, że chcieli ochronić pseudonim Dona Coltona. Ale ja nie musiałem być akurat nim. Mogłem użyć jakiegokolwiek nazwiska. A tak ktoś może odkryć, że wydruki USG Buchanana i Victora Granta należą do tej samej osoby.

Lekarz skończył oglądać zdjęcie i odwrócił się.

— Dobre wiadomości. Siniak zmniejszył się wyraźnie, panie Buchanan.

Jeśli nazwie mnie tak jeszcze raz...

— I nie ma śladów uszkodzeń neurologicznych. Drżenie prawej ręki ustąpiło. Jestem skłonny wyjaśnić poprzednie symptomy szokiem wywołanym postrzałem w ramię.

— A co z moim bólem głowy?

— Po wstrząsie ból może utrzymywać się przez dłuższy czas. To nie jest niepokojące.

— Cóż, to nie pana głowa.

Lekarz zignorował żart.

— Mogę przepisać panu coś przeciwbólowego, jeśli pan chce.

— Coś z ostrzeżeniem: „Nie prowadzić samochodu i nie używać ciężkich narzędzi podczas przyjmowania tego leku”?

— Zgadza się.

— Dziękuję, przestaną na aspirynie.

— Jak pan woli. Proszę wrócić za tydzień — to będzie drugi listopada — przeprowadzimy kolejne badanie. Na razie proszę zachować ostrożność. Nie walić w nic głową. Jeśli pojawią się jakieś problemy, proszę dać mi znać.

Problemy, pomyślał Buchanan. Na ten rodzaj problemów, które mam, i tak nic byś nie poradził.

## 9

*Oto pocztówka, o której nie myślałam, że ją kiedykolwiek wyślę.*

## 10

— Czy powiesz mi, co się właściwie dzieje? — zapytał Buchanan, gdy jechali wzdłuż Little River Turnpike z Fairfax z powrotem do Alexandrii. Dzień był szary, na przednią szybę padały drobne krople październikowej mżawki.

Alan zerknął na Buchanana, a potem odwrócił wzrok, koncentrując się najeździe. Włączył wycieraczki.

— Nie bardzo rozumiem, o czym mówisz.

— Dlaczego zostałem zdekonspirowany?

Gdy mżawka przeszła w deszcz, Alan włączył odmrażacz przedniej szyby.

— Zdekonspirowany? Dlaczego sądzisz, że...

Buchanan spojrzał na niego.

Alan włączył przednie światła.

— Nie zostało już zbyt wiele rzeczy, którymi mógłbyś się zająć, żeby uniknąć odpowiedzi na pytanie — rzekł Buchanan. — Co masz zamiar teraz zrobić? Włączyć radio i zacząć zmieniać stacje? Zatrzymać się i dolewać oleju?

— Nie rozumiem, o czym mówisz, Buchanan.

— Właśnie o tym. O moim nazwisku. Po raz pierwszy od ośmiu lat ludzie używają go otwarcie. Jestem umyślnie zdekonspirowany. Dlaczego?

— Powiedziałem ci wczoraj wieczorem. Czas na odpoczynek.

— To nie usprawiedliwia łamania podstawowych zasad.

— Ten lekarz pracuje dla nas.

— Było to niepotrzebne pogwałcenie zasad — powtórzył Buchanan. — Facet na pewno nie musiał wiedzieć, kim naprawdę jestem, żeby zrobić mi USG. Wspomniał też o postrzale w ramię, choć nie oglądał rany, a ja mu o tym nie mówiłem. Więc czego jeszcze się od was dowiedział? W jakich okolicznościach zostałem postrzelony?

— Oczywiście, że nie.

— Jasne. Pewnie. To nie jest tylko odpoczynek. Ani zwykłe odosobnienie. Pozbywacie się mnie na dobre. Czy mam rację?

Alan zjechał na lewy pas.

— Zadałem ci pytanie. Czy jestem zwalniany?

— Nic nie trwa wiecznie, Buchanan.

— Przestań mnie tak nazywać.

— To jak mam cię nazywać? Sądzisz, że kim ty, u diabła, właściwie jesteś?

Buchanana bolała głowa. Nie znał odpowiedzi na to pytanie.

— Agent o twoim talencie i doświadczeniu mógłby wiele zdziałać szkoląc młodszych — powiedział Alan.

Buchanan nie odpowiedział.

— Czy oczekiwałeś, że przez całe życie będziesz pracował jako tajny agent?

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

— Daj spokój. Jakoś nie mogę w to uwierzyć.

— Mówię poważnie. Naprawdę nigdy o tym nie myślałem. Nigdy nie zdarzyło mi się wyjść z roli, nawet w myślach. Jeśli jako głęboko zakonspirowany agent zaczynasz planować sobie przyszłą emeryturę — pojawiają się błędy. Zapominasz, kim masz być. To najlepszy sposób załatwienia sobie wczesnej śmierci i utraty emerytury, którą się planowało.

— Cóż, teraz lepiej o tym pomyśl.

Ból głowy przybierał na sile.

— Dlaczego tak ze mną postępujecie? Nie spieprzyłem zadania. To wszystko stało się nie z mojej winy. Reagowałem bezbłędnie. Operacja nie została zagrożona.

— Prawda, ale niewiele brakowało.

— Ale też nie z mojej winy — odparł Buchanan.

— Nie mówimy tu o winie. Dyskutujemy na temat tego, co się stało i co mogło się stać. Może zaczyna brakować ci szczęścia. W każdym razie masz już trzydzieści dwa lata. W tej grze to wiek bardzo zaawansowany. Osiem lat? Chryste, to zdumiewające, że jeszcze żyjesz. Czas dać sobie spokój.

— Fakt, że jeszcze żyję, dowodzi, jak jestem dobry. Nie zasłużyłem na...

Deszcz wzmagął się, krople bębniły o dach samochodu. Wycieraczki pracowały z trudem.

— Czy widziałeś kiedykolwiek swoje akta?

Pomimo bólu Buchanan potrząsnął głową.

— A chciałbyś?

— Nie.

— Portret psychologiczny pozwala wiele zrozumieć.

— Nie jestem ciekaw.

— Masz coś, co nazywa się „osobowością rozszczepialną”.

— Powiedziałem ci, że mnie to nie interesuje.

Alan ponownie zmienił pasmo ruchu, utrzymując prędkość pomimo deszczu.

— Nie jestem psychologiem, ale ten portret wydał mi się sensowny. Nie lubisz siebie samego. Robisz wszystko, co możesz, żeby nie być sobą. Odłączasz się. Identyfikujesz z otaczającymi cię ludźmi i przedmiotami. Obiektywizujesz... Rozszczepiasz się.

Buchanan ze zmarszczonym czołem obserwował pędzące w deszczu samochody.

— W normalnym społeczeństwie to uwarunkowanie byłoby ciężarem — ciągnął mężczyzna. — Jednak twoi przełożeni zdali sobie sprawę, jaki klejnot mają w rękach, kiedy komputer wyłonił twoją kandydaturę w odpowiedzi na ich pytanie. Już w szkole średniej zdradzałeś talent — by nie powiedzieć obsesję — grania. W Benning and Bragg twoi dowódcy z Operacji Specjalnych dawali ci najlepsze noty za sprawność w walce. Biorąc pod uwagę owo pęknięcie w twojej osobowości, żeby zostać prawdziwym agentem, musiałeś jeszcze tylko przejść specjalistyczne szkolenie na Farmie.

— Nie chcę słyszeć ani słowa więcej — rzekł Buchanan.

— Jesteś idealnym tajnym agentem. Nic dziwnego, że mogłeś przybierać fałszywe tożsamości przez osiem lat z rządu, a twoi przełożeni myśleli, że jesteś w stanie to robić bezkarnie. Ale, do diabła, wreszcie nastąpiła katastrofa. Działanie w konspiracji było dla ciebie sposobem leczenia. Nienawidziłeś siebie tak bardzo, że zrobiłbyś wszystko, i wszystko wycierpiał, byle tylko móc nie być sobą.

Buchanan spokojnie wyciągnął rękę i chwycił prawy łokieć Alana.

— Hej — powiedział Alan.

Środkowy palec Buchanana znalazł właściwy nerw.

— Hej — powtórzył Alan.

Buchanan nacisnął.

Alan krzyknął. Szarpnął się pod wpływem bólu i samochód zarzucił tylnymi kołami na mokrym, śliskim asfalcie. Kierowcy jadący z tyłu i na sąsiednim pasie skręcili zaskoczeni, trąbiąc gniewnie.

— Umówmy się — powiedział Buchanan — albo się zamkniesz, albo poczujesz, co znaczy utrata kontroli nad samochodem jadącym z prędkością stu kilometrów na godzinę.

Alan, błąd ze strachu, z czołem mokrym od potu, odzyskał panowanie nad pojazdem i pokiwał głową.

— Świetnie — rzekł Buchanan. — Wiedziałem, że dojdziemy do porozumienia. — Puścił jego łokieć i usiadł sztywno, patrząc prosto przed siebie.

Alan wymamrotał coś pod nosem.

— Co? — spytał Buchanan.

— Nic.

— Tak myślałem.

Ale usłyszał, co powiedział Alan. „Z powodu twojego brata”.

## 11

— Co teraz robi? — zapytał Alan wchodząc do mieszkania nad apartamentem Buchanana.

— Nic — odparł major Putnam. Pociągnął łyk kawy z plastikowego kubka i dalej patrzył na ekrany monitorów. Znowu miał na sobie cywilne ubranie.

— Musi przecież coś robić. — Alan rozejrzał się po mieszkaniu. Nie było pułkownika ani kapitan Weller.

— Nie — rzekł major Putnam. — Nie robi nic. Kiedy wrócił, oczekiwałem, że należy sobie drinka, pójdzie do łazienki, zacznie czytać, robić gimnastykę, cokolwiek. Ale on tylko usiadł na sofie. To wszystko. Nie robił nic więcej od czasu, kiedy się z nim rozstałeś. Nic.

Alan podszedł do rzędu monitorów. Masując prawy łokieć, gdyż ciągle dokuczał mu nerw uciśnięty przez Buchanana, spojrział marszcząc brwi na czarno-białą sylwetkę Buchanana siedzącego na sofie.

— Boże — powiedział.

Agent siedział wyprostowany, nieruchomy, z surową miną i wpatrywał się z napięciem w krzesło przed sobą.

— Boże — powtórzył Alan. — To katatonia. Czy pułkownik wie o tym?

— Dzwoniłem do niego.

— I?

— Mam obserwować go dalej. O czym rozmawialiście? Kiedy wrócił, wyglądał, jakby...

— Chodzi o to, o czym nie rozmawialiśmy.

— Nie rozumiem.

— O jego brata.

— Chryste — rzekł major. — Wiesz przecież, że to temat tabu.

— Chciałem poddać go testowi.

— Cóż, najwyraźniej uzyskałeś reakcję.

— Tak, ale nie tę, którą chciałem.

## 12

Buchananowi przypomniła się stara historia o osiołku, który stojąc między dwoma identycznymi żłobami z sianem — umarł z głodu, gdyż nie potrafił dokonać wyboru.

Historia — która nie mogła zdarzyć się w realnym świecie — stanowiła teoretyczny sposób zilustrowania problemu wolnej woli. Możliwość wyboru, którą większość ludzi uznaje za naturalną, zależna jest od pewnych warunków, bez nich zaś człowiek może stać się bezwolny, tak jak bezwolny stał się teraz Buchanan.

Jego brat.

Buchanan tak usilnie pracował nad wymazaniem tego wspomnienia, że przez ostatnie osiem lat udawało mu się nie dopuszczać do świadomości wydarzenia, które uwarunkowało jego zachowanie. Ani razu nie rozmyślał na ten temat. W rzadkich chwilach słabości, późno w nocy, zmęczony, wyczuwał czasem koszmar czający się w mrokach jego podświadomości, groźny, gotów do skoku. Wtedy używał całej siły woli, żeby wznieść mur zapomnienia.

Nawet teraz, pozbawiony możliwości obrony, obnażony, był na tyle wściekły, że wspomnienie docierało do niego tylko w ogólnych zarysach, bez szczegółów.

Jego brat.

Jego wspaniały brat.

Dwunastoletni.

Kochany Tommy.

Nie żyje.

I to on go zabił.

Buchanan miał wrażenie, że jest uwięziony pod lodem. Nie mógł się poruszyć. Siedział na sofie, a jego nogi, plecy, ramiona były odrętwiałe, całe ciało zimne, sparaliżowane. Gapił się na krzesło przed sobą, nie widząc go, ledwie świadom upływającego czasu.

Piąta.

Szósta.



Siódma.

W pokoju panowały ciemności. Buchanan patrzył dalej, nic nie widząc.

Tommy nie żył.

I to on go zabił.

Krew.

Chwycił nadziane na pal ciało Tommy'ego próbując go uwolnić.

Policzki brata były przeraźliwie blade. Zamiast powietrza zdawał się wydychać bąbelki śliny. Jęk stał się płynny, jakby płukał gardło. Ale w jego gardle nie było wody z solą. Była w nim...

Krew.

— Boli. Tak bardzo boli.

— Tommy, o Boże. Przepraszam. Nie chciałem tego zrobić. Popchnij go.

To tylko zabawa.

Nie myślałem, że straci równowagę i spadnie.

Nie wiedziałem, że w dziurze coś było.

Plac budowy. Letni wieczór. Dwaj bracia na wyprawie.

— Tak bardzo boli.

— Tommy!

— Już nie boli.”

— Tommy! Tyle krwi.

Buchanan miał wtedy piętnaście lat.

Wciąż nieruchomy, siedząc sztywno na sofie, patrząc w ciemność, Buchanan poczuł, jakby część jego pamięci szarpała się, próbując odgonić straszliwe wspomnienie. Chociaż było mu zimno, czoło miał mokre od potu. To za wiele, pomyślał. Nie rozpamiętywał tych szczegółów od czasu dni i nocy przed pogrzebem Tommy'ego i straszego lata, które potem nadeszło — ciężar winy, nie kończąca się żaloba, okres, który zakończył się wreszcie, kiedy... Buchanan drgnął i skulił się, próbując uciec przed bolesnym wspomnieniem krwi Tommy'ego na jego ubraniu, pala wystającego z piersi chłopca.

— To wszystko moja wina.

— Nie, przecież nie chciałeś tego zrobić — odpowiedziała Buchananowi matka.

— Zabiłem go.

— To był wypadek — powtórzyła.

Ale Buchanan nie wierzył jej i oszalałby z pewnością, gdyby nie to, że znalazł sposób, jak chronić się przed swymi myślami. Sposób zdumiewająco prosty i naturalny. Należało stać się kimś innym.

Rozszczepialna osobowość. Buchanan zaczął naśladować ulubione gwiazdy sportu i muzyki, podziwianych aktorów filmowych i telewizyjnych. Nagle stał się fanatycznym czytelnikiem książek — powieści, identyfikował się z ich bohaterami. Tej jesieni odkrył w szkole kółko teatralne, kierowany podświadomym pragnieniem zdobycia umiejętności potrzebnych do uwiarygodnienia chroniących go fałszywych tożsamości, tożsamości pozwalających mu uciec od siebie samego.

Następnie, po ukończeniu szkoły średniej, być może po to, żeby się sprawdzić, albo też by się ukarać i znaleźć wczesną śmierć, wstąpił do wojska. Nie do pierwszego z brzegu oddziału, lecz do wojsk lądowych, by móc znaleźć się w Siłach Specjalnych. Nazwa wyjaśniała wszystko — chodziło o to, by być kimś specjalnym. Chciał się umartwiać, pokutować. I jeszcze jedno — sądził może, iż obcując na co dzień ze śmiercią oswoi się z nią na tyle, że ta jedna konkretna śmierć przestanie go prześladować.

Jak zauważył Alan, opiekunowie Buchanana w Operacjach Specjalnych zdali sobie sprawę ze szczególnych predyspozycji tego kandydata, wskazanego przez komputer. Człowiek, który desperacko pragnie przybierać fałszywe tożsamości. Agent, który podczas długich okresów przebywania w głębokiej konspiracji nie tylko nie podda się zmęczeniu i depresji, lecz przeciwnie, będzie kwitł w poczuciu komfortu psychicznego.

Teraz zdzierali z niego wszystkie maski, odbierali tarcze, obnażali poczucie winy, które kazało mu zostać agentem i które udało mu się okiełznać.

Buchanan? Kto to, u diabła, jest Buchanan? Jim Crawford był człowiekiem, którego rozumiał. Podobnie jak Ed Potter, Victor Grant. I wszyscy inni. Wymyślał dla każdego z nich szczegółową, indywidualną charakterystykę. Niektórzy z tych mężczyzn żyli szczęśliwie, obdarzeni wszelkimi łaskami (w przypadku Richarda Dany dosłownie, gdyż Dana wierzył, że jest odbiorcą łaski Bożej jako ponownie nawrócony chrześcijanin). Innych ciężko doświadczał los (żona zostawiła Eda Pottera dla mężczyzny, który więcej zarabiał). Buchanan wiedział, jak każdy z nich się ubiera (Robert Chambers był formalistą i zawsze nosił garnitur i krawat). Wiedział, jaki lubią rodzaj muzyki (Peter Sloane szalał na punkcie country western), jakie jedzenie (Jim Crawford nie znosił kalafiora), jakie kobiety (Victoria Granta pociągały brunetki), jakie filmy (Craig Madden mógłby codziennie oglądać „Deszczową piosenkę”), jakie...

Kto to, u diabła, jest Buchanan? Było rzeczą znamioną, że podobnie jak i jego przełożeni, zawsze myślał o sobie jako o kimś, kogo właśnie udawał. Po ośmiu latach tego grania — nie, nie grania, lecz stawania się setkami osób — Buchanan nie miał pojęcia, jak udawać samego siebie. Jaka jest jego maniera językowa? Czy chodzi w jakiś specjalny sposób? Jakie lubi ubranie, jedzenie, muzykę i tak dalej? Czy jest religijny? Czy ma jakieś zainteresowania? Ulubione miasta?

Chryste, nie był Buchananiem przez tak długi czas, że nie wiedział już, kim jest Buchanan. Nie chciał tego wiedzieć. Historia o osiołku pomiędzy dwoma żłobami była jego historią. Tkwił w pułapce pomiędzy tożsamością Victora Granta, który nie żył, i tożsamością Dona Coltona, który praktycznie nie istniał. Nie mogąc zwrócić się w żadną ze stron, pozbawiony wskazówek pozwalających mu wybrać, był sparaliżowany.

W tym momencie sytuacja zmieniła się nagle — zadziałał instynkt samozachowawczy. Siedząc nieruchomo w cichym, ciemnym pokoju usłyszał hałas i zgrzyt klucza w zamku drzwi wejściowych. Część jego umysłu wysłała sygnał. Ciało nie było już zimne i odrętwiałe. Letarg opuścił go, wyparty przez adrenalinę.

Klamka zaskrzypiała. Gdy ktoś stojący na korytarzu powoli otwierał drzwi, wpuszczając blask fluorescencyjnego światła, Buchanan zerwał się z sofy, skoczył w lewo i zniknął w ciemnościach sypialni. Usłyszał pstryknięcie kontaktu i cofnął się głębiej w mrok, podczas gdy w salonie zapaliło się światło. Metaliczny zgrzyt klucza wyciąganego z zamka, cichy stuk zamykanych drzwi, ostrożne kroki szurające cicho po dywanie.

Znieruchomiał.

— Buchanan? — Głos był znajomy. Należał do przysadzistego mężczyzny, który przedstawił mu się wcześniej jako Alan. W głosie tym pobrzmiwało zatroskanie. — Buchanan?

Zaniepokojony Buchanan nie chciał reagować na to nazwisko. Mimo to pokazał się, uważając tylko, by pozostać częściowo w mroku. Alan odwrócił się, zaskoczony.

— Nie uznajesz pukania do drzwi? — zapytał Buchanan.

— Cóż... — Alan niepewnie potarł dłonią po rękawie brązowej sportowej kurtki. — Pomyślałem, że może śpisz i...

— I postanowiłeś rozgościć się, dopóki nie wstanę, tak?

— Nie — odpowiedział Alan. — To znaczy, niezupełnie.

— A więc co?

Alan był zazwyczaj pewny siebie, wręcz obcesowy, teraz jednak zachowywał się dziwnie. O co chodzi?

— Pomyślałem tylko, że upewnię się, czy u ciebie wszystko w porządku.

— A dlaczego miałyby nie być?

— Cóż, hm... zdenerwowałeś się w samochodzie i...

— Tak? I co?

— Nic. Ja tylko... Myślę, że popełniłem błąd.

Buchanan wyszedł z ciemności sypialni. Zbliżając się do Alana zauważył, że ten spogląda ukradkiem w kierunku górnego rogu ściany.

Aha, pomyślał Buchanan. A więc mieszkanie jest naszpikowane sprzętem — i to nie tylko mikrofonami.

Ukryte kamery. Wszystko jasne.

Poprzedniego dnia, po przyjeździe, Buchanan z ulgą pomyślał, że wreszcie dotarł do bezpiecznej przystani. Nie miał powodu podejrzewać o cokolwiek swoich przełożonych i dlatego nie zadał sobie trudu sprawdzenia mieszkania. Później, po wieczornej rozmowie z Alanem, był zbyt rozdrażniony sprawą pocztówki, niespodziewanego echa sprzed sześciu lat, i nie przyszło mu do głowy, żeby szukać pluskiew. Po co zresztą miałyby to robić? Poza Alanem i tak nie miał z kim rozmawiać, więc ukryte mikrofony nie miałyby czego podsłuchiwać.

Ale kamery to co innego. Coś ich przeraża we mnie do tego stopnia, że chcą mieć mnie na oku przez cały czas.

Ale co? Co ich tak niepokoi?

Na początek moje katatoniczne zachowanie przez całe popołudnie i wieczór. Musiałem nieźle wystraszyć tego, kto mnie obserwuje. Wysłali Alana, żeby sprawdził, czy nie pękłem. Sposób, w jaki Alan drapie się po rękawie kurtki. Po tym, jak go dzisiaj skarciłem, zastanawia się pewnie, czy jestem na tyle roztrzęsiony, że będzie musiał sięgnąć po pistolet. A na razie kamery obserwują każdy mój ruch. Alan nie chce, żebym o tym wiedział.

Buchanan poczuł się wyzwolony. Wrażenie, że znów jest na scenie, dało mu motywację konieczną do odegrania roli samego siebie.

— Pukałem — powiedział Alan. — Chyba mnie nie usłyszałeś. Ponieważ masz nie wychodzić z mieszkania, zastanawiałem się, czy coś ci się nie stało. — Znalazłszy przekonujące wytłumaczenie, uspokoił się nieco. Gestykułował ze wzrastającą pewnością siebie. — Twoja głowa. Pomyślałem, że może znowu się w nią uderzyłeś, poślizgnąłeś się pod prysznicem albo coś takiego, więc postanowiłem wejść i sprawdzić. Często spotykam się tutaj z agentami, dlatego zawsze mam klucz.

— Powinienem chyba czuć się zaszczycony twoją troską.

— Nie jesteś facetem, z którym łatwo się zaprzyjaźnić. — Alan pomasaował sobie prawy łokieć.

— Ale ja wykonuję swoją pracę i troszczę się o ludzi, których mi przydzielono.

— Słuchaj — powiedział Buchanan. — Jeśli chodzi o to, co stało się dzisiaj rano w samochodzie... Przepraszam.

Alan wzruszył ramionami.

— Wiele się wydarzyło. Myślę, że mam kłopoty z przyzwyczajeniem się do braku napięcia.

Alan ponownie wzruszył ramionami.

— To zrozumiałe. Czasem agent odczuwa napięcie nawet wtedy, kiedy ono już zniknęło.

— A właśnie, jeśli o tym mowa...

— O czym?

— O napięciu.

Wskazał na łazienkę, wszedł do środka, zamknął drzwi i opróżnił pęcherz.

Zakładał, że łazienka, tak jak wszystkie inne pokoje w mieszkaniu, wyposażona jest w ukrytą kamerę. Ale to, czy jest obserwowany podczas oddawania moczu, nie miało dla niego znaczenia. Nawet gdyby czuł się skrępowany, nigdy nie pozwoliłby sobie na okazanie tego.

I gdyby nawet jego pęcherz nie dał o sobie znać, Buchanan i tak poszedłby do łazienki. Dla zmylenia przeciwnika.

Ponieważ chciał przez chwilę być z dala od Alana. Potrzebował czasu do namysłu.

## 13

*Oto pocztówka, o której nie myślałam, że ją kiedykolwiek wyślę. Mam nadzieję, że twoja obietnica była poważna. Ostatnie miejsce i czas. Liczę na ciebie. PROSZĘ.*

Buchanan spuścił wodę i wyszedł z łazienki.

— Wczoraj wieczorem wspomniałeś coś o urlopie.

Alan zmrużył podejrzliwie oczy.

— Zgadza się.

— I co, nazywasz to urlopem? Tę klatkę?

— Mówiłem ci, Don Colton jest praktycznie niewidzialny. Jeśli zaczniesz włóczyć się tam i z powrotem, sąsiedzi pomyślą, że ty jesteś Donem Coltonem, i kiedy pojawi się następny kandydat, mogą nabrać podejrzeń.

— A gdybym stąd wyjechał? Ja. Buchanan. Na urlop. Nie miałem urlopu od ośmiu lat. Kto by to zauważył? Kto by się przejął?

— Urlop?

— Pod moim własnym nazwiskiem. Powrót na chwilę do mojej własnej osobowości mógłby mi dobrze zrobić.

Alan przekrzywił głowę, mrużąc oczy, nie ukrywając jednak zainteresowania.

— W przyszłym tygodniu mam znowu iść do tego lekarza — powiedział Buchanan. — Do tego czasu twoi ludzie i pułkownik powinniście zdecydować, co chcecie ze mną zrobić.

— Nie mam prawa samemu podejmować takiej decyzji.

— Porozmawiaj z pułkownikiem.

Alan nadal wyglądał na zaciekawionego.

— Dokąd niby miałbyś pojechać? Nie możesz opuścić kraju, ponieważ nie masz paszportu.

— Kraju i tak nie chciałbym opuszczać. Gdzieś bliżej. Na południe. Nowy Orlean. Za dwa dni jest Halloween. Człowiek może się nieźle zabawić w Nowym Orleanie podczas Halloween.

— Słyszałem o tym — rzekł Alan. — Słyszałem nawet, że człowiek może się tam nieźle zabawić bez względu na porę roku.

Buchanan skinął głową. Jego prośba zostanie rozpatrzona pozytywnie.

Ale on nie pojedzie jako Buchanan.

Nie ma mowy, pomyślał.

Cofnie się o sześć lat.

Ponownie zamieni się w osobę, którą był wtedy. Setki istnień temu.

Niegdyś szczęśliwy mężczyzna, który lubił jazz, syrop miętowy i czerwoną fasolę z ryżem.

Pilot czarterowych samolotów nazwiskiem Peter Lang, któremu przydarzyła się najbardziej tragiczna historia miłosna w życiu.

*Oto pocztówka, o której nie myślałam, że ją kiedykolwiek wyślę.*

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

### 1

Piloci — szczególnie jeśli nie jest to ich prawdziwy zawód, lecz część fałszywej tożsamości — powinni latać. Buchanan — Lang pojechał jednak do Nowego Orleanu pociągiem.

Ten sposób podróży charakteryzował się kilkoma zaletami. Po pierwsze, uspokajał go. Poza tym zapewniał większą intymność, jako że zarezerwował sobie miejsce w przedziale sypialnym. Jeszcze jedną zaletą było to, że podróż trwała dłużej i pozwalała wypełnić pusty czas. W końcu Buchanan nie miał nic do roboty aż do Halloween następnego wieczora. Mógłby oczywiście spędzić cały dzień na zwiedzaniu miasta. Tak się jednak składało, że całkiem dobrze znał Nowy Orlean, jego doki, Dzielnicę Francuską, Ogrody, jezioro Pontchartrain, restaurację Antoine'a, Preservation Hall, a przede wszystkim egzotyczne cmentarze miejskie. Odwiedzał je, kiedy tylko miał okazję. Ale nie pozwalał sobie na wyciąganie z tego faktu jakichkolwiek wniosków.

Głównym jednak powodem, dla którego wybrał pociąg, było to, że stacje kolejowe nie są wyposażone w wykrywacze metalu i aparaty rentgenowskie. Mógł więc zabrać ze sobą dziewięćmilimetrową berettę, którą dostał od Jacka Doyle'a. Pistolet leżał pomiędzy dwiema koszulami i dwiema zmianami bielizny, razem z paszportem Victora Granta, z przyborami toaletowymi w małej płóciennej torbie podróżnej, z którą Buchanan nie rozstawał się od czasu pobytu na Florydzie. Ponieważ niepokój i wątpliwości — i to zarówno dotyczące jego własnej osoby, jak i przełożonych — nie opuszczały go, był zadowolony, że skłamał na temat paszportu i nie powiedział nikomu o pistolecie. Paszport i pistolet otwierały przed nim różne możliwości. Czyniły go wolnym. Nigdy dotąd nie okłamał oficera prowadzącego. Może fakt, że zrobił to teraz, powinien go ostrzec, że jest z nim gorzej, niż myśli, że uderzenie w głowę wywołało poważniejsze skutki. Jednak gdy tak siedział przy oknie zamknięty w przedziale, słuchając stukania kół pociągu, obserwując jaskrawe jesienne kolory krajobrazu Wirginii i bezustannie masując obolałą głowę — cieszył się, że nie próbował ukryć pistoletu gdzieś w mieszkaniu Dona Coltona. Gdyby to zrobił, wykryłyby go kamery. A tak, widocznie jego historia była przekonywająca. W przeciwnym razie zwierzchnicy nie daliby mu pieniędzy i dokumentów na jego prawdziwe nazwisko i nie pozwoliliby mu odbyć tej krótkiej podróży.

Przed wejściem do pociągu na Union Station w Waszyngtonie kupił kieszonkową powieść, ale podczas jazdy ledwie rzucił na nią okiem. Przez cały czas masował sobie czoło, by zmniejszyć ból i skoncentrować się, wyglądał przez okno, patrząc na przesuwane się za nim miasta i miasteczka, wzgórza i pola uprawne.

Peter Lang. Musiał przypomnieć sobie wszystko na jego temat. Musiał znów stać się Peterem Langiem. Udawanie pilota nie stanowiło problemu, ponieważ Buchanan był pilotem. Nauczył się tej sztuki w trakcie szkolenia. Niemal za każdym razem jego pracodawcy umożliwiali mu zaznajomienie się z zawodami, które miał rzekomo wykonywać. W kilku przypadkach znał się na nich naprawdę.

Problem stanowiło jednak odtworzenie zachowania Petera Langa, jego obyczajów, osobowości. Buchanan nigdy nie robił notatek na temat swoich rozlicznych ról. Dokumentowanie fałszywych tożsamości byłoby głupotą. Takie dowody mogłyby być kiedyś użyte przeciwko niemu. Zostawianie śladów na papierze z założenia nie miało sensu. Tak więc musiał polegać na swojej pamięci, a wiele było zadań — szczególnie takich, gdy miał kontakty z różnymi ludźmi i musiał zmieniać tożsamość kilkakrotnie w ciągu jednego dnia — podczas których jego pamięć i zdolności

adaptacyjne były testowane do maksimum. Niepokoił się więc, że może bezwiednie zmienić osobowość w niewłaściwym momencie, że zacznie zachowywać się jak postać X przed człowiekiem, przed którym powinien udawać postać Y.

Peter Lang.

## 2

Buchanan był w Nowym Orleanie jako pilot czarterowy, pracujący rzekomo dla firmy poszukującej ropy naftowej i przewożącej techników i wyposażenie do różnych miejsc w Ameryce Środkowej. Naprawdę jednak przerzucał ubranych po cywilnemu doradców z Sił Specjalnych na tajne lotniska w nikaraguańskiej dżungli, gdzie mieli oni przygotowywać żołnierzy *contras* do walki z marksistowskim reżimem. Rok wcześniej — w 1986 — Eugene Hasenfus, zestrzelony podczas próby dokonania zrzutu amunicji dla *contras*, powiedział ludziom, którzy go złapali, że według wszelkiego prawdopodobieństwa pracuje dla CIA. Problem w tym, że Kongres Stanów Zjednoczonych bardzo wyraźnie kazał Agencji trzymać się z dala od Nikaragui. Burza rozpętana przez media wywołała skandal polityczny, podczas którego CIA raz po raz zaprzeczała, jakoby miała cokolwiek wspólnego z Hasenfusem. Ponieważ do wynajęcia Hasenfusa użyto pośredników, a on odwołał później swoje zeznania, Agencja wyszła z całej sprawy bez szwanku jednak Nikaragua pozostała drażliwym tematem politycznym, mimo że prezydent Reagan wydał później rozporządzenie uchylające embargo na dostawy broni dla *contras*, ogłoszone przez Kongres. Wznowienie dostaw nie oznaczało jednak zezwolenia na to, by amerykańscy żołnierze lądowali w Nikaragui i próbowali pomagać w obalaniu jej rządu. Ponieważ otwarte działanie wojska można by traktować jako przystąpienie do wojny, żołnierze, których Buchanan przerzucał do Nikaragui, byli, podobnie jak on sam, ubrani po cywilnemu. Tak jak Buchanan, również i oni używali fałszywych dokumentów, w żaden sposób nie powiązanych z amerykańską armią.

Ponieważ Nowy Orlean i Miami najbardziej łączono z tajną pomocą dla *contras*, dziennikarze bardzo interesowali się prywatnymi firmami wysyłającymi samoloty do państw Ameryki Łacińskiej. Samolot teoretycznie lecący z legalnym ładunkiem do Salwadoru czy Kostaryki mógł wylądować potajemnie w Nikaragui i zostawić tam ludzi zamiast sprzętu. Każdy dziennikarz, który udowodniłby niezgodne z prawem działania amerykańskiej armii w Nikaragui, byłby kandydatem do Nagrody Pulitzera. Dlatego Buchanan musiał zakonspirować się w szczególnie staranny sposób. W tym celu poprosił między innymi swoich pracodawców, by znaleźli dla niego żonę, kobietę, która pracowałaby razem z nim, lubiącą latać i mówiącą po hiszpańsku, najlepiej Latynoskę, żeby nie zwracała na siebie uwagi podczas licznych lotów z mężem do Ameryki Łacińskiej. Buchanan chciał w ten sposób zwieść dziennikarzy, którzy mogliby podejrzewać, że ma jakieś powiązania z Nikaraguą. Kto byłby na tyle głupi, żeby wozić własną żonę do kraju objętego wojną?

Żona, którą zaprezentowali Buchananowi jego pracodawcy, rzeczywiście była Latynoską. Atrakcyjna, pełna życia, nazywała się Juana Mendez i miała dwadzieścia pięć lat. Jej rodzice byli Meksykanami, którzy wyemigrowali do USA. Juana, pracująca w stopniu sierżanta w wojskowym wywiadzie, wychowała się w San Antonio w Teksasie, mieście, które Peter Lang również podawał jako swoje miejsce urodzenia. Buchanan przed rozpoczęciem misji spędził kilka tygodni w San Antonio, zapoznając się z miastem, ażeby nie zdemaskować się podczas ewentualnych rozmów na ten temat. Stała obecność Juany przy nim jeszcze bardziej utrudniłaby zadanie potencjalnemu

przeciwnikowi. Gdyby nie wiedział, co powiedzieć, gdyby się zawahał, Juana odpowiedziałaby za niego.

Udawanie Petera Langa było jednym z najdłuższych zadań Buchanana — trwało cztery miesiące. W tym czasie zajmował wraz z Juaną małe mieszkanie na drugim piętrze oryginalnego, drewnianego budynku z ozdobnymi poręczami z kutego żelaza i przyjemnym, wypełnionym kwiatami ogrodem na Dumaine Street w Dzielnicy Francuskiej. Zachowywali się tak, by postronny obserwator uważał ich za kochającą się parę, choć zdawali sobie sprawę z tego, że jeśli partnerów z konspiracji łączy prawdziwa miłość, to jest ona zagrożeniem dla bezpieczeństwa misji. Robili wszystko, by nie wywarła na nich wpływu narzucona przez zadanie wzajemna bliskość, wspólne jedzenie, używanie tej samej łazienki, spanie w jednym pokoju. Nie kochali się. Nie byli aż tak niezdiscyplinowani. Nie miało to jednak znaczenia. Aktywność seksualna stanowi tylko część — często niewielką, a czasem żadną — udanego małżeństwa. Buchanan i Juana tak dobrze odgrywali swoje role, że w końcu musieli przyznać, że czują się jak małżeństwo. W nocy, słuchając, jak Juana oddycha cicho przez sen, Buchanan stwierdził, że odurza go jej zapach. Przypominał mu aromat cynamonu.

Wspólne przeżywanie napięć niezwykle silnie łączy ludzi. Pewnego razu, podczas potyczki w Nikaragui, Buchanan nie zdołałby dobiec do samolotu i wzbić się w powietrze z prymitywnego pasa startowego w dżungli, gdyby Juana nie użyła karabinu maszynowego, żeby go osłonić. Przez okno obracającego się wolno samolotu patrzył potem, jak biegnie z dżungli w kierunku bocznych drzwiczek, które dla niej otworzył. Odwróciła się w stronę zarośli, wystrzeliła serię z M-16 i pobięła dalej. Pociski lecące z dżungli rozrywały ziemię tuż przed nią. Juana odwróciła się i ponownie oddała serię. Rozgrzewając silniki, Buchanan zdołał ustawić samolot w pozycji startowej, a potem podniósł swoje własne M-16 i zaczął strzelać z otwartej kabiny, osłaniając ją. Pociski z dżungli uderzały w bok samolotu. Gdy Juana skoczyła w stronę drzwiczek, Buchanan zwolnił hamulce i samolot potoczył się po nierównej powierzchni pasa. Dziewczyna wciągnęła się do środka, oparła o pokrywą kabiny i zaczęła strzelać w kierunku dżungli. Kiedy opróżniła magazynek swojego M-16, sięgnęła po broń Buchanana. Wreszcie, gdy samolot podskoczył dwa razy i wzbił się nagle w powietrze ocierając o wierzchołki drzew, chwyciła pas bezpieczeństwa, żeby nie wypaść, i zaśmiała się głośno. Między ludźmi, który ratują sobie życie, wytwarza się silna więź. Buchanan doświadczał tego uczucia w towarzystwie mężczyzn. Podczas tego czteromiesięcznego zadania po raz pierwszy przydarzyło mu się to z kobietą i w końcu okazał się lepszym aktorem, niż myślał, gdyż zakochał się w niej.

Nie powinien był. Rozpaczliwie walczył, żeby stłumić to uczucie. Ale przegrał. Jednak nawet wtedy nie dopuścił do seksu. Pomimo potężnej pokusy nie naruszyli zasad etyki zawodowej poprzez fizyczne zbliżenie. Ale złamali inne przykazanie, które ostrzegało ich, żeby nie mieszały swoich ról z rzeczywistością. Buchanan zresztą i tak nie wierzył w nie. Był tak doskonałym oszustem właśnie dlatego, że nie robił różnicy między fałszem a prawdą. Jak długo udawał kogoś, ta osoba istniała naprawdę.

Pewnego wieczora, gdy oglądał telewizję, Juana wróciła z zakupów. Zmarszczył brwi widząc wyraz z troskowania na jej twarzy.

— Wszystko w porządku? — Zaniepokojony, podszedł bliżej. — Czy coś się stało?

Najwyraźniej nie słysząc jego pytania, postawiła torbę z zakupami i zaczęła ją rozpakowywać. Zaraz potem Buchanan zdał sobie sprawę, że robi to machinalnie. Zaabsorbowała ją ulotka reklamująca koncert jazzowy którą ktoś dał jej na ulicy. Kiedy ujrzał mały krzyżyk w prawym górnym rogu, zrozumiał, dlaczego wyglądała na z troskowaną. Ten, kto dał jej ulotkę nie był osobą przypadkową. Mały krzyżyk narysowany długopisem oznaczał, że ich operacja dobiegła końca.

Przydzielano im nowe zadania.



W tym momencie Buchanan w niezwykle silny sposób odczuł cielesną bliskość Juany. Chciał ją przytulić, ale dyscyplina trzymała go w ryzach.

Zwykle radosny głos Juany był napięty ze zdenerwowania.

— Zawsze wiedziałam, że w końcu przydzielą nam nowe zadanie. — Przełknęła ślinę. — Nic nie trwa wiecznie, prawda?

— Prawda — odparł Buchanan ponuro.

— A więc... Myślisz, że znowu będziemy pracować razem?

— Nie mam pojęcia.

Juana skinęła głową, zamyślona.

— Prawie nigdy tego nie robią.

— Tak. — Ponownie przełknęła ślinę.

Ostatniego wieczora przed opuszczeniem Nowego Orleanu wybrali się na spacer po Dzielnicy Francuskiej. Trwało Halloween i stara część miasta wyglądała świątecznie i bardziej kolorowo niż zazwyczaj. Uczestnicy zabawy mieli na sobie kostiumy, z których wiele przedstawiało szkielety. Tłum śpiewał, tańczył i pił w wąskich uliczkach. Jazz — melancholijny lub radosny — rozbrzmiewał z otwartych drzwi, zlewając się z ogólnym gwarem i niosąc echem ponad tłumem w kierunku świateł miasta odbijających się w wieczornym niebie.

*Oh, when the saints...*

Buchanan i Juana zakończyli swój spacer w Cafe du Monde niedaleko Jackson Square na Decatur Street. Specjalnością tej słynnej restauracji na świeżym powietrzu była *cafe au lait*, kawa z gorącym mlekiem, i *beignets*, pieczone francuskie ciastka posypane cukrem pudrem. Miejsce było wyjątkowo zatłoczone. Ubrani w kostiumy goście potrzebowali kofeiny i skrobi, żeby zneutralizować efekt wypitego alkoholu przed ponownym oddaniem się uciechom święta. Pomimo to Buchanan i Juana stanęli w kolejce. Październikowa noc pachniała lekko deszczem, znad Missisipi ciągnęła przyjemna bryza. Wreszcie kelner zaprowadził ich do stolika i przyjął zamówienie. Z poczuciem klęski i obcości rozejrzeli się po radosnym tłumie i zaczęli wreszcie rozmawiać na temat, którego dotychczas unikali: czy to koniec, czy też będą się dalej widywać? I gdy Buchanan stanął twarzą w twarz z tym pytaniem, zdał sobie sprawę, jak bardzo jest ono absurdalne. Jutro Peter Lang przestanie istnieć. Jak więc mógłby spotykać się ze swoją żoną, której jutro też już nie będzie?

Po cichu, tak żeby nikt z tłumu nie mógł ich podsłuchać, Buchanan powiedział Juanie, że ich role zbliżają się do końca, a ona spojrzała na niego, jakby gadał od rzeczy.

— Nie interesuje mnie, kim byliśmy — powiedziała. — Mówię o nas.

— Ja też.

— Nie — odparła. — Ci ludzie, o których mówisz, nie istnieją. My tak. Jutro zacznie się rzeczywistość. Bajka dobiegła końca. Co w związku z tym zrobimy?

— Kocham cię — powiedział Buchanan.

Juana odetchnęła, drżąc lekko.

— Czekałam, aż to powiesz... Miałam nadzieję... Nie wiem, jak to się stało, ale ja czuję to samo. Kocham cię.

— Chcę, żebyś wiedziała, że zawsze będziesz dla mnie kimś szczególnym.

Juana zaczęła marszczyć brwi.

— Chcę — ciągnął Buchanan — żebyś wiedziała, że...

Przerwał im kelner, stawiając na stoliku tacę z parującą kawą i gorącymi *beignets* posypanymi cukrem pudrem. Gdy odszedł, Juana nachyliła się ku Buchananowi i powiedziała cicho, lecz z pełnym troski napięciem:

— O czym ty mówisz?

— ...że zawsze będziesz dla mnie kimś szczególnym. Zawsze będziesz mi bliska. Jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebowała mojej pomocy, jeśli stanie się coś złego...

— Zaczekaj chwilę. — Juana jeszcze mocniej zmarszczyła brwi, światło spod sufitu odbijało się w jej ciemnych oczach. — To brzmi jak pożegnanie.

— ...Będę tam. O każdym czasie. W każdym miejscu. Wystarczy, że poprosisz. Nie ma nic, czego bym dla ciebie nie zrobił.

— Ty skurwysynu.

— Co?

— To niesprawiedliwe. Warta jestem, żeby ryzykować dla ciebie swoje życie i żeby posługiwano się mną jak rekwizytem. Ale nie jestem warta tego, żebyś mógł spotykać się ze mną po tym, jak...

— Nie to miałem na myśli — rzekł Buchanan.

— Więc po co to mówiłeś? Kochasz mnie, ale dajesz mi kosza, tak?

— Nie chciałem zakochać się w tobie. Ja...

— Nie istnieje zbyt wiele powodów, dla których mężczyzna skłonny jest opuścić kobietę, którą, jak twierdzi, kocha. Jedynym, który teraz przychodzi mi do głowy, jest to, że uważa ją za niewartą siebie.

— Posłuchaj mnie...

— To dlatego, że jestem Latynoską.

— Nie. To bez sensu. Proszę. Posłuchaj mnie tylko.

— Ty mnie posłuchaj. Mogłabym stać się twoją największą, życiową szansą. Nie rezygnuj z tego.

— Ale jutro i tak cię stracę.

— Naprawdę? Dlaczego? Z powodu ludzi, dla których pracujemy? Do diabła z nimi. Oczekują, że zgłoszę się do następnego zadania. Ale ja nie mam zamiaru tego robić.

— To nie ma nic wspólnego z nimi — rzekł Buchanan. — Chodzi o mnie. O to, co robie. Nasz związek nie mógłby trwać, ponieważ ja nie będę już tym, kim jestem. Stanę się inną osobą.

— Co?

— Będę inny.

Wbiła w niego wzrok, nagle rozumiejąc implikacje tego, co powiedział.

— Wybrałbyś pracę, zamiast...

— Moja praca to wszystko, co mam.

— Nie — odparła Juana. — Mógłbyś mieć mnie.

Buchanan przyjrzał się jej. Spojrzał w dół. W górę. Przygryzł wargi. Potrząsnął powoli głową.

— Nie znasz mnie — powiedział. — Znasz tylko osobę, którą udaję.

Wyglądała na wstrząśniętą.

— Zawsze będę twoim przyjacielem. Pamiętaj o tym. Przysięgam ci. Gdybyś kiedykolwiek potrzebowała pomocy, wystarczy, jeśli poprosisz. Bez względu na to, ile minie czasu i jak daleko będę, zrobię wszystko, co...

Juana wstała, gwałtownie odsuwając krzesło, które zazgrzytało głośno na betonowej podłodze. Ludzie spojrzeli w ich stronę.

— Jeśli kiedykolwiek będę cię potrzebowała, prześlę ci pieprzoną pocztówkę. Skrywając łzy wybiegła z restauracji.

I to był ostatni raz, kiedy z nią rozmawiał. Gdy wrócił do mieszkania, już jej nie zastał. Przepelniony uczuciem pustki, w ogóle nie położył się tej nocy. Siedząc w ciemnościach, gapił się na ścianę naprzeciw łóżka, które dzielili.

Tak jak teraz patrzył w ciemność przez okno przedziału w pędzącym pociągu.

### 3

Znowu mi się to przydarzyło, pomyślał Buchanan. Znowu wpadłem w letarg. Masując bolącą głowę doznał wrażenia, że wraca z dalekiej podróży. W przedziale panował mrok. Czasem tylko światła farm rozjaśniały ciemność za oknem. Jak długo...?

Spojrzał na fosforyzujące wskazówki lotniczego zegarka, zegarka Petera Langa, zaniepokojony, że ten wskazuje już osiem minut po dziesiątej. Wyjechał z Waszyngtonu krótko przed północą. Pociąg już dawno opuścił teren Wirginii. Był teraz w głębi Karoliny Północnej, może nawet w Georgii. Całe popołudnie i wieczór, pomyślał z rozpaczą. Co się ze mną dzieje?

Wstał czując łupanie w głowie i włączył światło w zamkniętym przedziale. Widząc swoje odbicie w szybie poczuł się bezbronny i szybko zaciągnął zasłonki. Wychudzona twarz nie wyglądała znajomo. Otworzył podróżną torbę, wyjął trzy tabletki aspiryny i połknął je popijając wodą. Oddając mocz poczuł, że znów zaczyna myśleć o wydarzeniach sprzed sześciu lat i zmusił się, żeby powrócić do teraźniejszości.

Musiał wejść w rolę, ponownie stać się Peterem Langiem. Ale powinien też normalnie funkcjonować. Nie mógł przez cały czas wpatrywać się w przestrzeń. W końcu sam powód wyjazdu do Nowego Orleanu, ustalenie, dlaczego Juana wysłała pocztówkę, miał dać mu poczucie celu, wytyczyć kierunek.

Juana. Tak jak musiał skupić się na ponownym przyjęciu osobowości Petera Langa, musiał też skoncentrować się na Juanie. Miała teraz — ile? — trzydzieści jeden lat. Ciekawe, czy utrzymała się w formie. Była wspaniała — twarda, silna, choć szczupła i niewysoka, jednak jej wyćwiczone w armii ciało nadrabiało te braki. Czy jej gęste czarne włosy nadal są tak krótkie jak wtedy? Pragnął zanurzyć w nich palce, pociągnąć delikatnie. Czy jej ciemne oczy nadal są tak błyszczące, a wargi wciąż mają ten sam zmysłowy kształt? Kiedy się koncentrowała, miała zwyczaj zaciskania ich i wydymania lekko, a on równie mocno pragnął ich dotknąć, jak włosów.

Jaki był prawdziwy powód jego powrotu? Czy chodziło mu tylko o to, by podjąć jakieś działanie?

Czy też pocztówka coś w nim obudziła? Tłumił wspomnienie o niej, tak jak ukrywał większą część swojej osobowości. A teraz...

Może nie powinienem był pozwolić jej odejść. Może...

Nie, pomyślał. Przeszłość jest pułapką. Zostaw ją w spokoju. Najwyraźniej nie działa na ciebie najlepiej, skoro wspomnienia wywołują katatonię. To, co czujesz, to szczeniacki błąd. W swoich poprzednich wcieleniach zostawiałeś pełno nie załatwionych spraw, wielu ludzi, których lubieś. Ale nigdy dotąd nie wracałeś. Bądź ostrożny.

Aleja nie kochałem tamtych ludzi. Dlaczego wysłała pocztówkę? W jakie tarapaty wpadła?

Twoi szefowie dostaliby szału, gdyby wiedzieli, o czym rozmyślasz.

Dziwne, że pamiętam ją tak wyraźnie. Poza tym, dałem słowo.

Nie, powiedział ostrzegawczy głos. Nie ty je dawałeś. Tylko Peter Lang.

A właśnie nim teraz jestem.

Mówiłem poważnie. Dałem słowo.

Z ulgą powitał uczucie głodu. Ciesząc się, że znowu jest w ruchu, Buchanan–Lang otworzył drzwi przedziału, sprawdził kołyszający się korytarz i nie zobaczywszy nikogo miał już wychodzić, kiedy uznał, że prosty zamek w drzwiach przedziału nie budzi zaufania. Wziął ze sobą małą podróżną torbę — a w niej paszport i pistolet — zamknął przedział i ruszył w kierunku restauracji, która znajdowała się trzy wagony dalej.

W środku było niemal pusto, kilku pasażerów popijało kawę, kelnerzy zbierali brudne naczynia ze stolików. Górne światła wagonu odbijały się w szybach, czyniąc całą przestrzeń niezwykle jasną, uniemożliwiając dojrzenie czegokolwiek w ciemnościach za oknami.

Buchanan potarł bolące czoło i podszedł do najbliższego kelnera. Najwyraźniej zmęczony mężczyzna odgadł pytanie.

— Przepraszam, sir. Właśnie zamknęliśmy. Śniadanie zaczyna się od szóstej rano.

— Obawiam się, że uciałem sobie drzemkę i trochę zasnęłam. Umieram z głodu. Czy nie znalazłby pan czegoś, żeby kiszki nie grały mi marsza przez całą noc? — Buchanan dyskretnie wyciągnął dziesięciodolarowy banknot.

— Tak, sir, rozumiem. Zobaczą, co da się zrobić. Może kilka kanapek z zimnym rostbefem do zabrania ze sobą?

— Brzmi nieźle.

— I woda mineralna?

— Wolałbym piwo.

— Cóż — odezwał się kobiecy głos zza pleców Buchanana. — Nie mam piwa, ale na wszelki wypadek przygotowałam kilka kanapek.

Nie okazując zdziwienia odczekał moment, zanim się powoli odwrócił. Kiedy ją zobaczył, również nie wydawał się zdumiony, mimo że tak naprawdę był zaskoczony.

Kobieta miała długie, płomiennie rude włosy. Była wysoka. Pod trzydziestkę. Wysportowana. Mocne czoło. Doskonałe kości policzkowe. Twarz modelki.

Znał tę kobietę. A przynajmniej widział ją już wcześniej. Za pierwszym razem miała na sobie beżowe spodnie i żółtą bluzkę. To było w Meksyku. Robiła mu zdjęcia przed budynkiem więzienia w Meridzie.

Za drugim razem była ubrana w dzinsy i drelichową koszulę. To było koło Przystani 66. Fotografowała go, kiedy zatrzymał swoją łódź przy motorówce Wielkiego Boba Baileya na wodach kanału.

Tym razem miała na sobie brązowe popelinowe spodnie i myśliwską koszulę koloru khaki, taką z wieloma kieszeniami, z których kilka było wypełnionych. Wyglądała jak modelka z katalogu firmy „Na Końcu Świata”. Przez lewe ramię przewieszoną miała torbę na aparat fotograficzny. Sam aparat dyndał na rzemieniu na szyi. Jedynym szczegółem, który nie pasował do jej image’u, była pękata papierowa torba, którą trzymała w prawej dłoni.

Dołożyła dziesięć dolarów do dziesiątki, którą Buchanan dał już kelnerowi.

— Dziękuję. — Uśmiechnęła się. — Myślałam, że mój przyjaciel już się nie pokaże. Doceniam pana cierpliwość.

— To nic takiego, proszę pani. — Kelner schował pieniądze. — Jeśli jest jeszcze coś...

— Nic, dziękuję.

Gdy kelner ponownie zajął się sprzątaniami stolików, kobieta skupiła swoją uwagę na Buchananie.

— Mam nadzieję, że nie nastawiłeś się za bardzo na ten rostbef. Ja mam sałatkę z kurczaka.

— Przepraszam? — powiedział Buchanan.

— Sałatka...

— Nie o to mi... Czy my się znamy?

— Pytasz po tym wszystkim, co razem przeżyliśmy?

Szmaragdowe oczy kobiety zabłyśły.

— Droga pani, nie jestem w nastroju. W pociągu jest pewnie wielu innych facetów, którzy...

— Okay, jeśli się upierasz, to zagramy. Czy się znamy? — Zastanowiła się. — Tak. W pewien sposób. Można by powiedzieć, że jesteśmy związani. Chociaż oczywiście nigdy się nie spotkaliśmy.

Wyglądała na rozbawioną.

— Nie chcę być niegrzeczny.

— To mi nie przeszkadza. Jestem przyzwyczajona.

— Za dużo pani wypiła.

— Ani kropki. Ale bardzo tego żałuję. Znudziło mi się czekać tutaj tak długo. A skoro już o tym mowa... — Odwróciła się do kelnera. — Kilka piw to niezły pomysł. Czy myśli pan, że moglibyśmy je jeszcze dostać?

— Oczywiście. Coś jeszcze?

— Proszę przynieść nam cztery piwa i do tego te kanapki z rostbefem. Mam wrażenie, że zapowiada się długa noc.

— A potem może kawa...?

— Nie. Piwo wystarczy. — Gdy kelner odszedł, ponownie odwróciła się do Buchanana. — Chyba, że wolisz kawę.

— Co do mnie, to wolałbym się dowiedzieć, o co pani, u diabła, chodzi — odparł Buchanan.

— Proszę o wywiad.

— Co?

— Jestem dziennikarką.

— Gratuluję. Ale co to ma wspólnego ze mną?

— Pójdę z panem o zakład...

Buchanan potrząsnął głową.

— To absurdalne.

Zaczął się odwracać.

— Nie, naprawdę. Założę się, że zgadnę, jak się pan nazywa.

— Zakład oznacza, że coś się wygrywa albo przegrywa. Nie rozumiem, co miałbym wygrać albo...

— Jeśli nie zgadnę, jak się pan nazywa, zostawię pana w spokoju.

Buchanan namyślił się.

— W porządku. — Westchnął. — Zrobię wszystko, żeby się pani pozbyć. Jak się nazywam?

— Buchanan.

— Nieprawda. Nazywam się Peter Lang. — Znowu zaczął odchodzić.

— Niech pan to udowodni.

— Nie muszę niczego udowadniać. Moja cierpliwość już się wyczerpała.

Ruszyła za nim.

— Posłuchaj, miałam nadzieję, że załatwimy to spokojnie, ale jeśli chcesz utrudniać sprawę, to proszę bardzo. Nie nazywasz się Peter Lang ani Jim Crawford, Ed Potter, Victor Grant czy Don

Colton. Oczywiście używałaś tych wszystkich nazwisk. I wielu innych. Ale naprawdę nazywałeś się Buchanan. Imię: Brendan. Przezwisko: Bren.

Buchanan stanął przy wyjściu z wagonu restauracyjnego. Nie okazując napięcia odwrócił się, zauważając z ulgą, że stoliki na tym końcu wagonu są puste.

— Co mam zrobić, żeby się pani pozbyć? — spytał udając zwykłą irytację.

— Pozbyć się mnie? Mam nadzieję, że to tylko przenośnia.

— Nie wiem, co pani...

Podniosła do góry pękatą papierową torbę.

— Jestem głodna. Nie mogłam znaleźć cię w pociągu, więc czekałam, aż przyjdiesz do wagonu restauracyjnego. Potem zaniepokoiłam się, że może masz ze sobą coś do jedzenia. Co pół godziny dawałam kelnerowi dziesięć dolarów, żeby pozwalał mi siedzieć przy stoliku bez zamawiania. Jeszcze dziesięć minut i byłoby tu pusto, a wtedy musiałabym wyjść. Dzięki Bogu jednak się pojawiłeś.

— Pewnie — powiedział Buchanan. — Dzięki Bogu.

Zauważył, że kelner idzie w ich stronę.

— Tutaj są kanapki i piwo.

Podał kobiecie kolejną papierową torbę.

— Dziękuję. Ile jestem panu winna?

Zapłaciła mu, dodając jeszcze jeden napiwek. Potem ona i Buchanan zostali sami.

— A więc co powiesz? — Jej szmaragdowe oczy nadal błyszczały. — Przynajmniej będziesz mógł coś zjeść. Ponieważ nie mogłam znaleźć cię w drugiej klasie, domyślałam się, że masz własny przedział. Może...?

— Jeśli rzeczywiście używam tych wszystkich nazwisk, które wymieniłaś, to muszę być zamieszany w jakiś naprawdę podejrzany interes.

— Staram się nie oceniać.

— Ale kim w takim razie jestem? Członkiem mafii? Tajnym agentem? Czy nie boisz się zostać ze mną sama?

— Kto powiedział, że będę sama? Nie sądzisz chyba, że wybrałabym się z taką misją bez ochrony.

— Nie mów mi tylko, że jesteś z tymi facetami, którzy właśnie skończyli pić kawę na drugim końcu wagonu. Wychodzą i to wcale nie w naszą stronę. Nie wygląda na to, żebyś miała tu kogokolwiek.

— Ktokolwiek to jest, i tak nie pozwoliliby ci się zobaczyć.

— Tak, pewnie.

— Podobnie jak ktoś, kto śledziłby ciebie.

— Dlaczego ktokolwiek miałby mnie śledzić? — Buchanan zaczął się nagle zastanawiać, czy rzeczywiście nie jest śledzony. — To jest naprawdę najdziwniejsza historia, jaka... Okay. Jestem głodny. Mam wrażenie, że nie zostawisz mnie w spokoju. Chodźmy jeść.

Otworzył drzwi wagonu restauracyjnego. Stukot kół stał się głośniejszy.

— Ale ostrzegam cię.

— Tak? — Wyprostowała się.

— Nie jestem łatwy.

— Cóż za zbieg okoliczności.

Poszła za nim.

Udając, że nie zauważa jej podejrzliwego spojrzenia, Buchanan zamknął przedział na klucz i rozłożył stolik przy oknie. Potem rozpakował papierowe torby kładąc ich zawartość na małym blacie i uważając, żeby jeść tylko rostbef, ponieważ nie wiedział, czy kobieta nie włożyła czegoś do kanapek z sałatką z kurczaka. Otworzył dwie butelki piwa.

Przez cały ten czas nieznajoma stała. W wąskim przedziale Buchanan wyraźnie odczuwał jej bliskość.

Podał jej otwartą butelkę piwa, wgrzył się w kanapkę i usiadł przy stoliku.

— Sądzi pani, że zna moje nazwisko. A nawet kilka. Jak w takim razie pani się nazywa?

Usiadła naprzeciw niego, odgarniając kosmyk rudych włosów. Szminek miała tego samego koloru.

— Holly McCoy.

— I mówi pani, że pracuje jako dziennikarka? — Buchanan wypił łyk piwa i widząc, że ona nie tknęła swojego, pomyślał: „Może oczekuje, że wypiję wszystkie cztery butelki i to rozwiąże mi język”. — Dla jakiej gazety?

— „The Washington Post”.

— Czytam często tę gazetę. Ale nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek widział w niej pani nazwisko.

— Jestem nowa.

— Aha.

— To będzie mój pierwszy duży artykuł.

— Aha.

— Dla „Post”. Wcześniej pisałam już dla „L.A. Times”.

— Aha. — Buchanan przełknął kęs sandwicza. Rostbef był niezły, odrobinę wysuszony, ale majonez i sałata przydawały mu smaku. Wypił łyk piwa. — Myślałem, że była pani głodna. Nie je pani.

Gdy zmusiła się do skubnięcia odrobiny sałatki z kurczaka, rzekł:

— A więc o co chodzi z tym wywiadem? I z tymi nazwiskami, których podobno... Powiedziałem pani, nazywam się Peter Lang.

Pożałował tego natychmiast. Popenił błąd. Kiedy kobieta zaatakowała go w wagonie restauracyjnym, pomyliły mu się tożsamości. Nie miał przecież dokumentów na nazwisko Petera Langa. Musiał sprostować pomyłkę.

— Muszę się do czegoś przyznać — rzekł po chwili. — Okłamałem panią. Usłyszawszy, że da mi pani spokój, jeśli nie odgadnie mojego nazwiska, postanowiłem udać, że jestem kimś innym.

— Ale ja nie dałam panu spokoju.

— Cóż, w takim razie mogę równie dobrze być szczerzy. — Odstawił butelkę i sięgnął do bocznej kieszeni, wyciągając swój portfel i pokazując prawo jazdy. — Rzeczywiście nazywam się Buchanan. Brendan. Przewisko: Bren. Ale już dawno nikt mnie tak nie nazywał. Skąd pani wiedziała?

— Pracuje pan w wojsku.

— Zgadza się. I pytam raz jeszcze, skąd pani wie? Nie powinna się pani interesować tym, że jestem kapitanem w Siłach Specjalnych. Baza macierzysta — Fort Bragg. Mam teraz urlop, jadę do Nowego Orleanu. Nigdy wcześniej tam nie byłem. I co z tego? Podniecają panią żołnierze? Czy o to chodzi?

Przekrzywiła głowę w geście, który podkreślił elegancką linię jej szyi.

- W pewnym sensie.
- Cóż, skoro już pani mówi, to proszę mówić jasno. Wystarczy tego. Wciąż nie powiedziała mi pani, skąd zna moje nazwisko. Zachowywałem się grzecznie. O co chodzi?
- Proszę bardzo. Chciałabym wymienić kilka haseł.
- Haseł? Na miłość... — Buchanan wyciągnął ręce w irytacji.
- Proszę mi powiedzieć, czy cokolwiek dla pana znaczą. Grupa Uderzeniowa Sto Sześćdziesiąt. Piana Morska. Działania Wspomagające Wywiad. Żółty Owoc.
- Jezu Chryste, pomyślał Buchanan, nie pokazując, jak bardzo jest zaskoczony.
- Nigdy ich nie słyszałem.
- Dlaczego jakoś panu nie wierzę?
- Proszę posłuchać, droga pani...
- Spokojnie. Zajmij się kanapkami. Opowiem ci historię.

## 6

Operacja Szpon Orła. 24 kwietnia 1980 roku grupa antyterrorystyczna armii Stanów Zjednoczonych znana jako Delta wysłana została do Iranu z zadaniem uwolnienia pięćdziesięciu dwóch Amerykanów przetrzymywanych w Teheranie od listopada 1979. Osiem helikopterów, trzy samoloty transportowe M-130 i trzy samoloty z paliwem EC-130 miały wylądować w oddalonym od siedzib ludzkich miejscu oznaczonym kryptonimem Pustynia Jeden. Po uzupełnieniu zapasów paliwa helikoptery powinny wyruszyć w kierunku lądowiska w pobliżu Teheranu. Licząca stu osiemnastu ludzi grupa uderzeniowa planowała pod osłoną nocy wejść do miasta i zaatakować wyznaczony cel.

Od początku misję prześladowały jednak kłopoty. Po wystartowaniu z amerykańskiego lotniskowca „Nimitz” znajdującego się na wodach Zatoki Perskiej, jeden z helikopterów musiał zawrócić z powodu problemów z łopatami wirnika. Wkrótce potem zawrócił drugi — tym razem z powodu awarii systemu nawigacyjnego. Na lądowisku Pustynia Jeden zepsuł się kolejny, padając ofiarą przecieku hydraulicznego. Ponieważ do wykonania zadania potrzebnych było co najmniej sześć helikopterów, Operację Szpon Orła musiano przerwać, lecz gdy grupa rozpoczęła odwrót, jeden z pozostałych helikopterów uderzył w samolot cysternę EC-130. W wyniku powstałej eksplozji zginęło ośmiu amerykańskich żołnierzy, a pięciu innych uległo śmiertelnym oparzeniom. Płomienie uniemożliwiły wydobycie zwłok. Musiano też porzucić tajne dokumenty i wyposażenie. Pentagon, upokorzony i wściekły, postanowił za wszelką cenę dowiedzieć się, co się stało. Najwyraźniej winne były nie tylko mechaniczne uszkodzenia. Wyczerpujące śledztwo wykazało, że poszczególne oddziały amerykańskiego wojska tak konkurowały ze sobą, żeby wziąć udział w operacji, że ich wysiłki odniosły skutek przeciwny do zamierzonego. Nieskuteczność, brak przygotowania, niedostateczne wykształcenie, nieodpowiedni transport, niekompletne i błędne informacje — lista błędów ciągnęła się w nieskończoność. Szybko stało się oczywiste, że jeśli Stany Zjednoczone chcą posiadać skuteczną wojskową grupę antyterrorystyczną, to grupa ta będzie musiała działać samodzielnie, bez jakiegokolwiek pomocy z zewnątrz, wojskowej czy cywilnej. Grupie Delta, oddziałowi komandosów, który miał dokonać odbicia zakładników, przydzielono stałą bazę szkoleniową w zamkniętej strefie Fort Bragg w Karolinie Północnej. Podobną grupę, SEAL Team 6, umieszczono w Bazie Morskiej Little Creek w Wirginii. Utworzono Połączone Dowództwo Operacji Specjalnych, któremu miały podlegać niekonwencjonalne oddziały we wszystkich gałęziach sił zbrojnych USA. Oddzielna grupa, Dział



Operacji Specjalnych, powstała, by koordynować operacje specjalne wyłącznie w wojskach lądowych.

## 7

Gdy kobieta mówiła, Buchanan skończył jedno piwo i otworzył następne. Potem zebrał opakowania po sandwiczach i wsadził je do papierowej torebki. Stłumił ziewnięcie.

— To brzmi bardziej jak wykład z historii niż jak opowieść. Nie zapominaj, że jestem przydzielony do Fort Bragg i wiem wszystko o szczegółach nieudanej akcji odbicia zakładników i utworzeniu grupy Delta.

— Jestem pewna, że wiesz dużo więcej — odparła Holly McCoy. — Ale idźmy krok po kroku.

Buchanan wzruszył ramionami. Słuchając stukotu kół pędzącego pociągu dał kobiecie znak, żeby mówiła dalej.

— Jednym z pierwszych problemów, jakimi postanowił zająć się Dział Operacji Specjalnych, był transport — powiedziała Holly. — Dostanie się do Iranu zabrało Delcie zbyt wiele czasu. Wybrano niewłaściwe samoloty. Zbyt wiele kanałów w wojsku musiało wiedzieć, dokąd i kiedy wyrusza Delta. W oczywisty sposób należało zmodernizować metody działania. Delta musiała docierać do celu tak szybko i niepostrzeżenie jak to możliwe i przy użyciu najlepszych środków. Dlatego sformowano Grupę Uderzeniową Sto Sześćdziesiąt i Pianę Morską.

Raz jeszcze Buchanan musiał przywołać na pomoc całe swoje opanowanie, by nie dać poznać, jak bardzo jest zaskoczony. Czując, jak mięśnie brzucha twardnieją mu z napięcia, stłumił kolejne ziewnięcie.

— Przepraszam. Nie chciałbym, żebyś myślała, że mnie nudzisz. Mów dalej i dokończ swoje piwo.

Holly znów odgarnęła rudy kosmyk, spojrzała z irytacją na Buchanana i ciągnęła dalej.

— Grupa Uderzeniowa Sto Sześćdziesiąt była specjalnym oddziałem wojsk lądowych, który zapewniał transport powietrzny Delcie, a także Siłom Specjalnym i Rangersom. Wyposażono ją w duże helikoptery transportowe Chinook, a także różne rodzaje mniejszych helikopterów i samolotów wsparcia ogniowego. Piana Morska z kolei była całkowicie nieoficjalnym, tajnym oddziałem transportu powietrznego, który kupował samoloty przy pomocy cywilnych pośredników, w tajemnicy wyposażał je w najnowocześniejszy sprzęt: wyciszacze silników, radary na podczerwień, wyrzutnie rakiet, tego typu rzeczy — a następnie używał ich do tajnych misji na małą skalę. Cywilnych pośredników, z których usług korzystała Piana Morska, dostarczała CIA, a część pracy oddział wykonywał dla innej cywilnej agencji, dla Urzędu do spraw Walki z Narkotykami, DEA. I tutaj właśnie, jak sądzę, zaczęły się kłopoty. Cywile i wojskowi działający razem, lecz ukrywający tę współpracę przed Pentagonem i Kongresem.

Buchanan upił nieco piwa i spojrzał na zegarek.

— Już prawie północ. Jeśli jest jakaś pointa, to sugeruję, żebyś do niej doszła, zanim zasną.

— Wątpię, żebyś mógł to zrobić — odparła Holly. — W gruncie rzeczy uważam, że jesteś o wiele bardziej zainteresowany, niż dajesz po sobie poznać.

— Zainteresowany tobą. Tyle tylko, że lubię, kiedy dziewczyny, z którymi się spotykam, są mniej gadatliwe.

— Słuchaj dalej — powiedziała Holly. — Następnym problemem Działu Operacji Specjalnych okazało się pozyskiwanie informacji. Kiedy w 1979 roku obalono szacha Iranu, CIA straciła tam większość swoich wpływów. W trakcie kryzysu irańskiego Agencja nie była w stanie zdobyć

godnych zaufania informacji na temat miejsca przetrzymywania zakładników i liczebności straży. Żeby odnieść sukces, grupa Delta musiała dysponować szczegółowymi danymi. Uznano, że dane te powinny być przygotowane przez wojskowych. Dlatego utworzono Działania Wspomagające Wywiad, ISA, Intelligence Support Activity.

Ponownie Buchanan poczuł, jak twardnieją mu mięśnie. Jezu, pomyślał. Skąd ta kobieta czerpie swoje informacje?

— ISA to kolejny tajny oddział wojskowy. Do jego zadań należało wysyłanie żołnierzy, udających cywilów, do punktów zapalnych w obcych państwach — na przykład na lotnisko, na którym wylądował samolot opanowany przez terrorystów. Tam ISA dokonywała rozpoznania potencjalnych celów dla Delty i nie tylko dostarczała informacji, lecz także w razie potrzeby służyła wsparciem taktycznym. To było coś nowego. Operacyjna grupa wojskowa działająca w cywilnym przebraniu i dostarczająca informacji, które zwykle zbierała CIA. Komandosi pracujący jako szpiegzy. ISA stała się oddziałem tak tajnym i niekonwencjonalnym, że większość wysokich urzędników w Pentagonie nic o niej nie wiedziała. Teoretycznie w ogóle nie istniała.

Buchanan otworzył sobie trzecie piwo. Wkrótce chciał zamknąć oczy i udać, że pod wpływem alkoholu zapadł w sen.

— Słuchaj dalej — powtórzyła Holly.

— Słucham. Słucham.

— Ta część powinna ci się spodobać. Dział Operacji Specjalnych odkrył problem. W jaki sposób miał utrzymywać w tajemnicy wszystkie te tajne grupy, nawet przed Pentagonem, który nigdy specjalnie nie kochał niekonwencjonalnych sposobów działania? Odpowiedzią było utworzenie grupy zabezpieczającej, również tajnej. Oznaczono ją kryptonimem Żółty Owoc. Żołnierze występowali jako cywile. Ubierali się jak oni, udawali, że prowadzą normalne cywilne interesy, lecz w rzeczywistości zabezpieczali działania Piana Morskiej, ISA i kilku innych tajnych oddziałów wojskowych. Do Żółtego Owocu należało zachowanie całej sprawy w tajemnicy.

Holly spojrzała na Buchanana, czekając na reakcję. Buchanan odstawił butelkę z piwem. Przybrał najbardziej rzeczowy wyraz twarzy, na jaki go było stać.

— Fascynujące.

— To wszystko, co masz do powiedzenia?

— Cóż, operacja najwyraźniej się powiodła — rzekł Buchanan — zakładając, że to, co mi właśnie opowiedziałas, nie jest bajką. Powodem, dla którego tak sądzę, jest to, że nigdy nie słyszałem o Żółtym Owocu. Ani o Pianie Morskiej. Ani o Grupie Uderzeniowej Sto Sześćdziesiąt.

— Wiesz, po raz pierwszy myślę, że możesz mówić prawdę.

— Sugerujesz, że cię okłamałem?

— W tym przypadku być może nie. Te oddziały utworzono niezależnie od siebie. Członkowie jednego nie wiedzieli nic o innych. W gruncie rzeczy nawet ISA podzielono na osobne komórki. Niektóre z osób tam działających wiedziały, kim są ich współpracownicy. Poza tym Piana Morska i Żółty Owoc zdekonspirowały się później i zostały rozwiązane. Już nie istnieją. Przynajmniej pod tymi nazwami. Wiem, że Pianę Morską sformowano później powtórnie na jakiś czas, używając kryptonimu Quasar Talent.

— A zatem, jeśli te grupy nie istnieją...

— Niektóre z nich — odparła Holly. — Inne wciąż działają jak zwykle. A jeszcze inne zostały dopiero utworzone, o wiele bardziej tajne, bardziej wyspecjalizowane, o wiele bardziej ambitne. Szkocka z Wodą, na przykład.

— Szkocka z...? — Buchanan poczuł, jak zimno oblewa mu kark.

— To kryptonim jeszcze jednego zakonspirowanego oddziału wojskowego. Współpracuje on z Urzędem do spraw Walki z Narkotykami i CIA w celu infiltracji karteli narkotykowych Ameryki Południowej i Środkowej i zniszczenia ich od wewnątrz. Ale ponieważ obce rządy nie zgodziły się na obecność ubranych po cywilnemu żołnierzy amerykańskich na swojej ziemi, operacja jest całkowicie nielegalna.

— Albo masz naprawdę bujną wyobraźnię, albo twoje informacje pochodzą ze szpitala dla psychicznie chorych — rzekł Buchanan. — Jakkolwiek jest, nie obchodzi mnie to. Nie wiem nic o tych rzeczach, więc dlaczego miałbym...

— Pracowałeś wcześniej dla ISA, lecz sześć miesięcy temu przeniesiono cię do Szkockiej z Wodą.

Buchanan wstrzymał oddech.

— Jesteś jednym z żołnierzy Operacji Specjalnych przydzielonych do działań w konspiracji — noszących cywilne ubrania, lecz uzbrojonych i używających fałszywych dokumentów — którzy w efekcie funkcjonują jako zbrojne ramię DEA i CIA w obcych państwach.

Buchanan wyprostował się powoli.

— Okay, teraz już naprawdę mam dość. Wystarczy. To, co mi opowiadasz... o co mnie oskarżasz... jest absurdałne. Gdybyś powiedziała coś takiego niewłaściwej osobie, jakiemuś głupcowi — politykowi na przykład — mógłby dać ci wiarę. A wtedy ja znalazłbym się w tarapatkach. Do końca życia odpowiadałbym na pytania, do końca życia! Z powodu jakiejś cholernej bajki.

— Czy to na pewno bajka? — Holly sięgnęła do torby na aparat i wyciągnęła sporządzony przez meksykańską policję portret pamięciowy Buchanana i kilka zdjęć, które Wielki Bob Bailey pokazał mu w Fort Lauderdale. — Te rzeczy nie wydają się pochodzić z bajki.

Buchanan czuł ból w piersiach, patrząc na policyjny portret pamięciowy i fotografie przedstawiające go, jak wysiada razem z Baileyem z samolotu we Frankfurcie, jak stoi przed więzieniem w Meridzie z Garsonem Woodfieldem z amerykańskiej ambasady. Części zdjęć nie znał. Ukazywały go w motorówce na kanale koło Przystani 66, w Fort Lauderdale, rozmawiającego z Baileyem. Zrobiono je z brzegu (Buchanan przypomniał sobie, jak się odwrócił i ujrzał Holly opuszczającą aparat), a kąt został wybrany tak, by znak Fort Lauderdale znalazł się w tle.

Na miłość boską, pomyślał Buchanan, te zdjęcia miały być zniszczone. Co wydarzyło się w Fort Lauderdale po moim wyjeździe? Czy grupa nie wykonała swojego zadania?

— A więc? — zapytał, z trudem ukrywając napięcie. — Co mają oznaczać te fotografie?

— Jesteś naprawdę zdumiewający.

— Co?

— Siedzisz tutaj z niewinną miną... Zaprzeczasz wszystkiemu, bez względu na to, jak mocne są dowody.

— Nie ma tu żadnych dowodów. O czym ty mówisz?

— Daj spokój. Fotografie ukazują cię jako trzy różne osoby.

— Ukazują trzech mężczyzn, podobnych odrobinę do mnie i robiących coś, co wcale nie wygląda na jakieś szpiegowskie historie.

— Jim Crawford. Ed Potter. Victor Grant.

— Huey, Dewey i Louie. Curly, Larry i Moe. Nie wiem, o czym mówisz. A jeśli już padają pytania — które najwyraźniej bardzo lubisz zadawać, lecz na które zupełnie nie lubisz odpowiadać — pytam cię ponownie. Skąd znałaś moje nazwisko? Skąd wiedziałaś, że jestem żołnierzem? Skąd, u diabła, wiedziałaś, że będę jechał tym pociągiem?

Holly potrząsnęła głową.

— Pofne informacje.

— A te bzdury, o które mnie oskarżasz? Słuchaj, istnieje dobry sposób udowodnienia, że mylisz się co do mnie. Prosty sposób. To bardzo łatwe. Wiesz, że nazywam się Buchanan. Żeby udowodnić, że nie mam nic do ukrycia, pokazałem ci nawet moje prawo jazdy. Wiesz, że stacjonuję w Fort Bragg. Więc sprawdź mnie. Dowiesz się, że jestem kapitanem o specjalności szkolenie polowe. To wszystko. Nic więcej. Nic ciemnego i podejrzanego. Żadnych tajnych agentów.

— Sprawdziłam — powiedziała Holly. — I masz rację co do jednej rzeczy. Dowiedziałam się właśnie tego, co mi powiedziałeś. Mają tam wiele dokumentów na twój temat. Ale wyjeżdżasz tak często na te swoje mityczne szkolenia, że nie udało mi się znaleźć nikogo, kto by cię kiedykolwiek spotkał.

— Pytałaś niewłaściwych ludzi.

— A więc kogo? Powiedz mi, kogo mam zapytać. Z drugiej strony i tak nie ma to żadnego znaczenia. To oczywiste, że każdy, kogo wskażesz, musiałby należeć do spisku.

— Kobieto, słuchając cię, myślę, iż za chwilę powiesz mi, że miałem coś wspólnego z zabójstwami obu Kennedych, nie wspominając już o Martinie Lutherze Kingu.

— Nie traktuj mnie protekcjonalnie.

— Jestem wkurzony.

— Albo tylko udajesz. Odnoszę wrażenie, że cały składasz się z dymu i luster. Odślaniasz jedną warstwę, a pod spodem kryjesz dziesiątki następnych. Twoje nazwisko. Twoje dokumenty. Skąd mam wiedzieć, czy Buchanan nie jest tylko kolejnym pseudonimem?

— Na miłość boską...

— Porozmawiajmy o grupie Delta, która jest tajna, lecz każdy o niej wie. Nie jest nawet w części tak ukryta i zakonspirowana jak ISA czy Szkocka z Wodą. Członkowie Delty mieszkają poza bazami. Mają normalne, cywilne mieszkania. Jeżdżą zwyczajnymi cywilnymi samochodami. Kiedy wstają rano i jadą do pracy, wyglądają, jakby pracowali w pierwszej lepszej firmie, tyle że ich zawodem jest na przykład ćwiczenie, jak wdrzeć się do porwanego samolotu i uwolnić zakładników. Noszą cywilne ubrania. Używają cywilnych dokumentów. Fałszywych dokumentów. Fałszywych nazwisk i życiorysów. Nikt, kto mieszka obok nich, nie ma pojęcia, kim są naprawdę i co naprawdę robią. W rzeczywistości większość ludzi w Fort Bragg też nie ma o tym pojęcia. Jeśli członkowie Delty są tak zakonspirowani, to jak głęboko zakonspirowani muszą być ludzie, którzy należą do o wiele bardziej tajnych grup, takich jak ISA czy Szkocka z Wodą?

— Nie możesz chwycić dwóch srok za ogon, Holly. Twierdzisz, że chcesz prawdy, ale najwyraźniej nie zamierzasz uwierzyć w ani jedno moje słowo. A gdybym powiedział, że jestem w tej Szkockiej z Wodą? Odparłabyś pewnie, że kłamię i należę do czegoś zupełnie innego.

— Jesteś bardzo dobry. Szczerze. Moje uznanie.

— Przyjmijmy, że masz rację — rzekł Buchanan. — Czy nie postępujesz głupio oskarżając mnie, iż jestem kimś w rodzaju szpiega? A jeśli poczuję się zagrożony? Mógłbym próbować cię uciszyć.

— Nie sądzę — odparła Holly. — Nie zrobiłbyś niczego, co mogłoby cię narazić na kłopoty. A ja zapewniłam sobie ochronę.

— Jesteś niesamowicie pewna siebie. — Buchanan pomasażował się po bolącym czole. — Czy naprawdę myślałaś, że spojrzę na te zdjęcia, stracę kontrolę i zacznę gadać? Nawet gdybym to zrobił, mógłbym później wszystkiemu zaprzeczyć. Twoje słowo przeciwko mojemu. Chyba że...

Buchanan sięgnął po jej torbę na aparat.

— Hej — zaprotestowała Holly.

Buchanan szarpnął. Holly próbowała go zatrzymać, ale on chwycił jej nadgarstki lewą dłonią, prawą otwierając torbę. W środku był mały dyktafon, świecąca czerwona żaróweczka, taśma przesuwała się z cichym szumem.

— No proszę — powiedział. — Jestem w „Ukrytej kamerze”. A raczej w ukrytym magnetofonie. Nieładnie, nieładnie. Naprawdę brzydko posługiwać się podstępami.

— Słusznie. Tylko ciekawe, że akurat ty to mówisz.

Buchanan wyciągnął dyktafon i znalazł przewód prowadzący do małego mikrofonu schowanego w zapięciu torby.

— Czego używałaś? Wolnego przesuwu taśmy, żebyś nie musiała zmieniać strony? A w razie czego zawsze mogłaś udać się do łazienki.

— Nie możesz winić mnie, że próbowałam.

Buchanan wyłączył urządzenie.

— I tak nie na wiele ci się to zdało. Powiedziałem, że nie mam nic wspólnego z rzeczami, o których mówisz. Na tej taśmie masz tylko moje zaprzeczenia. Nic więcej.

Holly wzruszyła ramionami, ale wyglądała mniej pewnie.

— Koniec zabawy. — Buchanan zbliżył się do niej. — Rozbieraj się.

Spojrzała na niego ostro.

— Co?

— Rozbieraj się albo sam cię rozbiore.

— Nie mówisz chyba poważnie!

— Kobieto, jeśli podrywasz mężczyzn w pociągach, to powinnaś wiedzieć, że będą oczekiwali czegoś więcej niż tylko rozmowy. Rozbieraj się! — Buchanan walnął pięścią w blat stolika.

— Odejdź ode mnie!

Ktoś zabębnił w drzwi przedziału.

— Imponujące — rzekł Buchanan. — Szybciej niż myślałem.

Na twarzy Holly malowała się mieszanina strachu, ulgi i zdumienia.

— O czym ty...? Szybciej niż...?

Buchanan otworzył. Wysoki mężczyzna po trzydziestce — kwadratowa szczęka, szerokie ramiona, potężna pierś, typ byłego gracza w futbol — miał właśnie rąbnąć ramieniem w drzwi. Zamrugnął oczami, zaskoczony nagłym pojawieniem się Buchanana.

— A ty kim jesteś? — zapytał Buchanan. — Mężem?

Gburowato wyglądający mężczyzna zajrzał do wnętrza przedziału, żeby upewnić się, że Holly nic się nie stało.

— Czy przyjacielem? No już — rzucił Buchanan — zaczyna mi brakować określeń.

— Zainteresowaną osobą.

— W takim razie możesz równie dobrze się do nas przyłączyć. — Buchanan otworzył szerzej drzwi i dał znak mężczyźnie, żeby wszedł. — Nie ma sensu stać na korytarzu i budzić sąsiadów. Mam tylko nadzieję, że zmieścimy się wszyscy w tym maleńkim przedziale.

Mężczyzna, patrząc podejrzliwie, wszedł powoli do środka. Buchananiu nagle zrobiło się ciasno. Z trudem zamknął drzwi.

— Dobrze, że nie przyprowadziłaś więcej gości. Mogłoby nam zabraknąć tlenu.

— Skończ z dowcipami — warknął mężczyzna. — O co chodziło z tym rozbieraniem? Co właściwie miałeś zamiar...

— Zapraszałem ciebie — odpowiedział Buchanan.

Potężny mężczyzna otworzył szeroko usta.

— Ten dyktafon był odrobinę zbyt oczywisty — powiedział Buchanan odwracając się ku Holly. — Domyśliłem się, że chciałaś, żebym go znalazł. Potem miałem się poczuć bezpieczny i zacząć gadać, nie wiedząc, że wszystko jest transmitowane przez mikrofon, który masz na sobie, do twojego partnera w jednym z przedziałów. Żeby znaleźć ten mikrofon, musiałem rozebrać cię do naga, więc pomyślałem, że zasugeruję ten pomysł i zobaczę, co nastąpi dalej. — Odwrócił się do mężczyzny. — I oto pojawił się nasz miły przyjaciel.

— Ty skur... — Holly nie dokończyła.

— Hej, przez cały czas mówiłem ci prawdę. Nie mam nic wspólnego z tymi historiami o agentach. Ale to nie znaczy, że jestem idiotą. A teraz, czy jest jeszcze coś, o co chciałabyś mnie zapytać? Robi się późno. Jestem zmęczony. Chciałbym się trochę przespać.

— Ty...

— Tak, tym też zapewne jestem — zgodził się Buchanan.

— Chodź, Holly — powiedział jej towarzysz.

Buchanan usunął się na bok. Z trudem otworzył drzwi.

— Dzięki za piwo i kanapki — powiedział. — Naprawdę wiesz, jak dogodzić facetowi.

Oczy Holly zwięzły się.

— Zostaję.

— Nie bądź wariatką — powiedział jej kompan.

— Wiem, co robię — odparła.

— Słuchaj, to wszystko jest naprawdę bardzo ciekawe — rzekł Buchanan. — Ale ja mówiłem poważnie. Jestem zmęczony.

— I ja mówiłam poważnie. Zostaję.

— Świetnie — rzekł Buchanan. — Jestem gotów na wszystko, żeby przekonać cię, że mówię prawdę. Zobaczysz, że nie powiem nic kompromitującego przez sen.

— Holly, zastanów się nad tym — powiedział osilek.

— Poradzę sobie, Ted.

— Tak, Ted — czekł Buchanan. — Nic jej nie będzie. Obiecuję, że nie zedrę z niej ubrania. Dobranoc, Ted. — Buchanan wyprowadził go za drzwi. — Zostań w kontakcie. Mam nadzieję, że moje chrapanie nie będzie przeszkadzało ci zasnąć.

Starszawa siwa kobieta wyjrzała z przedziału po prawej, poprawiła okulary i zaczęła z natężeniem przyglądać się obu mężczyznom.

— Przepraszam, jeśli panią obudziliśmy — rzekł Buchanan. Patrzył, jak Ted odchodzi kołyszącym się korytarzem i otwiera drzwi ostatniego przedziału po prawej. Buchanan pomachał dłonią zarówno jemu, jak i starszej pani, po czym wszedł z powrotem do przedziału i zamknął drzwi. Przekręcił klucz i przyjrzał się Holly. — Więc którą pozycję wolisz? Dolną czy górną?

— Nie myśl sobie nie wiadomo co tylko dlatego, że postanowiłam zostać. Ted jest naprawdę bardzo twardy. Jeśli pomyśli, że coś mi grozi...

— Łóżka.

— Co?

— Mówię o łózkach. — Buchanan wyciągnął rękę, złapał uchwyt i opuścił górne łóżko. Potem zaczął przygotowywać dolne. — Nie wiem, co chcesz osiągnąć. Ale proponuję, żebyśmy rzucili monetę o to, kto pierwszy idzie do łazienki.

— Och.

- A jeśli nie masz szczoteczki do zębów, to oczywiście możesz skorzystać z mojej.
- Po zastanowieniu...
- No właśnie. — Buchanan przekreślił z powrotem klucz i pchnął drzwi. — Dobranoc, Holly.
- Dobranoc.

## 9

— Skąd znała moje prawdziwe nazwisko? Skąd znała tak wiele moich pseudonimów? Skąd wiedziała, jak mnie znaleźć? Kilkakrotnie zadawałem jej te pytania.

Buchanan stał w budce telefonicznej na Loyola Avenue, niedaleko dworca kolejowego Union Passenger Terminal w Nowym Orleanie. Na ulicy panował hałas. Październikowe niebo miało zamgloną, błękitną barwę. Powietrze było ciepłe i wilgotne. Ale Buchanana obchodziło tylko to, co słyszał przez telefon, i to, czy ktoś go śledzi.

— Dowieśmy się — powiedział obdarzony grubym głosem oficer kontaktowy. — Rób to, co miałeś robić. Nie zmieniaj planów. Odezwiemy się do ciebie. Ale gdyby wydarzyło się coś nowego, zawiadom nas niezwłocznie. I pamiętaj, te zdjęcia, które ona nazywa dowodami nie są jednoznaczne.

— Ale ona w ogóle nie powinna ich mieć. Co stało się w Fort Lauderdale po moim wyjeździe? — zapytał ostro Buchanan. — Ten problem miał zostać rozwiązany.

— Myśleliśmy, że kobieta jest tylko wynajętym pomocnikiem. Nikt nie przypuszczał, że może być reporterką. Kiedy zniknęła, uznaliśmy, że nie należy się nią przejmować.

— Z tego co wiem, Bailey też jest w to zamieszany.

— Nie — odpowiedział oficer pewnie. — Nie jest. Zachowaj spokój. Ciesz się urlopem. W tej chwili kobieta nie jest w stanie nic udowodnić.

— Powiedz pułkownikowi, że był na jednym ze zdjęć, które mi pokazała.

— Nie martw się. Powiem mu na pewno. Na wszelki wypadek, gdybyśmy musieli się z tobą skontaktować, bądź w swoim hotelu między szóstą a ósmą dziś wieczorem. Potem sprawdź miejsca spotkań, które ustaliliśmy przed twoim wyjazdem.

Buchanan, zdenerwowany, odwiesił słuchawkę, zarzucił torbę na ramię, otworzył drzwi budki i wyszedł na zewnątrz.

Rudowłosa kobieta i jej towarzysz wyłonili się zza drzew w pobliskim parku.

Boże, pomyślał Buchanan. Ruszył w ich stronę.

— Wystarczy tego dobrego. Nie życzę sobie, żebyście mnie śledzili i psuli mi urlop.

Holly McCoy wyglądała na rozczarowaną, tym że ją dostrzegł.

— Do kogo dzwoniłeś? Do swoich przełożonych, żeby powiedzieć im, że zostałeś zdekonspirowany?

— Do starego przyjaciela, który się tu przeprowadził. Ale to i tak nie twoja sprawa.

— Dowiedz tego. Złóżmy mu wizytę.

— Jego przyjaciółka powiedziała mi, że wyjechał do Houston na nagłą konferencję.

— Wygodne. Jak się nazywa?

— Kobieto, jestem wystarczająco wściekły, że nie będę mógł się z nim spotkać, a ty jeszcze utrudniasz mi sprawę swoimi ciągłymi...

— Holly. Proszę, nazywaj mnie Holly. To znaczy, skoro niemal spędziliśmy razem noc, moglibyśmy wreszcie zacząć mówić do siebie po imieniu.

Buchanan odwrócił się do jej towarzysza.

— Bez względu na to, ile ona ci płaci, to jest za mało. Czy słuchając jej bez przerwy nie masz ochoty założyć sobie wreszcie pętli na szyję i zakończyć tego wszystkiego?

Odszedł w kierunku wejścia do pobliskiego urzędu pocztowego.

— Brendan! — zawołała Holly.

Nie zareagował.

— Bren! — krzyknęła.

Szedł dalej.

— Hej! — zawołała. — W jakim hotelu się zatrzymasz?

Minęło tak wiele czasu, od kiedy ktokolwiek używał jego imienia, a zwłaszcza zdrobniałej formy, że Buchanan nie od razu zrozumiał, że chodzi o niego. Odwrócił się.

— Dlaczego miałbym ci ułatwiać zadanie? Do diabła, sama się dowiedz.

Przed pocztą jakiś człowiek wysiadał właśnie z taksówki. Buchanan wskoczył do niej i podał kierowcy adres. Gdy taksówka włączyła się do ruchu, usłyszał jeszcze, jak Holly woła za nim: — Hej!

## 10

Brendan. Bren — tłukło mu się po głowie. Zdał sobie sprawę, jak wiele czasu upłynęło od dnia, kiedy po raz ostatni występował pod własnym nazwiskiem.

Teraz było inaczej. Teraz stał przed nim problem najbardziej skomplikowanej roli, jaką kiedykolwiek próbował odegrać. Nie jedna tożsamość, lecz dwie. Naraz. Brendan Buchanan i Peter Lang. Nie tyle schizofrenia, gdzie osobowość zmienia się przechodząc w inną, lecz coś w rodzaju rozdwojenia jaźni. Współistniejące, oddzielne osobowości w jednym ciele.

Żeby osiągnąć cel przyjazdu do Nowego Orleanu i dowiedzieć się, dlaczego Juana wysłała pocztówkę oraz w jakie wpadła tarapaty, musiał zrekonstruować postać Petera Langa. W końcu to on złożył jej obietnicę. To on się w niej zakochał. Desperacko próbując uciec przed sobą, Buchanan bardzo pragnął stać się Peterem Langiem.

Ale to nie Petera Langa śledziła Holly McCoy. Peter Lang nie pracował dla ISA. Nie był przydzielony do Szkołkiej z Wodą. Och, Peter Lang pracował dla tajnej komórki Operacji Specjalnych. To się zgadzało. Ale akurat nie dla tej. To nie Peterem Langiem interesował się „Washington Post”, lecz Brendanem Buchananiem, i to Brendan Buchanan musiał zwieść i odstraszyć Holly McCoy.

Tak więc Peter Lang musiał czasem udawać, że jest Brendanem Buchananiem.

Lang zatrzymałby się w miejscu, które znał, w Dzielnicy Francuskiej, lecz Brendan Buchanan teoretycznie nie był nigdy w Nowym Orleanie. Nie znał dobrych, cichych miejsc. Musiał wybrać mniej zatłoczony, mniej znany, lecz pierwszorzędny hotel, gdzieś niedaleko Dzielnicy Francuskiej, ale i w pobliżu domu towarowego Riverwalk i innych miejskich atrakcji. Holiday Inn–Crowne Plaza, wysoki i lśniący, wydawał się idealny. Zgłosił rezerwację na nazwisko Brendana Buchanana, wpisał się do książki hotelowej, został zaprowadzony do pokoju na dwunastym piętrze, poczekał, aż boy wyjdzie, po czym zamknął drzwi na klucz i wyjął z torby pistolet i paszport Victora Granta. W końcu ktoś mógł zadać sobie trud przeszukania pokoju. Paszport schował do kieszeni lekkiej, szarej sportowej kurtki. Pistolet wsunął za pas z tyłu. Nie interesował go widok za oknem.



Dwie minuty po wejściu do pokoju opuścił go, schodząc po schodach ewakuacyjnych do holu. Rozejrzał się, czy Holly McCoy nie ma w pobliżu, po czym wyszedł na zewnątrz i wsiadł do taksówki, która na niego czekała.

- Dokąd teraz, sir? — zapytał starszawy, siwowłosy czarny mężczyzna o dźwięcznym głosie.
- Cmentarz Metairie.
- Ktoś umarł, sir?
- Przez cały czas ktoś umiera.
- To święta prawda, sir.

Oficer kontaktowy powiedział Buchananowi, żeby nie wychodził z hotelu pomiędzy szóstą a ósmą na wypadek, gdyby miano mu przekazać jakąś wiadomość. Do tego czasu brakowało jednak trzech godzin, a Buchanan chciał być w ruchu. Co ważniejsze, chciał robić to, co zrobiłby Peter Lang. Rozsiadł się więc wygodnie w fotelu i udawał, że podziwia widoki, gdy taksówkarz jechał Tchoupitoulas Street, dotarł do Autostrady 90 i włączył się do ruchu, zdążając w stronę Metairie Street. Ogromny cmentarz, założony w roku 1873, był przed wojną secesyjną torem wyścigowym. Jak wiele innych starych cmentarzy w Nowym Orleanie składał się z rzędów murowanych grobowców. Każdy grobowiec był długi na trzydzieści metrów, wysoki na cztery piętra, miał zamurowane wejścia i krył w sobie nisze, w które wsuwano trumny. Teren był tu tak płaski, a Missisipi płynęła tak niedaleko, że w ubiegłym stuleciu wilgotna gleba zmuszała do chowania ludzi ponad ziemią. Od tamtego czasu systemy odprowadzania wody zredukowały problem wilgoci. Pomimo to tradycja pozostała i większość grobów nadal umieszczano ponad ziemią.

Peter Lang często tu przychodził. Ze starych cmentarzy, które odwiedzał, ten był jego ulubionym. Teoretycznie robił to z powodu swojego rozsmakowania w atmosferze wzniosłości i zainteresowania historią, lecz naprawdę chodziło o to, że zakątki i szczeliny niszczyjących cmentarzy doskonale nadawały się do zostawiania wiadomości (oficer kontrolujący Buchanana — Langa w tamtych dniach miał dość szczególne poczucie humoru). Czasem posłaniec bezpośrednio przekazywał mu zakodowaną wiadomość, gdyż cmentarze były tak pełne zwiedzających i żałobników, że umiejętny kontakt pozostawał nie zauważony.

Teraz jednak Buchanan–Lang przyjechał tu z innego powodu. Cmentarz kojarzył mu się z Juaną. Często towarzyszyła mu podczas takich wycieczek — jej również podobały się stare grobowce. Szczególnie dobrze pamiętał zachwyty Juany, gdy po raz pierwszy zobaczyła miniaturowe mauzoleum wzniesione dla Josie Arlington, wielce zasłużonej dla miasta damy, sprzed wielu lat. Josie postanowiła, że jej grobowiec zostanie zbudowany z czerwonego kamienia i udekorowany granitowymi pochodniami. Gdy Buchanan–Lang dotarł do mauzoleum, nieomal słyszał śmiech Juany. Mgła rozwiała się w powietrzu. Ostre słońce lśniło w głębokim błękitcie i w tej nagłej jasności kontrastującej z mrokiem rozpadającego się cmentarza Buchanan wyobraził sobie Juanę stojącą obok niego, z głową odchylną do tyłu, radosnym uśmiechem i z dłonią na jego ramieniu. Chciał ją przytulić.

I tego wieczora miał to zrobić.

Nigdy nie powinienem był cię zostawiać. Moje życie stałoby się zupełnie inne.

Po raz drugi nie pozwolę ci odejść. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo cię potrzebuję.

Sześć lat temu mówiłem szczerze. Kocham cię.

Albo kocha cię Peter Lang.

A Buchanan–Lang?

A Buchanan?

Głowa nie przestawała go boleć. Pomasował sobie skronie, ale migrena nadal go dręczyła.

Szósta po południu.

Wykonując polecenie swoich przełożonych, Buchanan wrócił do hotelu i czekał na ewentualną wiadomość. Zastanawiał się, czy nie zamówić sobie posiłku do pokoju, ale opuścił go apetyt, nie miał również ochoty na oglądanie CNN. Juana. Cały czas wyobrażał sobie ich ponowne spotkanie. Odtwarzał tamtą noc sprzed sześciu lat. Żałował utraconej szansy.

Usiadł na krześle i nagle pokój pograżył się w ciemnościach, a zostawił przecież odsłonięte okna, żeby podziwiać zachód słońca. Jeszcze przed chwilą niebo zdawało się purpurowe. Teraz nagle i ono, i pokój stały się czarne. Skonsternowany, zaniepokojony, spojrzął na fosforyzujące wskazówki zegarka.

Dziewiąta szesnaście?

Nie. To niemożliwe. W ciemnościach oczy muszą płatać mu figle. Nie dostrzegł wyraźnie wskazówek. Pochylając się nad stołem włączył światło i ponownie przyjrzał się zegarkowi, ze zdenerwowaniem stwierdzając, że naprawdę jest dziewiąta szesnaście, że trzy godziny i szesnaście minut upłynęło bez udziału jego świadomości.

Drogi Boże, pomyślał, to już trzeci raz w ciągu trzech dni. Nie. Mylę się. To czwarty raz. Jezu. Czy jestem tak zaaferowany, że tracę kontrolę nad rzeczywistością?

Wstał, poszedł do łazienki, a potem wrócił i zaczął spacerować po pokoju, próbując poprzez ruch odzyskać poczucie rzeczywistości. Kiedy mijał telefon stojący na biurku, koło szafy ze zdziwieniem spostrzegł, że świeci się czerwona lampka oznaczająca wiadomość.

Ale przecież telefon nie dzwonił.

Zaniepokojony, że jego oficer kontaktowy próbował przekazać mu awaryjne instrukcje, szybko podniósł słuchawkę i nacisnął zero.

Po trzech sygnałach odezwał się kobiecy głos:

— Centrala.

Starał się mówić spokojnie.

— Tutaj pokój dwanaście czternaście. Czy jest dla mnie jakaś wiadomość?

— Chwileczkę, sir, zaraz... Tak.

Buchanan poczuł, jak wali mu serce. Telefonistka powiedziała:

— Holly McCoy zostawiła dla pana wiadomość o szesnastej czterdzieści pięć. Oto ona: „Mieszkamy w tym samym hotelu. Może spotkamy się później?” Mogę zadzwonić do jej pokoju, jeśli pan chce, sir.

— Nie, dziękuję. To nie będzie konieczne — odparł Buchanan i odłożył słuchawkę.

Miał mieszane uczucia. Ulgą nappełnił go fakt, że wiadomość nie pochodziła od jego zwierzchników. Uspokoiło go również to, że zarejestrowana została za piętnaście piąta. Zanim wrócił do swojego pokoju. Zanim usiadł i wyłączył się na trzy godziny. Przynajmniej nie stracił kontaktu aż na tyle, żeby nie usłyszeć dzwonka telefonu. Z drugiej jednak strony był zaniepokojony, że Holly McCoy zdołała go odnaleźć. Nie chodziło tylko o jej irytujący upór czy nieubłagane wścibstwo. To coś więcej. W jaki sposób go znalazła? Czy zadzwoniła do każdego z setek miejscowych hoteli pytając o...

Kiedy rezerwowałem pokój, powinienem użyć innego nazwiska.

Ale używanie innych nazwisk to właśnie powód twoich kłopotów. Gdyby Holly McCoy dowiedziała się, że wpisałeś się do książki hotelowej pod pseudonimem, naprawdę nabrałaby podejrzeń. Poza tym, gdybyś użył bez upoważnienia fałszywego nazwiska, twoi zwierzchnicy zaczęliby się zastanawiać, co się dzieje. Jesteś na urlopie, a nie w trakcie wykonywania zadania.

Ale to właśnie robił: wykonywał zadanie, a czas spotkania był już bardzo blisko. Musiał dotrzeć do Cafe du Monde przed jedenastą. O tej godzinie przyszedł tam z Juaną sześć lat temu. Dzisiaj. Po upewnieniu się, że pistolet tkwi mocno za pasem i nie wystaje spod kurtki, Buchanan otworzył drzwi, sprawdził korytarz, zamknął pokój na klucz i ruszył szybko w dół schodami ewakuacyjnymi.

## 12

Noc była dziwnie podobna do tamtej sprzed sześciu lat. Zaraz po opuszczeniu hotelu zauważył, że w powietrzu unosi się lekki zapach deszczu, a znad Missisipi ciągnie przyjemna bryza. Tak jak wtedy.

Starannie upewnił się, że Holly McCoy nie widać nigdzie w pobliżu, i gdy szedł wzdłuż Tchoupitoulas Street, zwalniając kroku, żeby nie zwracać na siebie uwagi, kolejne podobieństwo między obiema nocami stało się niepokojąco oczywiste. Trwało Halloween. Wielu przechodniów, których mijał, miało na sobie kostiumy i tak jak sześć lat wcześniej, najpopularniejszym z nich zdawał się szkielet: czarny obcisły ubiór z namalowanymi fluorescencyjną farbą zarysami kości i biała maska przedstawiająca czaszkę. Ponieważ tak wiele osób wyglądało podobnie, Buchanan nie potrafił stwierdzić, czy jest śledzony. Poza tym Holly McCoy do ukrycia swoich płomiennorudych włosów potrzebowała tylko maski na głowę. Tej nocy on rzucał się w oczy, ponieważ nie mając kostiumu należał do mniejszości.

Gdy przeciął Canal Street, idąc w kierunku Dzielnicy Francuskiej, usłyszał muzykę, odległą, lecz wyraźną — przybierające na sile pulsujące, jęklive dźwięki jazzu. Przeczytał niedawno w gazecie, że władze Nowego Orleanu zarządziły ciszę nocną, lecz nikogo zdawało się to nie obchodzić. Zespoły uliczne współzawodniczyły z tymi w barach. Dixieland, blues — te i inne style wypełniały wąskie, zatłoczone uliczki Dzielnicy Francuskiej, na których ubrani w kostiumy ludzie tańczyli, śpiewali i pili, by uczcić noc umarłych.

*...gone and left me.  
When the saints...*

Próbował wmieszać się w tłum. Miał niecałą godzinę do spotkania w Cafe du Monde i chciał wykorzystać ten czas na uzyskanie gwarancji, że jego spotkanie z Juana nie będzie przez nikogo obserwowane.

Gdy szedł Bienville Street i Royal Street, a potem Conti w stronę Bourbon Street, poczuł się sfrustrowany niezwykłym tłokiem. Nie mógł przez to poruszać się tak szybko, jakby chciał, ani wykorzystać szansy ewentualnego uskoczenia w podwórko albo boczną uliczkę. Za każdym razem, gdy próbował wykonać mylący manewr, wyrastała przed nim grupa ludzi i wiedział, że jest łatwym celem dla ewentualnego obserwatora. Kupił więc maskę diabła od ulicznego sprzedawcy, lecz natychmiast stwierdził, że utrudnia mu ona widzenie i to do tego stopnia, że zaczął wpadać na ludzi, czując się skrępowany i bezbronny. Zdjął maskę, spojrzął na zegarek i zdumiał się, widząc, jak szybko minął czas. Dochodziła jedenasta. Musiał dotrzeć na miejsce spotkania.

Już niedługo, pomyślał. Niedługo otoczy Juanę ramionami. Niedługo, być może, dowie się, czemu go potrzebowała. Pomoże jej. Udowodni, jak bardzo ją kochał. Naprawi błąd, który popełnił sześć lat temu.

Który — kto popełnił?

Schodząc w dół Orleans Avenue dotarł do mroków Ogrodu Świętego Antoniego. Stamtąd poszedł Pirate's Alley do Jackson Square. Olbrzymi, wykonany z brązu pomnik Andrew Jacksona na koniu wyrósł jak duch z ciemności w zamkniętym, opustoszałym parku. Idąc jedną ze ścieżek okalających żelazne ogrodzenie placu, Buchanan dotarł wreszcie do Decatur Street i zatrzymał się w cieniu, obserwując cel swojej wyprawy.

Miejsce, w którym stał, było zaskakująco puste, wolne od zgiełku i tłumy wypełniającego resztę Dzielnicy Francuskiej. Poczł się wyobcowany i jakby bardziej odsłonięty. Kilka spojrzeń za siebie upewniło go, że jest sam.

A mimo to czuł się zagrożony. Raz jeszcze przyjrzał się miejscu, do którego zmierzał. Wreszcie wyszedł z ciemności, mając wrażenie, że wraca do realnego świata, i ruszył w stronę Cafe du Monde.

Była to duża betonowa budowla, wyróżniająca się tym, że jej ściany zostały utworzone z wysokich, szerokich łuków, dzięki którym restauracja znajdowała się praktycznie na świeżym powietrzu. Podczas ulewnych deszczów wewnątrz lokalu chroniono opuszczając zasłony w biało — zielone prążki, lecz zazwyczaj — a i tego wieczora nie uczyniono wyjątku — jedyną rzeczą, jaka dzieliła ludzi z ulicy od gości siedzących w restauracji, były sięgające do pasa żelazne barierki. Lokal, tak jak i przed sześciu laty, był zatłoczony ponad miarę. Z powodu święta. Z powodu Halloween. Oczekujący na miejsce klienci, niektórzy w kostiumach, stali w kolejce na chodniku.

Buchanan zaczął rozglądać się w poszukiwaniu Juany, mając nadzieję, że ze względu na tłum pozostała na zewnątrz. Gdyby tak było, mogliby bez kłopotów wydostać się z ulicznego zgiełku. Objąłby ją z miłością i razem poszliby szukać jakiegoś spokojnego miejsca. Powiedziałaaby mu, jaka to straszliwa konieczność zmusiła ją do wysłania pocztówki, która dała mu drugą szansę.

Restauracja miała przybudówkę. Mniejszą niż główna część, przykrytą biało-zielonym dachem podtrzymywanym przez białe słupy. Spojrzał ponad niską metalową barierką na klientów siedzących ciasno wokół małych okrągłych stolików. W środku panował ciągły ruch. Gwar setek rozmów wypełnił mu uszy.

Juana. Mocniej wyciągnął szyję, szukając jej wzrokiem. Zmienił pozycję, żeby obejrzeć wewnątrz restauracji pod innym kątem. Zerknął na ludzi czekających w kolejce.

A jeśli ma na sobie kostium? Jeśli jest tak przestraszona, że się przebrała? Nie rozpozna jej. A ona nie musiała się wcale śpieszyć z ujawnieniem. Może była tak przerażona, że chciała najpierw dobrze przyjrzeć się wszystkim wokół.

Juana. Nawet jeśli nie ubrała się w kostium, skąd mógł mieć pewność, że ją rozpozna? Minęło sześć lat. Mogła zapuścić włosy. Mogła...

A co z nim? Czy jego wygląd, tak jak tożsamości, zmienił się w ciągu sześciu lat? Czy włosy miał ufarbowane na ten sam kolor? Czy ważył tyle samo? Czy powinien mieć wąsy? Nie pamiętał, czy Peter Lang nosił wąsy. Czy...

Juana. Przecisnął się obok czekających w kolejce ludzi i wszedł do środka, zdecydowany znaleźć ją za wszelką cenę. Musiała tu być. Pocztówka nie mogła mieć żadnego innego znaczenia. Chciała się z nim zobaczyć. Potrzebowała jego pomocy.

— Hej, koleś, poczekaj na swoją kolejkę! — zawołał ktoś za nim.

— Sir, będzie pan musiał iść na koniec kolejki — powiedział kelner.

— Nie rozumie pan. Mam tu umówione spotkanie i...

— Proszę, sir. Koniec kolejki.

Juana. Cofnął się. Głowa zaczęła boleć go ze zdwojoną siłą, gdy obserwował tłum gości we wnętrzu restauracji. Wyszedł z powrotem na chodnik i pomasaował czoło. Kiedy mijała go grupa ludzi w kostiumach, odwrócił się, żeby zobaczyć, czy Juany nie ma pośród nich. Nagle poczuł, że w bok wbija mu się nóż. Ostry. Zimny. Mrowiący. Potem gorący jak ogień. Jak uderzenie. Stracił

równowagę. Jęknął. Gdy poczuł wilgotne gorąco tryskającej krwi, usłyszał czyjś krzyk. Ludzie odsuwali się od niego w popłochu. Jakiś mężczyzna wpadł na niego. Buchanan poślizgnął się, próbując zahamować upływ krwi. Żelazna barierka zdawała się pędzić w jego stronę?

Nie! — wrzasnął w myślach. Nie moja głowa! Nie jeszcze raz! Nie mogę uderzyć się w...

## ROZDZIAŁ ÓSMY

### 1

*Cuernavaca, Meksyk*

Czarna limuzyna i eskortujące ją samochody jechały autostradą Insurgentes Sur, zmuszone utrzymywać denerwująco wolne tempo w tłumie samochodów uciekających na południe przed smogiem Mexico City. Po przejechaniu sześćdziesięciu kilometrów karawana dotarła do Cuernavaca, najbardziej popularnego i jednocześnie najbardziej ekskluzywnego podmiejskiego kurortu. Łatwo było zrozumieć, dlaczego bogaci i wpływowi goście przybywali tu w każdy weekend. Ukryta w pięknej, zalesionej dolinie, Cuernavaca oferowała przestrzeń, ciszę, przyjemny klimat i co najważniejsze, czyste powietrze. Azteccy władcy budowali tu pałace. Podobnie Cortez. Cesarz Maksymilian szczególnie upodobał sobie miejscowe ogrody. Teraz ważni goście z miasta cenili sobie luksusowe hotele i podobne do zamków rezydencje.

Limuzyna jechała statecznymi ulicami spokojnej dzielnicy, by zatrzymać się wreszcie przed dużą żelazną bramą jednej z posiadłości. Majestatyczne drzewa wylaniały się zza wysokiego kamiennego muru otaczającego rozległy teren. Umundurowany kierowca wysiadł z auta i podszedł do uzbrojonego strażnika, który stał za prętami bramy i patrzył na gościa mrużąc oczy. Po krótkiej rozmowie, podczas której kierowca pokazał strażnikowi jakiś dokument, strażnik wszedł do drewnianej budki przy bramie i przez telefon rozmawiał z kimś w domu. Po chwili otworzył bramę i dał znak kierowcy, żeby wprowadził limuzynę na teren posiadłości. Gdy samochody eskortujące ruszyły także, strażnik zatrzymał je i zaryglował bramę.

Limuzyna jechała ocienioną, krętą aleją i mijając drzewa, ogrody, fontanny, zbliżała się do pałacu. Gdy stanęła przed kamiennymi schodami wejścia, duże podwójne drzwi otworzyły się i wyszedł z nich arystokratycznie wyglądający mężczyzna z wąsami. Najwyraźniej czuł potrzebę okazania szacunku, skoro nie wysłał służącego, by powitał tego szczególnego gościa, lecz uczynił to osobiście. Gospodarz nazywał się Esteban Delgado, a nazwisko — oznaczające „chudy” — pasowało do niego jeszcze bardziej niż tydzień wcześniej, kiedy spotkał się w Acapulco z dyrektorem Narodowego Instytutu Archeologii i Historii. Teraz bowiem wydawał się chorobliwie wymizerowany. Błady i wychudzony, Delgado uwierzyłby zapewne w plotki o swojej poważnej chorobie, gdyby nie wiedział doskonale, że osłabienie wywołane jest potwornym stresem, jaki przeżywa.

Stanął u podstawy schodów i zmusił się do uśmiechu, gdy tylne drzwi limuzyny otworzyły się, a dobrze ubrany, jasnowłosy, przyjemnie wyglądający Amerykanin po trzydziestce wysiadł ze środka. Delgado nie dał się zwieść miłej powierzchowności gościa, pamiętał bowiem, że jego uśmiech — a gość uśmiechał się bardzo rzadko — pozbawiony był nawet odrobiny ciepła. Prawdę powiedziawszy, Delgado tylko raz widział uśmiechającego się Raymonda. Chyba podczas walki kogutów. Teraz Raymond bynajmniej się nie uśmiechał. Ignorując Delgado rozejrzał się ostrożnie dokoła i otworzył drugie drzwi limuzyny. Starszy, siwowłosy mężczyzna w grubych okularach wysiadł z auta.

— Profesorze Drummond — rzekł Delgado z wymuszoną radością. — Nie miałem pojęcia, że zamierza mi pan złożyć wizytę. Gdybym wiedział, zorganizowałbym powitalne przyjęcie na pana cześć.

Drummond władczy gestem podał mu rękę, wbił w niego wzrok i odczekawszy chwilę, odpowiedział po hiszpańsku — był to jeden z siedmiu języków, które znał.

— Przyjechałem akurat do Mexico City w interesach i chciałem coś z panem przedyskutować. W pańskim biurze poinformowano mnie, gdzie pana znajdę. Jeśli może pan poświęcić mi godzinę...

— Ależ oczywiście. — Delgado poprowadził Drummonda i jego asystenta schodami. — To dla mnie zaszczyt gościć pana w moim domu. — Pomimo że drzewa rzuciły cień, Delgado poczuł, że się poci. — Każę przynieść coś odświeżającego. Wolałby pan rum z colą, czy może...

— Nigdy nie piję alkoholu. Ale jeśli pan ma ochotę, to jak najbardziej, proszę wypić sobie drinka.

— Właśnie miałem posłać po lemoniadę.

Weszli w przytłumione światło wnętrza budynku i przecięli chłodny, marmurowy westybul głośno odbijający echem ich kroki. Kolorowo ubrana kilkunastoletnia dziewczyna pojawiła się na szczycie szerokich, kręconych schodów, zrobiła zaskoczoną minę na widok gości, po czym na wyrażone ostrym gestem polecenie Delgado wróciła tam, skąd przyszła. Na końcu korytarza Delgado wprowadził swoich gości do wyłożonego mahoniem gabinetu ze skórzanymi meblami. Było tam wiele trofeów myśliwskich i strzelby w szklanych szafkach — wśród nich egzemplarze starej broni. Oczy Raymonda natychmiast rozbłyły ciekawością. Chwilę później dwaj służący przynieśli napoje, po czym wyszli niezwłocznie.

Ani Drummond, ani Raymond nie tknęli lemoniady. Drummond rozparł się w fotelu, siedząc prosto jak cesarz, z długimi rękami wyciągniętymi po bokach. Jego głos był cichy, lecz mocny, wzrok przenikliwy.

— Sądzę, że pańscy współpracownicy już panu powiedzieli, ale musimy ustalić pewne sprawy. Delgado udał, że nie rozumie.

— Kobieta, panie ministrze. Nie zaskoczę pana, kiedy powiem, że zniknęła.

— Ach. — Serce zabiło Delgado mocniej, ale nie zdradził się w żaden sposób. — Tak. Kobieta. Otrzymałem informacje, które kazały mi uwierzyć, że naprawdę zniknęła.

— I?

Delgado starał się, by jego głos zabrzmiał surowo.

— Co w związku z tym zamierza pan zrobić?

— To, co robię i robiłem — używam wszelkich środków, żeby ją odnaleźć. Każdy szczegół jej życiorysu, każde miejsce, do którego mogłaby uciec, każda osoba, do której mogłaby zwrócić się o pomoc, są dokładnie sprawdzane.

— A jednak minęły już dwa tygodnie, a wciąż nie ma żadnych rezultatów.

Drummond skinął głową z uznaniem.

— Ma pan doskonałe źródła.

— Ale pan nie odpowiedział na moje pytanie. Co zamierza pan zrobić w związku z tą sprawą?

— Nic — odparł Drummond. — Co do pana nasza umowa pozostaje nie zmieniona.

— Nie wiem, dlaczego miałoby tak być. Pan złamał swoją część kontraktu. Zapewniał mnie pan, że jest w stanie kontrolować tę kobietę. Podkreślał pan, że ona rozwiąże mój problem.

— I rozwiązała go.

— Chwilowo. Ale teraz, kiedy zniknęła, problem pozostaje ten sam.

Drummond zmrużył oczy.

— Nie zgadzam się. Jej zniknięcia nie można powiązać z panem.

— Chyba że kobieta zacznie mówić.

— Nie zacznie — powiedział Drummond. — Ponieważ gdyby chciała mówić, już by to zrobiła. To oczywisty sposób, za pomocą którego mogłaby próbować uratować swoje życie. Wie jednak, że zabilibyśmy ją natychmiast. Twierdzę, że kobieta milczy ze strachu. Chce również dać nam znak, że jeśli zostawimy ją w spokoju, nie będzie dla nas zagrożeniem. Czy raczej nie będzie

zagrożeniem dla pana. W końcu to pański problem. Ja tylko wyświadczałem przysługę próbując go rozwiązać.

Delgado ogarnął gniew.

— To nie była przysługa, lecz transakcja.

— Nie zamierzam kłócić się o słowa. Przyjechałem powiedzieć panu, że pomimo jej zniknięcia oczekuję, że będę mógł prowadzić mój interes, tak jak się umówiliśmy.

Delgado wstał, zdenerwowany.

— To może okazać się bardzo trudne. Dyrektor Narodowego Instytutu Archeologii i Historii jest wściekły, że uzyskał pan kontrolę nad odkryciem na Jukatanie. Próbuje skłonić czynniki rządowe do rozpoczęcia oficjalnego śledztwa w tej sprawie.

— Niech pan go od tego odwiedzie.

— Wątpię, czy jest to możliwe.

Teraz z kolei wstał Drummond.

— Potrzebuję jeszcze tylko kilku tygodni. Jestem zbyt blisko. Nic mnie nie powstrzyma.

— Chyba że się panu nie uda.

— Mnie się zawsze udaje — najeżył się Drummond. — A poza tym jestem partnerem, który nigdy nie przebacza. Jeśli mnie pan zawiedzie, pożałuje pan tego, pomimo zniknięcia kobiety.

— Niby dlaczego? A jeśli kobieta nie znajdzie się i nie zacznie mówić?

— Kobieta była potrzebna tylko po to, żeby pana ochronić. Żeby pana skompromitować, wystarczy mi to.

Strzelił palcami. Raymond otworzył neseser i podał Drummondowi dużą kopertę z kasetą wideo w środku. Ten wręczył kopertę Delgado.

— To oczywiście kopia. Czekałem z tym na odpowiednią chwilę. Niech pan będzie ostrożny i nie zostawia jej tam, gdzie mogłaby ją znaleźć pańska żona lub córka. Albo prezydent. Lepiej, żeby nie wpadła mu w ręce. Skandal polityczny tego rodzaju zagroziłby jego pozycji i — nie muszę dodawać — zniszczyłby pańskie szanse na zostanie jego następcą.

Delgado chwycił kopertę, czując, jak strużka potu cieknie mu po karku.

Drzwi do gabinetu otworzyły się nagle. Delgado ze ściśniętym żołądkiem odwrócił się na pięcie i ujrzał swoją żonę. Inteligentna, wrażliwa, wykształcona, doskonale rozumiała rolę małżonki polityka i jej zachowanie było bez zarzutu. Tolerowała częste wyjazdy Delgado i bez wątplenia wiedziała o jego licznych romansach. Zawsze była na miejscu, kiedy potrzebował symbolicznego wsparcia podczas spotkań publicznych. Nic dziwnego — wychowała się przecież w rodzinie polityków. Od wczesnej młodości poznawała reguły gry. Była siostrą prezydenta Meksyku, najlepszego przyjaciela Delgado.

— Przepraszam, że przeszkadzam, kochanie. Nie wiedziałam, że masz gości. Jak się pan miewa, panie Drummond? — zapytała bezbłędnie po angielsku. Jej drogie ubranie i biżuteria podkreślały prostotę rysów.

— Doskonale — odparł Drummond po hiszpańsku. — A pani? Mam nadzieję, że u pani wszystko w porządku, *señora!*

— Tak. Świetnie. Czy zostanie pan na obiedzie?

— Dziękuję za zaproszenie, ale zaraz muszę jechać. Chciałem przedyskutować pewne sprawy z pani mężem. Za chwilę odlatuję do Europy.

— Jest pan u nas zawsze mile widziany — powiedziała. — Esteban, będę w ogrodzie.

Wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Przez moment w gabinecie panowała nieprzyjemna cisza.



— Proszę się zastanowić — powiedział Drummond. — Niech pan nie będzie głupcem i nie zrukuje wszystkiego, co z takim trudem pan osiągnął. Proszę obejrzeć tę taśmę, zniszczyć ją i wypełnić pozostałe warunki naszej umowy.

Delgado nie okazał po sobie gniewu, który nagle w nim zapłonął. Przychodzisz do mojego domu. Ignorujesz moją gościnność. Grozisz mi. Narażasz moje dobre stosunki z żoną i córką. Szczęka rozboleła go z wściekłości. Przyjdzie czas, kiedy nie będziesz miał nade mną władzy.

A wtedy cię zniszczę.

— Dyrektor Instytutu Archeologii i Historii — rzekł Drummond. — Kiedy powiedziałem, żeby odwiódł go pan od wtrącania się w nasze sprawy, miałem na myśli wyeliminowanie go. Chcę, żeby zastąpił go ktoś, kto wie, jak iść na kompromisy, kto nie będzie sprawiał kłopotów i ceni sobie przysługi.

## 2

Buchanan skulił się.

— Witaj z powrotem. Jak się czujesz?

Minęło parę sekund, zanim zrozumiał, o co jest pytany. Minęło kilka następnych, zanim odpowiedział.

— ...Boli mnie.

— Wcale się nie dziwię. — Kobieta zaśmiała się. Nie był to śmiech szyderczy. Przebijała z niego sympatia. Brzmiał miękko, a jednocześnie głęboko. Podobał mu się.

Trwało kolejną chwilę, zanim mgła rozwiała się na tyle, że mógł zdać sobie sprawę, że jest w szpitalnym łóżku. Nie wiedział, co sprawia mu większy ból, łupanie w czaszce czy ogień w prawym boku. Głowę miał owiniętą bandażem. Bok też był sztywny od bandażu. I szwów.

— Martwiłam się o ciebie — powiedziała kobieta. Skupił na niej wzrok, oczekując, że ujrzy pielęgniarkę nachylającą się nad łóżkiem, albo być może, oby tak było, Juanę, chociaż ta kobieta nie miała latynoskiego akcentu. Gdy zauważył rude włosy, znaczenie tego faktu dotarło do niego w mgnieniu oka. Drgnął powtórnie.

— Rozluźnij się — powiedziała Holły McCoy. — Nic ci nie jest. Wszystko będzie dobrze.

Akurat, pomyślał. Wszystko toczyło się źle, bardzo źle, chociaż szum w głowie uniemożliwił mu uświadomienie sobie, jak bardzo.

— Cóż — powiedział jakiś mężczyzna. — Widzę, że dochodzi pan do siebie. Lekarz. Jego biały fartuch kontrastował z czarną skórą. Wszedł do pokoju i przestudiował kartę wiszącą w nogach łóżka, mówiąc wreszcie:

— Pielęgniarki z nocnej zmiany budziły pana co jakiś czas, żeby zbadać reakcje neurologiczne. Czy pamięta pan to?

— ...Nie.

— Czy pamięta pan mnie?

— ...Nie.

— To dobrze. Ponieważ to nie ja badałem pana wczoraj wieczorem, podczas ostrego dyżuru. Proszę szczerze odpowiedzieć na moje pytania. Pierwsza rzecz, która przyjdzie panu na myśl. Zrozumiał pan?

Buchanan skinął głową, mrugając oczami z powodu bólu, który spowodował ten ruch.

— Czy wie pan, dlaczego jest pan tutaj?

— ...Nożem.

— Kolejna dobra odpowiedź. Czy pamięta pan gdzie?

— ... W bok.

Lekarz uśmiechnął się nieznacznie.

— Nie. Mam na myśli, miejsce, w którym dokonano napadu.

— ...Dzielnica Francuska... Cafe du Monde.

— Dokładnie. Zaatakowano pana na chodniku przed restauracją. Kiedy tylko poczuje się pan na siłach, trzeba będzie złożyć zeznanie, chociaż sądzę, że pana przyjaciółka przekazała już policji wszystkie konieczne szczegóły.

Holly pokiwała głową. Moja przyjaciółka? Policja?

— Jeśli lubi pan towarzystwo w nieszczęściu, to informuję, że nie jest pan tu sam — ciągnął dalej lekarz. — Wczoraj na ostrym dyżurze mieliśmy kilka ofiar bandyckich napaści, a parę z nich nie miało takiego szczęścia jak pan. Kilka osób jest w krytycznym stanie.

— ...Bandyckich?

— Podalam policji rysopis człowieka, który to zrobił — powiedziała Holly. — Tyle że nie na wiele się to zdało. Był ubrany w kostium pirata, a ostatniej nocy wiele osób miało na sobie kostiumy.

Sięgnęła po plastikowy kubek i włożyła zgiętą słomkę między jego wargi. Woda była chłodna.

— Jest pan w Centrum Medycznym Uniwersytetu Stanowego w Luizjanie — powiedział lekarz.

— Pańska rana wymagała dwudziestu szwów. Ale miał pan szczęście. Żaden organ wewnętrzny nie uległ uszkodzeniu. Ostrze nie weszło zbyt głęboko.

Policja? — pomyślał Buchanan. Jezu, miałem przy sobie pistolet! A jeśli go znaleźli? Musieli go znaleźć. I fałszywy paszport Victora Granta. Będą się zastanawiać, co...

— Uderzył się pan w głowę podczas upadku — powiedział lekarz. — Doznał pan wstrząsu.

Jeszcze jednego?

— Wydaje się, że nie nastąpiły żadne uszkodzenia neurologiczne. Ale nie zdziwiłbym się, gdyby w którymś momencie zaczęły pana męczyć te wszystkie pytania. Na przykład to, ile palców pan teraz widzi?

— Trzy.

— Ile ma pan lat?

— Trzydzieści dwa.

— Jak się pan nazywa?

— ...

— Jak się pan nazywa? — powtórzył lekarz.

Skoncentrował się.

Akurat to pytanie...

No już. No już. Jak się nazywam?

— ...Peter Lang. — Odetchnął.

— Nie. Odpowiedź błędna. Dokumenty z portfela — którego zresztą złodziejowi nie udało się ukraść — stwierdzają, że nazywa się pan...

— Brendan Buchanan.

— To już lepiej — powiedział lekarz. — Dużo lepiej. Upewnijmy się więc. Jak się pan nazywa?

— ...Brendan Buchanan.

— A zatem dlaczego powiedział pan, że Peter Lang?

— ...To mój przyjaciel. Muszę go zawiadomić, co się stało.

— Panna McCoy może to zrobić za pana. Przez chwilę już się martwiłem. Bałem się, że wstrząs mógł okazać się poważniejszy, niż wskazywałoby na to USG.

Nie udało mu się ukraść portfela? Jeśli lekarz to wie, to znaczy, że policja mnie przeszukała. Musieli znaleźć pistolet.

I paszport też! Może lekarz oczekiwał, że podam nazwisko Victora Granta?

Pielęgniarka mierzyła mu ciśnienie.

— Sto piętnaście na siedemdziesiąt pięć.

Lekarz z zadowoleniem skinął głową.

— Niech pan spróbuje otworzyć oczy tak szeroko, jak to możliwe. Muszę panu w nie poświecić tą lampką. Dobrze. Teraz proszę spojrzeć na ruch mojej ręki. Proszę patrzeć na mnie, kiedy będę pukał w pana stawy. Teraz przeciągam końcem tego młotka po pana stopach. Świetnie. Pańskie reakcje zdają się prawidłowe. Płuca brzmią w porządku. Bicie serca jest silne i regularne. Jestem dobrej myśli. Proszę spróbować odpocząć. Wrócę dziś po południu.

— Dotrzymam mu towarzystwa.

Holly podała Buchananowi kolejny łyk wody.

— Pod warunkiem że będzie odpoczywał. Nie chcę, żeby rozmawiał. Z drugiej strony nie chciałbym, żeby za dużo spał. Przynajmniej do czasu, kiedy upewnię się, iż niebezpieczeństwo minęło.

— Rozumiem, doktorze. Chcę mu tylko dodać odwagi — powiedziała Holly.

— TLC nigdy nie boli. — Lekarz ruszył w kierunku drzwi, a potem się odwrócił. — Zdaje się, że dostał pan ostatnio mocno w kość, panie Buchanan. Co spowodowało ranę ramienia?

— ...Uch. To...

— Wypadek na łodzi — wybawiła go Holly. — Krawędź śruby.

— Dobrze przynajmniej, że jest pan ubezpieczony. — powiedział lekarz z uśmiechem.

### 3

Buchanan, cały spięty, poczekał, aż lekarz i pielęgniarka wyjdą z pokoju, a potem powoli obrócił głowę i spojrzął na Holly. Uśmiechnęła się czarująco.

— Chcesz jeszcze wody?

— ...Co się dzieje?

— Wiesz, kiedy byłam małą dziewczynką, nie mogłam się zdecydować, czy chcę być pielęgniarką czy reporterką. Teraz jestem i jednym, i drugim.

Buchanan nabrał powietrza z wyraźnym trudem i zapytał chrapliwym szeptem:

— Co się stało? W jaki sposób...?

— Oszczędzaj siły. Wczoraj wieczorem śledziłam cię, kiedy wyszedłeś z hotelu.

— Skąd wiedziałaś, gdzie się zatrzymałem?

— To poufna informacja. Resztę już ci powiedziałam. Ja będę mówiła. Wiedziłam, że kiedyś wyjdiesz z hotelu, więc czekałam po drugiej stronie ulicy. Hotel nie ma tylnego wyjścia, poza drzwiami dla personelu. Nie sądziłam, żebyś chciał zwracać na siebie uwagę wychodzeniem przez te drzwi, więc uznałam, że najlepiej będzie obstawić front. Ale i tak miałam Teda — pamiętasz, tego z pociągu — który pilnował wyjścia dla personelu. Utrzymywaliśmy kontakt za pomocą krótkofalówek. Kiedy pojawiłeś się na zewnątrz, byłam jednym z przebierańców. Musiałam włożyć kostium, żeby zasłonić włosy. Nie zauważyłeś, że idę za tobą.

Buchanan odetchnął.

— Powinnaś je ufarbować.

— Co?

— Włosy. Jeśli chcesz śledzić ludzi. Zmienić kolor na bardziej zwyczajny.

— Nigdy. Ale mam wrażenie, że ty zmieniałaś kolor włosów dość często.

Buchanan nie odpowiedział.

Holly podała mu kolejny łyk wody.

— A na marginesie, czy moja odpowiedź była prawidłowa? Kiedy lekarz zapytał cię, skąd wzięła się rana na twoim ramieniu? Wypadek na łodzi? Jako Victor Grant, czy nie to właśnie powiedziałeś meksykańskiej policji?

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Pewnie.

Ciążyły mu powieki.

Skąd ona uzyskuje te wszystkie informacje? — pomyślał.

— To tajemnica — powiedziała Holly.

— Co?

— Zapytałeś mnie, skąd uzyskuję informacje. Odpowiedziałam, że to tajemnica.

Czy ja naprawdę powiedziałem to na głos?

Nie był w stanie utrzymać opadających powiek.

#### 4

Lekarz wskazał na nie zjedzoną kanapkę z tuńczykiem.

— Martwi mnie pański brak apetytu.

— Szpitalne jedzenie. Nigdy go nie lubiłem. Czuję zapach wszystkich poprzednich posiłków, które leżały na tej tacy.

— Panie Lang...

— Buchanan.

— Tak, panie Buchanan. Chciałem się tylko upewnić. Jeśli chce się pan stąd wydostać, musi pan rozwiązać wszelkie moje wątpliwości na temat wstrząsu, którego pan doznał. Na pana miejscu zjadłbym tę kanapkę, a potem poprosiłbym siostrę o jeszcze jedną.

Buchanan zmusił się, by sięgnąć po jedzenie.

— Poczekaj, pomogę ci — powiedziała Holly.

— Myślę, że pan doktor wolałby, żebym zrobił to sam.

— Jest pan badaczem ludzkiej natury — powiedział lekarz. — Kiedy już pan zje, chciałbym, żeby wstał pan z łóżka i przespacerował się trochę. Poszedł do łazienki, na przykład. Chcę być pewny, że pańskie nogi i reszta ciała działają jak należy.

— Czy ktoś powiedział już panu, że traktuje pan swoich pacjentów jak niewolników?

Czarnoskóry lekarz uniósł brwi.

— Żarty są oznaką powrotu do zdrowia. Przyjdę po lunchu, żeby zbadać pana ponownie.

Gdy tylko wyszedł, Buchanan odłożył kanapkę z tuńczykiem i spojrzął na Holly.

— Nie sądzę, żebyś chciała zjeść to za mnie. Albo wyrzucić gdzieś.

— Jeśli chcesz stąd wyjść, to zachowaj się po męsku i zjedz to sam.

Szmaragdowe oczy Holly zaśniły figlarnie.

— Co sprawia, że uzyskujesz taki kolor oczu? Barwione szkła kontaktowe?

— Francuskie krople. Wiele filmowych gwiazd ich używa. Uwydatniają naturalny kolor. To sztuczka, której nauczyłam się, kiedy pracowałam w Los Angeles. Mam wrażenie, że i tobie by się

przydała. Na czas, kiedy zmieniasz swój wygląd. Nie musiałbyś oszukiwać nikogo tymi barwionymi szklami kontaktowymi, o których wspominałeś.

— Dlaczego miałbym chcieć zmieniać swój wygląd?

— Nie dajesz za wygraną — powiedziała z irytacją.

— Ty też nie. Wczorajszy wieczór. Co się stało? Nie dokończyłaś.

— Śledziłam cię przez Dzielnicę Francuską, aż do Cafe du Monde. Gdy tam dotarłeś, była już jedenasta. Zdawałeś się szukać kogoś. W gruncie rzeczy szukałeś nawet dość gorączkowo.

— Umówiłem się ze starym przyjacielem. Jedynym powodem, dla którego nie chciałem, żebyś mnie śledziła, było to, że miałem już dość twoich pytań.

— A teraz jesteś tutaj i cały czas ich słuchasz.

— Cafe du Monde.

— Obserwowałam cię z drugiej strony ulicy, więc nie widziałam wszystkiego dokładnie. Wyszedłeś z restauracji. Nagle zrobiło się zamieszanie, mijała cię grupa ludzi. Zachowywali się, jakby byli pijani. Potem jeden z nich, mężczyzna przebrany za pirata, zderzył się z tobą. Chwyciłeś się nagle za bok i zachwiałeś. Jakaś kobieta krzyknęła. Ludzie zaczęli odsuwać się od ciebie. Potknąłeś się o kogoś. Uderzyłeś głową w żelazną barierkę. Pobieglam w twoją stronę, ale wcześniej zdażyłam jeszcze zauważyć, że mężczyzna w kostiumie pirata chowa nóż za pazuchę i znika w tłumie. Zostałam przy tobie, próbując powstrzymać upływ krwi, podczas gdy kelnerzy z restauracji dzwonili po karetkę.

— Nie boisz się krwi?

— Przecież nie dokończę mojego artykułu, jeśli wcześniej umrzesz.

— A ja przez cały czas myślałem, że zafascynowała cię moja osobowość.

— Która?

— Co?

— Która osobowość? Miałeś ich tak wiele.

Buchanan odłożył resztkę kanapki z tuńczykiem.

— Poddaję się. Nie wiem już, jak mam cię przekonać, że...

— Masz rację. Nie ma nic, co mogłoby mnie przekonać. A ostatni wieczór upewnił mnie jeszcze bardziej. Mężczyzna w kostiumie pirata nie próbował cię ograbić. Powiedziałam tak policji, żeby przypadkiem nie zaczęli mieć wątpliwości. Nie, ten człowiek nie chciał cię okraść. Chciał cię zabić. — Usiadła prosto. — Dlaczego? Z kim miałeś się spotkać? Co takiego się...

— Holly.

— ...dzieje, że...

— Holly, teraz ja chciałbym zadać ci pytanie — rzekł Buchanan. — Miałem coś przy sobie. Jeśli ktoś to znalazł, to jestem pewien, że policja...

— Pewnie — odparła Holly.

— ...oddałaby mi to albo...

— Chciała przeprowadzić z tobą bardzo szczerą rozmowę. — Otworzyła torebkę. — Czy tego szukasz?

Buchanan ujrzał swoją półautomatyczną beretę. Zmrużył oczy.

— Nie wypadł ci — powiedziała Holly. — Wyczułam go, kiedy próbowałam opatrzeć twój bok. Udało mi się schować go niepostrzeżenie, zanim przyjechała policja i karetka.

— To nic nadzwyczajnego. Noszę go dla ochrony.

— Jasne. Na przykład, kiedy masz się spotkać ze starym przyjacielem. Nie wiem, co mówi prawo w tym stanie, ale jestem prawie pewna, że na noszenie czegoś takiego potrzebne jest zezwolenie. Wiem też, że jeśli rzeczywiście jesteś kapitanem z Fort Bragg, to twoi przełożeni nigdy nie zgodziliby się, żebyś chodził uzbrojony podczas urlopu.

— Wielu ludzi nosi teraz broń — zaprotestował Buchanan. — Ta bandycka napaść pozwala zrozumieć dlaczego.

— Próba morderstwa, a nie napaść.

— To dowodzi, że mam rację. Jakiś świr upija się, być może łyka jakieś prochy. Przebiera się w kostium pirata. Nagle wydaje mu się, że jest prawdziwym piratem. Więc dźga kogoś nożem. Odpowiednik strzelania z jadącego samochodu.

— Chcesz, żebym w to uwierzyła?

— Słuchaj, nie wiem, dlaczego pchnął mnie nożem. Ta teoria jest równie dobra, jak każda inna.

— Tyko czy policja uwierzyłaby ci, gdyby znalazła drugą rzecz, którą zgubiłeś?

Drugą...? Buchananowi zrobiło się nagle zimno.

— Czekałam, aż mnie o to zapytasz. — Holly spojrzała na drzwi, upewniając się że nikt nie zagląda do środka, po czym wyciągnęła z torebki paszport. — Sanitariusze pogotowia musieli zdjąć ci kurtkę, żeby obejrzyć ranę. Powiedziałam im, że jestem twoją dziewczyną, i pilnowałam jej. I dobrze, że to zrobiłam. Dobrze dla ciebie. — Otworzyła paszport. — Victor Grant. Ładnie, ładnie.

Buchanana przeszył lodowaty dreszcz.

— Niezłe zdjęcie. Miałaś odrobinę krótsze włosy. Tak, pistolet w połączeniu z paszportem na inne nazwisko niż reszta dokumentów z pewnością zainteresowałyby policję. Najpierw pomyśleliby, że handlujesz narkotykami. Co zresztą nie jest specjalnie odległe od prawdy, biorąc pod uwagę twoje powiązanie z tajnymi operacjami takimi jak Szkocka z Wodą.

Buchanan wstrzymał oddech.

— A więc? — Holly włożyła paszport z powrotem do torebki. — Zawsze miałaś tyle przekonywających wyjaśnień na temat swojego niezwykłego zachowania. Jaka wersja będzie teraz?

Buchanan przyciągnął do siebie sałatkę.

— Nagle głodny? Próbujesz zyskać na czasie, zanim wymyślisz jakiś powód posiadania fałszywego paszportu?

— Holly, ja...

Sięgnął po widelec.

— Nie możesz żadnego znaleźć, co? — zapytała.

Odłożył widelec i westchnął.

— Lepiej przestań się tym zajmować, Holly. Zrób to dla siebie i wycofaj się po cichu. Zapomnij, że kiedykolwiek widziałas ten paszport.

— Nie mogę. Zawsze chciałam dostać Pulitzera. Myślę, że dzięki temu go zdobędę.

— Posłuchaj. Załóżmy przez chwilę, że masz rację. — Buchanan podniósł dłoń. — Do niczego się nie przyznaję, załóżmy tylko coś takiego. Ludzie po przeciwnej stronie barykady grają według reguł, których nie znasz, o których nie masz zielonego pojęcia. Zamiast dostać Pulitzera, możesz znaleźć się w trumnie.

— Czy to groźba?

— To ostrzeżenie udzielone przez przyjaciela.

— Nie wątpisz chyba, że się zabezpieczyłam? Zrobiłam kopie materiałów, które zebrałam. Ma je pięć różnych zaufanych osób.

— Pewnie. Twój prawnik. Twój wydawca. Twój najlepszy przyjaciel.

— Mniej więcej.

— No właśnie. Dobry specjalista wydedukowałby pewnie, gdzie ukryłaś swoje materiały. Ale jest prawdopodobne, że nikt w ogóle nie zadałby sobie trudu, żeby ich szukać. Gdyby twoje materiały były aż tak wspaniałe, to artykuł zostałby już dawno opublikowany. Nie masz nic prócz

podejrzeń, którym łatwo zaprzeczyć. Ale jeśli ktokolwiek poczułby się nimi zagrożony, może nie myśleć wcale o ewentualnych kopiach. Może po prostu chce się siebie pozbyć.

— A ty? — zapytała Holly.

— To znaczy, czy ja pomyślałbym o pozbyciu się ciebie? Nie gadaj głupstw. Ja nie mam z tym nic wspólnego. Daję ci tylko dobrą radę.

— Nie. Co z tobą? Czy ty nie czujesz się zagrożony?

— Dlaczego, na Boga, miałbym...

— Gdybyś wykonywał oficjalne zadanie, nie podróżowałbyś pod własnym nazwiskiem i do tego z fałszywym paszportem w kieszeni. Twoim szefom się to nie spodoba. Po tym, co stało się w Meksyku i na Florydzie, pomyślą, że stracili nad tobą kontrolę. Będą się zastanawiać, co, u diabła, robiłeś z pistoletem i z paszportem, którego nie powinieneś mieć. Tak, nie jestem twoim jedynym problemem. Ty i twoi kontrolerzy musieliście ustalić procedurę kontaktową. Jeśli nie odebrałeś jakiejś wiadomości, będą bardzo zdenerwowani. Lepiej do nich zadzwoń.

— Jeśli jestem tym, za kogo mnie uważasz, czy sądzisz, że zadzwoniłbym do nich w twojej obecności? Z nie sprawdzonego telefonu?

— Lepiej coś zrób. Będą się niecierpliwili. I nie zapominaj, że im więcej czasu zabierze ci nawiązanie z nimi kontaktu, tym bardziej będą wątpili w twoją przydatność do pracy.

Buchanan poczuł pulsowanie krwi za uszami.

— Widzę, że wrócił panu apetyt — powiedział lekarz wchodząc do pokoju.

— Tak, prawie skończyłem sałatkę.

— To proszę dokończyć jeszcze galaretkę, panie Lang.

— Buchanan.

— A potem proszę przejść się do łazienki. Kiedy pan to zrobi, uspokoi mnie pan na tyle, że zacznę myśleć o wypuszczeniu pana.

## 5

Buchanan — ubrany w trampki, dzinsy i niebieską koszulkę z krótkim rękawem, rzeczy, które Holly kupiła mu, żeby zastąpić poplamione krwią buty i pozostałe części garderoby — miał wrażenie, że siedzi w ciasnej klatce, kiedy siostra posadziła go na inwalidzkim wózku. Jechał teraz przez zatłoczony hol szpitala do głównego wyjścia.

— Powiedziałem pani, że mogę iść sam.

— A potem by się pan na przykład potknął, upadł i podał szpital do sądu? Kiedy znajdzie się pan za tymi drzwiami, będzie odpowiadał sam za siebie. Na razie muszę się panem opiekować.

Minęli drzwi, wychodząc na pełną zgiełku ulicę i Buchanan zasłonił ręką oczy, oślepiony jaskrawym słońcem.

Pielęgniarka pomogła mu wysiąść z wózka.

— Ktoś, zdaje się, miał na pana czekać.

— Zgadza się — skłamał.

Nie widział Holly od dłuższego czasu i nie wiedział, co się z nią dzieje. Właściwie powinien być zadowolony, że nie musi słuchać jej natarczywych pytań, ale teraz poczuł się zdenerwowany. Zaniepokojony. Pistolet i paszport. Muszę je odzyskać.

— Usiądę sobie na tej ławce. Mój przyjaciel powinien zjawić się lada chwila.

— Życzę miłego dnia, panie Buchanan.

— Lang.

Pielęgniarka spojrzała na niego dziwnie, odchodząc z wózkiem.

Był ciekaw dlaczego.

Potem zrozumiał.

Przeszył go dreszcz.

Co się ze mną dzieje?

Kiedy tylko pielęgniarka zniknęła za drzwiami, Buchanan wstał. Nie chciał, żeby transportowano go na zewnątrz na wózku, ponieważ musiał skorzystać z telefonu przed opuszczeniem szpitala.

Starając się nie chwiać, wszedł ponownie do holu i zbliżył się do rzędu wiszących na ścianie automatów. Drżała mu ręka, kiedy wkładał monetę. Trzydzieści sekund później rozmawiał już ze swoim oficerem kontaktowym.

— Gdzie byłeś? — zapytał ostro burkii wy głos.

Zniżając głos, zadowolony, że nikt nie stoi przy sąsiednich telefonach, odparł:

— Byłem w szpitalu.

— Co?

— Jakiś sukinsyn próbował mnie obrabować — skłamał. — Zaszedł mnie od tyłu i pchnął nożem.

— Dobry Boże! Kiedy nie pojawiłeś się dzisiaj rano na żadnym z punktów kontaktowych, zaczęliśmy się martwić. Zaalarmowaliśmy agentów na wypadek, gdybyś miał kłopoty.

— Dopisało mi szczęście. Rana nie była groźna. Praktycznie trzymali mnie tutaj tylko na obserwacji. Jednak w pokoju przez cały czas kręciło się tyle pielęgniarek, że wolałem nie ryzykować dzwonienia pod wasz numer, szczególnie że szpitalna centrala automatycznie by go zarejestrowała. To pierwsza okazja, jaką miałem, żeby się z wami porozumieć.

— Denerwowaliśmy się, stary.

— Kryzys już minął. Jeśli rozmieściliście agentów wokół punktów kontaktowych, to znaczy, że chcieliście mi o czymś powiedzieć. O czym?

— O tej dziennikarce, którą spotkałeś w pociągu... Czy telefon, z którego dzwonisz, jest bezpieczny?

— Tak.

— A zatem posłuchaj. Oto wiadomość dla ciebie. Masz dalej urlop. Nie przejmuj się dziennikarką. Podejmujemy kroki, żeby ją skutecznie zniechęcić.

Buchanan zacisnął dłoń na słuchawce.

— Melduj się zgodnie z planem na poszczególnych punktach kontaktowych. Zawiadomimy cię, gdyby wydarzyło się coś nowego.

— Zrozumiałem — powiedział Buchanan i przetykając z trudem ślinę odłożył słuchawkę.

Nie odwracał się. Gapił się tylko nieruchomym wzrokiem na telefon.

Podejmujemy kroki, żeby ją skutecznie zniechęcić? Co to, u diabła, miało znaczyć?

Prośba o wyjaśnienie celowo niejasnego terminu byłaby wbrew zasadom. Jego przełożeni zawsze mówili mu dokładnie tyle, ile chcieli, żeby wiedział. Używali języka precyzyjnego, choć świadomie niejasnego. „Skutecznie zniechęcić” mogło oznaczać wszystko — od próby wręczenia jej łapówki lub ośmieszenia zebranych materiałów, przez spowodowanie zwolnienia z pracy aż do zastraszenia, a nawet...

Buchanan nie chciał myśleć o Holly stojącej się celem ostatecznego zniechęcenia.

Nie, pomyślał. Nie zamordowaliby dziennikarki, szczególnie z „Washington Post”. Gdyby to zrobili, rozdmuchaliby tylko aferę, zamiast ją wyciszyć.

Ale dziennikarze byli czasem mordowani. A owo „zniechęcenie” nie wyglądałoby przecież jak morderstwo. Odwracając się od telefonu dotknął bandaża na prawym boku, szwów pod nim.



Holly — ubrana w brązowy kostium w kwiaty podkreślający czerwień jej włosów i zieleń oczu — siedziała na krześle pięć metrów dalej.

Buchanan ukrył zaskoczenie.

Holly podeszła bliżej.

— Dzwoniłeś do swoich przełożonych?

— Musiałem skontaktować się z jeszcze jednym przyjacielem.

— Jakoś ci nie wierzę.

— Słuchaj, chcę, żebyś się ode mnie odczepiła — powiedział Buchanan.

— I zakończyła tak piękny związek? Teraz starasz się zranić moje uczucia.

— Mówię poważnie. Nie chcę widzieć cię przy sobie. Nie powinnaś zwracać na siebie uwagi.

— O czym ty mówisz?

Buchanan przeciął hol i ruszył w stronę szpitalnego kiosku z pamiątkami.

— Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.

Jej wysokie obcasy wydawały stłumione dźwięki na grubej wykładzinie.

— Próbuję wyświadczyć ci przysługę. Posłuchaj mojej rady. Trzymaj się ode mnie z daleka.

W kiosku kupił opakowanie tylenolu. Głowa nie przestawała go boleć. Kusiło go, żeby poprosić lekarza o przepisanie mu jakiegoś środka przeciwbólowego, ale obawiał się, że zaniepokojony mógłby zatrzymać go dłużej w szpitalu. Jedyną pomyślną okolicznością było to, że ból głowy pozwalał nie myśleć o bólu w boku.

Holly wyszła za nim z kiosku.

— Jest parę rzeczy, które chciałabym ci pokazać.

— Nie interesuje mnie to. — Buchanan zatrzymał się przy kranie z wodą, połknął trzy tylenole, popił, otarł usta i ruszył w kierunku wyjścia. — Chcę tylko odebrać rzeczy stanowiące moją własność.

— Nie ma na to szans.

— Holly — obrócił się ostro w jej stronę. — Przyjmijmy, że jestem tym, za kogo mnie uważasz. Jak sądzisz, co by się stało, gdybym powiedział ludziom, dla których pracuję, że jesteś w posiadaniu fałszywego paszportu z moim zdjęciem w środku? Jak długo udałoby ci się go zachować?

Jej szmaragdowe oczy spojrzały na niego intensywnie.

— A więc im nie powiedziałeś.

— Co masz na myśli?

— Zastanawiałam się, czy to zrobisz. Wątpiłam w to. Nie chciałbyś, żeby twoi przełożeni dowiedzieli się, że miałeś ten paszport — i że go zgubiłeś. Po co w ogóle był ci potrzebny?

— Czyż to nie oczywiste? Żebym mógł wyjechać z kraju.

— Nie możesz użyć swojego własnego paszportu?

— Nie. — Buchanan przyjrzał się ludziom koło wyjścia. — Bo go nie mam. Nigdy mi go nie wydano.

Wyszli na hałaśliwą ulicę. Ponownie oślepiło go ostre słońce.

— Gdzie jest twój przyjaciel? Ted. Facet z pociągu. Mam wrażenie, że bez niego nigdzie się nie ruszasz.

— Jest w pobliżu, strzeże mnie.

— Przy użyciu krótkofalówki? Jeśli mam z tobą dalej rozmawiać, udowodnij mi, że ta rozmowa nie jest nagrywana.

Otworzyła torebkę.

— Widzisz? Nie ma krótkofalówki.

— Ani należących do mnie rzeczy. Gdzie je ukryłaś?

— Są w bezpiecznym miejscu.

Jakaś para wysiadła z taksówki przed szpitalem i Buchanan pośpiesznie wskoczył do środka.

Holly wepchnęła się za nim.

— To nie najlepszy pomysł — powiedział Buchanan.

— Dokąd? — zapytał kierowca.

— Holiday Inn–Crowne Plaza.

Gdy taksówka włączyła się do ruchu, Buchanan odwrócił się ku Holly.

— To nie jest ta gra, o której myślisz. Chcę, żebyś zwróciła mi moje rzeczy. Daj mi klucz do swojego pokoju. Wezmę, co moje, spakuję twój bagaż i wymelduję cię z hotelu.

— Dlaczego sądzisz, że chciałabym opuścić hotel?

Buchanan nachylił się bliżej.

— Ponieważ nie chcesz, żeby ktoś zobaczył cię ze mną. Nie każ mi wyjaśniać bardziej szczegółowo. Jaśniej nie potrafię już tego powiedzieć.

— Znowu próbujesz mnie przestraszyć.

— Zgadza się, kobieto — i mam nadzieję, że mi się to udaje.

## 6

— Wystarczy — powiedział Buchanan do taksówkarza.

— Ale to jeszcze dwa skrzyżowania, sir.

— To nic. Zabierz panią na przejażdżkę. Wróc na ten róg za pół godziny. — Buchanan spojrział na Holly. — Klucz do twojego pokoju. — Wyciągnął rękę.

— Wyglądasz bardzo serio.

— Klucz.

Holly podała mu go.

— Rozluźnij się. Twoje rzeczy, jak je nazywasz, i tak nie są w moim pokoju.

— A gdzie? W pokoju Teda?

Nie odpowiedziała.

— Mówię poważnie, Holly. Lepiej, żeby nikt nie znalazł was z tymi rzeczami. Byłoby to dla was bardzo niezdrowe.

Jej twarz zmieniła nieco kolor, stała się bledsza, jakby Holly zaczynała wreszcie rozumieć.

— Co uzyskam w zamian?

— Spokój ducha.

— To za mało.

— A czego chcesz?

— Szansy porozmawiania z tobą.

— Powiedziałem ci, wrócę za pół godziny.

Holly przyjrzała mu się.

— Tak. W porządku. To jest w pokoju Teda.

— Rozumiem, że nie masz do niego klucza.

— Tak się składa, że mam. — Podała mu klucz. — Na wypadek gdyby Teda nie było w pobliżu, a ja musiałabym odebrać twoje rzeczy.

— Postąpiłaś bardzo rozsądnie — powiedział Buchanan i wysiadł z taksówki.

— Uważaj przy pakowaniu mojej bielizny. Sporo mnie kosztowała. Nie chcę, żebyś podarł koronki.

Buchanan spojrział na nią i zatrzasnął drzwi.

## 7

Dwa skrzyżowania zdawały się ciągnąć przez dwa kilometry. Po drodze Buchanan odwinął bandaż z głowy i wrzucił go do kosza na śmieci. Kiedy dotarł wreszcie do Crowne Plaza, zbierało mu się na wymioty, a na czole wystąpił pot. Jedyłą pociechą było to, że kiedy wszedł do słabo oświetlonego holu, uciekając przed wściekłym blaskiem słońca, ból głowy ustąpił nieco.

Zamiast iść od razu do pokoju Teda, a potem do pokoju Holly, postanowił dowiedzieć się najpierw, czy nie ma dla niego jakichś wiadomości. Rozejrzał się po holu, sprawdzając, czy nikt nie interesuje się nim zbytnio. Tam. W kącie po prawej koło wejścia. Mężczyzna dobrze zbudowany, pod trzydziestkę, w błękitnym garniturze w prążki. Siedzi w fotelu. Czyta gazetę. Zajmuje idealną pozycję, by widzieć ludzi wchodzących do hotelu, zanim oni mieli szansę go spostrzec. Mężczyzna rzucił Buchananowi krótkie, ale przenikliwe spojrzenie. I jak dobry agent nie zdradził w jakikolwiek sposób, że go rozpoznał.

A więc obstawili hotel, pomyślał Buchanan.

Ale nie na mnie czekają.

Nie. Osobą, na którą czekają, jest Holly.

Nie okazując żadnego zainteresowania mężczyzną w rogu, podszedł do kontuaru recepcji i poczekał, aż recepcjonistka załatwi innego gościa.

— Tak, sir?

— Czy są dla mnie jakieś wiadomości? Mieszkam w pokoju numer...

Recepcjonistka uśmiechnęła się, czekając.

— W pokoju numer...

— Tak?

— ...Do diaska! — Serce zabiło mu mocniej. — Nie pamiętam, jaki to numer. Wychodząc zostawiłem tu klucz, więc obawiam się, że nie mogę powiedzieć pani, jaki był na nim numer.

— Żaden problem, sir. Musi mi pan tylko podać swoje nazwisko. Przy pomocy komputera dowiemy się, który pokój pan zajmuje.

— Victor Grant — powiedział automatycznie.

Recepcjonistka wystukała kilka liter na klawiaturze i spojrzała na ekran. Zaczęła marszczyć brwi.

— Przykro mi, sir. Nie ma tu nikogo o tym nazwisku.

— Victor Grant. Musi być.

— Nie, sir.

Jezu, zdał sobie nagle sprawę Buchanan.

— Brendan Buchanan. Podałem pani złe nazwisko.

— Złe nazwisko? Co ma pan na myśli?

— Jestem aktorem. Kręcimy tu film. Facet, którego gram, nazywa się Victor Grant. Tak się przyzwyczaiłem, że... Jeśli do tego stopnia utożsamiam się z rolą, to powinienem zdobyć Oscara, nie sądzi pani?

— Co to za film, sir?

— Widziała pani kiedyś „The Big Easy”?

— Oczywiście, sir. Oglądam wszystkie filmy kręcone w Nowym Orleanie.

— Cóż, właśnie robimy drugą część.

— Już to mam, sir. Brendan Buchanan. Pokój tysiąc dwieście czternaście. I nie, nie ma żadnych wiadomości.

— Czy mogę prosić o klucz?

Recepcjonistka podała mu go.

— W jakich jeszcze filmach pan grał?

— W żadnym. Dotąd pracowałem tylko w teatrze. To moja pierwsza rola filmowa. Dziękuję.

Buchanan podeszedł do windy. Nacisnął guzik i patrzył prosto przed siebie, czekając, aż otworzą się drzwi, pewny, że recepcjonistka go obserwuje. Nie odwracaj się. Nie odwracaj się.

Victor Grant? Żle z tobą, przyjacielu. Kiedy wychodziłeś ze szpitala, popełniłeś ten sam błąd. Powiedziałeś pielęgniarce, że nazywasz się...

Nie. To był inny błąd. Pielęgniarsce powiedziałeś, że nazywasz się Peter Lang. Teraz twierdzisz, że... Nawet z nazwiskami nie możesz sobie poradzić.

Bolała go głowa. Nie przestawała go boleć nawet na chwilę.

Drzwi otworzyły się w końcu. Gdy winda zaczęła jechać do góry, Buchanan oparł się o ścianę i ocierając pot z czoła zastanawiał się, czy dostanie mdłości.

Nie. Nie mam czasu na opóźnienia.

Nie miał zamiaru iść do swojego pokoju. Do recepcjonistki podeszedł tylko po to, by dowiedzieć się, czy ktoś zostawił dla niego jakąś wiadomość. Przeraził go fakt, że na początku rozmowy nie był w stanie przypomnieć sobie numeru swojego pokoju.

Wysiadł z windy i kluczem, który dała mu Holly, otworzył drzwi do pokoju Teda. Znalezienie pistoletu i paszportu Victora Granta ukrytych przez Teda pod materacem zajęło mu niecałe pięć minut.

Victor Grant. Buchanan spojrział na zdjęcie w paszporcie. Kusilo go, żeby podrzeć dokument na strzępy i wyrzucić go do ubikacji. To rozwiązałoby problem. Zniknąłby jeszcze jeden dowód łączący go z przeszłością. Ale to, co powiedział Holly, było prawdą. Trzymał paszport na wypadek, gdyby musiał wyjechać z kraju. A biorąc pod uwagę okoliczności, taka konieczność mogła zaistnieć. Victor Grant.

Peter Lang.

Brendan Buchanan.

Wybierz jedno, do diabła. Bądź konsekwentny.

Po co tutaj jesteś?

Dla Juany.

Gdzie była wczoraj wieczorem? Dlaczego ktoś zaatakował mnie nożem? Czy ktoś próbował uniemożliwić mi skontaktowanie się z...

Uważaj. Co zamierzasz zrobić?

Do diabła, kim ja chcę być?

Holly. Wciąż musiał poradzić sobie z...

Zajrzał do szafy i znalazł brązową sportową kurtkę zostawioną przez Teda. Chociaż tamten miał szersze ramiona, kurtka leżała na nim lepiej, niż się spodziewał. Schował paszport do jednej z kieszeni, wetknął pistolet za pas, upewniając się, że kurtka zakrywa go całkowicie. Wyszedł z pokoju nie zauważony.

Teraz do pokoju Holly.

Drugie drzwi. Idąc, przez cały czas myślał o mężczyźnie w błękitnym garniturze. Jeśli obstawili hotel, to czy nie jest logiczne, że umieścili również kogoś w jej pokoju? Może nie powinienem tam wchodzić. Może lepiej iść prosto do windy. Niech Holly sama wymelduje się z hotelu albo niech Ted zrobi to za nią. Teraz kiedy mam już paszport i pistolet, dlaczego miałbym martwić się o...

Buchanan, zastanawiając się — zwolnił. Im dłużej Holly będzie czekać, tym większa szansa, że po powrocie zastanie kogoś w swoim pokoju.

I co z tego? To wciąż nie twoja sprawa. Jeśli coś się jej stanie, zostanie ci jedno zmartwienie mniej. Jedno mniej...

Zawrócił, zapukał do jej drzwi, powiedział głośno:

— Personel hotelowy!

Po czym zapukał ponownie i otworzył drzwi.

Pokój był pusty. Spakowanie jej rzeczy zajęło mu jeszcze mniej czasu niż znalezienie pistoletu i paszportu w pokoju Teda. Uważał tylko, kiedy pakował bieliznę do walizki. Holly mówiła prawdę. Kosztowne fatałaszki z koronką. Miłe w dotyku.

Holly musiała podać numer swojej karty kredytowej, kiedy się meldowała. Znalazł formularz wymeldowania na biurku koło telewizora, wypełnił go i zostawił na łóżku, po czym zadowolony, że Holly nie zabrała ze sobą więcej bagażu, zszedł po schodach ewakuacyjnych i opuścił hotel wyjściem dla personelu, przez cały czas myśląc o koronkach na jej bieliźnie. Wiele czasu minęło, od kiedy po raz ostatni był blisko z kobietą. Nie chodzi o seks, ale o bliskość. Sześć lat.

I Juana.

## 8

Wysięk i ostre słońce wyciskały z niego pot. Szwy na prawym boku i ból wywołany przez ranę zmuszały go do niesienia jednej walizki w lewej ręce i wetknięcia drugiej pod lewe ramię. Spaliny wzmagaly migrenę i sprawiały, że ponownie zrobiło mu się niedobrze.

Na szczęście taksówka czekała na umówionym miejscu. Kiedy kierowca zobaczył, że Buchanan ma kłopoty z bagażami, wysiadł z samochodu.

— Pomogę panu, sir.

— Dzięki. — Buchanan dał mu dziesięć dolarów, a potem zwrócił się ku Holly i jeszcze komuś siedzącemu z tyłu.

Zmarszczył brwi.

Kiedy taksówkarz chował walizki do bagażnika, Buchanan usiadł na tylnym siedzeniu obok wyglądającego jak emerytowany futbolista mężczyzny o kwadratowej twarzy.

— Cóż, Ted, dawno się nie widzieliśmy.

Siedząca z przodu Holly odwróciła się ku niemu.

— Pomyślałam sobie, że zamiast śledzić nas z innej taksówki, Ted mógłby równie dobrze pojechać z nami. Zabraliśmy go, kiedy byłeś w hotelu.

— Ted, dziękuję za pomoc przy walizkach.

— Jaką pomoc?

— No właśnie.

— Powinieneś był mi powiedzieć.

— Myślałem, że sam się zorientujesz.

— Podobnie jak myślałeś, że nie musisz mnie pytać o zgodę na wejście do mojego pokoju. Nie lubię, gdy ktoś grzebie w moich rzeczach. A ty, zdaje się, masz na sobie moją kurtkę.

— Jesteś bardzo spostrzegawczy. I co o niej sądzisz, Ted? Pasuje zupełnie nieźle, prawda? Proszę, oto twój klucz.

Holly próbowała im przerwać.

— Czy znalazłeś to, czego szukałeś?

— Bez najmniejszych problemów. Ted nie napracował się chowając te rzeczy.

— Hej! — krzyknął Ted.

— Okay, rozumiem, dlaczego się wściekasz — rzekła Holly. — To ja powinnam pomóc ci, kiedy zobaczyłam, że nadchodzisz. Wiedziałam przecież, że właśnie wypuścili cię ze szpitala. Powinnam wysiąść, żeby pomóc przyjacielowi.

— Ten facet nie jest przyjacielem — zaprotestował Ted.

— Ted — powiedziała HoUy ostrzegawczym tonem, po czym spojrzała na Buchanana. — Słuchaj, przykro mi. To był twój pomysł, żeby wymeldować mnie z hotelu. Jeśli masz ochotę straszyć mnie za pomocą melodramatycznych gestów, to proszę bardzo, ale nie oczekuj, że będę ci pomagała.

— W takim razie może powinniśmy wrócić do hotelu, żebym mógł przedstawić cię facetowi, który czeka na ciebie w holu.

Oczy Holly zwięzły się.

— To żart, prawda?

— Facet nie wyglądał na żartownisia.

— To wszystko bzdury — zachnął się Ted.

— Słusznie, Ted. Bzdury. Nie obchodzi mnie, co stanie się z tobą, ale dopóki ja i Holly nie załatwimy pewnych spraw, wolałbym, żeby ona pozostała w dobrym zdrowiu.

— Przestań mnie straszyć — powiedziała Holly.

— Dokąd teraz, sir? — Taksówkarz usiadł z powrotem za kierownicą i czekał na polecenia.

— Ta wyprawa trochę mnie zmęczyła. — Buchanan pomasażował spocone czoło. — Przyjechałem tutaj, żeby podziwiać widoki. Myślę, że rejs po rzece pozwoliłby mi odpocząć. Proszę zabrać nas do przystani na Toulouse Street. Jest już prawie wpół do trzeciej. Może zdążymy dostać się jeszcze na „Natchez”.

Gdy ruszyli, Holly powiedziała:

— Jak na człowieka, który nigdy nie był w Nowym Orleanie, sporo wiesz na temat jego turystycznych atrakcji.

— Czytałem o tym w przewodniku.

— Tak. Kiedy to było? Gdy leżałeś nieprzytomny?

## 9

Kolorowo ozdobiony parowiec odbił od nadbrzeża i przy dźwiękach stojącego na pokładzie klawesynu wygrywającego melodię „Way Down South in Dixie” rozpoczął swój rejs wzdłuż Missisipi. Setki pasażerów tłoczyły się przy relingach na wszystkich trzech pokładach i napawając się orzeźwiająca bryzą, obserwowały przesuwane się wolno doki, magazyny, rafinerię, pole bitewne wojny 1812 roku i zbudowaną przed wojną secesyjną rezydencję plantatora. Podczas gdy wszyscy zdawali się zadowoleni ze słońca, Buchananowi oczy wciąż dokuczały do tego stopnia, że schował się w cieniu parasola na rufie. Holly siedziała obok niego. Ponieważ większość pasażerów stała przy relingach, szansa, że ktoś podsłucha ich rozmowę, była niewielka.

Holly potrząsnęła głową.

— Nie rozumiem. Rejs statkiem parowym?

— Proces eliminacji. — Buchanan pociągnął łyk z jednej z puszek coli, które kupił dla siebie i Holly po wejściu na pokład. — Potrzebuję miejsca i czasu, żeby się zastanowić. — Przełknął kolejne dwa tylenole, zamknął oczy i odchylił głowę do tyłu.

— Powinieneś być zostać dłużej w szpitalu.

— Mam zbyt wiele rzeczy do zrobienia.

— Tak, a jedną z nich jest patrzenie na mulistą Missisipi. Tedowi nie podobało się, że zostawiłeś go na brzegu z walizkami.

— Powiedziałaś, że chcesz porozmawiać. Nie jest nam do tego potrzebne towarzystwo. Wsiadłem na ten statek, żeby Ted nie mógł nas śledzić. A wkrótce oddalimy się na tyle, że nie będziecie już mogli nawiązać łączności za pomocą tych krótkofalówek, o których wspominałaś. A propos, gdzie masz swoją? W torebce? Czy może... — Buchanan wskazał na szeroki dekolt jej kostiumu.

— Okay — powiedziała niechętnie, po czym sięgnęła za dekolt i odpięła maleńki mikrofon i miniaturowy nadajnik z zapięcia stanika. — Wygrałeś — rzekła podając mu oba urządzenia.

— Zbyt łatwo poszło. — Buchanan wyłączył nadajnik, czując ciepło jej ciała na metalu. — Skąd mam wiedzieć, że nie masz innych?

— Jest tylko jeden sposób, żeby się upewnić. Ale skoro nie pozwoliłam ci się zrewidować w pociągu, to i teraz z pewnością...

— O czym chciałaś porozmawiać?

— Na początek o tym, kto chciał cię zabić. I proszę, nie serwuj mi ponownie swojej teorii na temat przypadkowego bandyty.

— Kto? Tak, to wielkie pytanie, nieprawdaż?

— Jedno z wielu.

Sprawa absorbowwała Buchanana od chwili, kiedy obudził się w szpitalu. Mówiąc o niej, odwracał uwagę Holly od swojej roli w Szkoockiej z Wodą.

— Otwórz torebkę.

Zrobiła to. Nie znalazł magnetofonu.

— Okay. Nie kłamałem, mówiąc, że przyjechałem do Nowego Orleanu, żeby spotkać się z przyjacielem. A właściwie z przyjaciółką. — Zawahał się. — To nie są tajne informacje. Nie widzę powodu, dla którego miałyby... Minęło sześć lat, od kiedy widziałem ją po raz ostatni, lecz niedawno przysłała mi pocztówkę z prośbą o pomoc. Moja przyjaciółka to osoba bardzo niezależna. Nie prosiłaby o pomoc, gdyby problem nie był naprawdę poważny.

— Ta przyjaciółka... Czy była twoją kochanką?

— Jesteś dziennikarką czy autorką kolumny towarzyskiej? Powinienem ci odpowiedzieć, że to nie twoja sprawa.

Holly czekała. Buchanan przygryzł wargi.

— Mogła zostać moją kochanką. Może powinna była nią zostać. Może powinniśmy wówczas wziąć ślub.

— Ale...

— Cóż, powiedzmy tylko, że były pewne problemy z ustaleniem, kim jestem. W każdym razie miałem się z nią spotkać wczoraj wieczorem, o jedenastej, w Cafe du Monde. Ale zamiast niej pojawił się ten facet z nożem.

Usadawiając się wygodniej w krześle i czując niemal, jak kolba beretty wbija mu się w plecy, Buchanan zdał sobie sprawę, że swój w miarę dobry stan zawdzięcza tylko temu, że ostrze ześlizgnęło się po pistolecie. Kiedy pojął, jak blisko otarł się o śmierć, ponownie oblał go pot.

Dla kontrastu w ustach miał sucho. Zaniepokojony, wypił łyk coli.

— Czy to zbieg okoliczności, że kiedy szukam przyjaciółki, która się nie pojawia, w zamian spotykam faceta z nożem? Staram się zawsze mieć otwarty umysł. Robię wszystko, żeby zachować sceptycyzm. Ale tę zbieżność trudno zignorować. Muszę uznać, że moja przyjaciółka i bandzior z nożem są w jakiś sposób powiązani.

— A mężczyzna próbował uniemożliwić ci spotkanie z twoją przyjaciółką?  
— Chyba że potrafisz znaleźć lepsze wyjaśnienie.  
— Cóż, pewna część twojego wywodu mnie niepokoi. Ponieważ ona się nie pojawiła, i tak nie dowiedziałabyś się, dlaczego cię potrzebowała, więc atakowanie cię wydaje się nie mieć sensu.  
— Chyba że...  
Słyszał bicie swojego serca.  
— Może ktoś wystraszył się, że i tak nie spoczne, dopóki się nie dowiem, gdzie jest i dlaczego mnie potrzebowała. — Głos Buchanana stwardniał. — Jeśli tak, to słusznie się boi. Bo tak właśnie się stanie.

## 10

Parowiec zakręcał.

— W szpitalu powiedziałaś, że chcesz mi coś pokazać.

Holly wyprostowała się.

— Tak. Ale ty nie dałeś mi szansy.

— Bo chciałem odzyskać moje rzeczy. Teraz już je mam. — Pomimo bólu głowy Buchanan zebrał się w sobie. Musiał grać dalej. — Obejrzę wszystko, co chcesz, jeśli to rozwieje twoje wątpliwości. Muszę pomóc mojej przyjaciółce. Ale nie będę mógł tego zrobić, jeśli nie przestaniesz mi przeszkadzać. Zadaj resztę swoich pytań. Chcę zakończyć tę sprawę.

Holly otworzyła torebkę, spojrzała na Buchanana, jakby zastanawiała się nad czymś, a potem wyciągnęła z koperty trzy złożone wycinki prasowe. Buchanan, zdziwiony, wziął je i spojrzał na datę u góry strony.

— Sześć dni temu.

Zmarszczył brwi. Wiadomości pochodziły z Lauderdale.

### TRZY OFIARY EKSPLOZJI

*Ft Lauderdale. Potężny wybuch zniszczył wczoraj...*

Gdy skończył czytać, serce waliło mu szybciej niż łopaty parowca. Odłożył wycinek i spojrzał na HoUy. Bez względu na wszystko musiał zachować kamienną twarz.

— Wszyscy ci ludzie zginęli. Straszne. Ale co to ma wspólnego ze mną? Dlaczego pokazałaś mi...

— Czy zaprzeczasz, że znałeś Roberta Baileya?

— Nie wiem nic na temat jego śmierci.

I jest to szczerą prawdą, pomyślał.

Zmusił się, by wyglądać spokojnie, choć był mocno zaniepokojony. Holly zmrużyła oczy.

— Najczęściej nazywał siebie Wielkim Bobem Baileyem. Może to odświeży ci pamięć.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— Jezu, Buchanan, zaczynam się niecierpliwić. Oboje wiemy, że wpadł na ciebie w Cancun. Byłam tam.

Buchanan poczuł, jakby kopnął go prąd.

— Siedziałam na sali, w rogu — powiedziała Holly. — Club International. Widziałam wszystko. Wtedy zaczęły się twoje kłopoty. Ci dwaj handlarze narkotyków nabrali podejrzeń, kiedy Bailey upierał się, że nazywasz się Crawford, a nie Potter. Zabrali cię na plażę. On poszedł za



wami. Powiedział mi później, że był świadkiem walki. Zastrzeliłeś tych dwóch handlarzy oraz ich goryla. Potem uciekłeś plażą, a policja aresztowała Bailey'a, myśląc, że to on jest sprawcą morderstw.

— Co z ciebie za dziennikarka, skoro zajmujesz się fikcją. Kiedy to się niby stało? Nigdy nie byłem w Cancun. Nigdy nie...

— Nie byłeś tam jako Brendan Buchanan, to prawda, ale byłeś jako Ed Potter. Mówię ci, że siedziałam w tej restauracji. Widziałam, co się stało!

Jak? — pomyślał Buchanan. W jaki sposób się tam dostała? Skąd wiedziała, że tam będę? Jak...?

— Zobaczyłeś mnie, kiedy robiłam ci zdjęcia przed więzieniem w Meridzie — powiedziała Holly. — To oczywiście nie dowodzi, że znałeś Bailey'a, mimo że widziałam, jak policja przywiozła go, żeby zidentyfikował cię w więzieniu. Ale później, koło Przystani 66 w Fort Lauderdale, widziałeś mnie, jak fotografowałam cię rozmawiającego z Bailey'em. Pokazywałam ci już te zdjęcia.

— Pokazałaś mi je, to prawda, i przyznaję, że jeden z mężczyzn był do mnie nieco podobny. Ale to nie byłem ja. Ja nigdy nie byłem w Fort Lauderdale.

— Wierzę ci.

— To dobrze.

— Nie jako Brendan Buchanan. Ale jako Victor Grant bez wątpienia byłeś w Fort Lauderdale.

Buchanan potrząsnął głową, jakby był rozczarowany, że Holly nadal upiera się przy swoich złudzeniach.

— A jeden z mężczyzn na zdjęciu to Bailey?

Holly wyglądała na zirytowaną.

— Nie rozumiem — powiedział Buchanan. — Czy ty znałaś tego Bailey'a? Śledziłaś go? Dlaczego tak bardzo interesuje cię...

— Nie jego śledziłam. Śledziłam ciebie. A dlaczego interesuje mnie Bailey? Ponieważ dla mnie pracował.

Dwoje dzieci przebiegło obok, łomocząc po schodach prowadzących na niższy pokład. Ich matka popędziła za nimi, krzycząc, żeby uważały. Buchanan był im wdzięczny, że na moment zajęły uwagę Holly.

— Och, nie pracował dla mnie, kiedy wpadł na ciebie w Cancun. Ale później zapewniłam sobie jego usługi. Jakiego to słowa wy używacie? Zwerbowałam go. Tysiąc dolarów plus wydatki. Bailey naprawdę wygrał los na loterii. Nie zastanawiał się ani chwili.

— To sporo pieniędzy jak dla reporterki, która...

— Duża historia. Duży budżet.

— Twój wydawca nie ucieszy się zbytnio, jeśli twoja historia nie będzie trzymała się kupy.

Holly wyglądała na wściekłą.

— Czy ty żyjesz na innej planecie? Czy oni uczą was, żebyście zaprzeczali wszystkiemu bez względu na to, ile się zgromadzi dowodów przeciwko wam? Czy też na tyle straciłeś już kontakt z rzeczywistością, że potrafisz przekonać samego siebie, że to wszystko zdarzyło się komuś innemu, mimo że tym kimś byłeś ty?

— Przykro mi z powodu tego, co stało się z Bailey'em — rzekł Buchanan. — Powtórzę to, co powiedziałem. To straszna sprawa. Ale musisz mi uwierzyć, że... Ja nie miałem z tym nic wspólnego.

A kto miał? — pomyślał. Jak...?

Odpowiedź stała się nagle oczywista. Ukryli materiał wybuchowy w ściankach plastikowej torby chłodzącej, którą mu dałem. Kiedy wsiadł do samochodu, musiał otworzyć torbę, żeby spojrzeć na pieniądze i...

To wszystko, co musiał zrobić, żeby zdetonować ładunek — otworzyć torbę.

A gdyby otworzył ją, zanim się rozstaliśmy?

— O co chodzi? — spytała Holly.

— ...Słucham?

— Znowu poblądłeś.

— To tylko ból głowy.

— Myślałam, że to może dlatego, że spojrzaleś na drugi wycinek.

— Drugi...? — Buchanan opuścił wzrok i zaczął czytać.

## MORDERSTWO — SAMOBÓJSTWO

*Ft Lauderdale. Wezwana telefonicznie przez wystraszzonego sąsiada policja...*

Buchanan przeczytał cały tekst od początku. Potem przeczytał go jeszcze raz. I jeszcze raz. Przestał zauważać ruch statku, łoskot silników, bicie łopat o wodę. Zapomniał o tłumie ludzi przy relingach, o drzewach rosnących wzdłuż brzegów, o wilgotnej bryzie owiewającej mu twarz. Patrzył tylko na trzymany w ręce kawałek papieru.

— Przykro mi — powiedziała Holly.

Trwało chwilę, zanim do Buchanana dotarł jej głos. Nie odpowiedział. Dalej patrzył na wycinek z gazety.

— Czy chcesz zaprzeczyć, że go znałeś? Nie musisz tego robić — powiedziała Holly. — Mam zdjęcia, na których jesteście razem.

— Nie — odparł Buchanan.

Z najwyższym trudem oderwał wzrok od kawałka papieru i spojrzał na Holly. Stopniowo, coraz dobitniej uświadamiał sobie groźbę tego, co właśnie przeczytał. I po raz pierwszy w ciągu swojej długiej kariery tajnego agenta zrobił to, co zdawało się być nie do pomyślenia.

Zdekonspirował się.

— Nie. — Zawroty głowy, w połączeniu z ruchami statku, sprawiały, że miał uczucie, iż za chwilę spadnie z krzesła. — Nie zaprzeczę. Znałem Jacka Doyle'a. I Cindy. Jego żonę. Ją też znałem. Lubilem ją. Lubilem ją bardzo.

Oczy Holly nabrały blasku.

— Wcześniej mówiłeś o zbiegach okoliczności, że pewnych rzeczy nie da się nimi tłumaczyć, na przykład kiedy twoja przyjaciółka nie zjawia się w Cafe du Monde, a zamiast niej pojawia się facet, żeby dźgnąć cię nożem. Cóż, to samo myślę o tym, co właśnie przeczytałeś. Znałeś Bailey'a. Teraz on nie żyje. Znałeś też Jacka Doyle'a i jego żonę. Oni też nie żyją. A wszystko to stało się jednej nocy. Co mogło...? Właśnie zdałam sobie z czegoś sprawę.

— Z czego?

— Twoja twarz. Jesteś doskonałym aktorem. Ale nikt nie jest aż tak dobry. Ty naprawdę nie wiedziałeś nic o śmierci Bailey'a i Doyle'ów.

— To prawda. — Buchananowi tak zaschło w gardle, że ledwie mógł mówić. — Nie wiedziałem.

Bolały go oczy, gdy sięgnął po colę i upił łyk.

Przez moment uparcie podejrzewał, że został oszukany, że wycinki prasowe, które trzymał w ręku, są fałszywe. Ale szybko porzucił tę myśl. To, co przydarzyło się Bailey'owi i Doyle'om, było tak logiczne, tak słuszne taktycznie, że nie mógł wątpić. Został oszukany. Ale nie przez Holly.

— A może to jest zbieg okoliczności. Może Jack Doyle postanowił zastrzelić żonę tej samej nocy, kiedy Bob Bailey zginął w wybuchu.

— Nie.

— Myślisz, że to było podwójne morderstwo?

— Nic innego.

— Skąd ta pewność?

Buchanan wskazał na wycinek prasowy.

— „...zastrzelił ją z rewolweru .38 z krótką lufą”. Bzdura.

— Nie rozumiem. Co w tym dziwnego, że użył rewolweru...

— Rewolweru z krótką lufą? Właśnie to. Jack Doyle pracował kiedyś w SEAL.

— Zgadza się. Oddział komandosów marynarki. Wciąż nie...

— Broń palna to jego specjalność. Dla niego rewolwer kalibru .38 to zabawka. Och, pewnie, miał taki w domu. Ale dla żony. Gdyby Cindy musiała się bronić podczas jego nieobecności. Jack jednak miał tam też wiele innych rodzajów broni, a dla siebie wybrał dziewięćmilimetrowy pistolet półautomatyczny. Kochał swoją żonę tak, że mu zazdrościłem. Cindy była ciężko chora. Nie reagowała na terapię. Pewnie wkrótce musiałaby umrzeć, ale nie dotarła jeszcze do momentu, w którym ból nie dałby jej żyć z godnością. Gdyby ten dzień nadszedł, gdyby Jack zdecydował się — za jej zgodą oczywiście — uwolnić ją od cierpień, nigdy, przenigdy, nie zrobiłby tego za pomocą broni, której by nie szanował.

— Twój świat jest tak bardzo inny od mojego — powiedziała Holly. — Macie nawet zasady, jakiej broni należy użyć do zabicia chorej żony.

— Jack nie był świrem. Nie myśl nawet przez sekundę, że...

— Nie. Nie to miałam na myśli. Powiedziałam dokładnie to, o co mi chodziło. Twój świat jest zupełnie inny od mojego. Nie chciałam nikogo oceniać. Widzisz, mój ojciec był adwokatem. Zawsze występował przeciwko prawu do używania broni. Pierwszy pistolet w życiu, nie licząc filmów, zobaczyłam, kiedy pisałam artykuł na temat wojny gangów.

Buchanan czekał.

— A więc — powiedziała Holly. — Jeśli to było podwójne morderstwo, to kto je popełnił? Ci sami ludzie, którzy zabili Boba Baileya?

Buchanan sięgnął po colę, upił łyk i spojrzał na puszkę.

— Ja nie miałem z tym nic wspólnego.

— Wciąż nie przeczytałeś jeszcze trzeciego wycinka. Buchanan spojrzał na tekst, bojąc się tego, co zobaczy.

*OFIARA WYPADKU NADAL NIE ODNALEZIONA Ft Lauderdale. Nurkowie nadal poszukują ciała Victora Granta, najprawdopodobniej kierowcy wynajętego samochodu, który wczoraj wieczorem wypadł z autostrady i zatonął w kanale Śródlądowej Drogi Wodnej na południe od Oakland Park Boulevard. Liczne puszki po piwie znalezione w samochodzie każą policji podejrzewać, że Grant był pijany, kiedy stracił kontrolę nad pojazdem. Z samochodu wydobyto walizkę i kurtkę, w której znajdował się portfel z dokumentami Victora Granta. Policja sądzi, że ciało ofiary wypłynęło przez otwarte okno i zaklinowało się na dnie jednego z licznych na tym obszarze doków.*

Buchanan miał wrażenie, że opada w bezdenną głębię.

— Powód, dla którego nie upierałam się przy zatrzymaniu paszportu Victora Granta — powiedziała Holly — jest taki, że zrobiłam fotografie każdej jego strony. Mam twoje zdjęcia w Fort Lauderdale. Jestem w stanie powiązać cię z Baileym. To doniesienie potwierdza, że ktoś

nazywający się Victor Grant był w Fort Lauderdale i zniknął tej nocy, kiedy zabito Baileya i Doyle'a. Powiedziałeś, że mój wydawca nie ucieszy się zbyt, kiedy historia nie będzie trzymała się kupy. Cóż, wydaje mi się, że niewiele jest historii bardziej przekonujących niż ta.

Doznał wstrząsu, jakby właśnie dotknął dna.

— Czekam na reakcję — powiedziała Holly. — Co sądzisz teraz o mojej historii?

— Chodzi raczej o to, jak się czuję.

— Nie rozumiem.

Buchanan pomasażował pulsujące bólem czoło.

— Dlaczego ambicja sprawia, że ludzie są tak głupi? Holly, odpowiedź na pytanie, jak się czuję, brzmi: czuję się przerażony. I ty powinnaś czuć się tak samo. Jestem jasnowidzem, wiesz? Naprawdę mam dar przepowiadania przyszłości. I biorąc pod uwagę to, co mi właśnie powiedziałeś, gwarantuję ci, że jeśli nie przestaniesz drażnić tej historii, to jutro o tej porze będziesz martwa.

Holly zmrużyła oczy.

— A ja — dodał ochryple — jeśli nie odegram najlepszego przedstawienia w moim życiu, będę także martwy. Ponieważ dopilnują tego ci sami ludzie, którzy zabili Jacka Doyle'a i Baileya. Czy to dla ciebie wystarczająco jasne? Czy to właśnie chciałaś usłyszeć? To byłby niezły cytat w twoim artykule. Jaka szkoda, że nie możesz z niego skorzystać.

— Oczywiście, że mogę. Nie obchodzi mnie, czy potem zaprzeczysz, że...

— Nie słuchasz innie! — zawołał Buchanan tak głośno, że kilka osób stojących przy relingu odwróciło się i spojrzało na niego.

Pochylił się ku Holly i rzekł chrapliwym szeptem:

— W twoim świecie ludzie boją się, że ktoś przyłapie ich na łamaniu prawa. W moim świecie ludzie sami ustalają prawa. Jeśli poczują się zagrożeni, to zastrzelą cię albo wyrzucą przez okno, albo potracą samochodem, a potem pójną na dobry obiad, czując się w pełni usprawiedliwieni, bo udało im się ochronić własną skórę. Jutro o tej porze będziesz absolutnie, nieodwołalnie martwa, jeśli nie znajdziemy sposobu przekonania ich, że nie jesteś niebezpieczna. Jeśli ja czuję się przerażony, to byłabyś idiotką nie dzielając mojego punktu widzenia.

Holly przyjrzała mu się uważnie.

— To kolejna sztuczka. Po to, żebym zostawiła tę sprawę.

— Poddaję się — powiedział Buchanan. — Troszcz się o siebie sama. Bo ja, wierz mi, zamierzam się troszczyć o siebie.

## 11

Buchanan wszedł do holu Crowne Plaza. Kiedy czekał na windę, rozejrzał się i zauważył, że mężczyzna w błękitnym garniturze został zastąpiony przez mężczyznę w dresie. Ten również udawał, że czyta gazetę. Trudno w końcu wymyślić coś innego, co wyglądałoby naturalnie. Drugi mężczyzna był kopią pierwszego: pod trzydziestkę, dobrze zbudowany, krótkie włosy, przenikliwe spojrzenie.

Wojsko, pomyślał Buchanan. Tak samo jak jego poprzednik. Cywilne agencje wywiadowcze korzystały z agentów o różnym wyglądzie. Dla kontrastu agenci wojskowi zawsze wydawali się do siebie podobni: ta sama płęć, wiek, budowa ciała i fryzura. Co więcej, wszyscy roztaczali wokół siebie tę samą aurę opanowania, dyscypliny i jednomyślności.

Holly, pomyślał Buchanan. Wciąż na nią czekają.

Wsiadł do windy, wjechał na dwunaste piętro i wyciągnął swój klucz. To, czego dowiedział się na łodzi, w połączeniu z bólem głowy i bólem w boku, wyczerpało go. Strach też zrobił swoje. Musiał odpocząć. Musiał pomyśleć.

Otworzył drzwi...

Czekało na niego troje ludzi. Siedzieli na widoku, najwyraźniej nie chcąc go przestraszyć i wywołać obronnej reakcji.

Buchanan znał wszystkich. Alan, korpulentny mężczyzna, który kilka dni wcześniej odbierał od niego raport w bloku mieszkalnym w Alexandrii, w stanie Wirginia, siedział na łóżku. Wtedy miał na sobie brązową kurtkę sportową w szachownicę. Teraz kurtka również była w szachownicę, ale niebieskiego koloru.

Drugi mężczyzna — major Putnam — siedział na sofie obok atrakcyjnej blondynki — kapitan Weller. Buchanan spotkał ich na jachcie w Fort Lauderdale. Oboje mieli na sobie cywilne ubrania: major beżowy garnitur, a pani kapitan białą jedwabną bluzkę i błękitną spódnicę, jedno i drugie obcisłe. Bez wątpienia jej strój miał odwrócić uwagę przygodnych obserwatorów od dwóch mężczyzn.

Buchanan zerknął na prawo, w stronę łazienki, żeby upewnić się, że nikt więcej na niego nie czeka. Szafa była otwarta i pusta.

Wyciągnął klucz z zamka, zamknął drzwi, przekręcił zasuwkę i ruszył w stronę gości. Blask popołudniowego słońca zalewał wnętrze pokoju.

— Kapitanie — powiedział major.

Buchanan skinął głową i zatrzymał się półtora metra przed nim.

— Nie wydaje się pan zaskoczony naszym widokiem.

— Na Farmie miałem nauczyciela z Agencji, który zwykł powtarzać: „Jedyne, czego powinieneś oczekiwać, to nieoczekiwane”.

— Dobra rada — stwierdziła kapitan Weller. — Słyszałam, że został pan pchnięty nożem przez ulicznego bandytę.

— To z pewnością było nieoczekiwane.

— Jak rana?

— Goi się. Gdzie jest pułkownik?

— Nie mógł przyjechać — powiedział Alan.

— Cóż, mam nadzieję, że nie czekaliście zbyt długo.

— Nie jest pan ciekaw, w jaki sposób weszliśmy do środka?

Buchanan potrząsnął głową.

— Kapitanie — major wyglądał na niezadowolonego — widziano pana w holu na dole o pierwszej czterdzieści pięć. Teoretycznie szedł pan do swojego pokoju. Teraz pan wrócił, ale nikt nie widział pana wychodzącego. Gdzie spędził pan ostatnie trzy godziny?

— Odbywałem rejs statkiem parowym.

— Przed czy po tym, jak wymeldował pan dziennikarkę z jej pokoju?

— A więc wiecie o tym? Po. Dziennikarka była razem ze mną na statku.

— Co? — Kapitan Weller pochyliła się do przodu, a jej piersi uwydatniły się jeszcze bardziej.

— Czy nie poinformowano pana, że jej szukamy?

— Powiedziano mi, że zamierzacie ją zniechęcić. Ale ona nadal mnie prześladowała, więc postanowiłem zniechęcić ją sam. Wystraszyłem ją na tyle, że zgodziła się zostawić całą sprawę.

— Wystraszył ją pan...? W jaki sposób...?

— Posługując się jej własnymi argumentami. Pokazała mi to.

Buchanan wyjął wycinki prasowe z kieszeni kurtki i położył na stoliku.

Gdy major wziął je do ręki i zaczął czytać, Buchanan ciągnął dalej:

— Bob Bailey zabity przez eksplozję, Jack Doyle zabijający swoją żonę, a potem siebie... Alan — odwrócił się w jego stronę. — Czy wiedziałeś o Baileyu i Doyle'ach?

— Nie uznałem za konieczne mówić ci o tym.

— Dlaczego?

— Im mniej wiedziałeś o Baileyu, tym lepiej. Gdyby ktoś cię przesłuchiwał, twoje zaskoczenie byłoby autentyczne. Jeśli chodzi o Doyle'ów, cóż, nie chcieliśmy obciążać twojej psychiki świadomością, że człowiek, z którym pracowałeś, zabił swoją żonę i popełnił samobójstwo wkrótce po tym, jak ich opuściłeś.

— Przekonałem dziennikarkę, że to, co stało się z Doyle'ami, było w rzeczywistości podwójnym morderstwem.

— Co zrobiłeś? — spytał major.

— Jeśli Baileyą zabito dlatego, że mnie szantażował, i jeśli Doyle'ów zamordowano, ponieważ wiedzieli zbyt dużo — to chyba coś mówi o sposobach, do jakich pewni ludzie skłonni byli się uciec, żeby Szkocka z Wodą — ona wspomniała o niej pierwsza — nie została zdekonspirowana. Powiem wam jedno — Holly McCoy jest teraz w taksówce jadącej na lotnisko, skąd pierwszym samolotem odleci do Waszyngtonu. Nie będzie żadnego artykułu. Ona nie ma ochoty umierać — nawet dla artykułu na pierwszej stronie.

— I ty jej wierzysz?

— Tak. Bo obiecałem jej, że ją zabiję, jeśli kiedykolwiek go napisze. Wierzę jej, ponieważ wiem, że ona uwierzyła mnie.

W pokoju zapadło milczenie.

Major Putnam i kapitan Weller spojrzeli na siebie.

No już, pomyślał Buchanan. Złapcie przynętę.

— Chcemy wszystkie zdjęcia i negatywy. — Alan zmienił pozycję na łóżku.

Major i kapitan odwrócili się w jego stronę, jakby nie byli dotąd świadomi jego obecności, zaskoczeni, że się odezwał.

— To żaden problem — odparł Buchanan. — Już zgodziła się mi je oddać. Jako gest dobrej woli — wyciągnęła kilka fotografii z wewnętrznej kieszeni marynarki — dała mi te, które akurat miała przy sobie.

— Naprawdę sądzisz, że dotrzyma słowa? — zapytał major.

— Tak, bo jest wystraszona.

— Musiałeś być bardzo przekonywający.

— To mój zawód.

Ale czy przekonałem was? — zapytał sam siebie.

— Kobieta może zrobić kopie fotografii i stworzyć nowe negatywy — powiedział major.

— Albo zatrzymać część zdjęć — dodała kapitan Weller. — Jedyny pewny sposób to pozbycie się jej.

Alan poruszył się ponownie, a potem wstał z łóżka.

— Nie wiem.

Potrząsnął głową, strapiiony.

— Czy to by naprawdę coś zmieniło? Nawet gdyby została zlikwidowana, wciąż musielibyśmy się martwić, czy nie zostawiła kopii gdzieś u przyjaciół. Nie mielibyśmy gwarancji, że znajdziemy wszystko. Strach może być dobrym zabezpieczeniem. Jeśli Buchanan sądzi, że udało mu się zneutralizować zagrożenie bez uciekania się do przemocy, to może powinniśmy posłuchać jego rady. W końcu bez względu na to, jak bardzo jej śmierć będzie przypominała wypadek, nie unikniemy reperkusji. Podejrzeń. Zabicie jej może więcej problemów zrodzić, niż rozwiązać.

Buchanan odetchnął w duchu. Zgodził się. Teraz muszę tylko...

Major zmarszczył brwi.

— Muszę porozmawiać o tym z pułkownikiem.

— Oczywiście — rzekł Alan z sarkazmem. — Ostatnie słowo należy do pułkownika. Agencja tu się nie liczy. Tylko wy.

— Mamy tyle samo do powiedzenia, co i pan — obojętnie zauważył major — ale musimy skonsultować się z pułkownikiem.

Cholera, a więc uzyskałem tylko odroczenie. Szybko spróbował innego sposobu.

— Jest jeszcze coś, o czym musicie zawiadomić pułkownika.

— Tak?

— ...Składam rezygnację.

Spojrzeni na niego.

— I tak chcieliście wyłączyć mnie z aktywnej służby i wykorzystać jako instruktora. Lepiej pójďte na całość i przyjmijcie moją rezygnację. W cywilu nie będę stanowił dla was zagrożenia.

— Zagrożenia? O czym pan mówi? — zapytał major.

— To przecież ja jestem waszym prawdziwym problemem.

Pokój zdawał się kurczyć.

— Kapitanie, pytam powtórnie, o czym pan mówi?

— Nie znaleźlibyśmy się w obecnej sytuacji, gdyby nie to, co przydarzyło mi się w Cancun, a potem w Fort Lauderdale. Operacji wyszłoby na dobre, gdybyście usunęli mnie z drogi. To nie zwykły rzeźmieszek pchnął mnie nożem ostatniej nocy. To był ktoś pracujący dla was.

— Absurd — powiedział major.

— Użył noża, żeby nie wyglądało na profesjonalne zabójstwo. To mnie zwiodło z początku. Żaden szanujący się zabójca nie wybrałby takiej broni. Jest zbyt niepewna i ryzykowna, ponieważ trzeba podejść bardzo blisko ofiary. Potem zdałem sobie sprawę, że taka niby amatorska napaść byłaby idealnym kamuflażem dla profesjonalnego zabójstwa. Bailey, Doyle'owie, ja. Wszyscy martwi. Podejrzany zbieg okoliczności, to prawda. Ale każdy z tych wypadków dałby się wyjaśnić bez potrzeby tworzenia naciąganych teorii. A gdyby dziennikarka miała krakę samochodową...

Cała trójka siedziała nieruchomo.

— Wszystko z powodu zdjęć — ciągnął. — Tych, które pokazywały mnie z panem, majorze, panią kapitan, a co najważniejsze z pułkownikiem, na jachcie w Fort Lauderdale. Moja dekonspiracja nie stanowiłaby problemu. Ale dla was dwojga, a zwłaszcza dla pułkownika znalezienie się na pierwszej stronie „Washington Post” to zupełnie inna sprawa. Cała masa rzeczy wyszłaby na światło dzienne. Tylko że o to wszystko nie musicie się już martwić. Dziennikarka nie napisze swojego artykułu. A gdyby nawet okazało się, że jej nie wystraszyłem, to moje zdjęcie z wami dwojgiem i z pułkownikiem nic nie znaczy, jeśli nie będzie mnie można powiązać ze Szkołą z Wodą. Nie musicie mnie zabijać. Oddam wam przysługę i zniknę.

Nikt się nie odezwał.

Wreszcie major odchrząknął i spojrzał niepewnie na kobietę, a potem na Alana.

— No już — powiedział Buchanan. — Mamy problem. Przedyskutujmy go.

— Kapitanie, czy zdaje pan sobie sprawę, jak to wszystko brzmi? — zapytał major niespokojnie.

— Bezpośrednio.

— Niech pan lepiej powie „paranoicznie”.

— Świetnie — rzekł Buchanan. — A więc nikt nie nakazał mnie zlikwidować. Udawajmy, że był to przypadkowy akt przemocy. Zagramy według waszego scenariusza, dla mnie to żadna różnica. Chcę tylko, żebyście zrozumieli podstawową sprawę. Ja znikam. W ten sposób uzyskacie

podwójne zabezpieczenie. Holly McCoy nie napisze swojego artykułu. Mnie nikt nie będzie mógł przesłuchać.

— Kiedy słyszę, jak pan mówi w ten sposób — major zmarszczył brwi — cieszę się, że wzięliśmy pana pod obserwację. Zdecydowanie za długo przebywał pan w głębokiej konspiracji.

— Myślę, że powinien pan odpocząć — uzupełnił Alan. — Dopiero co wyszedł pan ze szpitala. Zmęczenie na pewno daje o sobie znać.

— Pchnięcie nożem — dodała kobieta. — Kolejne uderzenie w głowę. Na pana miejscu...

— Skąd wiecie, że znowu uderzyłem się w głowę? Nie mówiłem o tym nikomu.

— Tak tylko pomyślałam.

— Albo usłyszała pani o tym od człowieka, którego wysłaliście, żeby mnie zabił.

— Kapitanie — powiedział major — jest pan wyraźnie roztrzęsiony. Chcę — a właściwie rozkazuję — żeby został pan w tym pokoju, spróbował odpocząć i przespać się trochę. Wrócimy tu jutro rano punkt dziewięta, żeby dokończyć naszą rozmowę. Miejmy nadzieję, że do tego czasu poczuje się pan lepiej.

— Naprawdę nie winię was za to, że próbujecie uratować misję — rzekł Buchanan. — Ale nie uciekajmy przed problemem. Wyciągnijmy go na wierzch. Teraz kiedy podsunąłem wam lepsze rozwiązanie, nie musicie mnie już zabijać.

Alan spojrział na Buchanana z troską, a potem z ponurą miną wyszedł za majorem i kapitanem.

## 12

Buchanan chwiejnym krokiem podszedł do drzwi i przekręcił zasuwkę. Jak zwykle, pod wpływem napięcia nasilił się ból głowy. Włożył do ust trzy tabletki tylenolu i poszedł do łazienki, żeby popić je wodą. Gardło miał tak wyschnięte, że musiał wypić dwie szklanki. Jego odbicie w lustrze ukazało ciemno podkrążone oczy. Niedobrze ze mną, pomyślał.

Powlókł się do sypialni i z trudem zaciągnął story. Bok bolał go, kiedy kładł się na łóżku, ale ciemność działała kojąco.

Jego umysł nie mógł przestać pracować.

Czy mi się udało?

Czy ich przekonałem?

Nie rozumiał, dlaczego tak bardzo zależy mu na bezpieczeństwie Holly. Spotkał ją zaledwie przed paroma dniami. Teoretycznie stali po przeciwnych stronach. Stała się przyczyną większości jego kłopotów. W gruncie rzeczy można by powiedzieć, że Jack i Cindy Doyle zginęli również przez nią. Ale prawda była taka, że to nie Holly McCoy zabiła Doyle'ów. Zrobili to ludzie, z którymi pracował. Ci sami, którzy załatwili Bailey'a. I którzy zabiliby również jego, gdyby znalazł się obok w momencie otwierania plastikowej torby. A potem ludzie ci czekali na następną szansę, żeby go dostać w sposób nie budzący podejrzeń.

Holly McCoy.

Czy coś mnie do niej przyciąga? Był czas, kiedy usprawiedliwiłbym każde działanie — również zamordowanie dziennikarki — mające na celu zapewnienie bezpieczeństwa operacji. Teraz...

Tak?

Może operacja mnie już nie obchodzi. A może...

Co?

Może stają się istotą ludzką.

Tak, ale którą?



— Jeszcze raz od początku — powiedział Alan. — Chcę mieć pewność.

Wyjechał właśnie wynajętym pontikiem sprzed hotelu Crowne Plaza.

Major Putnam siedział na przednim fotelu obok Alana. Kapitan Weller nachylała się z tyłu.

— Czy któreś z was wie cokolwiek o rozkazie zlikwidowania Buchanana?

— Absolutnie nie — odpowiedziała kapitan.

— Nie otrzymałem żadnego takiego polecenia — rzekł major.

— I ja też nie — dodał Alan.

— A o co chodzi z Jackiem i Cindy Doyle? — zapytał major. — Myślałem, że było to morderstwo i samobójstwo.

— Też tak myślałam — powiedziała kapitan. — Buchanan kompletnie mnie zaskoczył twierdząc, że było to podwójne morderstwo. Nic nie słyszałam o rozkazie likwidacji tych dwojga.

— Kto więc próbował zabić Buchanana? — zapytał Alan.

— Bandycka napaść to wciąż najbardziej logiczne wyjaśnienie — rzekł major.

— W środku tłumu przed restauracją? — Alan zacisnął dłonie na kierownicy. — Kieszonkowiec, jasne. Tyle że nigdy nie słyszałem o złodzieju, który dźgałby faceta, próbując zwędzić portfel.

— A co powiecie na świra, którego podnieca klucie ludzi nożem na oczach przechodniów? — zapytała kapitan Weller.

— To już bardziej sensowne. — Alan skręcił w Canal Street, zerkając na nadjeżdżające z przeciwka samochody. — Kompletnie zwariowane, ale prawdopodobne.

— Rzecz w tym, że Buchanan wierzy, że to nasze dzieło — powiedział major. — A to jest równie wariackie.

— Ale czy sądzisz, że naprawdę w to wierzy? — zapytała kapitan. — Buchanan jest aktorem. I to dobrym aktorem. Potrafi być bardzo przekonujący.

— W każdym razie przekonał mnie — powiedział Alan.

— Ale po co miałby kłamać? — zastanawiał się major.

— Żeby roztoczyć zasłonę dymną. Żeby zamieszać nam w głowach i odwrócić naszą uwagę od dziennikarki.

— Po co? — powtórzył major.

— Buchanan może mieć rację twierdząc, że zabicie dziennikarki przysporzy nam więcej kłopotów niż korzyści — rzekł Alan. — Jeżeli jest naprawdę wystraszona i nie napisze swojego artykułu, to znaczy, że osiągnęliśmy cel.

— Jeżeli. Ciągle słyszę to słowo.

— Ja zgadzam się z Buchananiem — powiedziała kapitan. — Myślę, że lepiej będzie, jeśli na razie nic nie zrobimy i spróbujemy przeczekać całą sprawę.

— W tej kwestii decydujący głos ma pułkownik — rzekł major.

Jechali w milczeniu.

— Wciąż jeszcze nie rozumiem... — Alan zmrużył oczy, oślepiiony światłami z przodu.

— Czego? — zapytała kapitan Weller.

— Czy ktoś naprawdę próbował zabić Buchanana? Nie wariat, ale profesjonalista wykonujący rozkazy? A jeśli nie my wydaliśmy te rozkazy, to kto?

Zasada była taka, że jeśli nie doszło do kontaktu, zgodnie z planem, a nie zostały poczynione żadne inne ustalenia dotyczące miejsca i czasu spotkania, to należało powrócić na punkt kontaktowy dwadzieścia cztery godziny później. Jeśli miało się szczęście — dochodziło do spotkania. Jeśli jednak oczekiwana osoba nie pojawiła się ponownie...

Buchanan nie chciał o tym myśleć. Szedł przez Dzielnicę Francuską. Zatłoczone, wąskie uliczki. Dixieland. Blues. Tańce na chodnikach. Ruch. Ale już bez kostiumów. Tym razem miał więc o wiele większą szansę ustalenia, czy ktoś go śledzi. Wtedy rzucał się w oczy, ponieważ nie był przebrany. Teraz, jako jeden z wielu, mógł zmieszać się z tłumem, wślizgnąć w boczną uliczkę i zniknąć temu, kto próbowałby za nim iść.

Jeśli miało się szczęście, dochodziło do spotkania. Jeśli jednak umówiona osoba nie pojawiła się ponownie...

Doznając uczucia *déjà vu*, drgnął na wspomnienie noża zagłębiającego się w jego boku. Minał cienie Jackson Square, zerknął w Decatur Street i raz jeszcze ruszył w stronę Cafe du Monde. Restauracja była zatłoczona, jak zwykle, chociaż nie tak bardzo jak w dniu Halloween. Żeby mieć pewność, że na czas dostanie się do środka, Buchanan przybył wcześniej, o dziesiątej Piętnaście, a nie o jedenastej, tak jak sześć lat temu, kiedy przyszedł tu z Juana.

Nie okazując zniecierpliwienia, odczekał na swoją kolejkę i został poprowadzony przez kelnera do miejsca przy małym, okrągłym stoliku z białym blatem w rogu, w tylnej części sali. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności stolik znajdował się dokładnie w tym miejscu, które Buchanan sam wybrałby, żeby móc bez kłopotów obserwować wejście do restauracji.

Ale nie był usatysfakcjonowany. Potrzebował czegoś, co w jeszcze większym stopniu gwarantowałoby powodzenie, i kiedy spostrzegł taką szansę, wstał, żeby zająć opustoszały nagle stolik bliżej środka sali. Mniej więcej tam, gdzie on i Juana siedzieli przed sześcioma laty. Nie przy tym samym stoliku, ale na tyle blisko, że Juana nie miałaby problemów ze znalezieniem go. Jej spojrzenie błędząc po zatłoczonej sali spoczęłoby na miejscu, które wiązała z Buchananiem, a on wstałby, uśmiechnięty, i podszedł do niej, chcąc jak najszybciej ją uściskać.

Spojrzał na zegarek: za dwadzieścia jedenasta. Niedługo, pomyślał. Niedługo. Ból głowy sprawił, że ponownie dostał nudności. Kiedy podszedł kelner, zamówił specjalność lokalu: *cafe au lait* i *beignets*. Poprosił też o wodę. Tego w gruncie rzeczy potrzebował. Wody. Kawa i ciasto były tylko po to, żeby mógł siedzieć przy swoim stoliku. Woda — niezbędna do popicia tylenolu.

Wkrótce.

Juana.

„Kocham cię”, powiedział jej. „Chcę, żebyś wiedziała, że zawsze będziesz dla mnie kimś szczególnym. Zawsze będziesz mi bliska. Przysięgam. Gdybyś kiedykolwiek potrzebowała pomocy, wystarczy, jeśli poprosisz. Bez względu na to, ile minie czasu i jak daleko będę, zrobię wszystko, co...”

Buchanan drgnął, zdając sobie sprawę, że kelner postawił przed nim wodę, kawę i *beignets*. Przełknął tylenol i nie mógł opanować zdumienia, kiedy spojrzał na zegarek. Piętnaście minut minęło jak piętnaście sekund. Była już prawie jedenasta.

Nie spuszczał wzroku z wejścia.

*Oto pocztówka, o której nie myślałam, że ją kiedykolwiek wyślę. Mam nadzieję, że twoja obietnica była poważna. Ostatnie miejsce i czas. Liczę na ciebie. PROSZE.*

- Czy coś jest nie tak, sir?
- Słucham?
- Siedzi pan tu od pół godziny i nie tknął pan kawy ani ciastek.
- Pół godziny?
- Inni też chcieliby usiąść.
- Czekam na kogoś.
- Mimo to inni ludzie też...
- Proszę przynieść mi jeszcze raz to samo. Oto dziesięć dolarów za kłopot.
- Dziękuję panu, sir.

Buchanan spojrział na wejście. Północ.

Pierwsza. Ludzie zerkający w jego stronę, szepty.

O drugiej wiedział, że już się nie doczeka.

Co, na Boga, z nią się stało? Potrzebowała jego pomocy. Dlaczego nie pozwoliła mu dowieść, że ją kocha?

## 15

Spakował swoje rzeczy i rzucił formularz wymeldowania na łóżko. O trzeciej nad ranem nikt nie widział, jak wychodzi przez drzwi dla personelu. Wyłonił się z ciemności na Lafayette Street i zatrzymał taksówkę.

— Dokąd, sir? — Taksówkarz wyglądał na zaniepokojonego, jakby mężczyzna z walizką o trzeciej nad ranem mógł stanowić zagrożenie.

— Całodobowa agencja wynajmu samochodów.

Kierowca zastanawiał się przez chwilę.

— Niech pan wskakuje. Trochę za późno na podróż, nie uważa pan?

— Cóż zrobić.

Wślizgnął się na tylne siedzenie, pogrążony w myślach. Prościej byłoby polecieć samolotem. Ale pierwszy lot był dopiero rano. Musiałby czekać, a jego goście mogliby przybyć wcześniej, niż zapowiedzieli, i zaskoczyć go. Po drugie, nie mając wystarczającej ilości gotówki, żeby kupić bilet, musiałby użyć swojej karty kredytowej. Ale jedyna karta, jaką posiadał, należała do Brendana Buchanana. Zostawiłby trop, po którym oficerowie prowadzący mogliby go odnaleźć.

Jadąc samochodem, nie zostawiał żadnej wskazówki, dokąd się udaje. Ślad urywał się tutaj, w Nowym Orleanie. A przy pewnej dozie szczęścia major, kapitan Weller i Alan mogli uznać, że postanowił zrealizować swoje zamierzenie i zniknąć. Chcąc ich w tym upewnić, napisał list zaadresowany do Alana, w którym wyrażał wolę przejścia na emeryturę, i położył na łóżku, w pokoju hotelowym, obok podpisanego formularza wymeldowania.

— Jesteśmy, sir.

— Co? — Ocknął się i wyjrzał przez okno taksówki, widząc jasno oświetlone biuro wynajmu samochodów obok stacji benzynowej.

— Na pana miejscu, sir, uważałbym przy prowadzeniu. Nie wygląda pan najlepiej.

— Dzięki. Nic mi nie będzie.

Ale lepiej, żeby wyglądał bardziej przytomnie, kiedy będzie wynajmował samochód.

Zapłacił taksówkarzowi i nie zdradzając wysiłku, na jaki musiał się zdobyć, poszedł z torbą do biura. W jaskrawym świetle lamp, od którego rozbolały go oczy, sprawiający wrażenie zmęczonego mężczyzna w okularach rzucił umowę wynajmu na kontuar.

— Proszę o pańską kartę kredytową i prawo jazdy. Ubezpieczenie. Proszę podpisać na dole. Musiał spojrzeć na kartę kredytową, żeby upewnić się, jakiego nazwiska używa.

— Buchanan. Brendan Buchanan.

Gdyby tylko przestała go boleć głowa.

Juana.

Musiał znaleźć Juanę.

A znał tylko jedno miejsce, od którego mógł zacząć.

## 16

Załatwione — powiedział Raymond.

Alistair Drummond, siedzący na końcu przedziału pasażerskiego swojego prywatnego odrzutowca, podniósł wzrok znad raportu, który właśnie czytał. Kadłub wibrował lekko, gdy odrzutowiec przebijał się przez chmury.

— Szczegóły — rzucił.

— Według meldunku radiowego, jaki właśnie otrzymałem — rzekł Raymond — dyrektor meksykańskiego Narodowego Instytutu Archelogii i Historii zginął ostatniej nocy w wypadku samochodowym niedaleko Pałacu Narodowego w Mexico City.

— Tragiczne — rzekł Drummond. Pomimo swojego wieku nie okazywał zmęczenia długotrwałą podróżą — najpierw w interesach do Moskwy, potem do Rijadu w Arabii Saudyjskiej, a następnie powrotnym lotem przez Atlantyk na meksykański półwysep Jukatan, przy czym wszystko odbyło się w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. — Czy macie dowody, że Delgado był za to odpowiedzialny?

— Człowiek, któremu Delgado kazał to zrobić, pracuje dla nas. Powie, co trzeba, jeśli go o to poprosimy, przy gwarancji, że nie zostanie skazany.

— My? — zapytał Drummond.

— Chciałem powiedzieć: pan.

— Raymond, zastanawiają mnie twoje kłopoty z zaimkami. Czyżbyś uważał nas za równych sobie?

— Nie, sir. Nie uważam. Nie popełnię już więcej tego błędu.

— Czy jego następca został wybrany?

Raymond skinął głową.

— Urzędnik przychylny naszej sprawie?

Raymond skinął ponownie.

— A pieniądze jeszcze bardziej go w tym utwierdzą.

— Świetnie — powiedział Drummond łamiącym się głosem, zdradzającym zaawansowany wiek. — Nie potrzebujemy już kobiety, nawet gdybyśmy ją znaleźli. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Delgado zostanie następnym prezydentem Meksyku, po warunkiem jednak, że nie ujawnimy jego niecznych postępów. Zawiadomcie go, że posiadamy dowody, iż to on zlecił zamordowanie dyrektora Narodowego Instytutu, i przypomnijcie, że jego polityczna przyszłość cały czas zależy ode mnie.

— Tak jest, sir.

— A kiedy zostanie prezydentem, będę miał jeszcze większą władzę.

— Całą, jakiej będzie pan potrzebował.

— Całą? To niemożliwe — rzekł Drummond.

- A zatem może nadal potrzebna jest panu ta kobieta.
- Starzec nachmurzył się, na jego twarzy nagle pojawiły się zmarszczki.
- Kobieta musi zostać ukarana. Kiedy twoi agenci ją znajdą...
- Tak, sir?
- Chcę, żeby niezwłocznie ją zabili.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### 1

*San Antonio, Teksas*

Buchanan dotarł na miejsce o zmroku. Pojechał na zachód Autostradą 10, z Nowego Orleanu do Baton Rouge, mijając rozliczne małe miasteczka w głębi Teksasu, w kierunku Beaumont i Houston, aż wreszcie...

Fatalne samopoczucie zmusiło go do kilkakrotnego zatrzymywania się po drodze. Nad ranem, w Beaumont, wstąpił do miejscowego hotelu, żeby się ogolić, wziąć prysznic i zdrzemnąć parę godzin. Recepcjonista wyglądał na zdziwionego, kiedy wymeldował się w południe. Takie zwracanie na siebie uwagi nie było dobre. Jeszcze gorsze było to, że brak gotówki zmusił go do użycia karty kredytowej przy wynajmowaniu pokoju. W ten sposób znowu zostawił po sobie ślad i chociaż wiedział, że zanim ewentualny pościg dotrze do hotelu, on będzie już daleko, a cel jego podróży i tak pozostanie dla nich nie znany, to jednak dostaną wskazówki co do kierunku, w jakim się udał. Gdyby sprawdzili akta jego poprzednich misji, mogliby nawet odgadnąć, dokąd jedzie, ale przez sześć lat, jakie minęły, od kiedy rozstał się z Juaną, miał wiele zadań, a powiązanie jej, Nowego Orleanu i San Antonio zajęłoby im sporo czasu. On będzie już wtedy daleko.

Po drodze żywił się hamburgerami, frytkami, czymkolwiek, żeby naładować sobie akumulatory, popijając to wszystko dużymi ilościami coca-coli, w nadziei że zawarte w niej kalorie i kofeina dadzą mu energii. Trzy razy zjeżdżał z zatłoczonej autostrady i spał na przydrożnym parkingu. Parkował wynajętego taurusa koło toalet, żeby ruch i hałas przyjeżdżających i odjeżdżających samochodów nie pozwolił mu zapaść w zbyt głęboki sen, ponieważ wiedział, że gdyby naprawdę zasnął, nie obudziłby się do następnego dnia.

Musiał jechać dalej. Musiał dotrzeć do San Antonio i spróbować dowiedzieć się, co stało się z Juaną. Dlaczego nie przybyła na umówione spotkanie? W jakie wpadła tarapaty? Pomimo bólu i oszołomienia, wciąż miał na tyle jasny umysł, żeby zadać sobie pytanie, czy przypadkiem nie zareagował zbyt nerwowo. Obietnica dana przed sześcioma laty kobiecie, której od tamtego czasu nie widział. Prośba o pomoc w postaci tajemniczej pocztówki.

Może pocztówka miała inne znaczenie, niż myślał. Czy to możliwe, że Juana kontaktuje się z nim po tak długim czasie? I dlaczego właśnie z nim? Czy nie ma nikogo innego, kogo mogłaby prosić o pomoc?

Dlaczego wybrała akurat jego?

Nie znał odpowiedzi. Jedno natomiast wiedział na pewno: coś się z nim stało. Coś bardzo niepokojącego.

Próbował ustalić, kiedy to się zaczęło. Czy wtedy, kiedy postrzelono go w Cancun, czy wtedy, kiedy uderzył się w głowę podczas ucieczki, płynąc przez kanał. A może wtedy, kiedy torturowano go w Meridzie i stuknął głową w betonową podłogę. Albo jeszcze później, kiedy został pchnięty nożem i ponownie uderzył się w głowę. Im dłużej rozważał te możliwości, tym bardziej był przekonany, że to nie one są źródłem jego niepokoju. Bez wątplenia miały w nim swój udział. Ale gdy analizował, co wydarzyło się w ciągu kilku ostatnich tygodni, przypominając sobie kolejne wstrząsy, jeden fakt niepokoił go szczególnie.

Najgroźniejszy wstrząs nie był natury fizycznej, lecz psychicznej.

Groził jego poczuciu tożsamości.

Czy raczej jego wielu tożsamościom. W ciągu ostatnich ośmiu lat Buchanan ponad dwieście razy wcielał się w różne osoby. Czasem werbował nowych współpracowników, kilkakrotnie w ciągu dnia zmieniając osobowość. Podczas ostatnich dwóch tygodni w różny sposób miał do czynienia z Jimem Crawfordem, Peterem Langiem, Edem Potterem, Victorem Grantem, Donem Coltonem i...

Brendanem Buchananiem.

Tu tkwił problem. Pozbywszy się Victora Granta, oczekiwał, że zostanie mu przydzielona nowa tożsamość. Ale w mieszkaniu w Alexandrii Alan powiedział mu, że nie będzie nowej tożsamości, że zostaje wyłączony z aktywnej służby, i ma stać się...

Sobą.

Tymczasem on już dawno stracił kontakt z samym sobą. Był aktorem, który tak głęboko utożsamiał się ze swoimi rolami, że kiedy mu je odebrano, stał się nikim. Jego zawód dyktował mu nie tylko, co ma robić, lecz także kim ma być. Nagle zrozumiał, co jest przyczyną wstrząsu, jakiego doznał — świadomość, że pozostanie Brendanem Buchananiem do końca życia. Czy nie dlatego tak uparcie poszukiwał Juany, żeby uciec przed tą koniecznością? Musiał znaleźć najważniejszą osobę ze świata Petera Langa. I być może ze swojego własnego świata, gdyż im dłużej o tym myślał, tym bardziej nabierał przekonania, że jego życie zmieniłoby się diametralnie na lepsze, gdyby został z Juana. Lubiał Petera Langa, Pomyślał.

A Peter Lang kochał Juanę.

Minąwszy Houston zatrzymał się przy budce telefonicznej na parkingu dla ciężarówek. Fascynowało go i niepokoiło zarazem, że jedyną osobą, na której zależy Brendanowi Buchananiowi, jest Holly McCoy. Znał ją zaledwie od kilku dni. Była przyczyną jego kłopotów. A mimo to czuł nieodparte pragnienie chronienia jej, upewnienia się, że uniknie niebezpieczeństwa, które sprowadziła na siebie ingerując w jego świat. Wydawało mu się, że przekonał majora, kapitan Weller i Alana o jej postanowieniu wycofania się ze sprawy. Ale co z pułkownikiem? Czy pułkownik zgodzi się z ich opinią?

Buchanan nie kłamał, kiedy powiedział im, że Holly odleciała do Waszyngtonu i że przestraszył ją na tyle, że straciła ochotę na dalsze drażnienie tej historii. Musiał jednak utwierdzić ją w tym postanowieniu. Zakładając, że jej telefony będą na podsłuchu, zapowiedział, że użyje nazwiska Mike Hamilton, gdyby musiał zostawić dla niej wiadomość na automatycznej sekretarce albo u kogoś w „Washington Post”. Tak się jednak złożyło, że Holly była w pracy, kiedy tam zadzwonił.

— Jak się miewasz?

— Zastanawiam się, czy nie popełniłam błędu — odparła.

— To nie był błąd, wierz mi.

— A co z twoimi negocjacjami? Powiodły się?

— Jeszcze nie wiem.

— Och.

— Tak. Och. Czy wysłałaś im to, co obiecałaś?

— ...Jeszcze nie.

— Zrób to.

— Tylko że... To taki dobry materiał. Nienawidzę...

— Zrób to — powtórzył Buchanan. — Nie prowokuj ich.

— Ale porzucając tę historię czuję się jak tchórz.

— Wiele razy robiłem pewne rzeczy tylko po to, żeby udowodnić sobie, że nie jestem tchórzem. Teraz nie wydają mi się tego warte. Muszę ruszać dalej. Najlepsza rada, jaką mogę ci dać, to... — Chciał powiedzieć coś, co dodałoby jej otuchy, ale nic nie przychodziło mu do głowy. — Przestań martwić się o głupstwa. Kieruj się zdrowym rozsądkiem.

Odłożył słuchawkę, wyszedł z budki, wszedł szybko do wynajętego taurusa i wrócił na zatłoczoną autostradę, mrużąc oczy przed bolesnym blaskiem słońca, które wisiało teraz na wprost niego, tuż nad zachodnim horyzontem. Nawet okulary przeciwsłoneczne Ray-Bans, które kupił w południe w Beaumont, nie na wiele się zdały i Buchanan miał wrażenie, że rozżarzone szpikulce wbijają mu się w głęb czaszki.

Kieruj się zdrowym rozsądkiem?

Jesteś dobry w dawaniu rad. Tyle że sam nie chcesz z nich korzystać.

### 3

Wkrótce po dziewiątej wieczorem wyjechał z niskich, trawiastych, często zalesionych i pofałdowanych równin wschodniego Teksasu i ujrzał przed sobą światła San Antonio. Przed sześciu laty, kiedy przygotowywał się do objęcia roli Petera Langa, spędził tu kilka tygodni, żeby wiedzieć cokolwiek na temat jego rodzinnego miasta. Robił to, co zwykle robią turyści, odwiedzając Alamo (było to hiszpańskie słowo oznaczające „krzew bawełniany”), jak również odrestaurowany Pałac Hiszpańskiego Gubernatora, Misję San Jose i La Villita, czyli Małą Wioskę, zrekonstruowaną część oryginalnej hiszpańskiej osady z XVIII wieku. Spacerował długo po terenie Riverwalk, bazaru utrzymanego w stylu hiszpańskim, ciągnącego się wzdłuż brzegów rzeki San Antonio.

Ale spędził też wiele czasu na przedmieściach, gdzie — w dzielnicy zwanej Castle Hills — mieszkali rodzice Juany. Juana, z oczywistych względów, używała fałszywego nazwiska. Nie było potrzeby — mogło to zresztą mieć katastrofalne skutki — żeby Buchanan spotykał się z jej rodzicami. Wiedział jednak, gdzie mieszkają, i teraz pojechał prosto do ich domu, kilka razy myląc drogę, lecz mimo to z zaskoczeniem stwierdził, jak wiele pamięta ze swojej poprzedniej wizyty w tym miejscu. Rodzice Juany mieszkali w piętrowym, murowanym domu z gontami, otoczonym od frontu dobrze utrzymanym trawnikiem, na którym rosły dęby. Kiedy Buchanan zaparkował wynajętego taurusa przy krawężniku, spostrzegł, że w części okien, zapewne w oknach salonu, palą się światła. Wysiadł z samochodu, zamknął go i przyjrzał się swemu odbiciu w bocznej szybie. Jego szorstka twarz sprawiała wrażenie zmęczonej, lecz kiedy uczesał włosy i poprawił ubranie, zaczął przynajmniej wyglądać na człowieka porządnego i godnego szacunku. Wciąż miał na sobie brązową sportową kurtkę, którą zabrał z pokoju Teda w Nowym Orleanie. Rozejrzał się na obie strony, z przyzwyczajenia zwracając uwagę na cienie, żeby sprawdzić, czy dom jest obserwowany. Jeśli Juana miała kłopoty, jak sugerowała pocztówka i fakt, że nie przybyła na spotkanie, jeśli musiała się kryć — istniała możliwość, że jej wrogowie będą obserwować dom rodziców, na wypadek gdyby skontaktowała się z nimi osobiście lub telefonicznie zdradziła swoją kryjówkę. Ta Juana, która pracowała dla wojska, nie podałaby nikomu niepewnemu nazwiska ani adresu swoich rodziców. Ale bardzo wiele mogło zdarzyć się w ciągu ostatnich sześciu lat. Może nierozsądnie zaufała komuś na tyle, że przekazała jakieś informacje, chociaż nierozsądne zachowanie nigdy nie było w jej stylu. Być może oprócz zakochania się w Peterze Langu.

Ulica wyglądała bezpiecznie. Nie dostrzegł żadnych zaparkowanych w pobliżu samochodów. Nikt nie kręcił się na rogu udając, że czeka na autobus. Światła w innych domach ukazywały normalne, rodzinne życie. Ktoś mógł oczywiście kryć się w krzakach, ale w tej dzielnicy agent przebrany za włóczęgę miałby kłopot ze schowaniem się, szczególnie przed owczarkiem niemieckim, którego wysoki mężczyzna prowadził na smyczy po przeciwnej stronie ulicy. Zakładając oczywiście, że mężczyzna nie był agentem.



Buchanan zarejestrował to wszystko w ciągu kilku sekund. Dla przygodnego obserwatora byłby tylko przyjezdnym, który przyczesywał włosy przed wejściem do domu. Noc była ciepła, w powietrzu unosił się jesienny zapach opadłych liści. Gdy wszedł na werandę i nacisnął guzik, usłyszał nie tylko dźwięk dzwonka, lecz także stłumiony śmiech publiczności jakiejś telewizyjnej komedii. Potem zabrzmiały kroki na drewnianej podłodze i w oknie frontowych drzwi pojawił się cień.

Rozbłysło światło. Ujrzał kobietę o latynoskich rysach — dobiegającą sześćdziesiątki, z sięgającymi do ramion czarnymi włosami i uroczą, owalną twarzą. Jej przenikliwe ciemne oczy sugerowały inteligencję i spostrzegawczość. Przypominała mu Juanę, chociaż nie miał pewności, czy kobieta jest jej matką. Nigdzie nie było tabliczki z nazwiskiem. Rodzice Juany mogli wyprowadzić się już dawno. Mogli nawet umrzeć. Po przybyciu do San Antonio Buchanan miał ochotę zajrzeć do książki telefonicznej i sprawdzić, czy Mendezowie wciąż mieszkają pod starym adresem, lecz szkoda mu było każdej minuty. Niedługo i tak się dowiem, powiedział sobie.

Byle dyletant mógłby zatelefonować z Nowego Orleanu do rodziców Juany i próbować wydobyć od nich informację na temat jej kłopotów. Jeśli jednak udałooby mu się nawet czegoś dowiedzieć, byłyby to mało wiarygodne. Ludzie są na ogół łatwowierni, lecz nawet głupiec woli milczeć, kiedy obcy człowiek zadaje mu osobiste pytania przez telefon. Telefon to narzędzie leniwego agenta. Najlepszą metodą jest zawsze osobisty kontakt, a kiedy wojsko wysłało Buchanana na Farmę CIA w Wirginii, szybko zyskał tam opinię bardzo sprawnego w tym, co w branży nazywało się „pozyskiwaniem”. Ulubionym zadaniem jego instruktora było wysyłanie podopiecznych do różnych miejscowych barów w trakcie „szczęśliwej godziny”, kiedy sprzedaje się w nich drinki po obniżonej cenie. Uczniowie mieli nawiązywać rozmowy z obcymi ludźmi i w trakcie jednej godziny do tego stopnia zdobyć sobie ich zaufanie, żeby poznać dzień, miesiąc i rok ich urodzenia, jak również numery legitymacji ubezpieczeniowej. Doświadczenie nauczyło instruktora, że tak osobistych informacji praktycznie nie da się uzyskać od przygodnie poznanego człowieka. Jakie luźno rzucone pytanie mogło sprawić, żeby ktoś, kogo nigdy wcześniej nie spotkałeś, podał ci numer swojej legitymacji ubezpieczeniowej? Bardziej prawdopodobne było, że takie pytanie wzbudzi podejrzenia, toteż nikomu z grupy nie udało się wykonać zadania — nikomu oprócz Buchanana.

Kobieta przekreśliła zasuwkę i otworzyła drzwi na szerokość łańcucha. Wyjrzała przez dziesięciocentymetrową szparę i z zaskoczoną miną zapytała:

— Tak?

— *Señora Mendez?*

— *Si.*

— *Perdone.* Wiem, że jest późno. Nazywam się Jeff Walker i jestem przyjacielem pani córki. — Buchanan używał języka hiszpańskiego, którego nauczył się w Wojskowym Instytucie Lingwistycznym w Monterey, w Kalifornii, kiedy przygotowywał się do swojej meksykańskiej misji. — Nie widziałem jej od kilku lat i nie wiem, gdzie mieszka. Przyjechałem do miasta na kilka dni i... Cóż, miałem nadzieję, że ją zastanę. Czy może mi pani powiedzieć, gdzie znajdę pani córkę?

Matka Juany przyglądała mu się podejrzliwie. Jednak jej podejrzenia łagodził fakt, że Buchanan mówi po hiszpańsku. Juana powiedziała mu, że chociaż jej rodzice są dwujęzyczni, to zdecydowanie wolą porozumiewać się po hiszpańsku i czują się lekceważeni, jeśli ktoś znający ten język zmusza ich do mówienia po angielsku.

— *Conoce a mi hija?*

— *Si* — odpowiedział. — Służyliśmy razem w wojsku. Znałem ją, kiedy stacjonowała tutaj, w Fort Sam Houston. — Była to jedna z tajnych misji Juany. Chociaż działała w Wywiadzie

Wojskowym i należała do Sił Specjalnych z Fort Bragg, teoretycznie pracowała w sztabie Piątej Armii w San Antonio. — Naprawdę się lubiliśmy. Kilka razy zaprosiłem ją na randkę. Można by powiedzieć, że... Cóż, byliśmy naprawdę blisko. Żałuję, że straciłem z nią kontakt, ale opuściłem Amerykę na jakiś czas i... Bardzo chciałbym się z nią spotkać.

Matka Juany nie przestawała podejrzliwie mu się przyglądać. Buchanan był pewny, że gdyby nie mówił po hiszpańsku i nie wspomniął o Fort Sam Houston, nie słuchałaby go tak długo. Potrzebował czegoś, co wzbudziłoby jej zaufanie.

— Czy wciąż macie państwo tego psa? Tego złotego wyżła? Jak on się nazywał? Pepe. Tak, Juana kochała go bardzo. Jeśli nie mówiła akurat o baseballu, opowiadała o nim. Podobno lubiła zabierać go po pracy na spacer, nad rzekę.

Podejrzenia matki zaczynały się rozwiewać.

— Nie.

— Słucham?

— Pies. Pepe. Umarł w zeszłym roku.

— Och. Przykro mi to słyszeć, *señora* Mendez. Juanę musiało to bardzo zmartwić.

— Powiedział pan, że nazywa się Jeff Walker?

— Tak. — Buchanan upewnił się, że stoi sztywno wyprostowany, jak przystało na wojskowego.

— Nie pamiętam, żeby o panu wspominała.

— Cóż, sześć lat to szmat czasu. Ale za to ja pamiętam, co Juana mówiła mi o pani. Z tego, co wiem, robi pani najlepsze *fajitas* w mieście.

Matka uśmiechnęła się lekko.

— Juana zawsze je lubiła. — Uśmiech zniknął. Zmarszczyła brwi.

— Pamiętałabym, gdybym pana wcześniej spotkała. Dlaczego Juana nigdy nie przyprowadziła pana do domu?

Dlaczego tak wiele pytań? — pomyślał Buchanan ze wzrastającym zaniepokojeniem. Co, u diabła, się dzieje?

#### 4

Dwa skrzyżowania dalej na tej samej ulicy stała mała, szara furgonetka zaparkowana przed domem opatrzonym tabliczką „Na sprzedaż”. Stała tak już od kilku dni, lecz okoliczni mieszkańcy nie byli zaniepokojeni jej obecnością. Wprost przeciwnie, ich poczucie bezpieczeństwa wzrosło, gdyż kierowca furgonetki, prywatny detektyw, złożył wizytę wszystkim mieszkającym w pobliżu i wyjaśnił, że niedawne akty wandalizmu na tym terenie skłoniły lokalną firmę ochroniarską do wysłania strażnika w celu pilnowania kilku posesji na obszarze dzielnicy, a szczególnie pustego domu, który wydawał się naturalnym celem dla wandalii. Gdyby któryś z sąsiadów zadzwonił pod numer podany na wizytówce, sekretarka o profesjonalnie miłym głosie poinformowałaby go, że to, co mówił detektyw, jest prawdą. Nie powiedziała mu natomiast, że mówi z niemal pustego, jednopokojowego biura w centrum i że firma ochroniarska istnieje dopiero od dwóch tygodni.

Prywatny detektyw nazywał się Duncan Bradley. Miał dwadzieścia osiem lat. Wysoki i szczupły, niemal zawsze nosił trampki i bawełniany dres, jakby spodziewał się, że w każdej chwili może zacząć grać w koszykówkę, która była jego ulubionym sposobem spędzania wolnego czasu. Wolał ten swobodny strój, ponieważ był wygodniejszy podczas długich akcji, a obecna — już i tak dość długa — mogła ciągnąć się jeszcze przez wiele dni.

Razem ze swoim partnerem pracowali na dwunastogodzinne zmiany, co oznaczało, że furgonetka, której szyby były tak przyciemnione, żeby nikt nie mógł zajrzeć do środka, musiała być wyposażona w kuchenkę mikrofalową i toaletę (miniaturowe urządzenie zwane Porta Potti). W tych trudnych warunkach wnętrze samochodu zostało specjalnie przystosowane, żeby pomieścić mierzącą dwa metry i piętnaście centymetrów postać Duncana Bradleya. Usunięto wszystkie fotele w tylnej części i zastąpiono je wyjątkowo długim materacem, przymocowanym do szerokiej deski, uniesionej pod kątem piętnastu stopni, żeby Duncan, leżący na materacu bez przerwy, nie bolała szyja od ciągłego spoglądania w górę.

Tym, na co spoglądał Duncan, był monitor miniaturowej kamery telewizyjnej umieszczonej na dachu furgonetki i ukrytej pod osłoną fałszywego wentylatora. Kamera ta, wersja urządzenia używanego w helikopterach bojowych, umożliwiała spore powiększanie obrazu, tak że była w stanie pokazać tablicę rejestracyjną samochodu zaparkowanego dwa skrzyżowania dalej, niebieskiego forda taurusa z Luizjany. Kamera była też doskonale przystosowana do pracy nocą, tak więc, chociaż niemal całą ulicę spowijały ciemności, Duncan bez trudu dostrzegł zielonkawą sylwetkę mężczyzny, który wysiadł z samochodu, przyczesał sobie włosy, rozejrzał się dookoła, jakby podziwiał okolice, po czym ruszył w kierunku domu. Mężczyzna był biały, po trzydziestce i miał jakieś metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Dobrze zbudowany, lecz nie przesadnie muskularny. Miał na sobie zwyczajne, niczym nie wyróżniające się ubranie, włosy ani długie, ani krótkie, twarz szorstką, choć nie surową, przystojną, lecz nie taką, która zwracałaby uwagę. — Drugi listopada — powiedział Duncan do magnetofonu. — Godzina dwudziesta pierwsza trzydzieści. Nadal jestem w samochodzie, dwa skrzyżowania od wyznaczonego celu. Jakiś mężczyzna pojawił się właśnie przed domem. — Duncan opisał następnie samochód, tablice rejestracyjne z Luizjany i kierowcę. — Nie jest zbyt wysoki ani zbyt niski. Może być kimś ważnym, może być nikim. Śledzę nasłuch.

Duncan odłożył magnetofon i podkręcił gałkę natężenia dźwięku w odbiorniku audio, po czym poprawił słuchawki na uszach. Odbiornik zbierał sygnały z kilku miniaturowych mikrofonów — nadajników, które Duncan umieścił w aparatach telefonicznych i włącznikach światła we wszystkich pokojach domu Mendezów. Mikrofony były wpięte w sieć elektryczną, mając dzięki temu zapewnione stałe źródło energii. Nadawały na nie używanym w San Antonio paśmie UKF, tak by transmisja nie zakłócała odbioru radia lub telewizji w domu i nie wzbudziła podejrzeń domowników. W dniu, w którym otrzymał to zadanie, Duncan poczekał, aż osobnicy będący obiektem obserwacji znajdą się poza domem. Ułatwili mu sprawę wychodząc po kolacji, kiedy wokoło panowały ciemności, i udając się do domu towarowego. W razie niespodziewanego powrotu śledzący ich partner Duncana miał uprzedzić go za pomocą telefonu komórkowego. Oczywiście Duncan poradziłby sobie również wtedy, gdyby Mendezowie nie zostawili domu bez opieki po zmroku. W razie potrzeby mógł wejść do pustego domu w dzień, udając pracownika firmy pielęgnującej zieleń, który zajmował się posiadłością. Żaden sąsiad nie uznałby za podejrzane, że człowiek ubrany w odpowiedni uniform, z opryskiwaczem wielkości gaśnicy na plecach, sprawdza krzaki po obu stronach domu, a następnie udaje się spokojnie na tył. Duncan włamał się do środka przez drzwi do patio, pokonując zamek w ciągu piętnastu sekund, a następnie zainstalował wszystkie mikrofony przed upływem czterdziestu minut. Pokręta na konsolce odbiornika pozwalały mu ustawić poziom dźwięku każdego z nadajników. Sprzęt pozwalał również na nagrywanie dźwięku z każdego mikrofonu na osobną taśmę. Duncan nie nagrywał jednak wiele. W ciągu dwóch tygodni trwania zadania nie słyszał nic poza normalnymi domowymi rozmowami. Być może domownicy używali prywatnego szyfru, żeby potajemnie przekazywać sobie informacje, ale Duncan nie wykrył niczego, co by na to wskazywało. Treścią rozmów telefonicznych było zwykłe, sąsiedzkie gawędzenie. Przy obiedzie mówiło się głównie o świetnie

prosperującym warsztacie samochodowym pana domu. W nocy para spędzała dużo czasu przed telewizorem. Nie kochali się w okresie, gdy Duncan ich podsłuchiwał.

Przez większą część tego wieczoru Duncan słuchał nagranych śmiechu publiczności serii telewizyjnych programów komediowych. Teraz, kiedy usłyszał dzwonek do drzwi, włączył rząd magnetofonów i ściszył nadajnik w salonie, podgłaśniając jednocześnie odbiór z mikrofonu w wejściowym korytarzu.

Duncan znał hiszpański. Był to jeden z powodów, dla których powierzono mu to zadanie, i teraz, od samego początku rozmowy, poczuł ukłucie podniecenia. Ponieważ obcy, który twierdził, że nazywa się Jeff Walker, od razu zapytał o Juanę Mendez. Synu, to coś dla ciebie, pomyślał Duncan. Nareszcie coś zaczyna się dziać. Kiedy gorliwie słuchał i upewniał się, że magnetofony nagrywają każde słowo, wcisnął jednocześnie guzik swojego telefonu komórkowego. Numer, pod który dzwonił, był zaprogramowany w telefonie.

— Zna pan moją córkę? — pytała pani Mendez po hiszpańsku. Mężczyzna, który przedstawił się jako Jeff Walker, wyjaśniał, że znał Juanę z wojska, z Fort Sam Houston.

Duncan, z telefonem komórkowym przyciśniętym do ucha, usłyszał buczenie sygnału.

Mężczyzna nazywający siebie Jeffem Walkerem mówił teraz o psie Juany. Kimkolwiek był, zdawał się dobrze ją znać.

Sygnał zabuczał po raz drugi.

Następnie Jeff Walker zaczął opowiadać, jak to Juana zachwalała *fajitas* z kurczaka robione przez jej matkę.

Szyjesz trochę zbyt grubymi nićmi, stary, pomyślał Duncan.

Nagle ktoś odebrał telefon, gładki męski głos tłumiący trzaski połączenia.

— Tutaj Tucker.

— Mówi Bradley. Zdaje się, że złapaliśmy kontakt.

## 5

— Dlaczego Juana nigdy nie przyprowadziła mnie do domu? — Cały czas używając hiszpańskiego Buchanan powtórzył pytanie, które zadała mu matka Juany. — Wie pani, sam się nad tym zastanawiałem. Chodziło chyba o to, że Juana nie była pewna, czy pani i mąż zaaprobowacie moją osobę.

Buchanan ryzykował sporo, ale musiał coś zrobić, żeby odwrócić jej uwagę od podejrzeń. Coś było nie tak, nie wiedział co, ale sądził, że jeśli zmusi matkę Juany do przyjęcia defensywnej postawy w jednej kwestii, to może otworzy się ona w rozmowie na inne tematy.

— Dlaczego mielibyśmy pana nie zaaprobować? — zapytała *señora* Mendez. Jej ciemne oczy załśniły od ledwie powstrzymanego oburzenia. — Ponieważ jest pan biały? To absurdalne. Połowa pracowników mojego męża to biali. Juana przyjaźniła się w szkole z wieloma białymi dziewczętami i wie, że nie mamy uprzedzeń rasowych.

— Przepraszam. Nie to miałem na myśli. Nie chciałem pani obrazić. Juana powiedziała mi — i to bardzo wyraźnie — że nie mielibyście państwo nic przeciwko temu, żeby przyjaźniła się z kimś, kto nie jest Latynosem.

— A więc dlaczego mielibyśmy pana nie zaaprobować? — Ciemne oczy kobiety zabłyśły ponownie.

— Ponieważ nie jestem katolikiem.

— ...Och. — Zniżyła głos.

— Juana mówiła, że wiele razy powtarzaliście jej, że jedyną rzeczą, której od niej oczekujecie... że gdyby poważnie myślała o mężczyźnie, musiałby być katolikiem... pomeważ chcieliście mieć pewność, że wasze wnuki zostaną wychowane w wierze katolickiej.

— Tak. — Matka Juany przełknęła ślinę. — To prawda. Często jej to mówiłam. Najwyraźniej zna pan ją dobrze.

Z głębi domu dobiegł ochrypły męski głos.

— Anita, z kim tam rozmawiasz? Dlaczego trwa to tak długo?

Matka Juany spojrzała przez korytarz na wejście do salonu.

— Proszę tu poczekać — powiedziała i zamknęła drzwi.

Buchanan stał czując się nieprzyjemnie odsłonięty. Zza drzwi dobiegały stłumione głosy.

Kobieta wróciła po chwili.

— Proszę wejść.

Nie zabrzmiało to jednak zbyt radośnie, a wyraz jej twarzy trudno byłoby określić jako szczęśliwy. Zamknęła drzwi i poprowadziła Buchanana do salonu.

Był połączony z kuchnią i Buchanan natychmiast poczuł lekki zapach oliwy, przypraw, cebuli i papryki z obiadu. Pokój wypełniało zbyt wiele mebli, głównie wyściełanych krzeseł i różnego rodzaju drewnianych stołów. Na ścianie wisiał krucyfiks. Niski, krępy mężczyzna po pięćdziesiątce, z kruczoczarnymi włosami i oczami ciemniejszymi niż u żony, siedział na rozkładanym fotelu. Twarz miał okrągłą, lecz poorly zmarszczkami. Ubrany był w robocze buty i niebieski fartuch z naszywką MENDEZ MECHANICS. Buchanan przypomniał sobie, że Juana mówiła mu o sześciu warsztatach, jakie jej ojciec ma w mieście. Mężczyzna palił cygaro i trzymał w dłoni butelkę piwa Corona.

— Kim pan jest? — głos jego zagłuszony był przez śmiech dochodzący z telewizora.

— Tak jak powiedziałem pana żonie, nazywam się...

— Tak. Jeff Walker. Kim pan jest?

Buchanan zmarszczył brwi.

— Przykro mi. Nie rozumiem.

Matka Juany drgnęła nerwowo.

— Jestem przyjacielem córki państwa — powiedział Buchanan.

— Tak pan twierdzi. — Mężczyzna też wyglądał na zdenerwowanego. — Kiedy są jej urodziny?

— Dlaczego na Boga...?

— Proszę tylko odpowiedzieć na pytanie. Jeśli jest pan takim dobrym przyjacielem Juany, to musi pan wiedzieć, kiedy są jej urodziny.

— Słucham.

— Zdaje mi się, że w maju. Dziesiątego.

Buchanan przypomniał to sobie, ponieważ przed sześciu laty on i Juana zaczęli pracować razem właśnie w maju. Udając męża i żonę w Nowym Orleanie narobili dużo szumu na temat jej urodzin, dziesiątego.

— Każdy mógł to sprawdzić w jej aktach. Czy jest na coś uczulona?

— *Señor Mendez*, o co tu chodzi? Nie widziałem jej od kilku lat. Trudno jest pamiętać takie rzeczy, jeśli...

— Tak też myślałem.

— Ale przypominam sobie, że miała kłopoty z kolendrą. Zawsze mnie zaskakiwało jej uczulenie na zioło tak często używane w hiszpańskiej kuchni.

— Znamiona?

— To naprawdę...

— Proszę odpowiedzieć na pytanie.

— Ma bliźnię na tyle prawej nogi, wysoko, koło biodra. Powiedziała, że jako mała dziewczynka skaleczyła się przechodząc przez ogrodzenie z drutem kolczastym. Co dalej, panie Mendez? Zapyta mnie pan, w jaki sposób dowiedziałem się o tej bliźnie? Chyba popełniłem błąd. Myślę, że nie powinienem był tu przyjeżdżać. Trzeba było pojechać do jakichś jej przyjaciół i tam dowiedzieć się, gdzie mogę ją znaleźć.

Gdy Buchanan ruszył w stronę drzwi, matka Juany powiedziała ostro:

— Pedro.

— Niech pan zaczeka — zatrzymał go ojciec. — Proszę. Jeśli naprawdę jest pan przyjacielem mojej córki, to proszę zostać.

Buchanan przyjrzał mu się, a potem skinął głową.

— Zadałem panu te pytania, ponieważ... — Pedro był najwyraźniej zmieszany. — Jest pan czwartym przyjacielem Juany, który pyta o nią w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

Buchanan nie okazał zaskoczenia.

— Czwartym...?

— Czy ona ma jakieś kłopoty? — Głos Anity był napięty z nerwów.

— Tak jak i pan, każdy z nich był biały — ciągnął Pedro. — Wszyscy nie widzieli jej od kilku lat. Ale w odróżnieniu od pana tamci nie znali szczegółów na jej temat. Jeden twierdził, że służył z nią w Fort Bragg. Ale Juana nigdy nie miała przydziału do Fort Bragg.

Buchanan wiedział, że pan Mendez się myli. Chociaż oficjalnie Juana pracowała w Fort Sam Houston, jej prawdziwa baza znajdowała się w Fort Bragg, lecz rodzice nie mogli tego wiedzieć, ponieważ Juana nigdy nie zdradziłaby tajemnicy i nie powiedziałaby im o tym. Myśleli więc, że mężczyzna kłamie. Tymczasem kimkolwiek był, znał życiorys Juany. Ale popełnił błąd zakładając, że jej rodzice też go znają. Ojciec Juany ciągnął dalej:

— Inny rzekomy przyjaciel twierdził, że znał Juanę w college'u, tutaj w San Antonio. Kiedy zapytałem, w którym, zmieszał się. Zdawał się nie wiedzieć, że Juana przeniosła się z Our Lady of the Lake University do St Mary's University. Każdy, kto dobrze ją znał, wiedziałby o tym.

Buchanan zgodził się w duchu. Ktoś spieprzył sprawę i przeleciał tylko wzrokiem po jej aktach, zamiast przeczytać je szczegółowo.

— Trzeci rzekomy przyjaciel — mówił dalej Pedro — utrzymywał, że tak jak pan chodził z Juaną, kiedy pracowali razem w Fort Sam Houston, ale kiedy zapytaliśmy go, dlaczego nigdy nie przyprowadził go do domu — Juana poznawała nas z większością swoich przyjaciół — nie potrafił podać wyjaśnienia. Pan przynajmniej je podał, podobnie jak zdaje się pan znać szczegóły dotyczące naszej córki. Pytam więc pana... Jeffie Walker... czy ona ma kłopoty?

Matka Juany czekała, mnąc nerwowo materiał sukni. Buchanan musiał szybko podjąć trudną decyzję. Pedro ofiarowywał mu swoje zaufanie. Albo podsuwał przynętę. Jeśli zdradzi prawdziwe powody przybycia, Pedro mógłby zacząć podejrzewać, że jest jeszcze jednym oszustem przysłanym przez wrogów Juany w celu jej odnalezienia. Postanowił zaryzykować.

— Myślę, że tak — odpowiedział.

Pedro wypuścił powoli powietrze, jakby wreszcie usłyszał to, czego oczekiwał, chociaż wiedza ta nappełniała go rozpaczą.

— Wiedziała! — krzyknęła matka. — Jakie kłopoty? Proszę nam powiedzieć. Zamartwialiśmy się na śmierć i...

— Anita, proszę, nie mów o śmierci. — Pedro spojrział ponuro na Buchanana i powtórzył pytanie, które zadała jego żona: — Jakie kłopoty?

— Gdybym wiedział, nie przyjechałbym tutaj — odparł Buchanan. — W zeszłym tygodniu otrzymałem wiadomość, że Juana chce się ze mną spotkać. Wiadomość była niejasna, jakby

chodziło o to, żeby nikt inny nie zrozumiał, o co mnie prosi. Ale ja rozumiałem. Desperacko potrzebowała pomocy. W Nowym Orleanie jest miejsce, które ma dla nas specjalne znaczenie. Nie wspominając o nim bezpośrednio, Juana prosiła — wręcz błagała — żebym tam się z nią spotkał w tym samym czasie i dniu, co ostatnim razem. Czyli o jedenastej wieczorem w Halloween. Ale nie przybyła na to spotkanie ani w Halloween, ani dzień później. Najwyraźniej coś było nie tak. Dlatego przyjechałem tutaj. Ponieważ pomyślałem, że jesteście jedynymi ludźmi, którzy mogą mnie do niej zaprowadzić. Doszedłem do wniosku, że jako jedyni będziecie mieli jakiegokolwiek pojęcie na temat tego, co się dzieje.

Pedro i Anita milczeli.

Buchanan dał im trochę czasu.

— Nie — rzekła wreszcie Anita.

Buchanan odczekał jeszcze chwilę.

— Nic nie wiemy — dodała. — Tyle tylko, że niepokoił się, gdyż Juana nie zachowywała się normalnie.

— Co to znaczy?

— Nie dała znaku życia od dziewięciu miesięcy. Zazwyczaj, nawet kiedy jest w trasie, dzwoni do nas przynajmniej raz w tygodniu. Powiedziała, że nie będzie jej przez jakiś czas. Ale dziewięć miesięcy?

— W jaki sposób zarabia teraz na życie?

Pedro i Anita spojrzeli na siebie niepewnie.

— Nie wiecie?

— Ma to jakiś związek z bezpieczeństwem — powiedział Pedro.

— Bezpieczeństwem narodowym?

— Nie, prywatnym. Juana ma własną firmę tutaj, w San Antonio. Ale nic więcej nam nie powiedziała. Nigdy nie rozmawialiśmy o szczegółach. Powiedziała, że byłoby to nie fair w stosunku do klientów. Że nie może nadużywać ich zaufania.

Dobrze, pomyślał Buchanan. Pozostała zawodowcem.

— A zatem Juana nie kontaktowała się z wami od dziewięciu miesięcy. I nagle kilku mężczyzn podających się za jej starych przyjaciół pojawia się w waszym domu, żeby zapytać, jak mogą ją znaleźć. Co jeszcze wydało wam się...

Nagle Buchanan zauważył, że rodzice Juany patrzą na niego w inny sposób. Ich spojrzenia były twardsze, bardziej ostrożne, ich potrzeba podzielenia się troską o córkę została odsunięta na bok przez nowe podejrzenia. Uwaga Buchanana na temat innych mężczyzn, którzy pojawili się w poszukiwaniu Juany, sprawiła, że jej rodzice zaczęli na nowo kojarzyć go z tymi mężczyznami.

Jednak niepokoiło go coś jeszcze. Głowa bolała go tak mocno, że na moment stracił czujność. Jeśli wróg próbował znaleźć Juanę i był tak niecierpliwy, że wysłał trzech różnych mężczyzn, żeby zapytali o nią Mendezów, to czy nie posunął się jeszcze dalej w swoich wysiłkach? Wróg mógł przecieżyć...

— Przepraszam bardzo. Czy mógłbym skorzystać z łazienki?

Podejrzliwość sprawiła, że na twarzy Pedro pojawił się gburowaty wyraz.

Skinął powściągliwie głową.

— Jest w korytarzu. Pierwsze drzwi po lewej.

Buchanan wstał, udając zmieszanie i wyszedł do przedpokoju. W łazience, która była jasna, biała i wyjątkowo schludna, zamknął drzwi na zasuwkę, zmusił się do wydalenia odrobiny moczu, spuścił wodę i podszedł do umywalki, żeby opłukać ręce. Zostawił odkręconą wodę, bezszelestnie otworzył szafkę z lekarstwami, znalazł nożyczki do paznokci i za ich pomocą odkręcił osłonę włącznika światła. Uważając, by nie dotknąć przewodów, odkręcił śruby mocujące kontakt do

ściany i wyciągnął go, żeby sprawdzić, co znajduje się z tyłu. To, co odkrył, wzmogło nudności wywoływane bólem głowy. Miniaturowy mikrofon–nadajnik tkwił przymocowany do przewodów. Ponieważ ludzie zazwyczaj najbardziej swobodnie czują się w łazience, specjaliści bardzo chętnie instalowali tam ukryte mikrofony i dlatego Buchanan zawsze sprawdzał to miejsce jako pierwsze. Ponieważ pani Mendez utrzymywała łazienkę w absolutnej czystości, „pluskowy” praktycznie dało się ukryć jedynie za kontaktem, w ulubionym przez zawodowców miejscu. Telefony zapewne również były na podsłuchu.

Okay, pomyślał Buchanan. Wszystko się zgadza.

Zakręcił wodę, której szum miał zagłuszyć odgłosy odkręcania kontaktu. Otworzył drzwi łazienki i wrócił do salonu, gdzie rodzice Juany bez wątpienia szeptali na jego temat.

— Pedro, bardzo przepraszam — rzekł.

— Za co?

— Kiedy myłem ręce, pociągnąłem chyba za mocno dźwigenkę spływu. Wygląda na to, że ją złamałem. Woda nie chce odpływać. Przepraszam, że...

Pedro wstał i z nachmurzoną miną ruszył w stronę łazienki, pierś wysunięta do przodu, krótkie nogi stawiające mocne kroki.

Buchanan odwrócił się do niego w przedpokoju i dał mu znak żeby milczał, lecz kiedy Pedro, nie rozumiawszy sygnału, otworzył usta, by zapytać, co się dzieje, Buchanan stanowczym ruchem zatkał mu je dłonią i potrząsnął mocno głową, wypowiadając bezgłośnie: „Zamknij się”. Pedro wyglądał na zaskoczonego. „Dom jest na podsłuchu”, sygnalizował dalej Buchanan.

Pedro zdawał się nie rozumieć. Próbował oderwać jego dłoń od swoich ust. Buchanan przytrzymał mu głowę lewą ręką i wprowadziwszy go do łazienki, odwrócił tak, by mógł zobaczyć spód kontaktu, wyciągniętego ze ściany. Pedro był właścicielem sieci warsztatów samochodowych. Musiał znać się na elektryce. Na pewno wiedział wystarczająco wiele na temat urządzeń elektrycznych, żeby zdać sobie sprawę, że mały gadżet przyczepiony do kontaktu nie powinien się tam znajdować, że jest to miniaturowy mikrofon–nadajnik.

Oczy Pedra rozszerzyły się.

— *Comprende?* — zapytał bezgłośnie Buchanan.

Pedro z przymusem skinął głową.

Buchanan puścił go.

Otarłszy usta, na których odcisnął się ślad dłoni, ojciec Juany rozejrzał się i postukał w dźwigenkę podnoszącą zatyczkę w umywalce.

— Proszę. Widzi pan, nic się nie stało. Po prostu nie pociągnął pan wystarczająco mocno. Woda już spływa.

— Dobrze, że jej nie złamałem — rzekł Buchanan.

Pedro miał kilka długopisów i notes w górnej kieszeni swojego fartucha. Buchanan szybko wyciągnął notes i jeden z długopisów. Napisał: „Nie możemy rozmawiać w domu. Gdzie i kiedy możemy się spotkać? Szybko”.

Pedro przeczytał wiadomość, zmarszczył brwi i odpisał: „Siódma rano. Mój warsztat na 1217 Loma Avenue”.

— Nie ufam panu — powiedział Pedro gwałtownie.

— Co? — Efekt był tak przekonujący, że trwało chwilę, zanim Buchanan zdał sobie sprawę, że Pedro udaje.

— Proszę opuścić mój dom.

— Ale...

— Proszę wyjść. — Pedro chwycił Buchanana za ramię i wyprowadził go do przedpokoju.

— W jaki sposób mam wytłumaczyć to panu jaśniej? Za drzwiami!



— Pedro! — Anita wybiegła z salonu do przedpokoju. — Co ty robisz? On może nam pomóc.

— Precz stąd! — Pedro pchnął Buchanana w kierunku drzwi wyjściowych.

Buchanan udawał, że protestuje.

— Dlaczego? Nie rozumiem. Co takiego zrobiłem? Jeszcze kilka minut temu rozmawialiśmy o tym, jak pomóc Juanie. A teraz nagle...

— Coś mi się w panu nie podoba — rzekł Pedro. — Jest pan zbyt przymilny, zbyt gładki. Myślę, że jest pan w zмовie z tymi facetami, którzy przychodzili tu jej szukać. Myślę, że jest pan jej wrogiem, a nie przyjacielem, i że w ogóle nie powinienem być z panem rozmawiać. Proszę wyjść. Natychmiast. Zanim zadzwonię po policję.

Pedro odczepił łańcuch i otworzył drzwi.

— Popelnia pan błąd — powiedział Buchanan.

— Nie, pan go popełnił. I popełni pan jeszcze większy, jeśli kiedykolwiek pojawi się pan w pobliżu mojego domu.

— Do diabła, jeśli nie chce pan mojej pomocy...

— Chcę, żeby wyniósł się pan z mojego domu!

Pedro pchnął Buchanana.

Ten zachwiał się i przestąpił przez próg, czując się nieswojo w jasnym świetle lampy.

— Proszę mnie więcej nie dotykać.

— Pedro! — powiedziała Anita.

— Nie wiem, gdzie jest moja córka, ale nawet gdybym wiedział, panu i tak nie powiedziałbym ani słowa! — zawołał Pedro.

— Idź do diabła — mruknął przekonywająco Buchanan.

## 6

— Lepiej szybko tu przyjedź — powiedział Duncan Bradley do telefonu komórkowego, słuchając tego, co dzieje się w domu. — Facet, który niedawno się pojawił, kompletnie wściekł Mendeza. Mendez myśli, że facet pracuje dla nas. Wrzeszczą teraz na siebie. Mendez wyrzuca go z domu.

— Jestem prawie na miejscu. Jeszcze dwa skrzyżowania — odpowiedział partner Duncana.

— Równie dobrze mogłyby to być dwa kilometry. — Duncan spojrział na połyskujący zielonkawy, powiększony obraz widoczny na monitorze. — Facet idzie właśnie do swojego samochodu. Odjedzie, zanim tam dotrzesz.

— Powiedziałem ci, że jestem blisko. Widzisz moje światła?

Duncan spojrział na inny monitor, który pokazywał ciemną przestrzeń za furgonetką.

— Owszem.

— Świetnie. Kiedy ten człowiek ruszy, nie będzie nic podejrzewał widząc z tyłu światła samochodu — powiedział Tucker.

— Wsiada już do auta — ponaglił Duncan.

— Nie ma problemu. W związku z tym numerem rejestracyjnym, który mi podałeś...

— Tak?

— Uzyskałem dostęp do komputera policji stanu Luizjana. Taurus należy do agencji wynajmu samochodów z Nowego Orleanu.

— To nie mówi nam zbyt wiele — rzekł Duncan.

— Mam jeszcze coś. Zadzwoń do agencji. Udawałem oficera z drogówki. Powiedziałem im, że był wypadek i chcę wiedzieć, kto wynajął samochód.

— I co ci powiedzieli?

— Brendan Buchanan. Takie nazwisko widnieje na umowie.

Przednie światła samochodu Tuckera rosły na monitorze wyświetlającym obraz z tylnej kamery.

Na monitorze kamery przedniej pojawiły się światła odległego o dwa skrzyżowania taurusa. Samochód odjeżdżał.

Dżip cherokee Tuckera z szumem minął furgonetkę. Duncan oderwał wzrok od monitorów i uśmiechnął się przez przednią szybę w kierunku szybko oddalających się świateł dżipa.

— Widzisz, mówiłem ci — odezwał się Tucker przez telefon. — Nic trudnego. Siedzę mu na ogonie. I żadnych świateł wylaniających się za nim z bocznej uliczki. Nic, co mogłoby wzbudzić jego podejrzenia.

— Brendan Buchanan? — zastanawiał się Duncan. — Kto to, u diabła, jest Brendan Buchanan? I jaki jest jego związek z kobietą?

— Główne biuro właśnie go sprawdza.

Tylne światła dżipa zmieniły się w czerwone punkciki, podążające za jeszcze mniejszymi drobinami świateł taurusa.

— Na razie sprawdzę, gdzie facet się zatrzymał. Złożymy mu wizytę. Dowiemy się wszystkiego, co trzeba o Brendanie Buchananie.

## 7

Mikrofon–nadajnik musiał mieć coś do odbierania swojego sygnału. W zależności od jego mocy, odbiornik mógł znajdować się nawet w odległości kilometra. Jednak względy praktyczne — na przykład wywołujący zakłócenia sprzęt elektryczny w okolicy — wymagały zazwyczaj, by znajdował się o wiele bliżej. Dobrze było też, gdy osoba śledząca sygnały z mikrofonów mogła jednocześnie obserwować kontrolowane miejsce. Wszystko wskazywało więc na to, uznał Buchanan, że odbiornik znajduje się w najbliższej okolicy — być może w którymś budynku, choć w tej szacownej dzielnicy grupie inwigilującej trudno byłoby zająć cały dom — raczej więc w jakimś pojeździe. Tyle że na ulicy pomiędzy dwoma najbliższymi skrzyżowaniami nie było żadnych samochodów. Buchanan zauważył to już wcześniej i teraz upewnił się, idąc po trawniku w kierunku taurusa.

Odwrócił się jeszcze, by spojrzeć na Pedro Mendezę, który wciąż stał na werandzie, rzucając mu gniewne spojrzenia.

Diabelnie dobrze, Pedro, pomyślał Buchanan. Minałeś się z powołaniem. Powinieneś być zostać aktorem.

Udając, że jest wściekły, okrążył auto, żeby otworzyć drzwi po stronie kierowcy, i rozejrzał się ponownie po ulicy. Teraz dopiero zauważył jakiś samochód zaparkowany dwa skrzyżowania dalej. Nie spostrzegł go wcześniej, ponieważ pojazd, mały z tej odległości, stał w cieniu pomiędzy rozmieszczonymi w szerokich odstępach ulicznymi latarniami. Stał się widoczny tylko na chwilę, ponieważ oświetliły go reflektory nadjeżdżającego samochodu.

Nadszedł chyba czas, by złożyć komuś wizytę, pomyślał Buchanan, po czym zapuścił silnik taurusa, włączył światła i ruszył. Reflektory jadącego z tyłu samochodu zbliżyły się.

Ktoś tak bardzo chce znaleźć Juanę, że zakłada podsłuch w jej domu. Nie będąc jednak pewien, czy nie przesłała jakoś swoim rodzicom wiadomości, staje się niecierpliwy i wysyła do domu jej rzekomego przyjaciela, aby dowiedział się, gdzie ona jest. Bez rezultatu. Wysyła więc kogoś innego. Nic. I jeszcze jednego...

Czy to ma sens? Musieli się przecież zorientować, że trzech starzy przyjaciele pojawiający się w przeciągu dwóch tygodni wzbudzą podejrzania rodziców Juany. Dlaczego więc...?

Tak, pomyślał Buchanan. Licząc, że Juana jest w kontakcie ze swoimi rodzicami, ten, kto próbuje ją znaleźć, daje do zrozumienia, że są oni obserwowani. Chce, żeby zaczęła się martwić o swoich rodziców. Ma nadzieję, że to zmusi ją do wyjścia z ukrycia.

Teraz kiedy ja wkroczyłem do akcji, a i grupa inwigilująca wie, że jest w tym wszystkim jakiś nieznany czynnik, wrogowie mogą się zdenerwować i odbyć długą, nieprzyjemną rozmowę z Mendezami. Muszę zawiadomić Pedra i Anitę, że grozi im niebezpieczeństwo.

A co ze mną? — pomyślał Buchanan skręcając za róg. Ci, którzy szukają Juany, na pewno będą chcieli porozmawiać z obcym facetem, który pojawia się nagle i zadaje te same pytania co oni.

Buchanan skręcił za następny róg. Światła z tyłu nie zniknęły.

No proszę, pomyślał.

## 8

### *Falls Church, Wirginia*

Pułkownik wybrał motel na skraju miasta, dzwoniąc z budki, żeby zarezerwować pokój pod pseudonimem. O jedenastej wieczorem, gdy już upewnił się dzięki użyciu elektronicznego skanera, że w pokoju nie ma żadnych urządzeń podsłuchowych, przybyło jego troje współpracowników. Ubrania mieli mokre od chłodnego, listopadowego deszczu, który powitał ich na lotnisku w Waszyngtonie. Wszyscy troje wyglądali na zmęczonych, nawet kapitan Weller, która zazwyczaj promieniowała ekscytującą witalnością. Jej blond włosy były potargane, bluzka pognieciona. Zdjęła kurtkę, rzuciła się na motelową sofę i ściągnęła z nóg pantofle na wysokim obcasie. Major Putnam i Alan mieli wymizerowane, czerwone policzki, zapewne z powodu zmęczenia lotem, alkoholu i związanego z tym odwodnienia.

— Czy możemy dostać trochę kawy? — zapytała kapitan Weller.

— Tam — wskazał pułkownik. — Dzbanek stoi na tacy koło telefonu.

W przeciwieństwie do swoich gości był pełen energii, ożywiony i jak zawsze sprężyste wyprostowany. Ogolił się i wziął prysznic przed spotkaniem, częściowo po to, by się odświeżyć, częściowo, by wyglądać lepiej niż jego towarzysze. Ubranie pułkownika również było bez zarzutu — błyszczące mokasyny od Bally'ego, wyprasowane szare spodnie, nakrochmalona biała koszula, dopiero co kupiony krawat w czerwone prążki i niebieska dwurzędowa marynarka. Nawet bez munduru chciał wyglądać po wojskowemu.

— Och. — Kapitan Weller zerknęła na dzbanek. Ona i major Putnam, który opadł na krzesło koło telewizora, również nie mieli na sobie mundurów. — Słusznie. Nie zauważyłam jej, kiedy weszłam.

Pułkownik spojrzał na nią groźnie, jakby chciał zaznaczyć, że nie udało jej się zauważyć również wielu innych rzeczy.

Alan, jedyny cywil w pokoju, poluzował węzeł wymiętego krawata, rozpiął górny guzik pogniecionej koszuli i podszedł do dzbanka z kawą, by napęłnić kubek. Wszyscy w pokoju

wyglądali na zaskoczonych, Kiedy podszedł z nim do kapitan Weller, on tymczasem wrócił, żeby nalać sobie następny, dmuchając na parujący płyn i popijając drobnymi łyżkami.

— Co my tu robimy? — zapytał. — Czy to nie mogło poczekać do rana? Padam z nóg, nie mówiąc o tym, że mam żonę i dzieci, które nie widziały mnie od...

Przerwał mu zimny jak stal głos pułkownika.

— Oczekuję na szczegółowy raport. Koniec z półsłówkami i domysłami, o których nie chcecie mówić przez telefon.

— Hej — powiedział Alan — gdybyśmy dostali przenośne zakłócacze, powiedziałbym panu przez telefon wszystko, co by pan chciał, ale kto raz się sparzył, ten na zimne dmucha, pułkowniku. W tej sprawie musimy być wyjątkowo ostrożni.

— Zgadzam się w zupełności. — Pułkownik uniósł wysoko głowę. Deszcz bębnił o szyby, sprawiając, że ponury pokój stawał się jeszcze mniej przyjemny. — Dlatego rozkazałem, żeby był pan tutaj, zamiast w łóżku ze swoją żoną.

Twarz Alana stwardniała.

— Rozkazałem, pułkowniku?

— Niech ktoś mi powie, co się dzieje. — Głos pułkownika nabrał jeszcze bardziej stalowego brzmienia. — Majorze, siedzi pan jak dotąd niezwykle cicho.

— Sporo już pan wie. — Major potarł sobie kark. — W Nowym Orleanie mieliśmy spotkać się z Buchananem w jego pokoju hotelowym, punkt dziewiąta. Ponieważ nie odpowiadał na pukanie, poprosiliśmy pokojówkę, żeby otworzyła drzwi. Poprzedniego dnia zwolniono go ze szpitala, obawialiśmy się, że może zemdlął albo coś takiego. W pokoju był jego klucz, formularz wymeldowania — najwyraźniej nie chciał, żeby hotel zaczął go poszukiwać — i ten list zaadresowany do Alana.

Pułkownik wziął list i przeczytał go.

— A więc twierdzi, że oddaje nam przysługę znikając. Dzięki temu reporterka z „Washington Post” nie będzie mogła zweryfikować swojej historii, gdyby postanowiła się nią dalej zajmować.

— Wydaje się, że o to mu chodziło — rzekł major.

— A co pan o tym myśli? — nachmurzył się pułkownik.

— Naprawdę nie wiem — odpowiedział major. — Wszystko wymknęło nam się z rąk. Może Buchanan ma rację.

— Do diabła, majorze, czyżby zapomniał pan, że jest pan oficerem armii Stanów Zjednoczonych?

Major wyprostował się z hamowanym oburzeniem.

— Nie, sir. Na pewno nie zapomniałem.

— A więc dlaczego muszę panu przypominać, że kapitan Buchanan jest nieobecny bez zezwolenia? Jest dezertorem. Nasi agenci nie mogą ot tak rezygnować ze służby i zniknąć na własną rękę, szczególnie agenci wiedzący tak wiele jak Buchanan. Mielibyśmy chaos i koszmar dekonspiracji. Widzę, że nie pilnowałem was dostatecznie. To zadanie wymaga większej dyscypliny, większej...

Tym razem to Alan przerwał jemu.

— Nie, to zadanie wymaga, żeby każdy pamiętał, kim jest oficer armii Stanów Zjednoczonych. — Odstawił swój kubek z taką siłą, że kawa prysnęła na boki. — To zadanie zaczęło po raz pierwszy iść w złym kierunku, kiedy wojskowy personel wziął się do rzeczy, które powinny być robione przez cywilów. Udajecie cywilów od tak dawna, że nie zauważacie już różnicy.

— Przez „cywilów” rozumie pan Agencję?

— Tak.

— Cóż, gdyby Agencja należycie wykonywała swoje zadania, nie musiałaby prosić nas o pomoc, prawda? W latach osiemdziesiątych wasi ludzie tak otoczyli się gadżetami i satelitami, że zapomnieli o żywych agentach jako sposobie zdobywania naprawdę wartościowych informacji. To wy sami po tym, jak spieszyliście sprawę Iranu, Iraku, starego ZSRR — nawet upadek Rosji was zaskoczył — uznaliście, że aby uratować tyłki, potrzebujecie grupy wyszkolonych, zdecydowanych na wszystko ludzi. Nas.

— Ja nie musiałem ratować tyłka — powiedział Alan. — Nigdy nie byłem fanatykiem gadżetów. To nie moja wina, że...

— Prawda jest taka — przerwał mu pułkownik — że kiedy skończyła się zimna wojna, wasi ludzie zdali sobie sprawę, że tracą zajęcie, jeśli nie znajdą sobie czegoś innego do roboty. Problem jednak w tym, że wszystkie zadania, które należało wykonać, takie jak na przykład wytępienie narkotykowych bossów z Trzeciego Świata, związane były z ryzykiem, którego wy nie chcieliście podjąć. Czy nie dlatego przegrana została wojna z kartelami narkotykowymi, że używaliście ich bossów jako informatorów, zapewniając w zamian bezkarność? Trudno jest ścigać ludzi, z którymi się robi interesy. To jest powód, dla którego poprosiliście o to nas. Mieliśmy się zająć nimi, nie zdradzając, kto nas napuścił.

— Hej — powiedział Alan — to nie jeden z moich ludzi pomyślał, że jest wolnym duchem i przepadł jak kamień w wodę.

— Kapitan Buchanan nie mógłby przepaść jak kamień w wodę — rzekł pułkownik — gdyby wasi ludzie we właściwy sposób pilnowali hotelu.

— To nie moim ludziom powierzono pilnowanie hotelu. Gdyby ta sprawa należała do mnie... To wojsko spowodowało całą tę aferę. Żołnierze nie powinni zajmować się...

— Wystarczy — przerwał pułkownik. — Pańska opinia nie jest już potrzebna.

— Ale...

— To wszystko. — Pułkownik odwrócił się do majora i kapitan Weller, zakłopotanych tą gwałtowną sprzeczką. — Co robimy w sprawie Buchanana?

Kapitan Weller odchrząknęła.

— Podając się za jego żonę, zadzwoniłam do firmy, która wydała kartę kredytową, i zawiadomiłam, że karta została skradziona. Myślałam, że może kupił bilet na samolot. Myliłam się. Firma odpowiedziała mi, że ktoś używający jego nazwiska wynajął samochód w Nowym Orleanie.

— I? — zapytał ostro pułkownik.

— Następnie ktoś zapłacił jego kartą za wynajęcie pokoju w motelu w Beaumont, w Teksasie.

— Jestem pod wrażeniem. Zakładam, że nasi ludzie są teraz w Beaumont.

— Tak. Ale Buchanana tam nie ma.

— Nie ma...?

— Wygląda na to, że zatrzymał się tylko na parę godzin. Wyjechał w Południe.

— Co?

— Najwyraźniej chce cały czas być w ruchu — powiedziała kapitan Weller.

— Dokąd jedzie?

Potrząsnęła głową.

— Zdaje się przemieszczać na zachód. Firma od karty kredytowej obiecała, że będzie mnie informować na bieżąco.

— Jest tylko jeden problem — rzekł Alan.

Spojrzeli na niego.

— Następnym razem, gdy Buchanan wypłynie gdzieś ze swoją kartą, firma nie tylko zablokuje jego konto, lecz także wyśle za nim policję. To dopiero będzie zabawa, co? Jeśli wmiesza się w to wszystko jeszcze policja.

— Cholera — powiedziała kapitan Weller.

— A jeśli dostaniecie go pierwsi — ciągnął Alan — to co zamierzacie zrobić? Umieścić go w karczerze? Czy nie widzicie, jak łatwo ta sprawa może wymknąć się z rąk? Dlaczego nie pozwolicie temu facetowi zniknąć?

Deszcz bębnił o szyby.

— Podobno wczoraj wieczorem był przekonany, że chcieliśmy go zamordować — powiedział pułkownik.

— Zgadza się.

— Cóż, jego podejrzenia są absurdalne. To paranoja twierdzić, że zwrócilibyśmy się przeciwko niemu. I kiepska gwarancja, że zniknie, tak jak obiecał. Może będzie wracał, żeby nas prześladować. A co z dziennikarką? Przekazała nam wszystkie materiały. Czy zatrzymała sobie kopie? Czy porzuci całą sprawę, tak jak obiecała?

— Cokolwiek mamy zrobić, zrobmy to szybko — zdecydował major. — Mam dwa tuziny agentów w Ameryce Środkowej, którzy oczekują, że dam im wsparcie. Każda minuta, którą spędzam na zajmowaniu się Buchananiem, zwiększa ryzyko, że coś innego pójdzie źle. Gdyby tylko zgodził się na nasze propozycje i został instruktorem. Co złego jest w spełnianiu funkcji instruktora?

— To, że on nim nie jest — powiedział Alan.

Wlepili w niego wzrok.

— I nie jestem wcale pewien, czy w ogóle jest tym, kim jest — dodał Alan.

## 9

Człowiek śledzący Buchanana stał się bardziej widoczny, gdy zaczęli zbliżać się do centrum San Antonio. Ulice były tu lepiej oświetlone i Buchanan spostrzegł, że mężczyzna jedzie dżipem cherokee. Dżip był szary, co jest dobrym, nie rzucającym się w oczy kolorem dla samochodu śledzącego, szczególnie w nocy. Mężczyzna, kiedy tylko mógł, zostawał w tyle, ukrywając się za innymi samochodami. Zdradziły go dwie pierwsze minuty.

Buchanan zatrzymał się na stacji benzynowej, napełnił bak i wszedł do środka, żeby zapłacić. Kiedy wyszedł na zewnątrz, zauważył, że dżip cherokee stoi zaparkowany kilkadziesiąt metrów dalej.

Przejechał jeszcze kilka kilometrów, zatrzymał się przy małym centrum handlowym i wszedł do restauracji typu Fast-food z kuchnią teksasko-meksykańską, gdzie zjadł *burrito* z wołowiną i fasolą i wypił colę, spoglądając ostrożnie przez okno w stronę, gdzie w cieniu, przy rogu budynku zaparkowany był dżip cherokee. Siedzący za kierownicą mężczyzna rozmawiał przed telefon komórkowy.

*Burrito* było tak ostro przyprawione, że rumieniec palił Buchananowi twarz. A może miał gorączkę ze zmęczenia. Nie wiedział. Bolał go zraniony bok. Muszę trochę odpocząć, pomyślał i przełknął kolejne trzy tabletki tylenolu.

Tylne wyjście z restauracji znajdowało się obok toalet w głębi sali. Buchanan wyszedł na zewnątrz i pobiegł ciemną alejką w stronę dżipa.

Mężczyzna siedzący za kierownicą — pod trzydziestkę, ubrany w baseballową kurtkę Houston Oilers — był zbyt zajęty rozmową i obserwowaniem głównego wyjścia z restauracji, nie zauważył więc Buchanana zbliżającego się od tyłu. W momencie kiedy odłożył telefon, Buchanan szarpnął drzwi po stronie pasażera, wskoczył do środka i wcisnął lufę pistoletu między żebra mężczyzny.

Ten jęknął, z bólu i zaskoczenia.

— Jak się nazywasz? — zapytał Buchanan.

Mężczyzna był zbyt przestraszony, żeby odpowiedzieć. Buchanan mocniej wcisnął pistolet w jego żebra.

— Nazwisko.

— Frank... Frank Tucker.

— Cóż, przejedźmy się w takim razie, Frank.

Mężczyzna zdawał się sparaliżowany przerażeniem.

— Jedź, Frank, albo cię zabiję. — Buchanan wypowiedział groźbę spokojnym, rzeczowym tonem.

Frank wykonał polecenie.

— Właśnie tak — powiedział Buchanan. — Ładnie i spokojnie. Trzymaj obie dłonie na kierownicy.

Minęli taurusa. Buchanan zaparkował go między kilkoma innymi wozami przed restauracją, wiedząc, że nie będzie zwracał niczyjej uwagi aż do zamknięcia lokalu.

— Czego chcesz? — spytał mężczyzna drżącym głosem.

— Cóż, na początek... — Buchanan wyciągnął wolną rękę i obszukał go. Znalazł tylko pustą kaburę. — Gdzie twój gnat, Frank?

Mężczyzna wskazał spojrzeniem skrytkę w desce rozdzielczej. Buchanan otworzył ją i znalazł rewolwer Smitha & Wesson magnum .357.

— Gdzie pozostałe?

— Nie mam.

— Być może, Frank. I tak wkrótce się dowiem. Ale jeśli kłamiesz odstrzelę ci prawą rzepekę kolanową. Będiesz inwalidą przez resztę życia, które zresztą może okazać się o wiele krótsze, niż sądziłeś. Zakręć przy tym sklepie spożywczym i jedź z powrotem.

— Słuchaj, nie chcę wiedzieć, o co tu chodzi, ale dam ci wszystkie pieniądze, jakie mam, jeśli...

— Oszczędź sobie, Frank. Ostrożnie. Powiedziałem ci, obie dłonie na kierownicy. — Buchanan odbezpieczył pistolet i wcisnął go głębiej między żebra mężczyzny.

— Daj spokój, człowieku! Jeśli wjadę w dziurę, ta rzecz może wystrzelić.

— A więc nie wjeżdżaj w dziurę — odparł Buchanan. — Kim jesteś? Oficjalny czy prywatny?

— Nie wiem, o czym...

— Dla kogo pracujesz?

— Dla nikogo nie pracuję.

— Tak, oczywiście, Frank. Postanowiłeś sobie śledzić mnie dla zabawy.

— Nie śledziłem cię. Nigdy cię wcześniej nie widziałem.

— Oczywiście, Frank. Jesteśmy tylko dwoma nieznanymi, którzy wpadli na siebie przypadkowo i akurat obaj mają przy sobie broń. Zbieg okoliczności. Takie czasy. — Buchanan przyjrzał się mężczyźnie. — Nie jesteś gliniarzem. Gdybyś był z policji, miałbyś wsparcie. Mógłbyś należeć do mafii, ale kurtka Oilersów i dzip cherokee nie bardzo pasują do ich stylu. Kim więc jesteś?

Brak odpowiedzi.

— Frank, nudzę się, kiedy tak długo mówię do siebie. Jeśli znajdę przy tobie legitymację prywatnego detektywa, odstrzelę ci obie rzepekę kolanową.

Sięgnął po portfel mężczyzny.

— W porządku, w porządku. — Pot zebrał się Frankowi na drżącej górnej wardze. — Jestem prywatnym detektywem.

— Nareszcie zaczynamy się poznawać. Powiedz mi, Frank, gdzie się szkoliliś?

— Przy robocie.

— Tak myślałem. Przy robocie i na filmach. Oto moja rada. Kiedy nie ma zbyt dużego ruchu, śledź swój cel z równoległej ulicy. Jadąc z taką samą szybkością jak on, będziesz go widział na każdym skrzyżowaniu, ale on cię nie zauważy. Dopiero kiedy zniknie z oczu, wjedź na jego ulicę. To był twój pierwszy błąd — że jechałeś bezpośrednio za mną. Twoim drugim błędem było to, że nie zamknąłeś drzwi. Powinienem być mieć większe trudności z dostaniem się do twojego samochodu. Trzeci błąd: bez względu na to, jak nieprzyjemne jest siedzenie na długiej zasadzce, zawsze trzymaj broń w kaburze, skąd możesz ją szybko wyciągnąć. Jest bezwartościowa, jeśli leży w skrytce, kiedy ktoś wchodzi do twojego samochodu celując w ciebie z pistoletu.

Zadzwoił telefon.

— Nie, Frank. Obie dłonie na kierownicy.

Telefon zadzwonił po raz drugi.

— Ktokolwiek to jest, może na ciebie zaczekać — powiedział Buchanan. — W gruncie rzeczy, dlaczego nie mielibyśmy pogadać z nim osobiście? Wracajmy do Castle Hills.

## 10

Leżąc na materacu w głębi swojej furgonetki Duncan Bradley obserwował ekran telewizyjny ukazujący powiększony obraz terenu przed domem Mendezów dwa skrzyżowania dalej. Jednocześnie trzymał na uszach słuchawki, chociaż transmisja audio z namierzonego domu urwała się trzydzieści minut temu, gdy mężczyzna nazywający siebie Jeffem Walkerem został wyrzucony przez Mendeza. Chwilę jeszcze żona klóciła się z mężem, twierdząc, że mężczyzna mógłby pomóc im odnaleźć córkę. Mąż kazał jej się zamknąć i powiedział, że obcy nie różnił się niczym od innych oszustów pytających o Juanę. Oboje poszli do łóżka w ponurym milczeniu.

Nasłuchując Duncan dwukrotnie próbował skontaktować się ze swoim partnerem. Teraz, zanim zrezygnował, pozwolił telefonowi zadzwonić dziesięć razy. Milczenie Tuckera go niepokoiło. Oczywiście, mogło istnieć rozsądne, niegroźne wytłumaczenie. Tucker mógł na przykład wejść za Jeffem Walkerem do hotelu. Mimo to Duncan ponownie sięgnął po telefon i już miał nacisnąć guzik automatycznie łączący go z numerem Tuckera, gdy zwrócił jego uwagę ruch na jednym z połyskujących zielonkawo ekranów. Był to parkujący za furgonetką džip cherokee.

Po chwili światła dzipa zgasły. Duncan odetchnął. Coś musiało wysiąść w telefonie komórkowym. Dlatego Tucker wrócił, żeby osobiście przekazać Duncanowi to, czego dowiedział się o Jeffie Walkerze. Gdy monitor pokazał jego partnera wysiadającego z dzipa i podchodzącego do tylnych drzwi furgonetki, Duncan podniósł się z materaca, podszedł na czworakach do tyłu i usłyszawszy pukanie, otworzył drzwi.

— Co się stało z twoim telefonem? Próbowałem... — Słowa uwięzły mu w gardle, a szczęka opadła z kompletnego zaskoczenia, gdy spostrzegł mężczyznę stojącego obok Tuckera. Widocznie był ukryty w dzipie. Jeff Walker.

Z pistoletem w dłoni.

O cholera, pomyślał Duncan.



Natarczywe dzwonięcie do drzwi zdenerwowało Pedro Mendeza.

Z wielu powodów. Niepokój o córkę, zamieszanie z Jeffem Walkerem strach wywołany znalezieniem mikrofonu w łazience tak wytrąciły Pedro Mendeza z równowagi, że nie mógł zasnąć. Co miał zamiar powiedzieć mu Walker następnego ranka w warsztacie? Napięty, przewracał się z boku na bok, a gdy wreszcie, nieoczekiwanie, nadszedł litościwy sen, ktoś zaczął naciskać ten cholerny dzwonek.

— Anita, zostań tu — nakazał, po czym wygramolił się z łóżka, włożył szlafrok i kapcie, wziął kij baseballowy z szafy i ruszył gniewnie na dół. Przez okno nad wejściowymi drzwiami ujrzał cień mężczyzny stojącego na mrocznej werandzie. Na Boga, jeśli znowu był to ktoś szukający jego córki, Pedro zamierzał raz na zawsze dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi.

Kiedy włączył światło na werandzie, jego determinacja rozwiała się, gdyż ujrzał, że mężczyzną jest Jeff Walker, niecierpliwymi gestami proszący o otwarcie drzwi.

Uchylił je ostrożnie na szerokość łańcucha.

— Co pan tu...

— Szybko. Muszę coś panu pokazać.

Jeff Walker wskazał na ulicę.

Patrząc w tamtą stronę Pedro zauważył niewielką furgonetkę zaparkowaną przy krawężniku.

— Co pan tutaj robi o tej...

— Proszę — powiedział Jeff Walker. — Chodzi o Juanę. To bardzo ważne.

Pedro zawahał się — ale tylko na chwilę. Coś w twarzy Jeffa Walkera wzbudzało zaufanie. Porzucił swoje wątpliwości i otworzył drzwi. Jeff Walker był już na trawniku i szedł szybko w stronę furgonetki. Pedro pobiegł za nim.

— Co chce mi pan pokazać? Czyja to furgonetka? Dlaczego...

Pedro przerwał znowu, ponieważ Walker otworzył tylne drzwi samochodu i zaświecił do środka latarką. Dwaj mężczyźni — nadzy, z dłońmi skrepowanymi z tyłu za pomocą rękawów koszuli, z nogawkami spodni zawiązanymi wokół kostek, zakneblowani najwyraźniej własną bielizną — leżeli na podłodze furgonetki. Byli przywiązani do siebie pasami. Kiedy padło na nich światło latarki, poruszyli się.

— Wiem, że trudno jest mieć pewność w tych warunkach — powiedział Jeff Walker — ale czy to ci dwaj mężczyźni przyszedli do pańskiego domu i pytali o Juanę?

Pedro wziął latarkę i podszedł bliżej, kierując snop światła najpierw na jednego, potem na drugiego.

— Tak, to oni. W jaki sposób...

— Obserwowali pański dom — powiedział Jeff Walker.

Pedro oświetlił półki ze sprzętem elektronicznym ciągnące się wzdłuż prawego boku furgonetki. Monitor telewizyjny ukazywał połyskujący zielonkawy obraz terenu przed domem. Obok stało kilka magnetofonów połączonych z odbiornikami audio. A więc umieścili też inne mikrofony w domu, pomyślał Pedro z rozpaczą. Cały dom musi być... Ugięły się pod nim kolana. Asfalt zdawał się falować pod jego stopami. Walker wyjął knebel jednemu z mężczyzn.

— Kto jeszcze pracował z wami? Gdzie go znajdę?

Mężczyzna miał kłopoty z wydobyciem głosu z wyschniętego gardła. Pedro drgnął, gdy Jeff Walker przycisnął lufę pistoletu do jąder więźnia i zapytał powtórnie:

— Kim był trzeci mężczyzna, który przyszedł do domu Pedra?

I Pedro, chociaż krańcowo zdenerwowany, nachylił się do przodu, nie chcąc uronić ani słowa.

— Ktoś... Ktoś, kto pracuje dla nas od czasu do czasu. Użyliśmy go tylko tego dnia. Potem wrócił do... — Mężczyzna zdał sobie sprawę, że powiedział za dużo, i umilkł.

— Wrócił dokąd? — zapytał Walker. Kiedy nie otrzymał odpowiedzi, westchnął. — Mam wrażenie, że nie traktujesz mnie poważnie. — Wepchnął knebel z powrotem w usta mężczyzny, sięgnął po kombinerki do otwartej skrzynki z narzędziami i przy ich pomocy wyrwał mężczyźnie kosmyk włosów łonowych.

Mężczyzna wrzasnął bezgłośnie, a łzy pociekły mu z oczu.

Pedro był zaszokowany. Jednak tak bardzo bał się o Juanę, że jednocześnie miał ochotę chwycić głowę mężczyzny i walić nią o podłogę furgonetki, żeby tylko uzyskać odpowiedź.

Jeff Walker obrócił się ku drugiemu więźniowi, wyjął knebel z jego ust i powiedział bardzo spokojnie:

— Sądzę, że nie chciałbyś, żeby coś takiego przytrafiło się tobie. Po wyrwaniu centymetr za centymetrem wszystkich włosów, użyłbym zapalek Pedra, żeby opalić pozostałości. Twoja pachwina wyglądałaby potem jak szyja dobrze oprawionego indyka. Ale ja nigdy nie lubiłem szyjki... Zawsze...

Wykonał gest cięcia, jakby miał w ręce nóż. Pierwszy mężczyzna nadal wił się z bólu.

— Dokąd wrócił wasz współpracownik? — zapytał Walker. — Nie macie teksaskiego akcentu. Gdzie jest wasza baza?

Zbliżył kombinerki do krocza mężczyzny.

— W Filadelfii — wyrzucił z siebie więzień.

— Obserwowaliście ten dom, żeby znaleźć Juanę Mendez. Dlaczego?

Tak, pomyślał Pedro. Dlaczego?

Mężczyzna nie odpowiedział.

— Pedro, idź po zapalki.

Ojciec Juany był zaskoczony siłą gniewu, jaki nim targał. Obrócił się w stronę domu.

— Poczekaj — jęknął mężczyzna. — Nie wiem. Naprawdę. Nic nie wiem. Kazano nam wypatrywać jej, dowiedzieć się, gdzie jest.

— A gdybyście ją znaleźli? Pedro słuchał w napięciu. Mężczyzna nie odpowiadał.

— Rozczarowujesz mnie — powiedział Jeff Walker. — Przyda ci się upomnienie.

Nachylił się ku pierwszemu mężczyźnie i używając kombinerki ponownie wyrwał mu kosmyk włosów z krocza. Pedro zaczął nagle doceniać taktykę Walkera, zdając sobie sprawę, że cierpienie, jakie sprawia swoim więźniom, jest nie tyle fizyczne, ile psychiczne.

Mężczyzna szarpnął się, twarz wykrzywioną miał kolejnym, bezgłośnym krzykiem. Ponieważ byli związani razem pasami, szamocząc się pociągał za sobą towarzysza.

— Chcesz, żebym spróbował jeszcze raz? — zapytał Jeff Walker drugiego mężczyznę, którego oczy powiększyły się ze strachu. — Co mieliście zrobić po znalezieniu Juany?

— Zadzwoń do ludzi, którzy nas wynajęli.

— Kim oni są?

— Nie wiem.

— Nie wiesz, dlaczego jej szukają. Nie wiesz, kim są. Zdaje się, że bardzo mało wiesz. A to mnie wkurza. — Jeff Walker wsunął kombinerki w jego krocze.

— Nie — załkał mężczyzna.

— Kto was wynajął?

— Użyli pośrednika. Nigdy nie słyszałem żadnego nazwiska.

— Ale wiesz, jak się z nimi skontaktować.

— Przez telefon.

— Jaki numer?

— Jest zakodowany w... — wskazał ruchem brody telefon komórkowy leżący na podłodze furgonetki. — Muszę tylko przycisnąć guzik „Pamięć”, numer osiem i „Wysłać”, to wszystko.

— Czy wiedzą, że pojawiłem się koło domu?

— Tak.

— Jakie jest hasło wejściowe?

— Żółta Róża.

Jeff Walker sięgnął po telefon.

— Byłoby lepiej dla ciebie, gdyby okazało się, że mówisz prawdę.

Nacisnął trzy guziki, przyłożył telefon do ucha i czekał.

Zajął to mniej niż pół sygnału. Pedro stał na tyle blisko, że usłyszał kuszący męski głos:

— Agencja Towarzyska „Miłość Braterska”.

To, co nastąpiło potem, zdumiało Pedra. Jeff Walker zaczął naśladować głos drugiego z mężczyzn.

## 12

— Tutaj Żółta Róża — powiedział. — Ten facet, który przyjechał dzisiaj do domu Mendezów, wciąż mnie niepokoi. Czy macie coś więcej na jego temat.

Męski głos stracił swoje gładkie brzmienie.

— Tylko to, co ci powiedziałem. Nie nazywa się Jeff Walker, lecz Brendan Buchanan. Wynajął taurusa w Nowym Orleanie i... Poczekaj chwilę. Coś przyszło właśnie na drugiej linii.

Zapanowała cisza.

Buchanan czekał, zdenerwowany, że przeciwnicy tak szybko poznali jego prawdziwe nazwisko.

W słuchawce znów zabrzmiał głos mężczyzny, tym razem pełen napięcia.

— Dobrze, że zadzwoniłeś. Bądźcie ostrożni. Nasz człowiek przy komputerze dowiedział się, że Brendan Buchanan jest kapitanem w Siłach Specjalnych i pracuje jako instruktor w Fort Bragg.

Cholera, pomyślał Buchanan.

— A więc słusznie się niepokoiłem — powiedział na głos. — Dzięki za ostrzeżenie. Będziemy uważali.

Strapiony, nacisnął guzik „Koniec”. Przez cały czas rozmowy numer jego rozmówcy widniał na wyświetlaczu w górnej części telefonu. Buchanan podniósł ołówek i notes z podłogi furgonetki, zapisał numer, oderwał kartkę i schował ją do kieszeni koszuli.

Przyjrzał się drugiemu mężczyźnie, myśląc, jakie zadać mu teraz pytanie, kiedy nagle usłyszał kroki. Odwrócił się błyskawicznie i ujrzał Anitę Mendez idącą przez trawnik w kierunku furgonetki. Miała na sobie szlafrok. Na jej twarzy malowało się napięcie, niepokój i strach.

— Anita — powiedział Pedro — wracaj do domu.

— Nie. Tu chodzi o Juanę. Jestem tego pewna. Chcę wiedzieć, co się dzieje.

Okrzyknęła furgonetkę i zatrzymała się nagle, zaskoczona widokiem nagich, skrępowanych mężczyzn.

— *Madre de Dios!*

— Ci ludzie pomogą nam znaleźć Juanę — powiedział Pedro. — To konieczne. Wracaj do domu.

Anita rzuciła mu groźne spojrzenie.

— Zostaje.

Zmęczenie sprawiło, że Buchanana jeszcze bardziej rozboleła głowa.

— Czy Juana ma biuro w mieście? — zapytał. Mendezowie spojrzeli na niego.

— Tak — odpowiedziała Anita. — U siebie w domu. Chociaż rzadko tam bywa.

— Nie mam czasu, żeby czekać do rana — powiedział Buchanan. — Czy możecie zabrać mnie tam teraz?

Pedro zmarszczył brwi.

— Myślisz, że Juana jest w domu? Że coś jej się stało i...?

— Nie — odparł Buchanan. — Ale może akta w jej biurze pomogą mi dowiedzieć się, dlaczego ktoś z Filadelfii próbuje ją znaleźć.

Anita ruszyła w kierunku domu.

— Ubiorę się i zawiozę pana.

— Oboje to zrobimy — powiedział Pedro i ruszył za żoną.

Buchanan niezwłocznie obrócił się ku drugiemu mężczyźnie, który leżał związany na podłodze furgonetki.

— Jeśli Juana ma dom w mieście, to musicie mieć tam innych strażników.

Mężczyzna nie odpowiedział.

— Ostro czy łagodnie? — zapytał Buchanan pokazując mu kombinerkę.

— Tak, oddzielna grupa.

— Ilu ludzi?

— Dwóch. Tak samo jak tutaj.

— Pracujących na zmiany?

— Tak.

Buchanan wiedział, że ta taktyka jest błędna. Dokładna inwigilacja nie jest możliwa, jeśli na miejscu znajduje się tylko jeden człowiek. Przypuśćmy, że pojawia się Juana. Obserwator dzwoni po wsparcie. Ale skąd ma mieć pewność, że pomoc nadejdzie na czas, by schwytać obiekt obserwacji?

Gdy Buchanan zastanawiał się nad tym, cień długiego przedmiotu przymocowanego poziomo do lewej ściany furgonetki zwrócił jego uwagę. Skierował w tamtą stronę światło latarki.

Nagle zrobiło mu się zimno. Zrozumiał, że taktyka przeciwników ma jednak sens i jest, na swój złowrogi sposób, skuteczna.

Przedmiotem tym był karabin snajperski wyposażony w nowoczesny teleskopowy celownik na podczerwień. Ostatecznym celem inwigilacji nie było bowiem schwytywanie Juany — lecz zabicie jej.

## 13

Dom Juany stał na terenie wzgórz ciągnących się na południe od miasta, wzdłuż zachodniego brzegu rzeki San Antonio. Dotarcie na miejsce zajęło im czterdzieści pięć minut. Pedro kierował furgonetką, Buchanan pilnował więźniów, Anita jechała z tyłu dżipem cherokee. Po drodze Buchanan ponownie użył kombinerek, zmuszając pierwszego z mężczyzn do podania numeru telefonu, pod którym mógł połączyć się ze snajperem strzegącym domu Juany.

Tuż po pierwszym sygnale odezwał się ponury głos mężczyzny:

— Żółta Róża Dwa.

— Tu Frank — powiedział Buchanan. Był wyszkolony w naśladowaniu głosów. — Coś się dzieje?

— Spokojnie jak diabli. Żadnego ruchu od dwóch tygodni. Myślę, że tracimy czas.

— Ale przynajmniej płacą nam za to. Zostanę z Duncanem przy domu Mendezów. Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że wysyłam tam do ciebie faceta w dżipie. Żebyś wiedział, że to jeden z naszych. Ma wejść do środka i sprawdzić parę rzeczy, o których, jak się okazuje, zapomnieliśmy, przede wszystkim w jej aktach.

— Nie jestem pewny, czy to dobry pomysł. Jeśli ona obserwuje dom, wystraszy się, gdy kogoś zobaczy.

— Zgadzam się, ale nie mamy wyboru. To nie mój pomysł. Takie są rozkazy.

— Cholernie typowe — powiedział snajper. — Płacą nam za robotę, ale nie pozwalają wykonać jej jak należy.

— Pozwól tylko mojemu facetowi wykonać jego robotę, okay?

— Nie ma sprawy. Do zobaczenia.

I to szybszego, niż przypuszczasz, pomyślał Buchanan przerywając połączenie.

## 14

Kilka minut po pierwszej w nocy Pedro ostrzegł Buchanana, że są w odległości półtora kilometra od domu Juany.

— Wystarczająco blisko — rzekł Buchanan. — Zatrzymajmy się tutaj. Gdy Anita stanęła za nimi, Buchanan wysiadł z furgonetki, kazał im poczekać i odjechał dżipem Tuckera wzdłuż krętej, częściowo zalesionej szosy. Reflektory dżipa ukazywały mgłę podnoszącą się znad rzeki. Widział też nowe ulice i rozgrzebaną budowę nowego osiedla.

Juana nie będzie z tego zadowolona.

To znaczy, modlisz się, żeby była żywa i mogła okazać niezadowolenie.

Pedro i Anita opisali mu dom, który na razie był jednym z niewielu po tej stronie rzeki, tak że Buchanan nie miał kłopotów ze znalezieniem go. Otoczony drzewami, parterowy, wzniesiony na palach na wypadek powodzi, kojarzył mu się z leśną chatą. Minął krzew bawełniany i zatrzymał się na żwirowym podejździe. Styłowy, rustykalny dom. Buchanan wyobraził sobie, jak bardzo Juana lubiłaby chodzić z psem na spacer wzdłuż rzeki.

Gdyby pies żył.

Stary, naprawdę sporo myślisz ostatnio o śmierci.

Nic dziwnego, kiedy nie wiadomo skąd obserwuje mnie pieprzony snajper.

Spięty, wszedł na werandę i zbliżył się do głównych drzwi. Ze względu na mgłę unoszącą się znad wody snajper mógł nie rozpoznać samochodu, zaparkowanego przed domem. A jeśli zdecyduje się zbadać sprawę?

Zachowuj się według scenariusza, który mu podałeś, pomyślał Buchanan.

Pokonał dwa proste zamki i wszedł do środka, czując zapach domu, w którym od jakiegoś czasu nikt nie mieszkał. Mimo ciemności mając wrażenie, że jest odsłonięty, zamknął drzwi na klucz i macając po ścianie znalazł kontakt. Zapalił światło i ujrzał pokój, w którym była półka na książki, telewizor, wideo i wieża stereofoniczna, lecz bardzo niewiele mebli, tylko skórzana sofa, stolik do kawy i fotel na biegunach. Najwyraźniej Juana nie spędzała tu zbyt wiele czasu. W przeciwnym razie przykładałaby większą wagę do umeblowania. Poza tym, niewielka ilość sprzętów wskazywała, że rzadko podejmowała tu gości.

Buchanan minął pokój, zauważając kurz na sofie i stoliku — kolejny dowód świadczący o tym, że mieszkanie było puste od dłuższego czasu. Zajrzał do kuchni, włączył światło i obrzucił

wzrokiem schludne wnętrze. Wszystko tu było puste, surowe i rodziło uczucie samotności. Sprawiało, że Buchananowi było żal Juany.

Pierwsze drzwi w głębi korytarza, do których podszedł, po lewej — prowadziły do biura. Kiedy zapalił lampę, ujrzał, że i w tym pomieszczeniu wyposażenie zredukowano do minimum: metalowa szafa na akta, obrotowe krzesło i drewniany stół z komputerem, drukarką laserową, telefonem, lampką, żółtym notatnikiem i dzbankiem wypełnionym długopisami i ołówkami. Poza tym — nic. Żadnego dywanu, obrazów. Nawet śladu uczucia.

Zastanawiał się, o czym myśli ukryty w mglistych ciemnościach snajper. Jak zareaguje, kiedy zobaczy zapalające się światła? Czy pomimo instrukcji, jakie dostał, przyjdzie, żeby zbadać, co się dzieje? Wysunął górną szufladę szafy na akta i natychmiast dwie rzeczy zwróciły jego uwagę. Po pierwsze, wszystkie teczki wisiały sztywno na metalowych haczykach wzdłuż obu boków szuflady. Po drugie, teczki ułożono alfabetycznie, lecz te od A do środka D wisiały razem, oddzielone wąską przerwą od reszty, ciągnącej się od D do L. Sztywne haczyki na bokach sąsiednich teczek uniemożliwiały im zamknięcie przerwy. Najwyraźniej jedna z teczek D została usunięta. Być może zrobiła to Juana. Być może intruz szukający czegoś tak jak Buchanan. Trudno było stwierdzić.

Buchanan otworzył drugą szufladę, znalazł akta od M do Z i małą szczelinę po jednej z teczek T. D i T. Brak tych dwóch teczek był widoczny na pierwszy rzut oka. Rozmyślając nad tym otworzył dolną szufladę i znalazł półautomatycznego browninga 9 mm. Podstawowe wyposażenie, pomyślał.

Z czego utrzymywała się Juana? Jej rodzice powiedzieli, że miała coś wspólnego z ochroną. Ten rodzaj pracy byłby logiczną kontynuacją tego, co robiła w wojsku. Ale ochrona mogła oznaczać wszystko — od, przyjmowania ryzykownych zadań, poprzez instalowanie systemów alarmowych, aż po zapewnianie ochrony osobistej. Juana mogła być wolnym strzelcem, ale równie dobrze mogła pracować dla wielkiej firmy.

Zamknął dolną szufladę, ponownie otworzył górną i zaczął czytać niektóre z akt. Wnioski były oczywiste. Juana pracowała przeważnie przy zapewnianiu ochrony osobistej kobietom biznesu, kobietom — politykom lub artystkom, a także żonom różnych osobistości, głównie wtedy, kiedy kobiety te podróżowały do krajów hiszpańskojęzycznych lub miast w Stanach, zamieszkanych w dużej części przez Latynosów. Sprawa była oczywista. Ochroniarz musiał wtopić się w tło. Ponieważ Juana była Latynoską, straciłaby wiele ze swej skuteczności w miejscach, gdzie jej rysy twarzy i kolor skóry zwracałyby uwagę. Nie mogła pełnić swych funkcji w Afryce, Azji, na Bliskim Wschodzie czy na przykład w północnej Europie. Albo nawet w północnej części Stanów Zjednoczonych. Ale Hiszpania i Ameryka Łacińska były dla niej idealne. Przy tego rodzaju pracy nic dziwnego, że opuszczała dom na wiele miesięcy. Być może teraz jej zniknięcie również dawało się łatwo wytłumaczyć. Może po prostu miała do wykonania zadanie.

Ale po co w takim razie pocztówka? Dlaczego potrzebowała mojej pomocy?

Coś w związku z jej pracą? Może chciała mnie po prostu zaangażować.

Myśl, iż jej motywami mogły być zawodowe, a nie osobiste, sprawiła, że Buchanan poczuł pustkę — ale tylko na chwilę. Szybko przypomniał sobie, że prośba o zawodową pomoc nie wymagałaby tak niezwyklego i tajnego sposobu kontaktu.

A wokoło nie czyhaliby na nią snajperzy.

Nie. Juana miała kłopoty, a nawet gdyby wykonywała długie zadanie za granicą, nie zapomniałaby odezwać się do swoich rodziców. Nie przez dziewięć miesięcy z rzędu. Nie z własnej woli.

Coś jej stało na przeszkodzie. Albo fizycznie nie była w stanie tego zrobić, albo nie chciała ryzykować wplątywania rodziców w to, co jej się przytrafiło.

Na końcu każdej teczki Buchanan znalazł posegregowane oświadczenia, kopie złożonych rachunków i odebranych czeków. Dowiedział się, że firma Juany prosperuje zupełnie nieźle. Otrzymywała honoraria, które wahały się od pięciu tysięcy dolarów za konsultacje, dziesięciu tysięcy za dwutygodniową ochronę, aż do stu tysięcy za dwumiesięczne zadanie zabezpieczające w Argentynie. Notatka w teczce informowała, że w trakcie tego ostatniego doszło do użycia broni palnej. Ochrona była wymagającym, skomplikowanym zajęciem dla tych, którzy wiedzieli, o co w nim naprawdę chodzi. Najlepsi agenci byli odpowiednio opłacani. Mimo to Juana prosperowała zdumiewająco dobrze. Według pobieżnej oceny zarabiała blisko pół miliona dolarów rocznie, a jednak żyła tak skromnie w zupełnie nie zabezpieczonym domu? Co robiła z pieniędzmi? Oszczędzała je, inwestowała, planując przejść na emeryturę przed czterdziestką? I na to pytanie nie było odpowiedzi. Przeszukał pokój, ale nie znalazł książeczki bankowej, oświadczenia firmy brokerskiej, nic, co mogłoby zasugerować, gdzie Juana złożyła swoje pieniądze. Teraz, kiedy o tym pomyślał, zauważył, że nigdzie w mieszkaniu nie ma żadnej korespondencji do niej. Musiała powiadomić urząd pocztowy o swojej dłuższej nieobecności albo też listy zabierali rodzice. Przed wyjazdem z Castle Hills Anita wspomniała, że ona i Pedro czasami przyjeżdżają do domu Juany, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Buchanan zanotował w myślach, żeby zapytać ich o listy i ewentualne oświadczenia z instytucji finansowych.

Nagle wydało mu się, że pokój się kołysze, ale to tylko nogi uginały się pod nim. Wyczerpany, usiadł w fotelu na biegunach i potarł pulsujące skronie. Ostatni raz przespał całą noc przed czterdziestoma ośmioma godzinami, ale to było w szpitalu i nawet wtedy pielęgniarki budziły go co jakiś czas, żeby go zbadać. Od tamtej pory zasnął na kilka godzin w motelu w Beaumont i zdrzemnął się parę razy na parkingach w drodze do San Antonio. Rana po nożu nie przestawała boleć, swędziały go szwy i rwała gojąca się rana postrzałowa na ramieniu. Oczywiście miał zaczerwienione.

Akta, pomyślał. Każdy, kto jest na tyle zdeterminowany, że chce znaleźć Juanę, żeby ją zabić, przeszukałby dom w nadziei, że znajdzie jakieś wskazówki. Jeśli ona wie za dużo, to prześladowcy odszukaliby i usunęli wszystkie dowody łączące ją z nimi.

Nazwisko, które zaczyna się na D. Inne, zaczynające się na T. Tych dwóch teczek wyraźnie brakowało. Oczywiście, mogło być zupełnie inaczej. Juana mogła zrobić przerwę między teczkami, kiedy odkładała dwie z nich. Ale muszę gdzieś zacząć, pomyślał Buchanan. Muszę założyć, że tych dwóch teczek brakuje i że są one ważne. Odchylił się w fotelu, słysząc jego skrzypnięcie, myśląc o tym, że strony akt wyglądają na wydruki z komputera, i zastanawiając się, czy źródłowe akta mogą znajdować się w jego pamięci.

I nagle zdał sobie sprawę, że skrzypnięcie, które usłyszał, nie było spowodowane przez fotel, lecz dobiegło z korytarza.

## 15

Powoli odwrócił głowę.

W drzwiach stał mężczyzna: trzydzieści parę lat, sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, siedemdziesiąt kilo wagi. Włosy piaskowego koloru i bardzo krótkie. Jego twarz, podobnie jak reszta ciała, była bardzo szczupła, lecz nie w sposób chorobliwy, gdyż coś w jego postawie przypominało biegacza. Miał na sobie kowbojskie buty, dzinsy, pas z klamrą w kształcie siodła, spraną drelichową koszulę i dzinsową kurtkę, która była na niego odrobinę za duża i podkreślała jego chudość.

— Znalazłeś to, czego szukałeś?

Środkowoatlantycki akcent mężczyzny nie pasował do kowbojskich butów.

— Jeszcze nie. — Buchanan odjął dłonie od skroni. — Mam jeszcze parę miejsc do sprawdzenia.

Zamknąłem drzwi, pomyślał. Nie słyszałem, żeby ktokolwiek za mną wchodził. Jak...?

Ten sukinsyn nie obserwował domu z zewnątrz. Krył się gdzieś w środku.

— Na przykład? — Ręce mężczyzny tkwiły przy jego bokach. — Jakich miejsc jeszcze nie sprawdziłeś?

— Pamięci komputera.

— Cóż, nie przeszkadzaj sobie.

Policzki mężczyzny były ciemne od zarostu.

— Słusznie. — Buchanan włączył komputer.

Gdy wentylator zaczął szumieć, mężczyzna powiedział:

— Nie najlepiej wyglądasz, stary.

— Miałem parę ciężkich dni. Potrzeba mi głównie snu.

— Ja też nie mam tu łatwego zadania. Nic tylko ciągle czekanie. Rozłożyłem się w tamtym pokoju. — Mężczyzna wskazał następne drzwi w korytarzu. — Kompletnie popieprzona sprawa. Nic dziwnego, że kobieta zamykała go na klucz. Pewnie nie chciała, żeby jej rodzice dowiedzieli się, co jest w środku. Z początku myślałem, że to części ciała.

— Części ciała? — Buchanan zmarszczył brwi.

— Rzeczy w jej pokoju. Zupełnie jak z telewizyjnego horroru. Kurewsko popieprzone. Widzę, że nie powiedziano ci o tym?

O czym on, na Boga, mówi? — zastanawiał się Buchanan.

— Najwyraźniej sądzili, że nie będzie mi to potrzebne.

— Trochę dziwne.

— Rzeczy w jej pokoju?

— Nie. To, że ci nie powiedziano. Jeśli wysłali cię tutaj, żebyś jeszcze raz spojrzął na rzeczy, które mogą naprowadzić nas na jej trop, to najpierw powinni ci byli powiedzieć o całym tym popieprzonym bałaganie.

— Mówili tylko o aktach.

— Komputer czeka.

— Tak. — Buchanan wolałby nie spuszczać wzroku z zawodowego zabójcy, ale nie miał wyboru. Gdyby nie zajął się swoimi sprawami, mężczyzna stałby się jeszcze bardziej podejrzliwy.

A może niczego nie podejrzewał? Może był to tylko wytwór jego własnej wyobraźni?

Na ekranie komputera pojawił się symbol pytający użytkownika, jaki program chce uruchomić.

— Jak się nazywasz? — zapytał snajper.

— Brian MacDonald.

Buchanan natychmiast przerzucił się na tożsamość MacDonald, tę, pod której przykrywką działał, zanim stał się eks-oficerem DEA Edem Potterem i pojechał do Cancun, gdzie zaczęły się wszystkie jego obecne kłopoty.

Brian MacDonald był programistą komputerowym i by nadać tej tożsamości pozory prawdopodobieństwa, Buchanan przeszedł odpowiednie szkolenie.

— Masz kłopoty z wejściem do pamięci? — zapytał zabójca. — Ja nie miałem żadnych problemów, kiedy kazali mi wyczyścić kilka zbiorów. Wiesz o tym, prawda? Powiedzieli ci, że wyczyściłem kilka zbiorów?

— Tak, ale te akurat mnie nie interesowały.



Strzałka kursora cały czas migiała koło symbolu wywołania programu. Akta Juany wydrukowane były w formie normalnego maszynopisu.

Edytor tekstów. Ale który?

Buchanan–MacDonald nacisnął DIR. Dysk zaczął stukać i na ekranie Pojawiła się lista oznaczeń poszczególnych programów. Jednym z nich było skrót dla edytora tekstów znanego jako WordStar.

Wyszedł z listy programów i wybrał WS, gdy symbol zapytał go, jaki program ma uruchomić. Twardy dysk zastukał ponownie. Kolejna lista zbiorów pojawiła się na ekranie.

DIRECTORY OF DRIVE C:

ABCDEFGHIJKLMN

OPQRSTUVWXYZ

AUTOEXEC.BAK .1k

AUTOEXEC.BAT .1k

Buchanati — MacDonald wiedział, że AUTOEXEC.BAK jest zabezpieczającą kopią AUTOEXEC.BAT, programu, który pozwalał użytkownikowi komputera przechodzić z jednego zbioru do drugiego. „.1k” oznaczało tylko niewielką ilość pamięci, jaką zajmował program. Jeśli chodziło o listę alfabetyczną, to Juana najwyraźniej podzieliła akta swoich klientów według pierwszych liter ich nazwisk.

Tak przynajmniej wyglądało to na pierwszy rzut oka. Buchanan był coraz bardziej świadom obecności mężczyzny w drzwiach. Oddech zabójcy stawał się coraz głośniejszy, coraz bardziej napięty, jakby mężczyznę coś niepokoiło.

— Masz problemy? — zapytał. — Nie wiesz, co dalej zrobić? Mam ci pokazać?

— Nie — odparł Buchanan. Gdyby był sam, obejrzałby zbiory odpowiadające literom D i T. Ale nie śmiał tego robić. Jeśli facet wymazywał wcześniej te właśnie akta, zdziwiłby się teraz, dlaczego Buchanana interesują dokładnie te same grupy nazwisk.

— Muszę najpierw znaleźć coś na ten cholerny ból głowy. — Wstał powoli, masując sobie kark lewą ręką. — Czy ona ma tu jakąś aspirynę?

Snajper odsunął się odrobinę do tyłu. Wciąż trzymał obie ręce przy bokach, jakby jeszcze nie zaalarmowany dostatecznie. Buchanan miał jednak wrażenie, że sytuacja może eksplodować lada chwila. Czuł, jak wali mu serce.

A może mężczyzna cofał się nie w geście obronnym, ale po to by przepuścić Buchanana na korytarz?

Naprawdę trudno powiedzieć.

— Buferyna — powiedział zabójca. — Apteczka w łazience. Górna półka.

— Super.

Jednak kiedy Buchanan zbliżył się do niego, zabójca cofnął się ponownie, tym razem wyraźnie po to, by nie dopuścić go zbyt blisko.

Łazienka — znajdująca się po przeciwnej stronie korytarza — była zakurzona. Białe ściany. Biała podłoga. Biała zasłonka przy prysznicu. Prosta. Praktyczna.

Buchanan nie miał innego wyjścia, niż udać, że szuka aspiryny, chociaż jego ból głowy był teraz ostatnią rzeczą, którą się przejmował. Otworzył apteczkę.

I usłyszał buczenie. Zaskoczony, spojrzął na telefon komórkowy, który wziął z furgonetki i przytroczył sobie do pasa z lewej strony. Zabrał go, bo w dżipie był drugi, nieprzenośny telefon. W ten sposób Pedro lub Anita mogli się z nim kontaktować w razie potrzeby. Teraz najwyraźniej dzwonili do niego, żeby go przed czymś ostrzec. A może to kontrolerzy grupy inwigilującej z Filadelfii próbują porozumieć się z kierowcą furgonetki.

Buchanan nie mógł tak po prostu pozwolić mu dzwonić. To wzbudziłoby jeszcze większe podejrzenia.

Gdy sięgnął, by odczepić telefon, spostrzegł ruch w korytarzu. Pojawił się snajper, również trzymający w ręce telefon komórkowy. Musiał wziąć go z pokoju, w którym się ukrywał.

Nie wyglądał na uszczęśliwionego.

— Śmieszna sprawa — powiedział. — Nigdy nie słyszałem o Brianie MacDonaldzie. Właśnie zadzwoniłem do furgonetki Duncana, żeby upewnić się, że jesteś w porządku, i niech mnie diabli, jeśli twój telefon nie odpowiada na jego numer, co oznaczałoby, że nie jest naprawdę telefonem Duncana, co z kolei zmusza mnie do zastanowienia się, co u diabła...

Mówiąc zabójca, trzymający telefon lewą dłonią, wsunął prawą za połę dzinsowej kurtki. Jak Buchanan zauważył, kurtka była odrobinę za luźna, czego logicznym powodem byłoby to, że facet ma tam ukrytą kaburę z pistoletem.

— Zbieg okoliczności — powiedział Buchanan. — Dzwonisz do Duncana, kiedy ktoś inny próbuje dodzwonić się do mnie. Pokażę ci.

Użył lewej ręki, żeby sięgnąć po telefon.

Wzrok zabójcy pobiegł za tym gestem.

Jednocześnie Buchanan wsunął prawą rękę pod kurtkę z tyłu, wyciągając pistolet.

Oczy snajpera rozszerzyły się i wyrwał swój własny pistolet zza pasa.

Buchanan strzelił.

Pocisk trafił mężczyznę w pierś.

Chociaż zrobił krok do tyłu, nadal podnosił dłoń z pistoletem.

Druga kula Buchanana trafiła go w gardło.

Trysnęła krew.

Mężczyzna cofnął się jeszcze bardziej, ale nadal instynktownie unosił rękę z bronią.

Trzeci pocisk Buchanana trafił go w czoło.

Siła uderzenia przewróciła snajpera. Ręka z pistoletem szarpnęła się w górę. Drgający palec nacisnął spust. Pistolet wypalił, wyrывая dziurę w suficie. Posypał się tynk.

Mężczyzna upadł na drewnianą podłogę. Przez chwilę miał drgawki, Potem zacharczał i znieruchomiał. Na podłodze pojawiła się rosnąca szybko kałuża krwi.

Buchanan podbiegł do niego, wycelował pistolet w jego głowę, wykopał go z ręki i nachylił się, by pomacać puls.

Oczy snajpera były wciąż otwarte. Źrenice rozszerzone. Nie zareagowały, kiedy Buchanan zbliżył do nich palce.

Szybko przeszukał nieruchome ciało. Znalazł tylko grzebień, drobne monety, chusteczkę i portfel. Położył portfel na stoliku i pobiegł po mały dywanik, który zauważył w salonie. Zawinawszy weń ciało, pociągnął dywanik korytarzem, przez salon, do tylnych drzwi wychodzących z kuchni na zewnątrz.

Otoczyła go wszechogarniająca noc. Drżąc, owiany ciągnącym znad wody wilgotnym chłodem, ściągnął ciało z werandy i ruszył w kierunku pustkowia nad rzeką. Zatrzymał się nad brzegiem i znalazłszy jakiś konar ułożył na nim swój ciężar, wypychając jak najdalej na wodę. Patrzył potem, jak zsuwa się z niego, pochwycony przez nurt. Teraz Buchanan wyrzucił kolejno do rzeki — dywanik, pistolet mężczyzny, zgodnie z zasadą, że nie zatrzymuje się broni, której historii się nie zna, oraz telefon komórkowy snajpera razem z trzema pustymi łuskami ze swojego pistoletu, które pozbiierał przed wyjściem z domu. Następnie spojrzął przed siebie, odetchnął głęboko kilka razy i zawrócił.

W uszach ciągle dzwoniło mu od wystrzałów. Nozdrza podrażnione miał ostrym zapachem prochu i krwi. Wyciągając broń naruszył sobie szwy na boku i nadwerekzył mięśnie chorego ramienia. Późniejszy wysiłek wzmógł ból w ranach. W głowie czuł łupanie, jakby ktoś wbijał w nią rozżarzony szpikulec.

Zamknął za sobą tylne drzwi, wyszukał następny dywanik i rozłożył w pokoju z komputerem na kałuży krwi. Potem otworzył okno, żeby rozwiać zapach przemocy. Przeszukawszy portfel mężczyzny, znalazł blisko trzysta dolarów w różnych banknotach, prawo jazdy na nazwisko Charlesa Duffy'ego z Filadelfii i kartę kredytową na to samo nazwisko. Dokumenty mogły być fałszywe. I zapewne były. Nie miało to znaczenia. Jeśli wystarczyły zabójcy, to i on mógł się nimi posługiwać. Schował portfel do kieszeni. Miał teraz nową tożsamość. Gdyby ktoś usłyszał strzały — co wydawało się mało prawdopodobne w tej słabo zaludnionej okolicy — i przyszedł sprawdzić, co się dzieje, nie zobaczyłby nic szczególnego, oprócz dziurki wielkości palca w suficie, która sama w sobie nie wzbudziłaby podejrzeń, ale w połączeniu z kawałkami tynku na podłodze już podejrzenia takie mogłaby wzbudzić. Buchanan pobierał odłamki białego tynku i schował je do kieszeni.

Pośpiesznie usiadł za komputerem, spojrzął na spis zbiorów na ekranie — ABCD... — przesunął strzałkę kursora na D i nacisnął ENTER.

Dysk zastukał. Na ekranie pojawiła się nowa lista, spis wszystkie podzbiorów zaczynających się na literę D.

DARNELL 3k DARNELL.BAK 3k  
 DAYTON 2k DAYTON.BAK 2k DIAZ 4k  
 DIAZ.BAK 4k DIEGO 5k DIEGO.BAK 5k  
 DOMINGUEZ 4k DOMINGUEZ.BAK 4k DRUMMER 5k  
 DRUMMOND.BAK 5k DURAN 3k DURAN.BAK 3k  
 DURANGO 5k DURANGO.BAK 5k

Buchanan szybko otworzył górną szufladę szafy na akta i wyciągnął dokumenty na literę D. Jedynym sposobem dowiedzenia się, czy ktoś usunął jakieś zbiory z pamięci komputera, było porównanie teczek z szafy z listą podzbiorów na ekranie. Buchanan nie spodziewał się jednak wiele. Mężczyzna, który ukrywał się w domu, żeby zabić Juanę, powiedział, że wymazał niektóre zbiory, zapewne po to by uniemożliwić komuś zrobienie tego, co właśnie próbował zrobić Buchanan. Lista w komputerze niemal na pewno idealnie odpowiadała teczkom z szafy. Buchanan obawiał się, że nie będzie w stanie stwierdzić, których dokumentów brakuje.

Każdy zbiór w komputerze miał zbiór rezerwowy oznaczony literami .BAK, skrótem dla BACKUP, z czego wynikało, że w pamięci komputera znajduje się poprzednia wersja każdego zmienionego zbioru. DARNELL. DARNELL.BAK. Porównując Buchanan znalazł teczkę odpowiadającą temu zbiorowi.

Szedł dalej. DAYTON. DAYTON.BAK. Zgadza się. DIAZ. DIAZ.BAK. Zgadza się. DIEGO. DIEGO.BAK. Jest. Jak na razie znajdował teczki dla każdego z podzbiorów na ekranie. DOMINGUEZ. DOMINGUEZ.BAK. DRUMMER. DRUMMER.BAK. DURAN. DURAN.BAK. DURANGO. DURANGO.BAK. Niczego nie brakowało.

Odchylił się do tyłu, wyczerpany. Tracił czas. Nie było sensu przyjeżdżać tutaj i ryzykować życie. Dowiedział się tylko, że ktoś koniecznie chciał zabić Juanę, co i tak już wiedział.

A do tego wszystkiego sam niemal dał się zabić.

Potał opuchnięte powieki, spojrzął na ekran i sięgnął, żeby wyłączyć komputer, lecz w ostatniej chwili zatrzymał drżącą rękę, mówiąc sobie, że musi próbować bez względu na to, jak beznadziejnie wygląda sprawa. Chociaż lista podzbiorów dla litery T miała się zapewne okazać równie mało znacząca, nie mógł jej zignorować.

Przesunął dłoń z wyłącznika nad klawiaturę, chcąc przejść do zbioru T, kiedy coś na ekranie komputera sprawiło, że zrobiło mu się gorąco. Cały czas czuł, że jakiś szczegół na krawędzi świadomości nie daje mu spokoju, lecz złożył to na karb zmęczenia i podniecenia wywołanego strzelaniną.

Teraz zdał sobie sprawę, co go niepokoiło. Oczy splątały mu figła. DRUMMER. DRUMMER.BAK. Akurat. DRUMMER nie miał podzbioru BAK. Podzbiór ten był dla zbioru DRUMMOND. Buchanan był pewny, że nie widział teczek dla Drummonda, lecz teraz zmęczenie ogarnęło go już do tego stopnia, że nie ufał nawet temu, czego był pewny. Trzęsły mu się ręce kiedy po kolei sprawdzał teckę. DRUMMER. DURAN. DURANGO! Brak Drummonda.

Chryste, pomyślał. Kiedy zabójca wymazywał akta Drummonda z pamięci komputera, nie pomyślał, żeby usunąć też zbiór rezerwowy .BAK. A może i pomyślał, lecz cofnął się, gdyż oczy splątały mu tego samego figła co Buchananowi, wywołując złudzenie, że DRUMMOND.BAK to DRUMMER.BAK. Nazwiska wyglądały tak podobnie.

Drummond.

Buchanan nie rozumiał, jakie znaczenie ma to nazwisko, lecz kiedy wywołał podzbiór DRUMMOND.BAK, ku swej rozpaczy stwierdził, że jest pusty. Albo Juana utworzyła podzbiór i nigdy nie umieściła w nim żadnej informacji, albo też został wyczyszczony przez zabójcę.

Buchanan wywołał zbiór nazwisk na literę T i teraz kiedy wiedział już, czego szukać, sprawdzał podzbiory rezerwowe, a nie główne, porównując kolejne nazwiska z teczkami na T, które wyjął z szafy. TAMAYO.BAK TANBERG.BAK. TAYLOR.BAK. TERRAZA.BAK. TOLSA.BAK. Uświadomił sobie, że lista zawiera sporą liczbę nazwisk latynoskich. TOMEZ.BAK. Serce zabiło mu mocniej.

Nie było ani teczek Tomeza, ani jego nazwiska na liście głównych podzbiorów. Buchanan otworzył podzbiór TOMEZ.BAK i ponownie nie znalazł nic. Przeklinając w duchu, zaczął się zastanawiać, czy to sama Juana usunęła zawartość zbioru. Wszystkim, co miał, były dwa nazwiska, a gdyby zabójca przez pomyłkę nie zostawił dwóch podzbiorów rezerwowych, nie miałby nawet tego.

Wściekły, zastanawiając się, co robić dalej, z wahaniem wyłączył komputer i postanowił szybko przeszukać dom, chociaż i tak był pewien, że ten, kto chciał zabić Juanę, dopilnował, żeby został oczyszczony ze wszystkiego, co miało jakiegokolwiek znaczenie.

W tym momencie przeszedł go dreszcz, gdyż przypomniał sobie dziwne słowa, które padły z ust zabójcy. „Tam, gdzie się rozłożyłem. Kompletnie popieprzone. Nic dziwnego, że kobieta zamykała go na klucz. Pewnie nie chciała, żeby jej rodzice dowiedzieli się, co jest w środku. Z początku myślałem, że to części ciała”.

## 17

Części ciała?

Buchanan był dotąd tak zajęty, że nie miał czasu sprawdzić, o czyni mówił zabójca. Wstał, zaniepokojony, wyszedł z pomieszczenia i stanął przed następnymi drzwiami po lewej. Były otwarte, lecz w środku panowały ciemności. Kiedy zabójca poszedł po swój telefon komórkowy,

najwyraźniej dokładnie wiedział, gdzie go znajdzie i nie potrzebował zapalać światła. Buchanan zebrał się w sobie i zauważając niezwykle, jak na pokój w środku domu, zamek w drzwiach, namacał dłonią kontakt na ścianie.

Kiedy zabłysło światło, zamrugał, nie tylko z powodu nagłej jasności, lecz także z powodu tego, co zobaczył. Wnętrze pokoju było zdumiewające.

Części ciała? Tak, Buchanan rozumiał teraz, dlaczego facet myślał z początku, że patrzy na części ciała.

Wszędzie, z wyjątkiem kąta, gdzie snajper ułożył swój materac, znajdowały się stoły, na których przed lustrami wyposażonymi w miniaturowe lampki leżały przedmioty do złudzenia przypominające nosy, uszy, podbródki, policzki, zęby i czoła. Jeden ze stołów wypełniały same włosy — różne kolory, różne fryzury, peruki, zdał sobie sprawę Buchanan. A rzekome części ciała były przedmiotami z gatunku tych, jakich chirurdzy plastycy używają do rekonstruowania zniszczonych twarzy. Inny stolik zajmowały wyłącznie zestawy do makijażu. Gdy wszedł do środka, rozglądając się dookoła, przyglądając kolejnym stolikom i stosom realistycznych imitacji części ludzkiego ciała, zrozumiał, że w swoim ochroniarskim zawodzie Juana działała podobnie do niego. Jednak podczas gdy on zajmował się tworzeniem nowych tożsamości, Juana wyspecjalizowała się w zmienianiu swojego wyglądu.

Maskowanie się nigdy nie było mocną stroną Buchanana. Czasami zapuszczał brodę lub wąsy, albo używał fałszywego zarostu. Kilka razy założył zmieniające barwę oczu obojętne szkła kontaktowe. Kiedy indziej zmieniał długość, uczesanie i kolor włosów. Poza tym zawsze starał się, żeby postacie, które grał, ubierały się odmiennie, nosiły inne zegarki, paski, buty, koszule, okulary przeciwsłoneczne, nawet długopisy, by jak najbardziej różniły się od siebie, i by każda miała swoje ulubione potrawy, ulubioną muzykę, ulubionych pisarzy...

Ale Juana stała się oszustem absolutnym. Jeśli podejrzania Buchanana były słuszne, Juana nie tylko zmieniała osobowość do każdego zadania — lecz także swój wygląd fizyczny, nie tylko ubranie, również rysy twarzy, wagę, wzrost... Znalazł gąbki, służące zapewne do powiększania biustu, inne imitujące ciężę, zmyślnie zaprojektowane trampki, które sprawiały, że nosząca je osoba wyglądała na wyższą niż w rzeczywistości. Nawet krem rozjaśniający kolor skóry.

Z jednej strony Buchanana wypełniło uczucie zawodowego podziwu, lecz z drugiej — był przerażony, ponieważ zdał sobie sprawę, że w Cafe du Monde w Nowym Orleanie Juana mogła siedzieć tuż obok niego, o czym on zapewne nigdy się nie dowie. Podczas swojej wyprawy przez Dzielnicę Francuską mógł wpaść na nią albo nawet zamienić z nią słowo nie rozpoznając jej. Co się z nią działo w ciągu ostatnich sześciu lat? Gdzie nauczyła się tego wszystkiego? Kogo właściwie szukał? Juana mogła być każdym. Mogła wyglądać jak każdy. Przypomniał sobie ich ostatnią rozmowę. „Nie znasz mnie”, powiedział, żeby usprawiedliwić swoją niemożność poświęcenia się jej. Znasz tylko osobę, którą udaję”.

Cóż, najwyraźniej Juana przerosła go, stając się oszustem idealnym. Gdy przeszukiwał dom, pomyślał, jak denerwujące i dziwne jest to, że nie znajduje jej zdjęć. Tak bardzo chciał przypomnieć sobie brązowe oczy, lśniące czarne włosy, uderzająco piękną twarz. Potem zaczął podejrzewać, że to zabójcy zabrali zdjęcia, ale jeśli nawet tak było, fotografie w niczym im nie pomogą gdyż prawdziwy obraz Juany nie istniał. Być może to ona sama usunęła zdjęcia, nie identyfikując się z żadną z wersji swojego wyglądu. Buchanan doznał nagle przerażającego uczucia, że kobieta, w której się zakochał (on lub Peter Lang czy kimkolwiek, u diabła, był), jest bezcielesna jak zjawą. Tak jak on sam. Zrobiło mu się niedobrze.

Ale i tak musiał ją znaleźć.

Zamknął okno w pokoju komputerowym, a potem wytarł chusteczką swoje odciski palców ze wszystkiego, czego dotykał. Pogasił światła, upewniając się raz jeszcze, czy zrobił wszystko co trzeba, i wreszcie zamknął za sobą frontowe drzwi, używając wytrychów, żeby umieścić dwie zasuwki w poprzednim położeniu. Wiedział, że kiedy zmiennik zabójcy przybędzie, żeby objąć swój dyżur, tylko chwilę zajmie mu zrozumienie, co się stało. Dwa poruszone dywaniki (w tym jeden zniknął), dziura po kuli na suficie, ślady krwi na podłodze w pokoju z komputerem — same w sobie nie będą jeszcze oczywiste, lecz połączone razem opowiedzą całą historię. Partner zabójcy straci wtedy sporo czasu szukając ciała. Meldunek, jaki złoży swoim szefom, będzie niejasny, co powiększy jeszcze zamieszanie wywołane faktem zniknięcia dwóch snajperów obserwujących dom Mendezów. Pewne było tylko to, że człowiek nazwiskiem Brendan Buchanan odwiedził rodziców Juany, co oznaczało, że ludzie ścigający Juanę powiążą z nim wszystko, co wydarzyło się tej nocy. Rano zaczną mnie tropić, pomyślał Buchanan. Nie, nie mnie. Brendana Buchanana. Przy odrobinie szczęścia sporo czasu zajmie im zorientowanie się, że właśnie stałem się Charlesem Duffym.

Ściskając portfel, który zabrał martwemu zabójcy, wsiadł do dżipa i odjechał sprzed domu. Drżały mu ręce. Bolały go rany. Głowa nie dawała mu spokoju. Doszedł do kresu wytrzymałości. Ale musiał działać dalej.

Po przejechaniu półtora kilometra ciemną drogą, na dnie zamglonej dolinki dotarł do furgonetki. Wsiadł szybko z dżipa, trzymając prawą rękę za plecami, na wypadek gdyby w razie kłopotów musiał szybko wyciągnąć broń. Spozrzegł jakiś ruch we mgle, znieruchomiał, a potem rozluźnił się nieco, widząc Anitę idącą w jego stronę. Mówiła po hiszpańsku, że Pedro jest z tyłu ze związanymi i zakneblowanymi mężczyznami.

— Telefon dzwonił przez długi czas bez przerwy.

— Wiem — odparł Buchanan.

— Myśleliśmy, że to możesz być ty, ale powiedziałaś, że zadzwonisz raz, a po przerwie drugi raz, więc nie odbieraliśmy.

— I bardzo słusznie.

Buchanan przyjrzał się Anicie. Chociaż wyglądała na zdenerwowaną, to nie w sposób, który sugerowałby, że ktoś ukryty celuje w nią z pistoletu. Mimo to rozluźnił się w pełni dopiero wtedy, kiedy zobaczył, że więźniowie siedzą, tak jak siedzieli, i że nic nie stało się Pedrowi.

— Znalazłeś Juanę? — zapytał Pedro.

— Nie.

— Natrafiłeś na jakiś jej ślad?

— Nie — skłamał.

— A więc to wszystko nie miało sensu. Co teraz zrobimy?

— Zostaw mnie na chwilę samego z tymi facetami. Usiądź z żoną w dżipie — powiedział Buchanan.

— Dlaczego? — Pedro spojrzał na niego podejrzliwie. — Jeśli będziesz ich pytał o Juanę, chcę to słyszeć.

— Nie.

— Co masz na myśli? Powiedziałem ci, że jeśli chodzi o moją córkę, to chcę przy tym być.

— Czasem lepiej jest nie wiedzieć.

— Nie rozumiem — rzekł Pedro.

— Zrozumiesz. Na razie zostaw mnie z nimi samego.

Pedro zawahał się, a potem z ponurą miną wysiadł z furgonetki.

Buchanan obserwował go, upewniając się, że wsiedzie do dżipa z Anitą. Dopiero kiedy to nastąpiło, zamknął drzwi furgonetki. We wnętrzu cuchnęło nieco, gdyż Buchanan pozwolił mężczyznom skorzystać z miniaturowej toalety, zanim pojechał do domu Juany. Obaj detektywi wciąż byli nadzy i wyglądali na przerażonych.

Buchanan skierował światło latarki najpierw na jednego, potem na drugiego.

— Powinniście byli mi powiedzieć, że w domu jest strażnik.

Spojrzeli na niego rozszerzonymi ze strachu oczami.

— Teraz facet jest już martwy.

Przerażenie na ich twarzach wzmogło się jeszcze bardziej.

— To stawia was w dość niezręcznej sytuacji — powiedział Buchanan. Wyciągnął pistolet i zdjął knebel Frankowi.

— Tak myślałem — rzekł mężczyzna. — To dlatego odesłałeś tych dwoje starych. Nie chciałeś, żeby widzieli, jak nas zabijasz.

Buchanan sięgnął po koc leżący w kącie furgonetki.

— Jasne — dodał Frank z rozpaczą. — Z tego można zrobić niezły tłumik.

Buchanan owinął kocem obu mężczyzn.

— Nie chciałbym, żebyście dostali zapalenia płuc.

— Co? — Frank wyglądał na zaskoczonego.

— Gdybyście wy byli na moim miejscu, co zrobilibyście ze mną? — zapytał Buchanan.

Mężczyzna nie odpowiedział.

— Jesteśmy tacy sami, a jednak inni — rzekł Buchanan. — Ty zabijałeś i ja zabijałem. Tyle że ja nie jestem zabójcą.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Czy to rozróżnienie jest tak subtelne, że go nie pojmujesz? Powiem jaśniej. Nie zamierzam was zabijać.

Mężczyzna wyglądał jednocześnie na zaniepokojonego i zdumionego jakby litość była dla niego niezbyt zrozumiałym pojęciem.

— Pod warunkiem że zastosujecie się do podstawowych zasad — dodał Buchanan.

— O jakich...

— Po pierwsze, pozostaniecie związani do zachodu słońca. Dostaniecie jedzenie, wodę i będziecie mogli skorzystać z toalety. Ale pozostaniecie w furgonetce. Czy to jasne?

Mężczyzna zmarszczył brwi, a potem skinął głową.

— Po drugie, kiedy was uwolnię, nie skrzywdzicie Pedra ani Anity. Oni nic o mnie nie wiedzą. Nie wiedzą też nic o swojej córce. Nie mają zielonego pojęcia o całej sprawie. Jeśli za pomocą tortur albo innych sposobów będziecie próbowali wydobyć z nich informacje, to wywołacie mój gniew. Jeśli skrzywdzicie ich w jakikolwiek sposób, to pożałujecie, że w ogóle się urodziliście. Możecie się ukryć. Możecie zmienić tożsamość. W niczym wam to nie pomoże. Znajdowanie ludzi jest moją specjalnością. Przez resztę życia będziecie musieli oglądać się przez ramię. Czy to jasne?

Mężczyzna przełknął ślinę.

— Tak.

Buchanan wysiadł z furgonetki zostawiając otwarte drzwi i dał Mendezom znak, żeby się zbliżyli.

Pedro zaczął mówić coś po hiszpańsku. Buchanan przerwał mu.

— Nie. Musimy mówić po angielsku. Chcę być pewny, że ci dwaj rozumieją każde słowo.

Pedro zdawał się nie pojmować.

— Powierzam wam zadanie pilnowania ich — rzekł Buchanan. — Chcę, żebyście znaleźli miejsce, gdzie ta furgonetka nie będzie zwracała na siebie uwagi. Być może z tyłu jednego z waszych warsztatów. — Opisał swoją rozmowę z więźniami. — Wypuście ich o zachodzie słońca.

— Ale...

— Nie martwcie się. Nie będą was niepokoić. Na pewno niezwłocznie wyjadą z miasta. Prawda? — Buchanan zwrócił się do pierwszego mężczyzny.

Mężczyzna ponownie przełknął ślinę i pokiwał głową.

— Właśnie. Teraz chcę tylko, żebyście powiedzieli mi, czy macie jakiś system porozumiewania się z waszym pracodawcą, w razie jakichś kłopotów.

— Nie — odpowiedział mężczyzna.

— Jesteś pewny? Grasz o własne życie. Bądź ostrożny.

— Mamy dzwonić tylko wtedy, gdybyśmy mieli pytanie albo coś do zameldowania — odparł mężczyzna.

— A zatem zakończmy tę sprawę. — Pod Buchananem nogi uginały się z bólu i zmęczenia. Odwrócił się do Pedra i Anity. — Muszę coś zjeść. I przespać trochę.

— Bylibyśmy zaszczytzeni mogąc pana ugościć — powiedziała Anita.

— Dziękuję, ale wolę, żebyście nie wiedzieli, gdzie jestem.

— Milczelibyśmy jak grób.

— Oczywiście — zgodził się Buchanan. Nie próbował wyprowadzić jej z błędu, choć wiedział, że oboje nie mają najmniejszego pojęcia, jak szybko załamaliby się, torturowani. — Ale im mniej wiecie o całej tej sprawie, tym lepiej. Dopóki ci ludzie mają pewność, że nic nie możecie im powiedzieć, jesteście bezpieczni. Dotrzymajcie tylko umowy. Wypuście ich o zachodzie słońca. Na razie, kiedy będziemy wracali do miasta, muszę znaleźć swój samochód. Mam rzeczy w bagażniku.

— A co potem, kiedy już odpoczniesz? — zapytał Pedro.

— Wyjadę z San Antonio.

— Dokąd?

Buchanan nie odpowiedział.

— Do Filadelfii? Znaleźć ludzi, którzy wynajęli tych facetów? Ludzi, z którymi rozmawiałeś przez telefon?

Buchanan ponownie nie odpowiedział.

— Co wydarzyło się w domu Juany?

— Nic — odparł Buchanan. — Pedro, poprowadź furgonetkę, podczas gdy ja będę siedział z tyłu i pilnował tych dwóch. Anita, pojedź za nami dżipem.

— Ale co z Juana?

— Macie moje słowo. Nie spocznę, dopóki jej nie odnajdę.

McIntyre, opalony, ogorzały od słońca kierownik robót, leżał rozgorączkowany i bezsilny na koi w długim budynku, który jego ludzie zbudowali, kiedy po raz pierwszy przybyli na miejsce badań. Wtedy drzewa i gęste zarośla wciąż przykrywały jeszcze starożytne ruiny.



Teraz, z najwyższym wysiłkiem ocierając zdrową ręką pot z czoła, McIntyre żałował, że kiedykolwiek zgodził się przyjąć diabelską propozycję Ahstaira Drummonda. Ogromne honorarium — suma większa od tej, jaką kiedykolwiek otrzymał za pojedyncze zadanie — było pokusą nie do odparcia. Podobnie jak równie duża premia, którą Drummond obiecał w wypadku Pomyślnego zakończenia prac. Podczas swojej długiej kariery McIntyre stał dwukrotnie zmuszony do wzięcia rozwodu ze względu na wędrowny tryb życia, który prowadził, i do porzucenia dwóch kobiet, które kochał oraz gromadek dzieci, które uwielbiał. Wszystko z powodu pragnienia, by okiełznać dzikość, ustanowić porządek tam, gdzie był chaos. Jednak obecne zadanie wymagało od niego, by robił coś odwrotnego: niszczył porządek i tworzył chaos, a teraz spotykała go za to kara.

Nawet ziemia wydawała się rozwścieczona potwornościami, których się dopuścili. A może rozwścieczeni byli bogowie, ku czci których zbudowano te piramidy. Dziwne spostrzeżenie, jak na mnie, pomyślał McIntyre. W końcu nigdy nie byłem religijny. Mimo to, czując zbliżającą się śmierć, McIntyre coraz częściej myślał o rzeczach ostatecznych. To, co kiedyś nazwałby przesadami, teraz wydawało się całkowicie logiczne. Bogowie byli rozgniewani, ponieważ ludzie bezczeszczęli ich świątynie i pomniki. Zniszczcie ruiny, rozkazał Drummond. Zrównajcie je z ziemią. I stało się. Każdy wybuch dynamitu, każdy ryk buldożera, każdy wrzucony do wykopu kamień, pokryty hieroglifami, wywoływał protest ziemi i bogów. Częste drżenia wstrząsały obozem. Okres ich trwania wydłużał się. A potem nadszedł kolejny koszmar, miriady węży uciekające z dziur i szczelin w ziemi, cała ich zaraza, ledwie kontrolowana przez rozpylanie kerosenu i palenie ziemi, co było dalszym aktem bezczeszczenia. Chmura dymu wisiała nad zniszczonymi ruinami.

Przez jakiś czas zdawało się, że węże są wszędzie, lecz kiedy ustały wstrząsy — zniknęły. Nie niepokojone dłużej, powróciły do swoich podziemnych schronień.

Ale za późno. Przynajmniej dla McIntyre'a. Poprzedniego dnia, tuż przed zachodem słońca, sięgnął do skrzynki z narzędziami po klucz francuski i poczuł ostry, palący ból nad prawym nadgarstkiem. Ogarnięty strachem, biegnąc do namiotu sanitariuszy, ledwie spojrzał na małego węża, który wyślizgnął się ze skrzynki do dziury w ziemi. Obozowy lekarz, mężczyzna, który zdawał się zawsze mieć papierosa w ustach i oddech przesiąknięty odorem whisky, zrobił McIntyre'owi zastrzyk z surowicą i zdezynfekował punkciki ran, przez cały czas zapewniając, że McIntyre miał szczęście, gdyż zęby jadowe ominęły główne żyły w jego ramieniu.

Jednak McIntyre, drżąc z bólu i szoku, wcale nie czuł się szczęśliwy. Po pierwsze, różne rodzaje jadów wymagały różnych surowic, a McIntyre nie przyjrzał się wężowi wystarczająco dobrze, by móc go teraz zidentyfikować. Po drugie, mimo że podano mu antidotum, nadal potrzebował wyspecjalizowanej opieki medycznej. Jednak najbliższy szpital znajdował się w Campeche, w odległości dwustu pięćdziesięciu kilometrów. Przez dżunglę nie poprowadzono jeszcze drogi, którą można by przejechać. McIntyre mógł być przewieziony do szpitala tylko na pokładzie helikoptera. Ale oba helikoptery obozowe poleciały do Vera Cruz po zapasy i miały wrócić nie wcześniej niż za dwanaście godzin. Trzeci helikopter był w obozie, lecz nie nadawał się do użytku. To dlatego właśnie McIntyre sięgał do skrzynki narzędziowej po klucz, kiedy ukąsił go wąż — pomagał mechanikowi naprawiać helikopter.

Leżał na koi w kącie obozowego biura, a jego świadomość zdawała się unosić w powietrzu, gdy śmierć rozchodziła się powoli po jego ciele. Napęniała go duszącym gorącem, wyciskając z niego wszelką wilgoć, mocząc ubranie. Jednocześnie zdawała się nieznośnie zimna, wywołując dreszcze, sprawiając, że McIntyre rozpaczliwie pragnął przykryć się kolejnymi kocami.

Wszystko kołysało mu się przed oczami. Dźwięki były stłumione. Ryk buldożerów, huk eksplozji, stukot młotów pneumatycznych zdawały się dochodzić gdzieś z daleka, a nie z pozostałości ruin wokół biura. Ale jedyną rzeczą, której wyczekiwał, jedynym dźwiękiem, który

usłyszałby od razu, było miarowe bicie łopat helikoptera i ku swej rozpaczy McIntyre wciąż czekał na próżno. Wiedział, że jeśli maszyna w obozie nie zostanie naprawiona, jeśli pozostałe helikoptery nie wrócą na czas, to umrze, a teraz przypomniał sobie jeszcze, wściekły pomimo osłabienia, że odpowiednia opieka medyczna była jednym z gwarantowanych przez Alistaira Drummonda warunków umowy. Skoro Drummond nie dopełnił tego warunku, to może i pozostałe jego obietnice pozostaną bez pokrycia. Premia, na przykład. Albo honorarium za robotę. Może Drummond znajdzie tysiąc powodów, żeby nie dopełnić warunków kontraktu.

Te podejrzania najwyraźniej nie dotarły do pozostałych robotników. Tak bardzo chcieli wydostać się z tego miejsca, że wykonywali swoje zadanie z bezlitosną furią. Niecierpliwość potęgowało oczekiwanie na obiecane nagrody. Nic nie było ich w stanie powstrzymać — ani wstrząsy, ani węże, a już na pewno nie nadciągająca śmierć McIntyre'a. Wytrwali pomimo wysiłków okolicznych Indian próbujących ich przestraszyć. Autochtoni, potomkowie Majów, którzy wzniesli te pomniki, byli tak rozwścieczeni niszczeniem ruin, że psuli sprzęt, zatruli wodę w obozie, zastawiali pułapki i atakowali strażników. W rezultacie wywołali wojnę. Bo w odpowiedzi, nazywając swoje działania samoobroną, robotnicy zaczęli polować na tubylców i zabijać każdego, którego złapali. Strącając trupy w przepaść, naśladowali bezwiednie rytuały starożytnych Majów. W regionie nie tkniętym ręką cywilizacji walka ta przypominała McIntyre'owi, co wydarzyło się czterysta lat wcześniej, kiedy Hiszpanie najechali te ziemie. Teren był odizolowany. Nikt nie mógł się dowiedzieć, co tu się teraz wydarzyło. Z całą pewnością nikt nie mógł tego dowieść. Po skończeniu roboty miały się liczyć tylko wyniki.

Półprzemyślny McIntyre usłyszał skrzypnięcie drzwi wejściowych. Buldożer przejechał z chrzęstem gdzieś obok. Potem drzwi zostały zamknięte i na glinianej podłodze biura zastukały szybkie kroki. Delikatna dłoń dotknęła czoła McIntyre'a.

- Wciąż gorączkujesz. — Głos kobiety. Jenna. — Czujesz się lepiej?
- Nie. — McIntyre zadrżał, a pot ponownie wystąpił mu na ciele.
- Napij się wody.
- Nie mogę. — Z trudem łapał oddech. — Zwymiotuję ją zaraz.
- Trzymaj się. Mechanicy robią wszystko, żeby jak najszybciej naprawić helikopter.
- Nie zdążą.

Jenna klękła przy łóżku i chwyciła jego lewą dłoń. McIntyre przypomniał sobie, jak bardzo był zaskoczony, kiedy okazało się, że obozowy kartograf jest kobietą. Upierał się, że obóz nie jest dla niej właściwym miejscem, lecz Jenna zwyciężyła, udowadniając, że potrafi dostosować się do prymitywnych warunków równie dobrze jak mężczyźni. Miała czterdzieści parę lat, tyle samo co McIntyre, włosy barwy miodu, jędrnie wyglądające piersi, uroczy uśmiech. W ciągu trzech miesięcy, jakie razem przepracowali McIntyre zakochał się w niej. Nigdy tego nie powiedział — za bardzo bał się odmowy. Gdyby go odrzuciła, atmosfera w pracy stałaby się nie do zniesienia. Jednak zaraz po skończeniu robót zamierzał...

Gładząc jego lewą dłoń Jenna nachyliła się bliżej, a jej głos przerwał mu rozmyślenia.

— Ale założę się, że inny helikopter pojawi się tu szybciej, niż zdołamy naprawić ten, który mamy.

- Ja... — McIntyre miał spękane usta. — Nie rozumiem, o czym...
- Drummond będzie tu niedługo. Przewieziemy cię do szpitala jego helikopterem.
- Drummond?
- Nie pamiętasz? — Jenna wytarła mu czoło wilgotną szmatką. — Rozmawialiśmy o tym pół godziny temu, kiedy używałam radia.
- Radia? Pół godziny temu?

— Znaleźliśmy to, czego szukał Drummond. — Jenna mówiła szybko, w jej głosie brzmiało podniecenie. — Było tu przez cały czas. Tuż pod nosem. Mieliśmy wskazówki w tłumaczeniach od Drummonda, ale chcieliśmy być zbyt chytry. Szukaliśmy za głęboko. Myśleliśmy, że teksty są pełne metafor, a tymczasem należało brać je dosłownie. Bóg ciemności. Bóg podziemi. Bóg piramidy. To było tak diabelnie proste, Mac. Kiedy twoi ludzie zrównali piramidę z ziemią, stało się oczywiste, dlaczego Majowie zbudowali ją właśnie w tym miejscu. Znaleźliśmy to, czego szukał Drummond.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

### 1

*Waszyngton, D.C.*

Trzynasta trzydzieści. Buchanan zszedł z pokładu samolotu linii TWA z San Antonio i ruszył ku pierwszemu rzędowi telefonów, które ujrzał w hali lotniska. Udało mu się pospać trochę podczas pięciogodzinnego, przerywanego międzylądowaniami lotu. Drzemki, w połączeniu z czterema godzinami snu w motelu niedaleko lotniska w San Antonio, przywróciły mu nieco energii, podobnie jak bogate w węglowodany śniadanie na lotnisku i jeszcze jedno w samolocie. Rany wciąż dokuczały. Migrena również. Ale czuł się o wiele lepiej niż w ciągu ostatnich dni, adrenalina zaś pchała go do przodu. Podróżował jako Charles Duffy. Ponownie czuł, że kontroluje sytuację.

Mężczyzna, który odebrał telefon w redakcji „Washington Post”, wyjaśnił, że Holly właśnie rozmawia przy innym aparacie i zapytał, kto dzwoni.

— Mike Hamilton — odpowiedział Buchanan.

Tego nazwiska miał użyć do skontaktowania się z Holly. Zakładał, że pułkownik i Alan będą ją obserwowali, żeby sprawdzić, czy zamierza dotrzymać warunków umowy. Gdyby uznali, że wraca do całej sprawy, gdyby zdradziła w jakikolwiek sposób, że nie oddała im wszystkich materiałów, postanowiliby ją zapewne „skutecznie zniechęcić”. Z całą pewnością gdyby dowiedzieli się, że kontaktował się z nią Buchanan, ich podejrzenia mogłyby się okazać śmiertelnie niebezpieczne. Zresztą nawet gdyby Holly nie oyla zagrożona, Buchanan nie mógłby użyć swojego prawdziwego nazwiska. Wiedział, że Alan i pułkownik próbują znaleźć go za wszelką cenę.

Myślał o tym z niepokojem, czekając, aż Holly podejdzie do aparatu. Niepokój nie wynikał jednak z troski Buchanana o własne bezpieczeństwo. — Był zdenerwowany, ponieważ zastanawiał się nad motywami, które nim cerowały. Co, u diabła, zrobił? Nie opuszcza się ściśle tajnej operacji wojskowej, tak jakby rzucało się pracę w Domino’s Pizza. Przez osiem lat jako tajny agent i jeszcze trzy lata wcześniej Buchanan wykonywał każdy rozkaz. Był żołnierzem. Obowiązywało go posłuszeństwo. Odczuwał z tego powodu dumę. A teraz nagle jego dyscyplina pękła. Odszedł i to nie ku przyszłości, lecz w przeszłość, nie jako on sam, lecz jako jedna z postaci które grał.

Hej, stary, powiedział sobie, jeszcze nie jest za późno. Lepiej wróć do szeregu. Zadzwoń do pułkownika. Powiedz mu, że popełniłeś błąd, ale czujesz się już lepiej. Powiedz mu, że zrobisz wszystko, czego od ciebie zażąda. Będiesz instruktorem. Zejdiesz z widoku. Cokolwiek.

Ale inna myśl była silniejsza.

Muszę znaleźć Juanę.

Musiał powiedzieć to głośno, bo nagle usłyszał pytanie w słuchawce:

— Co? Nie słyszałam, co powiedziałeś. Mike? Czy to ty? Gardłowy, zmysłowy głos należał do Holly.

— Tak, to ja. — Buchanan wyprostował się. Rano, przed opuszczeniem San Antonio, zadzwonił do jej mieszkania, żeby upewnić się, że Holly jest w Waszyngtonie i nie będzie jechał na darmo. Szósta trzydzieści w Teksasie oznaczała siódmą trzydzieści nad Potomakiem. Holly już wstała i przygotowywała się do wyjścia do pracy, kiedy Buchanan zadzwonił. Odebrała telefon, zamiast zostawić go automatycznej sekretarce. Zakładając, że telefon jest na podsłuchu, Buchanan przedstawił się jako Mike Hamilton i wstępnie umówił z Holly na spotkanie.

— Nadal jesteśmy umówieni na nasz późny lunch? — zapytała teraz Holly.

- Jeśli masz czas.
- Hej, dla ciebie zawsze mam czas. Spotkamy się na McPherson Square.
- Daj mi czterdzieści minut.
- Nie ma pośpiechu.

— Do zobaczenia. — Buchanan odłożył słuchawkę. Rozmowa przebiegła idealnie. Chociaż brzmiała zupełnie naturalnie, zawierała słowa „nie ma pośpiechu”, kod, który wybrali w Nowym Orleanie dla oznaczenia, że Holly nie wyczuła żadnego niebezpieczeństwa. „Do zobaczenia” było identycznym odzwaniem Buchanana.

Chwycił swoją małą torbę i wmieszał się w tłum pasażerów, którzy właśnie opuścili inny samolot. Zarówno National Airport, jak i lotnisko Dullesa przez dwadzieścia cztery godziny na dobę obserwowali różne agencje rządowe. Była to pozostałość po zimnej wojnie, poza tym przypatrywano się, jacy ważni goście przybywają nieoczekiwanie do stolicy kraju. W dużym stopniu z powodu wzrastającego przekonania, że bliskowschodni terroryści przeprowadzą wreszcie swój od dawna obiecywany atak na Stany Zjednoczone. Buchanan nie podejrzewał, by agenci pułkownika czekali na niego na lotnisku. W końcu logika sugerowała, że Waszyngton jest jednym z miejsc, które Buchanan będzie chciał omijać z daleka. Poza tym do tego czasu trop Buchanana zaprowadził pewnie ludzi pułkownika do San Antonio. Przed opuszczeniem Teksasu Buchanan zostawił samochód w biurze agencji, w której go wynajął. Tani kończył się jego ślad. Tropiąca go grupa dojdzie pewnie do wniosku, że Buchanan opuścił San Antonio samolotem, jako że biuro agencji znajdowało się niedaleko lotniska. Nie będą jednak mieli żadnego sposobu dowiedzenia się, że użył nazwiska i karty kredytowej Charlesa Duffy’ego, żeby wynająć pokój w motelu i kupić bilet na samolot.

Tu, na lotnisku, Buchanan ryzykował jedynie, że ktoś zauważy go przypadkowo i tylko wtedy jeśli zwróci na siebie uwagę, a on nie zamierzał być aż tak nieostrożny. Buchanan–Lang–Duffy–Hamilton wyszedł na wilgotną szarzynę popołudnia, wsiadł do taksówki i kazał się zawieźć do centrum.

Tak, hala lotniska nie stanowiła zagrożenia.

Ale McPherson Square był czymś zupełnie innym.

## 2

W Nowym Orleanie, zanim Holly odleciała do Waszyngtonu, Buchanan wyjaśnił, że jeśli zadzwoni do niej i zaproponuje, żeby się spotkali, to powinna wybrać jakieś publiczne miejsce w okolicy. Miejsce musiało być jej dobrze znane. „Nie rób nic niezwykłego”. Musiało mieć więcej niż jedno wyjście. „Żebyśmy nie zostali schwytani w pułapkę”. Nie mogło też być zamknięte o nie dających się przewidzieć godzinach. „Kiedyś kazano mi spotkać się z facetem w restauracji, która spłonęła poprzedniego dnia. Nikt z grupy wspomagającej nie zadał sobie trudu pójścia tam i sprawdzenia, czy restauracja będzie odpowiednim miejscem na spotkanie”.

W świetle tych warunków McPherson Square wydawał się miejscem idealnym. Park raczej nie mógł spłonąć. Był tak samo powszechnie dostępny jak restauracja, lecz o wiele bardziej otwarty, a poza tym znajdował się zaledwie o kilka skrzyżowań od biura Holly, stanowiąc w ten sposób naturalny punkt na spotkanie.

Buchanan zdołał dotrzeć na miejsce przed upływem czterdziestu minut. Obserwując siedzibę gazety z zatłoczonego przystanku autobusowego przy L Street, ujrzał, jak Holly wychodzi z budynku i idzie na dół Piętnastą Ulicą, lecz w tym momencie bardziej interesowało go, czy ktoś ją

śledzi. Począł, aż zniknie mu z oczu, odczekał kolejne piętnaście sekund i skręcił za róg z innymi przechodniami. Tam, czekając na zielone światło, spojrzął na Holly idącą Piętnastą w kierunku K Street.

Miała na sobie przeciwdeszczowy płaszcz angielskiego kroju, w kolorze piaskowym, idealny, jeśli chciało się być niewidocznym w tłumie. Kapelusz tego samego koloru miał tę zaletę, że ukrywał jej rude włosy. Jediną rzeczą zwracającą uwagę był futerał z aparatem, który niosła zamiast torebki.

To wystarczyło, żeby Buchanan odróżnił ją od innych piaskowych płaszczy na ulicy. Szedł powoli, zerkając ukradkiem na wystawy sklepowe i samochody, delikatnie obserwując teren, żeby sprawdzić, czy jest śledzona.

Była. Mężczyzna w brązowej skórzanej kurtce po przeciwnej stronie ulicy.

Szedł nie spuszczać wzroku z Holly. Co jakiś czas poprawiał coś przy awym uchu i opuszczał brodę ku piersi, poruszając ustami.

Buchanan rozejrział się uważniej i spostrzegł drugiego mężczyznę na rogu w przodzie przed Holly. Ten miał na sobie garnitur, w rękę trzymał parasol i kilka razy spojrzął na zegarek, jakby na kogoś czekał. Ale on też poprawiał coś w uchu i robił to w tym samym czasie, kiedy pierwszy mężczyzna opuszczał brodę i poruszał ustami. Nadajniki udające aparaty słuchowe. Miniaturowe mikrofony w guzikach.

Ale czyja grupa — pułkownika czy Alana — śledziła Holly? Wojskowi czy cywile, Operacje Specjalne czy Agencja? Gdy Holly dotarła do K Street i zaczęła przechodzić na drugą stronę w kierunku parku, Buchanan przyjrzał się sylwetkom mężczyzn, którzy za nią szli. Mieli wąskie biodra i torsy rozszerzające się w górę ku potężnym ramionom, budowę typową dla pracowników Operacji Specjalnych. Szkolenie miało na celu uczynić ich zwinnymi, przy jednoczesnym zwiększeniu siły tułowia. Zbyt umięśnione nogi lub biodra odebrałyby im szybkość. Ale umięśniona górna część ciała nie przeszkadzała w niczym, stanowiła tylko zaletę. Buchanan sam miał kiedyś podobną budowę ciała, ale ponieważ zdradziłaby ona jego zawód komuś znającemu się na rzeczy, ograniczył wzmocnienie rąk i ramion, na korzyść ćwiczeń zwiększających zwinność i wytrzymałość.

Teraz, kiedy wiedział już, czego szukać, zauważył kolejnych dwóch mężczyzn w cywilnych ubraniach z sylwetkami żołnierzy Operacji Specjalnych. Pułkownik musi się jej nieźle obawiać, pomyślał, w przeciwnym razie nie poświęciłby na nią tylu ludzi. Dwaj mężczyźni, których właśnie zauważył, przesuwali się w przodzie, obstawiając park. To, że znaleźli się tam przed Holly, oznaczało, że mają jej telefony na podsłuchu i dowiedzieli się, gdzie i kiedy umówiła się na spotkanie z Mikiem Hamiltonem. Postąpił słusznie zachowując ostrożność. Zamiast iść za Holly do parku, zwolnił kroku, skręcił w prawo w K Street i ruszył dookoła budynku. W ten sposób wrócił na Piętnastą, ale tym razem bardziej na południe, tam gdzie Piętnasta krzyżowała się z I Street. Sprzed tłoczego wejścia do budynku Urzędu do spraw Weteranów spojrzął na bezlistne drzewa w parku i spostrzegł Holly, siedzącą na ławce koło umieszczonego centralnie pomnika generała McPhersona. Przechodnie wchodzili i wychodzili, lecz czterech mężczyzn o szerokich barach rozproszyli się po parku i teraz stali prawie nieruchomo, czasem tylko dotykając ucha lub opuszczając brodę, koncentrując się na Holly, a potem skupiając uwagę na każdym, kto zbliżał się w jej stronę.

W jaki sposób przekazać jej wiadomość? — zastanawiał się Buchanan.

Idąc dalej I Street dotarł do czarnoskórego mężczyzny, który trzymał tabliczkę z napisem BĘDĘ PRACOWAŁ ZA JEDZENIE. Mężczyzna miał nieco nieporządne włosy, lecz był świeżo ogolony i ubrany czysto i przyzwoicie. Jego skórzane buty wyglądały na dopiero co wypastowane, lecz były mocno starte przy obcasach.

— Czy wspomógłby mnie pan równowartością ceny hamburgera? — zapytał mężczyzna. Jego oczy wyrażały tłumioną gorycz. Wstyd walczył z gniewem, gdy mężczyzna mimo żebrania próbował zachować godność.

— Myślę, że stać mnie na więcej — powiedział Buchanan.

Oczy mężczyzny zwięzły się, a na jego twarzy pojawił się wyraz niezrozumienia i lekkiego niepokoju.

— Chcesz pracować? — zapytał Buchanan.

— Proszę posłuchać, nie wiem, o co panu chodzi, ale mam nadzieję, że nie o jakąś awanturę. Ostatnio facet, który się przy mnie zatrzymał, powiedział, że jeśli chcę pracować, to dlaczego, u diabła, nie znajdę sobie pracy. Nazwał mnie leniwym sukinsynem i odszedł. Znaleźć sobie pracę? No jasne. Nie siedziałbym tutaj żebrząc i pozwalając się obrażać, gdybym mógł znaleźć pracę.

— A co powiesz na to? — zapytał Buchanan. — Sto dolarów za pięć minut pracy.

— Sto dolarów? Za takie pieniądze, zrobię... Zaraz, zaraz. Jeśli tu chodzi o narkotyki albo o...

### 3

W bezpiecznym lokalu pięć przecznic na północ od siedziby „Washington Post” telefon ledwie zdążył zadzwonić, kiedy pułkownik podbiegł do niego i chwycił za słuchawkę.

— Home Video Service.

— Wygląda na to, że facet już się nie pojawi — powiedział męski głos. — Kimkolwiek jest ten Mike Hamilton, miał się z nią spotkać dwadzieścia po drugiej. Teraz jest za kwadrans trzecia, mżawka przechodzi w deszcz, a kobieta zachowuje się tak, jakby ławka, na której siedzi, była cholernie zimna.

— Może ona to właśnie teraz robi. Pracuje. Tylko dlatego, że facet z biurka obok nigdy nie słyszał o Mike’u Hamiltonie, nie oznacza, że Hamilton nie może być jednym z jej informatorów. Do diabła, może nawet być jej przyjacielem z czasów, kiedy pracowała w Kalifornii.

— Może być, majorze? Nie lubię, kiedy moi oficerowie zajmują się przypuszczeniami. Na taśmach z podsłuchu nie ma nic o Kalifornii ani niczym takim. Kobieta i Hamilton rozmawiali, jakby ich coś łączyło. Ale co? Poruszamy się we mgle.

— Cóż, ludzie rzadko opowiadają sobie historie życia, kiedy umawiają się na lunch.

— Czy to ironia, majorze?

— Nie, sir. Zdecydowanie nie. Staram się tylko myśleć na głos i analizować problem. Zgaduję, że jeśli to spotkanie z Hamiltonem ma coś wspólnego z nami, to kobieta nie umawiałaby się z nim w tak uczęszczanym miejscu. Poza tym sprawdziliśmy akta w komputerze. Nikt o nazwisku Hamilton nie nigdy żadnego związku z naszymi operacjami.

— Nikt o nazwisku Hamilton? — powtórzył pułkownik. — Majorze, nie wydaje się panu istotne, że jedną z naszych specjalności są pseudonimy? Do diabła, a jeśli Hamilton to nie jest jego prawdziwe nazwisko?

Na linii przez moment zapanowała cisza.

— Tak, sir, teraz rozumiem.

— Od czasu kiedy wróciła z Nowego Orleanu, zachowywała się zupełnie normalnie. Teraz po raz pierwszy robi coś, czego nie da się w pełni wyjaśnić. Mam nadzieję — dla jej dobra — że nie ma to nic wspólnego z nami. Chcę wierzyć w to, co powiedziała Buchananowi, że zostawiła całą sprawę. Ale chcę też wiedzieć, kim, u diabła, jest Mike Hamilton.

— Pułkowniku, może pan na mnie polegać... Chwileczkę. Dostaję meldunek od grupy obserwacyjnej... Ktoś zbliża się do kobiety.

Pułkownik znieruchomiał i wbił wzrok w przeciwległą ścianę.

— Falszywy alarm, sir. To czarny facet z tabliczką informującą, że szuka pracy. Próbuje żebrnąć w parku.

Pułkownik odetchnął.

— Prowadźcie dalej obserwację. Informujcie mnie o wszystkim. Chcę wiedzieć, co ona robi w każdej sekundzie.

Z pasją odłożył słuchawkę na widelki.

Alan, siedzący na krześle w rogu, przyjrzał mu się z uwagą.

— Dlaczego nie odpuści pan sobie tego, pułkowniku? Cokolwiek ma się zdarzyć, zdarzy się bez względu na to, czy będzie pan siedział przy tym telefonie.

— Mam wrażenie, że nie bierze pan tego wszystkiego poważnie.

— Och, ależ biorę — odparł Alan. — Jest to dla mnie najlepszy dowód, jak bardzo ta operacja wymknęła się spod kontroli. Zamiast zająć się właściwymi sprawami, traci pan czas na martwienie się Buchananiem i tą kobietą.

— Tracę czas?

— Według mnie oba problemy zostały rozwiązane. Niech Buchanan dalej kopie sobie swoją norę. Zniknął — i dobrze. Szybko pójdzie w zapomnienie. Co zaś do dziennikarki — cóż, bez Buchanana żadna historia nie istnieje. Czy to nie proste? Jeśli złamię umowę, zaprzeczmy wszystkiemu i oskarżymy ją, że chcąc zrobić karierę, mija się z prawdą, a potem każemy jej znaleźć tego tajemniczego faceta, który, jak twierdzi, był tyłoma osobami.

— Może go znajdzie.

— O czym pan mówi?

— To ona jest powodem, dla którego Buchanan odszedł od nas — rzekł pułkownik. — Ale może nie chodziło tylko o kwestie zawodowe. Buchanan próbował ją w końcu ochraniać. Może jest między nimi coś osobistego.

Alan zmarszczył brwi.

— Jedną z umiejętności Buchanana jest zmienianie głosu, naśladowanie innych ludzi. Czy nie przyszło panu do głowy, że bez względu na to, jak jego głos brzmiał na taśmie, to Buchanan mógł być Mikiem Hamiltonem?

## 4

Przed powrotem Holly z Nowego Orleanu do Waszyngtonu Buchanan nie miał czasu wyjaśnić jej wszystkich zasad, których powinna przestrzegać, jeśli uzna, że jest śledzona. Najważniejsze, powiedział jej z naciskiem, jest to, żeby nie zachowywać się przesadnie, jakby się dla kogoś grało. „Nigdy nie rób czegoś, czego byś normalnie nie zrobiła. Nigdy nie zapominaj o zrobieniu czegoś, co robisz zawsze”.

W tym momencie, gdyby miała zachowywać się normalnie, wstałaby z tej cholernej parkowej ławki i przestała moknąć w zacinającym deszczu. Usiadła na niej dwadzieścia po drugiej. Buchanan był już spóźniony o dwadzieścia pięć minut, a w Nowym Orleanie powiedział jej, żeby nigdy nie czekała na niego dłużej niż pół godziny. W przeciwnym razie, gdyby była śledzona, obserwatorzy zaczęliby się zastanawiać, dlaczego siedzi tak długo w jednym miejscu. Teraz było to jeszcze bardziej podejrzane ze względu na przybierający na sile deszcz.



Holly miała nieodparte wrażenie, że powinna zachować się naturalnie i odejść nie czekając ani chwili. Buchanan powiedział jej, że gdyby kiedykolwiek nie zdołał dotrzeć na spotkanie, powinna wrócić na to samo miejsce dwadzieścia cztery godziny później, pod warunkiem że wcześniej nie otrzymałaby od niego żadnej wiadomości. Powrót następnego dnia byłby dość niezwykły, na pewno jednak mniej niezwykły od upartego siedzenia na ławce w strugach deszczu. Park zdążył już opustoszeć, większość ludzi schroniła się w budynkach. Holly poczuła się, jakby stała na środku sceny i miała nadzieję, że rozglądając się wygląda naturalnie. Kiedy wreszcie podjęła decyzję i wstała, zauważyła nagle ruch po lewej.

Ten człowiek był tam od jakiejś minuty. Holly po prostu nie zwracała na niego uwagi. Widok tak powszechny nie budził zainteresowania. Teraz jednak, odwracając się, Holly ujrzała, jak czarny mężczyzna z tabliczką BĘDĘ PRACOWAŁ ZA JEDZENIE zbliża się do kobiety idącej spieszenie przez park. Powiedział coś do niej. Kobieta nie zwalniając kroku potrząsnęła stanowczo głową. Czarny — mężczyzna szedł dalej. Deszcz zaczął rozmywać wyrysowane flamastrem litery, tak że teraz na tabliczce widniał napis ĘDĘ PRACO A DZENIE.

Holly poczuła falę sympatii, kiedy czarny mężczyzna podszedł do kolejnego śpieszącego się przechodnia, który minął go, jakby żebrak był niewidzialny. Z tabliczki ściekały czarne strumyki tuszu.

Do diabła, przynajmniej wyjdzie z tego jedna dobra rzecz, pomyślała Holly. Sięgnęła do torebki, wyjęła z portfela dolara i podała go mężczyźnie, kiedy ten zbliżył się do niej. Czuła się tak przygnębiona, że dałaby mu więcej wyłącznie po to, by poprawić sobie nastrój, lecz przypomniała sobie wskazówki Buchanana, by nie robić nic nienaturalnego. Dolar i tak był lepszy od dwudziestu pięciu centów.

— Dziękuję pani. — Jego następne słowa zaskoczyły ją. „Mike Hamilton mówi, że jest pani śledzona”. Serce zabiło jej gwałtownie.

— Co?

— Ma pani iść do wejścia do metra na Czternastej Ulicy. Pojechać do Metro Center. Wyjść wschodnimi drzwiami. Pójść w stronę... tak... Narodowej Galerii Portretu. Mike skontaktuje się z panią.

Chowając dolara, którego dała mu Holly, czarny mężczyzna ruszył dalej.

Holly miała ochotę pobiec za nim, poprosić o bardziej szczegółowe wyjaśnienie, zapytać, skąd Buchanan wie, że jest śledzona.

Ale wiedziała, że nie może tego zrobić, i natychmiast zdławiła to pragnienie, nie zwracając już więcej uwagi na czarnego mężczyznę. Rozejrzała się, jakby wciąż miała nadzieję, że pojawi się ten, na którego czeka. Nie śmiała wstawać zaraz po odejściu żebraka. Gdyby to zrobiła, obserwujący ją ludzie mogliby nabrać podejrzeń, że otrzymała jakąś wiadomość.

Czekała. Pięć sekund. Dziesięć. Piętnaście. Krople wody ściekały z runda jej kapelusza. Co powinna zrobić? Rozejrzeć się po raz ostatni, a potem z żalem potrząsnąć głową i odejść.

Ruszyła z powrotem w kierunku „Washington Post”, a potem zatrzymała się, jakby lepsza myśl przysłała jej do głowy, i zmieniła kierunek, idąc w przeciwną stronę, ku stacji metra na Czternastej Ulicy. Uczucie, które przed chwilą odegrała, było autentyczne. Dwa dni wcześniej Buchanan przestraszył ją podczas rozmowy na statku w Nowym Orleanie. Przedstawił potencjalne zagrożenie w sposób niezwykle przekonujący. Zagrożenie związane z materiałami, które zbierała na jego temat. Poczowała zimny dreszcz widząc śmiertelną pewność w jego oczach. Ten człowiek zabijał. Ludzie, z którymi pracował, zabijali. Nie działali według reguł, które rozumiała. Nagroda Pulitzera nie byłaby żadnym pocieszeniem w grobie.

Ale co z dziennikarską odpowiedzialnością? Co z zawodową odwagą? Holly unikała tych pytań, zwlekając z podjęciem decyzji, mówiąc sobie, że jeśli poczeka na dalszy rozwój wypadków,

to historia może stać się jeszcze ciekawsza. Nie porzuciła swojego artykułu, pozwalając mu tylko dojrzeć. To oczywiste. Dlaczego więc była tak przerażona, kiedy Buchanan do niej zadzwonił? Czego chciał? Jeśli była dziennikarką z prawdziwego zdarzenia, tak jak zawsze sobie mówiła, to powinna się cieszyć. Tymczasem miała nieodparte wrażenie, że zbliża się katastrofa.

Dziesięć minut później, słysząc za plecami łoskot odjeżdżających pociągów, wspięła się po zatłoczonych schodach stacji Metro Center, wyszła na hałaśliwą, pełną samochodów G Street i ruszyła poprzez deszcz w stronę ogromnego neoklasycystycznego budynku, w którym mieściła się Narodowa Galeria Portretu. Pomimo złej pogody chodnik był zatłoczony, wszędzie dookoła śpieszyli ludzie. I tutaj także stali żebracy, ubrani w połataną przemoczone łachmany, proszący o ćwierć dolara, jedzenie, pracę, coko — wiek, czasem trzymający tabliczki z prośbami.

Jeden z żebraków miał taką samą tabliczkę jak czarny mężczyzna w parku: „BĘDĘ PRACOWAŁ ZA JEDZENIE”. Holly właśnie go mijała.

— Zaczekaj, Holly. Daj mi ćwierć dolara — powiedział żebrak.

Dźwięk własnego imienia w ustach obcego człowieka był równie szokujący jak dotknięcie nagiego drutu pod napięciem. Holly zatrzymała się, odwróciła i ujrzała, że zgarbiony, brudny na twarzy mężczyzna w podartym ubraniu i przemoczonego kapeluszu to Buchanan.

— Jezu — powiedziała.

— Nic nie mów, Holly. Daj mi tylko ćwierć dolara.

Namacala portfel w torebce, wypełniając jego polecenie, uradowana sposobem, w jaki wymówił jej imię. Buchanan ciągnął cicho:

— Drummond. Tomez. To wszystko, co mam. Tylko nazwiska. Ludzie, którzy mogliby potrzebować ochrony. Znajdź wszystko co możesz na ich temat. Teraz idź do Galerii i udaj, że dzwonisz z automatu. Spotkajmy się dziś o ósmej. Hotel Ritz–Carlton. Poproś telefonistkę, żeby połączyła cię z pokojem Mike’a Hamiltona. Zrozumiałaś wszystko? Dobrze. Idź już.

Przez cały czas Buchanan trzymał wyciągniętą rękę, czekając, aż Holly da mu ćwierćdolarówkę. Wziął ją wreszcie i powiedział głośno:

— Dziękuję pani. Niech Bóg panią pobłogosławi — po czym odwrócił się ku następnemu przechodniowi: — Czy ma pan może ćwierć dolara, tylko ćwierć dolara?

Holly szła dalej, tak jak nakazał jej Buchanan, kierując się w stronę Narodowej Galerii, miała nadzieję, że wygląda naturalnie. Bo chociaż udało jej się utrzymać równy krok, w głowie wirowało jej ze strachu i oszołomienia.

## 5

Duży niebieski helikopter rzucał drgający cień na gęstą dżunglę Jukatenu. W kabinie z tyłu twarz Alistaira Drummonda nachmurzyła się do tego stopnia, że zmarszczki zaczęły dodawać mu lat, zdradzając jego prawdziwy wiek. Zawsze siedział sztywno, ale teraz, gdy Raymond podawał mu kolejne informacje, wyprostowywał się jeszcze bardziej. Jego skrzekliwy głos przebił się przez ryk silnika.

— Brendan Buchanan?

— Instruktor Sił Specjalnych armii, stacjonowany w Fort Bragg. Wynajął samochód w Nowym Orleanie i pojechał do San Antonio odwiedzić rodziców kobiety. Nasz strażnik stamtąd poinformował nas, że Buchanan używając nazwiska Jeff Walker podał się za przyjaciela kobiety i pytał o nią.

— Czy jest jej przyjacielem? — Drummond zmrużył oczy za grubymi szklami. — Dlaczego miałby używać pseudonimu? Najwyraźniej coś ukrywa. Ale co? Czego chce od kobiety?

— Tego nie wiemy — przyznał Raymond. — Ale dwaj ludzie wyznaczeni do pilnowania domu Mendezów zniknęli. Zniknął też jeden z ludzi pilnujących domu kobiety pod San Antonio. Jego partner znalazł świeżą krew pod dywanem i dziurę po kuli w suficie. Byłoby głupotą nie zauważyć związku między pojawieniem się Buchanana a zniknięciem trzech naszych ludzi. Wydałem rozkazy, żeby zabito go, gdyby pojawił się ponownie.

Starcze ciało Drummonda zatrzęsło się.

— Nie. Odwołaj ten rozkaz. Znajdźcie go. Śledźcie. Może nas do niej zaprowadzi. Czy pracowali razem w Fort Bragg? Dowiedz się, co ich łączy. Ten człowiek może znać takie jej kryjówki, o których dotąd nie mieliśmy pojęcia.

## 6

Lecąc z San Antonio do Waszyngtonu Buchanan użył telefonu pokładowego i karty kredytowej Charlesa Duffy'ego, żeby zadzwonić do kilku hoteli w mieście i zarezerwować pokój na noc. Zgodnie z jego oczekiwaniami, zadanie okazało się trudne. Większość dobrych hoteli w Waszyngtonie była zawsze pełna. Zaczął pośrodku cennika, lecz w końcu zdecydował się spróbować z samej góry, mając nadzieję, że recesja uczyniła najdroższe hotele mniej popularnymi. Miał szczęście przy Witzu–Carltonie. Z powodu nagłego wyjazdu grupy z Wenezueli, związanego z niespodziewanymi wydarzeniami politycznymi w tym kraju, zwolniło się kilka pokoi. Gdyby zadzwonił pół godziny później, powiedział mu recepcjonista, byłyby już zajęte, a tak udało mu się zarezerwować od razu dwa.

Ritz–Carlton to jeden z najbardziej eleganckich hoteli w mieście. Wypełniony bursztynowym ciepłem, zaprojektowany na wzór brytyjskiego klubu myśliwskiego, posiadał sporą kolekcję europejskich mebli i brytyjskich obrazów z osiemnastego i dziewiętnastego wieku, w większości przedstawiających psy i konie. Po przelotnym kontakcie z Holly koło Narodowej Galerii Portretu Buchanan zauważył, że dziewczyna jest nadal pod obserwacją, lecz żaden z agentów nie zwraca uwagi na niego. Chcąc uzyskać pewność, wykonał kilkanaście manewrów mylących — przy użyciu metra, autobusów i taksówek — żeby stwierdzić, czy nie jest śledzony. Zabrało mu to dwie godziny, lecz nie zauważył niczego podejrzanego. Czuł się więc stosunkowo bezpiecznie, kiedy zameldował się w Witzu–Carltonie kilka minut po piątej — Wziął prysznic, założył nowy opatrunek i bandaż na ranę po nożu, przebrał się w suche rzeczy, zjadł hamburgera dostarczonego przez kelnera do pokoju i wreszcie położył się na łóżku, próbując odzyskać energię i zebrać myśli.

To drugie nie było łatwe. Ostatnie dwa dni ciągłej podróży zmęczyły go, podobnie jak przeżycia tego popołudnia. Przed ośmioma laty czy nawięcej przed rokiem nie byłby tak zmęczony. Tyle że wtedy nie miał dwóch ran. I nie dokuczał mu ciągły, nieznośny ból głowy. Musiał kupić kolejne opakowanie tylenolu, a nie był głupcem — wiedział, że nie może już traktować bólu głowy jako przejściowego problemu, zdawał sobie sprawę, że potrzebuje opieki medycznej. Mimo to nie miał czasu na martwienie się o siebie. Gdyby poszedł do lekarza, następny tydzień spędziłby zapewne na obserwacji w szpitalu. Pozostawanie w jednym miejscu byłoby niebezpieczne nie tylko dla niego. Również dla Juany. Tak, nie mógł tracić czasu na martwienie się o siebie. Robił to już zbyt długo. Teraz musiał zatroszczyć się o kogoś innego. O Juanę. Musiał ją znaleźć. I pomóc jej.

Telefon zadzwonił o ósmej wieczorem. Tak jak się umówili. Dobrze. Buchanan usiadł na łóżku i sięgnął po słuchawkę, mówiąc obojętnym głosem:

— Halo?

— Mike? — Głęboki, zmysłowy głos należał do Holly.

— Tak. Gdzie jesteś?

— Dzwonię z wewnętrznego telefonu w holu. Chcesz, żebym weszła na górę? Jaki jest numer twojego pokoju?

— W tej chwili jestem pod trzysta dwadzieścia dwa. Ale chcę, żebyś spotkała się ze mną w pięćset dwanaście. I, Holly, musisz to zrobić w określony sposób. Wjedź windą na trzecie piętro. Wejź potem schodami na piąte. Jeśli ktoś będzie obserwował cyferki nad windą w holu, to pomyśli, że nie wjechałaś wyżej niż na trzecie.

— Zrozumiałam. — W jej głosie pobrzmiwało napięcie.

Buchanan przerwał połączenie i nacisnął guzik hotelowej centrali.

— Proszę nie łączyć żadnych rozmów z moim pokojem do godziny ósmej rano.

Zostawiwszy włączone światło, wziął swoją torbę, wyszedł na korytarz, umieszczając na klamce wywieszkę NIE PRZESZKADZAĆ, upewnił się, że drzwi są zamknięte na klucz, i ruszył w kierunku schodów ewakuacyjnych. Gdy zaczął iść w górę, usłyszał za sobą windę zatrzymującą się na trzecim. Holly dotarła do pokoju 512 minutę po nim.

Był zarezerwowany na nazwisko Charlesa Duffy'ego. Zarówno ten, jak i drugi pokój — Mike'a Hamiltona, zostały wynajęte za pomocą karty kredytowej Charlesa Duffy'ego. Buchanan poinformował recepcjonistę, że Hamilton wkrótce przybędzie. Wykapawszy się i zmieniawszy ubranie, ponownie zszedł do holu, odczekał, aż recepcjonista, który go obsługiwał, odejdzie pod jakimś pozorem, po czym zameldował się u innego, tym razem jako Mike Hamilton.

Buchanan wpuścił Holly, zamknął drzwi i odwrócił się do niej. Był zaskoczony, gdy odłożywszy torbę z aparatem i teczkę na krzesło, zarzuciła u ramiona na szyję i przytuliła się mocno. Czuł, jak dygocze.

Zastanawiał się, czy to gra, czy Holly udaje bardziej zdenerwowaną, niż jest w rzeczywistości.

— Jak możesz znosić takie życie? — zapytała z twarzą przyciśniętą do jego ramienia.

— Jakie życie? To normalne. — Odpowiedział na jej uścisk.

— Normalne — powtórzyła słabiej.

— To tylko trema. — Czuł zapach jej perfum.

Odsunęła się z przygnębioną miną.

— Pewnie.

Deszcz bębnił o szyby za zasuniętymi storami. Holly zdjęła swój mokry płaszcz i kapelusz, po czym jednym ruchem rozrzuciła włosy.

Buchanan zapomniał już, jak są rude i jak głęboka jest zieleń jej oczu.

Holly miała na sobie malarski kombinezon piaskowego koloru, białą koszulkę z krótkim rękawem i brązowy pas. Ubranie podkreślało jej wzrost i sylwetkę, linię bioder i piersi.

Czuł, że coś go do niej przyciąga, przypomniał sobie dotyk jej piersi, kiedy się do niego przytuliła, i musiał użyć całej siły woli, żeby wrócić do rzeczywistości.

— Chciałem mieć pokój, gdzie moglibyśmy się spotkać bez obaw, że śledzący cię ludzie wpadną nagle do środka — wyjaśnił. — Teraz, jeśli zapytają recepcjonisty, będą myśleli, że jesteś z Mikiem Hamiltonem w pokoju trzysta dwudziestym drugim.

— Tę część rozumiem. — Holly opadła na wiktoriańską sofę. — Ale nie rozumiem, dlaczego kazałeś mi udawać, że dzwonię z automatu w Narodowej Galerii. Z kim miałam niby rozmawiać?

— Z Mikiem Hamiltonem.

Holly przeczesła włosy palcami, zdając się nie pojmować logiki Buchanana.

— W przeciwnym razie skąd byś wiedziała, że Mike Hamilton chce się z tobą spotkać?

— Ale... — Zmarszczyła brwi. — Przecież powiedziałeś mi to, kiedy wyszłam ze stacji Metro Central.

— Tylko że śledzący cię ludzie nie wiedzieli tego. Holly, musisz pamiętać: w tym biznesie wszystko jest grą. Publiczność powinna wiedzieć tylko to, co jest potrzebne do utrzymania fikcji. Załóżmy, że pozwoliłbym ci bez przeszkód wrócić do pracy, a potem zadzwoniłbym do ciebie i kazał się tu ze mną spotkać. Twoje telefony są na podsłuchu. Piętnaście minut po naszej rozmowie cały hotel byłby obstawiony. Nasi przeciwnicy dowiedzieliby się, kim jest Mike Hamilton. Sztuczka z pokojami nic by nam nie pomogła, a ty i ja bylibyśmy właśnie przesłuchiwani.

— Wszystko, co robisz, jest wykalkulowane.

— Dzięki temu jeszcze żyję.

— Ale skąd mam wiedzieć, że naprawdę byłam śledzona? Skąd mam wiedzieć, czy ta historia w parku i na stacji metra nie jest tylko częścią planu mającego na celu przestraszenie mnie, żebym zaczęła współpracować i zostawiła w spokoju mój artykuł?

— Nie możesz tego wiedzieć. A ja nie potrafię udowodnić, że mówię prawdę. Poprawka. Mogę udowodnić. Ale prawdopodobnie kosztem twojego życia.

— Proszę. Znowu to robisz — powiedziała Holly. — Próbujesz mnie przestraszyć. — Skrzyżowała ramiona pocierając je dłońmi, jakby było jej zimno.

— Jadłaś? — zapytał Buchanan.

— Nie.

— Zamówię coś przez kelnera.

— Nie jestem głodna.

— Musisz coś jeść.

— Strach pomaga stracić wagę.

— A może trochę kawy? Albo herbaty?

— A może powiedziałbyś mi, co te nazwiska, które mi podałeś, mają wspólnego z moim artykułem?

— Nic.

— Co? A więc dlaczego się ze mną skontaktowałeś? Dlaczego kazałeś mi przez to wszystko przejść, spotkania w parku, sekretne wiadomości...?

— Ponieważ nie miałem wyboru. Potrzebuję twojej pomocy.

Holly podniosła gwałtownie głowę.

— Potrzebujesz mojej pomocy? W czym mianowicie mogłabym ci...

— Drummond i Tomez. Ludzie na tyle ważni, że potrzebują ochrony. Czego się o nich dowiedziałeś?

— A co chcesz wiedzieć?

— Lepiej, jeśli nie powiem ci nic na temat...

— Gównu — przerwała mu. — Od czasu kiedy spotkałam cię w pociągu do Nowego Orleanu, bez przerwy usiłujesz mną sterować. Chcesz, żeby wszystko odbywało się według twojego scenariusza, i potrafisz tak manipulować ludźmi, żeby to osiągnąć. Cóż, tym razem będzie inaczej. Jeśli potrzebujesz mojej pomocy, to chcę dostać coś w zamian. Skoro nie ma to nic wspólnego ze sprawą, którą chciałam opisać, to z czym? Może zrobię z tego nowy artykuł? *Qui pro quo*, przyjacielu. Jeśli muszę coś oddać, to na pewno nie zrobię tego za darmo.

Buchanan przyjrzał się jej, a potem udał, że z niechęcią zmienia zdanie.

— Może rzeczywiście masz rację.

— Jezu, ty naprawdę jesteś niezły. Nigdy nie przestajesz grać. Mam wrażenie, że byłeś gotów powiedzieć mi to od początku, tyle że w ten sposób wygląda, jakbyś to ty robił mi przysługę, a nie odwrotnie.

Buchanan wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Chyba jesteś dla mnie za sprytna. Co z tą kawą?

— Herbatą. A jeśli masz zamiar opowiedzieć mi historię, to czuję, że wraca mi apetyt.

— Chodzi o tę kobietę, o której mówiłem ci w Nowym Orleanie — rzekł Buchanan zamówiwszy jedzenie. — Moją przyjaciółkę, która przysłała mi wiadomość z prośbą o pomoc. Tę, z którą miałem się spotkać w Cafe du Monde.

Holly skinęła głową.

— Twoja była kochanka.

— Nie. Powiedziałem ci, że nigdy nie byliśmy kochankami. — Buchanan zamyślił się. — W gruncie rzeczy myślę, że to właśnie wtedy zaczęły się moje problemy. Ponieważ nie zostałem z nią.

Pamiętał, jak bardzo chciał to zrobić i jak uparcie wmawiał sobie, że obowiązek jest ważniejszy.

Twarz Holly pozostała nieruchoma. Ale jej oczy zwięziły się, oceniając go.

— Jedną z ostatnich rzeczy, które jej powiedziałem — ciągnął Buchanan — było to, że nie może mnie kochać, ponieważ mnie nie zna — zna tylko osobę, którą udaje.

Oczy Holly zwięziły się jeszcze bardziej.

— Naprawdę wydaje mi się, że ty bez przerwy grasz. Teraz na przykład. Nie potrafię stwierdzić, czy mówisz prawdę, czy też znowu próbujesz mną manipulować.

— Och, mówię prawdę. Możesz mi nie wierzyć, ale tak właśnie jest. To jedno z najbardziej szczerych wyznań, jakie kiedykolwiek ode mnie uzyskasz, Holly. Chcę pomóc tej kobiecie, ponieważ mógłbym znów stać się osobą, którą byłem, kiedy ją znałem. Mam dość ciągłych zmian. Marzę o jakiejś ciągłości.

— Z powodu tych wszystkich ludzi, których udawałeś?

— Mówiłem ci, nic nie wiem o żadnych...

— Nie broń się tak gwałtownie. Wcale nie zmuszam cię do przyznania się do czegokolwiek. Chcesz przestać się zmieniać? Dlaczego więc czynisz to w tak skomplikowany sposób? Po co udajesz kogoś innego? Dlaczego nie jesteś po prostu sobą?

Buchanan nie odpowiedział.

— Nie lubisz się?

Nadal milczał.

— Jak nazywała się ta kobieta?

Buchanan zawahał się chwilę. Instynkt i wiedza zdobyta w ciągu długich lat szkolenia ostrzegały go przed ujawnianiem prawdy. Przygotował się, by skłamać.

Zamiast tego powiedział po prostu:

— Juana Mendez.

— Skoro ją znałeś, to zakładam, że wykonywaliście razem jakieś zadanie.

— Wiesz, co możesz zrobić ze swoimi założeniami.

— Nie ma powodu się denerwować.

— Od czasu kiedy po raz pierwszy z tobą rozmawiałem, ani razu nie podałem ci żadnych tajnych informacji. Wszystko, co mówiłem o sobie, było hipotetyczne. Jak wiesz, jestem instruktorem Operacji Specjalnych w armii. Do niczego więcej nigdy się nie przyznałem. Ta sprawa nie ma nic wspólnego z historią, nad którą pracowałaś. Chcę, żebyś to zrozumiała.

— Tak jak powiedziałam, nie ma powodu się denerwować.

— Po tym, jak wyjechałaś z Nowego Orleanu... — zaczął i opowiedział jej o swojej podróży do San Antonio, o odkryciu, że zarówno dom Juany, jak i dom jej rodziców są pod obserwacją, o przeszukaniu akt Juany. Unikał jakiegokolwiek wzmianki na temat mężczyzny, którego zabił.

— Drummond i Tomez. Ich akta były jedynymi, których zdawało się brakować. Juana jest specjalistką od ochrony. Muszę założyć, że ci ludzie byli jej klientami.

— Wystarczająco ważni, żeby potrzebować ochrony. — Holly w zamyśleniu podeszła do teczki, którą położyła na krześle i otworzyła ją. — Skorzystałam z materiałów gazety.

— Dlatego właśnie musiałem się z tobą skontaktować. Nie miałem dostępu do nikogo, kto mógłby znaleźć informacje, jakich potrzebowałem, tak szybko jak ty.

— Wiesz... — Holly przyjrzała mu się uważnie. — Mógłbyś czasem udawać, że masz choć odrobinę taktu.

— Co?

— Nie łudzę się, że zadawałbyś sobie tyle trudu, nie widząc w tym żadnego interesu. Z drugiej jednak strony byłoby dobrze, gdybyś czasem udawał, że choć trochę mnie lubisz.

— Och... Przepraszam.

— Przeprosiny przyjęte. Ale jeśli byłeś równie czarujący przy Juanie Mendez, to nie dziwię się, że nic wam nie wyszło.

— Słuchaj, staram się naprawić dawne błędy.

Holly milczała przez chwilę.

— Zobaczmy, czy to pomoże. Drummond i Tomez. Miałam swoje podejrzenia, ale chciałam je dokładnie sprawdzić przed wyciągnięciem jakichkolwiek wniosków.

— Drummond to Alistair Drummond — powiedział Buchanan. — Do tego doszedłem sam. Jego nazwisko zna chyba każdy. Jest na tyle bogaty, sławny i potężny, że doskonale tu pasuje.

— Zgadza się. Sprawdziałam dalej, ale to jedyny Drummond, którego według mnie powinniśmy brać pod uwagę. — Holly wyciągnęła z teczki książkę i kilka kartek papieru w przezroczystej kopercie. — Lektura do poduszki. Życiorys Drummonda i kilka świeżych wycinków na jego temat. Dałabym ci jego autobiografię, ale to taka mieszanina samochwalstwa i zafałszowań, że jest praktycznie bezużyteczna. Z całą pewnością nie ujawnia żadnych zabójczych szczegółów, chociaż w przypadku tego pana „zabójczy” mogłoby być właściwym słowem.

— A co z Tomezem? — zapytał Buchanan.

— To było trudniejsze. Sama zdecydowanie wolę Franka Sinatrę.

— Co to ma wspólnego z...

— Jazz. Big bandy. Tony Bennett. Billie Holiday. Ella Fitzgerald.

— Wciąż nie rozumiem, co to ma...

— Słuchałeś ostatnio Pucciniego?

Buchanan spojrział na nią nic nie rozumiejącym wzrokiem.

— Verdi? Rossini? Donizetti? Nic ci to nie mówi? To może tytuły? „Cyganeria”. „Traviata”. „Łucja z Lammermoor”. „Carmen”.

— Opery — powiedział Buchanan.

— Brawo. Opery. Domyślam się, że nie jesteś ich miłośnikiem.

— Cóż, jeśli chodzi o moje zainteresowania muzyczne... — Buchanan zawahał się. — Nie mam żadnych.

— Daj spokój, każdy lubi jakiś rodzaj muzyki.

— Ci, których...

— Co?

— Ludzie, których grałem. Heavy metal. Country and western. Blues. Po prostu nigdy nie miałem okazji udawać nikogo, kto lubiłby operę.

- Buchanan, znowu się ciebie boję.
- Przez ostatni tydzień myślałem o sobie jako o Peterze Langu. On lubi Barbrę Streisand.
- Naprawdę mnie przerażasz.

— Powiedziałem ci, jestem zmienny. — Buchanan — Lang uśmiechnął się nieznacznie. — Ale nikt, kim kiedykolwiek byłem, nie interesował się operą. W przeciwnym razie wiedziałbym na jej temat tyle, żeby wygłosić teraz cały wykład. Co facet nazwiskiem Tomez ma wspólnego z operą?

— Nie facet. Maria Tomez — powiedziała Holly. — Od razu przyszła mi do głowy, chociaż nie byłam tak pewna jak w przypadku Drummonda. Musiałam sprawdzić, czy nie ma jakichś sławnych, bogatych albo potężnych Tomezów, o których bym nie wiedziała. — Wyciągnęła z teczek kolejną książkę i kopertę. — I są tacy, ale nie pasują do naszej sprawy. Maria Tomez — żeby zacytować oświadczenia wydawane przez jej menedżera — to obecnie najbardziej kontrowersyjna, charyzmatyczna i urzekająca mezzosopranistka operowa na świecie. Według mnie jest jedyną kandydatką wartą twojego zainteresowania.

— Skąd ta pewność?

— Ponieważ przez ostatnie dziewięć miesięcy Alistair Drummond i Maria Tomez — pomimo różnicy wieku — stanowili parę. — Holly zawiesiła głos dla efektu. — A dwa tygodnie temu Maria Tomez zniknęła.

## 9

Buchanan nachylił się do przodu.

— Zniknęła?

— Tak twierdzi jej były mąż. Czy ty w ogóle nie czytujesz gazet?

— Ostatnio jakoś nie miałem na to czasu.

— Cóż, dziś rano jej były mąż udał się do głównej komendy policji w Nowym Jorku i zawiadomił, że mniej więcej dwa tygodnie temu Maria Tomez zniknęła bez śladu. Żeby nie potraktowano go jak wariata, wziął ze sobą parę tuzinów dziennikarzy z telewizji i prasy. Wszystko przerodziło się w niezły cyrk.

Buchanan potrząsnął głową.

— Ale dlaczego sądził, że może być potraktowany jak wariat?

— Ponieważ mają za sobą bardzo głośną i nieprzyjemną sprawę rozwodową. On od tamtej pory wyrażał się o niej bardzo źle. Niedawno złożył przeciwko niej pozew, twierdząc, że kłamała na temat swoich zasobów finansowych, kiedy dzielili majątek podczas rozwodu. Twierdzi, że ma prawo do dziesięciu milionów dolarów. Oczywiście policja może pomyśleć, że Maria Tomez zniknęła, żeby uniknąć sprawy sądowej. Ale jej eks-mąż przysięga, że coś musiało się stać.

Holly podała Buchananowi stronę z „Washington Post” z poprzedniego dnia i kserokopię strory z niedzielnego wydania „Post” wcześniejszego o pięć lat. Buchanan przejrzał oba artykuły. Eks-mąż, Frederick Maltin, był agentem, który odkrył Marię Tomez, kiedy ta miała dwadzieścia dwa lata i występowała w „Tosce” w Mexico City. Podczas gdy kilku latynoskich śpiewaków, na przykład Placido Domingo, odniosło sukces w świecie opery, nie udało się to nigdy żadnej kobiecie. Do czasu Marii Tomez. W rzeczywistości pomimo talentu i ognistej osobowości scenicznej, latynoskie pochodzenie działało na jej niekorzyść, ograniczając występy do regionalnych oper, głównie w Ameryce Południowej. Wielkie śpiewaczki tradycyjnie szkolą się w Europie i Stanach Zjednoczonych. To, że Tomez uczyła się w Meksyku, oznaczało, że musiała walczyć z zawodowymi uprzedzeniami, kiedy brała udział w przesłuchaniach w teatrach



operowych Ameryki i Włoch. Jednak Frederick Maltin, który spędzał wakacje w Meksyku, był oczarowany, usłyszawszy śpiew Marii. Po przedstawieniu wysłał do jej garderoby bukiet kwiatów i wizytówkę ze swoim numerem telefonu w Mexico City. Kiedy zadzwoniła do niego następnego ranka, uznał za znamienne, że zrobiła to osobiście. Albo nie ma agenta, albo ma, lecz nie ufa mu na tyle, żeby powierzyć prowadzenie tak ważnej rozmowy. Używając slangu z branży: była „wolna”.

Maltin zaprosił ją na lunch. Kontynuowali rozmowę po próbie i później, Przy kolacji, po wieczornym przedstawieniu „Rigoletta” w innej operze.

Harmonogram występów Marii był wówczas bardzo wyczerpujący. Maltin przysiągł jednak, że jeśli zostanie jej agentem, to wszystko zmieni się diametralnie. Obiecał, że zrobi z Marii Tomez światową gwiazdę. Że będzie występowała tylko wtedy i tylko tam, gdzie będzie chciała. W ciągu dwóch lat zrealizował swoją obietnicę.

Wkrótce wzięli ślub, a Maltin, pracując niestrudzenie na konto żony, udzielał rad w zakresie strojów, fryzury i makijażu, nalegał, żeby schudła, angażował specjalistów od baletu, aby nadali jej sylwetce odpowiednią ekspresję, przypominał się wszystkim znanym osobistościom w świecie opery, jednym słowem promował Marię Tomez jako pełną pasji śpiewaczkę, kontynuatorkę tradycji Marii Callas i Teresy Stratas. Pierwsza była Włoszką, druga Greczynką, a geniusz Maltina polegał na tym, że ze słabości swojej klientki uczynił jej siłę, sprawiając, że widzowie zaczęli kojarzyć Marię Tomez z tymi dwiema divami. Latynoskie rysy przestały być wreszcie obciążeniem. Europejska publiczność z czystej ciekawości przychodziła, żeby posłuchać śpiewu. Zafascynowana — zostawała. Pełna entuzjazmu, przybywała na jej następne występy. Od czasu gdy Frederick Maltin skończył pracę nad tworzeniem publicznego wizerunku żony, przedstawienia z udziałem Marii Tomez były zawsze wyprzedane do ostatniego miejsca.

Buchanan pomasaował pulsujące bólem czoło.

— Ten Maltin wygląda mi na skrzyżowanie Svengalego i profesora Henry Higginsa.

— To dlatego załamało się ich małżeństwo — odparła Holly. — Nieustannie ją kontrolował. Nadzorował wszystko, co robiła. Zdominował Marię tak bardzo, że czuła się przytłoczona. Wytrzymała tak długo, jak długo mogła, a po piętnastu latach nagle od niego odeszła. Jakby coś w niej pękło. Przestała występować. Żyła w ukryciu, głównie przebywając sama, czasem tylko pojawiając się publicznie.

— To zaczęło się... — Buchanan sięgnął po artykuł, żeby odświeżyć sobie pamięć. — Rozwiedli się pół roku temu, kilka miesięcy po tym, jak poznała Alistaira Drummonda. Ale dlaczego stosunkowo młoda kobieta — ile ma teraz, trzydzieści siedem lat? — miałyby wybrać mężczyznę po osiemdziesiątce?

— Może Drummond niczego od niej nie żąda. Wiem, że to wydaje się do niego niepodobne. Ale może chce tylko dać jej schronienie w zamian za przyjemność przebywania w jej towarzystwie.

— Żyła więc w ukryciu, a teraz jej eks-mąż twierdzi, że zniknęła zupełnie. — Buchanan zmarszczył brwi. — Może się mylić, a może kłamać. Jest w końcu specjalistą od reklamy. Może robi takie zamieszanie, żeby zmusić Marię Tomez do ponownego podziału majątku.

— A może coś naprawdę jej się stało.

— Ale co? — Buchanan zaczynał się niecierpliwić. — I co to wszystko ma wspólnego z Juaną? Czy Juana ją ochraniała? Czy ukrywają się gdzieś razem — A może... — Chciał powiedzieć „nie żyją”, ale słowa uwięzły mu w gardle.

Magle rozległo się pukanie. Buchanan odwrócił się błyskawicznie.

— Kelner — powiedział męski głos z korytarza. Buchanan odetchnął.

— Okay. — Zerknął na Holly i ściszył głos. — Na wypadek kłopotów zabierz torbę i teczkę do łazienki i schowaj się w szafie.

Holly spojrzała na niego z niepokojem.

— Myślę, że wszystko będzie w porządku. To tylko środek ostrożności — powiedział Buchanan. — Masz, nie zapomnij o płaszczu i kapeluszu.

— Już raz pytałam. Jak znosisz takie życie?

Po zamknięciu szafy Buchanan podszedł do drzwi pokoju i wyglądając przez wizjer, zobaczył zniekształcony obraz mężczyzny w hotelowym uniformie i wózka z jedzeniem stojącego obok.

Buchanan nie miał już pistoletu. Po przejechaniu z nim z Fort Lauderdale do Waszyngtonu, Nowego Orleanu i San Antonio, musiał w końcu wyrzucić go do kanału ściekowego. Jego nauczyciele zawsze powtarzali z naciskiem — nigdy nie zatrzymywać broni, którą popełniono przestępstwo. Poza tym napięty plan, który sam sobie narzucił, zmusił go do udania się do Waszyngtonu zwykłym rejsowym samolotem, a nie miał zamiaru ryzykować, że zostanie złapany z pistoletem na lotnisku.

Gdy, ukrywając napięcie, otwierał drzwi — jedyną jego bronią było własne ciało.

— Przepraszam, że tak długo to trwało.

— Nic się nie stało, sir.

Mężczyzna wtoczył wózek do środka. Minutę później zamienił wózek w stół i ustawił jedzenie. Buchanan podpisał rachunek i dodał piętnastoprocentowy napiwek.

— Dziękuję, panie Duffy.

— Nie ma za co.

Zamknął drzwi za kelnerem. Rozluźnił się i odetchnął. Holly wyszła z szafy. Twarz miała napiętą.

— Mam wrażenie, że pracując w tym zawodzie nie możesz sobie pozwolić na zaufanie komukolwiek.

— Nauczyłem się tego wcześniej — albo ktoś jest w twoim zespole, albo nie.

— A jeśli nie?

— Niewinni gapie nie istnieją.

— Cyniczne.

— Praktyczne.

— A co ze mną?

Trwało długo, zanim Buchanan odpowiedział.

— Ty nie jesteś gapiem.

## 10

Buchanan zamówił dla nich obojga *pasta primavera*. Teraz, zamiast jeść spojrzął na zegarek i stwierdziwszy, że jest dziesiąta, poszedł zadzwonić. Przed opuszczeniem San Antonio razem z Pedro Mendezem wybrali automat niedaleko miejsca, gdzie Pedro pracował. Buchanan poinstruował Pedra żeby czekał przy automacie o dziewiątej — dziesiątej waszyngtońskiego czasu! Wróg nie był w stanie przewidzieć kontaktu i założyć podsłuchu na linii z której Buchanan chciał skorzystać, żeby upewnić się, czy nie było kłopotów po uwolnieniu więźniów.

Pedro miał mówić po angielsku, gdyby ktoś stał nad nim z pistoletem. Ku uldze Buchanana użył hiszpańskiego.

— Były jakieś problemy? — zapytał Buchanan.

— Nie. Mężczyźni dopełnili warunków umowy — odparł Pedro. — Kiedy ich wypuściłem, nie skrzywdzili nas.

Buchanan rozumiał, jakiej odwagi wymagało od małżonków wywiązanie się z tej umowy.

— Nie sędę jednak, żeby byli daleko — powiedział Pedro. — Myślę, że są w pobliżu i obserwują nas.

— Też tak myślę — odparł Buchanan. — Nie wierzyłem im zupełnie, kiedy mówili, że wyjadą z miasta. Nie usuwaj mikrofonów z domu, Pedro. Rób wszystko tak jak zwykle. Chronią cię dwa fakty: oni wierzą, że naprawdę nie macie pojęcia, gdzie jest wasza córka, a po drugie potrzebują was żywych i w dobrym zdrowiu na wypadek, gdyby Juana próbowała się z wami skontaktować. Jeśli was skrzywdzą, zniszczą potężne ogniwo połączone z Juaną. Pedro, chcę zadać ci jedno pytanie. Może to mieć coś wspólnego z Juaną, ale chcę, żebyś się dobrze zastanowił, zanim pozwolisz mi je zadać. Bo jeśli odpowiedź pomoże mi wyjaśnić, dlaczego Juana zniknęła, to znajdziesz się w niebezpieczeństwie. Będziesz w posiadaniu dokładnie tej informacji, której potrzebują tamci ludzie.

Na linii na moment zapanowało milczenie.

— Nie mam wyboru — powiedział Pedro. — Jeśli tu chodzi o moją córkę, jeżeli możesz jej pomóc, to zrobię wszystko, żeby odpowiedzieć na twoje pytanie.

Szacunek Buchanana dla Pedra wzrastał.

— Czy nazwisko Maria Tomez cokolwiek dla ciebie znaczy? Czy Juana je znała? Czy Maria Tomez ma cokolwiek wspólnego z...?

— Ależ oczywiście — rzekł Pedro. — To ta słynna śpiewaczka. Nie znam się na operze, ale widziałem jej występ. To było rok temu, przyjechała do San Antonio, żeby zaśpiewać w HemisFair. — Pedro miał na myśli jedną z największych atrakcji turystycznych San Antonio, siedzibę targów światowych z roku 1968, zamienioną na kompleks kulturalno-sportowy i połączoną z miastem za pomocą kanału. — Pamiętam, ponieważ to był jeden z niewielu przypadków, kiedy Juana powiedziała nam cokolwiek na temat swojej pracy. Wynajęto ją, żeby zapewniła ochronę występu. Dała nam wtedy bilety do pierwszego rzędu. Nie chciałem iść, ale Anita mnie przekonała i ku mojemu zaskoczeniu bardzo mi się podobało. Nie pamiętam tytułu opery. Chodziło o studentów mieszkających w slumsach. Maria Tomez grała osobę umierającą z powodu choroby. Słowa były włoskie, ale hiszpański jest na tyle podobny, że wszystko rozumiałem. Maria Tomez śpiewała jak anioł. Byłem oszołomiony. Ale co to ma wspólnego z Juaną i tym, co się z nią stało? Jak śpiewaczka operowa, która przyjechała tu rok temu, miałaby...

— Jeszcze nie wiem. Słuchaj uważnie, Pedro. Od czasu do czasu spróbuję zatelefonować do ciebie do pracy, żeby upewnić się, czy nikt cię nie niepokoi. Użyję nazwiska Ben Clark. Zapamiętasz to? Ben Clark. Zapytam o forda, którego rzekomo reperujesz. Jeśli odpowiesz mi, że cena naprawy wzrosła, będę wiedział, że masz kłopoty i przyjadę jak najszybciej, żeby ci pomóc.

— ...Ben Clark.

— Tak. Uważaj na siebie, Pedro.

— Jeffie Walker, kimkolwiek jesteś, dziękuję ci.

Dobrze powiedziane, pomyślał Buchanan odkładając słuchawkę — kimkolwiek jestem. Kiedy się odwrócił, ujrzał, że Holly mu się przygląda.

— O co chodzi? Dlaczego tak na mnie patrzysz?

— Ben Clark? Ford? W tym pokoju jesteś Charlesem Duffy. Na dole będziesz Mikiem Hamiltonem. Wspominałeś coś o Peterze Langu. A do tego wszystkiego... Jak, u diabła, udaje ci się to spamiętać?

— Czasem sam się zastanawiam. — Żeby uniknąć dalszych pytań, usiadł i zaczął jeść, dopiero teraz zdając sobie sprawę, jak bardzo jest głodny. Makaron zdążył wystygnać. Nieważne. Jadł i jadł. Holly odłożyła widelec.

— Jesteś w ciągłym ruchu, od czasu gdy wyszedłeś ze szpitala.

Buchanan jadł dalej, próbując nie zwracać uwagi na ból głowy.

- Nie sądzisz, że powinieneś zwolnić?
- Nie mogę. Kiedy tylko skończymy jeść, zabiorę cię stąd. Potem muszę wybrać się w podróż.
- Dokąd?
- Lepiej, żebyś nie wiedziała.
- Nie ufasz mi? Po tym, jak ci pomogłam? Powiedziałeś, że jestem w zespole.
- To nie kwestia zaufania. To, czego nie wiesz, nie może ci zaszkodzić — I nie zaszkodzi mi, jeśli...
- Chcesz powiedzieć, że gdybym była przesłuchiwana, nie zdradzę twojego następnego ruchu. Buchanan przełknął kawałek chleba i spojrzał na nią.
- Ludzie, którzy cię obserwują, nie mają nic wspólnego z tym, co przydarzyło się Juanie. Ale jeśli zobaczą nas razem, to pomyślą, że wróciłaś na trop swojej historii, i zrobią wszystko, żeby się chronić.
- Znowu zaczynasz.
- Co?
- Znowu mnie przestraszyłeś. Akurat kiedy poczułam się normalnie, przypominasz mi, że...
- Nic nie jest normalne.
- Tak. Stale o tym zapominam.

## 11

Buchanan zszedł z Holly po schodach ewakuacyjnych na trzecie piętro. Miała zjechać stamtąd windą na parter. W ten sposób, gdyby ktoś obserwował cyferki nad windą w holu, pomyślałby, że Holly cały wieczór spędziła w pokoju Mike'a Hamiltona na trzecim piętrze.

— Jeśli ktokolwiek będzie próbował cię zatrzymać, zagroź, że zadzwonisz po policję. Ale jeśli sprawa okaże się poważniejsza, podaj im parę prawdziwych faktów. Powiedz, że przygotowujesz artykuł na temat zniknięcia Marii Tomez i jej związku z Drummondem. Jeśli będą pytać cię o Hamiltona, powiedz, że to poufne źródło informacji, ktoś, kto pracuje dla Drummonda, dodaj, że to on skontaktował się z tobą używając fałszywego nazwiska. Jest niezadowolonym pracownikiem. Chce narobić kłopotów Drummondowi, ale nie życzy sobie, żeby ktokolwiek dowiedział się o jego roli. Jak na razie nie był zbyt przydatny.

Na trzecim piętrze Buchanan dał Holly znak, żeby poczekała. Wyjrzawszy ostrożnie na korytarz, cofnął się, a jego twarz była tak zatroskana, że Holly zmarszczyła brwi.

Gestem kazał jej iść za sobą.

— Musimy się śpieszyć. Dwaj mężczyźni stoją przed drzwiami pokoju Mike'a Hamiltona.

Przed opuszczeniem pokoju 512 Buchanan spakował swoje rzeczy, upewnił się, że książki i materiały od Holly są w torbie podróżnej, i wypełnił formularz wymeldowania, kładąc go na łóżku. Krótki list wyjaśniał, że Mike Hamilton wymeldowuje się również, a wszystkie opłaty pokryto z karty kredytowej Charlesa Duffy'ego.

— Nie chcę, żeby szukało mnie więcej osób niż to konieczne. Szybko. Chodźmy.

Zbiegli po schodach do wyjścia prowadzącego do holu.

— Poczekaj, aż jacyś ludzie będą wychodzić z windy. Idź za nimi. Gdzie mieszkasz? — Powiedziała mu. — Ja wyjdę minutę po tobie. Wezmę taksówkę i jeśli nie będę śledzony, każę kierowcy przejechać obok tego miejsca. Do tego czasu powinnaś już być w domu. Zostaw włączone światło w oknie frontu. Jeśli okno będzie otwarte, to znaczy, że wszystko jest w porządku.

— Taksówka? Mam tu samochód.  
— A zatem dotrzesz tam szybciej. Winda się otwiera. Teraz.  
Dotknęła jego policzka.  
— Bądź ostrożny.  
Buchanan jeszcze przez długą chwilę czuł dotyk jej palców.

## 12

— Buchanan!  
To chyba zmęczenie.  
— Buchanan!

Albo wynik rozmowy z Holly. Chociaż przyjechał do Waszyngtonu myśląc o sobie jako o Peterze Langu udającym Charlesa Duffy'ego i Mike'a Hamiltona, podczas rozmowy z Holly zdekoncentrował się i pozwolił powrócić podstawowej tożsamości, tej, przed którą próbował uciec.

— Buchanan!

Tak więc kiedy szedł teraz zalaną deszczem ulicą i usłyszał, jak ktoś woła go po nazwisku, nieomal odwrócił się instynktownie.

Prawie natychmiast zdając sobie sprawę z popełnionego błędu, uczynił ledwo dostrzegalny ruch głową, jakby chciał się obejrzeć. Jego prześladowca nie potrzebował niczego więcej.

— Tak, ty! Buchanan!

Szedł dalej, nie zwalniając kroku, starając się wyglądać obojętnie, mimo odczuwanego napięcia i zdenerwowania. Usłyszał za sobą szybkie kroki na mokrym chodniku. Miał wrażenie, że idzie za nim tylko jedna osoba, lecz nie śmiał spojrzeć do tyłu, żeby przekonać się, czy ma rację.

Dochodziło wpół do jedenastej. Ruch na ulicy był niewielki, czasem tylko światło reflektorów przebijało się przez kłęby mgły unoszącej się w wilgotnym powietrzu. Po wyjściu z hotelu rozejrzał się ukradkiem na boki, sprawdzając, czy on lub Holly są obserwowani. Nie widząc nic podejrzanego, skręcił w Massachusetts Avenue i ruszył na południe w stronę Dwudziestej Pierwszej Ulicy.

Teraz z bijącym sercem zdał sobie sprawę, że Dwudziesta Pierwsza jest jednokierunkowa i wszystkie samochody jadą na południe, w tym samym kierunku co on. Bez oglądania się za siebie nie mógł stwierdzić, czy jakiś samochód zbliża się do niego. Gdyby się jednak obejrzał, jego prześladowca utwierdził się w swych podejrzeniach. Prześladowcy. Kolejne spieszne kroki dołączyły do pierwszych.

— Do diabła, Buchanan! — zawołał inny głos.

Był tuż za nim, wystarczająco blisko, by jego właściciel mógł zaatakować. Nie mając innego wyjścia Buchanan obrócił się, widząc dobrze zbudowanego, krótkowłosego, dwudziestoparoletniego mężczyznę zatrzymującego się nagłym, obronnym geście.

Był jednak za wolny. Buchanan uderzył go prawą pięścią w pierś. Cios był mocny, lecz kontrolowany, mający wytrącić mężczyznę z równowagi, nie łamiać jednak żeber.

Mężczyzna zatoczył się do tyłu i zrobił mocny wydech, żeby zneutralizować skutki uderzenia. Ta wyćwiczona reakcja i opór, jaki wyczuł zadając cios, upewniły Buchanana, że mężczyzna nie jest cywilem. Kiedy stracił na moment równowagę, Buchanan wyrzucił do góry prawą nogę i uderzył gołeniami w prawe udo mężczyzny. W tym miejscu biegł jeden z głównych nerwów. Cios powodował nie tylko ból, lecz także czasowy paraliż kończyny.

Tak jak przewidywał, mężczyzna jęknął i upadł na ziemię trzymając się za nogę. Teraz musiał zająć się drugim napastnikiem, który biegł w jego stronę przeklinając i sięgając za pazuchę wiatrówki. Cisnął w niego swoją podróżną torbę, co zmusiło go do zrobienia uniku i zasłonięcia się jedną ręką. Zanim mężczyzna zdążył wyprostować się ponownie i wyciągnąć broń, skoczył ku niemu i mocnym ciosem uderzył krawędzią dłoni w podstawę nosa, łamiąc przegrodę. To musiało osłepić mężczyznę i wywołać piekący ból. Buchanan uderzył jeszcze łokciem w splot słoneczny i wyrwał mu pistolet.

Potem odwrócił się błyskawicznie, chwycił próbującego wstać pierwszego napastnika i pchnął go z całej siły na latarnię. Głowa agenta z głuchym dudnieniem uderzyła o metalowy słup. Buchanan spojrział znowu na tego, który leżał na chodniku, próbując oddychać przez zakrwawiony, złamany nos.

Gdyby to była prawdziwa walka, zabiłby ich obu. Teraz jednak nie chciał dopuścić, by incydent stał się jeszcze poważniejszy. Jeśli wyeliminuje ludzi pułkownika, ich następcy otrzymają rozkaz, żeby go zabić, a nie tylko obezwładnić. A może ci dwaj też mieli go zabić? Jeżeli nie, to dlaczego drugi z nich sięgał po broń?

Z rogu Massachusetts Avenue i Dwudziestej Pierwszej, skąd przyszedł, gapiała się na niego para dobrze ubranych staruszków. Kobieta wyciągnęła drżącą rękę i krzyknęła przenikliwie.

Buchanan chwycił swoją torbę i pobiegł pędem. Ale nie ze strachu przed policją, lecz na widok dwóch mężczyzn, którzy wybiegli zza rogu w odpowiedzi na krzyk kobiety. Widząc Buchanana popędzili w jego stronę, a ich klatki piersiowe były równie umięśnione, ramiona równie szerokie jak u mężczyzn leżących na chodniku.

Buchanan przyśpieszył, czując, że za chwilę pozrywa sobie szwy w ranie po nożu. Nie miało to znaczenia. Ci, którzy go ścigali, trzymali pistolety w rękach. Nie kazano im go śledzić. Byli zabójcami.

Czy zrobili coś Holly?

Nie mógł teraz o tym myśleć. Musiał walczyć o życie. Najpierw należało wydostać się z tej przeklętej jednokierunkowej ulicy, na której miał odslonięte plecy. Zbliżając się do P Street, zaryzykował spojrzenie do tyłu i w lewo, zobaczył przerwę między jadącymi samochodami i wskoczył w nią, mając nadzieję, że samochody go ochronią, gdyż zauważył, że dwaj mężczyźni podnoszą broń. Zatrąbił klakson. Zapiszczały hamulce. Wpadł na chodnik po przeciwległej stronie, poślizgnął się na kałuży, lecz utrzymał równowagę, po czym skoczył za róg. Samochody zatrzymały się, osłaniając go, a dwa pociski roztrzaskały okno tuż nad nim.

Zaciskając dłoń na kolbie zdobytego pistoletu, pobiegł jeszcze szybciej. Ulewa zdawała się narastać, noc pociemniała. Ulica była pusta. Deszcz wystraszył przechodniów. Z przodu, po przeciwnej stronie, światło latarni ukazywało małą uliczkę biegnącą na południe, rozdzielającą budynki pomiędzy Dwudziestą Pierwszą a Dwudziestą. Buchanan skierował się w tamtą stronę. Torba krępowiała mu ruchy, ale nie mógł jej porzucić. Nie mógł stracić książek i materiałów, które były w środku.

Z tyłu słyszał przekleństwa, gorączkowe oddechy, szybkie kroki. Uliczka nazywała się Hopkins. Wbiegł na nią z P Street i drgnął, kiedy pocisk uderzył w róg, który mijał. Odwrócił się błyskawicznie, przykleknął i wycelował z ręką opartą o zgięte kolano, próbując opanować drżenie ramienia. Pot na jego czole mieszał się z kroplami deszczu. Wychylił się zza rogu, nie widząc na tyle wyraźnie, by dokładnie mierzyć. Taki sam kłopot mieli również jego prześladowcy. Nacisnął spust trzy razy, a echo strzałów poniosło się po wąskiej uliczce, ogłuszając go.

Mimo to usłyszał stuk łusek uderzających o chodnik i jęk kogoś z mężczyzn, chociaż nie mógł stwierdzić, gdzie poszła kula, gdyż obaj runęli natychmiast na ziemię, strzelając w jego stronę. Pocisk oderwał kawałek muru, który nieomal trafił go w oczy. Buchanan oddał kolejne trzy

strzały w kierunku prześladowców, którzy rozdzielili się przywarowując za zaparkowanymi samochodami.

Nie miał zamiaru wdawać się w nierówną walkę na pistolety. Kiedy tylko mężczyźni zniknęli z pola widzenia, odczołgał się do tyłu, wstał i pobiegł do końca wąskiej uliczki. Odgłos strzałów sprawił, że w mieszkaniach na górze zapaliły się światła. Ludzie nierozważnie wyglądali na ulicę. Buchanan biegł dalej. Usłyszał przybierające na sile wycie syreny. Ktoś na górze otworzył okno. Ktoś krzyknął. Ale jedyne, co go obchodziło, to odgłos pośpiesznych, odbijających się echem kroków z tyłu.

Odwrócił się i widząc dwóch mężczyzn na rogu, który przed chwilą opuścił, znowu wystrzelił dwa razy. Ścigający rozbiegli się i ukryli w bramach.

Pobiegł zygzakiem, by utrudnić im oddanie celnego strzału. Pocisk rozerwał rękaw jego kurtki, następny zagwizdał koło prawego ucha. Nie słyszał jednak strzałów, tylko dziwne, stłumione dźwięki, jakby ktoś uderzał dłońmi w poduszkę. Mężczyźni założyli tłumiki na lufy pistoletów. Tym bardziej ogłuszający był huk jego broni, kiedy odwrócił się i wystrzelił ponownie. Nowe światła zapalały się w mieszkaniach na górze. Wycie syreny było coraz bliższe, coraz głośniejsze. Dołączyło się do niego jeszcze jedno.

Wybiegł z wąskiej uliczki, popędził w zacinającym deszczu na drugą stronę O Street i skręcił w lewo w stronę Dwudziestej. Doznał ulgi, że na moment znalazł się poza linią strzału, ale zdrętwiał zaraz, kiedy z tyłu zajaśniały reflektory samochodu. Stał na środku ulicy i nie wiedząc, w którą stronę uskoczyć, obrócił się, a światła znalazły się dokładnie na wprost niego. Zapisały hamulce. Samochód nie zdążyłby jednak zatrzymać się na czas. Buchanan skoczył do przodu, na maskę wozu, ślizgając się w bok, żeby zneutralizować siłę uderzenia, i przycisnął twarz do szyby. Był zaskoczony widząc rude włosy siedzącej za kierownicą Holly McCoy.

Jej twarz była wykrzywiona w bezgłośnym krzyku. Potem wycieraczka uderzyła go policzek i musiał poderwać głowę. Spojrzał ponad dachem samochodu i ujrzał dwóch strzelców u wylotu ulicy. Oddychając gorączkowo uniósł broń i strzelił cztery razy wzdłuż dachu samochodu, na tyle szybko, by mężczyźni cofnęli się za róg.

— Jedź, Holly! Nie zatrzymuj się! Jedź!

Samochód przestał hamować i przyśpieszył. Ślizgając się Buchanan uderzył twarzą w szybę. Obejrzał się przez ramię, widząc, że dwaj mężczyźni dotarli już do Dwudziestej. Będąc na jednokierunkowej ulicy prowadzącej na północ, Holly musiała skręcić w lewo w przerwę między jadącymi w dużych odstępach samochodami. Buchanan ślizgając się na brzuchu poleciał w lewo. Z torbą w lewej ręce i pistoletem w prawej nie mógł się przytrzymać, lecz nawet gdyby miał wolne ręce, na śliskiej masce i tak nie było się czego chwycić.

Samochód wciąż skręcał. Buchanan zsuwał się dalej. Wyobraził sobie upadek na chodnik. Przyciśnij łokcie do ciała. Przeturlaj się. Trzymaj głowę w górze! Nie mógł sobie pozwolić na kolejny uraz głowy. A potem zaczął ześlizgiwać się z prawej strony maski. W ostatniej chwili zahaczył się łokciem o boczne lustro i podkulił nogi. Poczul uderzenie. Lustro wyginało się pod jego ciężarem. Opuścił się niżej, trzymając stopy kilka centymetrów nad chodnikiem. Samochód zahamował. Jego buty dotknęły ziemi. Gdy wóz stanął, lustro pękło, a Buchanan poleciał na twardy beton, lądując w kałuży. Z trudem łapał oddech.

Poderwał się zaraz. Kolejne reflektory świeciły mu prosto w oczy. Miał wrażenie, że słyszy kroki. Potem wyraźnie usłyszał krzyk Holly. Nacisnęła guzik odblokowujący drzwi.

Jednak zamiast sięgnąć ku klamce z przodu, Buchanan otworzył tylne drzwi i wskoczył do środka, zamykając je za sobą. Kładąc się płasko na siedzeniu, krzyknął:

— Jedź, Holly! Jedź!

Posłuchała go. Wpatrując się to przed siebie, to we wsteczne lusterko, próbowała stwierdzić, czy wyjące syreny należą do ścigających ją policyjny0 samochodów. Lecz światła z tyłu poruszały się z tą samą szybkością przedtem, nikt nie strzelał, a syreny cichły w dali stając się coraz mnu niebezpieczne.

— Co się dzieje? — zapytała z rozpaczą.

Gdy skręciła w Massachusetts Avenue, przejechała ćwierć ronda Dupont Circle i ruszyła na południe Connecticut Avenue, Buchanan opowiedział jej szybko, co się wydarzyło, nie wstając jednak z tylnego siedzenia. Zdawał sobie sprawę, że chociaż agenci wiedzą, jakim samochodem jechała Holly, to będą szukali kobiety z mężczyzną, a nie samej kobiety.

Holly miała spocone dłonie.

— Czy jesteś ranny?

— Naciągnąłem sobie parę szwów. — Mówił z napięciem. — Ale jeśli to wszystko, nic mi nie będzie.

— Aż do następnego razu.

— Bogu dzięki, że akurat przejeżdżałaś tą ulicą.

— Nie ma tu żadnego „akurat”.

— Jak to...?

— Kiedy zacząłeś iść Dwudziestą Pierwszą, a oni popędzili za tobą, wbiegłeś pomiędzy dwa samochody na ulicy.

— Tak, ale skąd wiedziałaś, że...

— Drugi samochód, ten, który na ciebie zatrafił, to byłam ja. Kiedy wyruszyłam sprzed hotelu, postanowiłam zrobić rundkę dookoła, żeby sprawdzić, czy nie jestem śledzona.

— Widzę, że się uczysz.

— Chciałam się też przekonać, czy nie masz kłopotów. Jechałam w twoją stronę, kiedy wywiązała się walka, lecz przebiegłeś mi przed maską, zanim zdążyłam zwrócić twoją uwagę. Potem zniknąłeś na P Street. Byłam za tym skrzyżowaniem, więc pomyślałam, że jeśli skręcę w lewo w O Street, to może zauważę cię wybiegającego z Hopkins albo Dwudziestej.

— A gdybym został na P Street?

— Nie wyglądasz mi na człowieka, który uciekałby po linii prostej.

— Naprawdę się uczysz.

— Zwód i ucieczka. — Holly odetchnęła głęboko. — Musiałam iść na wagary, kiedy uczyli nas tego na dziennikarstwie.

— Nie chciałem, żebyś, była w to wszystko zamieszana. Naprawdę nie chciałem. Przepraszam cię, Holly.

— Stało się. Ale ja też jestem winna. Nie powinnam przychodzić na to spotkanie. Mogłam trzymać się z daleka. Jestem już dużą dziewczynką. Od dawna nie pozwalam się kontrolować. Chcesz znać prawdę? Przyszłam w nadziei, że to, co powiesz, umożliwi mi podjęcie pracy nad moim artykułem. Byłam głupia i chciwa. Teraz za to płacę.

— A zatem już rozumiesz, Holly — przemówił z wahaniem Buchanan z tylnego siedzenia. — Zdajesz sobie sprawę, że ponieważ widzieli nas razem, to uznali, że jesteś dla nich niebezpieczna. Wcześniej zakładałem tylko hipotetyczną możliwość, ale teraz twoje życie naprawdę jest zagrożone.

Holly próbowała kontrolować swój oddech.



— Jeszcze z jednego powodu chciałam się z tobą spotkać. Bardzo głupiego. Nie ma to nic wspólnego z artykułem. Po prostu chciałam cię zobaczyć Głupie, co?

W samochodzie zapanowała cisza. Słychać było tylko stukanie wycieraczek i szum silnika. Holly czekała. Wreszcie się odezwała.

— Nie odpowiadaj. Pozwól, żeby to, co powiedziałam, wisiało sobie w powietrzu. Spraw, żebym czuła się jak idiotka.

— Nie. Ja...

— Co?

— Pochlebiasz mi.

— Lepiej powiedz coś bardziej zdecydowanego albo, na Boga, zatrzymam ten samochód i...

— Holly, próbuję ci tylko wyjaśnić, że nie jestem w tym najlepszy. Nie jestem przyzwyczajony, żeby ktoś się o mnie troszczył. — Bezosobowy głos Buchanana dochodził z ciemności tylnego siedzenia. — Nigdy nie byłem wystarczająco długo w jednym miejscu, żeby mogło narodzić się uczucie.

— Raz.

— Tak. Z Juaną. Zgadza się. Raz.

— A ja teraz ryzykuję życie, żeby pomóc ci znaleźć tę kobietę. Wspaniale. Cudownie.

— To o wiele bardziej skomplikowane — zaprotestował Buchanan.

— Nie wiem, co miałoby...

— Nie chodzi tylko o to, że nigdy nie byłem wystarczająco długo w jednym miejscu, żeby mogło narodzić się uczucie. Nigdy nie pozostawałem wystarczająco długo jedną osobą. To nie ja chcę znaleźć Juanę. To Peter Lang.

— Peter Lang? Czy nie mówiłeś kiedyś, że to jeden z twoich pseudonimów?

— Jedna z moich tożsamości.

— Chyba będę wrzeszczeć.

— Nie. Później. Nie teraz. Wydostańmy się z miasta.

— W którym kierunku?

— Na północ. W stronę Manhattanu.

— A co tam jest?

— Frederick Maltin. Eks-mąż Marii Tomez. Jest jeszcze jedna rzecz, którą musimy zrobić.

— Zawieźć cię do lekarza.

— Nie żartuj.

— To nie był żart.

— Zatrzymać się przy budce telefonicznej.

— Zaczynam mieć wrażenie, że to ja potrzebuję lekarza.

## 14

O pierwszej w nocy, na Autostradzie I-95 pomiędzy Waszyngtonem a Baltimore, Holly zatrzymała się na parkingu dla ciężarówek. Buchanan wysiadł i wszedł do budki telefonicznej.

Odebrał mężczyzna.

— Potomac Catering.

— Tutaj Proteus. Chcę rozmawiać z pułkownikiem.

— Nie ma go teraz, ale przekażę wiadomość.

— Powiedz mu, że ja odebrałem swoją. Przekaż mu, że nie będzie więcej żadnych kłopotów. Mogłem zabić tych czterech ludzi dziś wieczorem. Niech zostawi mnie w spokoju. I Holly McCoy również. Powiedz mu, że chcę zniknąć, a moje sprawy z Holly nie mają z nim nic wspólnego. Holly nic o nim nie wie.

— Masz mu sporo do powiedzenia.

— Dopilnuj tylko, żeby to wszystko usłyszał.

Buchanan odłożył słuchawkę, wiedząc, że numer budki pojawił się automatycznie na ekranie telefonu śledzącego w „biurze” Potomac Catering. Gdyby pułkownik nie przyjął wezwania do zawarcia rozejmu, wkrótce dookoła zaroiliby się od jego agentów.

Pośpiesznie wrócił do samochodu, tym razem siadając z przodu.

— Zrobiłem, co mogłem. Ruszajmy.

Gdy Holly wjechała z powrotem na autostradę, Buchanan sięgnął po swoją torbę. Zmrużył oczy z wysiłku.

Zdjął spodnie.

— Hej, co ty robisz? — zapytała Holly.

Miał gołe nogi.

— Przebieram się. Jestem przemoczony do suchej nitki. — W świetle nadjeżdżającego samochodu spojrzął na swoje spodnie. — I krwawię. Miałem rację. Pękło trochę szwów. — Wyjął z torby tubkę maści z antybiotykiem i rolkę bandaża, po czym zaczął opatrywać sobie bok. — Wiesz, co by mi się przydało?

— Normalne życie?

— Trochę kawy i kanapek.

— Pewnie. Piknik.

## 15

Pułkownik zmarszczył czoło i odłożył słuchawkę. Alan — który obserwował go, przysłuchując się rozmowie z drugiego aparatu — również odłożył słuchawkę. Siedzieli w bezpiecznym lokalu pięć przecznic na północ od siedziby „Washington Post”.

Jedynym dźwiękiem mącącem ciszę był cichy szum przejeżdżającego dojazdu.

— Chce pan usłyszeć moją radę? — spytał Alan.

— Nie.

Szczupła twarz pułkownika była wychudła z napięcia i zmęczenia. Puciołowate policzki Alana pokrywał cień zarostu.

— Cóż, i tak jej panu udziele. Buchanan chce odejść. Oferuje rozejm. Niech pan się zgodzi. Nie ma pan nic do zyskania, a wszystko do stracenia.

— A więc taka jest pańska opinia? — zapytał pułkownik sucho. — Nie jestem przyzwyczajony do wysłuchiwanie rad od cywilów, szczególnie kiedy nie rozumieją oni, jak poważne w istocie jest wykroczenie, którego dopuścił się Buchanan. Żołnierz nie może tak po prostu odejść ze swojego oddziału, a z pewnością nie może tego zrobić Buchanan. Za dużo wie. Już panu mówiłem. Konsekwencje jego postępowania mogą być niezwykle groźne. Mówimy tu o kompletnym chaosie.

— A strzelanina na ulicach to nie chaos? Tu nie chodzi o bezpieczeństwo, ale o ambicję. Taki jest skutek, gdy wojsko bierze się do cywilnych operacji wywiadowczych. Nie lubi pan wysłuchiwać rad od cywilów? Cóż, może należałoby przeczytać Konstytucję. Bo to właśnie

powinien pan robić: słuchać rad. Gdyby nie nadzór Agencji, moglibyście robić praktycznie wszystko. To by się panu podobało, prawda? Prywatna armia. Prywatne wojny.

— Proszę stąd wyjść — powiedział pułkownik. — Zawsze gada pan o swojej żonie i dzieciach. Niech pan idzie do domu.

— I odda panu całą kontrolę? W żadnym wypadku. Zostaję tu aż do rozwiązania sprawy.

— A zatem czeka pana długa, ciężka przygoda.

— Niekoniecznie. Musi pan tylko zostawić Buchanana w spokoju.

— Nie mogę! Nie mogę, dopóki jest przy nim ta dziennikarka.

— Ale Buchanan mówi, że ona nie ma nic wspólnego z panem.

— I pan w to wierzy?

— Buchanan nie jest głupcem. Mówiłem o stratach i zyskach. Zwracając się przeciwko panu on nie ma nic do zyskania, a wszystko do stracenia. Ale jeśli będzie go pan ścigał, to stanie się dla pana naprawdę niebezpieczny, a szczerze mówiąc, jest ostatnim człowiekiem, którego chciałbym mieć przeciwko sobie.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

### 1

Buchanan obudził się z bólem głowy potęgowanym przez dokuczliwy hałas. Podniósł się i wyjrzał przez okno. Grupa śmieciarzy opróżniała kosze wrzucając plastikowe worki do wnętrza śmieciarki. Spojrzał na zegarek: ósma rano. Holly jechała Madison Avenue w Nowym Jorku, kierując się na północ.

— Powinnaś była mnie obudzić.

Oślonił oczy przed zamglonym blaskiem słońca.

— Żebyś mógł dotrzymać mi towarzystwa? Nie. Potrzebowałeś odpoczynku. Poza tym nie przeszkadzała mi cisza. Mogłam pomyśleć.

— O czym?

— Zrozumiałam, że nie mogę się wycofać. Przynajmniej do czasu, gdy przekonam twoich ludzi, że ta sprawa nie ma z nimi nic wspólnego. Muszę ciągnąć do przodu.

— Ale nie możesz tego robić bez wytchnienia. Nie jestem jedynym, który potrzebuje odpoczynku.

— Posłuchałam twojej rady.

— Nie pamiętam, żebym ci coś radził.

— Wczoraj wieczorem zapytałam, w jaki sposób udało ci się przejechać z Nowego Orleanu do San Antonio, przy bólu, jaki musiałeś odczuwać. Powiedziałeś, że spałeś na przydrożnych parkingach. Tak więc za każdym razem, po skorzystaniu z toalety, wciskałam blokadę w samochodzie i zamykałam oczy. Miałaś rację. Ludzie tak strasznie hałasują trzaskając drzwiami, a trudno spać dłużej niż parę minut.

— Naprawdę nie wyglądasz, jakbyś prowadziła przez całą noc.

— Cudowne działanie kosmetyków. Co zaś do ciebie, to powinieneś się ogolić, jeśli mamy cokolwiek osiągnąć.

Buchanan potarł szczękę, sięgnął po torbę, wyciągnął jednorazową maszynkę do golenia i zaczął skrobać obsypane zarostem policzki.

— Och! — zawołała Hoily. — Czy to nie boli?

— Łatwo się przywyczaić. Podczas wykonywania zadań często nie ma innego wyjścia.

Niepokoił się, czy aby HoUy nie będzie chciała kontynuować tematu. Nie zrobiła tego, koncentrując się na prowadzeniu.

— Czy została nam jakaś kawa? — zapytał.

— Nie, wypiliśmy całą. Ale skoro o tym mówisz...

Zahamowała przy krawężniku i zostawiając włączony motor pobiegła do kawiarni, by minutę później wyjść z dwoma plastikowymi kubkami kawy i czterema kruchymi ciasteczkami.

— Jesteś świetnym zaopatrzeniowcem.

— A ty bądź nadal świetnym nauczycielem. Od Sherry–Netherland dzieli nas jedna przecznica. Jak chcesz to zrobić?

— Najpierw znajdziemy miejsce do zaparkowania.

— Łatwo powiedzieć.

— Potem postaramy się wypatrzeć ludzi obserwujących apartament Fredericka Maltina.

— Dlaczego ktoś miałby obserwować...

— Żeby rozwiązać nieoczekiwany problem. Nie sądzę, by ktoś spodziewał się, że Maltin narobi takiego zamieszania: dziennikarze, policja, szum wokół zniknięcia Marii Tomez. Ktokolwiek jest odpowiedzialny za to zniknięcie, będzie chciał załatwić sprawę.

## 2

Hotel Sherry–Netherland znajdował się na ukos od Plaża Hotel na Piątej Alei. Dokładnie na wprost były Grand Army Plaża i wejście do Central Parku. Pomimo że była to ekskluzywna dzielnica, tyle ludzi kręciło się po okolicy, że Buchanan i Holly, przybywszy tam godzinę później, bez problemu mogli udawać parę turystów. Listopadowe powietrze było chłodne, lecz przyjemne. Buchanan i Holly przespacerowali się dookoła, podziwiając budynki, sprawdzając wejście do parku, uważnie obserwując okolicę.

— Ktoś może oczywiście śledzić jego apartament z któregoś z okolicznych domów — rzekł Buchanan robiąc zdjęcie drapacza chmur aparatem Holly. — Ale tu, na zewnątrz, nie widzę nikogo podejrzanego.

Usiedli na ławce koło złożonego pomnika Williama Tecumseha Shermana.

— Co teraz? — zapytała Holly.

— Czas na małe przedstawienie. Tyle że zadanie będzie ciężkie.

— Tak?

— Musisz udawać dziennikarkę.

Wcisnęła mu łokieć między zębra.

— Hej, Jezu, uważaj — powiedział Buchanan. — To było prawie tam, gdzie dostałem nożem.

— Sama pchnę cię nożem, jeśli nie przestaniesz zachowywać się w ten sposób.

Zaśmiał się.

— Mam nadzieję, że wzięłaś swoją legitymację dziennikarską.

— Zawsze mam ją przy sobie. Jest w futerale na aparat.

— Cóż, właśnie zostałem twoim asystentem. Nazywaj mnie... Jak się nazywał ten facet, którego wzięłaś ze sobą do Nowego Orleanu?

— Ted.

— Słusznie. Mów mi Ted. Złożymy zawodową wizytę panu Martinowi. Lepiej pozwól swojemu asystentowi ponieść torbę z aparatem.

— Wiesz, nie robisz tego często.

— Czego? Nie noszę twojej torby?

— Nie. Przed chwilą się uśmiechnąłeś.

Poczekali na zielone światło, przecięli Pięćdziesiątą Dziewiątą i ruszyli na północ wzdłuż zatłoczonej Piątej Alei, kierując się ku osłoniętemu wejściu do Sherry — Netherland. Kiwnąwszy głową umundurowanemu portierowi, który łapał taksówkę dla dobrze ubranej, starszej kobiety, Buchanan pchnął obrotowe drzwi i wszedł pierwszy do środka, żeby sprawdzić, czy hol jest bezpieczny.

Delikatne światło rzucało złoty poblask. Kolorowe kwiaty stały w wazonie na stoliku z boku. Z przodu, po prawej, widać było krótki korytarz prowadzący do wind. Po lewej, na wprost korytarza, obok kiosku z gazetami znajdowała się recepcja. Pracownik w uniformie dyżurował w holu, inny stał za kontuarem. Kobieta w średnim wieku z okularami na nosie układała coś przy kasie, w kiosku. Żadnego niebezpieczeństwa, uznał Buchanan, czekając, aż Holly wejdzie do środka i dołączy do niego.

— Tak, sir? — Pracownik w uniformie zbliżył się do nich.

Było typowe, że zwrócił się do mężczyzny, lecz Buchanan, udający asystenta, poprawił torbę na ramieniu i spojrzał pytająco na Holly, czekając na odpowiedź. Holly natychmiast podjęła wyzwanie.

— Jestem dziennikarką — powiedziała, wyciągając swoją legitymację.

Mężczyzna spojrzał na foliowany identyfikator, nie przyglądając się specjalnie. Buchanan miał nadzieję, że zwrócił tylko uwagę na nazwę gazety. Holly nie podała swojego nazwiska i przy odrobinie szczęścia mężczyzna mógł nie zauważyć go na legitymacji.

— Jestem tutaj, żeby spotkać się z panem Maltinem — powiedziała Holly.

— Czy była pani umówiona?

— Nie. Ale jeśli pan Maltin jest wolny, to bylibyśmy wdzięczni za dziesięciminutowe spotkanie.

— Chwileczkę. — Mężczyzna podszedł do kontuaru i sięgnął po telefon, wystukując numer. — Panie Maltin, jest tutaj dziennikarka z „Washington Post”, która chce się z panem zobaczyć. Kobieta z fotografem... Tak, sir. Powiem im. — Odłożył słuchawkę. — Pan Maltin nie chce, żeby mu przeszkadzano.

— Ale wczoraj nie dawał spokoju dziennikarzom.

— Wiem tylko, że nie chce, żeby mu przeszkadzano.

— Proszę jeszcze raz do niego zadzwonić.

— Obawiam się, że...

— Naprawdę, to ważne. Mam informacje na temat jego zaginionej żony.

Mężczyzna zawahał się.

— Będzie bardzo niezadowolony, kiedy dowie się, że nie przekazano mu takiej wiadomości.

Oczy mężczyzny pociemniały.

— Chwileczkę.

Podszedł do kontuaru, sięgnął po telefon, wystukał numer i tym razem mówił odwrócony tyłem, tak że Holly i Buchanan nic nie słyszeli. Kiedy odkładając słuchawkę odwrócił się w ich stronę, wyglądał na zirytowanego.

— Pan Maltin przyjmie panią. Proszę za mną.

Poszli w kierunku rzędu wind. Mężczyzna nacisnął guzik trzydziestego piętra, a gdy wysiedli, poczekał, aż Holly zadzwoni do drzwi Fredericka Maltina. Dopiero kiedy Maltin otworzył i spojrzawszy na nich gniewnie, obcesowo dał im znak, żeby weszli, mężczyzna cofnął się do windy.

Buchanan i Holly minęli Maltina, który niecierpliwym gestem zamknął drzwi i stanął przed nimi pośrodku obszernego pokoju.

Określenie „obszerny” nie oddawało w pełni istoty rzeczy. Wysoki, kwadratowy salon zdołałby pomieścić co najmniej cztery standardowe pokoje. Ściana po lewej i długa ściana na wprost mieściły rząd okien, które zaczynały się na wysokości pasa i bieły w górę aż do sufitu, dając wspaniały widok na Piątą Aleję po stronie południowej i Central Park bezpośrednio na wprost. Meble, zestawione ze smakiem, pochodziły ze sklepów z antykami. Oczom Buchanana ukazały się kryształ i polerowane drewno, kosztowne materie i orientalne dywany, a także wyglądające na autentyczne kubistyczne obrazy. Lśniący fortepian stał w rogu, obok godnej niejednego muzeum kolekcji ceramiki. Nic dziwnego, że Frederickowi Martinowi nie odpowiadały warunki umowy rozwodowej z Marią Tomez. Musiał być przyzwyczajony do luksusów.

— Nie wiem, jakie informacje macie rzekomo na temat mojej byłej żony, ale nie obchodzi mnie to, ponieważ właśnie z nią rozmawiałem.

Buchanan w ostatniej chwili powstrzymał się, żeby nie zacząć zadawać pytań. Ta scena należała do Holly. Ona musiała ją zagrać.

— A zatem musi pan odczuwać ulgę — stwierdziła.

— Oczywiście. Niezwykłą.

Frederick Maltin był mężczyzną średniego wzrostu i wagi, po czterdziestce, z umiarkowaną ilością włosów przetykanych siwizną. Co zaś do reszty jego wyglądu, w żaden sposób nie dałoby się go określić jako umiarkowanego. Gustowne, lśniące czarne buty na cienkich podszewkach i starannie wyprasowany, błękitny dwurzędowy garnitur z delikatnej wełny był wyraźnie zagranicznego pochodzenia, projektowane i szyte na zamówienie.

Oślepiąco białą koszulę i subtelny krawat w prążki zrobiono z pierwszorzędnego jedwabiu. Buchanan nie mógł też nie zauważyć diamentowych spinek w mankietach, kiedy Maltin z przesadną niecierpliwością spojrział na swój wykładany diamentami zegarek Cartiera. Obrączka z szafirem na małym palcu lewej dłoni dopełniała dzieła. Biorąc pod uwagę wszystko razem, ubranie się tego ranka kosztowało go dobre dwadzieścia tysięcy dolarów.

— Pracownik hotelu powiedział, że potrzebujecie dziesięciu minut, ale ja nie mogę poświęcić wam nawet tyle — rzekł Maltin cienkim, władczym głosem.

— Ale chyba chciałby pan podzielić się z prasą dobrymi wiadomościami — powiedziała Holly.

— Wczoraj wywołał pan niezłe zamieszanie twierdząc, że żona zniknęła. Na pewno wszyscy z radością dowiedzą się, iż był to fałszywy alarm.

— Tak — rzekł Maltin — oczywiście. Nie miałem... Ma pani rację. To ważne, żeby pani oraz inni dziennikarze mogli poinformować wielbicieli Marii, że nic jej się nie stało.

— Mówi pan, jakby... Czyżby nie zawiadomił pan jeszcze mediów? — Holly sprawiała wrażenie zaskoczonej.

— Ja... Wiści dopiero do mnie dotarły. Jeszcze dobrze nie ochłonałem. Doznałem takiej ulgi, rozumie pani.

Wyciągnął z kieszonki wiśniową chusteczkę z jedwabiu i otarł sobie nią czoło.

Tak, pomyślał Buchanan, ulgi, akurat.

— Nie miałem jeszcze czasu się zastanowić. Zaplanować czegokolwiek.

— Co powiedziała panu była żona? — zapytała Holly. — Gdzie się podziewała przez ostatnie dwa tygodnie?

— Wypoczywała. Wiem gdzie, ale nie wolno mi zdradzić dokładnego miejsca. Maria chce pozostać tam jeszcze przez jakiś czas. Potrzebuje spokoju. Po ostatnim nieporozumieniu reporterzy opadliby ją jak muchy.

— Cóż, czy nie mógłby pan podać nam przybliżonych choćby informacji na temat miejsca jej pobytu?

— Maria przebywa we Francji. To wszystko.

— Czy wyjaśniła, dlaczego zniknęła?

— Chciała zmienić klimat. A ja, zniecierpliwiony tymi niefortunnymi kwestiami prawnymi, popełniłem błąd, zakładając, że ponieważ nie mogę się z nią skontaktować, to musiało jej się coś stać.

Buchanan ponownie rozejrzał się po pokoju i nagle poczuł nikłą woń dymu papierosowego, a przecież w tym ze smakiem urządzonej sypialni nie było żadnych popielniczek. Ubranie Maltina też nie pachniało papierosami. Buchanana zawsze zdumiewało, że palacze nie zdają sobie sprawy, jak bardzo agresywny jest to zapach. W tym wypadku dym papierosowy Przenikał z jakiegoś miejsca w głębi olbrzymiego apartamentu. A Buchanan był przekonany, że Frederick Maltin nie tylko nie pali, ale i nie pozwala komu palić w swojej obecności, zwłaszcza u siebie w mieszkaniu.

— Przyznam się do czegoś — rzekł Maltin. — Zareagowałem zbyt nerwowo ponieważ Maria nie odpowiadała na moje telefony. Kiedy kilka tygodni temu sprzedała mieszkanie i zniknęła, byłem wściekły, że mnie zignorowała że nie porozumiała się ze mną. Zawsze pytała mnie o zdanie w każdej kwestii. Pomimo rozvodu nie wyobrażałem sobie, że może zachowywać się tak niezależnie. Stąd myśl, że padła ofiarą czegoś złego. Postąpiłem naprawdę głupio.

— Tak — odezwał się Buchanan po raz pierwszy. — Czy będzie panu przeszkadzało, jeśli skorzystam z łazienki?

— Tak, owszem. Proszę zostawić moją łazienkę w spokoju.

— Ale to nagła sprawa. Muszę tam iść.

Buchanan ruszył w stronę drzwi na przeciwległym krańcu pokoju.

— Stop! Co pan sobie wyobraża? — zawołał Maltin gniewnie. — Nie może pan... Proszę się zatrzymać. Proszę się natychmiast zatrzymać!

— Powiedziałem przecież, muszę skorzystać z łazienki.

Buchanan otworzył drzwi, wchodząc do urządzonego ze smakiem, kosztownie ozdobionego korytarza. Maltin pobiegł za nim.

— Jeśli pan nie zawróci, zadzwonię po policję!

Buchanan szedł dalej. Zapach papierosów był coraz silniejszy. Zdawał się dochodzić z...

Otworzył drzwi po lewej i ujrzał wyłożony dębem gabinet. Mężczyzna opierający się o duże, polerowane biurko wyprostował się zaskoczony. Miał trzydzieści parę lat, zwyczajny garnitur, odrobinę nieporządne włosy, niedoczyszczone buty. Z papierosem w ręku zdecydowanie wyglądał na osobę, której Frederick Maltin starałby się unikać.

— Przepraszam — powiedział Buchanan. — Myślałem, że to łazienka.

— Nie ma sprawy — odparł mężczyzna zaskoczony.

Pistolet wystawał spod lewej poły jego marynarki. Żeby go wyciągnąć, musiałby użyć prawej dłoni, ale trzymał w niej papierosa. Pochylił się do przodu, jakby chciał strzepnąć popiół do kosza, lecz zamiast tego rzucił całego papierosa i sięgnął po pistolet.

Za wolno. Buchanan nie chciał, żeby strzały zaalarmowały kogokolwiek w budynku. Zsuwając torbę z ramienia obrócił się, jakby chciał wyjść. Nabierając prędkości, zamachnął się z całej siły torbą, która uderzyła w szczękę mężczyzny z głośnym, ostrym trzaskiem. Ten zatoczył się do tyłu. Oczy uciekły mu w głąb czaszki. Z ust trysnęła krew. Runął z jękiem na perski dywan i uderzył bokiem czaszki w szafkę pełną oprawionych w skórę książek. Potem znieruchomiał nie przestając jednak oddychać.

— Jezu Chryste! — Frederick Maltin, który nadbiegł korytarzem, gapił się teraz zaszokowany na leżącego. — Jezu Chryste, co pan zrobił?

— Ten pan nie chciał chyba, żebym skorzystał z łazienki.

— O Jezu Chryste!

— Tak, rozumiem. Ale Jezus w niczym panu nie pomoże.

Buchanan wyciągnął pistolet. Maltin jęknął, a Holly, z tyłu, drgnęła, podszedł do mężczyzny z wycelowaną bronią i zabrał mu magnum .357. Sprawdził puls, odwrócił mu głowę na bok, żeby nie udusił się własną krwią, po czym wyprostował się, zasmucony.

— Przepraszam za krew na dywanie, Fred. Powinieneś uważać na ludzi, z którymi się zadajesz. Czy też raczej... — zauważył skórzaną teczkę na biurku. — Czy też raczej na tych, z którymi robisz interesy. Ile pieniędzy jest w tej torbie? Pełno w niej studolarowych banknotów. W paczkach po pięć tysięcy. — Buchanan wyjął pieniądze i zaczął układać je w kupki. — Jak sądzisz? Przekonajmy się. Sto tysięcy. Dwieście. Trudno to wszystko upchnąć i ciężko nieść, wygląda na to, że mamy tu okrągły milion dolarów.



Maltin szeroko otworzył usta. Był blady jak papier. Holly, stojąca w korytarzu z tyłu, zaniemówiła, i to nie tylko z powodu pieniędzy.

— Fred, uklęknij.

Maltin zadrżał.

— Dlaczego?

— Po prostu zrób to. Tutaj. — Buchanan minął Maltina, podszedł do Holly i podał jej rewolwer.

— Gdyby Fred próbował wstać, zastrzel go.

Spoglądając złowrogo na Maltina wyszedł na korytarz.

— Ale dokąd idziesz? — zapytała Holly.

— Upewnić się, czy jesteśmy sami.

### 3

Ostrożnie, z pistoletem gotowym do strzału, Buchanan przechodził od jednego pokoju do drugiego, przeszukując je starannie. To, że znalazł jednego mężczyznę, nie oznaczało, że w dalszych częściach apartamentu nie może być ich więcej.

Nie znalazł jednak nikogo. Uspokojony, wrócił do gabinetu, ponownie obejrzał mężczyznę na podłodze, z zadowoleniem stwierdzając, że puls ma regularny, po czym związał mu ręce paskiem z tyłu i odwrócił się do Maltina, któremu pot ściekał po twarzy tak obficie, że nie nadażał go wycierać. Cała jego burgundowa chusteczka była kompletnie mokra.

— Usiądź, Fred. Wyglądasz, jakbyś miał zemdleć. Może ci coś przynieść? Szklankę wody? Trochę brandy? Czuj się jak u siebie w domu, Fred.

Twarz Maltina była szara jak popiół. Oddychając głębiej skinął głową z lekką desperacją.

— Tam. W górnej szufladzie biurka.

Buchanan otworzył szufladę i cmoknął szyderczo.

— Fred, rozczarowujesz mnie. Chcesz mi powiedzieć, że wachasz to winstwo? Nieładnie. Nie wiesz, że rząd prosi, abyś po prostu powiedział „nie”?

Buchanan wyjął z szuflady fiolkę z białym proszkiem i postawił ją na biurku.

— Ale cóż, jako świadomy, pełnoletni obywatel, w zaciszu własnego domu i tym podobne dyrdymały... Obsłuż się sam, Fred.

Maltin spojrzał na niego wściekle, a potem zdjął kapturek z fiolki i wciągnął kokainę najpierw w jedną dziurkę od nosa, a potem w drugą.

— Zostało ci trochę na wardze z tamtej strony, Fred.

Maltin otarł wargę i obliznął palec.

— Świetnie. Nigdy nie marnuj cennego towaru. Czujesz się już lepiej, Fred? Jesteś gotów do rozmowy?

— Ty skurwysynu.

Buchanan spoliczkował go tak mocno, że głowa poleciała Fredowi w bok, a z nosa posypały się resztki kokainy. Odgłos uderzenia brzmiał niczym trzask bicza, a na policzku Maltina pojawił się czerwony ślad ręki.

Holly w zdumieniu podniosła dłoń do ust.

Buchanan uderzył w drugi policzek, tym razem jeszcze mocniej, a głowa menedżera poleciała w przeciwną stronę.

Maltin wybuchnął nagle płaczem.

— Proszę, nie zabijaj mnie — jęknął. — Proszę.

— Nie słuchasz, Fred — rzekł Buchanan. — Chcę porozmawiać. Ta teczka. Te pieniądze. Nikt nie nosi przy sobie tyle gotówki, jeśli chce zrobić coś legalnego. A więc co to jest? Zapłata? Czy właśnie myślałeś o tym, żeby umieścić ten milion w jakimś egzotycznym banku, bez konieczności płacenia podatków? W końcu nie jest rozsądnie zgłaszać fiskusowi posiadanie tego rodzaju pieniędzy? A więc za co ci zapłacono? Na pewno ma to coś wspólnego z twoją eks-żoną. Ponownie zwróciłeś na nią uwagę, i to się komuś nie spodobało. Kazano więc ci się zamknąć, a zachętą było... Cóż, miałeś wybór. Kulka w łeb albo milion dolarów w banku. Ale ty nie jesteś idiotą. Hej, za milion dolarów sprzedałbyś własną matkę. Nieważne, że Maria Tomez ma kłopoty. Rozwiodłeś się z nią, więc niech ta suka sama się o siebie martwi. Tak, Fred? Słuchaj mnie uważnie. Powiesz mi, czy mam rację, albo będę walił, aż ci głowa odpadnie.

Buchanan podniósł rękę, jakby chciał zadać cios, ale Maltin skulił się wołając:

— Proszę, nie, nie, proszę!

— Nie bełkocz, Fred. Pieniądze to zapłata, a my weszliśmy akurat, kiedy odbywała się transakcja. Według umowy i tak miałeś odwołać wszystko przed prasą, a ponieważ nalegaliśmy, postanowiłeś nas wpuścić. Tyle tylko że jeszcze nie opracowałeś sobie tekstu. Co innego w południe, kiedy wezwałeś reporterów, z którymi rozmawiałeś wczoraj, wtedy twój występ byłby już perfekcyjny. Tak, Fred? Tak? — Buchanan zamierzył się ponownie.

Maltin połknął łzy, zabełkotał coś i pokiwał głową.

— A teraz, żeby nasza rozmowa nie zamieniła się w monolog, mam do ciebie pytanie, Fred. Jesteś gotów?

Maltin próbował złapać oddech.

— Kto ci zapłacił?

Maltin nie odpowiedział.

— Fred, mówię do ciebie.

Maltin przygryzł wargi i nie odpowiadał.

Buchanan westchnął i odwrócił się ku Holly.

— Obawiam się, że musisz zostawić nas samych. Lepiej, żebyś tego nie oglądała.

— Drummond — wyskamlął Maltin.

— Co? Znowu mamrocze. Mów głośniej.

— Alistair Drummond.

— No proszę — rzekł Buchanan. — Nowy towarzysz twojej eks-żony. A dlaczego Alistair Drummond miałby płacić ci milion dolarów za to, żebyś nie mówił mediom, że nie możesz jej znaleźć?

— Ja...

— Powiedz mi to, Fred.

— Nie wiem.

— Daj spokój, nie rozczarowuj mnie. Tak dobrze ci szło. Dlaczego Drummond miałby ci płacić? Zastanów się. Rzuć pierwszy lepszy powód.

— Mówię ci, nie wiem!

— Czy kiedykolwiek miałeś złamany któryś z palców, Fred? — Buchanan sięgnął do małego palca prawej dłoni Maltina.

— Nie! Mówię prawdę! — Maltin wyszarpnął swoją rękę. — Nie dotykaj mnie, ty sukinsynu! Zostaw mnie w spokoju! Mówię prawdę! Nic nie wiem!

— Po raz ostatni, Fred, proszę cię, żebyś podał mi jakiś powód.

— Maria zachowywała się kompletnie bezsensownie od czasu, kiedy mnie zostawiła i udała się na ten rejs z Drummondem dziewięć miesięcy temu.

— Rejs? O jakimż to rejsie mówisz, Fred?

— Z Acapulco. Drummond ma siedemdziesięciometrowy jacht. Powiedział Marii, że będzie mogła odpocząć na pokładzie, póki nie skończy się sprawa rozwodowa. Maria mogła nienawidzić mnie jako męża, ale wciąż ufała mi jako menedżerowi. Jednak po tym rejsie w ogóle nie chciała już ze mną rozmawiać. Odwołała wszystkie spotkania. Nie odpowiadała na telefony. Parę razy widziałem ją w Metropolitan Opera albo na balach dobroczynnych, ale goryle Drummonda nie chcieli mnie do niej dopuścić. Do diabła, przez to, że ona nie chce ze mną rozmawiać, ponoszę straty! Poważne straty!

— Rozluźnij się, Fred. Milion dolarów, który ci zapłacono, żebyś przestał się nią zajmować, wystarczy na pokaźną ilość kokainy. Chcesz rady? Gdybym był na twoim miejscu, użyłbym tych pieniędzy, żeby wyjechać w podróż, szybko i daleko. Ponieważ coś mi mówi, że kiedy to zamieszanie się skończy, cokolwiek to jest, Alistair Drummond będzie chciał zagwarantować sobie twoje milczenie, będzie chciał dopilnować, żebyś nie przychodził po więcej pieniędzy, i sprzeda ci taki kokainowy strzał, że już nigdy nie wrócisz na ziemię, jeśli rozumiesz, co mam na myśli, Fred. W gruncie rzeczy dziwię się, że jeszcze tego nie zrobił. Sądzę, że po prostu nie chciał, żeby stało się to tak szybko po tym, jak rozmawiałeś ze wszystkimi dziennikarzami. Byłby to zbyt podejrzany zbieg okoliczności. Ale co się odwlecze, to nie uciecze, Fred. Radzę ci więc zwinąć interes, wyjechać jak najszybciej, zmienić nazwisko i wykopać sobie głęboką norę. Po prostu zapaść się pod ziemię, ponieważ jego ludzie przyjdą po ciebie.

Twarz Maltina była wykrzywiona strachem.

— To do zobaczenia, Fred.

— Ale... — Maltin wskazał na nieprzytomnego mężczyznę na podłodze. — Co z...?

— Z tego, co widzę, masz dwie możliwości. Wymyślić dobrą historię albo zniknąć, zanim facet się obudzi. Musimy lecieć, Fred.

#### 4

— Jezu, nigdy nie widziałam czegoś takiego — powiedziała Holly. Wyszli z Sherry-Netherland, skręcili w prawo z Piątej Alei i teraz szli wzdłuż Central Park South. Samochody trąbiły, gdy turyści wsiadali do ciągniętych przez konie dorożek.

— Idź wolniej — powiedział Buchanan.

Blask słońca niekorzystnie wpływał na jego bolącą głowę.

— Nie powinniśmy wyglądać, jakbyśmy przed czymś uciekali — dodał.

— A nie uciekamy? — zapytała Holly nerwowym szeptem. — Złamałeś szczękę tamtemu facetowi. Obraziłeś Maltina. Jestem pewna, że zadzwonił po policję, kiedy tylko znaleźliśmy się za drzwiami.

— Nie — odparł Buchanan. — Zrobił coś innego: zaczął się pakować.

— Skąd to wiesz? Za każdym razem, kiedy słyszę policyjną syrenę...

— Ponieważ jeśli ty byłaś zaszokowana, to Maltin tym bardziej. Gdyby zadzwonił po policję, zawiadomiłby też służbę hotelową, a przecież nikt nie próbował nas zatrzymać, kiedy wychodziliśmy.

Buchanan pociągnął Holly ku wejściu do Central Parku na Siódmej Alei. Chłodny listopadowy wiatr targał mu włosy.

— Po co tu wchodzimy?

— Na wszelki wypadek. Skręcimy na tamtej ścieżce i wrócimy tą samą drogą, którą przyszlismy, żeby dowiedzieć się, czy nas ktoś śledzi. Poza tym jest tu na tyle pusto, że możemy swobodnie rozmawiać. No więc, Maltin był przerażony.

— Nic dziwnego. Sama byłam przerażona. Miałam wrażenie, że straciłeś panowanie nad sobą. Jezu, chciałeś połamać mu palce.

— Nie. Wiedziałem, że nie będę musiał tego zrobić. Ale ty i Maltin uwierzyliście moim groźbom. Czyli przedstawienie się udało.

— Czy wszystko, co robisz, jest wykalkulowane?

— Wolalabyś, żebym naprawdę połamał mu palce? Daj spokój, Holly. To było przecież coś w rodzaju wywiadu.

— Nigdy nie sądziłam, że wywiad może wyglądać w taki sposób.

Buchanan zerknął za siebie, a potem przyjrzał się drzewom i zaroślom po obu stronach ścieżki.

— Nie chodzi mi tylko o groźby — rzekła Holly. — Dlaczego nie przesłuchiwałeś go dalej? Skąd wiedziałeś, że powiedział prawdę?

— Poznałem po oczach — odparł Buchanan.

— Twoje własne wyglądały jak oczy szaleńca.

— Umiem to robić. Dużo ćwiczę. Oczy to najważniejszy atrybut dobrego agenta. Jeśli ktoś wierzy moim oczom, to uwierzy we wszystko.

— To skąd masz taką pewność co do oczu Maltina? Może on też udawał.

— Nie udawał. Znam się na tym. Maltin ma prostą, prymitywną osobowość. Gównno, które rozpada się na kawałki, kiedy tylko pozbawi się go władzy. Nic dziwnego, że Maria Tomez rozwiodła się z nim. Powiedział wszystko, co chciałem wiedzieć. Dalsze pytania byłyby stratą czasu. Wiem już, co musimy zrobić teraz.

— Co?

Opuścili park i znaleźli się w tłumie u wylotu Alei Ameryk.

— Zachowuj się praktycznie — rzekł Buchanan. — Wynajmij sobie pokój w hotelu. Zjedz coś i odpocznij. Poczytaj trochę.

— A potem?

— Potem znajdź jacht Alistaira Drummonda.

## 5

Pojeździwszy metrem i trzema taksówkami, aby upewnić się, czy nie są śledzeni, znaleźli się w tej samej okolicy, od której zaczęli, znajdując wolny pokój w Dorset, w wyłożonym miękkimi dywanami i ciemnym drewnem hotelu na Pięćdziesiątej Czwartej Ulicy pomiędzy Aleją Ameryk a Piątą Avenue. Wyprowadzili samochód Holly z płatnego parkingu i oddali go w ręce garażowego, po czym zameldowali się jako pan i pani Duffy, i udali do swojego pokoju na dwudziestym pierwszym piętrze. Buchanan poczuł się pewniej, kiedy ujrzał, że pokój znajduje się blisko schodów ewakuacyjnych i wind. Było mało prawdopodobne, by coś mogło im się przydarzyć w tak odsoniętym miejscu. Poza tym mieli dostęp do kilku dróg ucieczki.

Zamówili jedzenie do pokoju: kawę, herbatę, sałatki, steki, pieczone aemniaki, grzanki, dużo warzyw, lody. Czekając na przybycie kelnera, Holly wzięła prysznic. Potem to samo zrobił Buchanan. Kiedy wyszedł z łazienki, ubrany w biały hotelowy szlafrok, Holly — również w szlafroku — suszyła sobie włosy.

Wyłączyła suszarkę na widok Buchanana.

— Usiądź — powiedziała. — Ściągnij szlafrok do pasa.

— Co?

— Chcę sprawdzić twoje szwy.

Obejrzała niemal zagojoną ranę po kuli, a potem przesunęła palce w dół badając ranę po nożu.

— Tak, naciągnąłeś sobie kilka szwów. — Wyjęła maść antybiotykową i bandażę z torby podróżnej Buchanana. — Ale chyba nie ma zakażenia. Siedz spokojnie, a ja...

— Ojej.

— Ale z ciebie twardziel. — Zaśmiała się.

— Skąd wiesz, czy nie udaję? Skąd wiesz, że nie próbuję zyskać twojej sympatii?

— Ty testujesz ludzi patrząc im w oczy. Ja mam inne sposoby.

— Tak?

Chwyciła go za ramiona, odwróciła ku sobie i pocałowała.

Pocałunek był długi. Delikatny. Lekkie rozchylenie ust. Próbne wysunięcie języka. Subtelny. Zmysłowy.

Buchanan zawahał się.

A potem, pomimo ostrzeżeń, które podsuwała mu podświadomość, objął Holly ramionami i przytulił ją czując jej kształtne piersi pod materiałem szlafroka.

Jej oddech był słodki, gdy westchnęła z przyjemnością i odsunęła się powoli do tyłu.

— Tak. Zdecydowanie potrzeba ci sympatii.

Teraz z kolei zaśmiał się Buchanan. Nachylił się, żeby pocałować ją ponownie. Przerwało mu pukanie do drzwi.

— Kelner — odezwał się męski głos z korytarza.

— Deprawujesz mnie — powiedziała Holly.

— Co masz na myśli?

— Zaczynam uważać, że twoje dziwne obyczaje są normalne. Spójrz. — Sięgnęła pod poduszkę. — Czyż wszyscy nie potrzebujemy tego, kiedy pojawia się gość nie w porę? Wsadź to do kieszeni szlafroka.

I podała mu jego pistolet.

## 6

Zachodziło słońce, kiedy Buchanan otworzył oczy. Za zaciągniętymi storami zapadał zmrok. Przeciągnął się, delektując uczuciem sytości, przyjemnością spania nago pod gładką pościelą, dotykiem ciała Holly. Wyczerpani miłością, potrzebowali snu jak narkotyku. Holly podobała mu się: jej poczucie humoru, zmysłowe rysy, smukła, wysportowana, pełna wdzięku sylwetka. Ale przecież zawsze uważał, żeby życie osobiste nie przeszkadza mu w pracy, żeby w trakcie wykonywania zadania nigdy nie wiązać się z nikim, w jakikolwiek sposób. To utrudniało jasne myślenie. Zmuszało do...

Do diabła, przecież ty nigdy nie miałeś osobistego życia. Nie było żadnego „ty”, które mogłoby je mieć. Miałeś tylko swoje fałszywe tożsamości.

Dlatego jesteś teraz tutaj. Nie chciałeś wiązać się z Juana, bez względu na to, jak bardzo jej pragnąłeś, a teraz chcesz ją odnaleźć, aby uzyskać przebaczenie. Czy masz zamiar popełnić ten sam błąd, tym razem z Holly?

Co ja, u diabła, robię? — zastanawiał się Buchanan. Szukam jednej kobiety zakochując się w innej?

Zdecyduj się lepiej.

Wstał z łóżka, włożył szlafrok i wziął książki i materiały, które dostał od Holly. Stawiając lampę na podłodze, tak żeby światło nie obudziło dziewczyny, usiadł wygodnie na krześle i zaczął czytać.

Dwie godziny później Holly uniosła głowę, przetarła oczy i spojrzała na niego.

— Cześć. — Uśmiechnęła się ślicznie.

— Cześć.

— Jak się czujesz?

— Jakbym właśnie zobaczył ducha.

— Nie rozumiem.

— Te materiały, które mi dałaś. Chyba wiem, co się dzieje. Trudno mnie wystraszyć, ale to, co odkryłem, sprawiło, że zrobiło mi się zimno.

Holly usiadła prosto.

— O czym ty mówisz?

— Fotografie w tych książkach. Jest w nich coś...

Holly wstała z łóżka, zawiązała szlafrok i podeszła do niego spieszenie.

— Pokaż. — Przyciągnęła sobie krzesło, a potem spojrzała na książkę na jego kolanach. — Jakie fotografie?

— Ta biografia Marii Tomez. Wciąż mam jeszcze sporo do końca, ale wynika stąd, że Frederick Maltin nie tylko odkrył i wylansował Marię Tomez. On ją również dosłownie stworzył.

Holly spojrzała na niego z zaciekawioną, czekającą na dalszy ciąg.

— Nigdy nie widziałem żadnego jej występu — powiedział Buchanan — ale z tego, co rozumiem, Maria Tomez śpiewa nie tylko dobrze, ale i z pasją. Taką ma opinię, śpiewaczki ognistej, pełnej uczucia. Krytyk operowy nigdy by tego tak nie ujął, ale mówiąc prosto, Maria Tomez jest...

— Sexy — dokończyła Holly.

— Tak. Ale spójrz na te wczesne zdjęcia. — Buchanan przerzucił kilka kartek. — To jest Maria Tomez na początku swojej kariery. Przed Frederickiem Maltinem. Kiedy śpiewała w Meksyku i Ameryce Południowej i żaden z poważnych krytyków nie zwracał na nią jeszcze uwagi. — Buchanan wskazał palcem zdjęcie niskiej, tęgawej młodej kobiety o smagłej skórze i niepewnym spojrzeniu, szerokim nosie, źle dobranej fryzurze, puciołowatych policzkach i nieco krzywym uśmiechem.

— Ten kok na czubku głowy — powiedziała Holly. — Za luźny kostium, sugerujący, że próbowała ukryć nadwagę.

— Wczesne recenzje jednomyślnie chwalać jakość jej głosu, ale krytycy w sposób bardzo ogólnikowy mówią o jej osobowości scenicznej dając do zrozumienia, że Maria Tomez jest zbyt bezbarwna, by mogła stanowić materiał na prawdziwą gwiazdę.

— Przykre, lecz prawdziwe — zgodziła się Holly. — Wielkie pieniądze zdobywają te kobiety, które oprócz głosu mają jeszcze ów specjalny magnetyzm.

— Tej nocy, kiedy Maltin zobaczył ją w „Tosce” w Mexico City, nazwisko Marii Tomez nie widniało nawet na afiszu. Była stażystką, zastępującą chorą gwiazdę.

— Ciekawe, co Maltin w niej zobaczył.

— Kogoś, kogo można zdominować. Wyrzeźbić i ukształtować. Może gdyby zobaczył ją w innym przedstawieniu, nie przyszłoby mu to do głowy, a tak postanowił wykorzystać nadarzącą się okazję. Jak wynika z tej biografii, nikt nigdy nie zainteresował się nią do tego stopnia. Jej kariera zmierzała donikąd. Co miała do stracenia? Oddała mu siebie. Zgodziła się na absolutne posłuszeństwo.

— I co?

— Spójrz na te następne zdjęcia. Co zauważasz?

— Cóż, jest coraz szczuplejsza. I jej kostiumy starają się to podkreślić. — Holly sięgnęła po książkę, żeby uważniej przyjrzeć się zdjęciom. — Zmieniono jej fryzurę. Włosy są teraz zaczesane do tyłu. Długie i gęste. Rozpuszczone i pełne loków. Nieposkromione.

— Tak jakby wiał przez nie wiatr — powiedział Buchanan. — Jakby stała nad urwiskiem, podczas gdy w dole huczą fale. Jakie to słowo? Burzliwa? Też to zauważyłem. Fryzura nadaje jej wygląd pełen pasji i uczucia. A teraz spójrz na to zdjęcie.

Holly potrząsnęła głową.

— Nic nie... — A potem nagle wskazała palcem. — Jej nos. Został zwężony i wyprostowany.

— A teraz to, zrobione trzy miesiące później.

— Tutaj już naprawdę nic nie widzę — powiedziała Holly.

— Uśmiecha się.

— Tak.

— Czy uśmiecha się na poprzednim?

— Nie.

— A na jeszcze wcześniejszym?

— Nie uśmiecha się na tamtym, ale na pierwszym zdjęciu tak i... O mój Boże... — Holly umilkła na moment ze zdumienia. — Jej zęby. Nie są takie same. Z początku były krzywe, a teraz... Wyprostowała je sobie i założyła koronki.

— A zadbał o to Frederick Maltin — rzekł Buchanan. — Obiecał jej, że w ciągu dwóch lat zrobi z niej gwiazdę. Jednak żaden z biografów nie wspomina, jak wielu fizycznych zmian to wymagało. Na kolejnym zdjęciu, zrobionym znów trzy miesiące później, Maria Tomez ma inne brwi. Na jeszcze innym widać korzystną różnicę w linii czoła i proporcjach twarzy.

— I przez cały czas traciła na wadze — powiedziała Holly z podnieceniem. — Jej kostiumy są coraz bardziej stylowe. Ich krój sprawia, że wygląda na wyższą niż w rzeczywistości. Nosi kosztowne naszyjniki i kolczyki, które doskonale wyglądają na zdjęciach. Te zmiany najbardziej przykuwają wzrok, a przez to inne, bardziej subtelne korekty stają się mniej zauważalne. Są delikatne i bardzo istotne, lecz tak rozciągnięte w czasie, że nikt nie zauważył, do jakiego stopnia Maria Tomez została odmieniona.

— Jej sława wciąż rosła — rzekł Buchanan. — Nie była jeszcze tak bacznie obserwowana jak wtedy, kiedy znalazła się na szczycie, więc wielu zmian można było dokonać niepostrzeżenie, kiedy jeździła po świecie od jednej opery do drugiej. Mimo to spójrz na późniejsze zdjęcia, zrobione w okresie, kiedy była już gwiazdą. Zmiany następują dalej. Tutaj. Czy się mylę, czy też przeszła operację plastyczną powiek, która nadała jej oczom bardziej intensywne spojrzenie? Na tym zdjęciu, czy jej płatki uszne zostały skrócone? Jest w nich coś, co sprawia, że jej twarz staje się bardziej proporcjonalna.

— Nie tylko to, ale także jej piersi wydają się wyższe — powiedziała Holly. — To również może być efekt chirurgii plastycznej. I biodra ma zgrabniejsze. To zdumiewające. Z początku ma się wrażenie, że ona po prostu dorasta i nabiera pewności siebie. Ale myślę, że masz rację. Była rzeźbiona i kształtowana. Frederick Maltin dosłownie ją stworzył.

— Gdy tylko jej ciało zaczęło pasować do pełnych uczucia ról, które miała grać, krytycy od razu zwrócili większą uwagę na jej głos — zauważył Buchanan. — Stała się nagłą sensacją, choć jej wypromowanie zajęło dwa lata i Bóg wie ile wizyt u dentystów i chirurgów plastycznych. I nagle Maria Tomez przestała być niezgrabna na scenie — ponieważ nie wstydziała się już swojego wyglądu. Uczyniono z niej piękną kobietę, a ona uwielbiała, gdy ją podziwiano. Im głośniej klaskali widzowie, tym bardziej Maria ulepszała swoją sceniczną technikę, żeby wywołać jeszcze

większy aplauz. Jej głos rozkwitał. Stała się bogata. Czy raczej ona i Maltin stali się bogaci. Częścią umowy było to, że ma stać się jego żoną. Nie sądzę, by Maltinowi chodziło o to, żeby posiadać ją fizycznie. Chciał raczej nadzorować jej finanse, a mógł robić to lepiej jako mąż, a nie tylko menedżer. Kontrolował ją przez piętnaście lat. Może groził, że ujawni prawdziwą historię jej sukcesu, zdjęcia przed i po, tego typu rzeczy. A potem któregoś dnia na początku tego roku miara się przebrała. Opuściła go wreszcie i spotkała Drummonda na balu dobroczynnym w Monako. Stali się przyjaciółmi, Drummond został jej towarzyszem. Może wydał się jej bezpieczny. W końcu miał tyle lat, że mógłby zostać jej dziadkiem. Pieniądzy miał tysiące razy więcej. Pewnie nie zależało mu na seksie. W gruncie rzeczy wydawało się, że Maria nie może dać mu nic, czego by potrzebował, a jeszcze nie miał. Spotykała się więc z nim dalej, ale fotografowie nie chcieli zostawić ich w spokoju, więc Drummond dał jej szansę zniknięcia i zrelaksowania się, wydostania się spod obiektywów dziennikarzy, nie wspominając już o uwolnieniu się od kretyna, z którym się rozwodziła. Przewiózł ją prywatnym odrzutowcem na jacht zacumowany na zachodnim wybrzeżu Meksyku. Wakacje w jej ojczystym kraju. Została na pokładzie przez trzy tygodnie, wróciła do Nowego Jorku, kupiła apartament zarzuciła śpiewanie, jednym słowem, tak jak Greta Garbo, powiedziała światu, że chce, aby zostawiono ją w spokoju. Dziewięć miesięcy później zniknęła.

Holly zmarszczyła brwi.

— A twoja przyjaciółka, która czasem ją ochraniała, zniknęła również. Co wydarzyło się dwa tygodnie temu? O co tu chodzi?

— Myślę, że to się nie zdarzyło dwa tygodnie temu.

Holly znieruchomiała na moment, a potem się wyprostowała.

— Myślę, że wydarzyło się to na jachcie.

— Co? Wciąż nie rozumiem...

— W kserokopiach artykułów, które mi dałaś, zdjęcia nie są najlepszej jakości. Ale na tej stronie z wczorajszego „Washington Post” fotografie są bardzo wyraźne. Maltin na konferencji prasowej. Niedawne zdjęcie Marii Tomez zrobione podczas jednej z jej rzadkich wizyt na mieście. Ciemne okulary. Nasunięty na czoło kapelusz.

— Powiedz, do czego zmierzasz.

— Wygląda, jakby Maria Tomez zrobiła sobie jakąś operację szczęki. Spójrz, tutaj, ta kość wygląda odrobinę inaczej. A tu zmienił się kształt jej obojczyka.

— Poprawka nosa to jedna rzecz — powiedziała Holly. — Ale operacja szczęki? Zmiana kształtu obojczyka? To bardzo poważne zadania chirurgiczne.

— Właśnie — rzekł Buchanan. — To ostatnie zdjęcie... Nie sądzę, żeby to była Maria Tomez. Im dłużej patrzę... tym bardziej mi się wydaje, że przedstawia Juanę udającą Marię Tomez.

## 7

— Ale jak coś takiego jest możliwe? — zapytała Holly prawie z rozpaczą. Jechali szybko zatłoczoną autostradą. Reflektory błyszczały na przeciwległych pasach. — Pewnie, Montgomery miał sobowtóra w czasie drugiej wojny światowej. Gwiazdy filmu przez cały czas korzystają z sobowtórów. Makijaż teatralny stał się tak realistyczny, że aktorzy mogą w przekonujący sposób zmieniać swój wygląd. Ale Montgomery nie pokazywał się na balach dobroczynnych. Fakt, że kamery filmowe potrafią pokazać wszystko. Ale tutaj chodzi o coś innego. Mówimy o znanej śpiewaczce operowej. Bez względu na to, jak dobry był makijaż, nikt nie potrafiłby podrobić tego jedyne w swoim rodzaju głosu.



— Ale Juana nie musiała tego robić — powiedział Buchanan, wciąż wstrząśnięty swym odkryciem.

Holly wyprzedziła ciężarówkę i przyspieszyła.

— Artykuły z gazet mówią o tym wyraźnie — ciągnął Buchanan. — Maria Tomez przestała śpiewać po urlopie na jachcie Drummonda. Ukryła się w Nowym Jorku i z rzadka tylko pokazywała się na publicznych imprezach, z których żadna nie miała nic wspólnego ze śpiewaniem. W niektórych wywiadach narzeka na zapalenie płuc, wspomina o powracającym zapaleniu krtani. Reporterzy zauważają, że jej głos jest ochrypły. Ponieważ śpiew był jedyną rzeczą, której Juana nie mogła podrobić, rozwiązała problem udając, że ma kłopoty z gardłem. Poza tym obie kobiety są Latynoskami, o tej samej budowie ciała i podobnych rysach twarzy. W końcu Maria Tomez stopniowo zmieniała swój wygląd, więc jeśli nawet Juana nie przypominała jej co do joty, nie zwróciło to niczyjej uwagi. Stanowiła tylko jeszcze jeden przykład nieustannej przemiany Marii. Tak długo, jak długo makijaż Juany gwarantował, że podobieństw jest więcej niż różnic, wszystko było w porządku. Ilu ludzi dobrze znało Marię Tomez? Jej eks-mąż, z którym przestała się widywać, inni ludzie z branży, z którymi również zerwała kontakty, jej otoczenie, które najwyraźniej odsunęła od siebie po wizycie na jachcie. Drummond, który nadal przyjaźnił się z nią po rejsie i zaakceptował ją jako Marię Tomez. Mówimy tu o kobiecie, która z początku strzegła bezpieczeństwa Marii. Juana musiała tylko raz na jakiś czas odebrać parę telefonów, ponarzekać na zaziębienie, pojawić się na moment na balu, dać sobie zrobić zdjęcie i nikt nie miał powodów podejrzewać, że nie jest osobą, którą udaje.

— Nikt poza tobą. — Holly wyprzedziła kolejną ciężarówkę, mrużąc oczy przed światłami nadjeżdżającego z naprzeciwka samochodu. — Ty podejrzewałeś.

— Ponieważ miałem powody. Widziałem pokój z przyborami do makijażu w jej domu, kiedy oglądałem zdjęcia, uderzyło mnie podobieństwo między Juaną a Marią Tomez. To, co zrobiła, było wspaniałe. Nie mogę nadziwić się jej talentowi udawania innych ludzi. Nigdy nie potrafiłbym zrobić czegoś podobnego.

— Pytanie brzmi „dlaczego?” — powiedziała Holly. — Dlaczego Juana udawała Marię Tomez?

— Jedynym wspólnym mianownikiem jest Alistair Drummond. Rezygnacja z kariery, potrzeba ukrycia się pojawiła się po rejsie na jachcie Drummonda. Drummond zaakceptował Juanę jako Marię Tomez i to ktoś pracujący dla niego zapłacił Frederickowi Maltinowi, żeby ten przestał rozmawiać z dziennikarzami o swojej eks-żonie. Zniknięcie... Myślę, że rozumiem — powiedział Buchanan szybko.

Ton jego głosu sprawił, że Holly zadrżała.

— Co?

— Zniknęły dwie osoby.

— Dwie?

— To nie Maria Tomez, ale Juana zniknęła kilka tygodni temu. Drummond robi wszystko, co może, żeby ją odnaleźć. Dlaczego? Ponieważ, jeśli mam rację, to nie Maria Tomez zeszła dziewięć miesięcy temu z pokładu jachtu Drummonda, ale Juana, a Drummond nie chce, żeby ktokolwiek dowiedział się o zamianie.

Holly zacisnęła dłoń na kierownicy.

— Co, na miłość boską, wydarzyło się na tym jachcie?

Lotnisko La Guardia. Aby się tam dostać, użyli samochodu Holly, a nie taksówki, ponieważ po wymeldowaniu się z hotelu Dorset nie chcieli zwracać na siebie uwagi zostawianiem samochodu w hotelowym garażu na długo. Na parkingu zaś przy lotnisku samochody często stały wiele dni.

Musieli się śpieszyć. Niezbędna była odrobina szczęścia przy rezerwacjach i na autostradzie. W końcu udało im się dostać dwa bilety na ostatni lot z La Guardia do Miami i chociaż znaleźli się przy wejściu do samolotu zaledwie sekundy przed czasem, nie miało to znaczenia. Zdążyli.

Podczas lotu oboje byli zbyt spięci, żeby zasnąć. Nie mieli też apetytu. Pomimo to zamówili *lasagne*, które serwowała linia lotnicza, ponieważ musieli nabrać sił.

— Trasa twojej podróży. Cancun, Merida i Fort Lauderdale — powiedziała Holly.

— Nigdy nie przyznałem się, że odwiedziłem którekolwiek z tych miejsc — odparł Buchanan.

— Ale co do reszty nie ma wątpliwości. Waszyngton, Nowy Orlean, San Antonio, ponownie Waszyngton, Nowy Jork, teraz Miami i dalej na południe. Wszystko w dwa tygodnie. Bycie z tobą naprawdę może człowieka wyczerpać, ale dla ciebie to jest normalne.

— Lepiej żebyś się przyzwyczaiła.

— Myślę, że to polubię.

Po powrocie do Dorset Buchanan zastanawiał się, czy macierzystym portem jachtu Drummonda jest to samo miasto, gdzie znajdowała się główna siedziba jego firmy. Wiedząc, że wszystkie duże łodzie muszą przedstawić plan podróży zawierający dystans i kierunek rejsów, Buchanan zadzwonił do Straży Przybrzeżnej w San Francisco. Oficer dyżurny poinformował go jednak, że jacht cumuje gdzie indziej — i że nie mają jego planu podróży Buchanan połączył się więc z głównym biurem Narodowego Stowarzyszenia Pracowników Ubezpieczeniowych w Long Beach w Kalifornii. Ósma wieczorem w Nowym Jorku oznaczała piątą po południu nad Pacyfikiem. Zadzwonił tuż przed zamknięciem biura.

— Nazywam się Albert Drake. — Udawał, że jest podniecony. — Mój brat Rick pracuje na... Boże, nie pamiętam... Tak, na „Posejdonie”. — Buchanan znał nazwę jachtu z artykułów, które dostarczyła mu Holly. — Jacht należy do Alistaira Drummonda. Siedemdziesięciometrowiec. Rick nie zostawił planu podróży, a nasza matka miała atak serca. Muszę skontaktować się z bratem, i nie wiem, kto jeszcze mógłby... Straż Przybrzeżna poradziła, żebym...

Duże jednostki są ubezpieczone tak wysoko, że agenci chcą na bieżąco wiedzieć, gdzie każda z nich się znajduje. Tak więc po dotarciu do najbliższego portu kapitan jachtu Drummonda obowiązany był podać firmie ubezpieczeniowej swoje położenie.

## 9

### *Key West, Floryda*

Po dotarciu do Miami, kilka minut po północy Buchanan i Holly użyli karty kredytowej Charlesa Duffy’ego, aby wynająć samochód, i rozpoczęli blisko trzystukilometrową podróż na południe wzdłuż raf. W trakcie podróży zatrzymywali się, żeby kupić kawę w przydrożnych barach. Prowadzili na zmianę, ostre światło rtęciowych latarni wzdłuż czterdziestu dwóch mostów Autostrady Nadwodnej raziło ich w oczy i potęgowało zmęczenie.

Tuż przed świtem dotarli do celu, najbardziej na południe wysuniętego siedliska ludzkiego w kontynentalnej części Stanów. Key West, długie zaledwie na siedem kilometrów i szerokie na niecałe trzy, miało niemal trzydzieści tysięcy stałych mieszkańców. Jeden z ostatnich bastionów kontrkultury w Ameryce, piaszczysto-koralowa wysepka pozostawała w zgodzie z niekonwencjonalnym stylem życia Ernesta Hemingwaya, który tu niegdyś mieszkał i którego dom

— wraz z licznymi kotami, rzekomo potomkami ulubieńców wielkiego pisarza — stał się zabytkiem narodowym. Atmosfera i architektura miasta stanowiły mieszaninę wpływów karaibskich i kubańskich. Key West słynęło z połowów głębokomorskich i tropikalnej kuchni. Znajdowała się tu baza lotnictwa. Mieszkańcami miasta byli: słynny ornitolog John James Audubon i Harry Truman, a także piosenkarz i pisarz Jimmy Buffet.

Ale Buchanana w Key West interesowała tylko jedna rzecz, więc przesпали się kilka godzin w tanim motelu, który przyjmował gotówkę (Buchanan nie chciał ryzykować ponownego korzystania z karty kredytowej Charlesa Duffy'ego), wykapali się, zjedli i przystąpili do działania. Godzinny spacer po zatłoczonej przystani, gdzie kupili sandały, pulowery z krótkimi rękawami i dżinsowe szorty, pozwolił Buchananowi na zadanie niewinnie brzmiących pytań handlarzom i rybakom. Wkrótce on i Holly mogli stanąć na molo, oprzeć się o barierkę i oddychając wilgotnym, słonym powietrzem przyjrzeć się temu, co stanowiło obiekt ich zainteresowania.

Jacht Drummonda, lśniący bielą na tle błękitnozielonych wód Zatoki Meksykańskiej, stał zacumowany sto metrów od brzegu. Długi na siedemdziesiąt metrów, z trzema pokładami i stanowiskiem dla helikoptera na dachu (maszyna odleciała kilka dni wcześniej, jak poinformował ich jeden z rybaków), powinien był wzbudzać podziw, ale zamiast tego wywoływał uczucie niepokoju i Buchanana pomimo trzydziestostopniowego upału przeszył zimny dreszcz. Smukły profil łodzi wyglądał groźnie, niczym zakrzywione ostrze potężnego myśliwskiego noża. Duża przestrzeń do opalania na rufie, z oknami na górnych pokładach, nasuwała skojarzenia z podglądaczami i ekshibicjonistami. Pomimo błyszczącego bielą kadłuba, nad jachtem zdawała się unosić złowroga, czarna poświata.

— Czasem, kiedy jesteś pogrążony w myślach — powiedziała Holly — twoja twarz i oczy zmieniają się bardzo. Wyglądasz wtedy jak inny człowiek.

— To znaczy jaki?

— Ponury. Zatroškany.

— Żebyśmy się dobrze zrozumieli: ta sprawa nie ma nic wspólnego z Marią Tomez. Tak, chcę się dowiedzieć, co się jej przytrafiło. Ale przede wszystkim chcę wiedzieć, co stało się z Juana. — Oderwał wzrok od jachtu i spojrzał na skonsternowaną Holly. — Wielu rzeczy nie rozumiem. Na przykład tego, co do ciebie czuję. Ale muszę załatwić stare sprawy, zanim rozpocznę nowe. Potem będziemy mogli porozmawiać o wszystkim, co jest między nami.

Holly zastanowiła się nad tym, co powiedział, a potem skinęła głową — jej rude włosy rozwiewał wiatr.

— Nigdy nie zakładałam, że będą jakieś gwarancje. Nigdy niczego nie planowałam. Po prostu szłam za swoimi uczuciami. I dobrze. Rozumiemy się. Róbnmy to, co mamy robić. A zatem, co dalej — skoro znaleźliśmy jacht?

— Zauważyłaś, w jaki sposób rozmawiałem ze sprzedawcami i rybakami? Mała pogawędka, a w niej kilka dobrze dobranych pytań. Twoi rozmówcy zawsze wiedzą, że przeprowadza się z nimi wywiad, podczas gdy moi nie mogą tego wiedzieć nigdy. Niektórzy staliby się śmiertelnie niebezpieczni, gdyby zrozumieli, że wyciąga się od nich informacje.

Holly słuchała z uwagą.

— Myślałem, że się obrazisz, bo pouczam cię, jak należy przeprowadzać wywiad.

— Wiele się już nauczyłam. Dlaczego teraz miałabym przestać cię słuchać?

— Doskonale — odparł Buchanan. — A więc wywiad. — Opowiedział jej o swoim szkoleniu, o tym jak musiał chodzić do barów i nawiązywać rozmowy z obcymi ludźmi, żeby zdradzili mu tak intymne szczegóły, jak numery legitymacji ubezpieczeniowych i dokładne daty urodzenia.

— Jak tyś to robił? — zapytała Holly. — Na miejscu kogoś takiego pomyślałabym, że wtrącaz się w nie swoje sprawy.

— Siadałem koło upatrzonej osoby, wypijałem kilka drinków, nawiązywałem pogawędkę, komentowałem program telewizyjny, który pokazywano w barze, a potem w którymś momencie mówiłem, że dowiedziałem się właśnie czegoś interesującego. „Czego?” — pytał delikwent. Wyciągałem portfel i pokazywałem moją sfałszowaną legitymację ubezpieczeniową. Te liczby nie są wbrew pozorom kolejnymi numerami, lecz zawierają wszelkiego rodzaju informacje, takie jak na przykład miejsce i datę moich urodzin. Proszę spojrzeć, ta oznacza, że urodziłem się w Pittsburghu, a tę grupę numerów przydzielono każdemu, kto urodził się w 1960 roku, ta liczba oznacza miesiąc, a ta... Proszę, pokażę panu. Jaki jest pański numer? Stawiam dolara, że zgadnę, gdzie i kiedy się pan urodził.

Holly potrząsnęła w zdumieniu głową.

— Czy to rzeczywiście prawda?

— Co? Że szkolono mnie w ten sposób?

— Nie. Z numerem legitymacji ubezpieczeniowej.

— A jaki jest twój? Sprawdźmy, czy zgadnę, gdzie i kiedy się urodziłaś.

Holly wybuchnęła śmiechem.

— To działa. Wymyślasz miejsce i datę i żeby udowodnić ci, że się mylisz, osoba, z którą rozmawiasz, podaje prawdziwe dane. Sprytne.

— Wywiad — powtórzył Buchanan — jest sztuką wyciągania informacji tak, by ofiara nie zdała sobie sprawy, że je uzyskujesz. Standardowa metoda używana przez agentów próbujących poznać wojskowe, polityczne i przemysłowe tajemnice. Rozmowa zazwyczaj odbywa się w barach, a ofiarami są najczęściej asystenci, sekretarki, oficerowie niższych szarż, ludzie, którzy czują się sfrustrowani i lubią mówić o swoich zawodowych problemach, pod warunkiem oczywiście, że się ich w odpowiedni sposób zachęci. Kilka drinków. Wykazanie zainteresowania. Jedna informacja prowadzi do następnej. Zazwyczaj trwa to przez jakiś czas, wymaga kilku spotkań, ale można również wszystko zrobić szybko, a dziś nie mamy innego wyjścia, ponieważ muszę dowiedzieć się, co przytrafiło się Juanie. Jeśli nadal żyje... — Głos Buchanana stwardniał.

— Jeśli nadal żyje, muszę jej pomóc.

Holly przyjrzała mu się uważnie.

— Co robimy?

— Ty musisz być tylko taka, jaka już jesteś: seksowna i pociągająca.

Zdawała się nie rozumieć.

— Podczas gdy rozmawialiśmy, motorówka z jachtu Drummonda z trzema członkami załogi na pokładzie płynęła w kierunku brzegu.

Mrużąc oczy od blasku słońca odbijającego się w wodzie Holly powiodła wzrokiem za spojrzeniem Buchanana.

— Zobaczymy, dokąd pójda — rzekł Buchanan. — Może przyjechali do miasta, żeby coś załatwić. Ale może mają wolny dzień. Jeśli pójda do baru...

## 10

— Do diabła, przede wszystkim wcale nie chciałem tu przyjeżdżać — rzekł Buchanan wściekle. — Co ja z tego mam? Za każdym razem, kiedy się zwracam, mrugasz do jakiegoś młodego ogiera z wyprężonymi jajami.

— Mów ciszej — powiedziała Holly.

— Harry ostrzegął mnie przed tobą. Mówił, żebym nie spuszczał cię z oka. Powiedział, że poszłabyś z każdym samcem na tyle dorosłym, żeby mu stawał, a im młodszy, tym lepiej.

— Mów ciszej — powtórzyła Holly z większym naciskiem.

— Widzę, że nie zaprzeczasz. Nie chcesz tylko, żeby wszyscy znali prawdę.

— Przestań — jęknęła Holly. — Wstyd mi za ciebie.

Siedzieli w kącie baru Rafa Koralowa, pomiędzy sieciami rybackimi na jednej ścianie a wypchanym marlinem na drugiej. Mały okrągły stół przykryty był obrusem przypominającym mapę nawigacyjną. Z sufitu zwieszały się żyrandole w kształcie kół sterowych.

Buchanan rozparł się w kapitańskim krześle i jednym haustem przełknął pół szklanki piwa.

— Mów ciszej. Cały czas tylko to powtarzasz. Dobrze. Ja będę mówił ciszej, jeśli ty przestaniesz stale ściągać majtki. Kelner, jeszcze dwa piwa.

— Nie chce mi się pić — zaprotestowała Holly.

— Czy powiedziałem, że zamawiam dla ciebie? Kelner! Zmieniłem zdanie. Chcę whisky z lodem zamiast piwa.

— Wypiłeś już dwa drinki w tamtym barze, Dave. Teraz te dwa piwa tutaj i jeszcze... Jest dopiero południe, na miłość boską.

— Po prostu się zamknij, okay? — Buchanan walnął pięścią w stół. — Będę pił, kiedy chcę. Jeśli przestaniesz wskakiwać do łóżka z każdym...

— Sir — usłyszał czyjś głos — przeszkadza pan innym.

— Wielka mi afera.

— Sir — powtórzył duży, ostrzyżony na jeża mężczyzna z potężnymi mięśniami prężącymi się pod bawełnianą koszulką — jeśli nie zacznie pan mówić ciszej, to będę zmuszony poprosić, żeby pan wyszedł.

— Proś, o co chcesz, koleś, ale ja zostaję właśnie tutaj. — Buchanan dopił piwo i wrzasnął na kelnera: — Gdzie moja whisky?!

Ludzie patrzyli w jego stronę.

— Dave — powiedziała Holly.

Buchanan ponownie walnął pięścią w stół.

— Powiedziałem ci, kurwa, żebyś się zamknęła!

— Okay — rzekł duży mężczyzna. — Chodźmy, kolego.

— Hej! — zaprotestował Buchanan, gdy mężczyzna chwycił go za ramię. — Co do jasnej... — poderwał się i udając, że się zatacza, wpadł na stolik, przewracając szklanki. — Jezu, uważaj na moje ramię. Zaraz je złamiesz.

— Bardzo bym chciał.

Gdy potężny mężczyzna wykręcił mu rękę za plecami i poprowadził go w stronę wyjścia, Buchanan obejrzał się do tyłu na Holly.

— Na co czekasz? Idziemy.

Holly nie odezwała się ani słowem.

— Powiedziałem, idziemy!

Holly wciąż nie odpowiadała. Drgnęła tylko, kiedy Buchanan znowu wrzasnął na nią sprzed wejścia do baru. Powoli uniosła szklankę z piwem, upiła łyk, spojrzała na swoją drżącą rękę, opuściła szklankę i otarła sobie oczy.

— Nic pani nie jest?

Holly podniosła wzrok i ujrzała przystojnego, opalonego, szczupłego mężczyznę po dwudziestce ubranego w biały uniform. Nie odpowiedziała.

— Nie chciałbym się narzucać — rzekł mężczyzna. — Przeszła już pani wystarczająco dużo. Ale wygląda pani na odrobinę zdenerwowaną. Gdybym mógł jakoś pomóc... Czy mogę postawić pani drinka?

Holly ponownie otarła oczy i wyprostowała się, próbując zachowywać się z godnością. Spojrzała przestraszona w kierunku drzwi i powiedziała:

— Tak, proszę.

— Jeszcze jedno piwo dla tej pani.

— I...

— Co?

— Ja... Byłabym wdzięczna, gdyby dopilnował pan, żeby on nie zrobił mi nic złego, kiedy będę wychodziła.

## 11

Buchanan oparł się o barierkę na przystani. Otoczony tłumem turystów i rybaków, mógł niezauważenie obserwować motorówkę tnącą błękitnozieloną wodę. Mijając jachty kabinowe i łodzie pasażerskie, wracała na lśniący białą siedemdziesięciometrowy jacht o trzech pokładach, który stał zacumowany z dala od innych jednostek, sto metrów od brzegu. Słońce miał za plecami, więc nie musiał osłaniać oczu przed jego odbiciem w wodach Zatoki Meksykańskiej. Bez trudu dostrzegł, że pomiędzy trzema członkami załogi wracającymi na jacht siedzi piękna rudowłosa kobieta, i że jeden z mężczyzn pozwala jej położyć dłoń na kole sterowym motorówki.

Gdy weszli na pokład, Buchanan skinął głową, rozejrzał się dookoła, żeby upewnić się, że nie jest śledzony, i odszedł wolnym krokiem. Tak to przynajmniej wyglądało. W rzeczywistości podczas gdy spacerował po przystani Key West, udając, że fotografuje budynki, niepostrzeżenie obserwował jacht, używając teleobiektywu aparatu Holly jako lunety. W końcu dziewczyna mogła wpaść tam w tarapaty, chociaż z uporem twierdziła, że jest w stanie dać sobie radę. Powiedział więc jej, że jeśli wybiegnie na pokład wyglądając na zdenerwowaną, to on jak najszybciej przybędzie z pomocą.

Około piątej motorówka ponownie odbiła od burty jachtu, kierując się w stronę brzegu: tych samych trzech członków załogi i Holly. Zeszła na molo, pocałowała jednego z mężczyzn w policzek, potargała innemu włosy, uściśnęła trzeciego i z wyraźnym zadowoleniem odeszła w stronę miasta.

Buchanan dotarł do ich małego, chłodnego pokoju motelowego na minutę przed nią. Niepokój sprawiał, że czas zdawał się ciągnąć w nieskończoność.

— Jak poszło? — zapytał z troską, kiedy wreszcie się pojawiła.

Holly zdjęła sandały i usiadła na łóżku. Wyglądała na zmęczoną.

— Mieli spore problemy z trzymaniem rąk przy sobie — powiedziała. — Musiałam uciekać im przez cały czas. Czuję się, jakbym przebiegła maraton.

— Chcesz łyk wody? A może trochę owoców?

— Tak, zjadłabym jakiś owoc. Pomarańczę albo... Świetnie. — Wypiła łyk wody mineralnej. — Czy to właśnie nazywasz składaniem raportu?

— Tak. Jeśli pracowałeś.

— A nie? Sprawiasz, że agent, którego zwerbowałeś, czuje się zadowolony i potrzebny. Potem...

— Hej, nie wszystko, co robię, jest wykalkulowane.

— Doprawdy? — Przyglądała mu się przez chwilę. — To dobrze. W takim razie przejdźmy do jachtu. Załoga liczy piętnastu mężczyzn. Na zmianę schodzą na ląd. Drummonda uważają — żeby zacytować jednego z nich — za despotycznego idiotę. Boją się go. Wtedy, kiedy jest na pokładzie. Ale kiedy znika, zaczyna się zabawa, czasem również połączona ze sprowadzaniem kobiet na pokład. Żeby pochwalić się jachtem i odegrać na Drummondzie za sposób, w jaki ich traktuje.

Buchanan położył notatnik i ołówek na podniszczonym stoliku.

— Narysuj plan rozmieszczenia wszystkich kabin na jachcie. Muszę wiedzieć wszystko, gdzie i kiedy załoga je i śpi, każdy szczegół, który przychodzi ci do głowy. Wiem, że jesteś zmęczona, Holly. Przykro mi, ale to chwilę potrwa.

## 12

Zdobycie sprzętu do nurkowania nie stanowiło problemu. W Key West znajdowało się pełno sklepów dla pływaczy. Woda była na tyle ciepła, że normalnie Buchanan nie musiałby wypożyczać izolującego kombinezonu. Nie mógł jednak dopuścić, aby nawet minimalna ilość krwi z gojącej się rany po nożu przedostała się do wody. Tak jak w Cancun, obawiał się rekinów i barakud. Teraz przynajmniej miał czas się przygotować, chociaż jeszcze jeden element obecny w Cancun nadal go niepokoił.

Ból głowy nie ustępował. Czuł się, jakby jego nerwy były napiętymi do granic możliwości skórzanymi rzemieniami. Ale nie mógł pozwolić, żeby ból wpływał negatywnie na jego koncentrację. Musiał działać dalej. Wyruszył o trzeciej, gdy czerń kombinezonu zlewała się z ciemnością nocy. Ramiona trzymał luźno przy bokach i delikatnie poruszał płetwami, starając się nie robić hałasu i nie wywoływać fal na powierzchni wody. Twarz trzymał przeważnie zanurzoną, chociaż poczerzył ją sobie wcześniej, aby nie kontrastowała z ciemną wodą. Gwiazdy błyszczały. Księżyc w pierwszej kwadrze zaczynał właśnie wschodzić. Tyle światła powinno mi wystarczyć, pomyślał, zbliżając się do jachtu.

Potem dotknął łańcucha kotwicy. Uniósł głowę, nie było słyhać kroków ani głosów. Chociaż kombinezon sprawiał, że woda wydawała się jeszcze cieplejsza niż w rzeczywistości, zadrzał bezwiednie. Obejrzał się na światła Key West, pomyślał o Holly czekającej na niego, zebrał siły, zdjął maskę, płetwy i przywiązawszy je do łańcucha, zaczął się wspinać. Powoli, bezszelestnie podciągał się w górę mimo bólu w boku i ramieniu, aż dotarł do miejsca, gdzie łańcuch zniknął w kadłubie. Otwór był za mały, by mógł się precyzyjnie przycisnąć, ale razem z grubym łańcuchem dawał oparcie jego szorstkim gumowym pantoflom. Buchanan złapał równowagę, wyrzucił ręce do góry i chwycił za krawędź dziobu. Następnie podciągnął się i wyjrzał zza burty. Nie widząc nikogo, sprawdził, czy nie ma czujników alarmowych, i przerzucił ciało nad relingiem stając na słabo oświetlonym pokładzie.

Gdy pobiegł, by ukryć się pod osłoną schodów, wiedział, że zostawia za sobą mokre ślady, ale nie mógł nic na to poradzić. Wkrótce woda przestanie z niego ściekać. Na razie musiał korzystać z przewagi, jaką dawał mu czas.

W kilku oknach na górnych pokładach paliły się światła. Schody, korytarze i przejścia również były oświetlone, na tyle jednak słabo, że Buchanan miał gdzie się ukryć. Gumowe pantofle, które włożył pod płetwy, zaopatrzone w specjalne podeszwy umożliwiające chodzenie po śliskim pokładzie, nie zostawiały prawie śladów, kiedy bezszelestnie przeciął korytarz i zaczął wspinać się po schodach.

Kierował się wskazówkami Holly. Jej opis wnętrza jachtu okazał się bardzo dokładny, podobnie jak ocena załogi, która najwyraźniej nie przejmowała się niczym, kiedy właściciela jachtu nie było w pobliżu. Buchanan nastawił uszu — nie słysząc nic podejrzanego, przemknął korytarzem na środkowym pokładzie, mijając drzwi po obu stronach. Z tych drzwi interesowały go tylko jedne — na końcu po prawej stronie. Holly powiedziała, że tylko tej kabiny członkowie załogi nie chcieli jej pokazać.

— Nie wolno nam — oznajmili.

— Dlaczego?

— Nie wiemy. Jest zawsze zamknięta na klucz.

Drzwi mieściły się pomiędzy wejściem do sypialni Drummonda po prawej a salonem, dużym, luksusowo wyposażonym pomieszczeniem, które zajmowało jedną trzecią pokładu i miało okna wychodzące na taras na rufie.

— Przecież musicie chociaż trochę orientować się, co jest w środku — nalegała Holly.

— Nie. Powiedziano nam, że wylecimy z pracy, jeśli kiedykolwiek spróbujemy tam zajrzeć.

Drzwi zamknięte były na dwa zamki. Buchanan wyjął dwa krótkie metalowe wytrychy z kieszeni kombinezonu. Kiedy kończył otwierać pierwszą zasuwę, usłyszał kroki kogoś schodzącego po schodach w przeciwnym krańcu korytarza. Opanowując drżenie rąk wcisnął wytrych w otwór drugiego zamka. Kroki zbliżały się.

Buchanan nie śmiał spojrzeć w tamtą stronę. Musiał skupić się na otwieraniu zamka, na manipulowaniu metalowymi wytrychami.

Tymczasem ktoś dotarł już do podestu.

Buchanan nacisnął klamkę, wślizgnął się do mrocznego pokoju i zamknął drzwi. Wstrzymał oddech, przyłożył ucho do ściany i zaczął nasłuchiwać. Po trzydziestu sekundach, nie usłyszawszy żadnego niepokojącego dźwięku, znalazł kontakt, zapalił światło i zmrugał oczy, osłepiony nagłym blaskiem.

To, co zobaczył, zaskoczyło go. W wąskim pokoju, połączonym zamkniętymi drzwiami z sypialnią Alistaira Drummonda, znajdowało się kilka rzędów magnetowidów i monitorów. Buchanan ściszył poziom dźwięku, a potem włączył monitory. Chwilę później na ekranach ukazały się wnętrza pokoi i kolejne części pokładów. Na pierwszym dwaj marynarze w sterówce. Na drugim dwóch innych członków załogi oglądających telewizję. Na trzecim pół tuzina śpiących na kojach mężczyźni. Na czwartym mężczyzna — zapewne kapitan — śpiący w swojej własnej kabynie. Na pozostałych ekranach widać było wiele innych, pustych, sypialni. Wszystkie ekrany połyskiwały zielonkawo, co oznaczało, że kamery pracują w trybie nocnym. Ekrany pokazujące zewnętrzne części jachtu również połyskiwały zielenią. Zapewne kamery przechodziły na dzienny tryb pracy, kiedy włączano światła lub kiedy wstawało słońce.

A więc Alistair Drummond lubił podglądać swoich gości. Staruch idzie do swojej sypialni, zamyka się na klucz, otwiera drzwi do sąsiedniego pokoju i wchodzi, żeby zobaczyć, co robi załoga, kiedy jego nie ma w pobliżu — a co ważniejsze, żeby zobaczyć, co robią jego goście: rozbierający się, załatwiający potrzeby naturalne, pieprzający się, biorący narkotyki. A wszystko to można zarejestrować i oglądać, kiedy tylko ma się ochotę.

Buchanan spojrział na zamkniętą metalową szafę. Po otworzeniu zamka uchylił drzwi i ujrzał rzędy wideokaset. 5 sierpnia 1988. 10 października 1989. 18 lutego 1990. Buchanan obrzucił je spojrzeniem, stwierdzając, że wszystkie ułożone są po kolei. Co najmniej sto. Największe hity Alistaira Drummonda. Rejs, o którym myślał, odbył się w lutym. Znalazł kasety, włożył ją do magnetowidu i nacisnął guzik *ON*, upewniając się, że dźwięk jest *OFF*. Jakość obrazu była zaskakująco dobra, chociaż wszystkie obiekty miały zielonkawą poświatę. Rejs najwyraźniej cieszył się powodzeniem. Zdjęcia ukazywały gości w najbardziej intymnych, kompromitujących



momentach. Seks oralny i sodomia wydawały się szczególnie popularne. Buchanan naliczył trzynastu mężczyzn i dwanaście kobiet. Mężczyźni — w średnim wieku — zachowywali się apodyktycznie i władczo. Kobiety były atrakcyjne, dobrze ubrane, lecz traktowane jak dziwki. Wszyscy — mężczyźni i kobiety — mieli latynoskie rysy.

Buchanan zauważył słuchawkę i podłączył ją do monitora. Po ustawieniu głośności mógł słyszeć ścieżkę dźwiękową taśmy. Dowiedział się z niej, że kobiety rzeczywiście są dziwkami, mężczyźni zaś to wysoko postawieni członkowie meksykańskiego rządu. I naraz zrozumiał jeszcze coś. Tych taśm nie nakręcono tylko z myślą o przyjemności podglądacza. „Szantaż”, przemknęło Buchananowi przez głowę i w tym samym momencie ujrzał na ekranie Marię Tomez. Przyjrzał się uważnie i stwierdził, że to na pewno ona, a nie udająca ją Juana. Nocny obiektyw kamery nasycił ekran zielenią. Ukazywał pokład do opalania na rufie. Filmowano z góry, jakby kamerę ukryto pod sufitem. Cyferki w rogu ekranu pokazywały, że taśmę nagrano o godzinie pierwszej trzydzieści siedem w nocy. Dźwięk nie był najlepszy. Mimo to Buchanan słyszał przytłumione dźwięki dyskotekowej muzyki, cichy śmiech kobiet. Maria Tomez, ubrana w elegancką suknię z dużym dekoltem, opierała się o reling przy sterze, stojąc tyłem do kamery, najwyraźniej obserwując kilwater jachtu. Męski głos odezwał się do niej po hiszpańsku i Maria Tomez odwróciła się szybko. Wysoki, szczupły mężczyzna o pociągłej twarzy i orlim latynoskim nosie pojawił się na ekranie. Przemówił ponownie. Tym razem Maria Tomez odpowiedziała. Jakość dźwięku poprawiła się, prawdopodobnie dlatego, że Drummond za pomocą zdalnego sterowania wyregulował mikrofon na pokładzie do opalania.

— Nie, nie jest mi zimno — powiedziała Maria Tomez po hiszpańsku. Kamera zrobiła zbliżenie, kiedy mężczyzna podszedł do niej.

## 13

— Mój Boże — powiedziała Holly oglądając taśmę. Czuła mdłości. — Jezu. Wstrząśnięty Buchanan skopiował film z kasety i schował do plastikowej torebki, znalezionej w kabinie. Poza tym zostawił wszystko, tak jak było. Napięty ze zdenerwowania, zamknął za sobą drzwi i skradając się wrócił na główny pokład. Bolała go głowa, kiedy zsunął się na dół po linie kotwicznej, odwiązał maskę i płetwy i popłynął z powrotem na brzeg, tym razem trzymając ponad wodą torebkę z taśmą.

Chociaż film skończył się, Holly dalej patrzyła z obrzydzeniem na pusty ekran.

— Niech go piekło pochłonie — wycedziła wolno.

To, co odtworzyli za pomocą magnetowidu, wypożyczonego przez Buchanana po powrocie do motelu, było zapisem zgwałcenia i zamordowania Marii Tomez. Albo może kolejność była odwrotna — morderstwo, a potem gwałt, jeśli można nazwać gwałtem zbezczeszczenie zwłok. Słowo „gwałt” sugeruje bowiem przewyciężenie czyjegoś oporu, a martwe ciało nie może się niczemu sprzeciwić i być może to właśnie — absolutny brak sprzeciwu — spodobało się wysokiemu szczupłemu mężczyźnie o orlim nosie.

Podszedł do Marii, pytając ponownie, czy jest jej zimno. Objął kobietę, lecz ona odsunęła się w bok. Mężczyzna nalegał, więc zaczęła się bronić.

— No, no — powiedział przepitym głosem — nie możesz być taka oziębła. Nie zgodzę się na to. — Zachichotał, przygważdżając Marię ramionami, całując twarz, szyję i piersi, podczas gdy ona wyrywała się i odwracała głowę usiłując go odepchnąć. — Bądź ciepła — powiedział po hiszpańsku. — Bądź ciepła. Ja jestem ciepły. Czy to czujesz? — Zachichotał ponownie. Kiedy

popchnęła mężczyznę, zaśmiał się i potrząsnął nią. Spoliczkowała go, a on oddał jej pięścią. Wtedy plunęła w twarz napastnikowi.

— *Put a* — powiedział i wymierzył cios, który poderwał ją do góry i z wielką siłą cisnął o pokład. Kiedy upadła uderzając mocno tyłem głowy, chwycił za suknię przy dekolcie i szarpnął odkrywając kolejno piersi, brzuch, uda i kolana Marii. Rozerwał też koronkową bieliznę. Potem zatrzymał się na chwilę. Kamera pokazywała Marię Tomez leżącą nieruchomo na plecach, z suknią rozpostartą po obu stronach na kształt złamanych skrzydeł. Mężczyzna jeszcze chwilę trwał nieruchomo. Potem rozpiął pas, spuścił spodnie i położył się na Marii. Jego oddech był szybki i chrapliwy. Pośladki pompowały równomiernie. Potem jęknął, opadł i zachichotał. — A teraz czujesz się ciepła? — Nie odpowiedziała. Szturchnął kobietę. Nie poruszyła się. Spoliczkował ją ponownie. Kiedy nadal nie dawała znaku życia, podniósł się na kolana i pokręcił jej głową kilka razy na boki. Odetchnął jeszcze bardziej chrapliwie. Wstał pośpiesznie, zapiął spodnie, rozejrzał się ukradkowo i podniósł ciało Marii Tomez.

A potem z wyrazem strachu przemieszanego z obrzydzeniem wyrzucił je za burzę.

Gdy Holly w odrętwieniu gapiała się na pusty ekran, Buchanan wyłączył telewizor i magnetowid. Dopiero wtedy drgnęła. Spuściła wzrok i potrząsnęła głową. Buchanan opadł na krzesło.

— Czy była martwa? — zapytała Holly cicho. — Kiedy wrzucił ją do wody?

— Nie wiem. — Buchanan zawahał się. — Silny cios mógł uszkodzić kręgosłup Marii Tomez. Mogła doznać śmiertelnego wstrząsu, kiedy uderzyła głową o pokład. Mogła się udusić, kiedy na niej leżał. Ale równie dobrze mogła być w szoku, nieprzytomna, lecz wciąż żywa. Skurwysyn nawet nie zadał sobie trudu, żeby się upewnić. Nie obchodziło go, czy ona żyje. Troszczył się tylko o własną skórę. Wykorzystał ją. A potem wyrzucił. Jak worek odpadków.

W pokoju panował mrok. Siedzieli w milczeniu przez dłuższą chwilę.

— A co stało się potem? — zapytała Holly gorzko. — Jak sądzisz?

— Mężczyzna, który ją zabił, myślał zapewne, że przekona wszystkich na jachcie, że kobieta wypadła za burzę. Był pijany, oczywiście, a to musiało wpłynąć na jego reakcję. Albo z obłudną pewnością siebie zawiadomił załogę o wypadku, albo też poszedł do kabiny, wytrzeźwiał i przyłączył do ogólnego zdziwienia, kiedy tylko okazało się, że Maria Tomez zniknęła. Wtedy mógł przekonywająco zasugerować, że być może po pijanemu straciła równowagę i wypadła za burzę.

— Tyle że Alistair Drummond znał prawdę — powiedziała Holly.

Buchanan skinął głową.

— Oglądał wszystko na ekranie w swoim prywatnym wideo — studio. A nagranie gwałtu połączonego z morderstwem to coś o wiele lepszego niż seks oralny, sodomia i przyjmowanie narkotyków, kiedy chce się zaszantażować członka meksykańskiego rządu. Drummond musiał być zadowolony. Wyobrażam sobie, że poszedł do mordercy, opowiedział mu, co jest na taśmie, i zaczął organizować wyciszenie sprawy w zamian za pewne przysługi. Pierwsza faza nie musiała być trudna. Wystarczyło tylko wysłać helikopter na ląd. Potem Drummond mógłby powiedzieć swoim gościom, że Maria Tomez wcześniej opuściła jacht. Nikt nie miałby powodu, żeby cokolwiek podejrzewać.

— Ale potem?

— Tak, potem — zgodził się Buchanan. — Drummond musiał doznać olśnienia, kiedy pomyślał o Juanie. Być może Maria Tomez opowiedziała mu, że posługuje się nią jako sobowtórem, by w ten sposób uniknąć chodzenia na nudne uroczystości. Być może Drummond dowiedział się o niej w inny sposób. Pewne jest to, że się dowiedział. Nie musiał mówić Juanie nic kompromitującego. Wystarczyło wyjaśnić, że Maria Tomez potrzebuje absolutnego spokoju, i

zaraz potem zaferować Juanie odpowiednio dużą sumę pieniędzy za udawanie Marii przez dłuższy czas.

— Niby skomplikowane, a zarazem tak proste — powiedziała Holly. — Gdyby nie obrzydzenie, jakie czuję, powiedziałabym, że to genialne.

— Ale czego chce Drummond od człowieka, którego szantażuje? — zapytał Buchanan. — Na pewno nie pieniędzy. Drummond jest tak bogaty, że trudno sobie wyobrazić, by chodziło mu o korzyści materialne, jakie mógłby zaferować członek meksykańskiego rządu. Jesteś dziennikarką, Holly. Czy rozpoznajesz mężczyznę z taśmy?

Holly potrząsnęła głową.

— Meksyk to nie moja specjalność. Nie odróżniłabym jednego polityka od drugiego.

— Ale możemy się dowiedzieć — powiedział Buchanan.

— Jak?

— Wracamy do Miami. — Głos miał twardy jak stal. — A potem lecimy do Mexico City.

## 14

— Tutaj Jaskier. — Kobieta o ochrypłym głosie ścisnęła w napięciu słuchawkę.

Z zaspanego głosu mężczyzny na drugim końcu linii przebijało niezadowolenie.

— Która jest... Chryste, przed piątą. Położyłem się spać zaledwie godzinę temu.

— Przepraszam. To jedyna szansa, jaką miałam.

— Szukali cię wszędzie — powiedział mężczyzna, który przedstawił się jej wcześniej jako Alan, chociaż zapewne był to pseudonim.

— Tego właśnie się bałam. Czy możemy bezpiecznie rozmawiać?

— Ta rozmowa dociera do mnie za pośrednictwem innego telefonu — odparł Alan. — Na linii zamontowane są zagłuszacze. Dlaczego do mnie dzwonisz? Powiedziałem ci, że musi to być coś naprawdę ważnego.

— Jestem ze Skrzatem. — Kobieta użyła umówionego wcześniej kryptonimu.

— Tak myślałem.

— Musisz zrozumieć. On mówił prawdę. To, co robi, nie ma nic wspólnego ze... — Taktownie nie użyła nazwy Szkockiej z Wodą.

— Tak też myślałem. Wierzę, że on naprawdę chce zniknąć. Ale jego przełożeni muszą się upewnić.

— Jak mieliby to zrobić?

— Trochę za późno, żeby o to pytać — rzekł Alan. — Ty w końcu jesteś częścią problemu. Gdybyś trzymała się od niego z daleka...

— Ale to on przyszedł do mnie w Waszyngtonie.

— Na jedno wychodzi. Jesteście razem. Oboje winni. Jego przełożeni uważają, że złamaliście umowę o niewyciąganiu ich spraw na światło dzienne.

— To nie ma nic wspólnego z ich sprawami. Jak mam im to... Czy powinnam do nich zadzwonić? Daj mi numer, a ja...

— Nie — powiedział Alan ostro. — To by tylko pogorszyło waszą sytuację. Natychmiast namierzyliby miejsce, z którego dzwonisz. Ściągnęłabyś ich sobie na kark.

— A więc co mam zrobić?

— Odłącz się od Skrzata — powiedział Alan. — Schowaj się. Poczekaj, aż powiem ci, że możesz się wynurzyć.

— Ale to może trwać miesiącami.

— Prawda.

— Do diabła, żałuję, że się na to zgodziłam. Kiedy złożyłeś mi propozycję, powinnam była odpowiedzieć, że nie jestem zainteresowana.

— Ach, ale nie mogłaś — powiedział Alan. — Historia była zbyt dobra, żeby z niej zrezygnować.

— A teraz mogę przez nią zginąć.

— Nie zginiesz, jeśli zaczniesz działać ostrożnie. Jeśli przestaniesz popełniać błędy. Wciąż da się jeszcze wszystko naprawić.

— Ty sukinsynu — powiedziała. — Cały czas myślisz o artykule.

— Myślę o znalezieniu innego dziennikarza, który chciałby opowiedzieć twoją historię. To zwróciłoby na ciebie uwagę opinii publicznej i tamci nie ośmieliliby się tknąć cię palcem. Mógłbym ci pomóc. My dwoje wciąż jeszcze możemy osiągnąć to, czego chcemy.

— To, czego ty chcesz. Ja chcę tylko normalnego życia. Cokolwiek to jest. Chryste, niczego nie jestem już pewna.

— Powinnaś była pomyśleć o tym, zanim przyjęłaś moją propozycję — rzekł Alan. — Ale powtarzam, jeśli będziesz ostrożna, jeśli będziesz robić, to co każę, to chyba w końcu wyciągnę cię z tarapatów. Na razie zniknij. Przyjmij inną tożsamość.

— A co ze Skrzatem?

Alan nie odpowiedział.

— Pytam cię, co ze Skrzatem.

— Czasem nie można mieć wszystkiego naraz.

— O czym ty mówisz?

— Nigdy nie chciałem, żeby to się tak potoczyło. Naprawdę. Miałem nadzieję, że... ale w końcu... On jest żołnierzem. Rozumie więcej niż ty. Czasem są...

— Co?

— Straty.

Gdy Holly oderwała wzrok od tarczy automatu telefonicznego przed motelem w Key West, ujrzała cień mężczyzny między paprociami. Wstawał szary świt. Ptaki w niezliczonych drzewach palmowych właśnie zaczynały śpiewać.

— Muszę kończyć — powiedziała.

— Kłopoty? — zapytał Alan.

— Powiedzmy tylko, że nie wygrałam konkursu na ciche zachowanie — powiedziała Holly i odłożyła słuchawkę.

Buchanan wyszedł z cienia. Pomimo bryzy ciągnącej od oceanu powietrze było wilgotne.

— Myślałam, że oddawałeś kombinezon — powiedziała Holly.

— Oddawałem. Zapłaciłem boyowi, żeby go odniósł, kiedy tylko otworzą sklep. — Zatrzymał się przed Holly. — Do kogo dzwoniłaś?

Odwróciła wzrok.

— Przynajmniej nie próbujesz kłamać. I masz tyle oleju w głowie, żeby nie dzwonić z pokoju, gdzie wszystkie rozmowy odnotowywane są na rachunku. Ale to nie ma znaczenia. W tak małym rejonie nasi prześladowcy szybko nas namierzą.

— Nie — powiedziała Holly. — Dzwoniłam pod prywatny numer. Twoi ludzie go nie znają.

— Ty tak mówisz. W mojej branży nie biorę nic na wiarę, chyba że sam to sprawdzę. Wszystkie telefony są podejrzone. Musiałaś mieć coś naprawdę ważnego do powiedzenia, skoro zadzwoniłaś.

— Zrobiłam to dla nas.

— O?!

— Próbowałam wybawić nas przynajmniej z części kłopotów, w jakie wpadliśmy.

— Z której części? Akurat teraz mamy sporo kłopotów do pokonania.

Holly przygryzła wargi.

— Czy nie możemy o tym porozmawiać w pokoju?

— Żeby dać ci czas na wymyślenie przekonujących odpowiedzi? Nie, myślę, że powinniśmy rozmawiać tutaj. — Buchanan chwycił ją za ramię. — A więc z której to części kłopotów próbowałaś nas wydostać?

Poprowadził ją alejką. Świtało. Znad oceanu wiał coraz silniejszy wiatr. Ptaki rozproszyły się po niebie.

— W porządku, i tak chciałam ci o tym powiedzieć już w Nowym Jorku. Boże, czuję taką ulgę... Przede wszystkim skąd wiedziałam, że jesteś w Cancun, jakim cudem mogłam wcześniej dostać się do Gub Internarional i obserwować, jak rozmawiasz z tymi dwoma... — Niemal powiedziała „handlarzami narkotyków”, a potem rozejrzała się po cienistej alejce i wybrała inne określenie, bojąc się mówić zbyt dosłownie. — ...biznesmenami. Wszystko to...

— Wrobił mnie ktoś z mojej grupy. — Buchanan otworzył skrzypiące drzwi do ich pokoju.

Holly spojrzała na niego zaskoczona.

— Skąd wiesz?

— To jedyne sensowne rozwiązanie. Ktoś z wewnątrz. Nikt inny nie mógł wiedzieć, gdzie będę. Ta sama osoba, która powiedziała ci o Żółtym Owocu, Pianie Morskiej, ISA i Szkockiej z Wodą. Tych informacji mógł dostarczyć ci tylko ktoś z moich przełożonych.

Wciąż trzymając ją za ramię Buchanan wprowadził dziewczynę do pokoju. Następnie zapalił światło, zamknął drzwi, przekręcił klucz w zamku i posadził Holly na łóżku.

— Kto? — zapytał.

Dziewczyna drgnęła.

— Kto?

— Co teraz zrobisz? Dasz mi w zęby?

— Nie. — Buchanan przyjrzał się jej uważnie. — Spróbuję naprawić szkody. — Włożył przybory higieniczne do torby podróżnej, rozejrzał się po pokoju, żeby upewnić się, czy niczego nie zapomniał, i ruszył w stronę drzwi. — Bez problemu zabierzesz się stąd autobusem do Miami — powiedział.

— Poczekaj.

Buchanan szedł dalej.

— Poczekaj. Nie wiem, jak się naprawdę nazywa. Znam go tylko jako Alana.

Buchanan zatrzymał się.

— Średniego wzrostu. Puciołowata twarz. Krótko ostrzyżony brunet. Czterdzieści parę lat.

— Tak. To on.

— Znam go. Jakiś czas temu był moim oficerem prowadzącym. Pracuje dla...

Wahanie zdawało się testem dla Holly. Postanowiła dokończyć.

— Dla Agencji.

Jej szczerść uspokoiła go. Podeszedł do łóżka.

— Mów dalej.

— Bardzo jasno powiedział mi, czego chce. Nie zgadza się na udział wojska w cywilnych operacjach wywiadowczych. Amerykańscy rekruci, uzbrojeni, w cywilnych ubraniach, używający fałszywych dokumentów, prowadzący operacje Agencji w obcych krajach. Niedobrze, kiedy na szpiegostwie zostaje złapany cywil. Ale członek wojskowych Operacji Specjalnych? Pełniący aktywną służbę? Udający cywila? I to gdzie! W grupie uderzeniowej mającej za zadanie obalenie nieprzyjaznego rządu albo prowadzącej prywatną wojnę z handlarzami narkotyków? Gdyby opinia

publiczna zdała sobie sprawę, jaki chaos panuje w stosunkach pomiędzy CIA a wojskiem, Kongres byłby zmuszony do rozpoczęcia kolejnego wielkiego śledztwa w sprawie amerykańskiej taktyki wywiadowczej. Na Agencję wywierany jest już wystarczająco duży nacisk. Jeszcze jeden skandal i Kongres gotów zastąpić ją biurem wywiadowczym o mniejszych uprawnieniach. Tego właśnie obawiał się Alan. Więc przyszedł do mnie i podał mi pewne informacje, nalegając, żeby cytować go tylko jako zaufane źródło zbliżone do kół rządowych. Nie powiedział wszystkiego, żeby nie wyglądało to jak spreparowana historia. Podał mi akurat tyle wskazówek, żeby moja działalność nie budziła podejrzeń i wyglądała na czysto dziennikarską robotę. Dlaczego patrzysz na mnie w ten sposób?

— Bo to nie ma sensu. Jeśli Alan bał się, że ujawnienie bezprawnego używania przez Agencję grup wojskowych zagrazi jej interesom, to dlaczego podsunął ci tę całą historię? Osiągnie dokładnie to, czego się obawia.

— Nie — potrząsnęła głową Holly. — Postawił tę sprawę jasno, a ja się zgodziłam. Ty i tylko ty miałeś być obiektem lekcji.

— O Chryste — powiedział Buchanan.

— Chodziło o to, żeby zdemaskować cię jako pojedynczy przykład niebezpiecznego udziału wojska w cywilnych operacjach wywiadowczych. Władze nie uzyskałyby żadnych informacji poza tymi, które znalazłyby się w moim artykule. Zeznałabym, że nie wiem nic więcej. Na tym zakończyłoby się śledztwo prowadzone przez Kongres. Ale wniosek byłby oczywisty. Albo Agencja przestanie używać wojskowych grup uderzeniowych, albo ona i niektóre oddziały Operacji Specjalnych zostaną poważnie okrojone, jeśli nie w ogóle rozwiązane. Wiele karier rozpadnie się w proch i pył.

— Pewnie. — Buchanan mówił z napięciem. — A ty w tym czasie byłabyś dziennikarską gwiazdą. Alan zaś odzyskałby kontrolę nad swoją firmą.

— O to właśnie chodziło — przyznała Holly.

— Polityka. — Buchanan wymówił to słowo jak przekleństwo.

— Teraz już nie o to chodzi.

— O czym ty mówisz?

— Zadzwoiłam do Alana, żeby odwołać naszą umowę. Powiedziałam mu, że mam dość i chcę się skontaktować z twoimi przełożonymi. Zapewnić ich, że nasza działalność nie ma z nimi nic wspólnego i nie stanowimy dla nich zagrożenia.

— Naprawdę myślałaś, iż na to pójdziesz? Bez oporów? Fajnie, próbowaliśmy, nie udało się, trudno. Tak to sobie wyobrażałaś? Jezu.

— Powiedział, że jest mu przykro z powodu sposobu, w jaki wszystko się potoczyło.

— Pewnie.

— Wciąż jesteśmy poszukiwani. Zasugerował, abym odłączyła się od ciebie — on wtedy wymyśli sposób, jak mnie uratować.

— Cholernie dobra rada. — Buchanan zmrużył oczy. — Odłączyć się.

— Nie — powiedziała Holly. — Nie pozwolę ci odejść.

— A jak, u diabła, zamierzasz mnie zatrzymać?

— Pójdę za tobą.

— Życzę szczęścia. Hej, co się z tobą dzieje? Myślisz, że nadal jestem sensacją na pierwszej stronie?

Milczała.

— A może myślisz, że bezpieczniej uciekać przed tamtymi razem ze mną, zamiast robić to na własną rękę?

Cisza.

— Słuchaj, nie mam czasu zgadywać, o czym myślisz. Muszę wydostać się z Key West, zanim twój telefon sprowadzi nam na głowy oddział zabójców.

— Chodzi o ciebie — odezwała się Holly wreszcie.

— Co? — Buchanan zmarszczył brwi.

— O ciebie — powtórzyła. — Powód, dla którego chcę zostać.

— Mów jaśniej.

— Jaśniej nie można. Chcę z tobą być. Nie tylko dlatego, że czuję się przy tobie bezpieczna, chociaż tak jest. Nie mogłam oczekiwać, że okażesz się tym, kim jesteś. Nie spodziewałam się, że mi się spodobaś. Że tak się do ciebie przywiążę i będę dostawała skurczów żołądka na samą myśl o odejściu.

— I kto teraz gra?

— Mówię prawdę! Przyzwyczałam się do ciebie. A jeśli już mówimy o winie, nie zapominaj, że za drugim razem to ty przyszedłeś do mnie. Nie byłabym w niebezpieczeństwie, gdybyś nie postanowił mną się posłużyć. Do diabła, w Waszyngtonie ocalałam ci życie. Chyba czegoś to dowodzi.

— Tak, jestem tak cudowny, że się we mnie zakochałaś.

Chciała coś powiedzieć.

— Oszczędzaj energię — przerwał jej Buchanan. — Twoje życzenie zostanie spełnione.

Patrzyła zdziwiona.

— Nie mogę cię zostawić. Właśnie zdałem sobie sprawę, że popełniłem błąd. Powiedziałem ci, dokąd jadę.

— Tak. Mexico City.

— Z powodu Juany nie mogę zmienić swoich planów. Przyrzekłem, że pomogę jej, kiedy będzie mnie potrzebowała, i mam zamiar dotrzymać słowa. To oznacza, że nie pozwolę, żebyś hasała sobie wolno, aż znajdą cię tamci i spytają, dokąd pojechałem i po co. Spakuj się. Chcę opuścić tę wyspę, zanim się tu pojawią.

Holly odetchnęła.

— Dzięki.

— Nie dziękuj mi. To nie przysługa. Kiedy tylko dojdę do wniosku, że to możliwe — zostawię cię. Ale na razie, Holly, słuchaj uważnie. Przyjmij moją radę. Nie zmuszaj mnie, żebym traktował cię jak wroga.

## 15

### *Półwysep Jukatan*

Chmura dymu wisiała nad wielką polaną. Prace posuwały się naprzód, a huk wystrzałów przebijał się przez ryk buldożerów, dźwigów oraz innego ciężkiego sprzętu. Ponad ten ryk wznosił się trzask płomieni, które stanowiły źródło dymu unoszącego się nad doliną. Wypalano dżunglę, aby zniszczyć kryjówki tubylców — potomków Majów — którzy nie ustawali w atakach na robotników i sprzęt budowlany. Porozrzucane kamienie tworzące jeszcze do niedawna ruiny wspaniałych niegdyś piramid i świątyń wciąż leżały pomiędzy wieżami, które je zastąpiły, wieżami ze stali. Ziemia drżała czasami, lecz robotnicy nie zwracali już na to uwagi. Przyzwyczailli się do wszystkiego, do węzy, dymu, strzałów. Liczyła się tylko robota. Skończyć. Odebrać zapłatę. Wyjechać.

Alistair Drummond zaplanował to bezbłędnie, pomyślała Jenna kończąc archeologiczną mapę terenu, która miała wykazać, że ruiny nie są tak interesujące, jak sugerowały zdjęcia z powietrza. Kilka niewielkich budowli. Stosy porozrzucanych kamieni, efekt wielu trzęsień ziemi. Żałosne resztki potężnej niegdyś kultury. Z jednym wyjątkiem. Boiska do gry w piłkę. Z niewyjaśnionych powodów — być może po to, by jedna zachowana budowla uprawdopodobniła jego wersję — Alistair Drummond nalegał, aby boisko, oddalone nieco od terenu głównych robót, zostało oszczędzone. Tam, na trawiastej prostokątnej płaszczyźnie, otoczonej kamiennymi tarasami, na których królewscy widzowie kiwali z aprobatą głowami, drużyny mężczyzn odzianych w skóry rywalizowały ze sobą, próbując wrzucić ciężką gumową kulę wielkości piłki lekarskiej do wiszącego pionowo kamiennego pierścienia służącego za bramkę. Stawka gry była najwyższa — życie albo śmierć. Może dlatego Drummond oszczędził boisko — być może te okrutne reguły gry były mu bliskie, w końcu on także dążył do osiągnięcia celu bez względu na koszty.

Przed dwoma dniami przybył wraz z Raymondem otwarcie, w dużym niebieskim helikopterze należącym do Drummond Industries, jakby przejmując kontrolę nad ostatnią fazą operacji. Nie miał już nic do ukrycia.

— Dobra robota — powiedział do Jenny. — Otrzymasz dodatkową premię.

Jenna wymamrotała podziękowania, krzycząc w duchu: Chcę tylko wydostać się stąd, zanim zwariuję! Jej współpracownik, przyjaciel i potencjalny kochanek, szef projektu McIntyre, zmarł od ukąszenia węża pół godziny przed przybyciem helikoptera. Jenna modliła się, żeby Drummond przyleciał wcześniej i odwiózł Maca do szpitala, ale kiedy tylko ujrzała, jak idzie ku niej z zaciętą, pomarszczoną twarzą, zdała sobie sprawę, że nigdy nie zgodziłby się na marnowanie zapasów paliwa dla wywiezienia z dżungli chorego mężczyzny. „Umrze, zanim znajdzie się w szpitalu. Nie mamy czasu. Sprawcie, żeby miał lekką śmierć”, powiedziała. Ale stało się, jak się stało i Drummond rzekł:

— Pochowajcie go tam, gdzie nie dostaną go tubylcy. Albo nie, zmieniłem zdanie. Spalcie go. Spalcie ich wszystkich.

„Wszystkimi” byli tubylcy, których zabito, kiedy próbowali powstrzymać profanację swojej świętej ziemi. Jenna była pewna, że oszaleje, gdy zrozumiała, jakiej tu dokonano masakry. Wiedziała o plemionach, które wytepiono w Ameryce Południowej i w głębi amazońskiej dżungli, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że pewne obszary Meksyku są równie niedostępne. Łączność tych plemion ze światem jest tak minimalna, że nikt nigdy nie dowie się, co tu zaszło. Zresztą nawet jeśli plotka wreszcie się rozniesie, żadne dowody zbrodni nie będą już istniały. A kto miałby świadczyć? Robotnicy? Zgadząc się milcząco na masakrę, przyjmując obrzydliwie wielkie premie, byli pośrednio w nie zamieszani. Tylko głupiec przerwałby zмовę milczenia.

Stała teraz odretwiąła w długim budynku biura i wspominając, jak Mac rzucał się w gorączce na koi, słuchała ostatnich poleceń w związku z mapą, którą sporządziła.

— Przede wszystkim — starczy głos Drummonda pełen był flegmy — rozmiar rzeczywistego odkrycia musi sprawić, że jego znaczenie historyczne wyda się mniejsze. Będą oczywiście zdjęcia. Ale twoje mapy są o wiele ważniejsze.

W tej chwili otworzyły się drzwi i do środka wszedł Raymond odziany w myśliwskie ubranie, ze strzelbą w rękach, z twarzą poczerniałą od sadzy, a koszulą brudną od zaschniętej krwi.

— Chyba znalazłem już wszystkich — powiedział.

— Niewykluczone, że zbliża się do nas wróg innego rodzaju. Myślę, że już jest na naszym tropie — odparł Drummond.

Raymond wyprostował się, jakby przyjmując wyzwanie.

— Kto taki?

— Pewien nieboszczyk — odpowiedział Drummond.



Raymond uniósł brew.

— Charles Duffy — rzekł Drummond. — Czy pamiętasz...

— Tak, został wynajęty do obserwowania domu w San Antonio. Miał rozprawić się z kobietą, gdyby się pojawiła. Zniknął trzy dni temu.

— Pojawił się znowu. Woda wyrzuciła jego ciało na brzeg niedaleko San Antonio. Został zastrzelony. Policja twierdzi, że nie miał przy sobie dokumentów. Jednak jeden z ludzi, których wynajęłeś, zdołał dostać się do kostnicy i obejrzeć ciało. Nie ma wątpliwości, że to Duffy. Ale Duffy to postać godna uwagi — ciągnął Drummond. — Będąc martwy użył swojej karty kredytowej, żeby kupić bilet lotniczy z San Antonio do Waszyngtonu. Zatrzymał się w Witzu–Carltonie. Przez część dnia przebywał w hotelu Dorset na Manhattanie. Potem on i jeszcze ktoś polecili do Miami, gdzie wynajęli samochód.

Raymond zamyślił się.

— Nie rozumiem, dlaczego Waszyngton, ale Dorset jest niedaleko apartamentu wiadomej osoby.

— I apartamentu jej eks–męża — dodał Drummond. — Mężczyzna i kobieta złożyli mu wizytę dwa dni temu. Przerwali wypłatę umówionej sumy.

— Maltin nic nie wie — rzekł Raymond. — Zapłacił mu pan, żeby nie robił szumu wokół zniknięcia kobiety.

— Nic? — Drummond wyglądał na wściekłego. — Maltin wie, że to ja mu zapłaciłem. Tego właśnie tych dwoje dowiedziało się od niego. Kobieta nie została jeszcze zidentyfikowana, ale wiemy, że ma rude włosy i jak twierdzi, pracuje dla „Washington Post”. Mężczyzna z wyglądu odpowiada człowiekowi, który zaatakował naszych ludzi przed domem Mendezów.

— Buchanan? — skrzywił się Raymond.

— Tak. Buchanan. Teraz pomyśl. Dlaczego Miami? — zapytał ostro Drummond.

— Jacht. Jest na południe stamtąd. W Key West.

— Właśnie — rzekł Drummond. — Kapitan donosi, że trzech członków załogi przywiozło wczoraj na pokład kobietę. Kobietę z rudymi włosami.

— Musiała współdziałać z Buchananiem. Sprawdziała sposoby dostania się na jacht.

Drummond skinął głową.

— Muszę założyć, że Buchanan wie coś o taśmie. Muszę też przyjąć, że będzie deptał nam po piętach. Znajdź go i zabij.

— Ale gdzie miałbym go znaleźć?

— Czyż to nie oczywiste? Jakie jest następne ogniwo w łańcuchu?

— Delgado.

— Tak. Mexico City. Przed chwilą otrzymałem wiadomość od jednego z moich ludzi na międzynarodowym lotnisku w Miami. Mężczyzna o nazwisku Charles Duffy kupił właśnie dwa bilety do Mexico City. Helikopterem dotrzesz tam dziś po południu.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

### 1

*Mexico City*

Niekontrolowane wyziewy niezliczonych rzygających dymem fabryk i ciężkie od ołowiu spaliny źle utrzymanych samochodów wisiały na skutek inwersji nad otoczoną górami metropolią, sprawiając, że powietrzem w największym i najszybciej rozwijającym się mieście świata praktycznie nie dawało się oddychać. Buchanana drapało w gardle. Zaczął kaszleć, kiedy tylko wraz z Holly wykupili karty turystyczne i opuścili halę lotniska imienia Juareza. Oczy paliły go od smogu — tak gęstego, że gdyby nie jego kwaśny zapach i gryzący smak można by pomyśleć, że to mgła. W taksówce, do której wsiedli, nie działała klimatyzacja. Mimo to Buchanan i Holly zamknęli okna. Woleli smażyć się wewnątrz samochodu, niż oddychać skażonym powietrzem.

Była dziewiąta piętnaście rano. Udało im się dotrzeć z Key West do Miami odpowiednio wcześniej i o ósmej złapać samolot United do Mexico City. Z powodu zmiany strefy czasowej lot trwał tylko dwie godziny i piętnaście minut i po zjedzeniu dostarczonego przez stewardessę omletu z serem i cebulą Buchanan zdołał się zdrzemnąć. Zbyt długo już działał w szaleńczym tempie. Był coraz bardziej wyczerpany. Ból głowy nie dawał mu spokoju.

Podobnie jak gorzkie uczucia, jakie budziła w nim Holly.

Wbrew instyktowi zaczął jej w gruncie rzeczy ufać. W końcu, jak słusznie zauważyła, uratowała mu życie i pomogła wiele w innych sprawach. Ale wciąż musiał pamiętać, że ma do czynienia z dziennikarką. Wytracony z równowagi podczas poszukiwania Juany, w pośredni sposób zdradził już zbyt wiele na temat swojej przeszłości. Poza tym do wściekłości doprowadzała go myśl, że kobieta, której pozwolił się do siebie zbliżyć, została wysłana przez Alana, żeby go zniszczyć. Z kolei Holly zachowywała milczenie, jakby rozumiała, że wszystko, co powie, obróci się przeciw niej i że jeśli chce być tolerowana, musi starać się nie rzucać w oczy.

— Pałac Narodowy — powiedział Buchanan do taksówkarza po hiszpańsku, a słowa brzmiały na tyle podobnie do angielskich, że Holly zrozumiała, lecz nie zapytała, dlaczego jadą do pałacu zamiast do hotelu. A może Pałac Narodowy był hotelem? Nie wiedziała. Nigdy wcześniej nie była w Mexico City. Jak się okazało, Pałac Narodowy nie był ani hotelem, ani też pałacem, lecz siedzibą meksykańskiego rządu.

Nawet w gęstych oparach zanieczyszczeń miejsce sprawiało imponujące wrażenie. Był to wielki plac, pełen samochodów, otoczony wieloma masywnymi budowlami, w tym dwiema katedrami. Sam Pałac Narodowy słynął ze swoich łuków, kolumn i tarasów.

Po opuszczeniu taksówki Buchanan i Holly przecisnęli się przez tłum i weszli do westybuli. Wielkie kolorowe freski pokrywały ściany wzdłuż głównych schodów i korytarzy na pierwszym piętrze. Wykonane przez Diego Rivere, przedstawiały barwną historię Meksyku, począwszy od Majów i Azteków, przez inwazję Hiszpanów, wymieszanie ras, liczne rewolucje, aż po wyidealizowaną wizję przyszłości, gdy szczęśliwi meksykańscy wieśniacy będą żyli i pracowali w zgodzie z naturą. Biorąc pod uwagę zanieczyszczenia na zewnątrz, realizacja tej wizji zdawała się jeszcze bardzo odległą.

Buchanan tylko na moment zatrzymał się, żeby obejrzeć freski. Potem nagle stał się bardziej spięty, zdecydowany, jakby znalazł się pod kontrolą jakiegoś strasznego nakazu i nie chciał już tracić ani sekundy. W hałaśliwym, odbijającym echo korytarzu zamienił kilka słów z przewodnikiem i został skierowany do drzwi na drugim końcu holu. Tam, w sklepie z pamiątkami,

nie zwracając uwagi na książki i wyroby sztuki ludowej, zaczął oglądać zdjęcia wiszące na ścianach, grupowe i indywidualne, przedstawiające najwyraźniej członków meksykańskiego rządu. Kiedy przyglądał się fotografiom, Holly spojrzała nie niego ukradkiem — miał zacisnięte szczęki i napięte żyły na karku i skroniach. Jego ciemne oczy zdawały się płonąć. Wskazał zdjęcie, na które sama też zwróciła uwagę: wysoki, szczupły czterdziestokilkuletni Latynos o pociągłej twarzy i orlim nosie. Wąsik, drogi garnitur, arogancka mina.

— Tak — potwierdziła Holly.

Buchanan obrócił się ku młodej sprzedawczyni i wskazał na fotografię.

— *Este hombre. Como se llama, por favor?*

— *Quien? Ah, sí. Esteban Delgado. El Ministro de Asuntos Interiores.*

— *Gracias* — odpowiedział Buchanan. Kupując książkę zadał jeszcze młodej kobiecie kilka pytań i pięć minut później, kiedy wraz z Holly wyszedł ze sklepiku, wiedział już, że mężczyzna, który zgwałcił i zamordował Marię Tomez, jest nie tylko ministrem spraw wewnętrznych.

— To człowiek numer dwa w Meksyku — stwierdził — kandydat na prezydenta. W tym kraju, jeśli odchodzący prezydent wybiera sobie następcę, wybory są zazwyczaj formalnością.

Zaskoczona, że Buchanan złamał swoje postanowienie i odezwał się do niej, Holly postanowiła wykorzystać okazję, mając nadzieję, że jego gniew nieco opadł.

— Chyba że ktoś ma kasetę wideo, która jest tak niebezpieczna, że może całkowicie zniszczyć jego karierę, nie mówiąc już o zaprowadzeniu do więzienia.

— Albo na szubienicę. — Buchanan potarł bolące czoło. — Człowiek taki jak Delgado zrobiłby wszystko, żeby ta taśma nie wypłynęła. Ale co to jest owo „wszystko”. Czego chce od niego Drummond?

— I co się stało z Juaną Mendez?

Buchanan wbił w nią wzrok.

— Tak. W końcu o to właśnie chodzi. O Juanę.

Holly zabolalo ukryte znaczenie tych słów: chodzi o Juanę. Nie o ciebie.

— Nie chcę, żebyś mnie tylko tolerował — powiedziała. — Żebyś trzymał mnie przy sobie ze strachu, że ci zaszkodzię. Nie jestem twoim wrogiem. Proszę. Pozwól mi pomóc.

## 2

— Nazywam się Ted Riley — rzekł Buchanan po hiszpańsku. Stał wraz z Holly w wyłożonym dywanami i drewnem gabinecie, na drzwiach którego widniał napis *Ministro de Asuntos Interiores*. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Siwowłosa sekretarka w okularach skinęła głową i czekała.

— Jestem tłumaczem *señority* McCoy. — Buchanan wskazał na Holly. — Tu są dokumenty potwierdzające, że *señorita* jest dziennikarką z „The Washington Post”. Przybyła do Mexico City na krótko i przeprowadza wywiady z wysokimi urzędnikami państwowymi — żeby poznać ich opinie na temat tego, w jaki sposób Stany Zjednoczone mogłyby poprawić stosunki z waszym krajem. Czy señor Delgado mógłby poświęcić nam kilka minut? Bylibyśmy bardzo wdzięczni.

Sekretarka spojrzała na niego z sympatią i z żalem rozłożyła ręce.

— *Señora* Delgado nie będzie w biurze do końca tygodnia.

Buchanan westchnął, rozczarowany.

— A może wobec tego spotkałby się z nami tam, gdzie aktualnie przebywa? Gazeta *señority* McCoy uważa jego opinię za szczególnie ważną. Powszechnie wiadomo, że to on będzie następnym prezydentem.

Sekretarka wyglądała na uszczęśliwioną, że Buchanan wie o czekającej ją wielkiej przyszłości. On tymczasem ciągnął dalej:

— Jestem też przekonany, że *señor Delgado* będzie zadowolony, jeśli pochlebne uwagi na jego temat pojawią się w gazecie, którą prezydent Stanów Zjednoczonych czyta każdego ranka. Minister miałby doskonałą okazję wygłoszenia pewnych konstruktywnych opinii, które przygotowałyby rząd Stanów Zjednoczonych na poglądy przyszłego prezydenta Meksyku.

Sekretarka zastanowiła się, otaksowała Holly wzrokiem i skinęła głową.

— Proszę chwileczkę poczekać.

Przeszła do sąsiedniego pokoju i zamknęła drzwi zostawiając ich samych. Z korytarza dobiegały odgłosy kroków, słychać było szmery rozmów z sąsiednich gabinetów.

Sekretarka wróciła po chwili.

— *Señor Delgado* jest w swoim domu w Cuernavaca, godzinę drogi na południe stąd. Powiem wam, jak tam trafić. Minister zaprasza was na lunch.

### 3

— Czy mogę cię o coś zapytać?

Holly czekała na odpowiedź, lecz Buchanan milczał, patrząc prosto przed siebie, na wstęgę autostrady *Insurgentes del Sur*.

— Pewnie, czego miałabym się spodziewać? — rzekła Holly. — Stałeś się niekomunikatywny od czasu, gdy... Nieważne. Lepiej o tym nie mówić. Chciałam cię tylko zapytać, w jaki sposób ty to robisz?

I tym razem Buchanan nie odpowiedział.

— W biurze Delgado — ciągnęła Holly — sekretarka równie dobrze mogła nas splawić. Ale ty w jakiś sposób zmusiłeś ją, żeby zadzwoniła do Delgado. Próbowałam dociec, w jaki sposób. Nie chodziło o to, co dokładnie powiedziałeś. Raczej...

— Staram się przeniknąć czyjś tok rozumowania — powiedział Buchanan.

Holly spojrzała na niego z uwagą.

— I to CIA nauczyła cię, jak to robić?

Głos Buchanana stwardniał.

— Przypomniałaś sobie, że jesteś dziennikarką?

— Przestań wreszcie się bronić? Ile razy mam ci powtarzać? Jestem po twojej stronie. Nie chcę cię zniszczyć. Ja...

— Powiedzmy, że zostałem odpowiednio przeszkolony. — Buchanan ścisnął kierownicę i nie spuszczał wzroku z zatłoczonej autostrady. — Pełnienie funkcji głęboko zakonspirowanego agenta to nie tylko fałszywe dokumenty i przekonywająca legenda. Żeby przyjąć nową osobowość, muszę wydawać się absolutnie przekonany, że jestem tym, kim mam być. Innymi słowy muszę całkowicie w tę tożsamość uwierzyć. Kiedy rozmawiałem z tą sekretarką, naprawdę byłem Tedem Rileyem. To wewnętrzne przekonanie sprawiło, że uwierzyła w moje słowa. Pamiętasz, co mówiliśmy o zdobywaniu informacji? Nie chodzi tylko o zadawanie subtelných pytań. Również o nawiązanie emocjonalnego kontaktu i wytworzenie psychicznej więzi z daną osobą.

— Tak jak w hipnozie.

— Ale w twoim przypadku popełniłem błąd. — W głosie Buchanana pojawiła się gorycz.

Holly słuchała z napięciem.

— Przestałem się koncentrować na kontrolowaniu ciebie.

— Nadal nie rozumiem.

— Przestałem grać — rzekł Buchanan. — Przez jakiś czas doznawałem przy tobie czegoś niezwykłego. Przestałem udawać. Bezwiednie stałem się kimś, o kim już dawno zapomniałem. Sobą. — W jego głosie jeszcze silniej zabrzmiała gorycz.

— Może dlatego tak mnie pociągałeś — powiedziała Holly.

Buchanan skrzywił się.

— Ludzie, których grałem, byli przeważnie lepsi ode mnie. W gruncie rzeczy jedyna osobowość, której nie cierpię, to moja własna.

— A więc teraz uciekasz przed sobą udając — kogo? Petera Langa szukającego Juany?

— Nie. Od kiedy spotkałem ciebie, Peter Lang stawał się coraz mniej ważny. Juana ma znaczenie, ponieważ... W Key West powiedziałem ci, że nie mogę decydować o przyszłości, dopóki nie załatwię spraw z przeszłości. — Spojrzał na nią wreszcie. — Nie jestem głupcem. Wiem, że nie mogę cofnąć się o sześć lat zapominając o tych Bóg wie ilu osobach, którymi byłem, zacząć z powrotem tam, gdzie przerwałem. To tak jak... Przez wiele lat grałem, przeskakiwałem od jednej roli do drugiej i ledwie kogoś poznałem, zaraz musiałem się z nim rozstawać. Wielu z tych ludzi potrzebowało pomocy, a ja nie mogłem wrócić i jej udzielić. Wielu umarło, ale ja nie mogłem wrócić, by ich opłakiwać. Prawie całe moje życie było jak rząd osobnych klatek. Teraz muszę je połączyć. Chcę stać się...

Holly czekała.

— Istotą ludzką — dokończył Buchanan. — Dlatego jestem na ciebie wkurzony. Odkryłem się na moment, a ty mnie zdradziłaś.

— Nie — powiedziała Holly dotykając jego prawej dłoni na kierownicy. — Nigdy więcej. Przysięgam na Boga — nie stanowią dla ciebie zagrożenia.

## 4

Po zgiełku i zanieczyszczeniach Mexico City spokój i cisza Cuernavaca wydawały się szczególnie przyjemną odmianą. Niebo było czyste, a jaskrawe słońce oświetlało rozległą dolinę. Buchanan wjechał na teren ekskluzywnej dzielnicy i kierując się otrzymanymi wskazówkami, znalazł ulicę, której szukał, i podjechał do wysokiego kamiennego muru i potężnej żelaznej bramy, za którą widać było ogrody, drzewa i zbudowaną w hiszpańskim stylu rezydencję. Czerwone dachówki błyszcząły w słońcu.

Buchanan nie zatrzymywał się.

— Czy to nie tutaj jedziemy? — zapytała Holly.

— Tutaj — potwierdził Buchanan.

— Więc czemu nie stajesz?

— Nie podjąłem jeszcze pewnych decyzji.

— Na przykład jakich?

— Być może nadszedł czas, żeby cię zostawić.

Holly wyglądała na zaskoczoną.

— Wszystko może się zdarzyć. Nie chcę, żebyś była w to wmieszana.

— Już jestem.

— Nie uważasz, że posuwasz się za daleko w swojej dziennikarskiej gorliwości?

— Najważniejsze dla mnie jest udowodnienie, że jestem ci potrzebna. Delgado czeka na dziennikarkę z „Washington Post”. Beze mnie nie dostaniesz się do środka. Zbudowałeś sobie przecież legendę. Skoro twierdzisz, że jesteś moim tłumaczem — bądź konsekwentny.

— Konsekwentny? — Buchanan postukał palcami po kierownicy. — Tak. Czemu nie — rzekł i zawrócił.

Za bramą stał uzbrojony strażnik.

Buchanan wyszedł z samochodu, zbliżył się do mężczyzny, pokazał mu legitymację dziennikarską Holly i wyjaśnił po hiszpańsku, że on i *señorita* McCoy byli umówieni. Tamten skrzywił się, wszedł do drewnianej budki przy bramie i sięgnął po telefon. W tym czasie jego kolega uważnie obserwował Buchanana. Strażnik wrócił po chwili, z miną równie skwaszoną jak poprzednio. Buchanan zaniepokoił się. Czyżby coś poszło źle? Ale nie, otwarto bramę i dano mu znak, żeby wsiadł do samochodu. Ruszył zacięną aleją w kierunku dwupiętrowej rezydencji, mijając drzewa, ogrody i fontanny. Spoglądając w tylne lusterko ujrzał, że bramę zamknięto ponownie. Spostrzegł też innych strażników patrolujących teren posiadłości.

— Czuję się o wiele bardziej zdenerwowana, niż wtedy gdy popłynęłam na jacht Drummonda — powiedziała Holly. — Czy ty się nigdy nie denerwujesz?

— Za każdym razem.

— A więc dlaczego, na Boga, to robisz?

— Nie mam wyboru.

— Teraz być może nie. Ale kiedy indziej...

— Nie mam wyboru — powtórzył Buchanan. — Kiedy jest się w wojsku, wykonuje się rozkazy.

— Ale teraz nie jesteś w wojsku. I w ogóle nie musiałeś do niego wstępować.

— Mylisz się — powiedział Buchanan, myśląc o potrzebie ukarania samego siebie, po tym jak przyczynił się do śmierci brata. Szybko zdusił tę myśl, zaniepokojony, że pozwolił sobie na dekoncentrację. Juana. Musiał uważać. Zamiast o Tommym, powinien myśleć o Juanie.

— Mam wrażenie, że nigdy nie byłam tak zdenerwowana — powiedziała Holly.

— To tylko trema. Spróbuj się rozluźnić. Damy sobie radę. Muszę sprawdzić, jakie środki bezpieczeństwa stosuje Delgado. Twoja rola nie jest trudna. Po prostu przeprowadź z nim wywiad. Tobie nic nie grozi. Czego nie można powiedzieć o Delgado, kiedy już znajdzie sposób dobrania mu się do skóry.

Zaparkował na podjeździe przed rezydencją. Gdy wysiadł z samochodu, zauważył kolejnych strażników, a także ludzi pracujących w ogrodzie, którzy wydawali się bardziej zainteresowani gośćmi niż własnymi zajęciami. Spostrzegł też kamery, przewody pomiędzy szybami okien i metalowe skrzynki pośród krzewów — czujniki alarmowe.

Być może będę musiał znaleźć inne miejsce, pomyślał.

Tłumiąc podekscytowanie podał nazwisko swoje i Holly kamerdynerowi, który wyszedł na zewnątrz, żeby ich przywitać i zaprowadzić do chłodnego, wyłożonego marmurem westybulu. Minęli szerokie, kręcone schody i przeszli korytarzem do obitego mahoniem gabinetu, który pachniał woskiem i pastą do podłóg. Oprócz skórzanych mebli gabinet wypełniały myśliwskie trofea, a także rozliczne strzelby w lśniących szklanych szafkach.

Chociaż Buchanan nigdy nie spotkał Delgado, teraz poznał go natychmiast, gdy ten wstał zza biurka, z jeszcze bardziej zakrzywionym nosem i jeszcze bardziej arogancki niż na zdjęciach i taśmie wideo. Wydawał się jednak także bleśszy i chudszy, policzki miał zapadnięte, jakby prześladowała go choroba.

— Witam — powiedział.

Buchanan miał ciągle przed oczami obraz tego łotra gwałcącego i mordującego Marię Tomez. Po uzyskaniu potrzebnych informacji zamierzał go zabić.

Delgado podszedł bliżej. Mówił świetnie po angielsku, choć jego składnia wydawała się nieco sztuczna.

— Jest dla mnie zawsze wielką przyjemnością rozmawiać z przedstawicielami amerykańskiej prasy, szczególnie kiedy pracują dla tak szacownego periodyku jak „The Washington Post”. *Señorita...?* Proszę mi wybaczyć. Nazwisko, które podała mi sekretarka, wyleciało mi z głowy...

— Holly McCoy. A to jest mój tłumacz, Ted Riley.

Delgado uściskał im dłonie.

— Świetnie.

Ignorując Buchanana, całą uwagę zwracał na Holly, najwyraźniej zachwycony jej urodą.

— Ponieważ mówię po angielsku, nie będziemy potrzebowali tłumacza.

— Jestem także fotografem — rzekł Buchanan.

Delgado machnął lekceważąco dłonią.

— Na zdjęcia będziemy mieli czas później. *Señorita McCoy*, czy miałaby pani ochotę na drinka przed lunchem? Kieliszek wina?

— Dziękuję, ale jest odrobinę za wcześnie na...

— Oczywiście — przerwał jej Buchanan. — Z przyjemnością napijemy się wina. — Zapomniał poinstruować ją wcześniej, żeby nigdy nie odmawiała wypicia drinka osobie, od której chce uzyskać informacje. Odmowa ochładzała przyjacielski nastrój. Rozmówca zaczynał podejrzewać, że są jakieś specjalne powody, by się nie rozluźniać.

— Właściwie, czemu nie — zreflektowała się Holly. — Skoro mamy jeść lunch.

— Czerwone czy białe?

— Białe.

— Chardonnay?

— Świetnie.

— To samo dla mnie.

Delgado, nadal ignorując Buchanana, obrócił się w stronę służącego, stojącego przy drzwiach.

— *Lo haga*, Carlos. Zrób to.

— *Si, señor* Delgado.

Służący odziany w białą liberię wyszedł z gabinetu i zniknął w czeluściach korytarza.

— Proszę, niech pani siada.

Delgado poprowadził Holly ku jednemu ze skórzanych foteli. Buchanan ruszył za nimi, zauważając mężczyznę stojącego za szklanymi drzwiami wychodzącymi na patio. Mężczyzna był Amerykaninem po trzydziestce, dobrze ubranym, jasnowłosym, o przyjemnej twarzy.

Widząc wzrok Buchanana skinął głową i uśmiechnął się po chłopięcemu.

— Wiem, że Amerykanie nie lubią tracić czasu — mówił Delgado — więc, jeśli chcecie zadać mi parę pytań przed lunchem, to proszę bardzo.

Mężczyzna wszedł z patio do gabinetu.

— Ach, Raymond — powiedział Delgado. — Skończyłeś już spacer? Wejdz. Mam gości — chciałbym, żebyś ich poznał. *Señorita McCoy* z „The Washington Post”.

Raymond skinął z szacunkiem głową i podszedł do Holly.

— Miło mi. — Wyciągnął rękę.

Coś w uścisku jego dłoni wydało jej się dziwne. Raymond odwrócił się i podszedł do Buchanana.

— Jak się pan miewa, panie...?

— Riley. Ted.

Uścisnęli sobie dłonie.

W tej samej chwili Buchanan poczuł ukłucie w prawym nadgarstku. Pałący ból.

Palce zupełnie mu zdrętwiały.

Nagle zaniepokojony, spojrzał na Holly, która z rozpaczą wpatrywała się w swoją prawą dłoń.

— Jak długo to trwa? — zapytał Delgado.

— Nazywamy to „metodą dwustopniową” — powiedział Raymond. Zdjął sygnet i schował go do małego pudełka, a potem uśmiechnął się, choć jego błękitne oczy pozostały puste i zimne.

Holly opadła na kolana. Buchanan stracił czucie w prawej ręce. Holly runęła się na podłogę.

Buchanan poczuł sztywność w klatce piersiowej. Serce biło mu jak oszalałe. Zwalił się na ziemię.

Zrozpaczony, próbował wstać.

Nie mógł.

Nie mógł zrobić kompletnie nic.

Był zupełnie zdrętwiały. Jego kończyny nie chciały się poruszać. Stracił władzę w całym ciele.

Bezbronny spojrzał w górę i ujrzał wykrzywioną w ironicznym uśmiechu twarz Delgado.

Niebieskokooki Amerykanin stanął nad nim, też uśmiechając się zimno.

— Ten narkotyk pochodzi z półwyspu Jukatan. To tamtejszy odpowiednik kurary. Setki lat temu Majowie używali go do paraliżowania swoich ofiar, by te nie broniły się, kiedy wycinano im serca.

Buchanan, niezdolny do wykonania najmniejszego ruchu, słyszał chrapliwy oddech Holly.

— I wy lepiej też nie próbujcie walczyć — powiedział Raymond. — Wasze płuca mogłyby tego nie wytrzymać.

## 5

Helikopter z grzmotem ciął niebo. Ryk silnika wypełniał wibrujące wnętrze kabiny. Ale Buchanan nie czuł żadnej wibracji. Jego ciało nadal nie odbierało żadnych bodźców. Twarda zapewne podłoga kabiny mogła równie dobrze być puchowym materacem. Przedmioty twarde i miękkie, ciepłe i zimne, ostre i tępe nie różniły się niczym od siebie. Nie powodowały żadnych wrażeń w odrętwiałym ciele.

Dla kontrastu jednak zmysły wzroku i słuchu wyostrzyły się zdumiewająco. Każdy dźwięk w kabinie, a szczególnie bolesne rżenie Holly, docierał do Buchanana wzmocniony. Niebo widoczne za oknem maszyny miało barwę nieznośnie jaskrawego turkus. Gdyby nie litościwe drgania powiek, które — podobnie jak jego serce i płuca — nie były kontrolowane przez narkotyk, Buchanan lękałby się, że osłepnie od tego blasku.

Serce waliło mu jak oszalałe, częściowo oczywiście ze strachu. Zbierało mu się na wymioty, lecz wiedział, że jeśli zwymiotuje (zakładając, że jego żołądek nie był pod działaniem narkotyku), to zadławi się i bez wątpienia udusi. Nie mógł stracić panowania nad sobą. Jednocześnie im szybciej waliło mu serce, tym więcej powietrza domagały się płuca. Ale mięśnie klatki piersiowej nie chciały współpracować i mało brakowało, a opanowałaby go fala paniki wywołana okresem mimowolnej, duszącej hiperwentylacji.

Skoncentruj się, pomyślał. Skoncentruj.

Próbował wypełnić umysł uspokajającą mantrą. Starał się znaleźć jedną wszechogarniającą myśl, która odsunęłaby wszystko inne na bok. Juana, pomyślał. Juana. Juana. Muszę przeżyć, żeby jej pomóc. Muszę przeżyć, żeby jej pomóc. Muszę przeżyć, żeby ją uratować. Muszę...



Jego oszalałe serce nie przestawało przyspieszać. Płuca błagały o więcej tlenu. Nie. Mantra nie działała. Juana? Była tylko dalekim wspomnieniem, odległym o lata — dla Buchanana dosłownie o całe życie. Od tamtego czasu był tak wieloma osobami. Szukając jej — szukał właściwie siebie. Słuchał, jak Holly z trudem walczy o oddech, i nagle nowa, spontaniczna, odsuwająca wszystko na bok myśl wypełniła jego umysł — Holly, muszę pomóc Holly, muszę ją ocalić. Nie dla Petera Langa. Nie dla którejś ze swoich fałszywych tożsamości. Dla Brendana Buchanana. I to odkrycie stało się bodźcem, by po raz pierwszy, od czasu gdy zabił brata, spojrzeć w przód, a nie w tył. Brendan Buchanan miał cel i to cel nie mający nic wspólnego z nim samym. Celem tym było po prostu zrobienie absolutnie wszystkiego, żeby Holly wyszła z tego cała. Nie dlatego, że chciał, aby z nim była, lecz dlatego, że pragnął nade wszystko, by pozostała przy życiu. Wpędziwszy niegdyś sam siebie w potrzask — teraz znalazł w sobie oparcie. Podczas gdy serce nadal waliło mu jak oszalałe, wyczuł — po zmianie ciśnienia w uszach — że helikopter obniża lot. Nie mógł odwrócić głowy, żeby spojrzeć na siedzących obok siebie Delgado i Raymonda, ale słyszał ich rozmowę.

— Nie rozumiem, po co musiałem lecieć z wami — mówił Delgado.

— Taki rozkaz pan Drummond przekazał, mi przez radio, kiedy byłem w drodze do Cuernavaca — odparł Raymond. — Chce, żeby zobaczył pan, jak posuwają się roboty.

— To ryzykowne — rzekł Delgado. — Ktoś mógłby dojść do wniosku, że mam coś wspólnego z tym projektem.

— Podejrzewam, że o to właśnie panu Drummondowi chodziło. Czas, żeby spłacił pan swój dług.

— Co za bezwzględny sukinsyn.

— Pan Drummond uznałby te słowa za komplement. Proszę spojrzeć w dół. Już to widać.

— O mój Boże.

Ból? Buchann zdał sobie nagle sprawę, że wraca mu uczucie. Nigdy nie sądził, że będzie czekał na ból i że powita go jak teraz — z radością. Łaskotały go stopy. Dłonie zdawały się kłute szpilkami. Szwy w boku zaczynały swędzieć. Prawie zagojona rana po kuli pulsowała lekko. Miał wrażenie, że puchnie mu głowa, czuł, że wraca jego bezlitosna migrena. Te wszystkie doznania następowały stopniowo. Każde budziło nową nadzieję. Wiedział, że gdyby chciał, mógłby się poruszyć, ale nie śmiał tego robić. Musiał leżeć nieruchomo, upewnić się, że jego kończyny są znowu sprawne. Musiał poczekać na odpowiednią chwilę, a potem...

— Mniej więcej teraz działanie narkotyku powinno ustępować — usłyszał głos Raymonda.

Ktoś chwycił go mocno za lewy nadgarstek i zacisnął na nim żelazną szczękę kajdanek. Potem ręka została wygięta do tyłu i kajdanki zacisnęły się na prawej dłoni.

— Wygodnie? — Raymond mówił takim tonem, jakby zwracał się do kochanki.

Buchanan nie odpowiedział, udając, że nadal nie może się poruszyć. Słyszał zgrzyt i szcęk metalu, gdy skuwano Holly. Huk zelżał, a wycie łopat wirnika zmieniło natężenie, jakby helikopter siadał na ziemi. Pilot wyłączył silnik, łopaty zaczęły zwalniać, a ryk turbin przeszedł w przeciągły jęk.

Buchanan spodziewał się, że po otwarciu wjazdu oślepi go blask słońca. Tymczasem otoczył go cień. Mgła. Gdy helikopter schodził do lądowania, zauważył, że niebo stało się mniej przejrzyste, ale nie zwrócił na to specjalnej uwagi. Teraz opar wpelzł do kabiny, a smród był tak przenikliwie kwaśny, że Buchanan zakasłał mimowolnie. Ogień! Gdzieś w pobliżu coś musiało się palić. Kasłał dalej.

— Narkotyk unieruchamia na jakiś czas gruczoły ślinowe — powiedział Raymond, wyciągając Buchanana z kabiny i rzucając go na ziemię. — To sprawia, że zasycha ci w gardle. W gruncie rzeczy przez dłuższy czas będziesz miał je podrażnione. — Ton jego głosu sugerował, że cierpienia Buchanana sprawiają mu przyjemność.

Holly również zakaszlała, a potem jęknęła, kiedy Raymond wyciągnął ją z kabiny i rzucił obok Buchanana. Wokół kłębił się dym.

— Dlaczego palicie tyle drzew? — Delgado był zaniepokojony.

— Żeby jak najbardziej poszerzyć polanę i odpędzić tubylców.

— Ale czy od płomieni nie zajmie się...

— Pan Drummond wie, co robi. Wszystko zostało wzięte pod uwagę.

Raymond kopnął Buchanana w bok.

Ten jęknął, udając, że doznaje większego bólu niż w rzeczywistości. Był zadowolony, że Raymond nie kopnął go w bok zraniony nożem.

— Wstawaj — powiedział Raymond. — Nasi ludzie mają co innego do roboty niż cię nosić. Wiem, że możesz iść. Jeśli tego nie zrobisz, to dokopię cię do samego biura.

Żeby poprzeć swoje słowa przykładem, kopnął ponownie, tym razem mocniej. Buchanan podniósł się na kolana, zachwiał, a potem wstał z trudem. Miał zawroty głowy, a kłębiący się wokół dym sprawił, że, rozkaszał się ponownie.

Holly zrobiła kilka chwiejnych kroków, omal się nie przewracając, a potem odzyskała równowagę. Z przerażeniem spojrzała na Buchanana. Starał się przybrać uspokajający wyraz twarzy. Bez powodzenia.

Raymond pchnął ich, powalając niemal na ziemię. Potem pognął więźniów do szerokiego budynku z drewnianych bali, częściowo zasłoniętego przez dym.

Uwagę Buchanana zwróciło zamieszanie panujące wokoło: śpieszący się robotnicy, ryczące buldożery i ciężarówki, dźwigi unoszące belki i rury. W pewnym momencie zdawało mu się, że słyszy strzał przebijający się przez ten hałas, a potem nagle ujrzał porozrzucane w przodzie kamienne bloki pokryte hieroglifami, pochodzące najwyraźniej z ruin. Tu i ówdzie widział zwalone resztki starożytnych świątyń. Gdy dym rozwiął się na chwilę, zobaczył piramidę — nie wykonano jej jednak z kamiennych bloków.

Była wysoka i szeroka, zbudowana ze stali. Buchanan nigdy nie widział czegoś podobnego. Konstrukcja przypominała gigantyczny trójnóg z dziwnymi wzmoczeniami łączącymi ukośne nogi. Chociaż Buchanan widział coś takiego po raz pierwszy w życiu, instynktownie wiedział, co to jest, co mu przypomina. Dźwig do wydobywania ropy. Czy to ropa sprowadziła tutaj Drummonda? — pomyślał. Ale dlaczego dźwig ma taką dziwną konstrukcję?

Gdy zbliżyli się do okrytego dymem budynku, Raymond otworzył drzwi, a potem wepchnął Buchanana i Holly do środka.

Buchanan niemal upadł. Znalazł się w mrocznym, pachnącym pleśnią wnętrzu i minęła chwila, zanim jego oczy przyzwyczyły się do przytłumionego światła napędzanych generatorami żarówek. Stał, wyprostował się, czując, że Holly zatrzymuje się obok niego, i podniósł wzrok, by znaleźć się twarzą w twarz z Alistairem Drummondem.

## 6

Żadne ze zdjęć w biografii ani artykułach prasowych nie oddawało władczego sposobu bycia Drummonda. Jego głęboko osadzone, ukryte za grubymi szklami okularów oczy patrzyły nieruchomo i penetrujące. Mimo zaawansowanego wieku głos miał potężny i wyniosły, choć skrzekliwy.

— Panie Buchanan — powiedział.

Buchanan drgnął, zaskoczony.

Drummond zmrużył oczy, a potem zwrócił się ku Holly.

— Panno McCoy, ufam, że nie cierpiała pani niewygód podczas lotu. *Señor* Delgado, cieszę się, że mógł pan do nas dołączyć.

— Nie miałem wyboru.

— Oczywiście, że ma pan wybór. Może pan iść do więzienia albo zostać następnym prezydentem Meksyku. Co pan woli?

Raymond zamknął wcześniej drzwi. Teraz ktoś otworzył je ponownie i do środka wdarła się kakofonia ryków ciężkiego sprzętu. Buchanan ujrzał kobietę w zakurzonych dżinsach i przepoconej roboczej koszuli, trzymającą długie rulony grubego kartonu, wyglądające jak mapy.

— Nie teraz, do diabła! — — zagrzmiał Drummond.

Kobieta wyglądała na zaskoczoną. Wycofała się niezgrabnie z budynku i zamknęła za sobą drzwi.

Drummond ponownie spojrzął na Delgado.

— Idzie nam szybciej, niż przewidywałem. Jutro rano powinniśmy być gotowi do pompowania. Chcę, żeby po powrocie do Mexico City załatwił pan niezbędne sprawy. Niech pan powiadomi swoich ludzi, że wszystko jest na miejscu. Nie chcę żadnych kłopotów. Pieniądze zostały przekazane. Oczekuję pełnej współpracy.

— Sprowadził mnie pan tutaj, żeby mi powiedzieć to, co już i tak wiem?

— Sprowadziłem cię, żebyś zobaczył, za co sprzedajesz swoją duszę — odparł Drummond. — Inaczej mógłbyś zapomnieć o podpisanym cyrografie. W celu odświeżenia twojej pamięci pokażę ci, co stanie się z tą dwójką.

Ruchem zaskakująco płynnym jak na swój wiek obrócił się ku Buchananowi i Holly.

— Jak dużo wiecie?

— Znalazłem to w jej torbie — powiedział Raymond kładąc na stole kasetę wideo.

— No, no — rzekł Drummond.

— Przejrzałem ją u Delgado.

— I?

— Kopia nie jest najlepsza, ale występ Delgado jak zawsze sprawia duże wrażenie. Nigdy nie mogę oderwać od niego wzroku.

— A zatem wiecie więcej, niż powinniście — powiedział Drummond do Buchanana i Holly.

— Niech pan posłucha, to nie nasza sprawa.

— To się zgadza.

— Nie obchodzi mnie ropa ani to, co pan robi, żeby ukarać Delgado — rzekł Buchanan. — Ja chcę tylko znaleźć Juanę Mendez.

Drummond uniósł swoje gęste siwe brwi.

— Cóż, w tym akurat nie jest pan odosobniony.

Spojrzeli na siebie i nagle Buchanan wszystko zrozumiał. Juana zgodziła się pracować dla Drummonda i udawać Marię Tomez, lecz po kilku miesiącach poczuła się uwięziona albo zagrożona, lub po prostu miała już dość Drummonda. Jakikolwiek były jej motywy, zerwała umowę i uciekła. Nie mogąc ryzykować telefonu do przełożonych Buchanana, a chcąc skontaktować się z nimi tak, by nikt z zewnątrz nie zrozumiał wiadomości, wysłała tajemniczą pocztówkę, którą tylko on mógł odszyfrować. W tym samym czasie ludzie Drummonda szukali jej gorączkowo, obstawiając oba domy w San Antonio i każde inne miejsce, do którego, jak podejrzewali, mogła się udać. Musieli mieć gwarancję, że będzie milczała. Gdyby świat dowiedział się prawdy o Marii Tomez, Drummond nie mógłby już kontrolować Delgado. Bez Delgado nie zdołałby przeprowadzić swojego projektu. Przemysł naftowy w Meksyku został nacjonalizowany jeszcze w latach trzydziestych. Obcokrajowcom nie wolno było mieć w nim

takich wpływów, jakie najwyraźniej zyskał Drummond. To, że ropa znajdowała się na terenie odkrycia archeologicznego, stało się jeszcze poważniejszym problemem, choć wszystko wskazywało na to, że Drummond rozwiązał tę kwestię jednym bezwzględny, karygodnym posunięciem — zniszczeniem ruin. Po objęciu stanowiska prezydenta Delgado miałby władzę nad politykami. Z Drummondem zawarty zostałby cichy układ. Za odkrycie i umożliwienie eksploatacji złoża Drummond otrzymywałby potajemnie ogromne sumy, porównywalne z tymi, które firmy naftowe zarabiała przed nacjonalizacją. Buchanan wyczuwał, że to nie wszystko. Było coś jeszcze, lecz zajęty ratowaniem własnego życia nie miał czasu, by się nad tym zastanawiać.

— Czy wiecie, gdzie jest Juana Mendez? — zapytał Drummond.

— Z tego co wiem, równie dobrze mogłaby siedzieć za sterami któregoś z tych buldożerów — odparł Buchanan.

Drummond zachichotał.

— Co za poczucie humoru. Stanowi pan prawdziwą ozdobę Sił Specjalnych.

Te słowa zaskoczyły Buchanana. Ale tylko na chwilę.

— Rozumiem. Samochód, który wynająłem w Nowym Orleanie, żeby pojechać do San Antonio.

Drummond skinął głową.

— Użył pan swojej własnej karty kredytowej.

— Nie miałem wyboru. To była jedyna karta, jakiej mogłem użyć.

— Ale dzięki niej osiągnąłem pewną przewagę — rzekł Drummond. — Kiedy moi ludzie ujrzeli pana przed domem Mendezów w San Antonio, zapisali numer rejestracyjny wozu i sprawdzili, kto wynajął samochód, badając następnie pańską tożsamość.

Tożsamość, pomyślał Buchanan. Po tylu latach unikania śmierci jako ktoś inny, zginę pewnie teraz z powodu mojej własnej tożsamości. Był kompletnie wyczerpany. Bolały go rany. Coraz bardziej kręciło mu się w głowie. Nie miał już sił.

A potem spojrział na Holly, zobaczył przerażenie w jej oczach i mantra ponownie wypełniła mu umysł. Muszę przetrwać, żeby pomóc Holly. Muszę uratować Holly.

— Jest pan instruktorem od manewrów taktycznych — powiedział Drummond.

Buchanan znieruchomiał. Instruktorem? A więc Drummond nie dotarł do jego prawdziwej tożsamości.

— Czy znał pan Juanę w Fort Bragg? — ciągnął Drummond.

Buchanan desperacko próbował wejść w rolę, znaleźć ką, z którego mógłby się bronić.

— Zgadza się.

— Jak to możliwe? Ona pracowała w wywiadzie. Co wywiad ma wspólnego z...

Nagle doznał olśnienia. Zdecydował się zagrać najbardziej niebezpieczną rolę w swoim życiu. Siebie samego.

— Niech pan posłucha — przerwał — nie jestem instruktorem, a praca Juany dla wywiadu była tylko przykrywką.

Drummond wyglądał na zaskoczonego.

— Szukam Juany Mendez, ponieważ dostałem od niej pocztówkę z zakodowaną prośbą o pomoc. Prośba musiała być zakodowana, ponieważ ja teoretycznie nie istnieję. Juana należała kiedyś — a ja wciąż należę — do jednego z oddziałów Operacji Specjalnych, tak tajnego, że równie dobrze mogłyby dowodzić nim duchy. Troszczymy się zarówno o swoich obecnych, jak i byłych członków. Kiedy otrzymałem SOS od Juany, mój oddział wysłał mnie, żebym sprawdził, co się dzieje. Regularnie składałem meldunki. Moja grupa nie wie nadal, gdzie jest Juana, ale wie, że ja pojechałem do Cuernavaca. Wiedzą, że szukałem Delgado, a po Delgado pana. Nie zdołają dotrzeć tutaj za mną, nie od razu, z pewnością, nie przed tym, nim przesłuchają Delgado. Ale

przesłuchają go i potem dotrą do pana, a proszę mi wierzyć, ci ludzie wiedzą, co to ofiara i lojalność. Jeśli mnie nie znajdą, zniszczą pana. W tej chwili ja i Holly McCoy jesteśmy pana najcenniejszymi aktywami.

Drummond westchnął. Buchananowi zdawało się, że na zewnątrz przez stłumiony ryk ciężkiego sprzętu przebił się huk kolejnego wystrzału.

— Doskonała pozycja do negocjacji, jak na coś, co musiał pan wymyślić na oczekaniu — powiedział Drummond. — Jestem kolekcjonerem, wiedział pan o tym? Stąd moja obecność tutaj. Dziennikarze — skinął na Holly — zawsze zastanawiali się, jaki motyw mną kieruje. Co pani sądzi, panno McCoy?

Mimo że wyraźnie przestraszona, Holly zdołała wykrztusić:

— Władza.

— Częściowo słusznie. Ale tylko w bardzo uproszczonym sensie. Tym, co mnie napędza, co daje mi siłę, jest żądza bycia kimś wyjątkowym. Posiadania wyjątkowych rzeczy, znajdowania się w wyjątkowych sytuacjach, kontrolowania wyjątkowych ludzi. Zainteresowałem się Jukataniem z powodu mojej kolekcji. Trzy lata temu pewien człowiek zjawił się u mnie z niezwykle wartościowym przedmiotem. Starożytni Majowie mieli swój własny odpowiednik ksiąg. Były to drugie kawałki cienkiej kory, składane na podobieństwo harmonijek. Historycy nazywają je kodeksami. Kiedy Hiszpanie najechali te ziemie w XVI wieku, pragnęli zniszczyć tutejszą kulturę i zastąpić ją własną. W swej gorliwości spalili biblioteki Majów. Uważa się, że przetrwały tylko trzy oryginalne kodeksy. Czwarty może być fałszerstwem. Ale istnieje piąty kodeks. Jest autentyczny i znajduje się w moim posiadaniu. Jest też absolutnie unikatowy, ponieważ w odróżnieniu od pozostałych, będących tylko długimi spisami, ten zawiera konkretne informacje. Oczywiście wtedy o tym nie wiedziałem. Kupiłem go, ponieważ było mnie na to stać i ponieważ nie chciałem, żeby trafił się komuś innemu. Byłem naturalnie ciekaw, co oznaczają hieroglify, więc wynająłem najlepszych na świecie znawców pisma Majów. Można powiedzieć, że kupiłem ich na własność. I w końcu dowiedziałem się, że tekst mówi o istnieniu ogromnego złoża ropy na tym terenie. Majowie nazywali je bogiem ciemności, bogiem czarnej wody, bogiem, który wypływa spod ziemi. Z początku myślałem, że to przenośnie. Ale potem zrozumiałem, że tekst należy rozumieć dosłownie. Autorzy podkreślali z naciskiem, że boga kontrolują świątynie i wielka piramida, ale opisane miejsce nie pasowało do żadnych znanych ruin. Na początku tego roku, dzięki zdjęciom z promu kosmicznego, odkryto te budowle. Ponieważ miałem władzę nad Delgado, mogłem przejąć kontrolę nad tym miejscem, sprowadzić moich własnych ludzi, odizolować cały teren i szukać.

— A w efekcie zniszczyć ruiny — rzekł Buchanan.

— Nieunikniona konieczność. — Drummond wzruszył ramionami. — Poza tym ja je widziałem. Dlaczego miałoby mnie obchodzić, czy zobaczy je ktoś jeszcze? Nie chciałem rozpoczynać wierceń, dopóki nie uzyskałem absolutnej pewności. Okazało się, że ropa wydostaje się na powierzchnię dokładnie tam, gdzie podaje tekst. Pod piramidą. Piramida stała nad ropą, zatykała jej ujście, kontrolowała boga ciemności. Na tym nie kończy się wyjątkowość całej sprawy. Ropa na Jukatanie nie znaczy nic, jeśli nie można się do niej dostać. Ten teren jest tak niepewny, że zwyczajny sprzęt byłby zupełnie bezużyteczny. To dlatego nikt inny nie próbował prowadzić tu poszukiwań. Ciągłe trzęsienia ziemi zniszczyłyby zwykłe dźwigi, ale mój sprzęt jest jedyny w swoim rodzaju. Został tak zaprojektowany, żeby dzięki swojej elastyczności przetrzymać wstrząsy. W ten sposób geologowie mogą teraz szukać ropy na terenach, które wcześniej pomijano, ponieważ nie dało się eksploatować złoża. Oczywiście będą musieli płacić mi słono za prawo używania mojego sprzętu, ale mimo to nie sądzę, żeby kiedykolwiek znaleźli złoża równie

bogate. Jest wielkości złóż kuwejckich — gigantyczne. I tu dopiero sytuacja staje się naprawdę niezwykła. Kiedy przygotujemy złożę do eksploatacji, ropa wcale nie będzie wydobywana.

Buchanan musiał zdradzić swoje zdumienie, gdyż oczy Drummonda załśniły w odpowiedzi.

— Tak. Rzucenie takiej ilości ropy na światowy rynek doprowadziłoby do załamania się cen. Oznaczałoby to prawdziwą katastrofę dla państw eksportujących ten surowiec. Kiedy Delgado zostanie prezydentem, wynegocjuje z nimi cenę, za którą Meksyk nie będzie sprzedawał swojej ropy. Ja ustalę tę cenę. W efekcie świat zużyje mniej ropy. W tym sensie można powiedzieć, że jestem dobroczyńcą. — Drummond zaśmiał się ironicznie.

— A może chce pan tylko włączyć cały świat do swojej kolekcji — rzekł Buchanan.

— Teraz mówimy o tym, czy pańskie argumenty są na tyle przekonujące, bym chciał włączyć pana do tej kolekcji. — Drummond spojrział na Raymonda. — Dowiedz się, czy ten tajny oddział Operacji Specjalnych to prawda.

## 7

Słońce wisiało nisko, nie przenikając kłębow kwaśnego dymu spowijających całą okolicę. Buchanan zakaszał ponownie, kiedy jego i Holly pchnięto przez opary w stronę jedynej części ruin, którą oszczędzono.

— Boisko do gry w piłkę — powiedział Drummond.

Kłęby dymu uniosły się na tyle, że Buchanan mógł ujrzeć płaską kamienną powierzchnię długą na trzydzieści metrów i szeroką na osiem. Wzdłuż obu boków ciągnęły się pięciometrowej wysokości ściany, na szczycie których znajdowały się tarasy dla widzów. Drummond, a za nim Delgado i strażnicy otaczający Holly, weszli na jeden z nich. Holly wyglądała na śmiertelnie przerażoną. Zdjęto jej kajdanki. Teraz nerwowo masowała sobie przeguby. Buchanan zrobił to samo, próbując pobudzić krążenie krwi w zdrętwiałych dłoniach. Ogarnęło go zdenerwowanie, kiedy przyjrzał się ścianom otaczającym boisko, hieroglifom i płaskorzeźbom wyrzonym w kamieniu.

— Akustyka boiska jest zdumiewająca. — Drummond przemówił z tarasu spoglądając na Buchanana. — Mówię normalnym głosem, a mimo to wydaje się, że używam mikrofonu.

Pomimo ryku ciężkiego sprzętu w tyle, pomimo bliskiego trzasku płomieni i rozlegających się od czasu do czasu strzałów, Buchanan wyraźnie słyszał słowa Drummonda. Skrzekliwy głos rósł i potężniał odbijany echem.

— Grę nazywano *pok-a-tok* — mówił Drummond. — Jeśli przyjrzyście się płaskorzeźbom na ścianie pode mną, zobaczycie, na czym polegała. Używano gumowej piłki odpowiadającej wielkością i ciężarem naszej piłce lekarskiej. Trzeba było wrzucić piłkę do pionowego kamiennego pierścienia stojącego pośrodku tej strony boiska. Identyczny pierścień znajduje się po drugiej stronie, stanowiąc najpewniej cel drużyny przeciwnej. Starożytni Majowie uważali *pok-a-tok* za coś więcej niż tylko zabawę. Dla nich gra miała ogromne znaczenie polityczne i religijne. Według mitologii, dwaj bogowie, którzy zapoczątkowali ich rasę, zrobili to wygrywając w piłkę z innymi bogami. Istnieją dowody świadczące o tym, że nisko urodzonym nie pozwalano obserwować gry. Jediną publiczność stanowiła rodzina królewska, arystokracja i kapłani. Inne dowody mówią nam, że *pok-a-tok* było wstępem do rytuału składania ofiar z ludzi i że grano w nie najczęściej z jeńcami, członkami innych plemion.

— Stawką było życie.

Głos Raymonda rozległ się nagle z tyłu i Buchanan odwrócił się błyskawicznie.

To, co ujrzał, zdumiało go. Sprawilo, że oniemiał. Zachwiało jego poczuciem zdrowego rozsądku. Przez chwilę wmawiał sobie, że ma przywidzenia, że zmęczenie w połączeniu z urazami głowy zaburzyło jego percepcję.

Jednak gdy Raymond wyszedł z chmury dymu, oblany szkarłatnym blaskiem zachodzącego słońca, Buchanan musiał stwierdzić, że to, co widzi, jakkolwiek groteskowe, jest całkowicie, rozpaczliwie realne.

Raymond był częściowo nagi. Pas i genitalia zakryte miał grubymi skózanymi przepaskami. Podobny pancerz ochraniał jego ramiona, łokcie i kolana. Pierś miał nagą. Widoczne mięśnie zdradzały siłę i wytrzymałość, którą mógł osiągnąć tylko w wyniku wielogodzinnych, codziennych ćwiczeń.

Buchanan, który przed rozpoczęciem swojego zadania w Meksyku znajdował się w doskonałej formie, teraz na skutek osłabienia po odniesionych urazach czuł się marnie.

Skórzana zbroja Raymonda wyglądała wystarczająco groteskowo. Ale tym, co potęgowało rozpaczliwe wrażenie nierealności, był jego hełm, z którego zwisały do tyłu długie, błyszczące, różnobarwne pióra. Zupełnie jakby to wojownik Majów przeszedł nie tylko przez dym, ale i przez otchłań czasu. Na dodatek Raymond miał w rękach dużą kulę, którą teraz rzucił na kamienną płytę boiska. Kula upadła i potoczyła się z łoskotem wskazującym, jak jest ciężka i twarda. Raymond rzucił Buchananowi pod nogi skórzane przepaski.

— Rozbierz się i włóż je.

— Akurat.

Raymond podniósł piłkę i cisnął nią w Buchanana, który zrobił unik, ale zbyt wolno, gdyż wciąż odczuwał skutki działania narkotyku. Muśnięcie kuli o lewe ramię było zdumiewająco bolesne.

— Rozbierz się i załóż pancerz, bo inaczej nie przetrwasz nawet trzydziestu sekund gry — powiedział Raymond.

Buchanan wykonywał polecenie powoli, aby zyskać na czasie. Stojąca w górze Holly wyglądała na jeszcze bardziej przerażoną. Gorączkowo próbował wymyślić jakiś sposób ucieczki, ale żaden plan nie wydawał się odpowiedni wobec strażnika stojącego obok Holly z pistoletem maszynowym w dłoniach. Strażnik zastrzeliłby go, nim zdążyłby wspiać się na taras.

Buchanan nakładał szorstką, grubą, skózaną zbroję, czując przenikliwie zimno pomimo potu spływającego mu po skórze.

— Zaprojektowałem te przepaski — rzekł Raymond — na podstawie rysunków ze ścian. — Wskazał na lewo, poniżej pionowego kamiennego kręgu wystającego ze szczytu ściany. — Ta płaskorzeźba interesuje mnie szczególnie.

Buchanan spojrzał w tamtą stronę i przez chwilę wydawało mu się, że postać mężczyzny wryta w kamieniu — wojownika w pancerzu, z pierzastym hełmem — do złudzenia przypomina samego Raymonda.

— Kiedy po raz pierwszy stanąłem na tym boisku — mówił Raymond — poczułem się, jakbym wrócił do domu. Jakbym tu już kiedyś był, grał tutaj. Dawno, dawno temu.

Buchanan wciąż patrzył na płaskorzeźbę. Zauważył ze zgrozą, że wojownik trzyma za włosy uciętą ludzką głowę, z której ciekłą strumienie krwi.

— To właśnie miałem na myśli, kiedy mówiłem o życiu i śmierci — rzekł Raymond. — Widzisz, karą dla przegranych była egzekucja. A zwycięzca? Nie tylko zachowywał życie. Miał też przyjemność pełnić funkcje kata.

— O czym my mówimy? — zapytał zniecierpliwiony Buchanan. — Chcesz mi powiedzieć, że jeśli wygram, to odejdę wolny?

Jeśli nie liczyć stłumionego warkotu maszyn w tle, na boisku zapanowała cisza.

— Tak właśnie myślałem — rzekł Buchanan. — Bez względu na wynik i tak nie mam szansy wygrać.

— Podobnie mogło być w czasach Majów — odezwał się nagle Drummond beznamiętnie.

— Co to ma oznaczać?

— Kilku badaczy ich kultury twierdzi, że to nie przegranych zabijano, lecz zwycięzców.

— To absurdalne — odparł Buchanan. — Kto chciałby wtedy grać?

— Raymond zgadza się z tobą — rzekł Drummond. — Ale teoria głosi, że zwycięstwo było takim zaszczytem, że stawiało cię na równi z bogami. Następnym logicznym krokiem była egzekucja, żeby zwycięzca mógł zająć należne mu miejsce pomiędzy władcami nieba.

— Wygląda na to, że jedynymi prawdziwymi zwycięzcami byli widzowie.

— Tak — zgodził się Drummond. — Jak mówiłem, interesuje mnie to, co wyjątkowe. A teraz będę miał okazję stać się świadkiem jedynego w swoim rodzaju spektaklu. Po raz pierwszy od pięciuset lat rozegrany zostanie pojedynek *pok-a-tok*. Dla mnie.

— A w jaki to sposób ma on wykazać, czy mówiłem prawdę o grupie Operacji Specjalnych, która przybędzie tu po mnie? Czy mam zacząć się spowiadać, żeby nie odcięto mi głowy?

— Och, myślę, że w trakcie gry będzie pan miał wiele bolesnych okazji, by to zrobić — rzekł Drummond. — Ale nie o pana mi chodzi. Interesuje mnie panna McCoy. Podejrzewam, że po tym, co zobaczy, sama będzie chciała powiedzieć mi prawdę. W zamian za przerwanie tego, co będzie się z panem działo.

— To nic nie da — powiedział Buchanan. — Ona nie ma pojęcia o moim oddziale.

— Być może. Wkrótce się dowiemy. Raymondzie, jeśli jesteś gotowy...

## 9

Kula uderzyła Buchanana w plecy z taką siłą, że upadł na kamienną podłogę, szorując brodą o jedną z płyt. Podejrzewał, że gdyby nie skórzany pancerz, kula złamałaby mu parę żeber. Zdyszany, ignorując ból, poderwał się na nogi i skoczył w kierunku piłki. Raymond znalazł się tam w tej samej chwili.

Buchanan trzasnął go łokciem w bok, odrzucając o parę metrów. Następnie chwycił zaskakująco ciężką kulę i cisnął w przeciwnika, nim tamten zdążył złapać równowagę. Raymond jęknął i poleciał w tył, gdy piłka uderzyła go w udo i odbiwszy się od skórzanej osłony, upadła na kamienną podłogę.

— Nie, nie, nie — powiedział Drummond z tarasu. — To zupełnie nie tak. Celem gry jest wrzucenie kuli do kamiennego pierścienia, a nie ciskanie nią w przeciwnika.

— To dlaczego, u diabła, nie powiedział pan tego Raymondowi, kiedy rzucił nią we mnie na samym początku? Po co niby to zrobił?

— Żeby zwrócić twoją uwagę — stwierdził Raymond.

— Ile punktów potrzeba do wygranej?

— Cóż, to jest problem.



— Tak właśnie myślałem.

— Nie, nie rozumiesz — rzekł Drummond. — Po prostu nikt nie wie, ile punktów trzeba zdobyć, żeby wygrać. Ta informacja nie zachowała się do naszych czasów. Musimy improwizować.

— Dziesięć — uśmiechnął się Raymond.

— Dziesięć — czego? — zapytał Buchanan z wściekłością. — Chcesz powiedzieć, że trzeba wygrać przewagą dziesięciu punktów? Na miłość boską, co ty wygadujesz?

— Do dziesięciu. Kto pierwszy zdobędzie dziesięć, ten wygrywa.

— A potem co?

— To zależy od odpowiedzi, które uzyskam od pana i panny McCoy — rzekł Drummond.

Bez ostrzeżenia Buchanan skoczył po piłkę, chwycił ją i pobiegł w kierunku kamiennego pierścienia. Gdy celował przed rzutem, Raymond wpadł na niego całym impetem, uderzając barkiem w ramię i odrzucając pod kamienny mur.

Buchanan jęknął, obrócił się i grzotnął kulą w pierś przeciwnika. Nie wypuszczając piłki obracał się dalej, gdy Raymond odchylił się do tyłu. Stając pod kamiennym pierścieniem cisnął piłkę i poczuł falę podniecenia, kiedy ciężka kula przeleciała przez pionowy krąg. W tej samej chwili dłonie Raymonda uderzyły go w plecy i Buchanan poleciał na ziemię, ponownie ocierając się brodą o kamienną posadzkę.

Jezu, pomyślał. Tylko nie głowa. Nie mogę uderzyć się w głowę. Jeśli doznam kolejnego wstrząsu...

Podniósł się na nogi, otarł krew z brody i spojrzał z wściekłością na swego prześladowcę.

— Nie, nie, nie — znowu rozległ się głos Drummonda. — Gracie wbrew regułom.

— Powiedz to Raymondowi! — krzyknął Buchanan. — To ja wrzuciłem piłkę do otworu.

— Ale nie zrobiłeś tego zgodnie z zasadami!

— O czym ty, u diabła, mówisz?

— Używanie rąk jest zabronione!

— Zabronione?

— Nie wiemy zbyt wiele na temat zasad gry. — Drummond gestykułował mocno. — Ale wiemy jedno. Poza podnoszeniem piłki z ziemi, nie wolno używać rąk. Wprawia się ją w ruch za pomocą ramion, barków, bioder, kolan i głowy.

Myśl o uderzeniu piłki głową sprawiła, że Buchanan skulił się w duchu. Coś takiego musiałoby go zabić.

— Za złamanie reguł otrzymujesz punkt karny. Teraz musisz uzyskać ich jedenaście, podczas gdy Raymond tylko dziesięć. Chyba, że i on naruszy zasady.

— Jasne. Wygląda na to, że on będzie wymyślał reguły w trakcie gry, a ja będę łamał prawa, których jeszcze nie wynaleziono.

— Po prostu graj — powiedział Raymond.

Zanim Buchanan zdążył zareagować, Raymond skoczył ku piłce, chwycił ją oburącz, wyrzucił w powietrze, następnie przyjął na wyciągnięte przedramiona i ponownie pchnął w górę, bez kłopotów zdobywając punkt.

Kula wylądowała z dudnieniem u stóp Buchanana.

— Raymond, odnoszę wrażenie, że sporo trenowałeś.

— Doskonale! — zawołał Drummond. — Podoba mi się zawodnik, który z wdziękiem traci punkt.

— Ale założę się, że zwycięzców lubi pan bardziej.

— Więc spraw, żebym i ciebie polubił. Wygraj.

Buchanan zdołał chwycić piłkę. W tej samej chwili Raymond skoczył i podciął go, pozbawiając równowagi.

Buchanan upadł do tyłu, czując ciężar piłki na piersiach. Uderzył mocno o posadzkę, choć skórzany pancerz zneutralizował nieco siłę upadku. Pomimo to bolesny spazm przeszył ramię z nie zagojoną jeszcze raną od postrzału. Buchanan stęknął.

Raymond wyrwał mu piłkę z rąk, podrzucił ją w górę, i w tym samym stylu co poprzednio zdobył kolejny punkt.

— Tak, widać, że trenowałeś. — Wstając Buchanan poczuł, że jego ciało zaczyna sztywnieć.

— To wcale nie jest zabawne. Musisz się bardziej starać — powiedział Drummond gniewnie.

Nieoczekiwanie Buchanan skoczył po piłkę, chwycił ją między przedramiona i zamiast pobiec w stronę pierścienia, poczekał, aż Raymond zaatakuje, chcąc trafić go barkiem. Wówczas zrobił unik. Przyciskając kulę do piersi i schodząc z drogi nacierającemu przeciwnikowi, dźgnął go łokciem, aż ten zgiął się wpół i zatrzymał przyciskając rękę do lewego boku. Buchanan natychmiast pobiegł pod pierścień, stanął do niego plecami chcąc mieć Raymonda na oku, a potem zaryzykował spojrzenie, w górę, oceniając odległość od pierścienia, i rzucił piłkę do tyłu. Odetchnął z satysfakcją, gdy czysto przeleciała przez kamienne ucho.

— Doskonała koordynacja — powiedział Drummond. — Wygląda na to, że nieobca ci jest koszykówka. Ale ta gra ma też wiele wspólnego z piłką nożną i siatkówką. Byłeś w tym dobry?

Buchanan słuchając zdekoncentrował się na moment i nagle otrzymał potężne uderzenie głową w splot słoneczny. Upadł na ziemię.

Wijąc się próbował złapać oddech. W tym czasie Raymond przejął kontrolę nad piłką i zdobył kolejny punkt.

— Jak się nazywa twój oddział w Operacjach Specjalnych? — zapytał Drummond. — Ta mityczna grupa, która przybędzie, żeby cię uratować, i ukarze mnie, jeśli cię skrzywdzę.

Buchanan wstał chwiejnie, otarł krew z brody i spojrzał z ukosa na Raymonda.

— Zadałem ci pytanie — zawołał ostro Drummond. — Jak się nazywa twój oddział?

Buchanan udał, że startuje po piłkę. Raymond ruszył, żeby mu przeszkodzić. Zrobił więc zwód i zaszedł go od przeciwnej strony, po czym raz jeszcze rąbnął opancerzonym łokciem w lewą nerkę.

Raymond jęknął z bólu i z rozpostartymi ramionami padł na piłkę. Buchanan wyszarpnął ją i właśnie przymierzył się do rzutu, gdy nagle otrzymał potężne uderzenie pięściami w plecy.

Upadł na twardą kulę, która wbiła mu się w żołądek. Raymond przygniótł go całym swoim ciężarem i przez długą chwilę Buchanan nie mógł oddychać. Dusił się.

Potem prześladowca wstał i Buchanan zsunął się z piłki, stękając, wiedząc, że ma skaleczony brzuch — a co gorsza, że popękały mu szwy w ranie po nożu ukrytej pod skórzanym pancerzem na prawym boku.

Raymond tymczasem poderwał piłkę i rzucił bez widocznego wysiłku, zdobywając kolejny punkt.

Piłka upadła na ziemię, a dudniące echo rozniosło się po boisku. W tle nadal słychać było ryk ciężkiego sprzętu. Płomienie trzaskały. Od strony lasu dobiegł huk wystrzału. Dym, zabarwiony na czerwono przez zachodzące słońce, kłębił się nad boiskiem.

Drummond kaszlnął raz, drugi i rozkaszał się na dobre.

Flegma wypełniła mu gardło. Wreszcie splunął i powiedział:

— Musisz bardziej się starać. Jaka jest nazwa twojego oddziału Operacji Specjalnych?

Zeszytniały, zmęczony, obolały, Buchanan wstał. Jeśli on i Holly mieli wydostać się z tego żywi, musiał przekonać Drummonda, że konsekwencje zabicia zakładników byłyby dla niego katastrofalne.

— Nazwisko, stopień i numer — powiedział Buchanan. — Ale prędzej pójde do piekła, niż zdradzę ci poufne informacje.

— Nie wiesz jeszcze, jakie może być piekło — odparł Drummond. — Nazwa twojego oddziału Operacji Specjalnych?

Buchanan skoczył po piłkę. Chociaż każdy ruch wymagał ogromnego wysiłku, musiał próbować. Musiał zapomnieć o lepkiej wilgoci pod skórzaną opaską na prawym boku i przemóc ból.

Widząc nadbiegającego przeciwnika przyspieszył i zaskoczył go nagłym kopnięciem powyżej żołądka.

Uderzenie było tak mocne, że Raymond wyleciał w górę. Obróciwszy się w powietrzu, wylądował na boku, przeturlał się kawałek, po czym skoczył na równe nogi i rąbnął Buchanana przedramieniem w twarz z taką siłą, że zaszczekały mu zęby.

Buchanan cofnął się oślepiiony. W tym momencie otrzymał kolejne uderzenie i znowu poleciał w tył.

Trysnęła krew. Ogłuszony, nie widząc dobrze, przygotował się na trzeci cios, osłaniając twarz i robiąc unik w lewo.

— Jaka jest nazwa twojego oddziału? — zagrmiał Drummond.

Raymond uderzył ponownie, miażdżąc mu wargi.

I nagle Buchanan nie miał już gdzie się cofać. Stał zablokowany pod kamienną ścianą boiska. Zamroczony, ujrzał Raymonda szykującego się do kolejnego ciosu.

— Nazwa twojego oddziału! — krzyknął Drummond.

— Żółty Owoc — wyrwało się Holly.

— Żółty... — Drummond zdawał się nie rozumieć.

— Chciałeś nazwy oddziału? Oto ona! — Głos Holly łamał się z przerażenia. — Przestańcie. Mój Boże, spójrzcie, jak krwawi. Nie widzicie, jak strasznie jest pobity?

— O to mniej więcej chodzi — powiedział Raymond i uderzył znowu.

Buchanan opadł na kolana.

Dalej, Holly. Buchanan starał się coś zobaczyć. Do diabła, nie zatrzymuj się. Zrób to.

Żółty Owoc! Nie powiedziała Drummondowi o Szkocekiej z Wodą. Zamiast tego użyła nazwy oddziału, który już nie funkcjonował. Korzystała z nauk, których jej udzielił. Kiedy nie masz innego wyjścia, powiedz prawdę, ale tylko tę jej część, która jest przydatna w danej sytuacji. Nigdy nie ujawniaj swojej prawdziwej tożsamości.

— A czym niby jest ten Żółty Owoc? — zapytał ostro Drummond.

— To tajny oddział armii, który dostarcza informacje i zapewnia osłonę grupom Operacji Specjalnych. — Głos Holly nadal drżał.

— A skąd ty o tym wiesz? Przed chwilą Buchanan zapewniał mnie, że twoja wiedza jest bardzo ograniczona.

— Z powodu artykułu, który przygotowywałam. Przez rok niemal sprawdzałam różne ślady. Buchanan jest jednym z nich. Nie byłoby mnie tutaj, gdybym nie próbowała zbliżyć się do niego w nadziei, że powie więcej, niż zamierza.

— I co, wygadał się?

— Nie w stopniu, który by mnie satysfakcjonował. Do diabła, nie mam z tą sprawą nic wspólnego. Chcę, żeby to się skończyło. Buchanan, powiedz mu to, co chce. Może nas puści.

— Tak — potwierdził Drummond — posłuchaj jej rady i powiedz mi wszystko, co chce.

Buchanan klęczał ze zwieszoną głową. Ocierając krew z ust skinął na znak zgody. A potem nagle uderzył Raymonda w splot słoneczny. Ten zgiął się wpół i Buchanan uderzył ponownie, tym

razem potężnym sierpowym, który sprawił, że Raymond, z oczami wywróconymi białkami do góry, poleciał w tył i padł na ziemię. Jego upierzony hełm potoczył się na bok.

Buchanan wstał z trudem. Gdyby mógł użyć technik walki, których nauczo go w Oddziałach Specjalnych, szybko poradziłby sobie z Raymondem. Jednak tu nie chodziło o zwycięstwo w walce wręcz, lecz o to, by zdobyć więcej punktów w grze. W przeciwnym razie Drummond mógłby wściec się do tego stopnia, że nakazałby natychmiastową egzekucję jego i Holly. A Buchanan wątpił, czy przepisy *pok-a-tok* dopuszczają karate.

Na razie jego ciosy były na tyle skuteczne, że Raymond leżał nieprzytomny na kamiennej posadzce boiska. Chwiejąc się Buchanan chwycił piłkę przedramionami. Spojrzał na kamienny pierścień, spróbował ocenić odległość i rzucił piłkę od dołu. Zrobiło mu się zimno, kiedy odbiła się od krawędzi pierścienia i spadła mu z powrotem pod nogi.

Cholera, pomyślał. Otarł pot zalewający mu oczy, obrócił się, żeby sprawdzić, czy Raymond nadal leży na ziemi, a potem z wściekłością spojrzął na Holly.

— Ty suko! — wrzasnął. — Oszukałaś mnie! Wszystkim, co się dla ciebie liczyło, był twój cholerny artykuł!

— A co myślałeś? — odrzyknęła gniewnie Holly. — Że zakocham się w tobie, bo jesteś taki cudowny? Otrzeźwiej i spójrz w lustro! Nie zamierzam dać się przez ciebie zabić! Na miłość boską, powiedz mu to, co chce!

Buchanan odwrócił się w stronę pierścienia, ponownie cisnął piłkę od dołu, tym razem zdobywając punkt.

— Powiedzieć mu to, co chce? — Buchanan mówił z coraz większą wściekłością. — Powiem mu, ty suko. Akurat tyle, żeby wyjść z tego żywcem. To ty jesteś dla niego zagrożeniem, nie ja. Ty jesteś cholerną dziennikarką! Ja jestem żołnierzem! Mnie można zaufać, że będę trzymał gębę na kłódkę!

Buchanan ponownie rzucił piłkę, która przeleciała czysto przez pierścień.

— I wygram tę pieprzoną grę!

— Akurat tyle, żeby wyjść z tego żywcem? — Holly pobladła jeszcze bardziej. — Hej, przecież jesteśmy w tym razem!

— Mylisz się.

Buchanan rzucił piłkę. I zaklął, kiedy odbiła się od krawędzi pierścienia.

— Ty też się mylisz — rozległ się nieoczekiwanie głos Raymonda. Buchanan odwrócił się.

Raymond zdążył wstać. Krew ciekła mu z ust, spływając na skórzany pancerz.

— Wcale nie wygrasz tej gry.

Ruszył w kierunku piłki.

Buchanan skoczył za nim.

I poślizgnął się.

Krew z otwartej rany na boku wypływając spod skórzanej przepaski i ciekąc po nodze utworzyła śliską kałużę w miejscu, gdzie stał.

Chociaż nie upadł, czas, jaki zużył na odzyskanie równowagi, pozwolił Raymondowi zdobyć punkt.

Jednak gdy ponownie skoczył on po piłkę i zaczął podnosić ją z ziemi, Buchanan prawym ramieniem wytrącił ją z uścisku przeciwnika, lewym zaś pchnął w jego bark. Raymond jęknął z bólu i zatoczył się w tył. Buchanan chwycił piłkę i rzucił, czując podniecenie, gdy dotknęła krawędzi pierścienia.

A potem zamarał. Kula nie przeszła przez kamienne ucho. Odbiła się i spadła z powrotem na ziemię. Boże! Buchanan pobiegł i skoczył. Ale za wolno. Będąc w powietrzu musiał uderzyć piłkę lewym ramieniem. Ciężka kula poleciała z powrotem w kierunku pierścienia.

I odbiła się ponownie, lecz tym razem gracz się przygotował. Gdy wylądował na ziemi, uniósł przedramiona, złapał piłkę, cisnął i zdobył punkt.

— Bravo! — wrzasnął Drummond. — Tak właśnie należy grać! Ramiona! Skoki! Odbicia!

— Patrz, suko, jak wygrywam! — ryknął Buchanan do Holly. — To ty przegrasz! To ty umrzesz! Pożałujesz, że w ogóle mnie spotkałaś! Pożałujesz, że próbowałaś mnie oszukać!

W tym samym momencie poczuł potężne uderzenie w plecy i poleciał pod ścianę. Ogłuszony, uniósł opancerzone ramiona, żeby zneutralizować impet uderzenia o kamienny mur. Obrócił się i otrzymał kolejny cios, tym razem prawym barkiem w pierś. Uderzył plecami o ścianę i poczuł ostry ból, jakby jedno z żeber pękło.

— Porozmawiasz z nią później — powiedział Raymond. — W jaki sposób kontaktujesz się ze swoim oddziałem?

— Właśnie — rzekł Drummond, a potem rozkaszłał się ponownie. Otaczały go kłęby dymu. Ciężkie maszyny ryczały. Coraz częściej rozbrzmiewał w pobliżu huk wystrzałów.

— Najpierw muszę mieć gwarancje! — Buchanan zmrużył oczy z bólu. Kolejna kałuża krwi utworzyła mu się pod stopami. Poczuł zawroty głowy, ale spróbował się skoncentrować. Musiał uratować siebie i Holly. Graj swoją rolę, Holly. Graj swoją rolę.

— Jakiego rodzaju gwarancje? — zapytał Drummond.

— Powiem panu to, co chce pan wiedzieć, a pan puści mnie wolno. Ja odwołam mój oddział, a pan daruje mi życie. Ale ta suka powinna dostać to, na co zasługuje.

— Zaufałybyś gwarancjom, których bym ci udzielił? — zapytał Drummond.

— Twój problem się nie zmienił! Jeśli cokolwiek mi się stanie, moja grupa dopadnie cię prędzej czy później.

Buchanan chwycił się za pierś, oddychając z trudem.

— A co z Juaną Mendez? Mam uwierzyć, że przestaniesz jej szukać? A może ona też już cię nie obchodzi?

— To nie tak — wysapał Buchanan. — To ona jest powodem wszystkiego. Znajdę ją i przekonam, żeby się w to nie mieszała. Chcę, żeby zostawiono ją w spokoju. Tak jak mnie.

— Musi być dla ciebie kimś specjalnym.

— Powiniennem się z nią ożenić parę lat temu.

— Buchanan, nie rób mi tego — powiedziała Holly. — Nie sprzedawaj mnie.

— Zamknij się. Każdy, kto posłużył się mną tak jak ty, zasługuje, żeby być sprzedanym.

— W porządku — powiedział Drummond. — To sprawa między tobą a nią. W jaki sposób kontaktujesz się ze swoim oddziałem?

Buchanan podał mu częstotliwość radiową.

— Jeśli używam telefonu, to numer jest następujący... — Podał mu numer.

— To kłamstwo — powiedziała Holly.

Dobrze, pomyślał Buchanan. Dalej, Holly. Zagraj tę rolę tak, jak cię uczyłem. Zyskaj na czasie.

— Kłamstwo? — zapytał Drummond.

— Nie znam częstotliwości radiowej, ale nie pod ten numer dzwonił, kiedy składał meldunki. To było... — Bez wahania wymieniła siedem cyfr.

— A więc — powiedział Drummond zwracając się do Buchanana. — Zdaje się, że nie byłeś całkowicie szczery.

— To ona kłamie — odparł Buchanan. — Przed północą muszę skontaktować się z moimi ludźmi. Pozwól mi użyć radia i...

— Co za bzdury — odezwał się Raymond. Chwycił piłkę i przerzucił ją przez pierścień. A potem zrobił to ponownie.

I jeszcze raz.

— Gracie na czas — powiedział. — Udajecie, że się kłóćcie, mając nadzieję, że zamącicie nam w głowach i zyskacie kilka cennych chwil. — Rzucił kulę zdobywając kolejny punkt. — Dziewięć. — Spojrzał na Buchanana. — Nie wierzę żadnemu z was. Jeszcze jeden punkt i będziecie martwi.

Gdy przygotowywał się do rzutu, Buchanan skoczył. Poczł wstrząs. Boisko zdawało się falować. Miał miękkie kolana.

Raymond rzucił, lecz piłka odbiła się od krawędzi pierścienia. Buchanan przejął ją w powietrzu, odbił złączonymi przedramionami i zdobył punkt.

Gdy wylądował na ziemi, nogi ugięły się pod nim. Zdał sobie nagle sprawę, że ryk maszyn ucichł. Za to coraz głośniej rozlegał się trzask płomieni i huk wystrzałów. Słyszał było krzyki.

Zachwiał się.

— Jeszcze tylko jeden — powiedział Raymond.

Chwycił piłkę.

— Jeden punkt.

Wbił wzrok w Buchanana.

— A przegrany ponosi karę.

Rzucił piłkę.

Buchanan nawet nie spojrzał, czy przeleciała przez pierścień. Szykując się do obrony, pilnował, by nie upaść.

Usłyszał rumor w górze. Szamotanie. Krzyk. Ktoś upadł.

— Buchanan! — wrzasnęła Holly. — Za tobą!

Ryzykując, obejrzał się szybko przez ramię i ujrzał spadającego z tarasu strażnika.

Nie! Nieprawda. On nie spadł. Został zepchnięty. Przez Holly.

Upadek z wysokości pięciu metrów zamroczył mężczyznę, który trzymał się za nogę, być może złamaną. Pistolet maszynowy leżał kawałek dalej.

Buchanan skoczył w jego stronę i został odrzucony na bok zdumiewająco potężnym uderzeniem piłki w plecy.

Moja głowa! Mało brakowało, a trafiłby mnie w głowę! Umrę, jeśli to się stanie!

Usłyszał kolejne strzały, krzyki, ale cała jego uwaga skupiona była na zbliżającym się napastniku.

— Przegrałeś — powiedział Raymond. Jego błękitne oczy błyszczwały z podniecenia. Chłopięcy uśmiech miał w sobie coś okrutnego. Sprawiał wrażenie kompletnie szalonego. — Chcę cię tym zabić. — Sięgnął po ciężką piłkę. — To będzie długo trwało. Na końcu roztrzaskam ci głowę niczym skorupkę jajka.

Zamroczony, Buchanan cofnął się mimowolnie i poślizgnął się na własnej krwi. Głowa bolała go potwornie, miał wrażenie, że puchnie mu mózg. Zamarkował ruch w prawo, a potem skoczył w lewo, po pistolet maszynowy strażnika.

Raymond stanął nad nim, kołysząc się, z piłką uniesioną nad głową, gotów do ciśnięcia jej z całą siłą.

Buchanan wycelował uzi i nacisnął spust.

Jednak nic się nie stało.

Broń musiała się zaciąć.

Zrobiło mu się gorąco, jakby wnętrzości wypełnione miał wrzątkiem.

Raymond zaśmiał się i napiął mięśnie, żeby spuścić piłkę prosto na jego uniesioną twarz.

Zamarł, nieruchomiejąc nagle. Jego błękitne oczy stały się puste i szkliste. Twarz zeszywniała mu w groteskowym uśmiechu.

Piłka wypadła z rąk, poleciała do tyłu i potoczyła się po boisku.

Ramiona pozostały wyciągnięte w górę, ale z ust pociekła krew.

Buchanan usunął się w ostatniej chwili i Raymond runął twarzą na kamienną posadzkę. W jego plecach tkwiły strzały.

Buchanan spojrział w stronę, z której musiały nadlecieć, lecz zobaczył tylko dym. Słyszając jakiś dźwięk, po prawej, odwrócił się błyskawicznie. To strażnik, odzyskawszy przytomność po upadku z tarasu, wyciągał pistolet. Buchanan przeładował uzi i pociągnął za spust, trafiając strażnika krótką, kontrolowaną serią, po której ten padł na ziemię, cały we krwi.

— Holly! — krzyknął Buchanan. Taras w górze był pusty. — Holly! Gdzie jesteś?!

— Tutaj!

Wciąż jej nie widział.

— Leżę na brzuchu!

— Nic ci się nie stało?

— Nie, ale się boję!

— Czy możesz zejść na dół? Gdzie jest Drummond i...

— Uciekli! — Podniosła rękę. — Kiedy zobaczyli... O mój Boże. — Wskazała coś za jego plecami.

Buchanan obrócił się na pięcie, przyklęknął i wycelował uzi w kłęby dymu na końcu kortu. Bał się, że w każdej chwili mogą wylecieć stamtąd kolejne strzały.

Ujrzał ruch.

Mocniej ścisnął kolbę.

Cienie, a potem postacie, wyłoniły się z dymu.

Buchanan poczuł przeszywający go dreszcz. Wcześniej, kiedy Raymond stanął na boisku w swojej skórzanej zbroi i upierzonym hełmie, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że wyłonił się on nie tylko z dymu, ale i z głębin czasu.

Teraz poczuł ten sam dreszcz, lecz tym razem szli do niego przez dym autentyczni Majowie, niscy i szczupli, z prostymi czarnymi włosami, ciemnobrązową skórą, o okrągłych głowach, szerokich twarzach i oczach przypominających migdały. Tak jak Raymond mieli na sobie skórzane pancerze oraz pierzaste hełmy i przez rozpaczliwie długie ułamki sekundy Buchanan miał wrażenie, że czas cofnął się o tysiące lat. Majowie nieśli włócznie, maczety i łuki. Tuzin mężczyzn. Ich przywódca nie spuszczał wzroku z Buchanana, a on powoli opuścił uzi, przyciskając go do lewego uda z lufą skierowaną ku ziemi.

Majowie zatrzymali się przed nim, a przywódca cały czas obserwował go bacznie. W tle słychać było tylko trzask płomieni. Strzały ucichły, ale Buchanan był pewien, że mężczyźni, którzy stoją przed nim, to tylko jedna z wielu grup. Rozwścieczeni zniszczeniem świątyń ich przodków, potomkowie Majów wystąpili w końcu przeciw najeźdźcom, zamiast dać się im wytepić.

Wódz zmrużył oczy i uniósł maczetę.

Buchanan nie wiedział, czy jest poddawany próbie. Z największym wysiłkiem opanował się, żeby nie podnieść uzi i nie strzelić.

Tymczasem wódz doskoczył do ciała Raymonda i uderzył maczetą odcinając mu głowę.

A potem z pogardą podniósł ją do góry za włosy.

Gdy krew pociekła z rozciętej szyi, Buchananowi stanęła przed oczami płaskorzeźba wryta na ścianie boiska — ta, którą Raymond pokazał mu na początku gry.

Wódz obrócił się i cisnął głową w stronę kamiennego pierścienia. Odbiła się od krawędzi, podskoczyła, a potem przeleciała przez otwór i spadła na ziemię, po czym tryskając krwią, potoczyła się, wydając dźwięk przejrzałej dyni.

Myliłeś się, Raymond, pomyślał Buchanan. To nie przegrany — to zwycięzca umiera.

Wódz spojrział na niego z ukosa i ponownie uniósł maczetę. Buchanan stał nieruchomo. Potomek Majów skinął głową, dał znak i poprowadził swoich wojowników obok niego, tak jakby Buchanan w ogóle nie istniał, jakby to on, a nie oni, był duchem z innej epoki.

Stał i patrzył — Majowie zanurzali się w dymie, znikając, tam skąd przyszli — a potem nagle ugięły się pod nim nogi. Spojrział w dół, zdumiony ilością krwi, jego krwi, która wyciekła z otwartej rany po nożu.

— Holly!

— Tutaj.

Odwrócił się błyskawicznie. Pojawiła się nagle, jakby wyrosła spod ziemi. Jej twarz była napięta ze strachu.

— Połóż się — powiedziała.

— Nie. Nie mogę. Najpierw... — z trudem przełknął ślinę. — Najpierw musimy znaleźć Drummonda i Delgado.

Wokoło rozbrzmiewały krzyki.

Buchanan, półprzytomny, otoczył Holly ramieniem i ruszył chwiejnie do przodu z uzi gotowym do strzału. Ogarnął ich gęsty, duszący mrok. Przez chwilę nic nie widzieli. A potem wyszli z dymu i było tak, jakby znaleźli się w innym świecie. Zostawili za sobą boisko do gry w piłkę i odległą o setki lat przeszłość. Przed nimi wznosiła się ohydna, podobna do piramidy konstrukcja ze stali, stojąca tam, gdzie kiedyś stała piramida z kamienia, świątynia skupiająca energię wszechświata, schronienie bogów.

Poza trzaskiem płomieni wokoło panowała denerwująca cisza. Ciała robotników leżały porozrzucane na ziemi.

— Drogi Boże — wymamrotała Holly.

Nagle usłyszeli miarowe, metaliczne uderzenia. Łup–łup–łup. Warkot silnika.

Helikopter. Drummond i Delgado próbowali uciec. Buchanan wyciągnął szyję, próbując przeniknąć wzrokiem płomień strzelające z drzew. Tam. Ujrzał niebieski helikopter unoszący się w górę.

Coś jednak było nie tak. Helikopter chwiał się i nie mógł nabrać wysokości. Buchanan zmrużył oczy. Ujrzał ludzi szczelnie oblepiających płozy helikoptera, desperacko czepiających się swojej ostatniej szansy. Wewnątrz ktoś otworzył właz i zaczął kopać wiszących, próbując ich zepchnąć.

Śmigłowiec znowu zachwiał się, z trudem nabierając wysokości.

A potem runął prosto na płonące drzewa. Potężna eksplozja wstrząsnęła dżunglą, rozrzucając ciała i metalowe odłamki we wszystkich kierunkach. Echo wybuchu przetoczyło się przez polanę.

Buchanan i Holly, przerażeni, spowici kłębam dymu, kaszląc, ocierając pot i brud z twarzy, pobiegli na miejsce katastrofy. Duży fragment rozerwanego helikoptera uderzył w stalową piramidę łamiąc jedną z podpór. Konstrukcja wygięła się, pochylila i runęła przy wtórze zgrzytającego przeraźliwie metalu. Cała ta masa przygniotła buldożery i ciężarówki. Jedyne resztki wielkich niegdyś budowli, ruiny ruin, które Drummond pozwolił oszczędzić, stały niewzruszone.

— Ratunku! — ktoś jęknął.

Buchanan rozejrzał się, szukając źródła głosu.



— Tutaj. O Boże, proszę, pomóżcie mi.

Buchanan rozpoznał głos, zanim cokolwiek zobaczył. Delgado. Meksykanin leżał na plecach, z włócznią wystającą z piersi. Był blady jak papier.

— Pomóżcie mi. — Wskazał z wysiłkiem na włócznię. — Nie mogę się ruszać. Wyciągnijcie to, proszę.

— Wyciągnąć włócznię? Jesteś pewny?

— Tak.

— Jeśli tego chcesz. — Wiedząc, co się stanie, Buchanan chwycił za włócznię i szarpnął.

Delgado wrzasnął. Zaraz potem jego wrzask przeszedł w charkot, gdyż wyjęcie włóczni spowodowało wewnętrzny krwotok. Krew trysnęła mu z ust.

— Za to, co zrobiłeś Marii Tomez — powiedział Buchanan — i tak należało ci się o wiele więcej.

Holly przytuliła się do niego. Otoczył ją ramionami. Słońce zachodziło. Skąpiana w jego szkarłatnym blasku, spowita kłębamii dymu polana wydawała się kompletnie pusta.

— Drogi Boże — powiedziała Holly — czy oni wszyscy nie żyją? Bez wyjątku?

— Majowie — rzekł Buchanan. — Nie widzę ich. Gdzie są? Trzask spadającej belki zakłócił ciszę. Buchanan spojrział w prawo. I zdrtwiał, widząc jeszcze jednego ocalałego.

Z dymiących resztek drewnianego budynku, w którym niedawno mieściło się obozowe biuro, wyszedł chwiejnym krokiem Alistair Drummond.

Teraz wreszcie wyglądał na swój wiek. A nawet jeszcze starzej. Przygarbiony, pomarszczony, z zapadniętymi policzkami i martwym spojrzeniem wydał się Buchananowi najstarszym człowiekiem świata.

Ujrawszy ich starzec zadrzał, a potem kuśtykając zaczął uciekać.

Także kulejąc Buchanan ruszył za nim. Drummond przewrócił się kilka razy. Buchanan również — lecz uparcie, nieubłaganie parł za starcem, mijając pokryte hieroglifami kamienne bloki leżące obok zwałów pociętego metalu.

Drummond stanął nagle. Odwrócił się, próbując przyjąć dumną postawę, lecz natychmiast skurczył się tchórzliwie, gdy ścigający stanął przed nim.

— Myślałem, że zginąłeś w helikopterze.

— Nie chcieli mnie zabrać. — Siwe włosy Drummonda osmalili płomień. Czoło miał czarne od sadzy. — Czy potrafisz w to uwierzyć? — Drżał mu głos. — Tak bardzo chcieli uciec, że nie wpuścili mnie do środka.

— Powiedz mi — rzekł Buchanan. — Jak mogłeś kiedykolwiek myśleć, że ujdzie ci to na sucho?

— Myśleć? Ja to wiem. Jestem tak stary, tak potężny — któż ośmieliłby się mnie ukarać? Nie zapominaj też, jak bardzo jestem bogaty.

— Jesteś tylko gnidą.

Buchanan wyciągnął rękę i pchnął Drummonda czubkiem wskazującego palca. To wystarczyło, by starzec stracił równowagę. Zachwiał się, wymachując chudymi ramionami. Wrzasnął. A potem zaczął spadać.

Tuż za nim była głęboka, szeroka rozpadlina — to dlatego nie mógł uciekać dalej. Starożytni Majowie zbudowali nad nią swoją piramidę — żeby ukryć i kontrolować boga ciemności, boga czarnej wody, sączącej się spod ziemi. Mazista ciecz na dnie rozpadliny zafalowała niespokojnie, gdy ciało Drummonda uderzyło o powierzchnię — po czym pochłonęła je. Ciężki zapach uniósł się w powietrzu.

— Tak bardzo chciał tej ropy — powiedział Buchanan. — Więc ją dostał.

Osunął się na ziemię. Szumiało mu w głowie.

## 11

Twarz Holly pochylającej się nad nim była dziwnie zamazana. Obok niej dostrzegł wodza Majów. Kolorowe pióra jego hełmu błyszcząły w szkarłatnym blasku zachodzącego słońca. Pojawiali się kolejni wojownicy dzierżący w dłoniach skrwawione włócznie i maczety. Holly zdawała się nie zauważać niebezpieczeństwa.

Buchanan próbował unieść rękę, żeby ją ostrzec. Ale nie mógł. Próbował też poruszyć ustami. Nie potrafił sformułować słów. Miał wrażenie, że ziemia obraca się coraz szybciej, wciągając go w bezdenny wir.

Wódz pochylił się nad nim, jego szeroka, okrągła twarz oddalona o kilka zaledwie centymetrów również wydawała się zniekształcona.

Półprzutomny Buchanan poczuł, że go podnoszą i kładą na noszach. Wydawało mu się, że płynie. Chociaż oczy miał zamknięte, pod powiekami pojawiały się coraz to nowe obrazy. Ogromna piramida. Gigantyczne głowy węży wyrzeźbione w kamieniu. Pismo obrazkowe. Wspaniałe pałace i świątynie.

A potem wyrosła nad nim dżungla. Niesiono go przecinką między drzewami i zaroślami, przecinką, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Majowie szli szeroką ścieżką zbudowaną z szarego kamienia, wystającą ponad poziom gruntu. Buchanan miał wrażenie, że wszędzie poza nią wiją się tysiące węży.

Zapadła noc, ale wojownicy szli dalej, Holly trzymała się blisko noszy, wódz na przedzie. Jak tysiąc lat temu, pomyślał Buchanan.

Dotarli do wioski i przeszli przez bramę, mijając wysoką na dwa metry drewnianą palisadę. Wokoło płonęły pochodnie, oświetlając prymitywne chaty. Ich ściany sporządzono z plecionych gałązek, dachy z liści palmowych. Świnie i kury, obudzone przez pochód, hałasowały wokoło. Mieszkańcy wioski czekali przed chatami: niscy ludzie o okrągłych twarzach, ciemnych włosach, z oczami przypominającymi migdały. Kobiety w białych sukniach wyglądały niczym duchy.

Buchanana zanieśli do jednej z chat. Położono go na hamaku. A więc nie dostaną mnie węże, pomyślał. Kobiety rozebrały go do naga. W świetle pochodni wódz zaczął badać jego rany.

Holly krzyknęła próbując go powstrzymać, ale mieszkańcy wioski przytrzymali ją. Gdy wódz zaszył już Buchananowi cięcie na boku, przyłożył kompres do niemal zagojonej rany po kuli i posmarował maścią liczne skaleczenia i otarcia — pochylił się i bacznie obejrzał jego podpuchnięte oczy. Następnie za pomocą noża ogolił mu bok czaszki.

A potem przyłożył prymitywny drewniany świder do dręczonej nieustannym bólem głowy.

Ucisk spiczastego czubka był jak ukłucie osy.

I jakby przecięto mu ogromny wrzód, Buchanan zemdlął w ekstazie wyzwolenia.

## 12

— Jak długo byłem nieprzytomny? — Powoli zbierał myśli. Nie czuł własnego ciała, a mówienie przychodziło mu z trudem.

— Dwa tygodnie.

Zaskoczony — nagle otrzeźwiał. Podniósł rękę do bandaża wokół czaszki.

— Nie dotykaj go — powiedziała Holly.

— Co się stało z moją... Jak...?

Nie odpowiedziała. Umoczyła czystą szmatkę w wypełnionej deszczówką skorupie orzecha kokosowego i podczas gdy Buchanan, częściowo rozebrany, leżał na hamaku przed chatą, grzejąc się w popołudniowym słońcu, umyła go dokładnie.

— Powiedz mi. — Oblizwał suche, napuchnięte wargi.

— Mało brakowało, a umarłbyś. Straciłeś wiele krwi, ale szamanowi udało się powstrzymać krwawienie.

— Moja głowa. Co z nią?

— Majaczyłeś. Miałeś drgawki. Gałki oczne powiększyły ci się okropnie, jakby miały wyskoczyć z orbit. Najwyraźniej ciśnienie napierało na nie od wewnątrz. Byłeś operowany.

— Co?

— Operacja głowy. Szaman wyborował ci dziurę w czaszce. Krew trysnęła, jakby...

Buchanan opadł na hamak. Przymknął oczy. Ponownie oblizwał spierzchnięte wargi. Holly sięgnęła po połówkę kokosa i przytknęła mu ją do ust.

Po kilku próbach przełknął wreszcie jeden łyk, a potem następne, rozkoszując się chłodną słodyczą.

— Wyborował dziurę... — rzekł w zamyśleniu.

— Prymitywna chirurgia. Sprzed tysiący lat. Ci ludzie żyją, jakby czas się zatrzymał. Nie mają elektryczności. Wszystko, czego potrzebują, zdobywają w lesie. Ubrania szyją sami. Ich mydło... Pałą kolby kukurydziane, żeby zagotować wodę. Wrzucają do niej popiół z kolb i moczą w tym brudne ubrania. Potem płuczą je w innych garnkach z wrzątkiem. Tak uprane rzeczy stają się niewiarygodnie czyste. I jeszcze podlewają tą wodą ziemię, żeby wykorzystać popiół jako nawóz.

Buchanan miał problem z koncentracją, a powieki zamykały mu się uparcie.

— Prymitywna chirurgia — powtórzył ze zdumieniem i zasnął.

Obudził się dwa dni później.

Holly powiedziała mu, że w czasie gdy był nieprzytomny, poiła go wodą i rosółem z kurczaka, ale mimo to stracił tak wiele na wadze, że musi zacząć jeść — czy jego żołądek ma na to ochotę, czy nie.

— Jestem gotowy — powiedział Buchanan.

Holly zanurzyła drewnianą łyżkę w glinianej miseczce, spróbowała, czy zupa nie jest za gorąca, i zaczęła go karmić.

— Pyszne.

— Im to powiedz. To nie ja gotowałam. Jedna z kobiet przynosi jedzenie. Pokazuje mi, jak mam się tobą opiekować.

— A szaman?

— Przychodzi dwa razy dziennie, żeby podać ci łyżkę gęstego, słodko pachnącego syropu. Może to dzięki temu nie dostałeś zakażenia. Żałuję, że nie rozumiem ich języka. Próbowałam tej odrobiny hiszpańskiego, którą znam, ale nic z tego nie wyszło. Porozumiewamy się na migi.

— Dlaczego zadali sobie tyle trudu? — zapytał Buchanan. — Dlaczego pozwolili nam przeżyć?

— Nie wiem — odpowiedziała Holly. — Traktują cię jak bohatera. Nic z tego nie rozumiem.

— Musi to mieć jakiś związek z grą. Z walką przeciw Raymondowi. Z pokonaniem Drummonda. Uznali pewnie, że jesteśmy po tej samej stronie. — Buchanan zamyślił się. — Przegrałem, a mimo to... Być może w dawnych czasach Majowie tak współczuli przegranemu, że brali go pod opiekę.

— Dlaczego mieliby mu współczuć?

— Ponieważ zwycięzca był zabijany i dołączał do grona bogów.

— Raymond nie jest z bogami.

— Nie. Ani Drummond — odparł Buchanan. — Obaj są w piekle, tam gdzie ich miejsce. — Umilkł na chwilę. — Drummond bardzo przypomina mi pułkownika.

— Pułkownika?

Buchanan zawahał się.

— To, co się stało na terenie ruin, jest twoje. Napisz o tym. Tylko mnie z tego wyłącz. To, co ci teraz powiem, jest nieoficjalne.

— Hej, jeśli nadal nie potrafisz mi zaufać...

Buchanan zawahał się ponownie, a potem podjął decyzję.

— Być może zaufanie jest częścią ludzkiej natury. W każdym razie tam, na boisku, ufałem ci. Choć byłaś bardzo przekonywająca, jednak wierzyłem, że grasz, i że zostałeś ze mną nie tylko z powodu artykułu.

— A ja ufałam tobie — nawet wtedy, kiedy powiedziałeś Drummondowi, że nie obchodzi cię, czy umrę. Powtarzałam sobie, że to tylko gra, i starałam się stosować do twoich wskazówek, chociaż nie wiedziałam, dokąd one nas zaprowadzą. Co chciałeś osiągnąć?

— Raymond miał częściowo rację. Musiałem zamącić im w głowach, żeby nie mogli się zorientować, kto z nas kłamie. Gdyby zechcieli sprawdzić numer choćby jednego z telefonów, które im podaliśmy, to automatycznie naprowadziliby na swój ślad grupę uderzeniową pułkownika. Przy pewnej dozie szczęścia mogliśmy ocaleć.

— To było dość ryzykowne.

— Daj spokój. W takich sytuacjach nie ma czasu na długofalowe plany. Ale ty i ja stworzyliśmy niezły zespół.

— Cóż, miałam dobrego nauczyciela.

— Mówiłem ci o moim przełożonym. Jest bardzo podobny do Drummonda. Dla pułkownika również nie liczy się nic oprócz celu, który chce osiągnąć.

— Ale to zwyczajna wojskowa dyscyplina.

— Nie. W wojsku istnieje coś takiego jak etyka. Wśród polityków — nie. To politycy dają wojsku niemoralne zadania, ale czasem pojawia się taki żołnierz jak pułkownik i wtedy... — Buchanan był bardzo słaby. Lecz ogarniający go gniew dodawał mu siłę. — Zaczynam podejrzewać, że to pułkownik kazał zabić Jacka i Cindy Doyle'ów. I Baileyę. Z powodu zdjęć, na których był razem ze mną. Ponieważ obawiał się, że zostanie zdekonspirowany jako szef Szkockiej z Wodą, co zrujnowałoby jego karierę. Myślę też, że to on wysłał faceta z nożem w Nowym Orleanie, żebyś nie miała od kogo uzyskać informacji. Żeby cała historia umarła wraz ze mną. Zwrócił się przeciwko mnie, aby uratować własną skórę. Kto wie? Może dostają mu się jakieś kąski z narkotykowych interesów, jakie Szkocka z Wodą robi w Ameryce Łacińskiej. Pewnego dnia poznam prawdę. A wtedy pułkownik będzie się musiał przede mną tłumaczyć.

— A co z Juaną?

— Teraz, kiedy Drummond nie żyje i nie może już płacić, jego ludzie przestaną szukać. Wiedząc, jak doskonale nauczyła się zmieniać swój wygląd, nie sądzę, żebym kiedykolwiek zdołał ją odnaleźć.

— A zamierzasz próbować?

— Pytasz, czy nadal mi na niej zależy?

Holly skinęła głową.

— Tak — powiedział Buchanan.

Holly spuściła wzrok.

— Ale nie w ten sposób, w jaki zależy mi na tobie — dodał.

Holly spojrzała na niego.

— Ona jest przyjacielem, który potrzebował pomocy, a ja przez zbyt długi czas nie byłem w stanie pomagać swoim przyjaciołom. Muszę się upewnić, że nic jej nie grozi. Myślę, że kiedy usłyszy o śmierci Delgado i Drummonda — wyjdzie z ukrycia. Chciałbym ją znowu zobaczyć. — Buchanan dotknął ręki Holly. — Ale przysięgam, ona nie jest twoją rywalką.

Holly nie mogła odpowiedzieć przez dłuższą chwilę. Wreszcie zapytała:

— A co teraz z nami będzie?

— Jedno jest pewne. Tutaj pułkownik nas nie znajdzie.

— Tak. To rzeczywiście radosna wiadomość.

— Czy tu jest naprawdę tak źle?

— Z tobą? Nie. To dziwne. Mimo że wyglądasz na wyczerpanego, jest coś takiego... w twoich oczach. Nawet gdy się wściekasz na pułkownika, wewnątrz wydajesz się spokojny.

— Jestem sobą.

Holly zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc.

— Wyzwoliłem się od czegoś — wyjaśnił. — Może dzięki temu co przeżyliśmy. Albo dzięki tobie. A może... może szaman, wywierciwszy mi dziurę w czaszce, uwolnił mnie nie tylko od nadmiaru krwi, ale i od tego co sprawiało mi udrękę przez całe życie — od przeszłości. Chcę iść naprzód. Z tobą. Nie obchodzi mnie to co było, lecz to co jest teraz — ścisnął rękę Holly. — I to, co będzie. Nie muszę już uciekać przed samym sobą. Nie muszę już nikogo udawać.

— Miło będzie cię poznać — powiedziała Holly.

— Sam jestem siebie ciekaw.

— Tak. — Pocałowała go mocno. — Na to właśnie czekałam.